



I



MARCIN MORTKA



OSTATNIA SAGA



Marcin Mortka

OSTATNIA SAGA

I



Copyright © by Marcin Mortka, MMXV.
Wydanie II
Warszawa

Spis treści

Smocze nasienie

I

II

III

IV

Ostatnia saga

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Epilog](#)

[Przypisy](#)

Smocze nasienie

Vilburn odetchnął z ulgą.

Gniewoj rzucił spojrzenie przez ramię. Droga zanurzyła się w wąwóz o piaszczystych zboczach, z których tu i ówdzie, na podobieństwo węży, sterczały osobliwie poskręcane korzenie sosen. Morza nie było już widać.

– Jak pogoda dopisze, to nim pełnia nastanie, będziem, panie, w Poznaniu – zdecydował się przerwać ciszę i zaraz zamilkł, zły, że odezwał się jako pierwszy.

– Chwalić Pana – burknął Vilburn. – Obmierza mi już gościna tych zbójów, tych...

– Może i zbóje, ale posła książęcego przyjęli godnie. Jarl Eivind prawym człkiem mi się zda.

– Jak można nazywać prawym człkiem, który palił chrześcijańskie miasta i bez litości wycinał klasztory – syknął Vilburn. – W jego oczach śmierć jeno widać!

– Ale męstwa, panie, odmówić mu nie możecie. Co więcej, księcia Bolka przyjacielem nazwał.

– Juści, że nazwał. – Niemiec się skrzywił. – Wie przecież, że każde jego słowo księciu powtórzę. Jakże więc nie pochwalić sąsiada możnego i do gniewu skorego? Książę zaiste się ucieszy, ale z czegoś innego.

Niespodziewanie nad ich głowami coś zafurkotało – na grubym niczym ludzkie ramię korzeniu zasiadł wielki kruk. Ptak złożył skrzydła i lekceważąco ustawił się bokiem do jeźdźców.

– Zgiń, przepadnij! – Vilburn się przeżegnał. – Diable nasienie...

– Zaliby książę nową wyprawę umyślili i do planu jarla Eivinda wciągnąć chcieli? – zapytał z ciekawością Gniewoj.

– Gdyby o nową wyprawę się rozchodziło, nie mnie by książę wysłał, ale was, Gniewoju – zaśmiał się z pobłażaniem Vilburn. – Skoroście ciekawi, tedy wam powiem. Jak wiecie, bractwo jomsborskie słynie zarówno z waleczności, jak i z braku pokory. Z królów kpią w żywe oczy, a okiełznać ich nijak, bo warownię mocną mają i miecze ostre. Umyślił sobie tedy książę, by Jomsborg z Poznaniem związać.

– Jeno jak? – Gniewoj uniósł brwi. – Sami rzekliście, że oręż to na nich nie sposób, a bogactw z łupów mają mnóstwo.

– Jarl Eivind chrzest obiecał przyjąć – powiedział krótko Niemiec.

Kruk podskoczył na korzeniu, obracając się dziobem w ich stronę. Czarne oko załśniło złośliwie, a dziób rozchylił się lekko.

– Przysiągł, że na Wielkanoc wizytę na dworze poznańskim złoży, przed księciem uklęknie i chrzest przyjmie. – Na twarzy Niemca zastygł hardy wyraz. – On jeden tylko. Reszta bractwa ma mieć wybór. Co więcej, jarl do Jomsborga wróci jako chrześcijanin, ale nie lennik książęcy. Bractwo więc nadal wolne będzie...

– ...ale jarl jako chrześcijanin będzie musiał prośby księcia wypełniać! – Gniewoj pokręcił głową ze zdumieniem. – Przebiegły to plan!

– Juści, że przebiegły. – Vilburn wydał wargi. – Księżę Bolko ma tajnego szpiega w warowni i dowiedział się, że jarlowi bogowie są obojętni. Szanuje ich tyle, ile tradycja nakazała.

– A jak wam się udało jarla przekonać?

– Ech, tam... – westchnął poseł. – Eivind to zbój z robaczywym sercem, a z takimi jak on nie można szczerze rozmawiać. Jedno, co można, to handlować. Dary łotrowi zawiozłem sute, wśród nich naszyjnik jeden ze szmaragdów, precudny. Aż żał go takiemu rozbójnikowi dawać, lecz cóż... Kazali księżę, tedy dałem. Kazali również, cobym mu zaproponował...

Kruk z przekrzywionym łbem śledził mijających go jeźdźców i nie spuszczał z nich oka, dopóki nie znikli za zakrętem. Wtedy to wśród sosen nadmorskiego boru poniosło się echo chrapliwego kraknięcia, a wielkie ptaszysko ociężale wzbiło się do lotu.

Pękaty księżyc spoglądał na rzekę, przesłaniany od czasu do czasu postrzępionymi chmurami. Ptaki jeszcze milczały, nabierając tchu przed rodzącym się świtem, a ciszę mącił jedynie plusk wioseł, nurzających się w leniwej, czarnej wodzie.

Z tumanów mgły na brzegu powoli wyłaniały się kontury twierdzy. Halvdan machinalnie starł wilgoć z ostrza topora i zamrugął zmęczonymi oczyma. Dobrze zapamiętał ten kształt – masywny, nieodmiennie osnuty mgłą, z wysokim, zębatym wałem, który górował nad wodami.

Jomsborg – gniazdo morskich piratów.

Za jego plecami rozległy się ożywione szepty – ludzie również dostrzegli cel i energiczniej napaarli na wiosła. Widać było dwie przysadziste wieże, między którymi do wewnętrznej przystani wpływały okręty co znaczniejszych gości. Wśród zarośli utajonych w mlecznej bieli krył się długi pomost z niewielką strażnicą oraz budynki, w których na zimę chowano smocze łodzie wikingów.

– Na Górze Wisielców zapłonęło już ognisko – powiedział chrapliwym głosem Skalle, jedyny z garstki jego przybocznych, który bywał w Jomsborgu.

– Czujne zbóje, jak dawniej. – Halvdan uśmiechnął się krzywo. – Ile to wiosen już będzie, Skalle?

– Ze dwanaście, królu, nie mniej! Zmieniali się jarlowie na tronie jomsborskim. Znacie wy, panie, onego Eivinda?

– Jeno sławę jego. Mówią, że niczego się nie boi.

– Zechce tedy w naszej sprawie za broń chwycić?

– Zobaczymy.

Brzuchy chmur poczynały jaśnieć fioletem. Halvdan rozpoznawał już pojedyncze blanki wieżyc, lecz po dawnemu nie dostrzegał żadnego sztandaru czy proporca.

– Harde zbóje – mruknął sam do siebie, opierając dłonie na osmolonej okrężnicy. – Dla sławy żyją i tylko bogom posłuszni. Na co im chorągwie? Królowie szmatami na kiju machają, kiedy nie sławą, ale urodzeniem tylko pochwalić się mogą.

– Co prawicie, ojcze? – U jego boku pojawiła się wiotka sylwetka kilkuletniego chłopca, otulonego szarym pledem i ziewającego szeroko. Halvdan zerknął w bok i zacisnął zęby z żalem. Twarz chłopca była blada i wymizerowana, a oczy płonęły wewnętrzną gorączką. Potrząsnął głową, odpędzając przemożną ochotę, by chłopca przygarnąć i we łzach przeprosić za tułaczkę i za niezawinione trudy. Jednak nie wolno mu było. Wodzowi nie przystało okazywać tkliwości przy własnych ludziach: zwłaszcza, że i w nich niewiele wytrzymałości już się tliło.

– Do siebie gadałem – burknął opryskliwie. – Do celuśmy dopłynęli, Eiriku. Żeś słyszał kiedy o Jomsborgu?

– Legendy jeno...

– Tedy prawdy posłuchaj. Oto warownia najzaciejszej drużyny wojów w całym

Midgardzie. Mówią o sobie, że żyją bez kobiet, walczą dla sławy, żeglują bez strachu, a słuchają jeno bogów. Żaden król nie jest im panem, a jeśli jakiemuś służą, to ino dlatego, że tak sobie postanowili. Chcę z ich jarlem pomówić, coby...

– Okręt! – zawołał cicho Skalle.

Wszyscy odwrócili głowy tam, gdzie wskazał dłonią, owiniętą w brudne od zakrzepłej krwi szmaty. W istocie – wśród mgieł sunął smukły knorr, którego załoga składała właśnie maszt. Nieznany okręt z gracją ciął pasma mgły wiszące nad niemalże nieruchomą powierzchnią rzeki. Był znacznie bliżej warowni, a płynął szybko. Osobliwie szybko.

Halvdan poczuł niewytłumaczalne ukłucie niepokoju.

– Jomsborski? – Sam nie zauważył, kiedy ściszył głos.

– Może – burknął Skalle. – Wždy oni tylko na zdobycznych pływają... Może być i jomsborski...

– Ktoś zna ten okręt? Gunnar, tyś u skutników pracował... Widziałeś kiedyś taki?

– Nie – mruknął zapytany, poprawiając opatrunek na głowie. – Ledwo co po ciemku widać, ale żem pewien, że nie nasz. Nie nordweski. My cięższe budujem.

– Ten lekko płynie, kiej Skipbladnir! – wyrwało się młodemu Jorundowi.

– Zamilcz! – warknął Halvdan, łyskając białkami oczu. – Nie lza bogów o porze tak ciemnej wzywać!

– Może swijski to knorr? – bąknął ktoś z tyłu. – Lubo z Olandii czy Dunii? Blisko mają, tedy pewno często tu kupczą.

– Nie kupce. – Skalle pokręcił głową. – Za lekko płyną. Pusty widno okręt.

– Pusty, prawisz – burknął stary Bragi, któremu rany nie pozwalały wiosłować i przez cały rejs leżał na skórach. Odzyskał właśnie przytomność i wraz z innymi wpatrywał się w ustępującą ciemność. – Tedy gdzie ci ludzie, którzy tak szybko wiosłują?

– Ojczy, boję się – zadrżał Eirik.

– Dość tego! – Rozwścieczony Haldvan odstłonił zęby. – Dość! Z prądem dobrym płyną pewno, a wam w głowach się już miesza! Do rumpla, Skalle, reszta do wiosł!

Skalle bez słowa odszedł na rufę, gdzie posłusznie ujął drąg wiosła sterowego. Nie był głupcem – jemu, wytrawnemu żeglarzowi, starczył rzut oka, by wiedzieć, że knorr, znikający już między czarnymi wieżycami, na pewno z żadnym prądem nie płynie. Splunął za burtę i odwrócił wzrok, a silna, spracowana dłoń dotknęła nieśmiało srebrnego młota Thora zawieszzonego na szyi.

– Nie zadał w róg – mruknął uspokajającym tonem Halvdan. – Pewnikiem tedy jomsborski.

Minęło jeszcze pół godziny, nim głośna komenda dowódcy nakazała złożyć wiosła. Mocnym wychyleniem rumpla Skalle położył okręt w dryf, a Jorund ujął róg. Okręt wolno nieruchomiał pod wałami warowni morskich zbójów. Wszyscy powstali, a donośna, dumna pieśń rogu popłynęła nad cichym nurtem rzeki, budząc i strasząc ptactwo.

– Ktoście wy? – odezwał się wartownik na górze.

Słońce miało jeszcze długą drogę do przebycia i wciąż widzieli tylko ciemny kontur postaci z długą włócznią.

– Jam Halvdan syn Ulfa, król Nidaros! – zakrzyknął Halvdan z dumą. – W gości do zacnego jarla Eivinda płynę!

– Bądźże pozdrowiony, Halvdanie synu Ulfa, królu Nidaros! Bramy naszej twierdzy stoją otworem!

– Rad zem, bo naradzić nam się trza! – zaśmiał się chrapliwie Halvdan. – Nowiny krwawe niosę! Władztwo moje spalone! Nidaros zdobyty! Jestem królem bez ziemi, a oto moja cała chudoba! – Wskazał milczącą załogę, stojącą za nim na pokładzie okrętu. – Z jarlem Eivindem rozmawiać mi trza...

– Wyście Eivind, jarl Jomsborga? – padło pytanie zadane huczącym, ciężkim głosem.

Jarl Eivind zacisnął dłoń na poręczu tronu.

– A kogoś spodziewał się na tym tronie zastać, nieznajomy? – Eivind wykrzywił wargi i obrzucił obcego wrogim, wyniosłym spojrzeniem. – Dobrym obyczajom uchybiacie.

– Czym niby? – Przybysz uniósł ciemne, krzaczaste brwi. – Tym, że wprowadziłem okręt do warowni, w róg uprzednio nie zadąwszy? Skoro nikt nas nie okrzyknął, a łańcucha między wieżycami nie rozciągaliście, tedy uznałem, że każdy mile widziany. Prawda to, jarlu?

– Ci, którzy obyczajom i sławie nie uchybiają, zawsze w Jomsborgu mile widziani – parsknął Eivind, marszcząc brwi. – A byle kogo gościć nie będę, więc...

– Juści, nie wypada jarlom gościć byle kogo – przerwał mu bezczelnie obcy. – Co innego posłów władców czy wielkich królów...

Płomienie pochodni zawieszonych wzdłuż ścian poruszyły się gwałtownie, runy wyryte na stojących za tronem słupach zaślniły złotem. Jarl się pochylił.

– Zalibyście posłem jakiegoś króla byli? – Zmarszczył brwi.

– Nie, jarlu. – Obcy z chrzęstem ogniw kolczugi założył ramiona na piersi. – Zwę się Thorkill Smoczy Miecz, a służę tym samym panom co wy.

– Wolny lud Jomsborga nikomu nie służy. – Jarl wbił w obcego nienawistne spojrzenie.

– Czyżby? Mówią o was, że bogom się kłaniacie.

– Juści, bogom ofiary składamy, lecz... – Jarl naraz zmarszczył brwi. – Kim żeś jest, przybłęd, by drwić ze mnie, jarla dumnego bractwa! – Poderwał się i pochwycił miecz, oparty o jeden ze słupów tronowych. – Czego tu chcesz? – wycharczał. – Mów, bo wygnam cię z Jomsborga, kpiarzu, albo każę was wszystkich wysiec i...

– Bogom w ofierze złożyć? – Thorkill ani drgnął. – Nie unoście się. Wždy grozić nie mam zamiaru. Moźniejszych to ode mnie zajęcie. Ja jeno dar wam złożyć chciałem... – Skinął dłonią. Jakiś szczegół zamigotał na ułamek sekundy w świetle nielicznych pochodni, przyciągając wzrok jarla, ale już po chwili Eivind zwrócił uwagę na kogoś z ludzi Thorkilla, stojących dotąd w półmroku komnaty. Ten odwrócił się i pchnął kogoś ku tronowi jarlowemu. Jedwabiste włosy rozsypały się na zdobycznym perskim kobiercu i zaskoczony Eivind ujrzał skąpo odzianą dziewczynę o jasnej skórze. – To Albionka, lecz

trochę mówi naszym językiem. – Thorkill wydawał się zadowolony z siebie. – Lecz kto tam gadać z nią będzie chciał... Spójrzcie, jarlu, skóra gładka niczym atlas, a te piersi... Jako dar ci ją przywiozłem, panie.

– Dar? – wycedził jarl. – Tedy nie wiesz, kpiarzu, że wśród wojów jomsborskich...

– Kobiet nie ma? – pochwycił Thorkill. – Juści, że wiem! Któż by nie słyszał o tym, że jomsborskie bractwo szanuje prawa odwieczne? Każdy wie, że i sławę miłuje, i bogom wierne...

– Dość już tych kpin! Precz! – krzyknął Eivind i porwał za miecz.

Oczy nieznanego naraz zasnęła mgła, a ciemne źrenice zdały się rosnać, aż zalały całe białka. Jednocześnie w komnacie jęła zapadać ciemność – pochodnie gasły jedna po drugiej, z sykiem, niczym duszone nieznaną, zewnętrzną siłą.

– Jestem Thorkill – powiedział cicho nieznanomy. – A pochodzę stamtąd, gdzie mieszkają twoi panowie.

– Jomsborg wolny! My... – zająknął się jarl, łyskając białkami oczu.

– Wolny? – W ciemnościach rozbrzmiały oddalające się kroki przybysza. – Zaiste? Bywaj tedy na uczcie.

– Na jakiej znowu uczcie?

– Nie wyprawiacie uczty dla króla Nidaros?

– Jakiego...

Dalsze słowa przecięła melodyjna, dobiegająca od morza pieśń rogu.

Eirik otulił się skórą. Przez chwilę marzył, że znowu leży na swym ulubionym leżu na dworzyszczu w Nidaros, lecz nie mógł zapomnieć wydarzeń sprzed paru tygodni. Nidaros było daleko, w innym świecie, odległym o setki mil słonych fal targanych bezlitosnymi wichrami. W młodym, szybko bijącym sercu chłopaka wzbierał bezsilny płacz.

– No, a więc postanowiliście jeszcze pożyć, młody panie... – wyszeptał nieznanomy głos.

Zaskoczony Eirik natychmiast zapomniał o sennym marzeniu i otworzył szeroko oczy. W spowitej półmrokiem komnacie siedział przy świecy stary, siwiejący mężczyzna o przeredzonych włosach i dobrotliwym uśmiechu.

– Kim jesteś? – Poderwał się. – Gdzie ja jestem?

– Jesteś w łożu. – Nieznanomy podniósł się z wolna. – A to, kim ja jestem, przestało obchodzić tych zbójów już dawno temu, a zatem czemu miałoby obchodzić ciebie? Nie wstawaj, musisz odpocząć.

– Ja nie jestem zbójem! – oburzył się chłopiec, opadając jednak posłusznie na miękkie siennik. – Jestem Eirik syn Halvdana, dziedzic tronu Nidaros, mam więc prawo...

– Na razie jesteś chorym, wyczerpanym dzieckiem, Eryku – nieznanomy dziwnie wymówił jego imię. Eirik uświadomił sobie naraz, że w głosie tego człowieka pobrzmiwa obcy akcent. Miał mnóstwo pytań, lecz drobna, pomarszczona dłoń mężczyzny spoczęła na jego ustach. Druga ujęła szmatkę, zanurzyła ją w cynowej misie,

wyżęła i zaczęła przemywać rozpalone czoło chłopca. Eirik z ochotą poddał się pieścoci: szmatka była chłodna, a jej dotyk przynosił ulgę. – Jesteś synem owego możnego pana, który przybył o świcie? – zapytał obcy po chwili milczenia.

Złożywszy szmatkę obok misy, zaczął nalewać wody z glinianego dzbanka do kubka.

– Jam ci. – Eirik z wdzięcznością przyjął naczynie i opróżnił je niemal duszkiem. – Mój ojciec jest wielkim konungiem. Wielkim! Rządził sprawiedliwie i szanowano go, jeno wróg w nocy napadł i... – Błękitne oczy chłopca stanęły we łzach, ale starł je gniewnym ruchem piąstki i wykrzyknął z wściekłością: – I nasz hird zaskoczyli! We śnie, psubraty! Wpadli, cięli śpiących, ognistymi strzałami w dachy razili! Zdrajcy!

– Psss... – Dłonie nieznanomego delikatnie, lecz stanowczo położyły chłopca z powrotem na siennik. Eirik oddychał ciężko, a na jego policzki wystąpił niezdrowy rumieniec. – Psss... Ognista dusza w tobie, dziecko, lecz teraz wypoczywać musisz... Wielceś znużon po podróży, a ciało tve wątłe, Eryku. Jeśli chcesz kiedykolwiek z ojcem do Nordwegu powrócić, tedy sił ci zbierać trza, a nie w gniewie je tracić.

– Juści, że chcę do Nordwegu powrócić. – Eirik zaczął spokojniej oddychać. – Nidaros mnie pisany, a ojciec o pomoc jarla waszego prosić będzie, i...

– Opowiedz mi, jak twa kraina wygląda – poprosił go obcy. – Wiele zem słyszał od wojów z Nordwegu, którzy tu ściągnęli, sam nigdym tam nie zawędrował.

– Gór tam mnóstwo... – zaczął niepewnie chłopiec, nie do końca wiedząc, czego się obcy po nim spodziewa. – I puszcze niezmierzone... Lud jesteśmy twardy. Ojciec mówi, że jeno silnych słuchać nam trza, bo inaczej szesznać nam przyjdzie! Ojciec zaś najmocniejszy! – Na ułamek sekundy łyzy błysnęły w oczach dziecka, a piąstki zacisnęły się w gniewie. – Zimy ci u nas surowe, a latem wojowie na smoczach łodziach wypływają! Sławy i bogactw szukają! Za dwa lata sam mam z nimi wypłynąć, bo ojciec mówi, że ciało mam miękkie, ale ducha żelaznego! – oznajmił z dumą.

– Od razuś mi się charakternikiem wydał, Eryku. – Nieznajomy pogładził rączki dziecka. – A kto mieszka w twoich okolicach?

– Ludzie tacy jak ja! – Chłopiec spojrzał na obcego. – Bywa jednak, że karły widujemy. Żelazo najprzedniejsze sprzedają, lecz złośliwe, a nieużyte być potrafią, bo myśli ludzkie czytają. Widujemy trolle żarłoczne, huldry, elfy, nixy podstępne... Nawet bogowie nie zawsze mogą nas uchronić.

– Bogowie, rzekłeś. – Obcy pokiwał głową w udawanej zadumie. – Czyli pielgrzymi, co słowa nowego Boga głoszą, jeszcze do was nie dotarli?

– Kto taki? – zdumiał się chłopiec. – Ach, tak! Ha, ha, ha, tak! Byli. Ojciec przyjął kilku takich. Mówili i mówili, jeno nikt nie pojmował, co gadają, tedy ojciec przegnał ich precz. Stary Bragi mówi, że to głupcy, bo miłować wrogów każą i przebaczać winy. A jak mam...

– To nie takie proste, Eryku. – Nieznajomy się zadumał. – Wiem to dobrze, bo sam ongiś takim pielgrzymem byłem.

– Ty?

– Ano ja... – Uśmiechnął się. – Kapłanem tej wiary jestem, choć wiele lat minęło, odkąd z kimś ze swej wiary rozmawiać mogłem. Dziesięć zim będzie, jak mnie w niewolę jomsborczycy w Albionie pojęli, a nie ubili ino dlatego, że rany leczyć umiem.

– I prawda to, że wszystkich miłujecie, a broni nie dobywacie?

– Świat to okrutne miejsce, Eryku, i nie pożyje długo ten, kto bronić się nie umie. –

Nieznajomy się zamyślił. – A my uczymy siebie i innych, by dobro i miłość pokazywali, a karali jeno tych, co na trudy nasze plwają. Zresztą, spędziłem tyle lat wśród tych brodatych wilków, że na wskroś ich obyczajami przesiąknęłam.

– To dobrze – stwierdził chłopiec poważnym tonem. – Tu na Północy nasi bogowie rządzą, a do gniewu oni skłonni! A jak zwą cię, dobry człowieku?

– Jak mnie zwą? – Stary człowiek ocknął się z zamyślenia. – Zwą mnie Hieronimem.

– Hieronim? Dziwaczne imię.

– Lecz powszechne w Albionie. Tam, skąd pochodzę...

– Słyszał żem o Albionie. Wiem, że... Co to za zgiełk? – Hieronim poderwał się z zydła i podszedł do niewielkiego okienka osłoniętego rybią błoną. Przez grube ściany dworzyszczą przebijały zniekształcone wiwaty i chóralne śpiewy, które po chwili zastąpił zgodny grzechot mieczy o tarcze. – Zda się, że to jarl Eivind ojca twego ucztą podejmuje. Za kilka godzin się okaże, czy na czele jomsborczyków wnet na Północ popłyniecie.

III

– Niech szczęście nigdy nie opuszcza wolnego bractwa z Jomsborga! – oznajmił dostojnie jarl Eivind, powstając i unosząc róg pełen miodu w stronę milczących, zebranych w halli wojowników. Światła pochodni ślizgały się po złotej nitce obramowującej jego szarą szatę. Niespotykanej piękności złoty naszyjnik, zdobiony trzema wielkimi szmaragdami, rozsiewał wokół zielonkawy blask – *Skál!*¹

– *Skál!* Niech bogowie was zawsze ku zwycięstwu prowadzą! – dorzucił Halvdan, również powstając z pełnym rogiem i kłaniając się jarlowi. Na ucztę ubrał się w kaftan nabijany złotymi ćwiekami, a na szyi zawiesił srebrny łańcuch, odwieczny symbol władców Nidaros.

Nim jomsborski jarl zdołał odpowiedzieć na toast konunga nordweskiego, w halli wybuchnął ogromny zgiełk. Zasiadający wzdłuż trzech szerokich ław wojowie poderwali się, wykrzykując wiwaty na cześć obu słynnych wodzów, a wznoszone w górę srebrne rogi i puchary siały garściami kropel. W sercach biesiadników grała dzika nadzieja, że wizyta tak możnego i sławnego gościa jak nordweski konung oznacza rychłą wprawę, a z nią łupy i nową sławę.

– *Skál!* – krzyczeli, rumiani na twarzach i z roziskrzonymi oczyma. Wtórowały im entuzjastyczne ryki reszty braci jomsborskich, którzy wytoczyli sobie beczkę piwa na dziedziniec i rozpalili kilka ognisk, nad którymi piekły się już prosięta. – *Skál!* Szczęście dla was, jarlu! I dla was, konungu! Jomsborg was pozdrawia! *Skál!*

– Cichajcie! – Jarl Eivind uniósł otwarte dłonie, a blask pochodni zatańczył na jego złotych pierścieniach. – Niech Odyn ześle na nas swą łaskę i sprawi, by dzisiejszej nocy wielkie słowa zostały tu wypowiedziane i wielkie czyny ogłoszone!

– Bądźże pozdrowion, asgardzki konungu! – Halvdan poderwał się z pełnym rogiem. Jego oczy błyszczały, jakby w tradycyjnym toaście dopatrzył się już obietnic.

Tu i ówdzie wzniesiono rogi z kolejnymi toastami, wykrzyczano kilka nowych wiwatów, któryś z wikingów uderzył pięścią o stół, lecz rodząca się wrzawa ucichła w jednej chwili, gdy tylko poruszył się wysoki, dostojnie odziany starzec o niewidzących oczach siedzący po lewicy jarla.

*O bitwie szeptają stalowe języki,
Niespokojne ogary krwi,
Kłaniają się sobie sztandary legendy,
Złote rogi do siebie piją.*

– wypowiedział dźwięcznym, donośnym głosem, a ci sami wikingowie, którzy jeszcze przed chwilą wydzierali się bez opamiętania, kiwali teraz z powagą głowami, rozpatrując usłyszane słowa. Był to Trygve zwany Wiecznym, skald od wielu lat służący jarłom jomsborskim radami, zawsze ubranymi w kunsztowne rymy. Choć po świecie Północy wędrowało wielu innych skaldów, zuchwałych i słynących z bogatszego kunsztu poetyckiego, żaden z nich nie poważył się zlekceważyć Trygvego bądź rzucić mu

wyzwania. O Wiecznym mówiono bowiem, że co prawda nie umie dostrzec tego, co znajduje się wokół niego, lecz za to widzi to, co się wydarzy niebawem. Nikt nie ośmielał się podawać w wątpliwość jego słów czy wróżb. Nikt nie pomniejszał jego sławy.

Nikt.

*Krew chce pić morski gość,
Lecz ogar kość gryźć woli,
Pod ramię kark nadstawia,
Panów swych zapomniał*

– powiedział Thorkill, patrząc z zadumą w powagę.

Uniesienie wśród uczujących zgasło niczym pochodnia zanurzona w cebrze wody. Wśród ciężkiej ciszy, zakłócanej jedynie stłumionymi wrzaskami biesiadujących na dziedzińcu, wikingowie jeden po drugim zwracali wzrok w kierunku śmiałka, a w ich spojrzeniach kryło się bezbrzeżne zgorzenie. Ten i ów sapał już z gniewu, ale pierwszym, który zrozumiał sens czający się w rymach Thorkilla, był Halvdan z Nidaros.

– Tyyy... – wyrzeźił, a jego oblicze nabiegło krwią. – Na moc Thora, jarlu Eivindzie! Kimże jest ten pyszałek? Nie wiem, do kogo się zwrócić, ale obraźliwe są to słowa i...

– Skoro na uczcie mej siedzi, tedy gościem jest, Halvdanie! – huknął Eivind, wściekle łypiąc na Thorkilla. – Znany mi to człek, kpiarz zuchwały i kłamca podły, Lokiego wcielenie. Nie zapraszałem go jednak na ucztę! Rzekłem ci z rana, Thorkillu, byś warownieją mą opuścił! Okręt twój zniknął, lecz ty...

– Znam waszą sławę i szanuję ją, jarlu – powiedział poważnym głosem Thorkill. – Tym bardziej boli mnie, że słowa me za kłamstwo bierzecie.

– A czym są słowa twe, jeśli nie kłamstwem? – Eivind zazgrzytał zębami. – Zadrwiłeś z Trygvego, szaleńcze, a mnie, jarlowi Jomsborga...

– Dar wam przyniosłem, panie. – Thorkill powstał. Eivind zamrugał oczyma, naraz wydało mu się, że w halli stało się ciemniej. Kątem oka dostrzegł, że Halvdan i kilku najmożniejszych wojów również rozejrzało się niepewne. – Równie piękny co ostatnio! Prawdę.

– Jaką prawdę? – wycharczał oszołomiony Eivind.

– Nie słuchaliście moich słów, panie? – udał zdumienie Thorkill, po czym zarzucił płaszcz na ramię i odwróciwszy się na pięcie, ruszył ku wyjściu z halli.

– Bjarni! – wycharczał jarl w stronę brodatego woja, który podczas bitwy chronił jego plecy. – Idź za nim...

Pochodnie zapłonęły żywiej. Eivind chciał dorzucić jeszcze jeden rozkaz, ale to, co zobaczył, niespodziewanie odebrało mu mowę. Furkoczące poły płaszcza Thorkilla odsłoniły bowiem coś, w co dumny jarl uwierzyć nie chciał.

Ognisko huczało wesoło, a tłusty Vigo z wprawą obracał rożen z prosiakiem. Rumiani wojowie rechotali ochryple i co rusz unosili do ust drewniane kruże pełne piwa, by po

chwili znów ryknąć śmiechem. Dwóch obodryckich osiłków z zapalem siłowało się na rękę, zgromadziwszy wokół siebie dodających im otuchy towarzyszy. Nieopodal kilku swijskich wojów wytaczało beczkę, chórem rycząc jakąś pieśń o nadobnych dziewczynach z Olandii. Gwiazdy migotały wesoło nad ich głowami – rozhlukany Jomsborg witał nadzieję na kolejną wyprawę.

W mętym już cokolwiek spojrzeniu Edgara zatańczyła iskierka ożywienia, gdy na piak koło niego opadł Rune i wręczył mu kolejny dzban. Siedzący obok Urre beknął przeciągle i zwałił się na ziemię. Edgar chwycił podany dzban i rzucił się ratować ten, z którym padł Urre.

– Szanować trza piwo! – pouczył bełkotliwym głosem. – Kiedy kropelką człek wzgardzi, Thor zbyt pysznym go uzna i...

– I co? – Rune czknął.

– I w łeb takiemu synowi jak nie przyp... – Edgar również czknął. – A ja walnę jako drugi! Ino żem pewien, że Thorowi szkoda byłoby Mjollnira w taki pusty ceber jak twój, Rune, ciskać.

– O czym gadasz? – Vigo obrócił prosiaka po raz wtóry.

– O grzmoceniu pięściami w puste cebry. Napijże się, kocia mordo, może ci co pomysłu przybędzie...

– Nasi wodzowie tam radzą gromko, aż się chałupa trzęsie! – zawołał Rune, nie słuchając wywodów Edgara. – Ech, ciekawym, co tam uradzą... Ej, Edgar, wy człek bywały. Uradzą coś? Pojedziemy na wojnę?

– Ech, daliby bogowie! – Edgar westchnął i czknął. – Zgnić nam rychło tu przyjdzie, jak w świat nie pojedziem!

– Niech im tedy miód dobrze leży! A może byście jaką baję opowiedzieli, co, Edgar? Może o bogach naszych coś... – sapnął Vigo i z błogością odkroił kawałek przyrumienionego, kapiącego od tłuszczu mięsiwa. – Hej, bracia! Prosiak gotów, a Edgar bajać będzie! Bywajta tutaj!

Po chwili wokół ogniska zgromadziło się kilkunastu brodatych wojów, a troskliwy Vigo nałożył każdemu porcję dymiącego jada na drewnianą miszkę.

– Ja lubię o Yggdrasilu słuchać – westchnął Rune, z lubością wgryzając się w przypieczone mięso.

– Bo sam masz pewno dziuplę zamiast rozumu – mruknął Edgar, ale chętnie podjął temat. – Dobra, tedy opowiem wam historię o Yggdrasilu. Wiecie pewno, że nie jest to zwykły jesion, co go na szczapy porąbać można. Jego imię znaczy przecie Jesion Świata i jako słup taki świat nasz trzyma. Korzenie jego głębi ziemi sięgają, a gałęzie, masywne a szerokie niebo wspierają...

– A kiej go odnaleźć można? – rozmarzył się Vigo.

– A czego miałby taki chomąt jak ty tam szukać? – ofuknął go Edgar. – Juści, że pewno pośrodku Midgardu rośnie, bo gdyby gdzieś na brzegu stał, to by pewno się niebo załamało. Jeno nikt ze śmiertelnych drogi do niego nie odnalazł, a może i dobrze, bo w korzeniach i konarach paskudztwa wszelakie się kryją.

– Niddhogg – powiedział czyjś głos.

– Juści, Niddhogg na ten przykład – przytaknął Edgar. – Z bestyj owych

najpaskudniejsza, smok najprawdziwszy. Onże skubaniec łuskowany ino gryzieniem młodych gałązek się zajmuje, a wiecie dobrze, że jak bydlaki drzewo podgryzą, to uschnie. Kiedy Niddhogg w potęgę urośnie, zeżre wszystko, co żywe, i zawali się świat...

– A widzieliście kiedyś prawdziwego smoka, Edgarze? – zapytał Rune.

– Eee tam, ponoć wszystkie przez bohaterów z dawnych czasów wybite. – Edgar się skrzywił. – Nic dla nas nie zostało. Powiem wam inną historię: otóż dawno temu, kiedym z Leifem synem Eirika do Vinlandii płynął...

Chłopiec oddychał szybko, co rusz zerkając na siedzącego przy okienku Hieronima. W migotliwym ogniu kaganka twarz opiekuna raz wydawała się dobrotliwa i spokojna, raz drapieżna i ściągnięta w dzikim grymasie. Eirik naciągnął wysoko skórę niedźwiedzia i leżał nieruchomo, starając rozróżnić cokolwiek ze zgiełku dobiegającego z dziedzińca jomsborskiego.

– Kiej wilki. – Hieronim uśmiechnął się ponuro.

– Coście powiedzieli? – zaciekawiał się chłopiec.

– Nic takiego, Eryku. – Kapłan wzruszył ramionami. – Słucham tych pieśni z dziedzińca i na myśli mi wilcy przychodzą. Krew rychłą czują i w pieśni podnieceniem się dzielą... Są wilki w twojej krainie?

– Pewno! – prychnął chłopiec. – Ogromne i szare! Człeka się boją, lecz gdy głód je przydusi...

– Straszna to kraina tedy!

– Lecz piękna. – Chłopiec usiadł, zrzucając skóry. – Mój ojciec będzie o nią walczyć i ja z nim! Ja też!

– Dobrze już, dobrze. – Nieznajomy tajemniczo uśmiechnął się, naciągając skórę na chude ramionka chłopca. – Coś mi mówi, że...

Eirik nie usłyszał jego słów – ucztujące na dziedzińcu bractwo zakrzyknęło naraz zgodnym chórem pozdrowienia dla nordweskiego konunga i jęło wybijać rytm ostrzami toporów na tarczach. W powietrzu znów zadrgała niespokojna, drapieżna pieśń, wzmocniona złowieszczym przyśpiewem morskiego wiatru.

– Wilcy szykują się na łów, Eryku. – Hieronim się uśmiechnął. – Wiedzą o propozycji, jaką twój ojciec chce złożyć Eivindowi. Czują krew...

Naraz zastygł w bezruchu, jakby usłyszał coś nowego, niesłyszalnego dla Eirika.

– Co takiego? – dopytywał się chłopiec, lecz jego opiekun położył jedynie palec na ustach, bo w zgiełku ucztury pojawił się nowy odgłos, który niespodziewanie wybił się ponad cichnące pokrzykiwania wikingów. W nocną pustkę popłynęła pieśń, smętna, pełna magii, śpiewana mocnym głosem kobiecym w nieznanym mowie...

– Toż to mowa Albionu! – zdumiał się Hieronim. – Ale śpiewana przez kobietę? Tu, na Jomsborgu? Kobieta? Albiońska kobieta?

– Kobieta? – Zdziwiony chłopiec przypomniał sobie słowa ojca. – Hieronimie, co to znaczy?

– Jeszcze nie wiem – odparł były mnich. Wydawał się zaniepokojony.

– Prawcie dalej o Niddhoggu! – powiedział nieznany głos.

Edgar zmarszczył brwi.

– Po co o paskudzie Yggdrasilowej gadać – burknął. – O dzielnych bohaterach lepiej bając, wždy wielka to noc... Który z was, bracia, tak się ową gadziną przejmuje?

– Ja – padła odpowiedź.

Oczy wszystkich skierowały się na wysokiego człowieka o ciemnych, prawie czarnych włosach i oczach podobnego koloru. Siedział ze spokojem wśród Jomsborczyków, patrząc za Edgara z przekrzywioną głową.

– Nie pomnę cię – warknął Edgar. – A pamięć u mnie dobra...

– Bom ja nie z bractwa – odpowiedział nieznajomy. – Dziś z rana przybyłem, a zwał mnie Thorkill. A paskuda owa, jak ją zwiecie, zaiste ciekawi mnie wielce. Mądrym się wydajecie, Edgarze, tedy rzeknijcie: przyda się taki Niddhogg komuś na coś?

– Jakże to! – Edgar zachłysnął się grzanym piwem.

– Czy Yggdrasil rósłby zdrowo, gdyby nie Niddhogg? Smok zre nie tylko zdrowe pędy, lecz także chore, a jeśli zdrowy wpadnie mu do pyska, tedy drzewo nowy puszcza! – oznajmił Thorkill. – A wasz jarl, bracia? Dobry to pęd? Mocny? A może słaby i chory?

– Jarl Eivind słucha dobrej rady! – powiedział Odobryta Radbor. – Dobry to jarl! Dzielny!

– Demonów się nie boi! Sztormom się nie kłania!

– Dobry jarl!

– A czy prawo szanuje?

– Szanuje! Dobry jarl! Do Nordwegu nas poprowadzi! Na wyprawę! Eivind! Eivind!

Krew wystąpiła na zarośnięte policzki wojowników, a w ich oczach zatańczył szalony blask. Naraz w ich dłoniach pojawiły się miecze oraz tarcze i wśród ognisk, beczek z piwem i rumianych pieczeni przewalił się łoskot drapieżnej melodii. Porwani dzikim uniesieniem wikingowie skandowali imię jarla, wzmacniając każde słowo uderzeniem płazem miecza lub topora o tarcze. Thorkill śmiał się i klaskał w dłoń.

– Ejże! – Topór Radbora znieruchomiał w odległości dłoni od tarczy. – Słyszycie? Ktoś śpiewa! Kobieta!

Śmiech Thorkilla przeszedł w cyniczny uśmiech.

– Zwólcie tedy, bracia – Eivind uniósł w górę dłoń ciężką od pierścieni – by gość mój, a wasz druh, sławny Halvdan syn Ulfa, zwany Łamaczem Oszczepów, konung wielkiego grodu Nidaros, historię swą opowiedział!

– Sława wam, królu! – poniosło się wzdłuż ław, a zaciekawione, nierzadko już zamglone spojrzenia zawisły na wysokiej postaci powstającego Nordwega. Ujrzeli silną,

zahartowaną sylwetkę, a to, co początkowo brali za zmarszczki starości, naraz okazało się jedynie wyrytą na twarzy pamiątką wielu długich wędrówek morskich.

„Charakternik” – pomyślał niejeden.

Nierzadko widywano tu takie oblicza – wyniosłe, poznaczone wrogimi ostrzami i kute zimnym wiatrem. Do Jomsborga ściągało wielu znieważonych monarchów czy pragnących pomsty wodzów, by szukać pomocy u jarla najślynniejszego w całym Midgardzie bractwa wojowników. Bractwo Jomsborga świadome zaś było swej sławy i decydowało się na udział jedynie w najzuchwalszych wyprawach, które największą sławę przynieść mogły. Z tym większym zaciekawieniem wikingowie zamilkli, oczekując na słowa przybysza.

Ten skłonił się jarlowi, oblizał suche wargi i przemówił:

– Eivindzie, jarlu jomsborskiej drużyny, zwycięzco spod Białej Wyspy, posłuchaj! – zaczął mocnym, dudniącym głosem. – I wy, jomsborscy bracia, niezłomni w przysięgach, nieustrudzeni w żegludze, nieustraszeni wobec wrogów i niezachwiani w przyjaźni, również słuchajcie! Jam jest Halvdan syn Ulfa, zwany Łamaczem Oszczepów, konung Nidaros! O mojej krzywdzie opowiedzieć wam chcę i wasze klingi chcę ujrzeć, jak wyrwane z pochew pod nordweskim słońcem błyszczą!

„Chce porwać ich serca – pomyślał Eivind, gładząc wielką rudą brodę. – Pyszałek, ale niech gada... Drużyna rychło o tym psie Thorkillu zapomni. Bjarni coś nie wraca...”.

Zerknął przy tym na Trygvego, który z bladą twarzą siedział nieruchomo przy ławie, nie tknąwszy ani jedzenia, ani picia. Jarl jomsborski zasepił się na nowo, niemalże tracąc kolejne słowa nordweskiego konunga.

Ten zaś z rogiem napełnionym gęstym miodem wstąpił na ławę i stamtąd przemawiał do jomsborskich wikingów, a jego dumne, donośne słowa niczym orły wzbijały się pod mroczną powałą.

– Słuchajcie mnie, synowie morza! Znacie mą sławę?

– Znamy! – odpowiedział mu niski pomruk, kilka rogów skoczyło ku górze w toaście, a liczne pary oczu zabłysnęły podnieceniem.

– Wiecie tedy, żem straszny dla wrogów, a hojny dla przyjaciół?

– Wiemy! – W ławy uderzyły ciężkie pięści, zazgrzytały zęby.

– Słyszeliście tedy, że straszny mój topór i męstwo niezłomne!

– Słyszeli!

– Znam was, *Jomsvikings*²! – powiedział donośnym głosem Thorkill. Gorejące za nim ognisko otoczyło jego wysoką, smukłą sylwetkę migotliwą aureolą i zamieniło twarz w płataninę ciemnych plam. – Znam was, bo któżby sławy waszej nie znał! Jesteście bractwem dumnym i wolnym!

– Kim żeś jest? – Z kręgu znieruchomiałych, patrzących groźnie wikingów wyszedł śnieżnobrody Vigulf, jeden z najślynniejszych i najbardziej szanowanych wojowników bractwa. – Mowę masz wodza, niemniej nikt cię nie zna.... Tyś przybył o świcie na

czarnym drakkarze?

– Jam ci. – Thorkill zwrócił ku niemu roziskrzony wzrok. – Jenó nie zwolił mi jarl wasz pozostać. Odpłynąć mi kazał, bo kilka słów prawdy go uraziło.

– Tu żeś, zuchwalcze! – Bjarni bezceremonialnie odsunął Vigulfa, który otwierał usta do kolejnego pytania. – Precz z twierdzy! Won, przybłędo! Jak za szmaty uchwycę i z murów do wody ciepnę... Jarl...

Szedł na Thorkilla, głowę zwiesiwszy nisko jak byk gotujący się do szarży. Palce potężnych dłoni unosiły się ku górze, gotowe zacisnąć się na gardle Thorkilla.

– Jarl was sprzedał. – Przekrzywił głowę Thorkill, śmiało patrząc w oczy rozjuszonemu berserkowi.

– Łzesz! – wycharczał wściekły Bjarni.

– Pomnicie orszak owego Niemca, co od księcia Bolka posłował? – Ton głosu cofającego się Thorkilla naraz stał się wyższy. – Co niby przez przypadek przez trzy dni u jarla gościł?

– Nędzna zmijo...

– Daj mu dokończyć. – Palce żelaznej dłoni Vigulfa zacisnęły się na ramieniu Bjarniego.

– A nynie co? – spytał Eirik.

Hieronim nie wiedział, czy błyszczące w ciemnościach oczy chłopca odbijają gorączkę czy może niezdrowe podniecenie.

– Ledwie co widać... – wyszeptał. – Zda mi się, że ktoś przemawia przy jednym z ognisk, a wikingowie słuchają. Krzyczą w odpowiedzi na jego słowa. Widzę mnóstwo pochodni...

– A w halli? – szeptał chłopiec. – Ojciec...

– Cichaj... Nie rozumiem ani słowa, ale zda się... Tak, chyba jeden głos przewodzi... Mocny głos...

Przez szparę w okiennicy widział mrowie drgających ogników pochodni, a wicher od morza przynosił jedynie strzępy odgłosów. Mnich czuł jednak, że powietrze nie drży już od dzikiej, drapieżnej radości, a okrzyki nie mają nic ze złowieszczonego tryumfu szykujących się do rozprawy wojów. Pieśń albiońskiej kobiety już ucichła, lecz miał wrażenie, że w nocnym powietrzu wciąż wibruje jej wspomnienie, podrażniając zmysły morskich wilków.

Naraz rozległ się potężny wrzask i mrowie ogników popęzło w jednym kierunku.

– Idą gdzieś... – szepnęła zafascynowany Hieronim. – Eryku, oni...

W ułamku sekundy jakiś czarny kształt wypełnił szparę, przez którą wyglądał mnich. Rozległ się suchy trzask okiennicy i wystraszony Hieronim odskoczył, padając na ziemię. Na zewnątrz słyszeli oddalające się, szydliwe krakanie.

– ...niechaj zatem mój topór bojowy, przez dziada mego na karłach zdobyty, a Oraczem zwany, pokłoni się najbitniejszemu z bitnych, dumnemu bractwu Jomsborga! – krzyczał purpurowy na policzkach Halvdan, stojąc na ławie wśród porzucanych naczyń i wysoko nad głową trzymając długi bojowy topór. Ryte w stali runy karłów połyskiwały złowieszczo w drgającym blasku pochodni.

Wielki i straszny zdawał się wygnany konung nordweski. Oczarowani jego opowieścią towarzysze bojów jarla Eivinda tkwili nieruchomo i przez chwilę jedynym słyszalnym odgłosem, poza hukiem płomieni i trzaskaniem kości w szczękach uczujących pod ławami psów, były przytłumione, zniekształcone okrzyki wikingów na dziedzińcu. Halvdan dyszał ciężko, tocząc wokół przekrwionym spojrzeniem, by niespodziewanie zgrabnym susem zeskoczyć na polepę i przypaść do ziemi u stóp jarla.

Widok straszliwego konunga korzącego się u stóp kogoś innego, choćby i słynnego jomsborskiego przywódcy, targnął sercami przybocznych Eivinda.

– Sława! – poderwał się któryś z nich.

– Sława! – huknęli inni. Hallę wypełnił rumor odtrącanych ław i ryk ochrypłych, rozochoconych głosów, przepelnionych miłością dla wielkiego wojownika. Jarl Eivind powstał z godnością i podniósłszy Halvdana z ziemi, posadził go po swej prawicy.

– Wielkie są słowa nidaroskiego władcy! – oznajmił donośnym głosem. – Wielkie jego czyny i wielkie obietnice! Wiecie jednak, bracia, jakie zasady rządzą wolną twierdzą morskich wojów! Żyjemy bez kobiet, walczymy dla sławy, pływamy bez strachu, a kłaniamy się tylko bogom! Tylko bogów słuchamy! Trygve, zwany Wiecznym! – Z łopotem płaszcza odwrócił się w stronę ślepego skalda. – Tyś skaldem i wróżbitą, a choć bogowie wzrok ci odjęli, pozwolili w przyszłość spoglądać. Powiedz nam tedy, czy szczęśliwa wyprawa do Nordwegu będzie? Czy zdobędziemy sławę, a ci, którzy padną, zostaną zabrani do Valhalli?

Trygve ani drgnął. Na jego pustej, trupio bladej twarzy nie pojawił się najdrobniejszy nawet grymas.

– Trygve, wzywam cię! Rzuć runy i powiedz, co znaczą! Czy szczęście pisane bractwu z Jomsborga?

Skald dalej siedział nieruchomo. Wojownicy w halli przyglądali się mu z niezdrową fascynacją.

– Trygve... – Naraz straszliwe podejrzenie targnęło sercem jarla.

Eivind zrobił krok naprzód, lecz nagle siedzący po lewicy skalda przyboczny poderwał się, zapewne uświadomiwszy sobie to samo co jarl. Zaszurała odsunięta gwałtownie ława i naraz wysoka, tykowata postać skalda odchyliła się, lecz osobiwe sztywno. Trygve padł do tyłu.

– Pomarł... – jęknął któryś z przybocznych.

Zaskoczenie odebrało mowę wszystkim.

Niespodziewanie wrota do halli eksplodowały z ogłaszającym hukiem. Ze szczękiem oręza do wnętrza halli rzucił się tłum wojowników i znieruchomiał w najeżonym ostrzami półkolu wokół jarla. Twarze ich były rumiane od piwa i gniewu, a oczy błyszczały dziko. Oddychali szybko – wokół wykrzywionych z wściekłością ust wykwiwały chmurki pary.

– Zalibyście rozum postradali, bracia? – Oszołomiony jarl zmarszczył gniewnie brwi, ale tracił pewność siebie, gdyż wikingowie patrzyli na niego z mściwością i wściekłością, której nigdy by się nie spodziewał. Blask nielicznych pochodni ślizgał się po ostrzach nagich mieczy. – Co za demon pomieszał wam zmysły? – Spróbował ostrzej, przełknąwszy ślinę. – Co się dzieje, na moc Odyna! Wždy wyście morskie bractwo, a jam wasz jarl!

– Juści, żeśmy morskie bractwo! – warknął Odobryta Radbor. – A tyś nasz jarl! Wspólne nasze prawo, a tyś je złamał!

– Jakże to?

– Żyjemy bez kobiet, walczymy dla sławy, pływamy bez strachu, a kłaniamy się tylko bogom! – warknął inny, łyсы, zwalisty Toke z długim oszczepem i krwią w oczach. – Takie nasze prawo, odkąd jarl Palnatoke Jomsborg wybudował. Nie będziem tedy szanować jarla, który je hańbi!

– Bracia, przecież prawa naszego nie złamał! – Zdumienie Eivinda nie miało granic.

– Na włócznie Odyna i święty pierścień przysięgacie? – wysyczał Radbor.

– Na włócznie Odyna i święty pierścień...

– Dawajcie białkę...

Naraz krąg wojów rozstał się i pchnięta krzepkim ramieniem niewiasta wylądowała na polepie u stóp jarla. Eivind znów zrobił krok w tył – rozpoznał miodoworude włosy rozsypujące się na plecach, zgrzebną zieloną szatę i puste, brązowe oczy. Niewiasta pijanym gestem uniosła głowę, by spojrzeć na jarla, po czym nabrała tchu w piersi i naraz w chłodnym powietrzu znów zawibrowała pieśń bez słów.

Silny kopniak Radbora wybił jej powietrze z płuc.

Albionka przewróciła się i znieruchomiła.

Eivind poczuł, że traci resztki spokoju. Rozejrzał się wokół, próbując odszukać drwiącą twarz Thorkilla.

– W waszych komnatach żeśmy ją odnaleźli! – krzyknął stary Vigulf, wsparty gniewnym pomrukiem reszty Jomsborczyków. Ci, którzy jeszcze przed chwilą ucztowali w halli, stali teraz zdezorientowani, łypiąc to na Eivinda, to na przywódców nieoczekiwanego buntu.

– Głupia kiej koza, ale jedno, co wyrzec umie, to, iże darem dla was jest! – dodał Toke.

– Wždy to bzdura wierutna! – ryknął jarl. Czuł pulsowanie gorąca na policzkach i rosnącą wściekłość. – Jak ona dostała się do mych komnat! Juści, przyznaję! W darze mi ją ten wściekły pies Thorkill złożył, ten...

– Dar to zatem, jarlu? – zaśmiał się śnieżnobrody Vigulf. – Dar, który wbrew prawu...

– Milcz, Vigulf! Tacyście mi bracia? Za jedną dziewczkę podstępem podrzuconą mieczy przeciw mnie dobywacie?

– Furda dziewczka – wysyczał Radbor, kręcąc kudłatą głową. Nie patrzył jarlowi w oczy. – Wiemy o wszystkim, jarlu.

– O czym ty znowu...

– Wiemy, po co niemiecki poseł do warowni przyjechał – mówiący cicho Radbor nadal nie podnosił wzroku. – Wiemy wszystko. Wiemy, żeś, jarlu, nową wiarę przyjął

obiecał. Wiemy też, co to oznacza, na służbę polańskiego księcia nas oddałeś.

– Złamałeś prawo – warknął zapalczywy, jednooki Toke.

Cisza, która zaległa w starej morskiej warowni, była obojętnia – słychać było plusk fal obmywających na zewnątrz wały jomsborskie. Eivind stał trupio blady. Znikąd nadbiegł wiatr bałtycki, wydymając płaszcz jarlowski i szarpiąc ocalałe pochodnie.

– Poszaleliście... – głos Eivinda przeszedł w charkotliwy szept. – Kto wam we łbach namieszał, bracia... Ów Niemiec jeno gościem mi był... Gościem od księcia... Przejazdem...

– Zaczny naszymi ów gość przejazdem wam wręczył. – Niespodziewanie dla jarla ostatnie słowo padło z ust Bjarniego.

– A we łbach to ty namieszałeś – odezwał się głos za plecami jarla. – Mówiłem ci, ostrzegałem, lecz na próżno. Rację miałem, jarlowie jomsborscy nie umieją rozmawiać z krukami.

Eivind odwrócił się błyskawicznie, lecz z tyłu nie było tego, kogo spodziewał się ujrzeć. Jego wzrok przemknął po ścianie z ciężkich sosnowych bali i niespodziewanie odnalazł olbrzymiego, czarnego kruka siedzącego na słupie tronowym. Przymrużone złośliwie wielkie oko patrzyło prosto na zmartwiałego jarla.

– Kto... Kto to mówi? – Eivind porwał za rękojeść wielkiego, runicznego miecza. – Co to za czary?

– Czary? – Z lekko rozchylonego dzioba kruka wydobyły się chrapliwe dźwięki ludzkiej mowy. – Posłanica bogów za czary bierzesz?

– K... kim jesteś? – Ciężka od pierścieni dłoń jarla zsunęła się bezsilnie z rękojeści miecza.

– Przychodzę, by głosić prawdę. – Ptak zaśmiał się z kpiną.

Jego śmiech był przerażająco lodowaty, a jednocześnie wokół słupów tronowych poczęła gęstnieć ciemność. Kontury śmiejącego się kruka były coraz mniej wyraźne, aż utonęły w rozlewającym się wokół mroku.

– Po... poznaję twe słowa – naraz zachłysnął się jarl. – Wiem, kim jesteś! To ty...

– Przychodzę, by głosić prawdę. – Thorkill, wyniosły, z twarzą wykrzywioną grymasem dumy, wyszedł z mroku. Zakrywał go czarny płaszcz, pod którym rysował się obrys miecza.

– To ty... – w spojrzeniu Eivinda zatańczył ogień – to ty podrzuciłeś białkę do moich komnat! Twe słowa zabrały Trygvemu ducha! Ty podburzyłeś moich ludzi! Na Thora, zarżnę cię jak...

– Bracia jomsborscy! – zakrzyczał Thorkill. – Czy słyszycie słowa waszego jarla? Obcym bogom Jomsborg sprzedałeś, a na Thora się klniesz, kłamco?

Tłum niebezpiecznie zafalował.

– Milcz... – Głos Eivinda się załamał.

– Jedno prawo wasze! – krzyczał Thorkill, a jego oczy się śmiały. – Żyjecie bez kobiet, a jarl wasz niewolnice po komnatach chowa! Kłaniacie się bogom, a wasz jarl kruka Odyna za gusła wziął! Przed bogiem Niemców i Polaków kłaniać się chce!

– Znam cię! – huknął niespodziewanie nowy głos. – Błędnie, parszywcze! Tyś nie Odyna poseł! Słyszałem ja o tobie wiele...

Halvdan szedł ku Thorkillowi, a ciężki topór zakreślał w jego wprawnych dłoniach złowieszcze kręgi. Jęczało rozcinane powietrze, a w oczach wygnanego króla czaiła się żądza mordy.

– Słyszałem raz opowieść o czarnym drakkarze, co płynie szybko jak myśl – syczał przez zaciśnięte zęby, idąc w stronę Thorkilla. – Słyszałem o tym, że w osadzie, do której zawija, nim świt nastanie, brat bratu do gardła skoczy! Nie bogom służysz, a ciemnościom. Nikt nie będzie wymyślał jarlowi Jomsborga od zdrajców, ty smocze nasienie, póki ja tego słucham!

Naraz mięśnie Halvdana napęczniały, a topór zawył w powietrzu, z ogromną prędkością mknąc ku sylwetce Thorkilla. Eivind odskoczył – zdawało się, że zadany z furją cios przetnie przybysza na pół. Ten przemknął jednak zręcznie pod roztańczonym toporzyskiem i ciężkie ostrze przeszło powietrze.

– Ha! – krzyknął, odrzucając połę płaszcza i porywając za miecz. – Głupcze!

– Nikt nie nazywa głupcem konunga Nidaros! – zaryczał Halvdan, unosząc topór i przypuszczając kolejny, błyskawiczny atak.

– A nie jest głupcem ten, kto szuka przyjaciół wśród zdrajców! – Thorkill uchylił się przed kolejnym szerokim cięciem.

– Ty żeś zdrajcą! – po nabrzmiałej twarzy nordweskiego króla ściekał pot. – Tyś sam, smocze nasienie! Podburzasz wolne bractwo Jomsborga!

– Głupcze! – Thorkill z niemałym trudem uniknął kolejnego ciosu, zdolnego rozłupać kamień na dwoje. – Przybyłeś, by Jomsborg na wyprawę do Nidaros pozyskać? Próżne twe wysiłki.

– Łiesz! – Kolejny cios chybił o włos. Ostrze rozorało materiał rękawa Thorkillowego kaftana .

Oczy Eivinda rozszerzyły się – powróciło niedawne wrażenie, lecz teraz już był pewien. Skóra Thorkilla mieniła się na czarno niczym...

– Ja łzę? – zaśmiał się zdyszany już Thorkill. – Wiedz tedy, że jarl Eivind na wiosnę musi do Poznania ruszyć, by nowemu bogu się pokłonić i nowe dary od polskiego księcia przyjąć! Nici z wyprawy na Nordweg! Insze plany ma jarl, głupcze! Teraz mu polski książę miskę jadłem wypełni!

...niczym łuska.

– Co? – przystanął zaskoczony Halvdan, a furia opuściła go w jednej chwili. Topór zawisł bezsilnie w jego dłoniach.

„Smocze nasienie?” – powtórzył w myślach Eivind, lecz nim zdołał odkryć sens obelgi rzuconej przez Halvdana, Thorkill odwrócił się na pięcie w stronę zamarłych w półkołu wikingów.

– Walczymy tylko dla sławy? – wysyczał. – Oto kolejne prawo złamane przez waszego jarla. Eivindzie, ty i ten głupiec...

– Nikt nie nazywa konunga z Nidaros głu... – ryknął niespodziewane Halvdan, który oszołomiony szukał teraz jakiegokolwiek pretekstu, który pozwoliłby mu odzyskać równowagę. Z rykiem ranionego niedźwiedzia Nordweg podrzucił topór do kolejnego uderzenia, lecz Thorkill pochwycił to kątem oka. Z szybkością atakującej żmii ramię przybysza, przedłużone o ostrą klingę miecza, strzeliło do przodu, trafiając idealnie

w grdykę Halvdana.

Thorkill pchnął z wściekłością, po czym wyszarpnął miecz i z całej siły rąbnął konunga w byczy kark.

– To wszystko jego wina! – Zakrwawiona klinga Thorkilla wymierzyła w pierś Eivinda.

– Śmierć zdrajcy!

– Śmierć zdrajcy! – ryknęli chórem Toke, Radbor i Vigulf, unosząc oręż.

– Dość tych oszczerstw! Starczy krwi! – zakrzyczał ktoś inny. – Eivind naszym jarlem i nie będzie przybłęda...

– Do mnie! – Ruszył Eivind, porywając jakiś oszczep i prąc w stronę śmiejącego się Thorkilla.

– Święte prawo gościnności! – Rozwścieczony Skalle zastąpił jarlowi drogę. – Nie lza...

– Brać zabójcę! – Jorund z dobytym mieczem skoczył na ławę.

Ktoś podciął mu nogi. Stracona czyimś ciosem pochodnia zakreśliła łuk w powietrzu i uderzyła w przeciwną ścianę, wybuchając snopem iskier. Na ułamek sekundy miecze, noże i topory krwawo załśniły, a wraz z nimi białka oczu rzucających się sobie do gardeł ludzi.

Olbrzym zachwiał się, lecz postąpił jeszcze kilka kroków. Nogi słaby jednak z sekundy na sekundę i naraz kolana ugięły się, a trupio blada, rudobroda twarz plusnęła w brudną kałużę. Z jego pleców sterczał topór z ułamanym trzonkiem.

Jeszcze przez chwilę przerażenie nie pozwoliło Hieronimowi zrobić ani kroku.

– Gdzie jest mój ojciec? – Eirik płakał. – Zaprowadź mnie...

– Cicho bądź...

– Ja chcę do...

– Milcz! – Jednym szarpnięciem Hieronim zdjął płaszcz okrywający drżące ciało chłopca. Mocno ujął jego podbródek i skierował zapłakaną twarz dziecka w kierunku dziedzińca. – Popatrz! Widzisz, co się tu dzieje? – warknął z wściekłością, wyładowując w ten sposób własny strach. – Widzisz to szaleństwo! Zanoś modły do swoich bogów, byśmy żywcem stąd wyszli! Gdyż ten chaos na pewno jest ich dziełem... – dodał ciszej.

– A ojciec?

– Twój ojciec jest gdzieś pośród tej bitwy. Ma swoich ludzi i z pewnością większe szanse niż my, by wyjść stąd cało – skłamał, w panice rozglądając się za drogą ucieczki. – No, dalej! – zdecydował się i popchnął chłopca. – Do przystani!

Dwie skulone, wątłe postacie przemknęły w cieniu wyniosłych wałów twierdzy, po czym jeden z zacumowanych skiffów niespostrzeżenie drgnął i wolno ruszył w kierunku nurtu rzeki... Obojętny na ryki walczących i jęki rannych wiatr znad morza świstał wśród zabudowań Jomsborga, swym świeżym oddechem sycąc coraz gwałtowniejsze płomienie.

Świt nadpełzał wolno, tłumiąc wilgotnym tchnieniem błakające się tu i ówdzie płomienie. Mgła snuła się na dziedzińcu gęstym, lecz porwanym kobiercem, kryjąc poskręcane ciała i kałuże purpurowego błota. W umykającym mroku zakrzyczał jakiś ptak.

Na bladej ze zmęczenia i niewyspania twarzy Thorkilla gościł jednak uśmiech.

– Nie musisz o nic pytać – powiedział cicho w kierunku Eivinda. – Bo widzisz, ja przynoszę prawdę. Gdybyś zatem spytał, musiałbym ci odpowiedzieć, a co ci po odpowiedziach, których i tak nie pojmiesz?

Eivind otworzył usta, lecz miast słów wydobyło się z nich tylko charkotliwe sapanie. Strużka krwi pomknęła z opuchniętego kącika ust.

– Twój czas minął, jarlu – mówił Thorkill cichym głosem, niemal szeptem. – Śmiertelną ranę odniosłeś w boju, a obcemu bogowi pokłonić się nie zdążyłeś. Cóż, może zatem walkiria zabierze cię do Valhalla. W końcu dzielny byłeś wojem, choć serca małego.

Z przekrwionych oczu Eivinda z wolna uchodziło życie, lecz wciąż pulsowała w nich nienawiść.

– Miał rację dumny głupiec z Nidaros. Nie służę Odynowi. Rzekłbym, że służę raczej jego celom. Wiesz, słyszałem wczoraj na dziedzińcu, jak to pewien gawędziarz o Nidhoggu opowiadał. Mówił, że korzenie Yggdrasila obgryza, przeto wrogiem całego świata jest. Juści, że szkodę czyni: jeno pożarta gałąź czyni miejsce dla innej. Tyś taką gałęzią, jarlu. – Thorkill beznamiętnie patrzył na konającego Eivinda. – Znęcił cię obcy bóg, przeto mój pan kazał cię zeżreć. Milczał przez moment. – Nadchodzą nowe czasy, Eivindzie. Kruki mówią, że coraz więcej królów nową wiarę przyjmuje i lud swój nawraca. Umierają bogowie... Żercy i wróżbici prawią, że bliskie są już dni Ostatecznej Bitwy – Ragnaroku. Niespokojni są bogowie, lecz cóż ty możesz wiedzieć? Ty, który kruków nie rozumiesz, a królowi służyć chciałeś. Nynie pień zdrowy będzie... – Zmęczony wzrok Thorkilla prześlizgnął się po wysokich, osmolonych wałach twierdzy. – Inny bóg już kroczy, jeden jedyny, lecz silny... Z całą siłą trza mu będzie na drodze stanąć. Jemu i tym, co go przyprowadzą. A kto miałby bractwo jomsborskie do takiego boju wieść? Ty, zdrajca i najemnik?

Z mgły wyłonił się ponury czarnobrody woj w porwanej kolczudze.

– Jarlu, ocaleli wojownicy stoją na błoniach – powiedział.

– Wielu ich?

– Niewielu Jomsborczyków padło, jeno orszak Halvdana w pień wycięto.

– To dobrze.

– I jeszcze jedno, jarlu. Szczeniak Halvdana znikł razem z tym starym mnichem. Ukradli jeden skiff. Gerde widział, jak na Szczecin płynęli – ani chybi do komesa, o bitwie opowiedzieć. Każecie, jarlu...

– Nie. – Thorkill nagle znieruchomiał, a wzrok jego zmętniał, jak zawsze gdy spoglądał w przeznaczenie. – Nie – powtórzył stłumionym głosem. – Nie odnajdziecie

ich. Norny wyszyły los tego dziecka mocną nicią. Pisane jest mu wiele zła uczynić i nic tego nie zmieni. To jeden z tych, którzy przygotowują świat do Ragnaroku, prawdziwy gracz, a nie taki pies jak ten tutaj. – Trącił stopą umierającego Eivinda. – Drużyna jomsborska się zebrała, tak?

– Tak, jarlu.

– Pójdę tedy do nich, a ty ciśnij to ścierwo do wody.

– Dobić?

– Iii tam.

IV

Eirik syn Halvdana ciężko chorował, kiedy skiff przedzierał się przez fale do Szczecina. Słabe, chorowite ciało pochwyliła wkrótce gorączka i dramatyczna wędrówka do Poznania i pobyt na dworze księżęcym zlały się w jedno niewyraźne, lecz bolesne wspomnienie. Nie pamiętał, jak i kiedy dowiedział się o śmierci ojca, umknęło mu to, kto rzucił pomysł wyprawy do Albionu, by tam zgromadzić sojuszników do dalszej walki, umknęło mu gdzieś wspomnienie chwili, gdy zgodził się na chrzest. Mętne i tajemnicze były owe dni.

Te bolesne chwile znikły z jego wspomnień – być może przez to Eryk wyrósł na młodzieńca, który nigdy się nie wahał. Kiedy kilkanaście lat później, już jako konung, Eryk Halvdanson zwany Białym Jastrzębiem, mając u boku biskupa Nordwegu Hieronima gnał na czele swego hirdu w ogarniętym straszliwą wojną Nordwegu, również nie wiedział, co to chwila wahania.

Aż do pewnego wieczoru.

Zapadł już zmrok, kiedy Eryk wraz z przybocznymi zasiadł wokół ogniska w wąskim parowie leśnym.

– Jutro osaczymy oddziały buntowników na północ od Cichych Wzgórz – powiedział Eryk cichym, lecz nawykłym do wydawania rozkazów głosem.

Przyboczni pokiwali zgodnie głowami.

– Z chwilą gdy ten szubrawiec Ringvaldi da głowę, nikt w całym Nordwegu nie ośmieli się już zakpić z Krzyża – warknął Eryk. – Nikt! Niedobitków będziemy palić i wieszać dla postrachu, a tych, co wiarę w Jedyneho przyjąć się zdecydują...

Naraz zatrząsał się. Płomienie ogniska, żwawo skaczące wśród suchych szczap, urosły nagle. Wokół śmigwały krzyczące cienie, zbrojne w czarne topory, kałuże płonęły na purpurowo, w powietrzu wibrowała nienawiść. A pośród tego chaosu stał on – wysoki, ciemnoooki, patrzący wprost na niego. I uśmiechający się z kpiną.

– W chwili największego zawahania – szepnął – ruszaj z boczem pod górę, ku mgłom i piorunom. Tam sławę znajdziesz.

I zniknął.

– Panie? – zapytał siedzący najbliżej, Islandczyk Floke.

– Co znowu? – otrząsał się Eryk. – Co u licha... Po...pokonamy ich! – Chciał, by jego głos zabrzmiał twardo, lecz niespodziewanie rozłamał się na pisk. – Rozbijemy tych pogan, spalimy ich świątynie i...

Wśród tańczących na wietrze koron sosen rozległo się szydercze krakanie kruka.

Ostatnia saga

Prolog

– Zwiadowcy wrócili, Wasza Królewska Mość! Mówią, że buntownicy pod lasem stoją! Ich dowódcy ponoć wśród Trollich Skał czekają! – wykrzyknął Vidar Gustavson.

– Dobrze, dobrze... – Brwi Eryka zeszyły się na czole. – Wydusimy zarazę. Trzymaj się mego boku, Vidar. Wielka saga ma powstać, pomnisz?

– *Já, herra minn!*³

– *Mjög vel!*⁴ Miejże oczy i uszy szeroko otwarte! – Władca odwrócił się w kierunku swej świty i machnął niecierpliwie. – Thorfinn, rozwiń mój znak! Za mną!

Ziemia zadudniła pod ciężkimi kopytami królewskich przybocznych, a czerwony sztandar z białym ptakiem załopotał na ciepłym wiosennym wietrze. Rumak królewski wysforował przed orszak i niemalże płynął nad zielonymi łąkami Cichych Wzgórz. Pęd szarpał płaszcz Eryka, zdawało się, że młody król szepcze do siebie porwany szaleństwem dzikiego galopu, ale jeśli tak było, łomot kopyt stłumił jego słowa.

Wierzchowiec króla w kilku susach wtargnął na szczyt łagodnego wzniesienia i zniknął po drugiej stronie, a rozhlukana świta, nie zwalniając, wdarła się tuż za nim. I już galopowali w dół zbocza. Równe szeregi wojów królewskich wznosiły gromkie okrzyki oraz unosiły topory na ich powitanie.

Orszak, zatrzymany okrzykiem wojewody Thorfinna, wyhamował obok poczwórnego szeregu albiońskich łuczników, a król pogalopował dalej i zatrzymał się przed oddziałami chłopskich toporników. Patrzyli, jak sprawnie wodzi rumakiem i rzuca rozkazy ku nadbiegającym setnikom.

Naraz dłoń króla zamachała w powietrzu.

– Jego Wysokość daje nam znak! – Thorfinn zaśmiał się i przekazał sztandar wojowi po prawej. – Vidar, Floke! *Árás!*⁵

Vidar, wojewoda Thorfinn i młody Floke, wojownik z Islandii, zrównali się z królem. Szczupła, zawsze blada twarz Eryka płonęła teraz rumieńcami, a oczy błyszczały uniesieniem. Widzieli go takim tylko raz – dawno temu, kiedy po nocnej tułaczce na brzegach fiordu Nidaros powiódł ich do pierwszego, zwycięskiego szturmu na gród. Długie kruczoczarne włosy wymykały mu się niesfornie spod hełmu, odgarniane niecierpliwymi gestami.

– Mówiłeś, Vidar, że wodzowie buntowników oczekują nas wśród Trollich Skał? – zapytał król, zawracając od razu konia. – Doskonale! A więc pojedziemy im na spotkanie!

– To może być zasadzka, *herra minn!* – wykrzyknął Thorfinn.

– Oczywiście, że to zasadzka! – Król się zaśmiał. – Za mną! W koń!

Trollimi Skałami miejscowi nazywali krąg dziwacznych, poskręcanych głazów u podnóża Cichych Wzgórz, które wedle legendy miały być trollami skamieniałymi dawno temu pod wpływem promieni słonecznych.

„Któż dzisiaj wierzy, że słońce zabija te bestie – myślał Vidar, gdy krąg omszałych

skął ukazał się ich oczom. – A szkoda, że tak nie jest... Mielibyśmy wówczas o wiele mniej pracy...”.

W kręgu rzeczywiście stało kilku jeźdźców, których barczyste sylwetki rosły w oczach. Armię królewską zasłoniły wzgórza, ale Vidar mógł sobie wyobrazić, jak setnicy i wojewodowie biegają wzdłuż szeregów i krzyczą z purpurowymi od wysiłku twarzami. Wydawało mu się, że ziemia ponownie dudni, tym razem pod krokami najeżonego stała wału, a zza wzgórz wynurza się złowieszczo brzęczący orężem oddział kopijników w kolczych zbrojach.

– *Ég heilsa yður*⁶, Ringvaldi! Witaj! – Król z fantazją osadził spoconego konia w miejscu.

– *Heill sé yður*, Biały Jastrzębiu. – Oczy starego lagmanna lśniły lodem. – Odpowiedziałeś na wezwanie.

– A juści! – Król ściągnął hełm i oparł łokcie na łąku. – Nie mogłem oprzeć się ciekawości, która choć do grzechu prowadzi, to jednak bogaci i ciało, i duszę. Słucham zatem twych słów, sługo jednookiego bałwana!

– Odyn oko swe poświęcił, by mądrość wszystkich światów osiąść – wycedził wódz buntowników. – Od tej chwili moc jego granic nie miała. Z tobą odwrotnie będzie, króliku. Za swe szyderstwa nie tylko oko oddasz...

– Odbierz mi jedno, a sam dwa ci wyłupię – przerwał mu Eryk. – A o swych bożkach nie gładź, bo śmiech mnie grzeszny ogarnia! Nie po tom tu przybył, byś mi o gustach gadał, starcze!

– *Ég veit*⁷. – Ringvaldi uśmiechnął się paskudnie. – Jesteś tu po to, by kruki rozwłóczyły twe flaki po polach. Śmierć ci pisana, Biały Jastrzębiu, ale nim ruszysz do ostatniego boju, wiedz jedno. Zarówno ja, jak i wszyscy woje pod moim sztandarem zgromadzeni uszanowalibyśmy cię jako króla i padlibyśmy przed tobą na kolana. Każdy by ci hołd złożył, młody Eryku, gdyby nie twa zamorska wiara! Ona ci spojrzenie zmąciła, młodzieńcze, i...

– Dzięki owej zamorskiej wierze widzę dziś więcej i wyraźniej! – Eryk pogardliwie wydał wargi. – Widzę zło w człowieku! Widzę nieład wokół mnie! Strach i ciemność widzę! Ech, dość! Łaskę ci czynię, że słucham twoich starczych bredni!

– Ty mi czynisz łaskę, chłystku... – Głos Ringvaldiego pozbawiony był emocji. – Złe słowa ci demony podszeptują, *Hvíti fálkinn*⁸. Szeźniesz dziś. Pisane ci to jest.

– A kto to napisał, Ringvaldi? Przecież nie ta banda durniów, którzy koślawe runy w kamieniu ryją! – Młody król naraz parsknął śmiechem, odrzuciwszy głowę do tyłu.

Ringvaldi Niedźwiedź, przywódca buntowników, nawet nie drgnął. Dalej siedział wyprostowany na grzbiecie gniadego konia, a spojrzenie jego niebieskich, niesamowitych oczu przenikało sylwetkę króla. Chude, żylaste dłonie luźno trzymały wodze, aż prawa uniosła się wolno i przyglądała długą, siwą brodę. Jeden z towarzyszących mu wojów warknął coś z gniewem, pozostali dwaj kurczowo ściskali drzewca toporów.

Powietrze wewnątrz wieńca omszałych skał stężało, a mglista bariera oddzieliła ich od przyjaznego blasku słońca. Starożytne, tysiącletnie kamienie wydawały się rosnąć

i przytłaczać ósemkę jeźdźców. Vidar słyszał pośpieszny, gwałtowny łomot własnego serca – największym wysiłkiem woli powstrzymał dłoń pełznącą w kierunku rękojeści miecza.

– Nie rani mnie twój śmiech, młody królu – wyrzekł naraz Ringvaldi. – Śmieję się, ile chcesz, jeno walcz dzielnie aż do śmierci. Wtedy zasłużysz na godne miejsce w Valhalli!

– Nie zawracaj sobie głowy moją śmiercią! – parsknął Eryk. – Nie nęcaj mnie wieczne uczty w stodole zaplutego bożka. Ech, Ringvaldi, opamiętaj się! Przecież niegłupiś! Wojów porwać umiesz, kupcy cię szanują, prawo znasz, rody zdania twego słuchają, czemu tedy nowego pojąć nie chcesz? Czemu słusznej wierze się nie pokłonisz?

– Jeno szczeniak ulega szaleństwom – odparł starzec. – Człęk stary i mądry musi wiernym sobie pozostać, by po śmierci ludzie nie plwali na jego imię!

– Juści, że stary! – szydził Eryk. – Ale czy mądry? Świat się zmienił, Ringvaldi! Cały świat bożki porzucił i Świętej Trójcy w kamiennych świątyniach się kłania!

– Znam ci ja Albion i Frankię! – Na spękanych ustach starca pojawił się pogardliwy uśmiezek. – Znam, bo całe życie tam na wiking chadzałem. Znam owych ludzi i wiem, co twa wiara z nich zrobiła! Słabi oni, do wojaczki niezdatni, ino umykać i w klasztorach się chronić, pieśni wyć, o zlitowanie błagać! Nie dziwota, że Boga na Krzyżu umiłowali, skoro ten ino karki zginać każe! My wolny lud, Biały Jastrzębiu, wolny a silny!

– Juści, że silny! – wykrzyknął Halvdanson. – Silny kiej niedźwiedź! A widziałeś ty kiedy, jak owego niedźwiedzia, choć silnego jak stu wojów, młody chłopak za pysk prowadzi i różgą tłucze? Ja jestem takim chłopakiem, Ringvaldi. Za pysk was pochwycę i przed Przenajświętszy Majestat zawlekę, klękać każe!

– *Aldrei!*⁹ – Po raz pierwszy stary lagman podniósł głos, a złe ogniki tańczyły w przenikliwym spojrzeniu jego niebieskich oczu. – My nigdy...

– A kto mówi o was, Ringvaldi? – Król wzruszył chudymi ramionami. – Wyście przecie wierni i niezłomni! – Parsknął z kpina. – To w waszych dzieciach nadzieja, nie w tobie, głupcze. Kiedy durnych ojców przetrzebimy, to może młodzi mądrość okażą...

– *Naðran þín!*¹⁰ Ty gadzie obślizgły! – zasyczał langman. – Przybyłeś do Nordwegu ledwie trzy miesiące temu, chłystku. Prawda, Nidaros zdobyłeś, zwaśnione rody pokonałeś, od potężnego jarla na Hladir hołd otrzymałeś i to ci się chwali, ale we łbie ci się od sukcesów pomieszało! – krzyczał teraz. – Chcesz się legendą stać za życia, tak? Legenda przychodzi po śmierci dla tych, co w męstwie i stateczności wytrwają. Ty zaś ciskasz się jak łosoś, którego fala na brzeg rzuci!

– I ty to mówisz! – Król zaśmiał się. – Ty, co ofiary jednoookiemu capowi składasz! Ty, co bajesz, że te skałki kiedyś trollami były! Ringvaldi, jeszcze kilka lat i o takich jak ty matki nieposłusznym dzieciom na groźbę prawić będą.

– Krwawe były wróżby kapłanów! – Stary wódz drżał z wściekłości. – Sam widziałem czarne wątpia owcy! Wiedzieliśmy, iż ino zamęt ze sobą przywieziesz! *Naðran!*

– Ja! – wykrzyknął Eryk załamującym się głosem. – Ja zamęt? Ty głupi...

– Pomnij, chłystku – Niedźwiedź naraz zakrzyknął wielkim głosem – że lud nordweski zawsze sam sobie władców wybierał! Dumny jesteś i bitny, temu nie zaprzeczę, ale razi

nas ten twój Bóg na Krzyżu! Ścierwo nam on, mamy własnych!

– Cały świat kłania się Chrystusowi – powtórzył Eryk drżącym głosem. – Nic po was nie zostanie, buntownicy! – eksplodował naraz chorą nienawiścią. – Mój hird...

– Łajno twój hird! – zaśmiał się lagman. – Zgraja cudzoziemców to jeno, prawdziwej bitwy niezwyčajna! Więcej ci rzekę: twój przyjaciel wielki, możny jarl Trygve syn Ivara, władca Hladir, co pierwszy hołd ci złożył, gdyś Nidaros zdobył... Kłamstw ci nagadał! Odrwił cię, króliku, bo z nami jarl na Hladir trzyma! Z nami jego drużyny stoją! Masz, czegoś chciał, Biały Jastrząbku!

– Tedy nie ukorzysz się przede mną? Wiary jedynej nie przyjmiesz, Ringvaldi? – spytał głuchym głosem Halvdanson, jakby przybity wieścią o zdradzie jarla Ivarsona.

Drżący z gniewu i niecierpliwości Vidar z zaskoczeniem zauważył, jak głowa Eryka nisko opada na pierś. Żyłasta prawica starego lagmana porzuciła szarpanie brody i oparła się na stylisku topora. Cisza zapadła w starym kamiennym kręgu, wiatr świstał na ostrych krawędziach skał, konie prychały, pochylając szyje i skubiąc źdźbła trawy.

Nagle król poderwał głowę, a zwięzione oczy zaśmiały się szyderym tryumfem.

– Takiś stary i mądry! – wykrzyknął, spluwając siarczyście zaskoczonemu Niedźwiedziowi w twarz. – A każdy stary chrzan lubi gadać bez końca! Árás, Thorfinn! W nich!

...A w ów czas, a było to na wiosnę po przybyciu Eryka Halvdansona do Nordwegu, wzburzył się lud i powstał przeciw nowemu porządkowi. Nie pojmowali Słowa Bożego ni nowych obowiązków, mięso żarli w piątki jako drzewiej i dalej obiady starym bogom składać chcieli. Hyr wielki po krainie poszedł, jako to wolny naród Nordwegu obcych bóstw nie chce i rychło najgłośniej krzyczący za topory chwycili.

I wyszli wielgą siłą przy Þögluhæðir – Cichych Wzgórzach, czekali butni na hufce królewskie, by zmiażdżyć one. Ringvaldi zwany Niedźwiedziem im przewodził, człek majętny, mądry a nieulekły, ongiś wiking szczęśliwy, nynie kapłan i wódz sławny. Chociaż stary wiekiem, nadal w boju każdemu sprostać potrafił i rody go największe popierały. Ci, co go znali, prawili, że kiej źmij zdradliwy i niby lisica sprytny. Tedy umyślił sobie Halvdanson go przechytrzyć.

Ringvaldi pierwszy króla na rozmowy wezwał. Zjechali się samoczwart podle Trollich Skał i nuże bluzgać klątwami a lżyć jeden drugiego. Nie była to rozmowa godna mężów, ale wnet okazało się, że Biały Jastrząb umyślnie obelgami w twarz starego jarla ciska, by gniew jego wyzwolic i czujność zmylic. Już gniew Ringvaldiego pochwycił, a przyboczni za topory chwyтали, kiedy naraz poddał się młody król, głowę zwiesił i tak czekał, upokorzony. Już myślał Ringvaldi, że nosa młodzianowi utarł, gdy król śmiać się począł. Wiedział bowiem, że wygrał. Gdy on Ringvaldiego kłótnią zajmował, hufce królewskie już nadchodziły.

Znienacka Biały Jastrząb wyrwał miecz i ugodził oniemiałego Ringvaldiego w szyję. Walka straszliwa w kręgu kamieni rozgorzała, a zastępy buntowników niegotowe stały, czekając na powrót swego przywódcy i przybycie Trygvego syna Ivara. Jarl na Hladir jednakowoż na oczy

przejrzał i w ostatniej chwili buntowników opuścił, czym ducha w nich osłabił. Tymczasem nadeszły królewskie hufce i na buntowników uderzyły. Ci, co ni przywódcy, ni posiłków nie mieli, nie zdierżyli i rychło ustępować poczęli, a potem do ucieczki się rzucili. Wielką klęskę ponieśli tego dnia przeciw Bogu i królowi krzyczący. Mnodzy martwi zalegli, mnodzy lasami pomknęli, wielu też jeńców król w pęta wiązać kazał. Mówili, że pono wśród jeńców nie tylko ludzie byli, ale i straszliwe, czarami Odyna zrodzone wilkołaki lubo trolle ohydne o szarej skórze.

I pojechał Biały Jastrząb na czele armii swej zwycięskiej ku Nidaros na cześć zwycięstwa godować. Przybywały potem możne rody z darami, o zmiłowanie królewskie prosiły, a król kary kładł i chrzcic się kazał. Wielce możny stał się Biały Jastrząb, odkąd pokazał, że nie ma w całym Nordwegu siły, co by go z tronu zrzucić mogła. Ze strachem odtąd mówili o nim ci, co sumienie mieli nieczyste.

Ku sławie ukochanego króla mego, Eryka Halvdansona zwanego Białym Jastrzębiem i ku czci Boga Jedynego, któremu służy najwierniej, słowa te spisuję, ja, Vidar Gustavson z Islandii.

Rozdział 1

Psie Ucho naciągnął mocniej futrzaną czapę i rozejrzał się uważnie przed przestąpieniem progu. Nie miał ochoty na pogardliwego kopniaka, o co ostatnio było zbyt łatwo na podwórku zamkowym. Odetchnął z ulgą – poza grupką niewolnych, zajadających chleb na stercie bali do wywózki, na dziedzińcu nie było nikogo. Stary sługa domknął drzwi i z głową wciśniętą w chude ramiona ruszył w stronę bramy, szczelnie okryty starym, wyliniałym kozuchem.

Jesienna słońca rozmiękczyła udeptaną ziemię podwórca, a koła wyładowanych wozów wryły głębokie bruzdy, wypełnione teraz deszczówką. Cuchnące błoto zapadało się pod chodakami, kiedy sługa przestępował nad kamieniami, belkami i zapomnianymi narzędziami.

Na jego starej, pomarszczonej twarzy malowało się zniechęcenie.

Nie podnosił głowy – nie chciał patrzeć na ostatnie chwile starego dworu królewskiego w Nidaros, na którym spędził całe życie. Sędziwe halle, do tej pory rozbrzmiewające zuchwałym śmiechem, powoli umierały. Nieznajome dłonie rozbierały stare ściany i z lekceważeniem zrzucały na kupę wiszące na nich miecze i topory, zdobyczne, kiedyś dumne, dziś mało warte.

Jeszcze nie tak dawno, gdy nad morzem szalał sztorm, a wichura uderzała o ściany dworzyszcz, Psie Ucho mógłby przysiąc, że każdy miecz cichutko nucił pieśń o wojowniku, który niegdyś go trzymał. Skrzaty z cichym postukiwaniem budowały mroczne tunele pod polepą, a w księżycowe noce w trzasku płomieni paleniska można było usłyszeć wycie wilka. Te chwile minęły. Ciepłe drewno oparć wielkich krzeseł, rzeźbionych w smoki i węże morskie, już zgasło. Wspomnieniem była cisza spiżarni, gdzie toczył niekończące się wojny ze szczurami.

Wystarczył jeden gniewny grymas na bladej twarzy nowego króla, by przypieczętować los starego dworzyszcz. Stary, schorowany Psie Ucho widział już wielu konungów na tronie Nidaros. Widział dumnych ojców i ich gwałtownych synów, widział wojowników i morskich rozbójników, dumnych jarłów i drwiących renegatów, okrutników, hulaków, durniów, toczących pianę z ust berserków, szaleńców porwanych w dzieciństwie przez elfy i przybłędów z przyszywanym rodowodem. Przyzwyczał się do wrzasków, burd i zemst, lecz nie bał się ich. Nie lękał się też nowych władców, nawet tych, za którymi szła najgorsza sława.

Psie Ucho bynajmniej nie był dzielnym mężem o nieulekłym sercu. Długie, wypełnione wyteżoną pracą życie nauczyło go, że nie ma różnicy między panowaniem złego władcy a okresem złej pogody. I jedno i drugie mijało, zwłaszcza tu, na Północy, gdzie krew w żyłach jest równie niespokojna jak niebo. Stary sługa przyzwyczał się też do myśli, że sam stanowi nieodłączny element dworzyszcz – Nidaros nie mogłoby się obejść bez Psiego Ucha w równym stopniu, co bez ław pod ścianami. Psie Ucho znał bowiem pismo i obce języki, którymi mówiono w innych krajach, dlatego każdy

z kolejnych konungów umiał docenić jego wartość.

Każdy do tej pory...

Rządy poprzedniego władcy, Hralfa Ognistego Języka, zakończyły się pewnej bezksiężycowej nocy, kiedy to mgłę wokół miasta rozerwały postacie wrzeszczących wojów z pochodniami, a za wały Nidaros spadł deszcz ognistych strzał. Psie Ucho nie dzielił przerażenia z resztą niewolnych, kiedy zaskoczona, wyrwana ze snu drużyna konunga z rozpaczą stawiała czoła niespodziewanym napastnikom. On poczuł strach dopiero, gdy inni odetchnęli z ulgą – gdy zagasły ostatnie pożary i ujrzał twarz zwycięskiego hovdinga napastników.

Zwali go Erykiem synem Halvdana, a pochlebcy *Hvíti fálkinn*, Białym Jastrzębiem. Kilka dni po przejściu rządów pojawiła się opowieść, iż Halvdan, ojciec Eryka, zasiadał niegdyś na tronie Nidaros, lecz jego rządy zakończył najazd zawistnych krewnych. Halvdan uszedł dzięki garstce wiernych wojów i zabrał ze sobą syna, ale stracił życie w dalekim świecie, próbując odnaleźć sojuszników do wyprawy odwetowej. Młody Eryk ponoć pozostał w Albionie i po śmierci ojca podjął walkę o odzyskanie ojcowizny. Walkę, jak ujrzał Psie Ucho, zakończoną sukcesem.

Pamiętał dobrze ojca nowego władcy, pamiętał też noc, kiedy ten musiał uchodzić z Nidaros. Mógł zatem poprzysiąc na wszystko co święte, że w postaci młodego króla kryło się coś, czego u starego Halvdana na pewno nie widział. Stary sługa dygotał ze strachu.

Wiecznie zmrużone oczy młodego Eryka błyszczały bowiem bezwzględnością, a zaciśnięte mocno usta znamionowały upór na pograniczu szaleństwa. W jego szczupłej, cichej sylwetce, dziwne małej na wielkim tronie królewskim, kryło się więcej grozy aniżeli w którymkolwiek z barczystych, rozwrzeszczanych konungów, którzy go poprzedzali. Na dworzyszczu Nidaros zapadła niespodziewanie cisza i brak było zuchwałych, którzy ośmielali się ją łamać.

Szeptano z lękiem o niecierpliwości nowego władcy – pozorny spokój Eryka pękał z trzaskiem niczym suchy patyk, a jego gniew wyzwalał się z mocą ognia. Niespokojny konung miotał się z orszakiem rozhukanych koni po Nidaros i okolicznych okręgach lub pływał na swym okręcie wzdłuż wybrzeży, nocami zaś siadał przy świecy i czuwał samotnie.

Psie Ucho śledził okno jego komnaty z coraz większym niepokojem, ale nowy władca nie zauważył go zupełnie, a mianowany przez niego zarządca dworu jednym machnięciem dłoni przeznaczył starego do pomocy w kuchni. Nikt już nie słuchał Psiego Ucha, kopano go i lżono, a jego słabe ramiona z coraz większym trudem dawały radę nowym obowiązkom. Krótkie chwile przed czarnym, zmęczonym snem spędzał na marzeniach o powrocie dawnych jarłów, o ścianach halli, rozbrzmiewających hukami pijatyk, o brzęku mieczy i o ucztach ku czci bogów.

Świt nie przynosił nic oprócz oszołomienia, zimna i zmęczenia. Kości dawnych jarłów leżały już w kurhanach, a bogowie byli daleko – nikt nie słuchał starego sługi. Nikt. Aż pewnego wieczoru Psie Ucho zrozumiał, o czym myśli król podczas długich nocy przy samotnej świeczce.

Niespodziewanie Eryk zaatakował Nidaros po raz drugi.

Najpierw pojawiło się kilku ludzi zza morza, których Eryk, wbrew swym zwyczajom, podjął wystawną ucztą. Przybysze chodzili po dworze z dumnymi minami, rozprawiali z królem w obcej, choć bliskiej nordweskiej mowie, rozkładali przed nim jakieś pergaminy. Następnego dnia królewscy woje zapędzili dziesiątki jeńców z bitwy pod Cichymi Wzgórzami do pracy – padła w pył drewniana palisada, wieżyce, brama, a w końcu i dworzyszczce. Potem pojawiły się wyładowane kamieniami wozy, a obcy poczęli rozdrabniać jakąś breję.

Psie Ucho zrozumiał, że wie, co będzie dalej, a wtedy coś w nim umarło. Garbił się coraz bardziej, starając się nie słyszeć odgłosów budowy ani nie widzieć rosnących kamiennych baszt i murów. Gładził przelotnie stare ławy, przyklękał przy wygasłym palenisku, z mgłą w oczach patrzył na wiszącą na ścianach broń. Nie słyszał już wycia wilków ani brzęczącej pieśni o poległych wojownikach. Dworzyszczce milczało, żegnając się ze starym sługą.

On też milczał. Bo i tak nikt go nie słuchał.

Teraz otaczały go nie tylko zimne serca, ale i zimne kamienie.

Potem pojawiły się zimne zwyczaje. Dawni konungowie nierzadko przywozili z wypraw niewolników – widywał już kobiety o ciemnej skórze, milczących Samów, którzy parali się czarną magią, kapłanów zamorskiej wiary. Ci ostatni intrygowali go najbardziej. Ukryty w cieniu jarlowskiego tronu patrzył, jak mężnie znoszą obelgi hirdu. Teraz było inaczej: kapłani Boga na Krzyżu chodzili wyprostowani, rozmawiali z królem i wydawali polecenia. Jeden z kuchcików podpatrzył raz, jak najgrubszy z nowych, którego zwano Hieronimem, nakazał całemu hirdowi trzy razy zanurzyć się w wodzie i czynił magiczne gesty nad ich głowami, mówiąc inkantacje w nieznannej mowie.

Nazajutrz w ślad za wojami zapędzono do wody całą służbę.

– Hej, ty! – ryknął ktoś na podwórku. – Psi chwoście jeden! Bywaj no tu chyżo!

Stary sługa przyśpieszył kroku, ściskając ukryty pod szatą mały wisiołek w kształcie młota Thora.

Krzyk rozległ się znowu, a jego echo przez moment tłuło się po ciemnych krużgankach zamku jak oszalały nietoperz. Vidar Gustavson poczuł dreszcze. Podniósł głowę i przetaił zmęczone oczy. Nie wiedział, co działo się w podziemiach zamkowych, ale też nie chciał tego wiedzieć.

Skald odłożył pióro i zamarł na krześle. Naraz wychwycił nowy dźwięk – na korytarzu niosły się szybkie, zdecydowane kroki człowieka, który dobrze wie, dokąd zmierza. Wiedział, że przybysz idzie do niego, bo oprócz Vidara nikt inny w tej diabelskiej wieży nie mieszkał. Początkowo skald poczytywał sobie za zaszczyt możliwość samotnego życia, bo wielu królewskich przybocznych musiało spać po kilku w jednej komnacie. Dopiero później odkrył, że właśnie tutaj najlepiej słychać było jęki z podziemi. Nic dziwnego, że mieszkańcy dworu ochrzcili ją mianem: Wieżyca Koszmarów.

Zawiasy skrzypnęły i na progu pojawiła się wysoka postać z kagankiem w ręku.

Kałamarz z drogocennym atramentem zakołysał się niebezpiecznie, kiedy zaskoczony skald skoczył na równe nogi i potrącił stół.

– *Herra minn...* – powiedział, chwytając pergaminy.

– Wybaczcie mi najście, skaldzie – odezwał się przybysz. – Nie przeszkadzam?

– *Nei...* Nie, skądże... – Vidar rozejrzał się gwałtownie i dostrzegł zasłany papierami zydel. – Taki tu nieład... Nigdy bym się nie spodziewał... Spocznijcie, panie...

– Chętnie. – Przybyły ostrożnie postawił swój kaganek na stole i usiadł. – Sądziłem, że o tej porze w łożu was zastanę, a wy, widzę, pracujecie w nocy jako i za dnia.

– Sen nie chciał nadejść i myślałem, że pergaminy mnie znużą – wytłumaczył skald.

– Pracujcie, Vidarze, kiedy ochota was najdzie. – W świetle kaganka niebieskie oczy króla iskrzyły się niesamowicie. – Nie popędzam, a tylko napominam, że masz stworzyć największą sagę naszych czasów.

– Wszelkich starań dołożę, Wasza Królewska Mość – żarliwie zapewnił Vidar. Nie mógł oderwać wzroku od fascynującej twarzy króla. Płomienie rzucały widmowe cienie i skaldowi wydało się, że oblicze Eryka zmienia się i kołysze niczym odbicie w wodzie. Czarne, gniewnie spiętrzone loki zafalowały, kiedy król nagle się schylił i podniósł jeden z pergaminów strącony przez podrywającego się Vidara.

– „Saga o Eryku Halvdansonie, Białym Jastrzębiem zwanym, królu Nordwegu, który oczarował lud Północy naukami Boga na Krzyżu” – przeczytał i zamyślił się. – Zwykłe zdane, a tyle obiecuje. Jenó słowo „oczarował” radzę wykreślić, skaldzie. – Władca skrzywił się nieoczekiwanie. – Magia to szczyzny w zupie, Vidarze. Nie po to chcę Odynowi drugie oko wyłupić, byś ty sagę o mych bojach zaczynał od zatrutych słów.

– Myślałem...

– To dobrze – przerwał mu król. – Myśl, Vidarze. Pisz z rozwagą. Zastanawiaj się nad każdym słowem. Jak jeden zdrajca może zepsuć cały wysiłek wojenny, tak nieopatrznie użyte słowo zniszczy najpiękniejsze zdanie.

– Jako każecie – skłonił się Vidar, tłumiąc niespodziewane ziewnięcie.

– A właściwie dlaczego nie możecie spać, Vidarze? – Oczy króla zwięzły się nieco.

– W sumie... nie wiem... – zawahał się skald. Bez przyczyny serce zaczęło mu bić szybciej, a dłonie ostygły.

– A krzyki z podziemi nie przeszkadzają?

Skald pokiwał głową. Słowa uwięzły mu w gardle.

– Ha! – Król zaśmiał się cicho. – Trudno. Przywykniecie. Nie moja to wola, a biskupa Hieronima. On to w mądrości swojej nakazał pokazać światło Wiary Jedynej wszystkim tym nędznym istotom, które pojмалиśmy pod Cichymi Wzgórzami. A że opornie nauki Chrystusa przyjmują, to przecież nie nasza wina.

– Ale przecież... – Vidar odzyskał głos. – Ale czy się godzi...

– Co się godzi? – Eryk Halvdanson zmarszczył brwi. – Pogodzić z Bogiem te kreatury? To nasz obowiązek, skaldzie! Skoro niesiemy Słowo, to dlaczego nie skropić wodą święconą łbów tych, co sługami samego diabła są? Zobaczmy się jutro o świcie na mszy, skaldzie. Nie pracuj zbyt długo! *Góða nótt!*¹¹ – Silne ramię uderzyło w drzwi, te zatrzasnęły się z hukiem, a podmuch zgasił oba kaganki.

Słynny islandzki skald Vidar Gustavson siedział przez długą chwilę w całkowitych ciemnościach, starając się ukoić nerwy. Kiedy już doszedł do siebie, drżącą ręką rozpalil kaganek na nowo i zabrał się do pisania. Pracował jak opętany, nie pozwalając sobie ani na sekundę przerwy. Kiedy za oknami zaczął różowić się świt, narzucił na siebie skórzaną kurtę i pobiegł na mszę do zamkowej kapliczki.

Mnisi biskupa Hieronima również poszli na mszę. Na niecałą godzinę wrzaski nawracanych torturami trolli umilkły.

– Wielom widział, ale takiego dziwaka to ani chybi po raz pierwszy... – stęknął Thorstein.

– Małość widział, nie od dziś ci gadam – wymruczał Rodon, zapinając szczelniej kozuch. – Ale dziwak nad dziwaki, przyznam. Niełękliwy, nawet kija z sobą nie brał.

– Juści! Dorwie go ryś abo nix...

– Eee tam! – Rodon machnął sękatą dłonią. – Takich jak on lichu nie bierze.

– Jakże to, jarlu ?

– No zwyczajnie. Nie bierze.

Obaj stali przed szerokimi wrotami osady Blaakysten i śledzili postać w kusej, burej szacie, beztrosko maszerującą z tobołkiem na plecach po kamienistej ścieżce. Jeszcze trochę i zniknie wśród świerków na zboczach doliny. Potem pojawi się na chwilę, gdy znajdzie się na wąziutkiej skalnej półce nad koronami najwyższych drzew, i niebawem przekroczy granice ziem, które przed wieloma laty Rodon zwany Trollem uznał za swoje.

Za ich plecami beczały owce wypędzane przez starego Sildiego na pastwisko.

– Chwat ci, no. Ani kraju nie zna, ani mowy ludzkiej, a samojeden w puszcze lezie – mruknął jeszcze raz Thorstein. – Jak on się zwał, jarlu?

– Fabio czy jakoś tak – padła odpowiedź. – Chyba. Nic ztem z jego gadaniny nie zrozumiał!

– Ale siebie pokazywał i ciągiem ono słowo powtarzał! Fabio to na pewno imię!

– I „Nidaros” mówił, śmiesznie jakoś tak, z cudzoziemska. Do króla pewnie lezie.

– Juści. Pełno nynie takich przy dworze.

– Uwierzyć nie mogę, że i do nas, do Nordwegu przyleźli.

– Eee tam. Mówią, że wszędzie już siedzą! W Albionie i u Rusów... Nasz kraj ostatni.

– Kto wie...

– A mnie tam wcale się do nich nie śpieszy! Nasi bogowie lepsi. – Thorstein splunął.

– Może i lepsi...

Patrzyli w milczeniu na wędrowca i przypominali sobie wczorajszy wieczór. Wracali z łowów na dzika, kiedy naraz psy obskoczyły jakiegoś samotnego piechura na ścieżce na Hjornugavag. Thorstein doskoczył, by obcego okrzyknąć, ale zaniemówił zaskoczony. Obcy bowiem, miast umykać przed rozjuszonymi bestiami, śmiał się głośno i pogłaskać je próbował. Bardziej opanowany Rodon rozgonił psy i już chciał ofuknąć szaleńca,

kiedy nagle uświadomił sobie, iż jest to młody chłopiec, dziecko nieledwie. Miał nieco ciemniejszą skórę od miejscowych, duże, brązowe oczy i wygoloną głowę, a nosił brunatną szatę. Prócz żelaznego krzyżyka na szyi i tobołka na plecach nie miał żadnego dobytku.

Obcy uśmiechnął się szeroko i wyciągnął dłoń do Rodona, mówiąc coś szybko w nieznanym, melodyjnym języku. Nie było wątpliwości, że obaj mężczyźni mają przed sobą cudzoziemskiego mnicha, przedstawiciela owego Boga na Krzyżu, o którym tyle ostatnio mówiono. Zbliżał się jednak wieczór i Rodon po chwili zastanowienia postanowił udzielić obcemu schronienia. Nigdy by się nie przyznał do tego przed swymi druhami, ale ujęła go czysta radość w oczach chłopca. Ha, ha, ale by się ze śmiechu pokładali! Rodon Troll, Ogień Castlebury, pogromca berserków, słynny jarl i hovding, mięknie na widok dzieciaka! Burknął więc coś o tym, że nocą w Nordwegu nawet w zbrojnej kupie podróżować strach i skinął na młodzieńca, by ruszył za nimi. Ten, nie zważając na kpiny myśliwych, chętnie przyjął zaproszenie i z ochotą podążył na noc do osady.

– Aleśmy się pośmiali przy jedzeniu, nie, jarlu?

– Ha, gadał i gadał, a takie cudaczne miny robił, że mało kałdun mi się ze śmiechu nie rozpęknał. Tylko mógłby tym krzyżem tyle nie machać. Jakieś gusta pewno czynił.

– Nikomu krzywdy nie zrobił.

– Sigthorn gada, co mu się w kiszkach przewraca. Może to urok jaki?

– Sigthorn zre kiej wieprz przy korycie, nie dziw, że na kałdun narzeka. Patrz, już go nie widać. Dobra, napijmy się piwa, Thorstein.

Rybie błony w oknach halli niewiele wpuszczają światła, a ognia w dzień nie palili – siedzieli zatem w półmroku i popijali, ocierając wąsiska. Broń zawieszona na ścianach połyskiwała tajemniczo. Na zewnątrz słychać było kobietę, nawołującą ze złością dzieci, szczekały psy, skrzypiały zamykane wrota obórki, ktoś ubijał śmietaną. W Blaakysten rozpoczynał się zwykły dzień. Rodon westchnął, wpatrzony w ciemną powagę halli, Thorstein spojrzał nań uważnie.

– Pomnicie, jarlu, jakeśmy brali gwałtem kościoły w Albionie ?

– Ano pomnę.

– Nie było tam takich świątków jak ten no, na psa urok, Fabio...

– Byli, Thorstein, byli. Małoś widział. Raz w Northumbrii jeden stary kapłan ludziska z wioski w kościele chował i samojeden wejścia strzegł. Bez broni.

– I ubili go?

– *Já*, juści, że ubili.

– Dureń był, to go ubili.

– Odwagę miał, Thorstein. Samojeden bez broni stanął przeciwko całej kupie naszych.

– To męstwo ma być? Gdyby za żelazo jakieś porwał i na naszych uderzył, to insza sprawa.

– A ty byś co uczynił?

– Nogi za pas bym wziął – przyznał po chwili Thorstein. – Furda mi kościół. Co innego, gdyby to mój dom był...

– Widzisz... – Rodon zadumał się i pociągnął potężny łyk. – Gdyby to twój dom był,

dałbyś się zasieć. A wyobraź sobie, że dla nich taki kościół to jeszcze ważniejsze od domu.

– *Já, sannur*¹². W to uwierzę – przytaknął Thorstein poważnie. – Przecież tam złota co niemiara...

– To nie dlatego. Boga chcą swego bronić.

– Co to za bóg, którego chronić trzeba? Nam Thor odwagę daje i siłę! A tamtych bronić trza? Jak dzieci małe? Co to za bóg i po co on komu?

– Cały świat służy Bogu na Krzyżu, tedy i na nas pewnie kolej.

– Dziwnie gadacie, jarlu! – Thorstein patrzył na swego wodza z podejrzliwością. – Zali by was czary tego Fabia omotały?

– Gdzie tam czary! Przecie to dobry dzieciak. Odważny.

– I co z tego, że odważny? – Głos Thorsteina był pełen goryczy. – Świat na łbie staje, a wy miękniecie, jarlu! Ringvaldi Niedźwiedź poległ, stronnicy jego pod Cichymi Wzgórzami rozpedzeni, nie ma kto królowi w pysk napluć! Inaczej żeście gadali, jak Ringvaldi ludzi zbierał!

– Zawrzyj mordę! – ryknął Rodon i uderzył pięścią w stół.

Zapadła cisza. Thorstein sapnął i ze stuknięciem odstawił pusty kubek, a Rodon zamilkł po nieoczekiwanym wybuchu i tarosił wściekle brodę. Naraz obaj zrozumieli, iż wizyta wesołego Fabia przyniosła za sobą o wiele więcej ponad garść wspominek, i nieświadomie zapragnęli, żeby ona nigdy nie miała miejsca.

– To nie takie proste, Thorstein! – prychnął jarl, zaciskając ogromne pięści. – Jeździłeś na wiking, wiesz, jaki mały jest Nordweg, a jaki wielki jest świat!

– Wiem, abo co? – burknął zły Thorstein.

– Cały świat ino Boga na Krzyżu wielbi!

– A niech sobie wielbią, a nas w pokoju ostawią!

– Za późno... Trza by wnet do Nidaros pojechać i hołd konungowi złożyć. Okrutnik to pono. Szczęście, że nie ma do nas urazy. Nie zdążyliśmy pod Ciche Wzgórze, nie walczyliśmy w bitwie...

– Szczęście, jarlu? Może lepiej byłoby ruszyć za Ringvaldim i życie w walce postradać? Nynie bylibyśmy martwi w Valhalli albo żywi na Islandii, wśród innych uciekinierów, i Biały Jastrząb mógłby nas cmoknąć! A teraz? Zaleje nas ta nowa wiara, a za topór chwycić już nie ma komu, bo nowy król silny i wygubił wrogów!

– Nie przyszło ci do tej głupiej łepetyny, Thorstein, że to może Nordweg się myli?

– *Hvað?*¹³

– Skoro cały świat w Boga na Krzyżu wierzy... Musi on być z bogów najmędrszy i najpotężniejszy.

– Dziwnie gadacie, jarlu.

– Może i dziwnie. Dość już pytlowania, baby my czy co? Szykuj łódź, na foki popłyniem.

Rozdział 2

Arnul uważnie przymierzył i jeszcze raz spuścił młot na kowadło. Dźwięczne echo uderzenia rozeszło się po kuźni, a młody kowal już oglądał z bliska rozżarzony czubek klingi przyszłego miecza. Czuł na policzkach gorąco i po raz tysięczny pomyślał, jak okrutną torturę muszą skazanym zadawać płomienie. Wzdrygnął się ukradkiem i czym prędzej zanurzył metal w małym drewnianym cebrzyku, na chwilę niknąc wśród kłębow pary.

Wyjął chłodny już brzeszczot i odłożył go wraz ze szczypcami na ławę, po czym usiadł obok, ocierając dłonią spocone czoło oraz krótką brodę. Na zewnątrz słychać było szybkie, drobne kroki, które niespodziewanie ucichły. Arnul uśmiechnął się lekko. Zza futryny nagle wystrzeliła mała dziewczęca główka okolona czupryną potarganych, jasnych włosów.

– Mam cię! – wykrzyknęła dziewczynka z tryumfalnym wyrazem twarzy.

– A juści – przytaknął Arnul, kiwając głową.

– Wystraszyłam cię? – spytało dziecko z nadzieją w głosie.

– Nie – odparł szczerze kowal.

– Eee tam... – Na twarzy domorosłego zwiadowcy pojawiła się podkówka. – Nie umiesz się bawić, Arnul. Nic a nic.

Nadašana dziewczynka usiadła na zydelku. Arnul spojrzał na rozczochrane włosy małej, na jej poplamioną sukienkę i zdartą skórę na kolanach, a potem uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Tatko pytają, czy skończyłeś już miecz dla pana Sigvalda, bo ten ma się tu zjawić lada chwila – bąknęła obrażona mała.

– Prawie gotów. – Arnul skinął głową. – *Augnablik*¹⁴. Klinga sty... stygnie.

Przez moment panowało milczenie. Dziewczynka nie kwapiła się do odejścia: mimo iż zrobiła, co do niej należało, dalej siedziała bokiem na zydelku i umyślnie patrzyła w bok. Arnul zachichotał cichutko.

– A ojciec co teraz ro... robią, Kari? – jąkanie nie opuszczało go nawet, gdy żartował.

– Zboże tną – burknęła Kari, po czym nagle wybuchła: – Nie chce mi się wiązać snopków! Ściernisko rani mnie w stopy i... Nie chce mi się! Mogę sobie tu posiedzieć?

– Znowu od pracy się migasz, Kari? Oj, będą tatko źli!

– Iiii tam, prawie już skończyli! Wkrótce do stodoły zwozić będą! A ty tu takie dziwaczne rzeczy robisz... Mogę sobie posiedzieć i popatrzeć?

– Zabraniać ci nie będę, okruszku. – Arnul westchnął i rozłożył ręce. – Ale jak się tatko rozeźli, to pasa zde... zdejmie i tobie da w skórę, a nie mnie. A pani matce też się dziś wymknęłaś, co? Rączki błotem upačkane, a włosy...

– Ciągle ze mnie żartujesz! – Usta Kari wygięły się w podkówkę, ale przetarła dłońmi umorusaną buzię. – Bawić się nie umiesz, straszysz ojcem, straszysz matką... Czesanie boli, mycie kolan też! Lubisz, jak cię boli?

– Skądże, okruszku. – Arnul wstał z ławy. – I nie gniewaj się. Zaraz dostaniesz coś, co powinno cię pocieszyć.

Młody kowal sięgnął pod ławę i wydobył zawiniątko. Kari natychmiast zapomniała o urazie i w jednej chwili stała przy nim, z zaciekawieniem zaglądając w odwijane gałgany. Arnul odrzucił resztę szmat i naraz z namaszczeniem obrócił w palcach misternie ukutego żelaznego węża ze skrzydłami. Kari otworzyła szeroko usta z zachwyty.

– To dla... dla ciebie. – Wręczył jej zabawkę.

– Śliczny! – Kari zachłysnęła się, biorąc delikatnie podarunek do dłoni. – Wygląda jak... Jak sam smok Fafnir, co go Sigurd ubił! Pomnisz przecie, dziadyga Johan nam bąkał zeszłej zimy! *Takk fyrir!*¹⁵ Dzięki Arnul, dzięki!!!

Dziewczynka niespodziewanie rozłożyła ramiona i rzuciła się Arnulowi na szyję, całując go w policzki i nos. Zażenowany nagłą falą czułości kowal cofnął się i oparł o kowadło.

– Cała się u... umorusałaś – oświadczył po raz kolejny, gdy Kari puściła go wreszcie i zaczęła na nowo oglądać żelaznego smoka.

– Na pewno masz magiczne dłonie – oznajmiła pewnym głosem. – Ojciec nie potrafiliby tak cudnego ukuć.

– Potrafiliby i lepszego. – Kowal kiwnął głową. – Jeno czasu mu nie starcza.

– Jak urosnę, to będę wędrować po Nordwegu z wielgachnym mieczem i ubijać takie szkarady – obiecała Kari, chowając smoka pod pazuchę.

– A nie jest to przypadkiem robota dla mężów?

– Ależ co ty wygadujesz! – Kari spojrzała na Arnula ze zdumieniem. – Już zapomniałeś, co dziadyga Johan o walkiriach gadał? Walkirie są od mężów dzielniejsze! Ja będę taka jak Brunhilda i inne! Walkiria Kari! – Kari rozpostarła ręce i zaczęła kręcić się jak fryga z zamkniętymi oczyma. Sukienka i włosy utworzyły dwa wirujące kręgi. – Będę fruwać pod samym niebem i ratować rannych bohaterów!

– Kto... kto tam by chciał, by go roz... rozczochrana walkiria ratowała? – Arnul zachichotał.

Kari nagle się zatrzymała, z trudem łapiąc równowagę, i spojrzała z wyrzutem na kowala.

– Ty znowu swoje! – zawołała, mierzając w niego palcem. – Jesteś...

Nie dokończyła, miast tego znieruchomiała i poczęła nasłuchiwać.

– Ojciec i bracia wracają z pola! – pisnęła.

Arnul również nadstawił ucha. Drzwi kuźni wychodziły na przeciwną stronę gospodarstwa i nie widział nadjeżdżających, ale od razu poznał znajome odgłosy. To prychnął Mocarz – stary, na wpół ślepy koń, którego pan Ketil zwykł zaprzęgać do wozu, a zdrowym parsknięciem odpowiedział mu Komar, podrośnięty kary źrebak, na którym na oklep jeździł najstarszy z braci Kari, Olav. Na tle strzelania z bicia i skrzypienia osi starego wozu niosła się jednak rozmowa – Arnul rozpoznał chrypiący głos pana Ketila, ale jego rozmówca był mu nieznany. Nie było również słyhać rozwrzeszczanych zwykle braci.

– Chyba ktoś znaczny do nas bieży! – wyszeptała przejęta Kari.

– Chodź, popatrzemy! – Oboje przypadli do tylnej ściany kuźni. Dawno temu wywiercili tam w glinianym spoiwie kilka otworów i często podglądali gości pana Ketila.

– To ten nowy... – sapnęła Kari. – Jakże mu było, no... Albert! Albertem go zwali... To ten, o którym ojciec mówili, że każe nam wleźć do rzeki, a potem pójdziemy do nieba! Myślisz, że po to tu przyjechał?

– Gdzie tam! – Arnul parsknął. – Ba... bajdy ludzie gadają. Do nieba? A jak niby? Skrzydła nam urosną?

– Tedy czego on u ojca...

– Cicho, Kari! Nic nie słyszę! – Arnul zmrużył oczy i usilnie jął wpatrywać się w obcego.

Na koźle siedział chudy, zgarbiony człowiek o wysuszonej twarzy, niepozorny przy potężnej sylwetce gospodarza. Mimo sierpniowej spiekoty miał na sobie burą, przepasaną sznurem szatę, nosił też osobliwą fryzurę. Przyzwyczajony do długich, pozlepianych kudłów Arnul ze zdumieniem przyglądał się krótkim, starannie przyciętym włosom obcego, z okrągłym, łysym plackiem na czubku głowy. Obcy mówił z wyraźnym zamorskim akcentem, a wielki pan Ketil słuchał pilnie, kiwając od czasu do czasu głową. Zasłuchany Olav przywarł do grzywy żrebaka, podobnie wyglądali bliźniacy Ivar i Ulf, siedzący na snopkach.

– ...a wy wielki gospodarz, bo i poletko niezgorsze, i kuźnia – mówił obcy, pokazując ręką domostwo. Arnul drgnął, gdyż wydało mu się, że rozmówca pana Ketila naraz spojrział mu prosto w oczy. – Nie dziwota zatem, żeście i domostwo jak się patrzy postawili i na niczym wam nie zbywa. Chwalić jeno zaradność! Wierzcie mi, gospodarzu, że Bóg łaskawym okiem na tak pracowitych ludzi spogląda!

Ketil pokiwał jedynie głową.

– Zaszczyt to przez miedzę z tak zacnymi ludźmi są... sąsiadować! – ciągnął dalej Albert, gestykulacją pomagając sobie przy trudniejszych słowach. – Wyście pewnie gospodarz naj... najpierwszy w okolicy?

– Ojciec najpierwszy! – wyrwało się Olavowi, ale umilkł natychmiast, zgromiony spojrzeniem pana Ketila.

– Od razu żem tak pomyślał! – Obcy uśmiechnął się szeroko. – Bo widzicie, odkąd rządy Eryka Halvdansona nastąpiły, wiele ze starych rzeczy zmienić się musi. Choćby i to, kto to wójtem jest.

– Przecie każdy wie, że Ingolf Biały, co podle lasu mieszka – odburknął pan Ketil. – Tyle że od wiosny nikt go nie widział.

– A, bo mu się na wojowanie przeciw naszemu panu zebrało! – wybuchnął duchowny. – Pewno nynie kruki go dziabia! Albo w lochach w Nidaros gnije! Wyście pod znak buntownika Ringvaldiego nie poszli i słusznie.

– Chorym leżał. A synkowie do topora za młodzi. Przecie baby nie pośle.

– Hmm... Kuźnia jak się patrzy – szybko zmienił temat Albert, spoglądając w bok. – A rzeknijcie mi jeno, Ketilu synu Thorvalda... Ludziska mówili, że karzeł u was pracuje. *Dvergur*. Jakże mu tam było... Arne... Arnul...

– Arnul – powiedział głośno pan Ketil.

– Arnul, prawda. Znaczy się, pracuje.

– *Já*.

– Nie najlepiej to, gospodarzu. – Duchowny zasepił się. – Bo widzicie, Bóg Wszechmogący...

– Prr!!! – wstrzymał pan Ketil Mocarza. – Bardzom ciekaw tego wszystkiego, panie, ale nie godzi się na wozie tak siedzieć. Do cienia zapraszam, na kubek chłodnego skyru!

– Zgoda, panie gospodarzu, zgoda. Spraw do obgadania zaiste wiele mamy...

– Synkowie! – zagrział Ketil. – Nie lenić się, wóz w try miga rozładować i konie oporządzić! I pamiętajcie, najpierw robota, później wieczerza!

Arnul odsunął się od szparki. Niespodziewanie owładnęło nim przemożne przecucie, że nadchodzi coś niedobrego.

– Arnul! – Kari objęła karła za szyję. – *Hvað er þetta?*¹⁶ Co się dzieje? Jesteś blady!

– *Nei*, nic to. – Arnul uwolnił się delikatnie i oblizał spierzchnięte wargi. – Bie... biegnij się umyć, bo... bo pani matka będą krzyczeć. Ja tu... eee... zostanę jeszcze chwilę.

Długie cienie kładły się po obejściu, a wokół słyhać było głośne cykanie świerszczy, kiedy Arnul, zapamiętale szlifujący nowy miecz, usłyszał znów głos Ketila wylewnie żegnającego się ze swoim gościem. Głos z cudzoziemskim akcentem tłumaczył, że nie chce gościnności nadużywać, a Ketil próbował nakłonić go do pozostania na wieczerzy, ale ostatecznie zwyciężyła wola Alberta. Arnul poczuł niewytłumaczalną ulgę.

– Kari! – rozległo się naraz niegłośne, melodyjne wołanie pani Fridy. – Bywajże tu, huncwocie! Ivar! Ulf! Do miski w te pędy! Olav! A skoczże po Arnula który!

Nagle znikły ciepłe promienie zachodzącego słońca, wypełniające ponure wnętrze kuźni – na progu pojawiła się wysoka, lecz wciąż pełna chłopięcej niezgrabności sylwetka. Arnul znieruchomiał z osełką w dłoni.

– Arnul, pani matka myć się każą i na wieczerzę wołają! – wysapał Olav. – A, tużes jest, Kari!

– Rozeźlili się ojciec? – spytała dziewczynka skruszonym głosem.

– Okrutnie. – Olav kiwnął głową. – Ale na tve szczęście ten uczony człek się pojawił i inne sprawy ojcu po łbie chodzą. Pewno ci znowu na sucho ujdzie!

– Co to był za mę... mędrzec? – spytał Arnul.

– A skąd mam wiedzieć? – Chłopiec wzruszył ramionami. – Ponoć to kapłan od tego nowego Boga, co go przywieźli z za morza. Albert go zowią czy jakoś tak. I jaki tam z niego mędrzec, Arnul... Całkiem pomyłony! – Obejrzał się przez ramię, czy ojciec nie patrzy. – Gadał, że Odyn czy Frejr to bożki nieprawdziwe, a prawdziwy to zaś jeno ten Bóg Wszerzmogący. Uwierzysz?

– A ojciec? – spytała zaciekawiona Kari.

– Ojciec tylko łbem kiwali, ale przecie ojciec wiedzą swoje! Co mu tam będzie jaki

Albert gadał! Przecie nikt żadnego Boga Wszermogącego nie widział, a wszyscy wiedzą, że jak podczas burzy pioruny lecą, to Thor rozeźlony Mjollnirem rzuca, a jak grzmoty słyhać, to tętent jego kozłów i basta! – Chłopiec uderzył się otwartą dłonią w kolano. –

*Ekki sannur*¹⁷, Arnul? Co nie?

– No tak – westchnął karzeł.

– Coś tak skapcaniał?

– Nic to. Frasuję się nieco, bo... bo zda mi się, że... że ojciec mocno się tym Albertem przejął.

– Ojciec ma łeb na karku, Arnul. – Olav już wybiegł na zewnątrz. – Wie, co robi, a robi ino to, co wie! Zawdy tak gada! *Hlaupið!*¹⁸ Śpieszmy się, bo nam bliźniaki wszystko zjedzą! Głodnym jak wilk!

Podczas wieczerzy nie padło ani jedno słowo – słyhać było jedynie mlaskanie i stukot drewnianych łyżek o miski, lecz nie smak baraniny pani Fridy zaprzętał uwagę siedzących przy stole. Arnul zezował na boki i widział, że zaciekawione dzieci co rusz zerkają na zamyślonego ojca, po czym spłoszone nachylają się nad miską.

Na dworze zmierzchało już i pani Frida postawiła na ławie woskową świeczkę. W jej świetle Arnul wyraźnie widział surową, zamyśloną twarz jej męża, którą przez dziesięć lat pracy w kuźni nauczył się kochać i podziwiać. Otoczone delikatną siatką zmarszczek niebieskie oczy patrzyły w jakiś nieokreślony punkt na ścianie, wielka ręka wolno unosiła kęsy do ust, a druga bezwiednie zakładała skołtunione, lniane włosy za ucho.

Znajome westchnięcie ojca sprawiło, że wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Wiadomo było, że pan Ketil zawsze wzdycha, zanim coś powie.

– Ulf! – zwrócił się do jednego z bliźniaków.

Chłopiec zastygł z łyżką w drodze do ust.

– *Hvað?* – bąknął niechętnie, niezadowolony, że oczy wszystkich zwróciły się na niego. – Co znowu, ojciec?

– Niegłupiś, Ulf, tedy... – Ketil wziął głębszy oddech. – Tedy liter stawiania w try miga byś się pewno nauczył.

Chłopak odłożył łyżkę i spojrział na ojca z mieszaniną rozbawienia i niedowierzania.

– Chybaście ojciec – powiedział powoli – za długo na słońcu dzisiaj byli.

– Na złote jabłka Idunn! – Pani Frida patrzyła na męża szeroko otwartymi oczyma. – Przecie kapłan Asktjorn powiedział, że uczniów...

– *Þegiðu!*¹⁹ Cichaj, kobieto! – zgromił ją mąż. – Słuchaj mnie, bo mądrości pana Alberta powtarzam, a nie własne. Oto rzekł mi on, że wszystko na tym świecie się zmienia i tego... i jeśli jest li szansa, to z przodu trza się trzymać.

– A co z tym litery... – prychnął Olav.

– *Þegiðu!* – Ketil uderzył pięścią w stół, aż miski podskoczyły. – Eryk syn Halvdana, konunga, którego kiedyś z Nordwegu wygnano, z Albionu powrócił i nowy porządek ustanawia. Ci wygoleni cudacy pomagają mu zaś, a gadają przy tym, że słowo jakoweś boże niosą, nie od Thora jeno, ale od Krystusa. Ten Krystus pono większy od naszych i prawdziwszy. Brednie to wierutne wszystko poza jednym, z przodu trza się trzymać.

– Ale co litery...

– *Begiðu!* Ten wielbio... welbie... wielebny Albert, jak się zwać kazał, mówi, że kraj nasz na nowo konungowi zebrać trza. A do tego oddanych ludzi szukać będzie, a tych garstka jeno: ci cudacy, kilku druhów z hirdu i wszystko. Ojciec Albert na razie tu konunga człek, ale potem mnie wójtem uczynić chce.

– Na złote jabłka Idunn! – Pani Frida klasnęła z radością w dłonie. – Mój Ketil wójtem! A co, jeśli Ingolf wróci?

– Wróci? – Ketil się skrzywił. – *Aldrei!* W bitwie ubity albo w lochu gnije. Nowe rządy nynie nastają! Nowe podatki trza będzie płacić, wszyscy tutejsi, wyjąwszy wójta, oczywista! – Uśmiechnął się szeroko. – A insze przywileje też przybędą. Jeno trza będzie się zechrzcić...

– Ochrzcić... – wtrącił nieśmiało Ulf.

– *Begiðu!* Tak, ochrzcić! Tego Boga na Krzyżu czy tam Krystusa też czcić trza będzie i na rytuały tych cudaków chadzać. Tylko moim zdaniem – dodał szybko, widząc zgrozę, malującą się na twarzach rodziny – ta nowa wiara to brednie garści kłaków niewarte. Musimy ino poudawać, że my tego Krystusa wielbimy, a wielebny Albert będzie zadowolony i przed królem nas pochwali. Przecie się Frei czy Thora nie wyrzekniemy?

– Mądre słowa. – Frida kiwnęła głową. – Przecież Orm syn Ragnara, co z Ingolfem na wojnę pociągnął, też był ochrzczony! *Sannur!* W Albionie go ochrzčili, jak okup za miasto brali! A na rytuałach ku czci Thora najpierwszy śpiewał!

– A te litery...

– *Begiðu...* A zresztą... Bo widzisz, Ulf, ci nowi kapłani wszyscy są równo biegli w piśmie, jak my w mówieniu. Językami inszymi gadają, ho ho! Cuda! Rzekł mi ów Albert, że służenie temu nowemu bogowi będzie zaszczytem! Tylko że, chłopie, tylko tak na niby, pojmujesz? Ty żeś wszak najsprytniejszy. Mógłbyś takim kapłanem zostać, nie? *Ekki sannur?*

– I włosy wygolić? – spytał z przestachem Ulf.

– Trudno – westchnął ojciec z powagą. – Pał sześć kłaki. Pomyśl, że rodzina wolnizny przez to zyska, a jak jeszcze pomożemy im chram budować... Ho ho! Wielcy państwo będziemy, powiadam wam!

– Ho ho! – zawołał Olav z szeroko otwartymi oczyma.

– Jeno jeszcze jeden szkopuł pozostał... – tym razem Ketil westchnął bardzo ciężko i zerknął na Arnula – ale tę sprawę muszę sam na sam z Arnulem obgadać – zakończył i spojrzał w bok.

Las szumiał tajemniczo, a korony starych świerków nachylały się z wiatrem. Iskry strzelały wesoło z niewielkiego ogniska, rdzawy blask pełgał po korze, zmieniając postacie dwójki wędrowców w ciemne plamy. Któryś z koni parsknął, potężniejszy z mężczyzn siedzących przy ogniu przeciągnął się i naciągnął pled na szerokie ramiona.

– Spać czas! – Ziewnął.

– Nie chce mi się – odparł drugi, szczuplejszy, dorzucając kolejną szczapę do płomieni.

Iskry strzeliły świeżym snopem, na mgnienie oka dołączając do gęsto rozsianych na nieboskłonie gwiazd. – Noc jest zbyt młoda, by ją samą ostawić.

– No i jedźże tu na łowy ze skaldem! Składanie rymów lepiej ci idzie niż napinanie łuku!

– Cóż, najlepiej nam te łowy nie wyszły – mruknął człowiek nazwany skaldem, spoglądając na pęk świeżych zajęczych, bobrzych i rosomaczych skór. – Na Islandii nie ma wielu dzikich zwierząt. Skąd mam się znać na polowaniu?

– Czemu więc ci się polować zachciało? – spytał jego towarzysz.

– Na spokój poluję, Floke.

– Na spokój? I znów mi wiersze układasz?

– Przecież wiesz, o co mi chodzi. Biskup i trolle w podziemiach... Mroczny ten zamek...

– Ech tam, miękniesz, Vidar! – Floke śmiał się, kładąc się i naciągając na siebie pled.

– Twardy nasz król, bez litości, bo ma przed sobą wielkie zadanie.

– *Ég veit*²⁰. Wiem, Floke. – Skald również ziewnął. – Jeno dziwne myśli czasem mnie nachodzą. Zamek w Nidaros miał być twierdzą Boga, a tyle w nim pogańskiej magii... Nie zrozum mnie źle. Rad jestem, że przy królu służę, ale czasem muszę pobyć sam.

Chwilę milczeli, słuchając tylko skwierczenia ognia i odległego wycia wilków.

– Pamiętasz dziada, co nam wczoraj bąkał? – spytał nagle Vidar.

– Ano... Ucieszenie gadał! Niepotrzebnie żeś mu tylko kazał o Ragnaroku prawić. Aż zimno mi się zrobiło. Niby Chrystowi służym, ale starzy bogowie dalej gdzieś tu są... Może nawet w tym lesie siedzą i gapią się na nas!

Floke zadrżał i nakrył się szczelniej.

– Ragnarok! – Vidar się zadumał. – Zmierzch bogów! Dzień, w którym hufce bogów zmierzają się z olbrzymami i potworami!

– *Þegiðu!* Przymknij ty już jadaczkę i spać się kładź! Dość już takich opowieści!

– Myślisz, że Ragnarok już nadszedł? – Skald nagle zwrócił błyszczące oczy w stronę towarzysza.

– Bitwa bogów z olbrzymami? Nie – odburknął tamten. – Znaczy... nie wiem... – zawahał się. – Starzy ludzie mówią, że wprzód zima wielka nastanie i wilk Fenris słońce pożre. *Ég veit ekki*²¹. Nie wiem, Vidar...

– Może rzeczywiście nie ma co o tym gadać... – Vidar był zamyślony. – Pamiętam za to inne dobre opowieści, a najlepiej tę o Baldrze.

– I ja ją znam – ożywił się Floke. – Baldr był synem Odyna i wszyscy go miłowali, bo był mądry, piękny, a cnót miał co niemiara! Bogini Frigg troskała się, by nikt mu krzywdy nie uczynił. Zakłęła więc wszystkie rzeczy na świecie, by krzywdy Baldrowi nie czyniły, ale zapomniała o jemiolo. Olbrzym Loki, który Baldrą nienawidził, dowiedział się jakoś o tym i podstęp uknuł. Kiedy wszyscy bogowie uciechę mieli i ciskali w Baldrą czym popadło, by moc czarów Frigg sprawdzić, podsunął Loki ślepemu Honemu strzałę z jemioly i zachęcił go, by i on wystrzelił!

– Hone wypuścił strzałę i zabił Baldrą! – dokończył Vidar. – A taka myśl mnie nasza... Daleko stąd słyszałem, że Baldr ma po Ragnaroku wstać z martwych, a potem

odbudować świat, który będzie jeszcze piękniejszy! Miłości w nim będzie mnóstwo i...

– Takie tam gadanie! – zmarkotniał Floke.

– Chrystus też miłość światu daje. Też umarł przez ludzką niegodziwość...

– Co ty gadasz? – zniecierpliwił się Floke. – Że Jezus i... i Baldr to ten sam człek?

– Dajże już pokój. – Vidar machnął ręką. – Lepiej rzeczywiście do snu się ułożyć...

Jutro król biesiadę wielką wyprawia.

– Ano... *Sofið vel*²², Vidar! Śpij dobrze.

– *Somuleiðis.*²³

Niebawem do szelestu drzew na wietrze i trzaskania dogasającego ogniska dołączyły oddechy śpiących.

Rozdział 3

Pełen rozpaczny krzyk niósł się między drzewami.

– Nienawidzę!!! Nienawidzę! – krzyczał Arnul, aż przystanął i wolno osunął się na mech. Jego tobołek upadł miękko tuż obok.

Nie wiedział, dlaczego akurat to słowo wykrzykiwał – w swoim krótkim życiu nie nauczył się jeszcze jego pełnego znaczenia, ale w tej chwili wydało mu się najmocniejszym znanym zaklęciem.

Owładnięty rozpaczą padł na poszycie leśne, zaczął się tarzać, rzucać, miażdżyć trawy. Jego palce rozdzierały mech, a z wykrzywionych ust wyrывał się szloch. Kiedy znów uniósł głowę w stronę szarzejącego nieba i rozkołysanych koron drzew, jego oczy były pełne łez płynących po brudnej twarzy.

– Dlaczego? *Ég skil ekki...*²⁴ – wyszeptał.

Przetarł rękawem załzawione oczy, mokre policzki i wilgotny nos, po czym machinalnie wy dostał jedną sosnową igiełkę z krótkiej, rzadkiej brody, ignorując tysiąc innych. Chlipnął po raz ostatni. Nienawidził? Raczej było mu żal, bardzo żal.

Przecież mówili o tym wszyscy. Mówili po cichu, ale usłyszałyby, gdyby chciał – miał przecież lepszy słuch od reszty. Może gdyby był słuchał, wszystko inaczej by się skończyło, ale wolał przysłonić uszy i udawać, że jego to wszystko nie dotyczy.

Nie był gotowy na to, że świat stanie na głowie tak raptownie. W Nidaros pojawił się nowy pan, przywiódł ze sobą nowego boga, a jego, małego karła, wyrzucono do lasu.

Wyrzucono? Gdzieżby tam! W obejściu pana Ketila nic nie działo się gwałtownie, nawet synów gospodarz bił z rzadka, a i wtedy z pewnym namaszczeniem. Posłuszny swemu usposobieniu Ketil syn Thorvalda posadził Arnula na ławie i jął cierpliwie opowiadać o nowym porządku i nowej wierze. Mówił zdanie za zdaniem, coraz mniej pewnie, z coraz większym zawstydzeniem, aż wreszcie Arnul pojał, o co gospodarzowi chodzi.

– Nowy bóg dla ludzi ino, nie dla karłów. My tylko na niby, ale wiesz, Arnul, sam pojmujesz... – mówił Ketil, aż naraz zmienił temat, jakby przeraził się wypowiedzianych przez siebie zdań. Półgłosem opowiedział raz jeszcze starą historię, jak to dwadzieścia lat temu wracał z wielkiej bitwy przy Skałach Dragnira, kiedy to walczył w drużynie konunga Nidaros Haralda Płowego przeciwko zbuntowanym rodom. Odnieśli wówczas wielkie zwycięstwo, a król okazał się łaskaw dla młodego Ketila syn Thorvalda, obdarowując go skrawkiem ziemi i pierścieniem na znak braterstwa. Ketil wraz z małżonką Fridą, którzy dotąd gospodarzyli w malutkiej chatynce na jałowym wybrzeżu, szybko wybrali się, by swe nowe ziemie obejrzeć. Po drodze niespodziewanie ogarnęła ich tajemnicza mgła. Naraz dzień stał się nocą, trakt rozmył się wśród długich sinych, pasm, a gdy już stracili nadzieję na szczęśliwy powrót, ich oczom ukazało się opustoszałe obozowisko.

Jakaś potworna siła przewróciła mocny wóz z dębowego drewna, złamała kark

koniowi i zadała śmierć siedzącym przy ognisku. Ketil i Frida zamarli ze zgrozy – porozrzucane wokół wygasłego, roztraconego ogniska ciała były krępe i barczyste, lecz zbyt niskie jak na ludzi. Ketil przemógł się i końcem miecza odwrócił jedno z nich. Oboje ujrzeli zastygłą w bólu i przerażeniu twarz o ostrych kościach policzkowych i skośnych oczach. *Dvergarnir...* Znaleźli obozowisko karłów!

Niewiele wiedzieli o karłach „przed którymi przestrzegali mądrzy ludzie”, poza tym, że to złośliwe, groźne istoty z gór i jaskiń. Przeraził ich jednak dopiero widok ran, od których karły poniosły śmierć – wzdłuż pleców i karków ciągnęły się długie, głębokie ślady po kłach i szponach. Ani jeden z trupów nie był obgryziony. Ketil uświadomił sobie, że jakaś istota wypadła z ciemności, błyskawicznie zmasakrowała karły, które nawet nie zdołały się odwrócić, i znikła.

Ketil zatrzęsł się ze strachu. Mądrzy ludzie w ich wiosce często opowiadali o *svörtu úlfarnir* – czarnych wilkach, które ponoć spłodził sam demoniczny Fenris, by siały szaleństwo po całym Midgardzie. Ochryplym szeptem ponaglił żonę, gdy ta niespodziewanie przystanąła i zamarła, patrząc w górę. Na drzewie nad ich głowami przywarło do gałęzi zsiniałe z zimna, karle dziecko.

W takich chwilach kobiety nie wahają się nigdy.

Miejscowy kapłan kręcił nosem. Przez całą wiosnę próbował wytłumaczyć Ketilowi i Fridzie, że przygarnięcie karła musi się źle skończyć, bo te nigdy między ludźmi nie mieszkają i że magią się parają, lecz Frida ze śmiechem wskazywała mu malutkie, poważnie patrzące na świat karle niemowlę.

– Nie wierzę! – śmiała się. – Spójrzcie tylko na tego niemowlaczka! Widzicie, ile w nim złej magii? Ile złośliwości? Ha, ha, przestańcie mi wszyscy brednie wygadywać! Zatrzymam go i tyle.

Kapłan westchnął ciężko i na uboczu szepnął Ketilowi, że ponoć jeśli się karłom przysługę wyświadczyło, te złotem obsypać potrafią, a za dobrą radę tradycja każe się z kapłanem odpowiednio podzielić. Ketil zrozumiał aluzję i z westchnięciem wręczył mu połówkę srebrnej monety.

Kapłanem na jesieni podzieliły się jednak rosomaki w Huczącym Gaju, a Ketil nie miał zamiaru na karli skarb czekać. Obsiał pole, postawił dom i wybudował kuźnię, a w jego obejściu przybyło wkrótce kwilenia – najpierw na świat przyszedł Olav, potem Kari i bliźniacy. Najstarszy Arnul wnet stał się pomocnikiem w kuźni i okazało się, że odziedziczył po nieznanym ojcu miłość do pracy z metalami. Gdy mieszkańcy okolicy ujrzeli jego kunszt, nawet najbardziej przesądni z nich przestali wykonywać odczyniające urok gesty przy domostwie Ketila syna Thorvalda. Przyzwyczaili się.

Natomiast Arnul nie. Wiele razy słyszał już tę historię i za każdym razem uderzały go słowa „karzeł” i „ludzie”. Dwa światy, dwa elementy, na razie pracujące razem, lecz... „To mój dom” – powtarzał sobie w duchu w chwilach niepokoju. „Mój dom” – szeptał i zaciskał pięści aż do bólu.

A teraz? Na nowo przejmowała go groza, kiedy przypominał sobie wzruszoną i zawstydzoną twarz pana Ketila, który mówił, że przecież w górach Jotunheimen żyją inne karły, być może jego krewni. No, a świat się przecież zmienił, nie można już tak jak dawniej...

O świcie pochlipująca pani Frida wręczyła Arnulowi plecak pełen jedzenia i sakiewkę z garścią złota. Razem z Ketilem dobrze go odziali, dali do ręki toporek, a on... Przeszedł kilka metrów, przystanął i obejrzał się na domostwo, w którym spędził całe swe życie. Zatrzymał się jak zakłęty – już chciał poprosić, by pozwolono mu się pożegnać z przybranym rodzeństwem, ale głos uwiązł mu w gardle. Nagle rzucił się do biegu i pędził jak szalony przez las, płacząc i krzycząc, zapominając o napomnieniach, by się trzymał szlaków, objijając się o pnie, potykając o gałęzie i korzenie...

Nie chciał iść do innych karłów. Nie znał ich, przywykł do ludzi – do ich rubaszności, bezpośredniości, umiłowania pracy i zabawy. Starzy ludzie opowiadali, że jego krewniacy są ponurzy, nigdy się nie uśmiechają ani nie wychodzą na słońce. „Cięgiem ino w jaskiniach siedzą, w diamentach dłubią, a złośliwości wyczyniają!” – mówili, patrząc nań bacznie, jakby szukając w jego postaci potwierdzeń dla własnych słów, a on drżał z lęku. Tak, wiedział, że jest karłem. Wzrostem dorównywał Kari, choć ta miała ledwie dwanaście lat. Miał silne i zręczne ręce, jego oczy łatwo przenikały ciemność, a uszy chwytaly najcichsze nawet odgłosy. Nigdy nie nauczył się żartować, tak jak czynili to ludzie, ale w obejściu słuchano go z uwagą. Miewał bowiem zadziwiająco celne przeczucia.

Tak, jak to z wielebnym Albertem.

Ech, na co dzień starał się to maskować. Udawał, że nie słyszy innych dzieci w zabawie w chowanego, czasem celowo potykał się w ciemnościach. W myślach nazywał siebie czasem najstarszym synem pana Ketila.

Westchnął jeszcze raz i dźwignął się na nogi. Z wolna wracał mu rozsądek, choć starczyło pierwszego rzutu oka na okolicę, by strach powrócił. Niejeden wieczór spędził Arnul na zabawach w lesie z Kari, Olavem i bliźniakami i miał się za niezłego tropiciela, ale nigdy nie oddalali się od domostwa dalej niż o milę. Ten las był mu całkowicie obcy – wysokie, smukłe pnie sosnowe strzelały wokół niego jak okiem sięgnąć. Spojrzał w górę – stalowoszare niebo zdobiły rozpędzone blade obłoki. Głośno krzyknął jakiś leśny ptak, podrywając się z wątlých gałązek jałowca.

Obszedł najbliższe drzewo dookoła i dotknął palcami pozieleniałej lekko w jednym miejscu kory.

– Tu jest północ – wymamrotał. – Tedy pójdę na wschód, w stronę gór. Może po drodze jaka ludzka osada się trafi...

Arnul otworzył oczy. Przez chwilę szybko oddychał, nieprzytomnie rozglądając się wokół i próbując oddzielić sen od jawy. Zamazany świat z wolna zyskiwał na ostrości, a karzeł naraz poczuł chłód i wilgoć. Żył. Na przekór koszmarom, żył.

Świtało. Mgła pełzała leniwie wśród pni drzew, a nad głową zziębniętego karła odzywały się już pierwsze ptaki. Arnul pociągnął nosem i na nowo zamknął oczy. Miał już dość.

Właśnie rozpoczynał się trzeci dzień jego wędrówki, trzeci dzień marszu bez

wytchnienia przez niekończący się bór, trzeci dzień bezgłośnego szlochu i sycenia głodu jagodami. To, co pani Frida wsunęła do tobołka, dawno już zjadł, a ognia rozpałić się nie odważył. Polować zaś nie umiał.

Miał przed sobą długie godziny przemykania wśród pni i oglądania za siebie. Znów miał z dala omijać dziuple i wykroty, bo w nich, jak opowiadali goszczący u pana Ketila myśliwi, lubowały się żbiki, rysie i rosomaki, ale też i znacznie niebezpieczniejsze jadolisys czy kroguperze. Znów miał przebiegać brzegami bagiennych sadzawek, trzęsąc się ze strachu przed nixem czy topielicą, omijać skałki leśne, między którymi ponoć trolle zwykły sypiać i nasłuchiwać zgrzytliwych gwizdów tyrdlika czy cmokania wiedźmoszczura, dwóch największych leśnych okrutników.

Mimo wszystko wolał dzień od nocy. W ciemności las stawał się miejscem upiornym. Śpiący na gałęzi Arnul co rusz budził się na odgłos wycia wilków, pohukiwania sów i wrzasków zwierząt, których nazwać nie umiał. Kurczowo przylegał wtedy do konaru, z przerażeniem słuchając powarkiwań i parsknięć. Skrzypnięcia kołyszących się drzew naraz wydawały mu się krokami olbrzymów. Zasypiał znów na krótko – tylko po to, by na nowo zmierzyć się z koszmarem, w którym bezsilnie leży na ziemi, a nienazwane potwory z czerwonymi oczyma otaczają go kręgiem.

Arnul wolno zsunął się z drzewa. Miotają nim dreszcze, a do tobołka nawet nie zaglądał – wiedział, że jest pusty. Westchnął żałośnie i pociągnął nosem. W mgłę szumiał gdzieś strumień i tam karzeł skierował swe pierwsze kroki. Może chociaż wody uda mu się napić przed dalszą włóczęgą.

Naraz zamrugał oczyma – mgła z wolna opadała i dostrzegł prześwit między pniami. Polana? A może droga?

Porwał tobołek i podbiegł kilka kroków.

– Trakt! – szepnął z radością. – Naj... najprawdziwszy!

W istocie. Wśród lasu wiła się piaszczysta droga, na której Arnul dostrzegł nawet ślady kolein. Trakt! Droga do ludzkich sadyb, do ciepła, jedzenia, spokoju! Trakt!

Niespodziewanie jego szpiczaste uszy pochwyciły nowy odgłos. Zamarł w nerwowym oczekiwaniu, ściskając trzonek toporka w garści – teraz już był pewien. Ktoś śpiewał.

Arnul cofnął się w krzaki porastające gęsto brzeg strumienia, a wtedy zza zakrętu wyłonił się rażno idący wędrowiec. Był to pogodny, ciemnooki młodzieniec, odziany w brunatną szatę i podpierający się kosturem podróznym. Szedł i podskakiwał w rytm nuconej przez siebie melodii, aż spod szaty migwały obute w sandały stopy. Wśród kruczoczarnych włosów lśniła znajoma niewielka łysina. Arnul pokręcił głową z niedowierzaniem.

„To kapłan nowej wiary – pomyślał. – To przez nich musiałem odejść z domostwa pana Ketila!”

Naraz w sercu Arnula pojawiło się złowieszcze i dotąd mu nieznane uczucie. Na krótką chwilę miał ochotę unieść toporek i... Nie! Pokręcił głową. Precz, złe myśli!

„Tamtego, Alberta, przecież się bałem – uświadomił sobie. – A ten tu jest taki radosny... Ile twarzy ma ten nowy bóg?”

Cofnął się głębiej w krzaki, ale było już za późno. Młodzieniec naraz zboczył w stronę strumyka, uklękł i wzniosłszy twarz ku niebu, powiedział kilka słów w obcym,

dźwięcznym języku. Następnie położył lewą rękę na mostku, palcami prawej dotknął czoła, brzucha, lewego ramienia, prawego ramienia i dopiero wtedy nabrał wody w garść. Zafascynowany magicznym rytuałem Arnul wychylił się nieco.

Gałązka pod jego kolanem trzasnęła w chwili, gdy chłopiec już zaczynał pić. Nowicjusz uniósł głowę i ze strachem spojrział w nie mniej przerażone oczy karła. Nim Arnul sobie to uświadomił, już stał na szeroko rozstawionych nogach, mocno ściskając toporek.

Minęła sekunda, potem druga i kolejne, a na struchlałego karła dalej nie spadał żaden cios. Nagle dotarło do niego, że przybysz nadal klęczy na brzegu strumyka i zasypuje go mnóstwem słów w owym obcym języku. Zasłonił nagle pobladałą twarz delikatnymi dłońmi, odsłaniając jedynie oczy, którymi nieśmiało, z przestraszonym zerkaniem na karła.

„On się mnie boi?” – Wciąż przestraszony Arnul uniósł lekko brwi.

Nie przestając mówić, obcy trzęsącymi się rękami otworzył swą sakwę i wysypał jakieś pergaminy, jedną księgę, kilka gęsich piór, metalowy krzyżyk na rzemyku oraz niewielką sakiewkę. Tę rzucił pod nogi Arnula.

Karzeł usłyszał brzęk monet.

– Nie... nie jestem rabusiem! – powiedział zdumiony. Głos był chrapliwy, więc Arnul odkaszlnął. Podjął sakiewkę i odrzucił nieznanemu. – Zabierz swoje pieniądze.

Sakiewka wylądowała tuż przed twarzą bijącego właśnie kolejny pokłon obcego. Ten spojrział na nią, zdziwiony do granic, i nieufnie zmierzył wzrokiem postać karła. Arnul naraz przypomniał sobie, że nadal trzyma w garści toporek. Zawstydzony lekko, zatknął go za pasek.

„Nic dziwnego, że się wystraszył. Każdy by się przeraził na widok karła brudasza z kołtunem na łbie i toporzyskiem w łapach”.

– Nie jestem ra... rabusiem – powtórzył przeproszającym tonem. – Ja tylko... Chciałem się napić, to wszystko... Ja nikogo nie chciałem wy... wystraszyć... – Wbrew własnej woli uśmiechnął się. – Idę tam. – Machnął ręką w instynktownie obranym kierunku.

Obcy patrzył na niego w milczeniu, powolnymi ruchami zbierając zawartość swojej sakwy, a na jego policzki znów wypłynął rumieniec. Uśmiechnął się lekko, a kiedy powstał na nogi, Arnul znów ujrzał w nim owego wesołego młodzieńca sprzed chwili. Obcy uczynił znów ów znak na piersiach i zagadał coś szybko.

– Nic nie po... pojmuję! – Arnul rozłożył bezradnie ręce. – *Talar þú norsk?*²⁵

Młodzik westchnął i pokazał północny kierunek.

– W sumie... Tak, tam idę. – Karzeł kiwnął głową.

Nieznanomy zarzucił już sakwę na ramię i odszedł kilka metrów we wskazanym kierunku. Wtedy przystanął i odwrócił się w stronę Arnula. Znowu o coś spytał, tym razem śmiejąc się perliście i machając ręką.

– To ty mnie chcesz prowadzić czy ja ciebie? Przecież to moja kraina! – burknął karzeł. – Choć zresztą, jaka tam moja. Idę, idę, ty dziwaku, tylko pamiętaj, że no... nogi masz dłuższe!

Słońce rzucało jeszcze rdzawy poblask na korę drzew, ale las otulała już mglista szarość. Jednakże na niewielką polankę między starymi, rozłożystymi wiązami mrok wstępu nie miał – małe ognisko płonęło już wesoło, a Arnul grzebał kijem w żarze i przez drgające od gorąca powietrze patrzył na obcego.

Nie bał się już palić ogni. Byli teraz we dwóch, a towarzystwo młodego pielgrzyma sprawiło, że karzeł zgoła nie pamiętał już strachów, które prześladowały go jeszcze rano. Usta obcego zamykały się tylko wtedy, gdy jadł jagody z małego woreczka u pasa – gadał nieustannie, pokazując niebo, drzewa, wymachując swym krzyżykiem, śpiewał i śmiał się, aż karzeł poczuł, jak z wolna ogarnia go znużenie. Na szczęście im bliżej wieczora, tym obcy mówił mniej, a szedł wolniej, jakby był bardzo zmęczony.

Miejsce na nocleg wybrał karzeł, mając nadzieję, że okolica nie kryje żadnych niespodzianek, po czym zebrał chrust i rozpałił ognisko. Nowicjusz usiadł między korzeniami drzewa i zabrał się za czytanie swej księgi. Arnul był głodny i zmęczony zarówno marszem, jak i gadatliwością obcego. Przez ogień widział, że tamten też już najchętniej by zasnął. Nachylał się nad księgą i co rusz zamykał oczy.

Arnul czuł, że i jego powoli ogarnia sen.

Z drugiej strony dogasającego ogniska naraz dobiegł go cichy jęk. Karzeł uniósł się i przewiercił wzrokiem gęstniejące ciemności – czoło pielgrzyma pokryte było błyszczącym potem, a drżące dłonie kurczowo uciskały brzuch. Arnul skoczył na równe nogi.

– *Er yður ilt?*²⁶ – spytał z niepokojem, klęcząc przy nim. – Choryś?

Obcy aż buchał gorączką. Miał szkliste oczy. Naraz dostrzegł karła, a wtedy wyszeptał coś, z trudem odczepiając mały woreczek od paska.

– A to co? – Arnul wziął sakiewkę i wysypał jej zawartość na dłoń. Jego żółte oczy rozwarły się szeroko.

– Wiedźmowe jagody! – Ze wstrętem odrzucił złowieszcze owoce daleko w krzaki. – Tyś to jadł, sza... szaleńcze?! – Głos mu drżał ze zdenerwowania. – Na kości Ymira, może jeszcze nie jest za pó... późno!

Poderwał się i dzikim pędem rzucił się w las, potykając o korzenie i zaglądając pod każdy krzak. Pani Frida nauczyła go wiele o ziołach, i doskonale wiedział, co należy zrobić! Najpierw napar z koziliszku, rdzenia leszczyny i czarnego łopianu, żeby spowodować wymioty i opadnięcie gorączki, a potem drugi, z blizuju wietrznego, bełkotnika, zwisaka promienistego i szczypty soli. Trzeba podawać przez tydzień, to uleczy żołądek. „Zawsze działa – mawiała pani Frida. – Tylko nie wolno podać za dużo soli!”.

Nie miał w ogóle soli, nie widział też odpowiednich ziół. Zawsze tyle ich wszędzie rośło, a teraz nic!

„Przeklęty mrok, szybko, szybko... – myślał Arnul gorączkowo. – O, lipa! Tam musi być koziliszek! Prędeż, na bogów, ten człowiek umiera, a ja... Auu! Przeklęty korzeń! O, jest blizuj! Głupiec, wiedźmowe jagody jeść, przecież kiedy się na nie pod słońce

spojrzy... Gdzie te...”.

Nie słyszał krótkich, konwulsyjnych wrzasków cudzoziemca. Nie słyszał tętentu kopyt, pobrękiwania kolczug, cichych komend. Eksplozja bólu w jego głowie również była bezgłośna.

*Choć dziś miodem turzym
Raduje się przy nas
Gniew między brwiami
W garści trzyma
Nordweg niepokorny!*

Vidar uklonił się lekko w stronę tronu i uniośł wyżej swój róg z miodem. Eryk jakby ocknął się z zadumy. Jego usta uniosły się lekko w nieznacznym półuśmiechu, odsłaniając białe, ostre zęby, po czym władca ujął swój puchar w odpowiedzi na wersy Islandczyka.

Serce Vidara zabiło szybciej z dumy.

– Cały wieczór próbujemy króla naszego rozweselić, a ten ci jedną rymowanką to uczynił! – zawołał z udawanym oburzeniem Thorfinn Kalleson, unosząc własne naczynie.

– Rymowanka! – oburzył się stary Eskil Ulfson. – Jeszczeście łbem o kołyskę uderzali, Thorfinnie synu Kallego, kiedy ja pierwszych rymów słuchałem! Ale zaiste: jak Bóg mi świadkiem, trudno o lepszego skalda niż ty, Vidarze synu Gustava. Zdrowie twoje i króla Eryka syna Halvdana, Białego Jastrzębia! *Skál!*

– *Skál!* – Kilkanaście bogato zdobionych rogów strzeliło w górę.

– Oby Bóg dalej wam tak sprzyjał, panie! – Trygve Ivarson, dumny jarl z Hladir, uklonił się, aż siwe loki zasłoniły mu twarz. Reszta biesiadników poszła za jego przykładem.

– A dlaczego sprzyjać nie ma, jarlu? – udał zdumienie biskup Hieronim, nakładając sobie kolejną porcję baraniny i rękawem przecierając lśniąca od potu czoło. – Wszechmogącemu zawsze miły ten, kto Jego Słowo wśród pogan niesie, a tego, który ma wiele przymiotów, czeka większa łaska. Mojżesz powiódł lud wybrany przez Morze Czerwone... – kontynuował z pełnymi ustami. – Eryk Halvdanson, Biały Jastrząb, prowadzi zaś Słowo Boże na barbarzyńską Północ. – Przełknął i machnął ręką w powietrzu. – Zali to nie jedno? Wybaczcie, panie, śmiałość mą, ale nie mylę się, mówiąc, że i dziś mężowie wielkiej wiary stąpają po świecie i bronią ludzi przed ciemnością. Prawda li to, panowie?

Nikt nie odpowiedział. Niektórzy z biesiadników kiwnęli głowami na znak aprobaty, inni nałożyli sobie nowe porcje na cynowe talerze. Vidar Gustavson uśmiechnął się niedostrzegalnie. Z obecnych przy tym stole, wyjąwszy króla i biskupa, jedynie on znał Biblię i rozpoznał imię wielkiego żydowskiego proroka. Wśród królewskiej świty zaś,

w ogromnej większości dopiero co ochrzczonej, mało kto jeszcze pamiętał, jak należy znak krzyża uczynić czy kto wchodzi w skład Świętej Trójcy, a reputacja biskupa Hieronima jako zacieklego tropiciela zwolenników starej wiary w otoczeniu Eryka skutecznie zniechęcała królewskich przybocznych do podejmowania tematu.

Niespodziewanie natomiast roziskrzył się wzrok Eryka. Vidar wiedział, że król jest rozkochany w opowieściach biblijnych, lecz zdumiały go radość oraz niedowierzenie w niebieskich oczach.

– Ho ho! Toście mą dumę nakarmili! – oznajmił władca. – A nie dworujecie sobie ze mnie, biskupie?

Vidar widział, jak kilku przybocznych Eryka zastygło w nerwowym oczekiwaniu. Atmosfera zgęstniała. Biskup zaprzestał oblizywania palców z tłuszczu i uniósł wyżej brwi.

– Gdzieżby! – oburzył się, rozkładając ręce. – Przez wody Morza Norweskiego waszych wojaków przewieźliście, panie, a potem Bóg was natchnął i zwycięstwo wam zesłał. Pozostaje potęgę waszą oraz Kościoła pomnażać, i w księgach was sławić będą. Prawda li to, skaldzie ?

– A juści, wielebny ojcze! – przytaknął Islandczyk z uśmiechem. – Dniami i nocami słowa składam i czyny naszego władcy opisuję!

– Jeno kto owe słowa czytać będzie... – wyszeptał Eryk, pogardliwie wyginając blade wargi, i spojrzał na nizej położone ławy, gdzie pochodnie płonęły najjaśniej, a piwo lało się najgęstszym strumieniem. Tam nikt trudnymi sprawami nie zaprzętał sobie głowy i zabawa trwała w najlepsze. Biesiadnicy co rusz śpiewali ochryple biesiadne pieśni, wybijając rytm pięścią czy naczyniem o ławę. Potężne, sękaty dłonie, nawykłe do dzidy lub topora, dziś tryumfalnie wymachiwały kurzymi udkami lub pełnymi rogami. Piwo i tłuszcz wnikały w brody i spływały po kaftanach, tunikach i kolczugach. Ci z najśłabszymi głowami leżeli już nieprzytomni na ziemi, w sąsiedztwie obgryzających odpadki ze stołów psów, a reszta, z błyszczącymi oczyma i rumianymi twarzami, w najlepsze wysławiała gościnność swego władcy.

Naraz któryś z wojów dostrzegł, że przyglądają im się jarlowie wraz z królem i biskupem, szturchnął sąsiada, ten potrącił kolejnego i naraz dziesiątki kruz i rogów powędrowało w górę:

– *Skál!* Wasze zdrowie, miłościwy panie! *Heill sé yður!*²⁷ Śmierć twoim wrogom! Gdzie twój sztandar, tam i my! *Skál!* Chwała i sława! *Heill!* – krzyczeli zapalczywie, wstając i wiwatując.

– Niech ci Hugin i Munin drogę wskazują, a Thor siły użyczy! – wrzasnął jakiś zaczerwieniony z przepicia Swij. Na swe nieszczęście w chwili względnej ciszy przy stole.

Po plecach Vidara przebiegły ciarki, a atmosfera przy stole króla stężała. Jak na komendę wszyscy jarlowie odwrócili spojrzenia od wnętrza halli. Siedzący najbliżej pijanego krzykacza zamilkli i podświadomie odsunęli się na boki. W halli wrzaski i śpiewy ucichły na moment, po czym wrzawa gruchnęła ze zdwojoną siłą, jakby wojownicy króla próbowali własnym rykiem pokarać niefrasobliwość jednego

z towarzyszy.

Vidar czuł, jak zimna kropla potu wędruje w dół po jego boku. Jednakże ani król, ani biskup nie sprawiali wrażenia przejętych wrzaskiem podbitego Swija. Biskup Hieronim nawet nie patrzył na salę, a całą swą uwagę poświęcał wydłubywaniu chrząstek z nowej porcji mięsiwa. Król zaś dalej wydymał wargi w zamyśleniu, wciąż trzymając opróżniony kielich w dłoni.

– Spójrzcie na nich – powiedział tak cicho, że siedzący dalej dopiero po chwili zorientowali się, iż monarcha znów zabrał głos. – Banda Nordwegów, Dunów, Irów, Brytów, ludzie z Orkadów, Szetlandów, pewnie kilku Swijów czy Gotów... Zgraja, wataha, tłuszcza... Nie do ksiąg im, nie... Tacy jak oni hulali po Albionie niby wiatr dziki, a ich dziadowie tańcowali na zgliszczach Rzymu... Jak wiatr dziki. A mówią, że wiatru okiełznać się nie da... – Z szelestem szat władca obrócił się lekko w stronę siedzących przy stole. – Mówią, że wiatr nieposłuszny, dziki i niesie krzywdę. A mimo to siedzą tu, posłuszni mej woli! Wiatr w garści trzymam i wypuścić na wroga jestem gotów!

– Wielkie odnieśliśmy zwycięstwo! – Któryś z jarłów wznosił toast, ale szybko opuścił pełny róg, skonfundowany brakiem reakcji. Wszyscy przy królewskiej ławie słuchali z napięciem słów króla.

– Zwycięstwo, druhowie moi. – Eryk przetarł kąciki ust, odsłaniając zęby. – A pomnicie jeszcze tę noc diabelską, kiedy strzaskał się mój knorr i błakaliśmy się zziębnięci i głodni wśród borów na brzegu Nidarosfjorden? Wierzyliście wtedy w to zwycięstwo? Możecie tu przysiąc przede mną i przed wielebnym ojcem Hieronimem, żeście nie przeklinali w duszach szalonego króla i jego marzeń? Możecie, druhowie? – W głosie Eryka zabrzmiała stal. Kilka głów lekko pochyliło się nad talerzami. – Ale zwyciężyliśmy! – podjął władca. – Bóg dał nam wielkie zwycięstwo. Najpierw padło Nidaros, minęło pół roku i mamy kolejne zwycięstwo! Buntownicy rozgromieni pod Cichymi Wzgórzami, kapłani starej wiary kiej zwierzyna po lesie ścigani, a Ringvaldi Niedźwiedź smaży się w piekle wśród swych trolli! – Białe, ostre zęby króla błysnęły, kiedy ten zaniósł się suchym śmiechem. – To wy! – krzyknął niespodziewanie. – To wasze ramiona wiatr okiełznały! To wasze gardła o sławie mojej wykrzykują! To kopyta waszych koni zabobon depczą!

– Słusznie prawicie, panie! – Biskup wykrzywił wargi w półśmiechu. – Braciszkuwie mówią, że nikt w siołach okolicznych złym okiem na krzyż spojrzeć nie śmie. Serce to raduje, a...

– Ejże, wielebny ojcze! – Eryk machnął wąską dłonią. – Zaliby naprawdę was to radowało? Jak może cieszyć przeczytanie pierwszej stronicy wielkiej księgi, skoro sto podobnych jeszcze pozostało? Przecież to początek!

– Początek? – Jarl Finn Ottarson zmarszczył brwi.

– Zalibyś poprzestać na tym zamierzał, Finnie synu Ottara? – Monarcha unosił się coraz bardziej. – Chciałbyś żywot w zamku Nidaros po wsze czasy pędzić, miód popijać i wnuków doglądać, podczas gdy wokół panują gusła i ciemnota? Nasze powołanie to iść dalej i głosić Słowo Boże! Nie wolno nam poprzestawać, przecież Bóg na nas patrzy! – Oczy króla znów błyszczały niezdrowo, a na policzki wypłynął rumieniec. – Druhowie!

Wasze ramiona królestwo dla mnie wyrąbały! Wasze ramiona trzymają wiatr Północy w ryzach! Lecz kto widział wiatr trzymać na wodzy! To – pokazał palcem coraz bardziej pijanych wikingów – to ostatnia uczta na tym zamku. Za dwa dni przybywają posiłki z Albionu, a wtedy naszykujemy nasze hufce i ruszymy na południe. Na południe.

Jarlowie i przyboczni patrzyli na króla z zadziwieniem. Ten i ów odłożył pusty róg lub zastygł z kęsem w drodze do ust. Król nalał sobie trochę wina i zwilżył wargi.

– To nie koniec drogi, ale początek – powtórzył cicho. – Nie uczta na cześć zwycięstwa, lecz jeno przerwa w boju. W boju, który bez was, druhowie, nigdy nie zakończy się zwycięstwem. Wypada więc, bym wam okazał wdzięczność. Was, wielebny ojczy, głową Kościoła nordweskiego pragnę mianować.

– Spodziewałem się tego, ale i tak olbrzymia to radość, królu! – Na okrągłej twarzy duchownego rozlał się uśmiech ekstazy.

– Wyście, Eskilu synu Ulfa – Eryk zwrócił się do siwowłosego wojownika siedzącego po jego lewicy – człek sędziwy, ale słowa roztropnie ważycie, nigdyście się kłamstwem nie skalali, a honor wasz wielu ludzi wysławia. Tedy aarmanem moim was czynię, czyli nad skarbem moim pieczę mieć będziecie.

Stary przyboczny królewski otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Wstał i skłonił się nisko.

– Thorfinnie Kalleson! – Następnym w kolejce był młody, jasnowłosy wojownik z krótką brodą. – Wasz miecz sławny, rozkazy szybkie, ale roztropne, a pomysły śmiałe, lecz zawsze skuteczne. Wiele to cnót jak na tak młody wiek, przeto w pełni zasłużyliście na największą godność, jaką jest *stallari*, przywódca hirdu!

– Na wasze rozkazy, *herra minn!* – zakrzyknął żarliwie Thorfinn. Eryk uśmiechnął się, lecz spoważniał, gdy jego wzrok spoczął na kolejnym z dostojnych biesiadników.

– Wy z kolei, Trygve synu Ivara – ciągnął ze zmrużonymi oczyma – rodem niemal mi samemu dorównujecie, a więc i dla was mam wiele względów. Wyrzekliście się starych bogów i wielce mi pomogliście w walce z Ringvaldim, przeto na wieczną przyjaźń dworu w Nidaros zasłużyliście. Poświadczam, że jarlostwo na Hladir jest twoje na wieki, a z dobroci serca dodam ci ziem i przywilejów. Macie wyłączność na połowy w Nidarosfjorden i handel z Lapończykami. Dufam jednak, że daninę zapłacicie należną i wystawicie zacną drużynę, która dołączy do mej armii.

– Wasza wola! – Twarz jarla na Hladir pozostała niewzruszona.

– Dla ciebie, Floke Wiatrowłosy, dar mam przedziwny. Kiedy już cały Trøndelag przed Białym Jastrzębiem klęknie, właśnie ty lendmannem Nidaros zostaniesz. – Uśmiechnął się lekko na widok radości malującej się na twarzy przybysza z Islandii. – Jednakże już możesz uważać się za pana tych ziem, gdyż to ty wojom z okręgu Nidaros na wojnie przewodzić będziesz. Natomiast was, Vidarze Gustavson, czynię moim głównym pisarzem i prosić będę o spisanie losów powstającego królestwa...

Eryk Halvdanson mówił jeszcze długo i obdarował zaszczytami wszystkich przy swoim stole. Rozochoceni jarlowie i przyboczni bez namysłu podrywali całą salę w toaście za króla, a chóralne „*Skáll!*” uderzało o powałę z siłą równą burzy szalejącej na zewnątrz. Biskup Hieronim ziewnął i przeciągnął się, czym ostudził entuzjazm jarłów.

– O jeszcze jednej rzeczy nasz pan wam nie rzekł – odezwał się mocnym, acz miękkim

głosem. – Kiedy na zimę wrócić w glorii i chwale do Nidaros, wielki cud zastaniecie!

Mający ochotę świętować dostojnicy udali zainteresowanie.

– Otóż – biskup rozłożył pulchne dłonie – już jutro naczniemy kłaść fundamenty pod pierwszą katedrę w Nordwegu. Jeszcze przed zimą jej sława poniesie się po całej Północy, albo i dalej! Swym pięknem i rozmiarami przebije nawet Westminster! Ale tam! – Machnął ręką. – Widzę, że wam jeno zabawa w głowie, tedy zawadą wam nie będę. Bawcie się, a stary klecha już do łoża się uda. Nie dla mnie takie biesiady, już nie dla mnie... *Bless allir!*²⁸ Bywajcie!

Żegnany nieśmiałymi bąknięciami przyszedł biskup Nordwegu wstał z westchnieniem.

– Wybaczcie, druhowie moi, lecz wypada, by ten, kto rządzi ciałami, podał ramię temu, kto rządzi duszami! – oznajmił nagle król, unosząc się z tronu. – Zwólcie, ojcze, że do komnat towarzyszyć wam będę.

– Zwólcie, panie, bym i ja mógł wam towarzyszyć! – Nieoczekiwanie podniósł się jarl Trygve. Siedzący po jego prawicy syn Svein znieruchomiał, zaskoczony do granic, lecz nie wyrzekł ani słowa. Biskup wsparł się na ramieniu królewskim i cała trójka znikła w korytarzu prowadzącym do alkierza biskupiego.

Nie rozmawiali wcale – tuż przed drzwiami do komnaty Hieronim pożegnał ich zmęczonym głosem, a obaj skłonili się nisko.

– Niech aniołowie czuwają nad twym snem, przyjacielu! – szepnął Eryk, wyprostowując się, po czym jego wzrok padł na wysoką postać jarla z Hladir. W blasku odległych pochodni twarz króla nabrała woskowej barwy, a oczy migotały tajemniczo.

– Bawią się – uśmiechnął się stary jarl, wsłuchany w zgiełk biesiady, przerywany teraz chóralną pieśnią. – Zasłużyli.

– Co do jednego. – Oczy króla zwięzły się. – *Já*, niech się bawią, wždy niedługo znów na wojnę ruszą.

– Nie tylko ich męstwu zwycięstwo zawdzięczacie, panie. – Stary jarl wpatrywał się weń intensywnie.

– O waszej zdradzie pod Cichymi Wzgórzami chcecie mówić? – Eryk odsłonił białe zęby. – *Ekki sannur*, jarlu?

– Ciągłe te Ciche Wzgórza! – syknął jarl. – Nie wiem, ile razy Nidelwę lód skuć będzie musiał, by ludzie zapomnieli o tych cholernych Cichych Wzgórzach! Przeklęte miejsce! Wielką niesławą się okryłem, ja i mój ród...

– Czego ode mnie chcesz, jarlu? – Eryk postąpił o krok tak, że jego nos stykał się nieomalże z nosem Trygvego. – Czego? – warczał z wściekłością. – Sumienie was gryzie? Żałujecie decyzji? Za późno, stary jarlu! Źle wam z mianem zdrajcy? Za późno! Trza było się zastanowić, zanim posłańca pchnęliście do mego obozu!

– Nie żałuję swej decyzji, *herra minn!* – Jarl się wyprostował.

– Tedy czego skamlesz? – syczał Eryk.

– Jestem jarlem z Hladir! – huknął niespodziewanie stary. – A tacy jak ja nie skamlą! Wiele poświęciłem, byście zwyciężyli, panie! Sławę moją wam oddałem! Sławę dla was poświęciłem! Nie myślcie tedy, panie, że ja, jarl na Hladir, dam się wam omamić prawem do połowów!

– *Hvað viljið þer?*²⁹ Czego tedy chcesz? – Eryk pokręcił z drwiną głową. – Złota? Ziem?

A może udziału w rządach?

– Złota i ziem mam dosyć. – Oczy jarla błyszczały zuchwale. – Ród mój bogaty i najznacniejszy na tych ziemiach, wciąż szanowany, choć zbrodnią splamiony. Wy zaś, panie, nowi tu. Żony wam trzeba.

Król zmarszczył brwi i przygryzł wargi.

– Myślisz o twej córce Gudrun? – udał zdziwienie. – Dobrze, przyślij ją.

Nie czekając na reakcję jarla, Eryk ruszył z powrotem ku halli.

– Radujecie się na nową wojnę, druhowie? – huknął od progu, przerywając rechoty rozradowanych wojowników.

– A juści! Chwała Bogu! *Heill sé yður!* Sława ci, panie! – dobiegło zewsząd i znów blask płomieni zalśnił na kilku wzniesionych rogach z piwem.

Eryk siedział już na swym stolcu, ujmując róg z gęstym miodem.

– A słyszeliście ten krzyk, co Bogu bluźnił?

– Słyszeliśmy, panie! – Tym razem odpowiedzi były już mniej zdecydowane.

– Tak pytam jeno, bo szepnął mi wielebny biskup, by w dzień radości nie karać nikogo srogo. Szkoda dzielnego ducha łamać, lepiej łaskę okazać i pokutę jakąś naznaczyć. – Na ułamek sekundy królowi zmiękł głos, po czym jego rysy znów powlokła stal. – Thorfinnie! Tak sobie wydumałem, odnajdź ty go jutro i oberznij mu język, coby już nigdy bezceństw nie wygadywał.

Biskup Hieronim wyszeptał kilka słów i w smaganej przeciągami alkwie zapłonęła świeca. Dostojnik zrzucił ze zniecierpliwieniem strojne szaty i z westchnięciem ulgi zasiadł na ulubionym fotelu. Tu, w jego prywatnej komnacie, tajemne rozmowy myszy były bardziej słyszalne od hałasów biesiady, a spokoju najbardziej teraz potrzebował. Z namaszczeniem otworzył wielką, obitą w skórę księgę i już kilka sekund później lektura pochłonęła go całkowicie.

Rozdział 4

Olav starł ostatnie krople deszczu z twarzy i rozejrzał się po Przybytku Ran. Mimo groźnej nazwy była to zaledwie niewielka, cuchnąca speluna, z rzadka odwiedzana przez kogoś poza miejscowymi rybakami. Tego wieczoru jednak karczma wypełniona była po brzegi, a jej gospodarz stary Jori sprawiał wrażenie jedyne szczęśliwego człowieka w Nidaros. Poza nim jednakże nikomu do głowy nawet nie przyszło, by śmiać się czy podśpiewywać. Mrukliwe rozmowy, przerwane czasem przekleństwem, nie były głośniejsze od szelestu deszczu o dach kryty strzechą. Rozlegający się co jakiś czas grzmot sprawiał, że wszyscy milkli na moment. Jori zaś roznosił piwo, klepał po barach stałych bywalców i żartował, lecz jego słowa brzmiały nienaturalnie głośno i sztucznie. Ludzie pili kwaśne piwo i patrzyli nań w milczeniu, z nieokreślonym wyrazem twarzy.

Jori dorzucił chrustu do paleniska pośrodku izby i dym buchnął na boki, przesłaniając na chwilę posępne twarze i nieprzyjazne spojrzenia. Olav zakasłał – chciał co prawda napić się po służbie i ogrzać przy palenisku, ale stęchłe, przesycone dymem powietrze nie syciło ciepłem. Sapnął z niechęcią i już miał się odwrócić, kiedy niespodziewanie na jego bladej, brodatej twarzy pojawił się cień ulgi. Olav ujął włócznię i ruszył w stronę jednej z ław.

– Skąd ja zawsze wiem, że ciebie to ino w najpodlejszych dziurach szukać. – Usiadł ciężko obok pochylonego nad kuflem mężczyzny. Tamten uniósł głowę i wykrzywił wargi w dziwacznym grymasie, który Olav odczytał jako uśmiech. Błękitne oczy znajomego przesłonięte były lekką mgiełką. Ten czknął nieprzetrawionym alkoholem i wyprostował się, zarzucając skudłone, szare włosy na plecy.

– Przyjemnie tu – wychrypiał, po czym pochwycił za kufel, ulał kilka kropel dla skrzatów i wziął potężnego łyka. – Ciepło.

– A juści, przyjemnie jak na pobojuwisku, Haraldzie – parsknął Olav. – Jeno kruków brak.

– *Hrafnarnir*? Kruki? Jak dobrze popatrzeć, to i kruki się znajdują. – Człowiek nazwany Haraldem rzucił złowrogie spojrzenie na przeciwległą ścianę. Przy stojącej tam ławie posilała się czwórka ludzi, spośród których wyróżniał się człowiek w czerwonej tunice z szerokimi rękawami. Jadł niespiesznie, od czasu do czasu unosząc wzrok i patrząc na rybaków ze znużeniem, a nawet pogardą. Nie nosił broni, natomiast trzej jego towarzysze mieli na sobie kolczugi, a ich spojrzenia były badawcze i uważne. Rybacy i żeglarze milkli, napotykając wzrok obcych i natychmiast spoglądali w inną stronę, choć Olav spostrzegł, że niejeden ukradkiem popatrywał w ich stronę. W świetle świecy łojowej pobłyskiwały złotem krzyże na piersiach nieznanym.

Krzyże. Za dnia w Nidaros nauczono się już patrzeć w bok, gdy środkiem zabłoconej uliczki szedł wojownik w kolczudze i z krzyżem na piersi. W nocy zaś przed nimi uciekano – tak po prostu, na wszelki wypadek. Złowieszcza sława wokół zbrojnego po zęby, milczącego orszaku biskupa Hieronima rosła, a lud zdążył już nadać im nazwę,

zazwyczaj cedzoną przez zęby. *Náttfarinn* – Nocny Krzyżowiec.

– Widzisz, Olav. – Jakiś starszy, otyły mężczyzna z przerzedzonymi, siwymi włosami zasiadł ciężko przy Olavowym boku. – To tak jak z łożeniem przez podwórko. Ani to wiesz, kiedy kacze gównu do podeszwy ci przylgnie.

– Edgar! – Olav rozpogodził się nieco. – Jakże by inaczej! Gdzie Harald, tam i Edgar, a może nie tyle sam Edgar, ile jego sakieweczka, he, he, he!

– Ha! I tu się mylisz, huncwocie! – Edgar zmrużył szelmowsko oczy. – Dzisiaj popijamy te kocie szczyny za Haraldowe miedziaki! Ja bym druhów niczym tak tanim nie podjął, he, he, he! Nie to co Harald!

– Harald i srebro? *Nei*, a to ci dopiero! – Olav się uśmiechnął. Pamiętał Haralda od czasów, kiedy razem służyli w drużynie poprzedniego władcy Nidaros: dzielny, choć zapalczywy wojak zawsze sływał z braku pieniędzy. Wszystko, co miał, przepijał, tracił w grze w kości lub zostawał okradziony. – Bogowie ci garniec ze srebrem pod nogi cisnęli?

– Bogowie! – Harald parsknął nagle i uniósł złowrogie spojrzenie znad kufła. – Przymknąbyś lepiej dziupłę, Olav. Źle nynie o bogach gadać, tfu! Źle, psiakrew! Starego Vigurda znałeś? A juści, że znałeś, kto tego opoja nie znał. Ledwie tydzień będzie, jak to szedł po nocy z dwoma druhami. Razem jakieś banialuki o dziwkach Thora śpiewali. Pijani w sztok, tak se ryczeli, dla uciechy. Wszyscy trzej w zamkowych lochach gniją.

Dopił piwo i odstawił kufel. Pozostali patrzyli na niego w milczeniu.

– Do lochów za byle przyśpiewkę? – wyjąkał Olav i przetaił wilgotne czoło.

– Łajnojady! – warknął Harald cicho, spoglądając w stronę przybyszy z krzyżami. – By im języki korą porosły, sucze nasienie! Ani to wiesz, kiedy ci tacy w drogę wleżą i pytania zadawać zaczną! A co byś takiemu synowi nie powiedział, to i tak znajdzie powód, by do ciemnicy wtrącić! Bękarty Lokiego! Zmije! To tu się włóczą, to tam, to tu spytają to tam... Węszą, węszą, aż wywęszą...

– *Þegiðu*, Haraldzie, synku! – Edgar ścisnął go za łokieć, z niepokojem patrząc po sąsiadach. – Młócisz ozorem kiej dziewoja, co na miesiąc czeka! Widzisz, nowe czasy, nowy król...

– I ty to mówisz, Edgar... – W zamglonych oczach Haralda pojawił się żal. – Kiedyś sam u boku Ringvaldiego Niedźwiedzia na Albion pływałeś. Dwory łupiłeś, bogów chwaliłeś! Nieraz żeśmy razem czatowali u ujścia Götaelvy na statki kupieckie! To był dobry porządek. Dobry. A teraz?

– Ba! – Edgar lekko się zmieszał. – Ale cóż my począć możemy? Nowe przylazło i nijak z tym wojować... Lepiej jadakę przymknąć i poczekać ździebko. O właśnie, Harald, czekać! My wolny naród, Harald, i długo smyczy nie zniesiem. Nie my jedni na Halvdansona złorzeczymy, to pewne. Ludziska wychowani, by Thora wzywać i Odynowi się kłaniać, Długo nie zdzierzą nowego porządku. Sam zobaczysz. Poczekaaj, a kiedy gniew wzbierze...

– Już raz się gniew wezbrał! – Harald parsknął. – Byłem pod Cichymi Wzgórzami, widziałem tych, co ich potem kruki grzebały!

Z trzaskiem postawił kufel. Kilka twarzy spojrzało z niepokojem w jego kierunku.

– *Begiðu!* Cichaj, psi chwoście. Pomnisz me słowa. Rychło inny na tronie zasiądzie, jakem Edgar, a po drodze może wyprawa jaka się trafi...

– Wyprawa! – Haraldowi błysnęły oczy. – Daliby... – Przerwał i zmełł przekleństwo.

– A widzisz. – Edgar pokiwał głową zamyślony. – A ty co tak te gały wybałuszasz, jakby ci kto kołek w rzyć wraził! – wydarł się nagle na karczmarza, który kręcił się wokół ich stołu. – Migiem piwska donieś, ale z innej beczki! Nie z tej, do której ci czeladź sika!

Jori pokiwał głową i pokuszykał szybko w kierunku spiżarni. Ludzie podnieśli na moment oczy i uśmiechy pojawiły się na zmęczonych, szarych twarzach. Przez szum deszczu przedarł się ryk pioruna.

– Musi, że wyprawa niedługo – podjął Olav, kiedy wystraszony karczmarz postawił przed nimi pełne kufle i sprzątnął stare. – Straż na Bramie Południowej miałem i ino wozy przed bramami widziałem. Koniuchy wiodły całe stada koni na postronkach! Kowale tłuką w kowadła jak szaleni, chłopci zboże zwożą. Może na Albion się Halvdanson szykuje?

– Iii tam... – Edgar znowu machnął ręką. – Głupio gadasz, Olav, jakbyś ceber trocin zeżarł. Albiończycy to nynie druhowie naszego konunga najmilejsi, jakże ma się na nich z drużynami wyprawiać? Obejrzyj się wokół siebie! Więcej tej psiej mowy na ulicach Nidaros niżli naszej, a i sam ten no... biskup to Albiończyk, choć po naszymu gada! A gdzie tam daleko szukać. – Edgar zniżył głos i ukradkiem wskazał obcych, którzy zakończyli posiłek i o czymś gwarzyli z usługującym im Jorim. – A ci, Olav, barani łbie jeden, to co? Nordwegowie może? *Andskotinn*³⁰, psia mać! No, jeden, dwóch może. Nie, nie pójdziemy ani na Albion, ani na inny kraj, co się Bogowi na Krzyżu pokłonił.

– No ale wiele takich krajów to chyba nie ma, co? – zawahał się Olav. – Erin, Albion, Frankia, Germania... Znajomek jeden mi mówił, że i Flandria z Fryzją...

– Sporo tych krajów. – Harald wykrzywił się, łypiąc złowrogo w stronę Edgara.

– Do Finów może popłyniem?

– Ciężko tam znaleźć coś wartego zrabowania, a chędożyć to chyba kozy przyjdzie. – Edgar się skrzywił. – Na Wielkim Morzu udzielni konungowie, co bogom naszym powolni, ale na tych się konung nie rzuci. Floty nie ma.

– Na Polan chadzało się pod Niedźwiedziem.

– I Polanie łby ugięli przed krzyżami – zmarszczył brwi Edgar. – W porcie z jednym znajomkiem zem gadał. Obodrzyci ponoć rozsierzzeni, Arkona syczy jak worek żmij, a nasi bracia z Jomsborga uszy po sobie kładą i czekają! Nie, nie ruszymy się z Północy, nie ruszymy...

– Co tedy wydumałeś! – spytał zaciekawiony Olav.

– Na resztę kraju pójdziemy, ot co! – Edgar podrapał się po szyi. – Widzi mi się, że nasz konung to charakternik i szybko mu się nowe ziemie zamará. Nie ścierpi, że sąsiedzi równie możni co on. Przegoni ich stałą i postronkami powiąże, oto, co będzie! Niech mi rzyć pokrzywami zarośnie, jeśli się mylę.

Harald jednym haustem opróżnił kufel i odstawił go z hukiem na ławę. Jego spojrzenie było mętne, a ruchy niepewne.

– Mądrze gadasz, Edgar – oznajmił bełkotliwym głosem. – Na sąsiadów pójdziem. Sąsiadów i krewnych będziemy rzezać. Nie grabić, palić i sławy szukać, jeno zajmować osady i do królewskich kolan rzucać. Kiej psy do łowów przyuczone! Równo przy nodze, a jak Biały Jastrząb zająca wskaże, tedy w zębach przynieść będzie trza! Dziwny to wódz, co najpierw odbiera swym wojom bogów, a potem wolność i sławę! – Splunął siarczyście na podłogę. – Sławę! *Andskotinn!*

– Rok temu jeszcze – podjął, gdy Jori postawił przed nim nowy kufel – byliśmy wikingami, Edgar. W drużynie zacnych jarłów służyliśmy! Pod ich sztandarami pły... pływaliśmy na dalekie wyprawy... pływaliśmy! A ci nie zadzierali nosa. W jednym szeregu z nami stali, przy jednej ławie ucztowali... Byliśmy wikingami! Jak zginiesz, mówiliśmy, walkirie wezmą cię do Valhalla, tedy walcz dzielnie, byś zasłużył! I walczyliśmy! *Já*, o złoto, łupy i kobiety, ale przede wszystkim o sławę! O sławę woja! A nynie? – Zachwiał się na ławie, ale w ostatniej chwili chwycił się blatu. – Nynie nie już masz Valhalla, bo jaśnie pan się golonych łbów nasłuchał! Nie masz sławy, ino rozkazy i zachcianki! Nynie przed no... nowym bogiem plackiem mus leżeć, a po śmierci do otchłani! Do otchłani, bo to, co jeszcze zeszłego roku dobre było, dziś jest złe! Trza przeproszać, że się mięso zre w niedzielę i żałować! A ja będę żarł w niedzielę, bo lubię! Miłować nam się każą, też ci pomysł... Jak mamy być wojownikami, skoro mamy się miłować? Jak? Dają nam topory nowe, stal dzielna, ale nie samą stalą człek wojuje! Miód musi mieć, pieśń dobrą, druhów zacnych i cel! Cel! A po co walczyć będziem, skoro cały świat przed krzyżem się korzy, a tych król nie ruszy? Gdzie miód? Gdzie pieśni? Gdzie wyprawy? Słuchałem ci ja raz takiego wygolonego będzie z pięć lat temu na ulicy w Hedeby. Gadał o tym nowym Bogu, a dzieciaki psim gównem w niego ciskały! A nynie rozsiedli się panowie i nuże po rzyci...

– Cichaj, Harald! – Szarpał go za rękaw przestraszony Edgar. Na szczęście w karczmie zapanował lekki rumor, gdyż obcy z krzyżami właśnie naciągali płaszcze i wychodzili, odprowadzani przez kłaniającego się gospodarza. Znów huknął piorun, a przez uchylone drzwi Edgar dojrzał kontury domów, obramowane jasnoniebieską poświatą. Srebrne krzyże błysnęły po raz ostatni i atmosfera natychmiast zelżała – rozmowy stały się głośniejsze i rozległy się pierwsze śmiechy.

– *Aldrei!*³¹ Nie będę cicho! – zaryczał pijany wiking. – Nawet dzie... dzieciaki się śmiały, pojmujesz? Gadał ten wygolony o miłości i... i że zemsty trza poniechać! *Fjandinn!*³² Co, zelży mnie jakiś psi chwost i mam mu darować? Mam bez broni chodzić? Mam miłować wszystkich, nawet Finów czy Piktów? Chciałem już tę szmatę rozszczepić, by ludziom ulżyło ale szkoda topór brudzić juchą nieczystą! I co? Pięć lat jeno minęło, a już tacy w kraju rządzą, uczciwych ludzi do lochu wtrącają, i ja mam być cicho?

– Przymknij już się, Harald – rzucił ostro Edgar. – Jeszcze biedy sobie napytasz!

– Juści. – Harald zwiesił nagle głowę nisko i potarł nieogolone policzki brudną dłonią. – Jestem dziesiątnikiem wojsk króla Nidaros. Już nie jestem wi... wikingiem. Odbieram żołd królewski i posłusznie trza mi karły po lasach łapać! – czknął.

– Karły? – zdumiał się Olav. – O czym on gada?

– Widzisz, z tego cała ta bieda – westchnął Edgar. – Miał ci on dzisiaj na spotkanie

jakiemuś klesze wyjechać, co w południowych krainach był się urodził i kraju nie zna. Pojechał tedy samoczwart na szlak i znalazł tamtego, jeno martwego. Nad nim karzeł siedział i ponoć czary jakieś wyczyniał. Uciekać próbował, ale dorwali go i do zamku przywlekli.

– *Fjandinn!* Chryja z tego będzie, oj będzie! – wybełkotał Harald trzymając się za głowę. – Najpierw trolle nasz pan i władca ochrzcić raczył próbować, a teraz karły? Troll głu... głupi bydlak i samotnie po skałach żyje. Ale karły? Karły lepiej w pokoju zostawić, bo mściwe to a podstępne... Ale złapać trza było, bo by mnie król za jaja na murze zamkowym obwiesił!

– Nie wolno z karłów kpić! Nie wolno ręki na nich podnosić! – zatrzęsł się Olav. – Straszne one! Babka mi mówiła...

– Twoja babka miała wielkie oczy, jak ją pół wieku temu chędożyłem! – warknął Edgar. – Zamknij tedy klapę, a ty już lepiej idź do domu, Harald! I przestań myśleć o trollach, karłach i Valhalli. Biadolicie obaj kiej stare baby!

– *Já*, tak będzie naj... najlepiej – zgodził się Harald i dźwignął chwiejnie z ławy. – Wszyscy wojownicy jegomości króla piją królewskie piwo na zamku, a naczelnny karłołap musi bredzić wraz z dwó... dwójką innych nieudaczników w najpodlejszej dziurze w całym Midgardzie! – Niezgrabnymi ruchami, zataczając się, narzucił na szerokie ramiona płaszcz i, nie dopinając go, ruszył w stronę drzwi.

– Harald! – zawołał za nim Edgar.

– Postaw nam jeszcze po piwku!

– *Hvað?*

– No, nie bądź pijawka! To i tak sakiewka tego karła, nie twoja!

Gorąca struga chlusnęła o powierzchnię wolno pełznącego rynsztoku. Harald, ciężko dysząc, otarł usta rękawem i oparł się o dom. Żołądek wciąż pulsował od nudności, lecz wiking czuł już się lepiej. Jeszcze raz odetchnął głęboko, przełknął ślinę i odepchnął się od chropowatej ściany.

Od razu zszedł z drewnianego bruku i wdepnął w głęboką kałużę. Zaklął wściekle, lecz niespodziewany kontakt z zimną wodą przywróciły mu trochę przytomności. „Prycza – przypomniał sobie. – Moja własna, cuchnąca prycza”. Uchwyciwszy się tej myśli, zataczając się, ruszył naprzód.

Burza umilkła krótko po tym, jak opuścił Przybytek Ran i niebo z ponurej, złowieszczej czerni zmieniło szatę na ciemny granat. Harald wciąż czuł gorzki smak w ustach, w jego butach chlapała woda, a kroki były niepewne, lecz oddech wiatru znad morza przywracał mu siły. Chciał nawet pośpiewać, ale nieposłuszne słowa umykały mu... Eech, ryknąć by tak z całej piersi na cześć Jednookiego, ryknąć! Karczmarz kocie szczyny podaje, ale co za dużo, to... No, za dużo... Piękne te gwiazdy, ale na pełnym morzu piękniejsze... Hej, Thorze, pozwolisz ty mi jeszcze kiedy za rumpel chwycić, co, stary capie? Słyszysz ty mnie? Na morze, na morze!!! Wskoczyć na piach w zatoczce,

pod osłoną mgły przez wrzosa przebiec i zaatakować o świcie, przez zaskoczenie! Ciąć, rąbać, gwałcić, wszystko na twoją chwałę, Thorze! Topór w garści, a drugiej tarcza i raz, i drugi, rąb...

Królewskie zamczysko, które wyrosło pośrodku Nidaros na miejscu dawnego dworzyszczu, odcinało się ciemnym konturem na tle nocy. Harald przystanął – niezgrabne cielsko kamiennego giganta ozdobione było licznymi, jasnymi punktami. Na piętrze wciąż trwała uczta. Naraz wiking odniósł wrażenie, iż jak na szyderstwo wiatr przynosi mu odgłosy zabawy.

– Bawicie się, kozie syny! – warknął. – Całujcie te krzyże i chlejcie piwo za nowego Boga! A staremu wikingowi kopa w rzyć, a jak! Przywieź mnicha, złap karła, a potem won na ulicę! Łajno dziś wikińska sława, łajno. *Andskotinn!* Niczym psa mnie gonia... A przecież zem drużynnik króla Eryka syna Hal... Halvdana, psiej mordy!

Harald splunął i odwrócił się od zamku tam, gdzie ciągnęła się przystań, a za nią bezkresne morze. Naraz w zamglonym umyśle pojawiła się myśl, ostra i krystaliczna. Już wiedział, co powinien zrobić. Prześpi się nie w szopie drużynnej, lecz w jakiejś szopie lub choćby pod gołym niebem, a rano popyta i gdzieś się zaciągnie. Nim w dzwon w kaplicy uderzą, on już będzie na morzu. Wolny.

Idących w jego stronę mężczyzn zauważył dopiero wtedy, gdy skręcił w stronę przystani. Było ich dwóch i mieli na sobie ciemne płaszcze, uniesione z tyłu pochwami mieczy. Szli zdecydowanym krokiem, wyprostowani, po przeciwległych stronach ulicy, wzajemnie się ubezpieczając.

Serce Haraldą przyśpieszyło, a dłoń skoczyła do boku, gdzie natrafiła na pustkę. Cholera! Przecież topór zostawił w koszarach! Złapał zatem rękojeść ciężkiego, jednosiecznego noża za pasem, swej jedynej broni.

– Coście za jedni? – zapytał nadchodzących ludzi ochryplym z emocji głosem.

– Przyjaciółmi – szepnął głos tuż przy jego uchu.

Przerażony wiking odwrócił się błyskawicznie, a wtedy mrok ulicy eksplodował bólem. Ostatnią rzeczą, jaką zauważył, był połyskujący srebrny krzyż

– Przyjaciółmi, którzy nigdy ostrego oręza na swego nie dobędą – dokończył trzeci z nieznanomych, zatrzymując się nad leżącym Haraldem i zawieszając przy pasie nabijaną świekami pałkę. W jego głosie wyraźnie pobrzmiwał zamorski akcent.

– Przyjaciółmi Krzyża...

Szczur był ogromny, większy od kociaka. W jego czarnych, przypominających koraliki oczkach odbijał się blask odległej pochodni, a wąsiki drgały. Mokra sierść lśniła aż po grubego ogona.

– *Farðu til fjandanns...* – stęknął Harald, czyniąc słaby ruch ręką. – Poszedł stąd...

Szczur ani drgnął.

– Won, ścierwo – stęknął ponownie wiking i wolno usiadł. Ból szalał się w jego głowie niczym sztorm. Harald zacisnął zęby i z zamkniętymi oczyma oczekiwał na

cokolwiek, co przyniosłoby mu ulgę.

Otworzył oczy, choć kosztowało go to wiele, i z niedowierzaniem omiótł wzrokiem żelazne kraty, zagradzające wyjście z ciemnej komnaty, w której leżał. Po chropowatych ścianach sunęły krople wody. Siano, na którym leżał, było wilgotne.

Z korytarza dochodziły nieziemskie wrzaski. Na ramionach wojownika pojawiła się gęsia skórka.

– Przyjaciele...

W głębi celi coś zaszeleściło. Wystraszony Harald odwrócił się błyskawicznie i dostrzegł błyszczące w ciemnościach lekko skośne oczy.

– Ktoś ty?

Naraz oczy wojownika zwięziły się ze strachu, kiedy tamten wstał i nieśmiało zbliżył się do odległego źródła światła.

– *Dvergur...*

Cichym kichnięciem szczur oznajmił swoje znudzenie i jego opasłe cielsko znikło w mroku celi.



Rozdział 5

O świcie trzeciego dnia niewoli Arnula i Haralda wyrwało ze snu kilku wojów królewskich. Arnul spodziewał się najgorszego, lecz strażnicy zaprowadzili ich jedynie do zimnej, pustej komnaty i nakazali usiąść na jednej z ław. Sami stanęli na straży przy drzwiach i zapadła cisza, zakłócana jedynie rzeniem koni i pokrzykiwaniami woźniców, wpadającymi przez niewielkie okienko pod sufitem. Odgłosy przywiały wspomnienia z gospodarstwa pana Ketila i Arnul westchnął w duchu żałości. Co ich miało spotkać? I kim właściwie jest to zwierzę w ludzkiej skórze, które siedziało teraz obok niego?

Bał się nawet zerknąć na swego towarzysza z celi. Pierwszego dnia obcy milczał, mierząc karła pełnym lęku wzrokiem i podrywając się za każdym razem, gdy ten wykonywał jakiś gwałtowniejszy ruch. Na drugi dzień chyba zrozumiał, że karzeł był równie bezradny i zagubiony, co on, a wtedy jego strach poczęła zastępować nienawiść. Pod wieczór niespodziewanie go zaatakował. „To przez ciebie tu jestem, pokrako! – wycharczał, zaciskając ogromne dłonie na gardle Arnula. – Utłukę cię, zjawo z gór, słyszysz? Słyszysz mnie?”. Karzeł nie pamiętał, jak mu się wyrwał, ale tej nocy już oka nie zmrużył. Czuwał zakopany w słomie w najgłębszym kącie celi, drgając przy najdrobniejszym nawet odgłosie.

Zbliżające się echo kroków na kamiennej posadzce odeгнаło ponure myśli. Naraz na progu komnaty stanął niewysoki, ale dobrze zbudowany mężczyzna w średnim wieku. Miał przystojną, dokładnie ogoloną twarz i długie, czarne włosy, splecione w warkocz na plecach. Nosił na sobie skórzany kaftan nabijany ćwiekami, a u pasa miecz. Na ławie położył zwój pergaminu, kałamarz oraz kilka gęsich piór.

– Powstańcie – polecił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Współwięzień Arnula mruknął coś pod nosem i wstał z brzękiem łańcuchów. Karzeł czym prędzej poszedł w jego ślady. W ślad za jeźdźcem do komnaty wszedł przygarbiony, niemłody już człowiek w burej szacie z żelaznym krzyżem na piersiach. Ruchy przybysza były powolne i stateczne, jednakże jego głowa obracała się błyskawicznie, a żywe spojrzenie strzelało jeszcze szybciej. Spojrzenie niebieskich, otoczonych delikatną siateczką zmarszczek oczu ścięło Arnulowi krew w żyłach. Współwięzień karła wypuścił ze świstem powietrze z płuc.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – Dworzanin z warkoczem ukłonił się nisko.

– Na wieki wieków. – Kapłan zasiadł na ławie, na której właśnie jeden ze strażników rozłożył baranią skórę. – Cieszę się, Vidarze, że znalazłeś jeszcze czas, by mnie, starego, w sądach nad poganami wspomóc.

– Żarty sobie z ubogiego skalda stroicie, wielebny ojcze – uśmiechnął się z zażenowaniem Vidar, również siadając. – Któż was radą wspomůže... Przecie ludzie już o waszej mądrości legendy opowiadają, ojcze Flawiuszu!

– A jedźże już, Vidarze, na tę wyprawę, odpocznę od tych waszych kłamstewek –

Kapłan uśmiechnął się lekko, ale w oczach natychmiast błysnęła stal. – Zabrać ławę poganom – zwrócił się do wojów. – Jeśli nie wydołają ustać w obliczu boskiego majestatu – wskazał krzyż na ścianie – znak, że ciemnym mocom służą i sądy żadne niepotrzebne. Kimże są oni, Vidarze, i jakie są ich grzechy?

– Człowiek to Harald Yngvarson, zwany Tordenem – odczytał Vidar z pergaminu. – Duński najemnik i wagabunda. Walczył w Anglii, Irl...

– Winy czytaj – przerwał mu kapłan.

– Khm... Ujęty przez rycerzy ze świty biskupiej zaraz po tym, jak podjudzał do spisku przeciw królowi i wierze w Boga Wszechmogącego w karczmie Przybytek Ran. Wielu go słyszało.

– Przybytek Ran? – skrzywił się starzec. – Kpicie chyba ze mnie, drogi Vidarze... Ktoś miał tupet nazwać karczmę imieniem morskiego bożka?

– To znaczy... Rozkazem miłościwego pana zmieniono nazwę na Rozśpiewany Rybak, ale ludziska wciąż starej nazwy używają.

– A wy, mości Vidarze? Starej nazwy wraz z innymi używacie?

– Skądże, wasza wielbność... Tak jeno w zeznaniach mam zapisane.

– Dobrze zatem. Kto naprowadził krzyżowców na ślad poganina?

– Karczmarz, widzi mi się – odparł lekko poblady Vidar, zaglądając w pergaminy.

Harald zgrzytnął zębami, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

– A karzeł?

– Pojmano go nad trupem młodego nowicjusza Fabia, kiedy eliksiry tajemne warzył. Nie ma wątpliwości, że to on śmierć na Fabio zesłał, bo któżby inny? Zrządzeniem boskim przez onego dziesiętnika Haralda złapany.

– Zrządzenie boskie zaiste... – Ojciec Flawiusz zamyślił się. – Dziesiętnik łapie karła, który magię uprawia, a potem sam w lochu za spiskowanie łąduje. Osobliwe. – Uśmiechnął się ponuro. – Ale czy to pierwsza zmowa w tym okrutnym świecie? – Nagle powstał, uczynił znak krzyża w powietrzu i oznajmił mocnym głosem: – *In nomine patris et filli et spiritus sancti*. Panie Boże, natchnij nas swą mądrością, aby nasze rozsądzenie było sprawiedliwe, oraz pozwól tej dwójce miłosierdzie Twe nieskończone poznać i łaski zbawienia dostąpić. Amen.

– Amen – odpowiedział Vidar.

– Zatem. – Twarde spojrzenie mnicha znów uderzyło w Arnula i Haralda. W pokoju zrobiło się ciemniej. – Czy godzicie się z waszymi grzechami, żałujecie za nie i chcecie błagać o przebaczenie?

– Wielbny ojcze – ozwał się drżącym ze strachu i gniewu głosem Harald. – Ja bym się i ukorzył, ale... Ja żem z nikim nie spiskował, a ten karczmarz, łajdak plugawy, oby mu...

– Bez obelżywych słów, prostaku! – warknął Vidar, przerywając pisanie.

– „Psioczył na rycerzy ze świty biskupiej, mówiąc, iż starej wiary wyznawać mu wzbraniają – odczytał suchym głosem ojciec Flawiusz z pergaminu leżącego przed nim. – Mówił, iż naród prędko nauki Chrystusa porzuci i innego konunga na stolcu królewskim osadzi, a tamci słuchali go i radowali się”. Takie są słowa karczmarza owego. Prawda li to?

– Eee... Ten karczmarz....

– Zatem wyrzekasz się tych słów? Karczmarz na Pismo Święte poprzysiągł! – Oczy księdza, otoczone siecią zmarszczek, przewiercały go na wylot. – Gotowyś sam przysiąc? – zapytał.

– Nim niebaczne słowo powiesz, pomnij, że za krzywoprzysięstwo Bóg Ojciec piorunem cię ugodzi! – Głos Vidara był poważny. – Nie ty pierwszy, kogo tak pokarać będzie raczył!

Harald przełknął ślinę. Niejedno już słyszał o mocy księgi, którą zza mórz kapłani Nowego przywieźli, a pismo, jak niegdyś runy, darzył nabożnym lękiem. „To Edgar mówił! Nie ja!” – pomyślał z rozpaczą, ale nie odezwał się ani słowem i pochylił głowę.

– Zatem zgadzasz się z tym, co mówi karczmarz? – spytał ojciec, ujmując pióro.

– Padły... takie słowa... – wycharczał Harald.

Czuł, jak wzbiera w nim gniew. Nie dbał już o to, że oskarżają go o słowa Edgara. Teraz miał ochotę poderwać się i gołymi rękami rozszarpać tych kłamców, ale w miejscu trzymało go chłodne, niezrozumiałe przerażenie. Nieraz był o krok od śmierci – jak choćby wtedy, gdy opadła ich albionka konnica, lub tej nocy, gdy utonęła Solveig – ale nigdy wcześniej nie czuł takiego strachu. Miał przed sobą, nie licząc straży, zaledwie dwóch ludzi, z czego jeden był stary i przygarbiony. Zabiłby go jednym ciosem pięści! Z wściekłości zaciskał dłonie tak mocno, że paznokcie przebiły mu skórę. Nie mógł pogodzić się z tym, że jego los – człowieka twardego i mężnego – spoczywała w pomarszczonej, drżącej dłoni księdza, która lada moment opuści pióro.

– Hmm, padły te słowa – mruknął ojciec Flawiusz, skrobiąc piórem po pergaminie. – Oszczędziłeś nam czasu, najemniku.

– Zatem zdrada – westchnął Vidar. – Chwała Bogu i biskupim rycerzom! A karzeł, wielebny ojcze, i jego wina?

– Ach, byłbym zapomniał. – Duchowny się wyprostował. – Co tu dużo mówić... Przyznajesz się do winy, piekielna istoto?

Arnul obliznął wargi i przywołał wszystkie swe siły, by odpowiedzieć...

– Ja... Ja go spotkałem i... On był taki wesoły... Szliśmy razem... On dużo mówił...

– Karle, zadałem ci pytanie!

– ... I jadł jagody i był chory... A ja...

– Przyznajesz się do winy?

– Nie!

Po brudnej twarzy karła popłynęły łzy.

– Nie przyznajesz się do otrucia brata Fabia? – Ojciec Flawiusz zmrużył oczy i skupił wzrok na drżącej sylwetce Arnula.

– On sam się otruł...

– *Lygarinn þinn!*³³ – Żyłasta dłoń duchownego uderzyła o ławę. – Łcesz, kreaturo! Jak śmiesz znieważać majestat naszej wiary! Przykazania wiary zakazują nam zadawać śmierć sobie samym, a moc Pańska czuwa nad pielgrzymami i od złego wszelakiego ich chroni, pokrako!

– On jadł wiedźmowe jagody... Ja chciałem...

– Ha, ha, co za bezczelność! – zaśmiał się Vidar. – Nawet dziecko wie, iż nie wolno jeść wiedźmowych jagód, bo śmierć w mękach przynoszą!

– Karle, nadwierzasz naszą cierpliwość – warknął ojciec Flawiusz. – Zeznanie mówi...

– Wielebny ojciec – odezwał się naraz Harald. Stał wyprostowany, a jego oczy błyszczały. – Wedle moich słów to zeznanie spisane, bom ja tego karła ułapił. Żadnych magicznych rytuałów nie widziałem i o niczym takim nikomu nie mówiłem. Mogę przysiąc na to wasze pismo – dodał po chwili.

Serce biło mu szybciej. Odczuwał radość na widok konsternacji na twarzy Vidara, ale oblicze księdza pozostało kamienne.

– A znalazłeś ty, najemniku, ślad choćby wiedźmowej jagody przy trupie młodego Fabia? – spytał, powoli przenosząc wzrok na Haralda.

– Eee... Nie...

– Umysł twój prosty niczym dziecka, Haraldzie synu Yngvara. Nie wiesz, że magia karłów jest złośliwa i nie ma dla nich wroga większego niż człowiek, zwłaszcza ten, co Bożą wolę wypełnia.. Nie ma co języka strzępić. Wina karła jest oczywista.

Nagle Arnul przypomniał sobie chwilę, gdy wyrzucił sakiewkę z wiedźmowymi jagodami daleko między drzewa i zwiesił bezsilnie głowę.

– Za zamach na Kościół kara jedna tylko być może – grobowym głosem oznajmił duchowny. – Śmierć w ogniu. Znajcie jednak miłosierdzie Pana Naszego, gdyż oto wielkie dni dla Kościoła nordweskiego nadchodzą, a niebawem ma stanąć nowa, kamienna świątynia w Nidaros. Przeto jako pokutę wyznaczam wam obu pracę przy budowie, aż do dnia jej zakończenia. Jeśli pierwsza msza w nowym kościele żywych was zastanie, a prób ucieczki czy innych niegodziwości się nie podejmiecie, tedy sąd na nowo winę waszą rozpatrzy. Amen.

– Amen.

– Wyprowadzić ich.

Ojciec Flawiusz wyszedł, szepcząc egzorcyzmy pod nosem, strażnicy wymaszerowali, a Vidar wciąż siedział na ławie i niezdecydowanie obracał w palcach pióro. Zawsze chętnie towarzyszył mnichom w sądach nad poganami, bo kusiała go każda możliwość dodania nowego szczegółu do sagi o Białym Jastrzębiu. A teraz...

Jego duszę targaly niesprecyzowane uczucia. Na jasnej ryzie pergaminu zasychały już kropelki krwi Haralda. Wyprowadzany wojownik niespodziewanie rozpostarł dłoń i krew z przebitej paznokciami skóry opryskała rękę Vidara i fragment księgi. Skald zrozumiał znaczenie zarówno gestu, jak i zimnego spojrzenia bladoniebieskich oczu – wojownik obiecywał mu zemstę.

A karzeł? Nie był zniekształcony ani szkaradny, nie buchał mroczną nienawiścią ani nie wzywał demonów na pomoc. Vidar nie dostrzegł nic z rzeczy, które usłyszał w kazaniach w kapliczce zamkowej. Karzeł był... Był zwyczajny. Cóż, wyróżniał się niskim wzrostem i szerokimi ramionami, oczy miał skośne, a uszy lekko szpiczaste, ale

nie było w nim niczego odrażającego. Brudny i wynędzniały, przypominał wręcz ludzkie dziecko.

Ale czy mógł wątpić w słusność osądu ojca Flawiusza? Wszak mnich był człowiekiem uczonym i w Piśmie Świętym obeznanym, a dostojnością ustępował jedynie biskupowi Hieronimowi. Nie, musiał uwierzyć.

Vidar Gustavson zatrzasnął księgę, wsadził ją pod ramię i wyszedł pośpiesznie.

– Nadjeżdża Islandczyk, panie – zawołał Finn Ottarson.

– Wreszcie – oznajmił król, który niespokojnie wiercił się w siodle, co rusz oglądając za niknącymi między wzgórzami taborami. Wiatr unosił poły czerwonego płaszcza z białym jastrzębiem.

– Po co nam czekać na niego? – zżymał się stary Eskil. – Przecież to skald, a nie wojak. Zdolny, ale tylko rymami...

– Lubię go mieć przy sobie – uciął krótko król.

Eskil umilkł. Cała trójka obserwowała, jak Vidar Gustavson wystrzelił z bram miasta na swoim bułanym rumaku i nim minęła chwila, zdyszany i zarumieniony zrównał się z królewskim orszakiem.

– Co cię tak długo wstrzymało, Vidarze? – spytał Eryk, zawracając już konia.

– Ojciec Flawiusz prosił, żebym mu pomógł w osądzie dwóch pogan – odparł skald.

– I przysłużyłeś się, skaldzie?

– Ojciec Flawiusz to mądry człek – padła odpowiedź. – Nic mu po mnie.

– Wielka szkoda, bo my tu na próżno czekamy. – Eryk znów patrzył przed siebie. – A teraz boku mego nie odstępuj. Któż to wie, kiedy coś wartego opisanie się przydarzy.

Wjechali na wzgórze, a wtedy oczy króla zabłysły. Z wierzchołka widać było bowiem długą kolumnę oddziałów maszerujących traktem na południe.

– Jak choćby to – zakończył władca, zachwycony widokiem. Oto szła jego armia! Znał w niej każdy kołczan, każdy topór i każdą beczułkę z solonym mięsiwem, pamiętał twarz każdego setnika, a nawet dziesiątnika. Nie mógł się napatrzeć na twarde, nieugięte twarze, jeszcze niedawno drwali, kowali i kmieci z okręgu Nidaros, a teraz srogich wojów z królewskich drużyn, zbrojnych w tarcze, topory, a czasem nawet drogie miecze czy kolczugi. Ktoś machał doń wśród tumanów kurzu – Eryk wiedział, że to ich przywódca Floke Wiatrowłosa.

Następny oddział stąpał lżej i nie pobrzękiwał żelazem jak drużyny nidaroskie. Uśmiech zadowolenia królewskiej twarzy stał się szerszy. Ci ludzie nie dźwigali ani tarcz ani kolczug, a do obrony mieli jedynie krótkie miecze, ale w nich to właśnie Eryk pokładał największe nadzieje. Oto miał przed sobą ostatni dar od Kościoła za morzem – oddział niechybnych łuczników z Albionu, o których mówiono, że ze stu kroków jaskółkę w serce trafiają. Wiódł ich jednooki John Thornson, ponury olbrzym, który w życiu więcej strzał wypuścił, niż słów wypowiedział.

Większy tuman pyłu unosił się nad kolejnym hufcem, a brzękowi stali wtórowało

parskanie koni. Eryk Halvdanson uśmiechnął się kwaśno – trzeba by kilku lat, by z Nordwegów konnicę zrobić, a i tak w górzystej krainie więcej kłopotu z nimi niż pożytku. Mimo to bez wahania wykładał srebro na wierzchowce, wiedząc, że w nadchodzącej wojnie przyjdzie mu się zetrzeć z przeciwnikiem znacznie liczniejszym. Konnica zaś, szybsza od oddziałów piechoty, mogła łatwiej wroga zejść od tyłu bądź zaatakować z flanki. Tak więc trzy setki najlepszych jeźdźców zatknęło topory za pas i pochwyliło ciężkie włócznie, a wojewoda Thorfinn Kalleson zaczął ich ćwiczyć w szybkich wypadach i szarżach. Karność jeźdźców nadal pozostawiała wiele do życzenia, ale konny hufiec mógł przeważyć szalę niejednego starcia.

Naraz cienkie brwi Eryka zeszyły się nieco. Niewielu ludzi towarzyszyło Trygvemu synowi Ivara – za wysokim jarlem z Hladir jechały ledwie trzy tuziny lekko zbrojnych wojów, a ten nawet nie odwrócił krytej hełmem głowy, by pozdrowić swego władcę. Zły uśmiech wypłynął na usta króla. Trygve postanowił bowiem wystawić jak najokazalszy hufiec, by pokazać, że majątek jego niegorszy od królewskiego. Zakup koni wyczerpał jednak jego zapasy srebra i choć hufiec z Hladir liczył prawie trzysta głów, mało który z wojów miał kolczugę, hełm lub miecz. Co więcej, Eryk rozproszył hufiec z Hladir jednym sprytnym rozkazem. W obecności wszystkich wodzów, co do jednego przewrażliwionych na punkcie honoru, zapytał Trygvego, czy nie podjąłby się niebezpiecznej misji ochraniającej przemarszu. Odmowa oznaczałaby przyznanie się do tchórzostwa i czerwony z wściekłości jarl musiał się zgodzić, a wtedy Eryk kazał mu podzielić hufiec na drobne oddziały konnych łuczników i sam wyznaczył ich dowódców, zyskując wielu sympatyków wśród młodych i energicznych wojów z Hladir. Sprzeciwy i groźby jarla Trygvego na niewiele się zdały – młodzi wojowie, dumni z nowych zadań, daleko chętniej słuchali rozkazów króla aniżeli cholerycznego jarla.

Król popędził konia, gdyż zbliżał się do tych, którzy jego sercu byli najbliżsi. *Náttfarinn*, przyboczni rycerze biskupa Hieronima, wyprostowani i milczący na masywnych, grubokościstych rumakach. Choć długie włócznie złożyli na wozach, a zbrojni byli jedynie w miecze, emanowali pewnością siebie i siłą. Mieli najlepsze w całej armii kolczugi i stalowe hełmy oraz najcięższe rumaki, a otaczała ich ponura, złowieszcza sława. Było ich ledwie pół setki, lecz wyglądali posepnie i groźniej, niż tysięczna armia.

Daleko na czele armii jechał biskup Hieronim na białym, pięknym rumaku, a rycerz po jego prawicy unosił wysoko złoty krzyż. Słońce odbijało się w nim z taką mocą, że dzierzony obok czerwony proporzec z białym jastrzębiem wyglądał na zwykłą szmatę, a nie symbol króla. Wysoko na tle niebieskiego nieba, wolno okrążając promieniejący krzyż i leniwie łopoczący proporzec, kołowały czarne kruki.

Rozdział 6

Nie spodziewali się zasadzki.

Floke Wiatrowłosa poprowadził zwiad wzdłuż górskiego potoku, po jednej stronie mając jego brzeg, a po drugiej ostro wznoszące się urwisko. Skalne zbocze, dotąd sprawiające wrażenie uspiętego, naraz ożyło dziesiątkami odzianych w skóry wojowników. Jedni niespodziewanie wyskakiwali zza kamieni, a inni już sadzili susami przez potok. W powietrzu poniosło się wycie dziesiątek gardeł i zaświstały strzały oraz kamienie. Ponad zgiełk wybił się mocny głos Flokego:

– Do rozstajów!

Była to ostatnia chwila, gdyż rozwrzeszczani napastnicy dobiegli do drogi. Jeden po drugim konie zwiadowców zawracały i unosiły skulonych jeźdźców, ścigane przez niecelne dotąd strzały.

– *Hlauptu!* Naprzód, skaldzie! – krzyknął Floke i spiął konia w ślad za pozostałymi.

– Jestem za tobą! – odkrzyknął Vidar, unosząc miecz, by uderzyć płazem w koński zad. Na klindze błysnęły srebrne, wykute na dalekiej Islandii runy.

Po kilku minutach ucieczki wiadomo już było, że pościg im nie grozi. Gdy oddziałek zwolnił i rozgorączkowani wojowie poczęli wymieniać uwagi. Vidar zrównał się z Flokem.

– *Ég skil ekki...* Nie rozumiem... – powiedział, starając się uspokoić oddech. – Skąd oni się wzięli?

Floke zwrócił ku niemu uśmiechniętą, pyzată twarz. Zdjął hełm, by przetrzeć czoło, a wtedy wiatr porwał jego jasne loki, od których wzięło się przezwisko.

– To był zwiad taki jak nasz – oświadczył. – Tyle że szybciej nas dostrzegli. Nie mieli czasu porządnej zasadzki przygotować.

– Tak czy owak myślałem, że po nas.

– Nie masz się czego wstydzić, skaldzie. – Floke wyszczerzył zęby. – Uciekliście jako jeden ostatnich! *Ṭetta líkar mér!*³⁴

– Widziałem w życiu to i owo. – Vidar uśmiechnął się lekko. – Ale nie przeceniaj mnie, na litość boską. Całkiem żem zgłupiał, kiedy strzały zaświstały. Żadna to odwaga.

Floke kiwnął głową i przez chwilę jechali w milczeniu.

– Trza będzie zaraz zawrócić, spróbować jakoś tamtych obejść... – mruknął. – Skręcimy przy wodospadzie Bjarnifoss na północ, by...

– Poczekaj... – przerwał mu Islandczyk, zsuwając się z siodła. – Chyba coś z popręciem nie tak. Luźny jakiś...

Floke wstrzymał konia.

– Pomogę – oświadczył. – Jedźcie przodem, popas przy Bjarnifoss! – krzyknął w ślad za ostatnimi jeźdźcami, którzy obejrzel się zaciekawieni.

– Rzemień do niczego – parsknął skald i mocniej szarpnął. Koń przestąpił naraz kilka kroków i zarżał głośno. – Przetarty. Noo, cicho...

– Mam gdzieś tu cieńszy taki. – Floke począł grzebać w sakwie przy siodle. – O, tu. Daj, związać na razie trza poły, a reszty dopatrzy rymarz w obozie.

– A może... – sapnął Vidar, szarpiąc się z siodłem. – A może lepiej dziurkę nową zrobić?

– Dobra, weź mój nóż. O, tu. Tu będzie dobrze... Spokój! Krnąbrna szkapa...

– Racja. Uff... Gotowe.

Vidar delikatnie, na próbę oparł nogę w strzemieniu, a potem przerzucił drugą nad końskim grzbietem i już siedział w siodle. Koń znowu parsknął i zarżał cicho.

– Nasi nie odjechali daleko. – Floke uspokoił swego wierzchowca i również usiadł w siodle. – Ruszajmy, bo te przeklęte góry...

Gustavson drgnął nagle.

– Floke, słyszysz?

– Co?

– Jakby kto kamienie do pustej balii ciskał... Albo kopyta na drodze stukały... – Skald zmusił swego konia, by obrócił się w stronę, z której nadjechali.

– Tak, rzeczywiście coś słyhać – mruknął Floke, sięgając po topór. – Ktoś do nas bieży. Trzy albo cztery konie. Gotuj się!

Oba konie zarżały naraz. Vidar ujął albioński łuk i nałożył strzałę na cięciwę. Tętent kopyt był coraz głośniejszy i rozlewał się głośnym echem po dolince potoku. Ledwie twarz pierwszego jeźdźca wyłoniła się zza załomu drogi, a Vidar wiedział, że to ci, którzy wyskoczyli z zasadzki na oddział Flokego. Cięciwa brzęknęła, świsnęła strzała, poniósł się wrzask trafionego, zagłuszony rykiem atakującego Flokego.

Vidar czuł, jak krew w żyłach pulsuje ogniem. Odrzucił bezużyteczny już łuk i runął w ślad za Wiatrowłosym, wyszarpnąwszy miecz. Zaskoczenie napastników było całkowite – jeden zastygł na ziemi z dłońmi wokół strzały sterczącej z krytej kosmatym kozuchem piersi, a drugi stęknął i bluzgnął krwią na szyję konia, kiedy ostrze topora Flokego rozpruło mu żebra.

Powietrze zawyło, rozcięte runiczną klingą Vidarowego miecza, która zostawiała w powietrzu sine kręgi. Skald uderzył pięciami w boki konia, ale ten niespodziewanie zarżał i stanął na tylnych nogach. Vidar z trudem odbił spadający nań z góry cios. Przeciwnik nie był nowicjuszem – jego topór uderzał szybko i z wprawą, to z góry, to z ukosa, a skald parował ciosy z największym trudem, próbując opanować roztańczonego rumaka. Koń rozglądał się pełnym strachu spojrzeniem i toczył pianę z pyska. Vidar warczał przekleństwa, sam coraz bardziej przerażony.

Naraz koń zatoczył się i uderzył czołem w łeb wrogiego wierzchowca. Jego jeździec odsłonił się zaskoczony, a wtedy Gustavson wymierzył rozpaczliwy cios. Klinga runicznego miecza rozcięła powietrze, kozuch przeciwnika i wewnętrzną stronę jego prawej dłoni. Góral krzyknął, cofając broń, a wtedy skald zakręcił mieczem młyńca i spuścił oręż ze wszystkich sił.

Wzdrygnął się, słysząc ohydne chrupnięcie rozrąbywanych kości przedramienia i straszliwy wrzask rannego. W ustach poczuł słony smak krwi i uświadomił sobie, że przegryzł sobie wargę.

– Na kły Fenrisa! – charknął Floke, który brodził w potoku i prowadził za sobą konia.

Nurt unosił ciało drugiego z jego przeciwników. – Żyjesz, skaldzie?

Niespodziewanie wierzchowiec targnął się przestraszony i wierzgnął lekko. Floke z trudem go utrzymał.

– Na łeb ci padło, ty kulawa szkapo?! – Wojownik się skrzywił.

– Konie czegoś się boją – rzekł niespokojnie skald.

Jakby w odpowiedzi wierzchowiec Vidara stanął dęba i zarżał głośno.

– Nie krwi przecież... Och, na niebiosa... – stęknął nagle Floke. Jego oczy rozszerzyły się ze strachu. – *Varaðu tig!*³⁵

Najpierw ogarnęła ich obca, złowroga woń – woń brudu, zgniłego mięsa i górskiej ziemi – a potem usłyszeli klaskanie szerokich stóp na ścieżce. Nie było już czasu na ucieczkę – na obu wojów runął ryczący, zwalisty, szaroskóry stwór z maczugą w garści. Otoczony chmurą siwych włosów z niesamowitą szybkością wtargnął między roztańczone, przerażone do granic rumaki Flokego i Vidara.

Czas naraz zaczął płynąć powoli. Vidar wyraźnie widział nabijany krzemieniami dębowy konar mknący w kierunku jego głowy. Nikt nie dałby rady sparować takiego ciosu – Vidar zrobił wypad w prawo, schylając się najniżej, jak mógł. Coś strzeliło mu w kręgosłupie – syknął z bólu i nagłym wyrzutem wyprostował całe ciało. W szare niebo trysnął snop iskier, kiedy oręż trolla ugodził w kamień.

Runiczny miecz pomknął ku odsłoniętemu grzbietowi górskiego stwora i przeciął baranie skóry, ale od ciała odbił się jak od skały. Zdrętwiałe ramię skalda przeszył wściekły ból.

Jak przez mgłę ujrzał trzymany oburącz topór Flokego, łukiem zmierzający ku karkowi trolla. Zeleźce wbiło się głębiej niż jego miecz i porwało za sobą strugę zielonej krwi. Szalejący z bólu potwór porwał na nowo maczugę i wywinął kolejnego straszliwego młynca. Floke przysiadł w ostatniej chwili – krzemień musnął mu czaszkę, porywając kilka słynnych, złotych loków.

Musiał jednak się cofnąć. Zawadził przy tym piętą o podwodny kamień i runął jak długi w fale potoku. Jego krzyk utonął w plusku wody, a wypuszczony topór zagrzechotał o otoczaki. Stwór zacharczał, podrywając na nowo maczugę.

Z jękiem bólu i rozpaczony skald przerzucił broń do lewej ręki i pchnął na oślep. Zaskoczony ujrzał, jak ostrze wchodzi głęboko w wewnętrzną stronę guzłowatego kolana trolla, który zakwiczał przeraźliwie. Vidar w porę wyszarpnął miecz z rany, bo szaroskóry barbarzyńca zwał się na plecy.

Cofnął się i dostrzegł Flokego, który wybiegał na brzeg.

– Uciekajmy, skaldzie! – wybełkotał Wiatrowłosa. Krew sączyła się z kącika jego ust, mieszając się z wodą ciekącą z pozlepianych włosów.

– Hlauptu! Uciekajmy... – wyszeptał Gustavson, podnosząc drżącą ręką łuk. – Tam są nasze konie! Szybko!

Chwilę później galopowali już jak szaleni, trzęsąc się od nadmiaru emocji.

– Na miłość boską, *troll!* – wołał Vidar do Flokego, potrząsając głową. – Prawdziwy górski troll! Zatem to nie bajdy, że wodzom z Romsdal służą!

– Racja! – odkrzyknął tamten. – Ponoć Ringvaldi Niedźwiedź omamił ich całe tuziny!

Przyłączały się do niego ze strachu, bo mówił każdemu, że Bóg na Krzyżu skały im odbierze! Nielichych wrogów przeciwko sobie mamy!

– Ale i też sprzymierzeńców wspaniałych. – Skald ucałował złoty krzyżyk na piersi. – Dzięki Ci, Boże wielki! Pewien byłem, że już po nas! Kto wie, jakby się to skończyło, gdyby biskup Hieronim nie wyświęcił nam mieczy!

– I tak niesporo nam szło – mruknął kwaśno Floke. – Naprzód! Król musi się o wszystkim dowiedzieć!

– Hej, hej! Naprzód! *Árás!*

– Na rany Chrystusa... – Zbielałe wargi Vidara ledwo się poruszyły.

– Niech nas Bóg ma w opiece – wyrzekł grobowym głosem Floke i przeżegnał się powoli.

Wiatr szarpnął słynne loki, a wojownik cofnął się, jakby użądłony przez osę. Zarówno on, jak i Vidar czuli, że podmuchy pochodzą nie z tego świata, a wrażenie to podzielał każdy z wojów stojących w nierównym szeregu na skraju lasu.

Trwała noc. Skryci wśród drzew drużynnicy króla Eryka z niepokojem czekali na kolejne uderzenia wiatru, gdyż każdy z nich przynosił nowe, niepokojące odgłosy. Czasem były to strzępy chóralnych pieśni wzmocnione łoskotem toporów o tarcze, czasem ryk wielu rogów, wzbudzający ryki entuzjazmu. Ani na chwilę nie ustawał ponury rytm bojowych kotłów, a pochodnie migotały na wrzosach niczym błędne ogniki.

Armia królewska osiągnęła cel wędrówki. Daleko na wrzosowiskach obozowały połączone hirdy jarłów z Romsdal i Hordalandu, wielokrotnie liczniejsze teraz od hufca królewskiego. Nie to jednak było przerażające. Wojowie, wśród których było wielu wikingów, dla których wciąż liczyły się honor i sława, nie bali się walki z liczniejszym wrogiem. O wiele bardziej lękali tego, że z wrogimi jarłami rzekomo połączyli siły najwięksi kapłani Asów. Opowiadano o tym, że trolle, berserki i *ulfhednar*, ludzie-wilki, ścigali z całej Północy, by stanąć w bitwie przeciw Krzyżowi, a ten i ów ośmielił się bąknąć, że nadszedł dzień Ragnaroku. Wszyscy czuli, że lodowaty, budzący strach i niepewność wichur był jedynie zapowiedzią kolejnych okropności.

– Wielu mężów odda dziś swe życie. – Vidar machinalnie rozmasował ramię, wciąż obolałe po walce.

Floke otulił się wełnianym płaszczem.

– Siła ich – powiedział w końcu markotnie. – A nas garstka.

– W zasadzce mnie pocieszałeś. – Vidar próbował się uśmiechnąć

– Bo wtedy dopisało nam szczęście! – Wiatrowłosa się skrzywił. – A teraz? Wsłuchaj się w ten wiatr, skaldzie! Trzykroć ich tyle, ilu naszych, a te czary...

Zamikł, uświadomiwszy sobie, że spoglądają na niego ludzie.

– Floke, musimy w coś uwierzyć. – Skald zacisnął zęby. – Przecież król....

– Prawda, skaldzie... Musimy uwierzyć. – Znajomy głos zabrzmiał niespodziewanie za

ich plecami i obaj Islandczycy odwrócili się błyskawicznie.

Zaskoczeni pochylili głowy.

Król, siedzący na grzbiecie białego rumaka, jako jedyny sprawiał wrażenie nieporuszonego. W jego oczach lśnił blask księżyca, a na bladej, skupionej twarzy rysowało się zdecydowanie.

– Czyżbyś zwątpił w to, co jest takie oczywiste, Floke? – zapytał monarcha, spoglądając ku wrzosowiskom. Kącik jego ust uniósł się w krzywym uśmiechu.

– *Herra minn...*

– Dajże spokój wątpliwościom – rzekł król, a zaskoczony hovding posłusznie zamilkł. Miast wpaść we wściekłość, jak to miał w zwyczaju, król mówił spokojnym, wyważonym tonem, cały czas patrząc w stronę wrogiej armii. – Bóg nigdy nie zapomni o tych, którzy walczą w Jego imieniu. Wznosząc miecz w Jego obronie, oczyszczasz swą duszę z grzechów.

– Wasza królewska mość, trolla napotkaliśmy! – odezwał się Vidar. – Walczą po stronie zbuntowanych jarłów...

– Ubity?

– Nie, nie daliśmy mu rady...

– Ech, jeden więcej, jeden mniej...

– Jakże to?

– Dziesiątki ich we wrogim obozie. Konie nawet tu się płoszą.

Vidar pokręcił głową.

– Wróg ma przewagę – powiedział cicho. – Wielką przewagę.

– Prawdą rzecze skald, panie – poparł go żarliwie Floke. – Nic tu po nas. Może cofnąć się wypada? Jarlowie rychło kłócić się zaczną, armia się rozpadnie, a wtedy wydusimy jednego po drugim...

Przerwał, bowiem naraz oczy Eryka błysnęły niebezpiecznie. Król już otworzył usta, by zganić hovdinga, lecz w tej samej chwili za jego plecami rozległo się parskanie koni. Zbliżało się kilku jeźdźców.

– *Herra minn!* – dobiegł z ciemności chrapliwy głos jarła z Hladir. Stary wódz brutalnie osadził zwierzę w miejscu i oparł się łokciami o jego szyję, patrząc na króla wyzywająco. – Ludzie się burzą. Nie chcą leżeć w takiej ćmie!

Ucho Vidara drgnęło – mimo niebezpieczeństwa, wyraźnie usłyszał w głosie Ivarsona lekką drwinę. Znów owiał ich lodowaty powiew znad obozu przeciwnika i Vidar ciaśniej opatulił się płaszczem. Wysoki, wyniosły Trygve również zadrżał.

– Wielmożny królu... – cicho wyrzekł stary Eskil. – Tam czary okrutne...

– I nawet ty, Eskilu, stary wilku, prawisz takie słowa? – Eryk prychnął. – Najstarszy z nas jesteś i myślałem, że chociaż ty honor zachowałeś!

– Eskil syn Ulfa tylko dlatego wieku dostojnego dożył, że wiedział, kiedy od bitwy odstąpić! – huknął ostro jarl z Hladir. – A i ja was, królu, dwakroć wiekiem przerastam! W bitwach mnogich walczyłem, tedy w honorze mi nie uchybiaj.

– Panie, ich jeno lęk przed nami do kupy zebrał! – mówił pokornie Eskil. – Przecie jeśli odstąpimy, rozpełzną się, a wtedy....

– Racja to. Kiedy się rozleżą, nigdy już się nie trafi szansa, by wszystkich naraz

wygubić. – Eryk pogardliwie wydał wargi. – Zaiste, młodym, ale życia mi nie starczy, by wszystkich buntowników jednego po drugim dogonić i pokonać! Nie, to nie sposób. Trzeba ich jednym uderzeniem zniszczyć! Jednym! Wystarczy jedna zwycięska bitwa, a cały Romsdal będzie nasz!

– Gdyby sami wojowie tam stali, panie, to rzecz insza – rzekł rzeczowo Floke. – Ale trolle... I czary...

– Młodyś, Eryku Halvdansonie. – Trygve zgrzytnął zębami. – Nie pozwolę, by młodzieniaszek, co ledwie wojaczki zaznał, hufce moje wygubił. Cofam się.

– Stój – wyrzekł cicho monarcha. W jego głosie kryła się taka siła, że dumny jarl wstrzymał rumaka i obejrzał się z niepokojem.

– Stój i patrz – powtórzył szeptem Eryk.

Złowrogie oko księżycy znów wyjrzało zza chmur, a nocna rosa załśniła na ostrzach toporów i powierzchniach hełmów. Wśród wojowników królewskich, który z zapadnięciem ciemności pozbijali się w grupki, poroziadali się wśród korzeni drzew lub zgoła pochowali się za pniami, zapanowało poruszenie. Niektórzy unosili głowy, inni wstawali, a kilku nawet nieśmiało wyszło poza linię drzew. Ktoś spośród świty królewskiej westchnął, Vidar przeżegnał się.

Monstrancja, wysoko niesiona przez kogoś z mnichów towarzyszących armii, odbijała promienie księżycy. Mroźny wicher szarpnął brunatną szatą i zuchwale wdarł się między pnie, ale zaciekawieni wojownicy już na niego nie zważali. Jeden po drugim wybiegli na wrzosowiska, gdzie wokół mnicha z monstrancją z wolna tworzyła się ciasno zbita, pomrukująca gromada. Blask zdawał się rozjaśniać ciemności.

– Bracia w Chrystusie! – usłyszeli młody, nieznany im głos. – Nie traćcie ducha! Tam, gdzie wypełza wielkie zło, tym większa schodzi moc Pana Naszego! Bóg jest wśród nas tej nocy! Oczyszcza wasze dusze z grzechów, Jego dłoń gładzi was po głowach, Jego głos objawia się w szumie wiatru i mówi wam: Nie bójcie się!

Artefakt w rękach mnicha rozbrzysnął jeszcze bardziej, napełniając powietrze dziwnym, łagodnym brzęczeniem. Zaskoczeni przyboczni królewscy patrzyli na zalane boskim światłem brodate twarze wojów, widzieli, jak niektórzy unoszą w powietrze broń i chrapliwie wykrzykują tryumfalne słowa. Strach i zwątpienie znikły, a w ich miejsce pojawiło się uniesienie – straszny Bóg na Krzyżu jest z nami! Poprowadzą nas jego słudzy! Nie pozwolą zginąć dobrym wojom, a ich magia przegna wroga!

– Druhowie! – Eryk odwrócił swą jaśniejącą twarz. – Na waszych oczach dokonuje się cud...

– *Herra minn...* – zaczął Trygve, ale młody monarcha przerwał mu niecierpliwie:

– Może i wy zapomnieliście już *Ciche Wzgórza*, jarlu, ale ja dobrze pamiętam wasze rozterki i wahania. Nie pozwól, jarlu, by zdarzały się częściej! – Głos Eryka zniżył się do sycącego szeptu. – Nie chcesz chyba, by lud okrzyknął cię Trygvem Niepewnym?

– Panie, cóż to za słowa...

– Zaiste, dość gadania. Szykujże się do szarży, Trygve synu Ivara!

– Do szarży?!

– Floke, rozstaw swe hufce grubym szeregiem na skraju lasu! Jak tylko będziesz gotów, ruszaj naprzód! Hird mój w środek ustaw, tam największa ciżba będzie...

Albiońskich łuczników daj na skrzydła, niech się podczas zwania za plecami naszych kryją! A ty, Trygve, osłaniaj natarcie i szarp wroga doskokami! Potrzebny nam jak największy zamęt w jego szeregach. A ty Vidar, mnie nie odstępuj. Jak się zowie to miejsce?

– Las Trolli, *herra min*.

– Niechże i tak będzie. Zapamiętaj sobie zatem tę nazwę, Vidar. Do oddziałów!

Biskup Hieronim się uśmiechnął. A zatem udało się... Czarne masy wojów wylewały się już na wrzosowiska i tworzyły mur tarcz, a nad nimi unosiły się licznie gorejące monstrancje. Ziemia dudniła pod kopytami wojów jarla z Hladir, a dalej w pole wybiegali już łucznicy, przyklękając i napinając cięciwy. Powietrze zaświstało przeszywane dziesiątkami strzał, wnet zagłuszone rytmicznym uderzaniem orężem o tarcze. Nocne powietrze aż wibrowało od emocji – hufce Białego Jastrzębia maszerowały do natarcia.

Ale wróg również szykował się do walki.

– Na litość Pańską, cóż za ćma... – Biskup zmarszczył brwi na widok niekończących się szeregów nieprzyjaciela, które nadchodziły na spotkanie wojsk króla.

– Gaszą ogniska, ojczy – odezwał się jeden z *Náttfarinnów*.

W istocie liczne ognie znikwały jeden po drugim, jak gdyby poganie chcieli przyjąć starcie tylko w ciemnościach.

– Wśród ciemności łatwiej łasce Pańskiej znaleźć drogę. – Biskup uśmiechnął się szerzej, ujmując miecz. – Rycerze Chrystusa! – zawołał. – Jeszcze chwila i ta horda rzuci się do ucieczki! Pamiętajcie, by szukać tylko tych, co wyglądają na kapłanów czy jarłów!

Oddziały z Nidaros postępowały coraz śmielej, rozpędzały się, a ziemia grzmiała. Gdy do zwania się zostało jeszcze sto kroków, któryś ze zbuntowanych jarłów naraz przystanął, zaskoczony. Chwilę później tryumfalnie okrzyki poczęły milknąć, coraz więcej ludzi spoglądało z wahaniem ku górze. W chwilę później w zamarłą armię sprzymierzonych jarłów uderzyli woje króla Eryka Halvdansona.

Na czarnym niebie za ich plecami wykwitł ogromny, płonący czerwienią krzyż.

Kamień pasował idealnie, zupełnie jak gdyby został stworzony przez Ymira specjalnie po to, by ktoś kiedyś miał go włożyć w to miejsce. Arnul uśmiechnął się krzywo, jak zawsze, kiedy spod jego rąk wychodziła rzecz szczególnie udana. Jak kiedyś w okopconej kuźni pana Ketila.

Karzeł wyprostował zmęczone plecy i otarł czoło, spocone mimo jesiennego chłodu. Murarz z zaprawą był jeszcze daleko, co oznaczało chwilę wytchnienia. Arnul z ulgą usiadł pod ułożonym przed chwilą rzędem kamieni.

– Wykonaj znak krzyża, karle – rzucił Harald, nie patrząc nawet w jego stronę. Siedział wygodnie na kępcie pożółkłej trawy, ssąc źdźbło. – Opierasz się o święte mury, diabelska istoto.

Karzeł zamknął oczy i rozkoszował się podmuchem wiatru na zarośniętych policzkach. Już dawno przestał zwracać uwagę na kąśliwe słowa starego pijaka – minął gdzieś strach z pierwszych dni wspólnej niewoli, a zamiast niego pojawiła się obojętność, a nawet współczucie. Harald miotał się, drwił i szydził, a bezsilność jedynie pogłębiała jego frustrację. Arnul wzruszał tylko ramionami. Na cóż komu butne słowa, kiedy nad karkiem wisi bicz, a nogi krepuje gruby łańcuch?

Harald był mu obojętny, powoli przyzwyczajał się też do niewoli. Dochodził wtedy do wniosku, że zimne wichry znad morza wywiały zeń całe ciepło, za które kochała go Kari i bracia. Wspomnienia domu, kuźni i przybranej rodziny zbyt wiele go kosztowały i podświadomie próbował je odepchnąć. Usiłował zapomnieć. Od dwóch miesięcy beznamytnie dźwigał ciężkie głazy, układał na innych, dopasowywał i uszczelniał zaprawą. Nie interesowało go nic poza pracą, odciął się od wszelkich myśli i rozterek. Zapomniał już o wędrówce przez las, lochach, przesłuchaniu, zapomniał nawet o całej niesprawiedliwości ludzi w brunatnych habitach.

Nie wiedział, że po raz pierwszy w życiu do głosu doszła karla natura. Arnul upodabniał się do swych pobratymców w jaskiniach, zawsze pracujących w ciszy i skupieniu, bez śmiechów czy życzliwych uwag. Nie zwracał uwagi na jedzenie czy sen, ignorował towarzysza niedoli. Nie odezwał się doń nawet wtedy, gdy obaj oglądali wymarsz armii Eryka Halvdansona. W oczach Haraldą widział wtedy żal i tęsknotę, a łańcuch w dłoni ścisnął niczym drzewce toporzyska. Karzeł był prawie pewien, że wojownik w pewnym momencie odwrócił się, by otrzeć łzy.

– Po co ty to robisz? – spytał naraz Harald, wypluwając żute źdźbło trawy.

Arnul otworzył oczy.

– Że niby co?

– No... To wszystko. – Wojownik pokazał ramieniem mur. – Po co?

– Trza, to robię. – Wzruszył ramionami karzeł i na nowo przymknął oczy.

– Takiś? – Wiking się skrzywił. – Kazali, to robisz?

– Wždy sam też pra... pracujesz.

– Juści, bo nie lubię, jak mnie chłostają. Jenó... Jenó śmiech mnie bierze, jak się przykładasz do roboty... Naprawdę ci zależy? Sobie dom budujesz? Aż tak ci klechy we łbie zawróciły?

– Nikt mi... – zaczął Arnul, ale naraz zmienił ton. – Głupio gadasz. Przecież jak robota źle pójdzie, to nas biją. Sam gadasz, że za batem nie prze... przepadasz. Nadzorca by ci ładnie skórę wygarbował... A co, z łań... łańcuchem się na niego rzucisz?

– Nie rzucę się? – Harald wyszczerzył żółte zęby i potarł brudną dłonią o szczecinę na policzku. Ponura, zarośnięta gęba wikinga rozciągnięta była w dzikim uśmiechu.

– Nie lubię two... twojego gadania – powiedział Arnul z wahaniem. – Uśmiechasz się tylko wtedy, gdy o śmierci gadasz.

– Nie o byle śmierci, karle. O śmierci w obronie własnego honoru! Taka mi się marzy, a tymczasem co mam? Stuk-puk, kamyk na kamyku! Na wielkiego Fenrisa, co za

przeklęty los. Nienawidzę tego miejsca i nie pozwolę, by mnie tu zaharowali!

– Chcesz się zbu... zbuntować? – Oczy Arnula stały się wielkie i okrągłe. – Nie mów tylko, że o ucieczce myślisz.

– *Þegiðu!* Ciszej, zarazo! – Naraz w oczach Duna błysnął żal. – A pewnie, że myślę! Od lat pływam, walczę, łupię i co mi z tego przyszło? Kilka blizn, szczerba na drzewcu topora i wspomnień garść, ot co! Ani domostwa z babą i dziećmi, ani dobrej sławy ani spokoju nawet. A teraz nawet honor mi zabrali! Jak mnie do bram Valhalla nynie stukać? Ja muszę zaryzykować.

– Ale przecie sam się na wszystkich nie rzucisz? – Arnul uniósł się na łokciach. – Na nic to, nie wyrwiesz się...

– Ech, wyrwać się! – rozmarzył się wojownik – do luźnej kupy dołączyć, w krainy dalekie popłynąć, albo lepiej... Na królu zemsty poszukać! Hej, to by ci było... Ale nic to, skrzacie. – Nagle spowaźniał. – Nie pojmujesz. Ja siebie jak barana obwiesić nie dam. – Wskazał wzniesioną tydzień temu szubienicę. Ciała czterech ludzi z byłej drużyny jarla Ringvaldiego, którzy próbowali ucieczki z budowy, wciąż kołysały się wraz z wiatrem. – Ty masz czas – dodał zamyślony wojownik. – Ja nie.

– Eee tam. – Karzeł znów wyciągnął się wygodnie. – Gadanie. A nuż król klęskę po... poniesie i uwolni nas? I będziemy wo... wolni!

– Głupiś, karle... – warknął Harald. – Kto nas ma uwolnić? Nowy pan to nowa robota! A nie dajcie bogowie, by na wojnie Erykowi noga się powinęła...

– Czemuż to ?

– Bo wtedy wróg pod Nidaros podciągnie. Co się robi z niewolnymi, gdy podczas oblężenia spyży zabraknie, mój mężny przyjacielu? – Wojownik wykrzywił twarz i spojrzał na leżącego karła z mieszaniną politowania i pogardy.

– Eee tam. – Karzeł machnął spracowaną dłonią. – To i tak głu... głupie gadanie, bo co ma być, to będzie. Nie obchodzi mnie to i basta. – Ziewnął, starając się nie patrzeć na wojownika.

– *Helvítis fíflid þitt!*³⁶ Głupiś, karle – cicho wyrzekł wiking. – Droga do Valhalla zaczyna się nawet tu...

Arnul udawał znużenie, ale na nowo obudził się w nim lęk przed Haraldem. Coś mu mówiło, że w duszy współwzięcia czai się coś szalonego, coś, co może pogrążyć ich obu. Jego starannie wypracowany spokój zaczynał się kruszyć. Przypomniała mu się opowieść dziadygi Johana o walkiriach, które do Valhalla biorą tylko tych, co zginają z orężem w dłoni.

„A ten ino o Valhalla i o Valhalla!” – myślał z lękiem.

– Psie Ucho idzie z jedzeniem – powiedział cicho Harald.

Ujmując miskę, Arnul popatrzył spode łba na Haralda. Widział przygarbionego mężczyznę o skołtunionych jasnych włosach i ogorzałej, przygnębionej twarzy. Patrzył na błoto, w którym siedzieli, na rosnące szybko ściany świątyni, innych niewolników, szwendających się strażników, słyszał posapywania, skrzyp osi wozów, strzelanie z bicza, przekleństwa. Nieopodal woźnice wraz z kilkoma jeńcami wyładowywali kamienie z wozu, ktoś narzekał na niedobrą zupę, któryś z nadzorców strofował ostro

jednego z robotników, strasząc odebraniem kolacji. Nieopodal dwóch wojów przykuwało nowego nieszczęśnika do pustego końca łańcucha, głośno przy tym rozmawiając o jakieś dziewczce.

Na ułamek sekundy słońce wyjrzało zza chmur, a jego blask odbił się od ogromnej, żelaznej bransolety opiętej wokół kostki Haralda. Drogą nieopodal przemknęła galopem czwórka *Náttfarinnów* w pełnej zbroi.

– Harald – odezwał się karzeł ochrypłym głosem. Na jego twarzy widniał zły uśmiech, jaki ludzie zawsze przypisywali karlemu rodowi.

– *Hvað?*

– Tylko jak ruszysz do tej swojej Valhali, pamiętaj, że ja się nigdzie nie wybieram. A łańcuchem skuciśmy są jednym!

Rozdział 7

Nadchodziły znowu. Stary Torve nagle przystanął i sięgając po łuk, głęboko wciągnął powietrze. Nikomu nie trzeba było mówić, co ma robić. Zaszleściły liście pod butami kryjących się wojowników, tu i ówdzie brzęknęła cięciwa, ktoś zaklął półgłosem, podnosząc upuszczoną strzałę. Twarze były blade, ale skupione. Nadchodziły.

Torve zatrzymał ich w odpowiednim momencie. Byli na szczycie leśnego wzgórza, a więc wróg musiał przebyć blisko sto metrów pod górę, przedzierając się przy tym przez gęste, pożółkłe paprocie. Ten wróg jednak biegł trzy razy szybciej od człowieka, a poza śmiercią nic nie było go w stanie zatrzymać. Stary las jakby wstrzymał oddech, kiedy łucznicy brali na cel niewidocznych jeszcze wrogów.

Vidar jako pierwszy dostrzegł szare, strzelające wśród pni błyskawice. Unoszącemu łuk skaldowi wydało się, że widzi żółte, rozpalone ślepia i słyszy głuchy pomruk zza zaciśniętych kłków. Odpędził wizję szybką modlitwą i zwolnił strzałę. Naraz rozległ się skowyt bólu. Celna strzała cisnęła bezwładnym ciałem o pień drzewa, lecz pozostałe wilki susami nadal gnały naprzód.

– Mierzyć dobrze, synkowie! – wychrypiał stary Torve, wyskakując zza kryjących go krzaków i puszczając strzałę w sforę.

Skowyty trafionych wilków wzbily się pod korony świerków. Kolejnej strzały Vidar wyszarpnąć już nie zdołał. Naraz ujrzał potężnego, szarego basiora, który pędził prosto na niego.

Skald gwałtownie rzucił się w bok i ciął na oślep. Runiczna klinga zaryła się głęboko w mchu. Vidar wyrwał miecz z ziemi, lecz wilk już spiął się do skoku i płynął w powietrzu z pazurami wymierzonymi w gardło slalda.

Vidar wiedział, że zostało mu czasu na raptem jeden cios i włożył niego całą siłę. Runy rozbłysnęły siną poświatą, a rozpędzone ostrze rozcięło wilcze ciało, siejąc kropelkami krwi, i uderzyło w pień sosny. Przedramię naderwane po walce z trollem znów eksplodowało bólem. Kątem oka Vidar dostrzegł, jak basior przetacza się bezwładnie, lecz natychmiast podrywa na cztery łapy. Nagle zrozumiał, że nie będzie mu dane dokończyć sagi o Białym Jastrzębiu.

Niespodziewanie wilk zaskowyczał przeraźliwie. Odwrócił łeb i kłapnął zębami, ale szczęki uderzyły w próżnię. Barczysty wojownik, wpychający mu dzidę w bok, wiedział, że od konającego wilka należy się trzymać daleko. Przyszpilony do ziemi basior ponowił próbę ataku, ale siły go opuszczały. Zdołał jedynie odwrócić łeb i skierować gasnący wzrok na skalda. Po chwili jego pysk miękko opadł na poszycie leśne, a pazury przestały je drapać.

Dla Vidara czas się nagle zatrzymał. W ślepiach umierającego wilka odczytał bowiem coś niemalże ludzkiego. Zwierzę sprawiało wrażenie, jak gdyby chciało wyciągnąć do Vidara łapę i polizać go po twarzy, ale zabrakło mu tej odrobiny życia. Chciał mu coś przyobieczać, lecz co? Nie krwawą zemstę, przecież gasnące spojrzenie było takie

spokojne... Islandczyk złapał się na tym, że ma ochotę nachylić się nad stygnącym ciałem i zakryć powiekami zachodzące bielmem ślepią. Niczym człowiekowi. Naraz las zawirował mu przed oczyma i skald osunął się na ziemię.

– Panie Gustavson! – dobiegł do niego głos Torvego. – Ranniście?

– Nie... – Vidar wsparł się na mocnym ramieniu myśliwego. – Wszyscy cali?

– Ottar i Gunnar poszarpani, ostawić ich nam mus. Kilku lżej rannych.

– W drogę tedy – Vidar podniósł łuk i począł wciąż chwiejnym krokiem schodzić wśród splamionych krwią paproci. Głowę trzymał wyprostowaną. Tak, by nie spojrzeć już na stygnącego wilka.

– Wilki, psia ich mać – mruknął stary Torve. – Tylko czekać, aż nas wiewiórki gryźć zaczną. Dalej, synkowie!

– Panie Vidarze, kiedy mnie naprawdę boli... – wyjęczał młody Thorkell.

– Wierzę. – Skald spojrzał na niego bacznie. – Trzeba ci było wodę z tego strumienia pić?

– Takim był spragniony...

– A nie ostrzegałem? Po bitwie pod Lasem Trolli wielu naszych piło wodę ze źródeł i potem chorowało! Ani chybi kapłani Ody na wodę potruili!

– Ja ze świeżych zaciągów... – bąknął przestraszony Thorkell. – Tedy umrę? – załkał niespodziewanie.

– Nie. Tamci zsinili, języki im zgrubiały i się podusili.

– Zaraz mniej boli, jak się takie rzeczy słyszy... – Młody wojownik próbował się uśmiechnąć, lecz brzucha nie puścił.

Skald go jednak już nie słuchał. Delikatnie odsunął gałązki jałowca i przyglądał się palisadzie grodu, na której krążyły niespokojne ogniki pochodni. „A więc jesteśmy na miejscu” – pomyślał i ziewnął zmęczony. Kilku jego sąsiadów wspierało się ze znużeniem na włóczykach i tarczach, inni już drzemali, leżąc na płaszczach. Długi marsz przez las i ataki zaklętych wilków bądź niedobitków spod Lasu Trolli wyczerpały ich do granic. Vidar miał nadzieję, że zdołają odpocząć przed ostatnią bitwą i koszmar się skończy. Ziewnął znowu.

Choć ogarniał go sen, wciąż nie mógł przestać podziwiać energii młodego władcy. Po zwycięstwie pod Lasem Trolli Halvdanson nakazał wojewodzie Thorfinnowi ulokować rannych w pobliskich wioskach, a przed licznymi jeńcami postawił prosty wybór – chrzest i wcielenie do jego drużyn albo śmierć. Większość była zbyt przerażona potęgą nowej religii, by nawet pomyśleć o oporze. Tak więc mimo sporych strat w bitwie, armia nie zmniejszyła swej liczby, a wtedy król nakazał natychmiastowy wymarsz w kierunku Bjorgvin, największej osady i stolicy południowej krainy Romsdal.

Wojacy byli zmęczeni i markotni. Ominęły ich tradycyjne biesiady po zwycięstwie, nie mieli szansy zebrać wielkich łupów, bo król surowo zakazał jakiegokolwiek plądrowania. Vidar wiedział jednak, że ocaleli jarlowie będą zaskoczeni szybkim

pochodem Eryka, a obrona nie zdąży okrzepnąć. Nie pomylił się – otoczyli miasto składnie i bez oporu ze strony załogi. Bjorgvin było w saku.

Zmierzch nadchodził powoli. Jedynym słyszalnym odgłosem był pełen strachu krzyk mew i rozkazy dziesiętników na wałach. Miasto gotowało się do zaciętej obrony.

Nikt nie liczył na to, że Bjorgvin podda się bez walki. Mimo zwycięstwa pod Lasem Trolli, wojowie królewscy nie zapomnieli o magicznym wichrze, który napawał ich strachem oraz agonii tych, którzy napili się wody z zatrutych strumieni. Nikt też nie wierzył w to, że wojom królewskim udało się ubić wszystkie trolle (znaleziono tylko kilka ciał), ani w to, że watahy wilków osaczają maszerującą armię przez przypadek. Wielu wojów nadal nie chciało zadzierać z kapłanami mściwych bogów i niemal każdy setnik zameldował o kilku dezercjach, ale mimo tego nastroje w wojsku były nie najgorsze. Wyniesiona spod Lasu Trolli wiara w nowych sprzymierzeńców oraz zmęczenie przemarszem sprawiło, że mało kto miał znów ochotę na psioczenie.

Vidar uśmiechnął się do siebie. Tak, król dobrze wszystko zaplanował. Każdego dnia skald dowiadywał się o nim coraz więcej – poznawał jego zdecydowanie i stalową wolę, nauczył się ufać jego decyzjom, aż wreszcie począł go uwielbiać jak zwykły wojak legendarnego wodza. Jak dotąd wszystkie jego decyzje okazywały się słuszne i...

– Panie Vidarze... – Szept z ciemności przerwał jego rozmyślenia. – Coś się dzieje...

Skald wyjrzał na pole. Ognie na murach miasta rozrzedziły się, a większość zgromadziła się przy bramie. Vidar wyteńczył wzrok i aż westchnął.

– To król... – rozległy się szepty.

– *Hann er klikkaður...*³⁷ Całkiem rozum postradał... A kto z nim?

– Biskup Hieronim, Thorfinn Kalleson i jeszcze ktoś...

– We czwórkę...

– Toż to sagi godne – wyszeptał Vidar.

Król jechał pierwszy na śnieżnobiałym koniu, oskrzydłony przez Thorfinna i drugiego jeźdźca. Biskup Hieronim trzymał się nieco z tyłu, dzierżąc złoty pastorał. Prowadziła ich cisza – Bjorgvin milczało, a pochodnie wydawały się setkami oczu pająka wpatrującego się w zdobycz. Nawet wiatr ucichł, jakby przytłumiony grozą chwili.

– Gotujcie się – rzucił rozkaz Vidar. – Do broni! Król w niebezpieczeństwie!

– Mieszkańcy Bjorgvin! – Król stanął w strzemionach. – Ludu Romsdal! Patrzcie w gwiazdy! Wąchajcie wiatr! Patrzcie na waszych bliskich i towarzyszy! To ostatnie chwile w waszym życiu, kiedy wszystko wygląda tak, jak do tej pory!

– Kim jesteś, przybłędo, i co za brednie wygadujesz dzielnemu ludowi Romsdal! – ozwał się równie mocny głos na murach grodu.

– Jestem Eryk Halvdanson, *Hvíti fálkinn*, król Trondelagu i niebawem już Romsdal! – odparł król. – Znasz mnie i wiesz, że biada temu, kto stanie na mojej drodze! Nasz Pan jednak jest cierpliwy i uczy wybaczać! Wybaczę ci zatem twe grube słowa, pyszałku, bowiem Jego Słowo przybyłem tu głosić!

– Gdzie twa armia, królu kapłanie? Po krzaskach się chowa? Zali byłby to rzeczywiście nasz ostatni dzień! – Do uszu Vidara dotarł ucieszny rechot romsdalskich wojowników.

– Porządek nowy, sprawiedliwy wam przynoszę! Śmierć spotka jeno tych, którzy

serca przed Słowem Bożym zamkną! Otwórzcie bramy, a dusze na Słowo Boże otworzycie!

– Głupcem jesteś, Eryku synu Halvdana, jeśli wierzysz, iż mężny lud Romsdal da wiarę twoim łgarstwom! – W głosie nieznanego drżał gniew.

– Zaliby nie dotarły jeszcze do was niedobitki spod Lasu Trolli? – zadrwił Eryk. – Nie opowiedzieli ci, jak mężny lud Romsdal na wyścigi z trollami do lasu umykał?

– Stój i szydź, Eryku synu Halvdana, choćby do Ragnaroku! – krzyczał nieznanomy wojownik, a wrzaski oburzonych obrońców niosły się wzdłuż umocnień. – Starym babom brednie wciskaj! Nic nam po Bogu, który pozwolił się przybić do krzyża i torturować! A za ujme na naszych honorach własną krwią zapłacisz, zuchwalcze! Dalej, łucznicy! *Deyðu!*³⁸

– Nie! – krzyknął Vidar i z obnażonym mieczem wybiegł poza drzewa. – Za mną!

Pędził ku umocnieniom miasta, a za nim z lasu wylewali się wojownicy z Trondelagu, potrząsając orężem i miotając obelgi. Niektórzy napinali już łuki i chmara strzał, w tym płonące, pomknęła w stronę grodu. Jedna z nich utknęła w szczelinie bramy, a rdzawy płomień szybko pomknął po palach, rzucając blask na twarz Halvdansona. Biegnący co sił w nogach skald wyraźnie dostrzegł wściekłość na jego twarzy. Dłoń króla gwałtownie szarpnęła wodze, zwracając konia, a Thorfinn krzyczał coś w ich stronę, stając w strzemionach.

Vidar spojrział za siebie i zdumiał się. Poderwał wojsko do szturm! Woje królewscy pędzili ku wysokiej palisadzie, bez drabin, bez lin, na spotkanie śmierci!

Dziesiątki strzał sterczało z ziemi wokół przybocznych królewskich – zdawało się, że każda w ostatniej chwili odchyliła tor swego lotu. Król spinał już konia, lecz niespodziewanie osadziła go w miejscu dłoni biskupa. Duchowny wykrzyknął coś do ucha Erykowi – ten wahał się przez sekundę, po czym skinął głową i skoczył ku nacierającym wojom, pociągając za sobą Thorfinna i trzeciego jeźdźca, którym okazał się stary Eskil. Czas był najwyższy – koń Thorfinna zakwiczał, trafiony strzałą w zad. Galopujący król krzyczał:

– *Árás!* Do ataku! Szturmujcie, w imię Wszechmogącego! Do ataku! *Árás!*

– Ale mury... – Vidar się zawahał. – Trza katapult...

Jednakże czwarty z jeźdźców został przed bramą. Koń biskupa Hieronima stał spokojnie, grzebiąc lekko nogą. Ogień na bramie rozprzestrzenił się i rzucał dziki poblask na twarz duchownego, który zdawał się teraz dwakroć większy. Mknące w jego kierunku strzały naraz stanęły w płomieniach i w mgnieniu oka popiołem opadły ku ziemi. Wyczyn biskupa powitało milczenie. Setki par błyszczących oczu obserwowało jego wznoszące się ku niebu ramiona.

– Chwalcie Pana, sucze syny! – ryknął znienacka biskup.

Białe światło zgęstniało wokół jego dłoni. Ziemia poczęła drżeć, kiedy król z przybocznymi zawrócił ku wałom, prowadząc na nowo ogarniętych zapałem wojowników. Ryk z setek piersi zagłuszył donośne słowa biskupa, a chmura strzał zaćmiła gwiazdy.

Vidar gnał naprzód z uniesionym mieczem. Ledwie rejestrował, że drzenie się wzmacnia

i przesuwa wraz nimi. Niespodziewanie brama utonęła w oślepiającym blasku, a powietrzem targnęła fala gorąca. Skald odruchowo próbował osłonić oczy ramieniem, lecz nie utrzymał równowagi i padł, wypuszczając z dłoni miecz, a za nim inni. Przez moment jeszcze huczały płomienie i trzaskało łamane drewno, a potem zapadła martwa cisza.

– Pomni tam który Jerycho? – wołał ochryple biskup Hieronim.

– *Árás!* Naprzód, w imię Chrystusa! – Powietrze przebił przenikliwy krzyk Eryka Halvdansona.

Otępiali wojowie, wstrząśnięci niesamowitym widokiem, wolno podnosili się na nogi, wypluwali piach z ust i chwyтали porzucony oręż. Jeden po drugim przebijali się przez gęste kłęby dymu i biegli w stronę ziejących ogromnymi dziurami umocnień. Niewiele strzał pomknęło w ich kierunku, niewiele uniosło się toporów. Bjorgvin przypominało groźnego potwora, któremu ktoś przetrącił kark.

Biskup Hieronim przeżegnał się drżącą dłonią i wolno osunął z siodła.

Harald splunął siarczyście.

– Świństwo – mruknął i odstawił miskę. – W niezłe ściero wdepnęliśmy, co, skrzacie?

Karzeł odruchowo zerknął na skrawki płótna, którymi owinięte miał stopy. Rzucił na wojownika nieprzyjazne spojrzenie i złapał kolejny kamień.

– Cóż – prychnął Dun i podniósł się z głazu, na którym siedział. – Dla mojego dzielnego, małego przyjaciela nie jestem wartym otwarcia gęby.

– Skoroś tak sobie mielenie ję... jęzorem upodobał – karzeł wzruszył ramionami – to... to miel za nas dwóch.

– Krzywda by ci się stała, gdybyś czasem gębę otworzył? Milczysz i milczysz, układasz te głazy, psia mać...

– Ty żal do mnie masz? – Karzeł znieruchomiał nagle, wpatrując się w Duna szeroko otwartymi oczyma. – Samżeś mnie tu zawlókł, ja za ciebie haruję, a ty.. Ty jeszcze...

– Ale wstawiłem się za tobą, kiedy nas ten klecha pytał!

– Gównu! – Arnul niespodziewanie spurpurowiał. – Ani żeś pamiętał! Pysko... pyskować chciałeś i tyle! Gadasz i gadasz, odgrązasz się, ty... tylko tyle umiesz!

– Prawdę powiedziałem!

– Juści! Aż mu w pięty po... poszło! – Karzeł się zachłysnął. – I tyle z tego mam, że co... codziennie twą szka... szkaradną gębę oglądam! A o nad... nadstawianiu karku nie gadaj, bo w lochu chciałeś mnie jak kurczaka udusić, tylko cię strach ob... obleciał.

– Strach?! Słuchaj, skrzacie, ja walczyłem...

– Gównu mnie obchodzi, z kim walczyłeś! *Fjandinn!* Masz, teraz po... powalcz z tym!

Rzucony z całą siłą głaz wbił się głęboko w błoto tuż u stóp Harald, a Arnul bez słowa odwrócił się i począł ładować kolejne kamienie na taczkę.

Harald stał przez moment nieruchomo. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, jedynie pięści zaciskały się miarowo

– Kiedyś w Albionie zabiłem człowieka, który nazwał mnie świniopasem – wyszeptał wreszcie cicho. – A teraz...

Za plecami Duńczyka rozległ się głośny trzask i Harald z jękiem zwałił się w błoto. Arnul poderwał się na równe nogi. Szeroko rozwartymi oczyma patrzył, jak Nadzorca, ponury człowiek w poszarpanej kolczudze i ze straszliwą blizną na policzku, powoli zwijał swój bicz.

– Alleluja – warknął przez pożółkłe zęby.

– On... Ja... nic... to tylko... – jękał się karzeł, czując, jak blednie.

– Pozbieraj to ścierwo – rzucił tamten, odchodząc. – Za kwadrans wrócę, by sprawdzić jeno, czy dalej mam ochotę na zbawianie dusz. Amen.

Harald jęknął z bólu. Gdy uświadomił sobie, że siedzi przy nim Arnul, zacisnął mocno zęby i odwrócił głowę. Nie mógł jednak nie zauważyć, że oczy karła były pełne żalu, a usta miał wykrzywione niemal w dziecięcą podkówkę.

– Nie na plecy – ostrzegł wikinga cichym głosem i przytrzymał lekko dłonią. – Smagnął cię przez ło... łopatki. Będzie boleć...

– Nie potrzebuję... – wycharczał wściekle wojownik, próbując strząsnąć karłą dłoń z ramienia.

– Tak, ja... ja cię też nie potrzebuję – wszedł mu w słowo Arnul, pomagając usiąść. – A oboje nie po... potrzebujemy Nadzorcy, nie potrzebujemy mnichów, tego Kościoła i tych kajdanów. Ale je mamy.

Harald prychnął, siadając wreszcie.

– Ja jestem karłem – ciągnął uparcie Arnul. – Nie ma we mnie gnie... gniewu, ja po prostu robię swoje. Nie myślę, nie pa... pamiętam, pracuję. Ty zaś nienawidzisz tego miejsca. To zły pomysł. Musimy się z tym oswoić, Harald. Musimy czekać. Nie możemy... Nie u... umiemy walczyć...

Harald utkwiał w karle puste spojrzenie.

– Przez całe życie tylko walczyłem... Zbroczyłem krwią me ręce więcej razy niż ty koszulinę błotem. Nie umiem robić nic innego. Nie umiem, skrzacie.

– To popatrz na to... – Karzeł potrząsnął krępującym ich łańcuchem. – To le... leczy gniew.

– Mojego nic nie uleczy.

– Jak wolisz. – Arnul wstał i podszedł ciężko, brzęcząc łańcuchem, do porzuconego kamienia. Uniósł go bez wysiłku i jeszcze raz spojrział na Haraldą. – Weź się do pracy – rzekł. Jego policzek drgał, jakby chciał się uśmiechnąć. – Jeśli masz jeszcze kiedyś zasiąść w tej twojej Valhalli, to lepiej dbaj o siebie. Łajdak z ciebie, ale i tak szkoda twej skó... skóry na bat Nadzorcy.

– Arnul – powiedział Harald, unosząc wolno głowę.

Naraz obaj uświadomili sobie, że wojownik po raz pierwszy wypowiedział jego imię.

– Dzieciuch żeś, a tyle w tobie spokoju... – powiedział cicho.

– Spokoju? – Arnul ostrożnie odłożył głazdo taczki i zadumał się. – Nie wiem, czy to spokój. Dotychczas byłem czło... wiekiem, a teraz budzi się we mnie karzeł. Niedużo wiem o karłach poza tym, że ciągiem milczą i z kości Ymira je stworzono.

– Mówią, że karły są za pan brat z bogami... – Wojownik uniósł wysoko brwi.

– A bo to ja wiem? – powiedział ze smutkiem w głosie Arnul. – Wiem o bogach tyle, że pośród nich Odyn najpierwszy, a potem Thor, a Frigg najpiękniejsza. Na *jul* z rodziną chadzałem, kiedy to Ingolf Biały rytuały czynił kole świętego dębu, w ucztach ku czci elfów brałem udział, wiosną wokół ogni tań... tańczyliśmy. To wszystko, co wiem.

– Mówisz, jakbyś wśród ludzi się chował.

– Bo tak było. Ludzie mnie wychowali, zacni i prawi, ale odbiło im, kiedy nowe przy... przyszło. Powiedzieli, że nie ma już wśród nich miejsca dla karłów. Kazali w las iść, to po... poszedłem. Potem pomoc chciałem temu tam młodemu węd... wędrowcowi i tyś się pojawił. Zioła zbierałem, by mu ulgę przynieść. Gdybyś nie przeszkodził, może żyłby jeszcze...

– Skąd miałem wiedzieć? – wyjąkał Harald.

– Wždy darłem się... A ty mnie kijem... – Wzruszył ramionami Arnul. – Dziwni jesteście wy, ludzie.

– Dziwni?

– Ano dziwni. Siedzę tu, kamloty układam z dnia na dzień, zerkam na was ukradkiem i powoli odkrywam, czemu moi rodacy wolą w górach siedzieć aniżeli z wami się zbratać.

– Nic dziwnego. Bóg na Krzyżu im wrogi.

– Nie. – Karzeł hardo zadarł głowę. – Nie o to chodzi. Ten Bóg czy tamten, zawracanie głowy. To nie o to chodzi. Wy, ludzie, lu... lubicie się kłócić. Tam, gdzie jeden mówi je... dno, zaraz pojawia się drugi, co mu na przekór powie. Macie tedy boga tego i takiego i się bijecie. Miotacie się. Sza... szalejecie. Ciskacie się, zmieniacie decyzje, do gardeł ska... czecie. A karły pracują. Pracują, kopią, piękne rzeczy tworzą, sprzedają. Nie kłócą się, bo nie mają o co. Pracują i czekają. Będę jak one. Przeczekam niedolę jak skała, w której dłubią moi rodacy... Karły nigdy się nie zmieniają, a ja jestem karłem. *Dvergur*.

Dreszcze przebiegły wojownikowi po plecach, kiedy uświadomił sobie, że patrzy na Arnula właściwie po raz pierwszy. Nigdy jeszcze jego zielone oczy nie wydawały mu się tak skośne i jednocześnie tak pełne głębi. Nierówne, jasne włosy karła drgały na wietrze, odsłaniając lekko szpiczaste ucho, a jego cała sylwetka, niska i przysadzista, zdawała się emanować pradawną siłą. Ostro wystające kości policzkowe i wąskie wargi podkreślały jeszcze mocniej wyraz determinacji na twarzy.

– Do roboty! – syknął nagle Arnul, burząc napięcie. – Na... nadzorca idzie!

– *Kyrie eleison!* – Nadzorca wykrzywił twarz, wywalając język aż do podbródka. – Pracujcie, baranki boże, pracujcie!

– Pracujemy, mości panie. – Arnul ukłonił się na tyle nisko, na ile pozwalał mu dźwigany właśnie głaz.

– Niech was Duch Święty napęlni mocą, robaczki! – Nadzorca nie zwolnił ani na krok i skierował się ku kolejnym stanowiskom pracy przy murze.

– Miałbym ci ja topór... – warknął Harald. W jego oczach tańczyły złe ogniki.

– Ale nie masz – ostudził go karzeł.

– Arnul.

– Co?

– Powiedziałeś mi tyle tego... Chciałeś mi pomóc... I było ci żal, jak ta świnia mnie smagneła... Dlaczego?

– Bo... – Arnul się zawahał. – Bo to było przeze mnie. A ja nie pozwolę, żeby ktoś przeze mnie cierpiał.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – wrzasnął Nadzorca. Strzał z jego bicia poniósł się echem wraz z histerycznym wyciem trafionego.

Rozdział 8

Vidar zamrugał i spróbował unieść głowę.

– Powoli, panie! – Przytrzymała go czyjaś silna dłoń.

– Co się dzieje? – wychrypiał.

– Wszystko dobrze, panie skald! – głos wydawał się znajomy, lecz Gustavson wciąż nie mógł go rozpoznać. – Do lasu uciekali jak zające! Bogowie... Eee, znaczy się, Bóg zwycięstwo nam dał i...

– Gdzie... Gdzie ja jestem?

– W Bjorgvin, panie skald!

Vidar zamknął oczy, a wtedy zaczęły napływać obrazy. Drgająca ziemia i rozsypujące się wały miasta. On sam, biegnący na czele tłumu wojowników. Zaciekle walki wśród płomieni. On i Floke, ramię w ramię... Walka!

Nagły atak bólu zdawał się rozrywać czaszkę. Vidar skulił się z jękiem.

– Nieźle żeście w łeb zebrali, panie skald! Mocną, islandzką czaszkę macie!

– Torve... – Vidar rozpoznał wreszcie głos swego przybocznego. – Torve, co się ze mną stało?

– Ano nic takiego, w łeb was cięto, ale niegroźnie. Berserk drogę wam zastąpił, bitny jakich mało. On was rąbnął, a Floke was osłonił, zanim...

Stary zawiesił głos.

– Zanim co? – wyszeptał Vidar, ignorując ból – Zanim co! – Pochwycił starca za kożuch i przyciągnął do siebie.

Niespodziewanie wisząca w progu skóra uniosła się, a do ciemnego wnętrza wpadły promienie słońca.

– ...nie masz na co czekać, Thorfinn – rozległ się głos króla. – Zbierz tylu konnych, ilu dasz radę, i goń ich, póki się przegrupowują. O, nareszcie. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Vidarze. Zaczynałem się o ciebie martwić.

Eryk wślizgnął się do wnętrza chaty. Nim kotara opadła, a z nią znikło światło słoneczne, skald dostrzegł, że szczupła twarz króla jest blada i nosi ślady wyczerpania, lecz oczy wciąż błyszczały.

– Niech będzie pochwalony, *herra minn*... Panie, czy...

– Tak, Vidarze. Gród jest nasz, opór rozbity, a nam w ręce wpadło kilku znacznych jarłów i kapłanów. Sam Ragnar Przyjaciel Kruków spętany i pod strażą! Bóg był łaskawy! – Eryk zaśmiał się krótko. – Thorfinna właśnie wysłałem, by niedobitków ścigał. Sporo pogan uciekło po tym, jak Bóg pomógł mury miasta rozrzucić. Od jutra rozpoczynam nowe porządki.

Coś dziwnego błysnęło w oczach króla, gdy mówił te słowa, ale Vidar nie zwrócił na to uwagi.

– A Floke, panie? – wyjąkał.

Rysy Eryka ściągnęła stal.

– Mówią, że bronił twego ciała do końca – powiedział krótko. – Walczył z jednym z tych, których ponoć moc Odyna w niedźwiedzie przemienia. Masz więc kolejny powód, by ich nienawidzić, Vidar.

Ketil syn Thorvalda od dwudziestu lat nie opuścił żadnego tingu, choć interesów wielkich nie prowadził. Był dobrodusznym, uczciwym człowiekiem – zwad z sąsiadami nie miewał i z długami też nie zalegał, a więc do lagmanów i godiego śpieszno mu nie było. Handlować też nie zamierzał, chyba że jakieś zamorskie upominki Fridzie czy chłopakom kupić. Nie, on jechał porozmawiać.

Pierwszą jego myślą było to, że Kopyto Sleipnira nie zmieniło się wcale, lecz gdy zmierzał do gospody, ujrzał wielki, drewniany krzyż, ustawiony na zboczu Wzgórza Sądów i poczuł się niepewnie. Z pochyloną głową wszedł do środka, a tam okazało się, że pewne rzeczy w istocie są niezienne. Nim jeszcze poczuł zapach piwa, baraniny z kapustą i wilgotnej słomy, zauważył łysiejącego woja, który unosił właśnie do ust ogromny kufel piwa.

Ketil uśmiechnął się lekko.

– Edgar! – zawołał.

Łysy wojak odwrócił się ze zdziwieniem.

– Ejże! Toż to świeżo upieczony pan wójt! He, he, siednij no krzynkę. Ty tam, trollu kudłaty, należy piwa panu, jak cię grzecznie proszę! Siadaj, Ketil, i praw, co tam u was? Jak tam Frida, he?

– Nadobna ci jak przed ślubem, a jak obejściem zatrzesie, to borsuki w nory włożą i wyjść się boją! – Ketil rozparł się na ławie.

– A serio?

– Przecież mówię serio. – Ketil upił z kufła, który posłusznie postawił przed nim karczmarz. – *Takk fyrir!*³⁹ A ty, Edgar, do ożenku się nie śpieszysz?

– Ja? – zapytany obruszył się. – Pół roku ledwieśmy się nie widzieli, a ty zaraz myślisz, że na łeb mi padło. Na co mi baba, he? Skoro przez tyle wiosen żadnej żem sobie nie przygruchał, tedy na starość cudu się nie spodziewaj! Siedzę se na zamku na Nidaros, żołd królewski mam w sakiewce i popijam z kamratami, a dzierlatki wam ostawię, bom ja się już w życiu dość nabawił!

– Tedy ty u króla na służbie! – Ketil uniósł wysoko siwe brwi. – Zaiste, zmiana za zmianą. Człek myślał, że w Kopycie Sleipnirra wždy tak samo...

– Skoro o zmianach, to nie mów już Kopyto. – Edgar uśmiechnął się kwaśno. – Przystań Tingowa to nynie i lepiej sobie to zapamiętaj, wójcie! Einarr, gospodarz, tępą pała, chciał z początku tę dziurę Pod Krzyżem nazwać, coby się mnichom przypodobać. Dobrze, że się udało mu jakoś to ze łba wybić. No, a co do mnie. Dziesiętnikiem żem ostał na miejsce zbója jednego... Harald się zwał, może znaliście go, kumie? O raz za dużo przy piwie nagadał, to i go ucapili. Dziwnie czasy...

Na moment zamilkli i zamoczyli wąsiska w piwie.

– Ano dziwne – westchnął Ketil. – Ten krzyż na wzgórzu...

– Krzyż! – burknął Edgar pod nosem. – Wszystko do góry nogami poustawiane.

Wszyscy gadają, że nowi bogowie to bogowie miłości i dobra. Tedy czemu na ulicach Nidaros ludzie spode łba na siebie patrzą? Czemu ludzie milczą w karczmach, miast popijać, śpiewać i przy ogniu tańcować? Czemu lochy pełne, szubienice skrzypią, a ludzie ostatnie grosze na tę nową świątynię z kamienia dają?

– Nie odpowiem ci na te pytania. – Ketil westchnął. – Na wsi inaczej, spokojniej trochę. Przyjelim tę nową wiarę z Fridą i dzieciakami i co, wielkie mi rzeczy! W mokrej wodzie człek się zanurzył, ichni kapłan gadał coś po obcemu, łapami zamachał i po wszystkim. Wielkie mi rzeczy. Wsią nynie zarządzam i co? Jestem złym człowiekiem i... i... zdrajcą, bo się zachrzcilem, co?

– Ketil, nie strofuj ty mnie, jak bachora...

– Cichaj, Edgar! Taki sam ze mnie Ketil syn Thorvalda co zeszej wiosny, o! Jeno że bogatszy ździebko! I co z tego, że krzyż nad wejściem powiesić kazałem, wielkie mi rzeczy, ha! I na te ich rytuały, gdzie wino się pije i kadzidło niucha też jeżdżę, a co! Sam sobie nawet krzyżyk na piersi powiesiłem, co wędrowny kramarz sprzedawał, tu gdzieś był, gdzie on... Zaraza, zgubiłem chyba! Cześć Odynowi i Frejrowi dalej oddajemy i duchy przodków czcimy, jak się należy, bo przecież trzeba żyć z nimi w zgodzie, nie?

– Nawrzeszczałeś na mnie i po co ci to? Albo to ja nie pojmuję tego wszystkiego? Przecie ja sam ochrzczoney!

– Tyyy? – Ketil otworzył szeroko oczy. – Taki niezłomny przecie!

– Ale i sprytny kiej sam Loki! – Edgar przymknął chytrze powieki. – Wiosen bez mała dwadzieścia temu z Leifem Wężojadem oblegaliśmy Dorestad. Obrońcy już chcieli miasto za okupem poddać, kiedy to miejscowy kapłan uparł się, że wszyscy ochrzcić się muszą. Tedyśmy się ochrzcili, czemu nie? To samo trza było raz w Albionie, miasta nie pomnę, i raz we Frankonii, jeno że tym razem dla hecy. Braciszka żeśmy jednego schwytali podczas jakiegoś ataku, a wieczorem popiliśmy się jak wieprze. Graliśmy w kości, a wtedy jeden z naszych, pojmujesz, kazał braciszkowski chrzcić w balii tego, co przegrał. Chyba z pięć razy mnie ochrzcił, bo strasznie kiepsko mi kości szły, ale to jako raz liczę, bo to jednego dnia było! – Edgar zachichotał i machnął dłonią. – To ja teraz potrójny chrześcijanin! Lepszy od króla jestem, bo tamten raz ino chrzczoney!

– Ty, Edgar, to z wszystkiego ubaw zrobisz! – uśmiechnął się Ketil.

– A, nie gadaj! – Edgar się przeciągnął i wydał wargi z dumą. – Jak byś piwska tyle co ja złopał, też by ci się wszystko śmieszne wydawało! He, he, he! Ruszże rzyć, jaką nową tawernę znajdziem, bo tu końskimi szczynami zajeżdża. Może kompania jaka się trafi...

– Ejże, stary niedźwiedziu, nie tak prędko! Widzisz, ja tu z synkami jestem.

– Oho ho! Wreszcie żeś smarków do ludzi zabrał! Dawaj ich tu wtedy, im prędey do piwa nawykną, tym lepiej dla nich!

– Nie po to ich tu targam, by się upili w pierwszej lepszej dziurze. Ulfa do terminu chcę oddać.

– Ohoho! Chętnie przyjmę!

– Cichaj, stary pacanie! Chcę, coby Ulf tym... no... kapłanem został.

– A przemyślał żeś to? – Edgar zmarszczył brwi, nagle spoważniały.

– Tak mi się zda. Frida też się zgadza.

– Eeee tam... Zmarnują ci chłopaka! Kłaki mu zetną, we łbie namieszają, czytać i zaklęcia szwargotać nauczą...

– Eee tam, gadasz... Tak żem już postanowił i basta. – Ketil wzruszył ramionami. – Ulf to twardy chłopak i we łbie mu łatwo nie napsują. Jenó pożytek rodzinie przyniesie.

Gadali jeszcze krótką chwilę o tym i owym, ale rozmowa nie kleiła się tak jak kiedyś. Ketil dopił więc piwo, zostawił Edgarowi miedziaka na kolejne i wyszedł. Dopiero gdy na powrót odetchnął świeżym powietrzem i rozejrzał się dookoła, zrozumiał wreszcie, dlaczego ting wydawał mu się inny niż dotychczas.

Nie było ani jednego karła sprzedającego produkty z żelaza. Nie było goblinów skaczących po linach, trolli handlujących baryłkami masła ani czarodziejów z kraju Finów.

Skośne oczy karła zalśniły niebezpiecznie. Nie drgnął ani jeden mięsień na jego twarzy, ale włosy wystające spod hełmu zafurkotały na wietrze, szybko, nerwowo.

Królewski wysłannik imieniem Gralli czuł narastający przestach. Nie pocieszało go to, że miał na sobie kolczugę z najlepszej stali i dobry miecz u boku, a za nim stał tuzin jego ludzi. Mogłoby być ich tysiące, a on i tak by się go bał.

– Nie ja tak kazałem – powiedział, na próżno usiłując opanować drżenie głosu. – Ja jeno powtarzam, Hornobori, co król sobie życzy. Nie wolno wam wjechać na Orating.

– Odjeżdżają... – szepnął z ulgą któryś z jego ludzi.

Nie usłyszeli ani słowa w odpowiedzi. Jeden po drugim niskie, dwukołowe wozy karłów zawracały na drodze i oddalały się ze skrzypieniem. Nie minęła minuta, a ostatni wóz karlej karawany zniknął w ciemnościach lasu.

Oddziałek Gralliego zaczął się zbierać i wsiadać na konie dopiero, gdy ucichły ostatnie odgłosy. Woje cicho rozmawiali, nerwowym śmiechem wyrażając ulgę i podziw dla dziesiętnika. Niebawem kopyta zaklaskały w błocie zmieszonym ze śniegiem. Oddziałek z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku pognał w stronę Nidaros.

Rozdział 9

Eryk Halvdanson szedł pewnie wzdłuż szeregów wojska. W jego oczach płonął ogień tak intensywny, że ludzie odruchowo chcieli zrobić krok w tył. Poblask trzymany przez nich pochodni niósł się daleko po falach jeziora.

Za królem podążali jego przybocznicy – Thorfinn z ręką na temblaku, stary Eskil, poruszający wąsikami, jakby cały czas coś do siebie mrucał, i jarl na Hladir z synem Sveinem, ostentacyjnie idący niemal po prawicy władcy. Vidar znów zagryzł wargę, widząc, jak wśród najbliższych towarzyszy króla brakuje tego jedyne, kogo mógłby zwać swym przyjacielem. Westchnął ciężko i spojrzał na rosnący nad jeziorem stary jesion, do którego przybito przywódcę buntowników.

Ragnar Przyjaciel Kruków milczał. Nie odzywał się od chwili, gdy cios Thorfinna złamał trzonek jego topora, a potem zwalili się nań druzynnicy królewscy ze sznurami. Na widok Eryka Halvdansona, który stanął tuż przed nim, również nie powiedział ani słowa, jedynie oczy zwięziły mu się jak u atakowanego rysia.

Stary, spętany przez królewskich wojowników przeżył długie i bogate życie. Był kupcem, wojownikiem i budowniczym okrętów, odwiedził wiele krajów z legendarnymi Miklagrodem i Vinlandią włącznie, wygrywał bitwy, przewodniczył tingom, aż wreszcie, będąc w sile wieku i u szczytu swej mądrości, został kapłanem Thora. Na dzikiej Północy kapłanem zostawał każdy, który umiał prowadzić rytuały ku czci bogów, ale w ich gronie znajdowali się też tacy jak Ragnar, ludzie, którzy naprawdę odczytywali boskie wyroki. Przez wiele lat poznawał sztukę stawiania runów, rozkazywania zwierzętom i odczytywania pogody. Nauczył się rozpoznawać zioła i rozmawiać z Alfami, poznał tajemnice każdego konara Yggdrasila oraz żywoty wszystkich bogów. Jako duchowy przywódca Bjorgvin leczył, nauczał, spisywał dzieje na brzożowej korze i pielęgnował święty jesion nad Mglistym Jeziorem. To, że nadchodzi kres zarówno jego życia, jak i znanego mu świata, zrozumiał kilka nocy temu, kiedy stał na wałach Bjorgvin i słuchał raportów orłów i kruków. Zapisany mu los właśnie się dopełniał, a to, że wedle rozkazu króla przybito go do ukochanego jesionu, wcale mu nie przeszkadzało. Ba, w duchu cieszył się z tego, że stał się jednością ze świętym drzewem. W oczach kapłana na próżno szukać by lęku.

- Cierpisz, stary niedźwiedziu – odezwał się cichym głosem Eryk Halvdanson.
- Nawykłem – wyszeptały sine wargi Ragnara.
- Mogłeś siedzieć teraz z nami przy jednym stole i weselić się.
- Nie umiałbym się weselić po tym, jak zdradziłem swój świat. – Kapłan uśmiechnął się szyderczo.
- Mylisz zdradę z przejrzeniem na oczy, starcze. – Eryk zmarszczył brwi. – Ludzie o wątlejszych niż ty umysłach potrafili wejrzeć w nauki Chrystusa i odnaleźć w nich ukojenie. Widać, żeś dobrze nie przemyślał dobrodziejstw, jakie ze sobą niesiemy, głupcze.

– Oblubieńcy niebios! – szydził Ragnar. – Jeździecie po całym kraju z bandą najemnych zbirów i przemocą uszczęśliwiacie ludzi! A przyszło któremuś do głowy, że nie wszyscy chcą być uszczęśliwiani? Że chcą tylko tego, by inni zostawili ich w spokoju?

– Bóg im wybaczy, gdyż nie wiedzą, co czynią. – Eryk uśmiechnął się, ale był to zły uśmiech. – Ale są też tacy jak ty. Tacy, dla których już za późno.

– Nie za późno! – zaśmiał się chrapliwie kapłan. – Każdy dzień jest dobry na śmierć, *Naðran þín*, młoda żmijo. Długo już chodzę po Midgardzie, głosząc chwałę Thora, a w ostatniej bitwie stanąłem twardo i usiekłem wielu wrogów. A teraz czeka mnie piękna śmierć! Wielka śmierć! Do Valhalli wejdę z dumnie uniesioną głową!

– Valhalla! – Eryk parsknął śmiechem. – Bifrost! Asgard! Kłamstwa i gusła! Oddajesz cześć drewnianym bałwanom, dziadzie! Widziałeś potęgę naszej wiary? Czuleś trzęsienie ziemi przed szturmem? Widziałeś krzyż na niebie?

– Tym mierzysz moc swej wiary? – Ragnar obnażył poźółkłe zęby. – Ja nawet teraz czuję, jak magia świętego jesionu koi mój ból. Wasza moc jest chaotyczna i nieokiełznana, obca tu, na Północy. Nie walcz z tym, co stare i wszechpotężne, młodzianie. Wróć do...

– *Þegiðu!* – krzyknął wysoko Eryk. – Dość tych pogroźek! Pysznisz się swoją śmiercią niczym dzieciak zabawką, a to trochę za wcześnie. Nie umrzesz bowiem tej nocy, starcze. Umrze za to wielu innych... Za twoje grzechy.

Eryk odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Vidar dopiero po chwili spostrzegł, że część wojów uformowała szereg, a inni przywiązywali jeńców do pni drzew. Vidar ze strachem rozpoznał obrońców Bjorgvin – poranionych, osmalonych wojowników o ponurych twarzach. Ze zdumieniem dostrzegł, że do drzew prowadzono również innych – głośno płaczące kobiety, kilku obdartych chłopów, garść kupców.

Niczym porażony, Islandczyk patrzył, jak albiońscy łucznicy wolno napinają cięciwy i mierzą dokładnie. Krzyki i lamenty przybrały na sile, gdy jeńcy zrozumieli, na co się zanoszą.

– Dalej jesteś z siebie dumny? – zapytał z tryumfem Eryk.

– Nieee! – Vidar rzucił się w stronę monarchy. – *Herra minn*, to przecież niewinni ludzie! Na miłość Wszechmogącego, nie godzi się...

– Stali przeciw nam z bronią w ręku. – W spojrzeniu Eryka nie było cienia litości. – Poniosą karę.

Vidar padł na kolana. Na jego twarzy malowała się mieszanina niedowierzania z przerażeniem.

– Królu mój...

– *Þegiðu*, Vidar.

Kilkanaście drżących par palców z ulgą zwolniło cięciwy. Głosy się urwały.

Twarz starego kapłana była wyzuta z emocji. Suche, spękane wargi szeptały jakieś słowa.

– ...ty, któryś mądrością przerósł wszystkich śmiertelnych, niech twe oko jedyne wejrzy na nas łaskawiej, Odynie, panie nasz – szeptał cicho mężczyzna.

– *Odin, herra...* – zawtórował mu chór drżących, świszczących szeptów.

– Niech moc nie opuszcza twego młota, Thorze, najdzielniejszy z wojów Asgardu...

– Najdzielniejszy z wojów Asgardu!

– *Ásgardr... Ásgardr...*

– Chronź nas przed olbrzymami z gór Jotunheimu i przed dziećmi Węża Ziemi, krwi spragnionymi...

– Chronź nas, Thorze... *Verndaðu okkur!*⁴⁰

– *Verndaðu okkur!* Chronź nas, ojcie ludzi miecza... – powtarzał cicho Harald, po raz pierwszy od wielu, wielu dni czując ulgę. Wiedział, że to jedynie złudna chwila, bo o świcie nadzorcy i tak wygonią go do pracy. „Wyspałbyś się lepiej...” – wręcz słyszał burknięcie Arnula, lecz odepchnął złe myśli. Liczyła się tylko ta chwila.

– Niech twe dobroczynne dłonie, Frejrze wszechmocny, nakryją nasze domostwa... Spraw, by synowie rodzili się nam rośli, a córki nadobne...

– *Freyr, verndaðu okkur!*

Serce wojownika rozpierało nieznanne mu uniesienie, podobne temu, które towarzyszyło ofiarom składanym na pokładzie smoczego okrętu przed bitwą. Wtedy jednak pozdrawiał bogów chór drapieżnych, ochrypłych głosów, pełnych buty i wiary we własną siłę. Dziś jego twarzy nie wykrzywiał już półzwierzęcy grymas. Klęczący Harald uśmiechał się z zadumą.

– Patrz daleko w otchłanie mroku, Heimdal, strażniku Bifrostu. Bacz, by ni olbrzymy, ni smoki pod mury Asgardu nie podeszły...

– *Heimdallr, verndaðu okkur!*

Wojownik gorliwie powtarzał słowa pieśni ku czci bogów, znanej we wszystkich krainach Swiów, Nordwegów i Dunów od mroźnej Północy aż po granice Cesarstwa Germańskiego. Zнали ją osadnicy na dalekiej Islandii, odmawiali z czcią wikingowie na Erinie, śpiewali ją wojownicy z Jomsborga i gwardia wareska cesarza bizantyjskiego. Pieśń ta wędrowała za ludem Północy, a choć jej słowa i melodia zmieniały się, cel pozostawał ten sam – wielbić stworzycieli i panów Midgardu. Największą moc miała podczas najdłuższej nocy w roku zwanej *jul*, kiedy to od niepamiętnych czasów zawsze działy się rzeczy niepojęte. Na nocnym niebie pojawiały się komety, chmury przybierały kształty zamków i smoków, a księżyc spowijała aureola o najdziwniejszych barwach. Był to czas cudów – zaginionie mężowie nagle wracali do domów, chorzy wstawali z łózek, rodziły się dzieci, które zostawały bohaterami, skaldami lub jarłami. Zdarzało się, że z gór schodziły karły z magicznymi prezentami dla tych, którym pisane było wielkie przeznaczenie, bywało, że wśród ludzi pojawiały się Alfy i objawiały przyszłość. W tę noc jednali się odwieczni wrogowie, młodzi zakochiwali się od pierwszego wejrzenia, a ci, którzy utracili wszelką nadzieję, zyskiwali ją na nowo.

– Racz ku nam patrzeć, Frejo, królowo piękna i miłości. Ubarw swym czarem życie nasze ciężkie...

– *Freya, verndaðu okkur!*

Harald był pewien, że to był najcudowniejszy *jul* na całym świecie. Nie przeszkadzało mu, że klęczy na lodowatej, oszroniałej polepie, za całe odzienie mając kilka łachmanów. Nie pamiętał o znużeniu, szydził z zimna i burczenia pustego żołądka. Jeden jedyny kaganek starczał im za cały rząd pochodni, a w jego świetle nieogolone, wychudzone twarze współwięźniów wydawały mu się piękne i pełne dumy. Jego dłonie same wlatywały do góry, ignorując ciężar kajdan, które brzęczały teraz cichutko, niczym srebrne dzwonki. Modlił się za wiele rzeczy, w tym za starego dowódcę straży Rulfa, który za kilka przemyconych skrawków srebra, zgodził się zdjąć kłody, przykuwające więźniów do ścian.

– Bądź pochwalon Tyrze, wodzu asgardzki...

Nagle Harald drgnął, tknięty dziwnym przecuciem. Spod wpeł przymrużonych powiek przyjrzał się bacznie swym współtowarzyszom. Nie, każdy sprawiał wrażenie całkowicie zatopionego w modlitwie. Nieco uspokojony przeniósł wzrok na ściany lepianki, a wtedy drgnął ponownie.

Para błyszczących oczu śledziła rytuał przez szczelinę w ścianie.

– Zobaczę, czy strażnicy aby gdzieś się nie kręcą... – rzucił półgłosem i niespostrzeżenie przesunął się w stronę wyjścia.

Noc była mroźna i wokół leżał świeży śnieg. Harald odczekał, aż ustanie mrowienie w nogach, po czym zaczął skradać się przy ścianie. Łańcuchy na nadgarstkach ujął mocno, by nie zdradziły go brzękiem, a w myślach błagał bogów, by uciszyli skrzypiący śnieg pod jego stopami. Już widział przyczajonego mężczyznę.

Jeszcze cztery kroki, trzy, dwa...

Runął na obcego i w ułamku sekundy obaj znaleźli się na śniegu. Harald przewrócił intruza na brzuch i przygniół mu ręce do pleców z taką siłą, aż temu coś chrupnęło w stawach, a potem brutalnie zablokował mu usta. Ofiara krztusiła się, kopła śnieg, ale wojownik bezlitośnie zacisnął uchwyt. Obcy osłabł bardzo szybko.

– Ktoś ty? – warknął.

Mimo mroku dostrzegł, że obcy na jego głowie czapkę z baraniego futra. Coś zaczęło mu świtać.

– Puść go, Harald – odezwał się znajomy głos za jego plecami.

Z ciemności wyszedł Arnul, pobrzękując cicho kajdanami.

Harald zaniemówił ze zdziwienia.

– No dalej, puść go... – nalegał karzeł. – To Psie Ucho, nie po... poznajesz?

– Psie Ucho? – wydyszał Harald. – Sługa biskupa? Mam go puścić? *Fjandinn!* Przecie on nasz *jul* podglądał! Uduszę go jak...

Schwytany na nowo począł bełkotać i szamotać się.

– O... ostaw go! – Wystraszony karzeł zacisnął dłoń na ramieniu rozdygotanego wojownika. – Przecie to *jul*... Nie wolno na nikogo nastawać...

– Ale on...

– Dajże pokój, Harald... No, dalej... Ja... Ja za niego ręczę...

– Ty?

Harald patrzył jeszcze przez chwilę na karła, po czym powoli wstał, otrzepując kolana. Stary sługa z trudem przetoczył się po śniegu, wstał i trzęsąc się z zimna

i strachu, naciągnął czapę mocniej na oczy.

– Nie bijcie już – wyjąkał Psie Ucho. – Ja niewinny.

– Nic nie rozumiem, karle – oznajmił chrapliwie wojownik i wyprostował się, nie spuszczać służącego z oczu. – Lepiej mi wytłumacz.

– Ja... Ja też niedużo rozumiem... Ale więcej... On... Ja myślę, że on może nam wiele wytłumaczyć.

Harald, Arnul i Psie Ucho nie mieli wątpliwości, że w szopach straży piwo leje się strumieniami. Kiedy ukradkiem wślizgiwali się do zimnej, wilgotnej komórki Psiego Ucha, mogliby przysiąc, że słyszeli przenikliwy falset Nadzorcy śpiewającego zniekształcone przez niepamięć psalmy. Wiedzieli, że żadnemu ze strażników nie przyjdzie do głowy, by sprawdzić więzienne baraki, ale obaj niewolnicy byli spięci i nerwowi. W komórcie Psiego Ucha również nie poczuli się bezpiecznie, ale mamroczący do siebie starzec, widząc ich dyskomfort, natychmiast zabrał się za krzesanie ognia na kamiennym palenisku pośrodku izdebki.

Wkrótce pierwsze płomyki poczęły nieśmiało pełzać po wilgotnych gałązkach i Arnul zmrużył oczy. Karzeł stał przy drzwiach, co rusz wyglądając na pusty dziedziniec i oglądając się za siebie. Jego oczy dobrze radziły sobie z mrokiem – widział zarówno podejrzliwość na twarzy Harald, jak i nadzieję w błyszczących oczach Psiego Ucha. Starzec znów pochylił głowę i karzeł widział tylko baranią czapę oraz kilka kosmyków siwych włosów. Zwrócił też uwagę na jego dłonie, zadziwiając delikatne jak na starego parobka.

Karzeł zdecydował się przerwać ciszę.

– Mo... mocno się uderzył?

Psie Ucho podniósł szybko głowę. Na czole, do połowy przykrytym przez czapę, widać było krwawe otarcie.

– Gdzieżby tam! – zaprzeczył żarliwie.

– Dasz obejrzeć?

– Nie! – zaprotestował tamten gwałtownie, mocniej nasuwając czapę.

– Dlaczego podglądałeś *jul*? – spytał ostro Harald. Nagły ruch i okrzyk Psiego Ucha sprawiły, że zapomniał o łagodności.

– Przecie nie mogłem dołączyć... – wyszeptał w odpowiedzi. – Ja parobek biskupi.

– Dołączyć? – Harald zmarszczył brwi. – *Dað er lygi!*⁴¹ A po coś chciał dołączyć?

– Biskup wyjechali... I ja... Ja tylko trochę...

– To ty nie nowym bogom cześć oddajesz? Przecież żeś biskupi parob?

– Trza się kłaniać krzyżowi, tedy kłaniam się, ale sercem przy starej wierze! – wybuchnął nagle Psie Ucho, a jego chude policzki zapłonęły. – Niby wy w kajdanach, a ja wolny, ale zazdrozczę wam tego, że możecie się razem modlić.

– Wolny? – Harald wykrzywił wargi. – Skoroś biskupi, tedy takiś wolny jak i my!

– Prawda – odparł pełnym smutku głosem Psie Ucho. – Niby biskup Hieronim wolność

nam, sługom jarla, zwrócił, ale wnet nas służącymi uczynił i niech mnie bogowie pokarzą, jeśli mi w niewoli jarlowskiej lepiej nie było. Wolny jestem jak pies przy budzie.

Wiking zmrużył oczy.

– Drużynnikiem starego jarla byłeś? – spytał ożywiony i brzęknął łańcuchami, niemal unosząc się z miejsca.

– Gdzie tam mnie do miecza! – zachnął się Psie Ucho. – Te palce gęsie pióro trzymać zwykły. Z ziemi Germanów pochodzę, z rodu zacnych wojów, jeno zawsze mnie bardziej do mądrości ciągnęło niżli do miecza. Tedy ojciec mnie do stanu kapłańskiego przeznaczili, ale nim kapłanem zostałem, piraci Estowie najechali ziemie mego ojca i w niewolę mnie pochwycili. Później na targu w Holmgardzie jarlowi Nidaros zostałem sprzedany. Dragi Smoczy Miecz się zwał, dawno to było, nie pomnicie... Cenili mnie jarl, bom w literach uczony i mowę łacińską pamiętam, listy pisać umiem i tłumaczyć. Cenili mnie konungowie i w łaskach wszelakich byłem, a ja pokochałem tę ziemię i jako własną zacząłem traktować. Waszych bogów umiłowałem, chociaż chrzcili mnie niemowlęciem. A teraz... Skoro każdy jeden ze świty biskupa Hieronima litery zgrabniej ode mnie stawia, tedy Psie Ucho jadło pracującym roznosić musi. Trudno – westchnięcie zakończyło wywód.

– Tedy... Wyście człek uczony! – wzdrygał się Harald, dla którego granica między wiedzą a magią była bardzo cienka. – Arnul, dajesz ty wiarę? Wiedzący jadło niewolnym roznosi!

– Daję – powiedział cicho karzeł i stanął przy niewielkim okienku przysłoniętym kawałkiem koziej skóry. – Już wcześniej żeśmy gadali.

– Toście się znali?

– Nie. – Karzeł zmarszczył brwi. – Ja tylko... Ja po prostu chciałem z nim porozmawiać.

– Jakże to? Czemu?

– Nie wiedziałem. Ale... – Arnul zaciął się i długo patrzył przez szparkę w zasłonie. – Coś mi kazało.

Harald wiercił się niespokojnie na kamieniu, a Psie Ucho patrzył na nich z napięciem. Ciszę przerwał głos karła, drżący, wręcz płaczliwy:

– Wiem... wiem o twojej Solveig, Harald.

– *Hvað?* – spytał Harald głucho.

– Wiem o niej. Wiem o Solveig.

Solveig. Wspomnienia uderzyły w wikinga z mocą wichru. Znowu walczyli z szalejącą burzą u wejścia Nygangsfordu, znowu ich okręt szturmował wysokie fale, a oni, ogłuszeni rykiem sztormu, robili wszystko, by bogini morza Ran nie pożarła ich nędznej łupiny z żaglem. Harald nie wiedział, kiedy morze zabrało Solveig, nic nie zauważył ani nie usłyszał. W blasku kolejnego pioruna ujrzał po prostu, jak kaskada srebrnych włosów znika w czarnej wodzie.

– Skąd... – wycharczał Harald, z całej siły zaciskając powieki. – Skąd ty...

– *Ég skil ekki!* – Arnul bezradnie rozłożył ramiona. Na jego twarzy malowała się rozpacz. – Po prostu uświadomiłem sobie, że wiem i... I już, no! Tak samo wie...

wiedziałem, że muszę iść do Psiego Ucha...

– Nie sroż się – odezwał się nieśmiało Psie Ucho. – On nieumyślnie...

Harald naraz rozluźnił pięści.

– Tak było zawsze – mówił cicho Arnul, pociągając nosem. – Zawsze wiedziałem więcej od innych. Wiedziałem, kto mi przyjacielem, a kto wrogiem. Byłem naj... najlepszy w zabawę w chowanego i cza... czasem wiedziałem o czymś, co się jeszcze nie zdarzyło... Tak robią karły, one zawsze wiedzą... Karle dzie... dziedzictwo.

– Nie zastanawiałeś się nigdy, dlaczego karły nie mieszkają wśród ludzi? – spytał Psie Ucho. – Przecie to górnicy i rzemieślnicy najprzedniejsi, znają sztukę uzdrawiania, a i wojownicy z nich okrutni! Zdaliby się ludziom, oj zdali. Problem w tym, że w myślach czytają i przyszłość odgadują, a to bywa trudne do zniesienia.

– Ja zaś trafiłem do ludzi jako dziecko. Może przez to moje zdol... zdolności są takie skromne – westchnął Arnul.

– Skromne? – Harald niespodziewanie zgrzytnął zębami.

– Tak. – Arnul pokiwał głową. – Ponoć najmędrsi z karłów potrafią całą przyszłość zobaczyć. Dziadyga Jo... Johan opowiadał, że sami bogowie się do karlich jaskiń skradali, kiedy co ich tra... trapiło, a nie chcieli pytać Lokiego.

Wojownik dalej siedział nieruchomo. Gdy uniósł głowę, karzeł i stary sługa ujrzeli niezdrowy rumieniec na policzkach.

– Harald, ja nie chciałem ci wy... rządzić przykrości... – zaczął Arnul, ale głos uwiązł mu w gardle.

– Już dobrze – Harald odezwał się prawie normalnym głosem. – Już cicho bądź. Jesteś przekłętą poczwarą i tyle. To teraz powiedz, po co to wszystko. Odnalazłeś Psie Ucho. Wiesz po co?

– Nie wiem... – powiedział z goryczą karzeł. – Dziwne są te moje prze... przeczucia. Ta noc też jest dziwna.

– Pradawna magia *jul*... – zamyślił się Psie Ucho – starsza niż słowo... To. – Podszedł do okienka i odsłoniwszy kozią skórę, wskazał rosnące mury katedry. – To jest nowe. Ujęte w karby, przemyślane i potężne, ale obłudne, pełne kłamstwa. A gdzie kłamstwo, tam i strach. Kapłani Boga na Krzyżu się boją.

Zimne powietrze wpadło do izdebki. Na nierównych, chropowatych ścianach zatańczyły cienie.

– Boją się! – Harald zaśmiał się szyderczo. – Czego się mają golone łby bać, skoro cały Nordweg, dolina za doliną, przed Jastrzębiem na kolana pada? Oni mają się bać? Te demony z wygolonymi głowami?

– Czytałem też ich mądrą księgę, którą Biblią zwa – powiedział smutnym głosem Psie Ucho. – Każe ona miłość nieść między ludzi i zła się wyzbyć. Słowa o miłości i spokoju mienią się pięknie niczym smocza łuska, ale gdy się przyjrzeć, widać kolce i szpony. Ich wiara jak smok się jawi, smok straszny, wielkogłowy.

– I oni bać się mają?

– Ale smok dopiero co na brzeg wylazł. Widzi wielki Jotunheim, niezmierzone puszcze, święte zakamarki. I czuje magię. Widzi też siedziby mądrych karłów, smocze leża, jaskinie trolli, zamki olbrzymów, hordy wilków, widzi blask Alfheimu na niebie.

I boi się. Bo nie mówi święta księga, jak walczyć z magiczną krainą. Nie wie smok, czy długo mu przyjdzie walczyć, za słaby on, dlatego się śpieszy, bardzo się śpieszy...

– Jeśli naprawdę to smok – wyszeptał Arnul, patrząc na fundamenty wielkiej katedry – to straszne jest jego cielsko.

Przez moment milczeli.

– Coś kazało mi przyjść do ciebie – powiedział cicho Arnul. – Dlaczego? Po co?

– Nie wiem... – Psie Ucho westchnął.

– *Ég veit* – powiedział niespodziewanie ochrypłym głosem Harald. – Ja wiem.

Rozdział 10

– Zbudźcie się, panie! Na miłość boską, zbudźcie się!

Jęk Psiego Ucha uparcie wrywał Rulfa ze snu. Śpiący strażnik przewrócił się na bok i parsknął wściekle, naciągając derkę na głowę.

– Panie, więźniów trza zamknąć! – Psie Ucho niemalże wył z rozpaczy.

– Tobie trza się zamknąć! – Chciał powiedzieć Rulf, ale przez jego wyschnięte gardło wydostał się jedynie głuchy bulgot.

– Jeszcze puciekają! – skomlał Psie Ucho. – Na podwórzec wyleżą, panie, a wtedy...

– *Farðu til fjandanns!* – wychrypiał Rulf. – Idźże precz, bo cię wychłostać każę!

– Panie, przecie król wnet na ting przyjedzie, a z nim pewnikiem biskup Hieronim. Jak zobaczą, że więźniowie nie w barakach, a luzem łożą...

Na dźwięk imienia biskupa Rulf rozwarł pozlepiane powieki i rozejrzał się wokół siebie. Do środka, przez kryte rybim pęczermem okienko sączyła się szarość. Było wczesnie rano, zbyt wczesnie, jak na gust starego dziesiętnika, ale imię biskupa przywróciło mu przytomność. W głowie nadal huczało, ale w końcu spuścił stopy na zimną polepę i mrucząc niechętnie zaczął się ubierać, a potem przypasał topór i wciąż się zataczając pchnął drzwi. Psie Ucho tkwił w niskim ukłonie.

– Jeszcze raz powtórz – warknął Rulf. – Czegoś chciał?

– Więźniowie... – wyjęczał tamten.

– Więźniowie... – Woj zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć wydarzenia wczorajszego wieczoru.

– *Já, herra* – przytaknął skwapliwie Psie Ucho. – Ci z baraku zachodniego i południowego!

– Co z nimi?

– No, odpięto ich od ścian, coby razem posiedzieć mogli i...

– No i? – Rulf oparł się o framugę.

– Panie, biskup... Nie lza tak... Jeszcze kara jaka na was spadnie... – plątał się Psie Ucho.

– Stary szuja z ciebie. – Rulf oderwał się od ściany i wolnym krokiem wyszedł na zewnątrz. – Trza czegoś więcej, by zyskać przyjaźń Rulfa Ragnirsona!

Psie Ucho przygarbił się jeszcze bardziej i powłókł się w ślad za dziesiętnikiem. Wstawał świt, zabarwiając niebo coraz jaśniejszymi odcieniami szarości, podczas gdy nad placem budowy zaległa gęsta mgła. Kontury niedokończonej katedry, wraz z barakami więźniów i chatami wojów tonęły w szarym mleku, nad które wystawała jedynie szubienica. Rulf charczał i pluł, a Psie Ucho drżał z napięcia.

– Które to baraki? – wymruczał Rulf, a zgniły zapach z jego ust owionął biskupiego parobka.

– Zachodni... i... południowy... – wyjąkał zapytany.

– Dobra. Wracaj do siebie – warknął strażnik i chwyciwszy pęk kluczy w garść,

zanurzył się w mgłę.

Psie Ucho odczekał chwilę i bezszelestnie ruszył w ślad za nim.

Rulf szedł bardzo powoli, co chwila robiąc przerwy dla zaczerpnięcia oddechu. Kaszłał, rozcierał zgrabiące dłonie i obrzucał cały świat wulgarnymi klątwami. Nienawidził tych zakutych w kajdany niedojdów, przez których musiał zwlec się z ciepłej pryczy i brnąć przez przeklętą mgłę! Po co im pozwolił na ten *Jul*?

„No, ale dostałem trochę srebra – pomyślał. – Ech, odegrałem się na starym Grollim, he, he, mina mu zrzęda! Głupi, śmierdzący niewolnicy!”

Brnął przed siebie i niebawem z tumanów mgły wyłonił się barak południowy. Na widok niedomkniętych drzwi zmarszczył nieco krzaczaste brwi.

„Nie, uciec nie dali rady... – pomyślał. – Co prawda, zdjąłem im łańcuchy na nogach, ale nie rozkuwałem dłoni. Narobiliby hałasu, próbując uciekać, a na strażnicach płonęły pochodnie. No i ludzie się boją, rychło doniosą o kimś w kajdanach. He, he, he, głupi ludzie... Przeklęta mgła...”

Strażnik zasadził klucze głębiej za pas i ujął topór. Szedł teraz czujnie, aż usłyszał odgłosy rozmów dobiegające z wnętrza szopy. Rulf z wściekłością chwycił za skobel i szarpnął, ale zaklął z furją, gdy te nawet nie drgnęły. Zostały czymś zablokowane

Nie spostrzegł, iż rozmowy wewnątrz baraków ucichły. Szarpał jak szalony, klnąc i kopiąc. Kiedy zauważył wysokiego, obdartego mężczyznę dzierżącego ciężki łańcuch nad głową, było już za późno.

Ogniwa szczęknęły w powietrzu i oplotły szyję Rulfa.

– *Fjandinn*... – zdołał wykrztusić z siebie strażnik, nim napastnik szarpnął łańcuchem z wielką siłą, posłał Rulfa na śnieg i przygniótł kolanem, nie zwalniając uchwytu. A potem rozluźnił ogniwa i zamierzył się do ciosu. A potem do kolejnego.

Ból był potworny, nie do zniesienia, ale po nim nastąpiło zimne odrętwienie. Stary Rulf ani drgnął. Leżał bez siły, nie mając już ochoty na walkę.

Ktoś nad nim biegał. Skądś dobiegały głosy.

– *Fyrir Þór!* Idzie jak z płotka!

– O, na krew gigantów! Tyś go tak urządził?

– Dość gadania! *Hlaupið!* Wciągać to ścierwo do środka! I ciszej!

– Co teraz, Harald? – odezwał się jakiś młody, przestraszony głos.

– Przebiorę się w te łachy i pognam na strażnicę! Zajmę jakoś tamtych, a wy...

– Tak, po... pobiegniemy na przystań! – tym razem młodzian mówił z wyrzutem. – A inni? Inne ba... baraki? Sami mamy uciekać?

Szmer wielu głosów nagle umilkł. Rulf chciał coś powiedzieć i otworzył nawet usta, ale nie wyrwał się z nich żaden dźwięk. Było mu coraz chłodniej.

– Arnul, nie czas na swary! – odezwał się płaczkliwym głosem ktoś inny, chyba ten stary w czapie. – Nie damy rady...

– Tak nie można! Oni tu zostaną, a my...

– Lubisz to miejsce, Arnul? Dobrze ci tu? – zaszydził ten pierwszy. – Jeśli chcesz układać kamyszki dla biskupa, to zostań i uwalniaj resztę, a ja chcę się jak najszybciej znaleźć po drugiej stronie Nidelvy!

– Harald, czas nagli!

– Juści, Rune! Daj kawał szmaty, owinę sobie łańcuch. Naści, karle, toporek. Pono byłeś czeladnikiem kowalskim? To uderz raz, a dobrze.

Coś brzęknęło. Ktoś syknął z podziwu.

– Udałeś się mistrzowi, karle. Rozkuj resztę, a potem wszyscy do przystani. Zrozumiano?

Rulf zastanawiał się przez chwilę, dlaczego zdecydowali się biec do przystani – przecież Albionczycy rozłożyli się z obozem niedaleko, na Ognistym Wzgórzu – ale jego problemy odpływały w mleczną dal, jeden po drugim, aż nie został mu żaden.

Kolejnego uderzenia toporkiem już nie usłyszał.

Samotny wojownik stał oparty o włócznię na brzegu rzeki Nidelvy. Wiatr leniwie poruszał połami jego płaszcza, ukazując poplamione nogawice i skórzany kaftan z naszytymi stalowymi kólkami. Rozglądał się bez specjalnego zainteresowania po dobrze znanej sobie okolicy.

W zakolu rzeki na zachód od budowanej katedry wznosiło się łagodne wzgórze, które jeszcze niedawno zwano Ognistym, póki golone łby nie zakazały. Ponoć tam właśnie palono ogień ku czci Thora i Frei i odbywały się weseliska, ale on słyszał to jedynie z opowieści. Teraz rozstawili tam swe namioty jacyś obcy, z Albionu podobno. Władali dziwną mową, nieco zbliżoną do nordweskiego, ale w końcu inną.

Wojownik zwrócił się teraz w stronę przystani. Tę szumną nazwę nosiło kilka drewnianych magazynów, pomost i trzy łodzie, chybotające na falach rzeki. Inne schowano w niewielkich, przykrytych śniegiem szałasach nieco dalej od brzegu, tam gdzie teraz szedł, utykając, jakiś wysoki człek.

Wszystko wydawało się takie ciche i niegroźne. W istocie, senny żywot tu pędzili, przynajmniej zimą, kiedy żegluga stawała się utrudniona. Odwiedzało ich jedynie kilku rybaków, którzy nawet podczas najsroźszych mrozów potrafili coś ułowić. Dopiero wiosną przystań stawała się prawdziwym portem – przybijały tu tratwy flisaków, odbijały wyładowane towarami łodzie, nawet zdarzał się dziwnie rzeźbiony skiff karłów. Od świtu do nocy przeklinali tragarze, krzyczeli nadzorcy, rżały konie i kłócili się kupcy. Bywało, że załoga skakała sobie do gardeł, złodziej też się czasem trafił.

Ale tak było latem. Teraz w środku najsroźszej zimy Nidelva nie przynosiła żadnych gości poza skruszoną krą, a mgła na drugim brzegu zazdrośnie strzegła boru, na który tak bardzo lubił patrzeć. Wysokie, strzeliste świerki wyrastały jednakże ponad nią, z dumą i majestatem, jak w jego rodzinnej Swionii.

„Ech, Nidaros to zacny gród – pomyślał wartownik. – ale gdzież mu do Uppsali...”

Utykający mężczyzna, którego wypatrzył, wchodził właśnie do strażnicy. Jego

sylwetka była przykurczona, z jednego ramienia zwisał bezwładnie łańcuch.

Serce Haralda biło jak oszalałe, kiedy próbował przebić wzrokiem ciemności we wnętrzu wieży. Nieco światła wpuszczało małe okienko, a w palenisku słabo żarzyły się węgle. Jeden z wojów spał na stole z dłonią wciąż zaciśniętą na przewróconym dzbanie, dwóch innych chrapało na ławach pod ścianą.

Harald bez wahania doskoczył do śpiącego przy stole. Z cichym warknięciem owinął mu szyję łańcuchem i szarpnął z całą mocą. Coś chrupnęło ohydnie i strażnik zwisał bezwładnie, nim zdołał się obudzić. Harald pochwycił go pod ramiona i delikatnie położył na polepie. Potem jego brudne palce łapczywie chwyciły stojący pod ścianą topór.

Wojownik doskoczył do ławy, wzniosł broń i z głuchym młaśnięciem wbił ją w zebra drugiego śpiącego.

– Co, na łajno Fenrisa... – mruknął ktoś z niepokojem.

Harald odwrócił się błyskawicznie. Trzeci strażnik podnosił się właśnie na łokciu i mrugał szybko oczami, próbując odgonić mary senne.

Zabrakło czasu na cokolwiek innego. Wojownik wziął szeroki zamach i cisnął toporem znad głowy – ostrze przemknęło przez izbę i wbiło się w ścianę.

O szerokość dłoni nad głową całkowicie już obudzonego strażnika.

– *Andskotinn!* Psia mać! – wrzasnął tamten z przerażeniem i skoczył na równe nogi..

Harald sadził już ku niemu.

Od ławy dzieliły go zaledwie trzy susy, które jednak wyciągnęły się w nieskończoność. Widział bladą twarz przebudzonego, widział, jak jego dłonie chwytają drzewce topora i próbują wyszarpnąć go ze ściany, a usta otwierają się do kolejnego krzyku. Dwa susy. Topór drgnął. Jeden sus.

Łańcuch szczęknął nad głową atakującego i uderzył strażnika w goleń, posyłając go na pryczę, która trzasnęła pod ciężarem. Potem łańcuch znów skoczył w górę i opadł. I znowu. I jeszcze raz, póki krzyk bitego nie zamienił się w bełkot agonii.

Okrwawiony łańcuch opadł na polepę. W tej samej chwili zabrzączała cięciwa i ramię Haralda buchnęło bólem. Wojownik uniósł natychmiast głowę, lecz ujrzał jedynie kolejnego strażnika, uciekającego po drabinie na piętro wieży. Rozjuszony bólem wyszarpnął topór ze ściany i rzucił się za uciekinierem.

Kolejna strzała uwięzła w ścianie tuż obok jego nogi. Harald wpadł do komnaty wyżej i uskoczył w bok – jedynie dzięki instynktowi wojownika uniknął rozprucia brzucha ciosem miecza zza futryny.

Naprzeciwko miał teraz kredowobiałego na twarzy łucznika, który trzęsącymi się dłońmi nakładał kolejną strzałę na cięciwę, a za sobą szykującego się do natarcia wojownika z mieczem. Czasu na decyzję nie było. Harald z rykiem runął na łucznika.

Topór rozrąbał drzewce łuku, rozciął koszulę, przebił zebra. Wiking odwrócił się od umierającego łucznika, bluzgającego krwią na drewnianą podłogę, i ujrzał wrogie

ostrze, już zmierzające w stronę jego twarzy. Harald cofnął się, a posapujący przeciwnik przyparł go do muru. Wiking z trudem unikał szybkich, przemyślanych ataków, samemu nie mając szansy na kolejny zamach wielkim toporem. Miotali się po izbie, druzgocąc ławę i depcząc po dzbanach. I znów szczęście dopisało Haraldowi – odskoczył do tyłu, szczęśliwie lądując za ciałem łucznika. Jego przeciwnik potknął się i niespodziewanie padł tuż u stóp Haralda. Miecz wyfrunął z jego ręki i poleciał w kąt. Zaskoczony strażnik podniósł wzrok na Haralda w chwili, kiedy wielkie ostrze już zmierzało w kierunku jego potylicy.

I po wszystkim.

Wiking natychmiast wyrwał oręż ze zmiażdżonej czaszki i wybiegł po szczeblach drabiny na platformę strażniczą. W dole widział już szereg potykających się i oglądających za siebie ciemnych sylwetek, wybiegających z mgły. Harald pomachał do nich wolno, kiedy przebiegali obok strażnicy, z bojażnią zadzierając w górę głowy. Pokazał, że wszystko jest w porządku i że zrobił, co do niego należało – teraz jednak zrobiłby wszystko, by jakoś odgonić rosnącą w nim gorycz... Pokonał pięciu wrogów.

Nie, pokonał dwóch. Zabił pięciu.

Uciekinierzy wbiegli na pomost i poczęli pośpiesznie odwiązywać łodzie. Któryś z nich energicznie czynił znaki, by Harald zszedł na dół, ale wojownika naraz ogarnęło znużenie. Łydki dygotały pod nim, pragnął usiąść i odpocząć. Patrzył obojętnie na odbijające łodzie. Nie chciał schodzić na dół obok zmasakrowanych zwłok ani patrzeć w szkliste oczy. Tak, zabici przez niego znali prawdę. W końcu podniósł się jedynie siłą woli i chwyciwszy po drodze topór, zbiegł ciężko na dół.

Kiedy dotarł na pomost, jedna z łodzi lawirowała już między krą na środku nurtu, a druga wolno płynęła w ślad za nią. Ludzie szykujący się od odpłynięcia trzecią patrzyli na niego z mieszaniną podziwu i strachu. Niezgrabnie zeskoczył między współwięźniów, a ci odsunęli się z szacunkiem i natychmiast napanarli na wiosła, jakby pragnąc pokazać, że oni też potrafią dać z siebie wszystko.

Czyjaś ręka dotknęła drzewca sterczącego z ramienia. Harald drgnął z bólu i spojrzał ze zdumieniem na ranę.

– Trza opatrzeć... – wyjąkał Psie Ucho. – Temblak jakiś zmajstrować...

– Bzdura – warknął Harald. – Płytko siedzi, inaczej bym ręką ruszyć nie mógł. Wyrwę to i szmatą przewiążę.

Z tymi słowy ujął strzałę i wyszarpnął ją z głuchym stęknięciem, a potem zdrowym ramieniem wyrzucił do wody. Skupiony Psie Ucho opatrywał ranę kawałkiem zgrzebnej szaty. Harald zerknął na opatrunek i wyszczerzył zęby do Psiego Ucha. Mimo mrozu jego czoło lśniło od potu.

– Do wesela się zagoi! – Pokazał wszystkim szybko pęczniejący krwią materiał. – Chwackośmy im nawiali, co?!

– Tyżeś ich tam sam wytłukł, Harald? – spytał któryś z uciekinierów.

– Jakoś dałem radę! – Harald odwrócił spojrzenie.

– Gdybym był skaldem, od razu zacząłbym rymy składać na twą cześć!

– Na razie, na kufelek piwka czekam przy okazji!

– Choćby i dwa!

Napięta atmosfera rozluźniła się. Ludzie poczęli przekomarzać się i dowcipkować, nie przestając się jednak oglądać na uśpioną, tonącą w mgle przystań. Łódź gnała chyżo przez nurt Nidelvy, zgrabnie omijając większe kawałki kry. Drugi brzeg rósł w oczach i Harald poczuł ogromną ulgę, ale gdy spojrział na Arnula, odkrył, że karzeł cały czas wlepia w niego spojrzenie.

W jego oczach kryło się przerażenie daleko głębsze od tego, które widział w lochach.

Wojownik na brzegu cieszył się, że nikt go nie widzi. Oparty o włócznie, beznamiętnie obserwował samotnego człowieka, wpadającego do strażnicy. Nie poszło by mu tak gładko, gdyby on sam nie zostawił otwartych drzwi, wychodząc na spacer. Domyślał się, co oznaczają krzyki w środku, ale zdziwił się, widząc owego mężczyznę, jak wychodzi na górze, uzbrojony w topór Slodiego. Jeszcze bardziej się zdziwił, widząc we mgle tłumek obdartych, wycieńczonych postaci biegnących w stronę pomostu. Ten u góry im pomachał.

„Więc ucieczka więźniów – pomyślał. – Dzięki ci, Thorze, żeś mnie obudził i kazał wyjść, bo leżałbym teraz bez ducha jak tamci. Ha, jeszcze chwila, a po dwóch tuzinach więźniów zginie ślad. Pewnie część wyłapią, ale przynajmniej zginą jako wolni. Niech idą. Chrońcie ich, Tyrze i Modi, bacz na nich, Thorze”.

Samotny wojownik patrzył na odpływające łodzie z nostalgią. Był strażnikiem, wypadało, by krzyknął, obudził Albiończyków, wywołał alarm. Tylko jemu jakoś nie zależało. Roboty przy budowie pójdą pewnie wolniej, król się wścieknie, biskup również. Lecz co go to wszystko obchodzi?

To przecież król podjął decyzję za swijskiego najemnika, wtedy na pamiętnej uczcie. Trudno krzyknąć, kiedy się nie ma języka. Trudno kochać tego, kto język kazał wyrwać.

Siedzieli na pniach powalonych przez wiatr drzew, na kamieniach, ba, na śniegu nawet, spoceni, ale uśmiechnięci. Wszyscy zerkali ukradkiem w stronę korzeni starego dębu, gdzie siedział Harald. Znużony, z bezwładnie zwieszoną głową, opierał pokryte zaschniętą krwią dłonie na kolanach. Wielki, wyszczerbiony topór leżał nieopodal, niedbale ciśnięty na śnieg.

Psie Ucho ostrożnie przyjrzał się opatrunkowi na ramieniu Haralda, mamrocząc do siebie, aż uniósł spojrzenie. Nad Haraldem stanął ogromny Rune. Wojownik otworzył oczy.

– Pościg pewno już wyruszył – powiedział tamten poważnie.

– *Að sjálfsögðu!*⁴² Ani chybi, Rune. – Harald westchnął. – Ogary Nadzorcy już pewnikiem na naszym tropie.

– Dość czasu wygraliśmy! – Rune się rozchmurzył. – Niech cię Thor szczęściem

obdarzy, Harald! Dobrześ pomyślał, by łodzie ukraść i w dół Nidelvy płynąć. Ino co dalej?

– *Veit ekki*⁴³ – przyznał Harald. – Nie znam tych borów. Nie wiem, gdzie tu ludzkie sadyby. Pewnie w góry można uciec, tam nas królewscy niełatwo znajdą.

– Nie damy rady w górach – burknął inny z więźniów. – Bez zapasów i ciepłych ubrań nie ma mowy... Mróz tam srogi, lud nie zawsze przychylny. Nie będą witać z radością tych, co jeno kłopoty niosą.

– Co tedy czynić? – spytał ktoś. Wszystkie twarze z nadzieją zwracały się ku zmęczonemu obliczu Haralda.

– Może by bandę jaką zebrać i nękać Eryka... – Harald wykrzywił wargi.

– A jakżeś go nękać zamyślił, Haraldzie? – inny z jeńców, stary, niemalże łysy Mattis wydał wargi. – Wsie mu palić i swojaków gnębić? Oddziały napadać? Do jednego serca nie mam, a na drugie siły. Daj ty sobie spokój z rozbójnictwem.

– Biskup pono wracają – powiedział ktoś inny. – Mówili mi nowi jeńcy, że straszny on, potężny a srogi. Taki to pewnie wypłoszyłby nas z lasów jak borsuka z nory.

– Mówią, że Bjorgvin w ruinę samojeden obrócił.

– A król surowy, szpiegów wszędzie ma i wojów bitnych.

Zapadła cisza.

– A ty, Sigvald – zwrócił się Harald do najstarszego z jeńców. Siwowłoso, krzepki starzec oglądał własne dłonie. – Co radzisz?

– Wedle mnie to rozdzielić się trza – odparł tamten wolno. – Śnieg w całym lesie leży, a to zdrajca najokrutniejszy. Niech każdy pójdzie swoją drogą, z jednym towarzyszem czy dwoma. Choćby złapali tuzin, zawsze kilku skórę ocali.

Uciekinierzy pokiwali głowami, każdy bąknął kilka słów o tym, gdzie się wybierze. Ktoś chciał uciec na Islandię, inny miał krewnych w Swionii, jeszcze inny w Danii. Nie było czasu do stracenia – uciekinierzy zegnali się pośpiesznie, klepali po plecach, życzyli sobie powodzenia i znikali wśród drzew. Po chwili Harald, Arnul i Psie Ucho pozostali sami.

– A co z wami? – Harald podniósł topór i oparł się na jego trzonku. – Sam nie wiem, dokąd iść. Ani tu krewnych nie mam, przyjaciół niewielu.

– A ja? – zmarkotniał Psie Ucho. – Thrall, niewolnik? Jeno Arnul ma swoich.

Obaj spojrzeli na karła, który siedział na zwalonej przez wiatr kłodzie, ale nie słuchał rozmowy.

– Widzicie tego kruka? – spytał, wskazując czarne ptaszysko chodzące wzdłuż gałęzi świerku po przeciwnej stronie rzeki. – Łazi i łazi, jakby cze... czegoś szukał. I gapi się.

– A co nas kruk obchodzi? – mruknął Psie Ucho.

– To dobry znak, ale tylko przed bitwą. – Harald skrzywił się. – Zlatują się, bo krew czują. Wiedzą, że trupy będą. He, he, he, lubią nas, wojów.

– Tedy jest tu, bo krew przy... przyszlą zwąchał?

– A gdzieś to mam. – Harald wzruszył ramionami. – W drogę nam trza. Idziesz do swoich?

– Jakich moich? Ni... nigdy na oczy ich nie widziałem i moi być mają? – spytał gorzko

Arnul.

– Przecież cię przyjmą.

– A skąd wiesz, że tego właśnie chcę?! – wybuchnął niespodziewanie Arnul. – Nie chcę do karłów.

– Może jednak spróbuj. – Głos Haralda był znudzony. – Tobie dobrze dopóty, dopóki w jednym miejscu siedzisz i masz coś prostego do roboty. Obojętnie więzienie czy kuźnia przybranego ojca. Wolność czyni cię bezradnym.

Zapadła ciężka cisza.

– Ja chcę... – niespodziewanie głos Arnula się załamał. – Ja chcę, żebyś mi... Żebyś mi wybaczył!

Brwi wojownika uniosły się wysoko

– Cóżżeś rzekł? – spytał osłupiały.

– Bo ja... – szlochał Arnul. – Bo śmiałem się z ciebie, gdy mówiłeś o Valhalli i sensie życia. Myślałem, że jesteś jak sta... stary Johan, co gada o swoich bitwach za młodu, a prze... przecie wszyscy wiedzą, że to smolarz, a nie wojak. Myślałem, że łżesz, że zwykły pijak jesteś, włóczęga, a... tyżeś nas uratował!

– Przestań już. – Skrzywił się Harald i spojrzał na skonsternowanego Psie Ucho.

– Arnul ma rację – powiedział cicho stary sługa. – Tyżeś nas z niewoli ocalił.

Harald chciał coś powiedzieć, obrócić to w żart, ale słowa uwięzły mu w gardle. Zdawało mu się, że słyszy szyderczy chichot zamordowanych we śnie. Zupełnie nie widział, kiedy ujął dłoń Arnula i ucisnął ją mocno. Bardzo mocno.

– Spójrzcie no. – W głosie Psiego Ucha czaiło się coś dziwnego.

Wojownik natychmiast przetaił oczy rękawem i rozejrzał się czujnie dookoła. Arnul uczynił to samo.

Płaszcz z wilczej skóry zlał się z ciemnobrunatnymi pniami dębów, spostrzegli więc obcego dopiero, gdy odrzucił kaptur z wilczego łba i odsłonił siwą, zmierzwioną czuprynę. Harald mocniej ujął za topór, Arnul i Psie Ucho wyglądali, jakby mieli w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Obcy jednak ani drgnął.

Jego twarz była pomarszczona i ogorzała, a dwoje błękitnych oczu niemalże nikło wśród zmarszczek. Siwa, postrzępiona broda sięgała aż do szerokiego pasa z zatkniętym toporem, nie kryjąc jednak licznych naszyjników z zębami zwierząt leśnych. Szczupłe dłonie opierały się na dziwacznie ukształtowanym, wyższym od mężczyzny kosturze, którym ten rysował jakieś znaki w śniegu.

– Czarodziej... – szepnął zbielełymi wargami Harald.

Obcy uśmiechnął się lekko i skinął na nich. To rozwiało nieco obawy trójki uciekinierów, którzy powoli ruszyli ku niemu. Przybysz spoważniał.

– Runy! – szepnął Psie Ucho, zerknąwszy na rysowane na śniegu znaki.

Palec nieznanego powędrował w kierunku warg. Znow zastygli w przerażeniu. Pomiedzy drzewami niosło się słabe echo krzyku ginących ludzi i rozkazy w obcej, albiońskiej mowie.

Rozdział 11

Rune leżał u podnóża starego dębu, oparłszy łokcie na węzowych zwojach korzeni. Wyglądał, jakby błogo wypoczywał, ale wrażenie psuła jedynie czarnopióra strzała, stercząca z lekko rozchylonych ust. Po jego skołtunionej brodzie powoli sączyła się krew, niknąc wśród poszarpanych łachmanów.

Harald potoczył wokół oszalałym wzrokiem. Chciał krzyknąć, ale rozkaszał się, z cichym jękiem zasłonił oczy i wolno osunął się na kolana.

– To moja wina... – wychrypiał ledwie słyszalnym głosem. – Jestem mordercą bez honoru. Gdybym nie poderwał wszystkich do ucieczki, Rune i reszta nadal by żyli, a ja byłbym bez hańby...

– Harald! – usłyszał za sobą ciche wołanie Arnula, a potem poczuł mocną dłoń karła na ramieniu. Arnul kaszlnął, jakby chciał coś powiedzieć, po czym zamilkł. Jego ucisk zelżał. – Nic... nic nie da się zrobić – powiedział w końcu cicho.

Harald spojrział w dół. Twarz karła była blada, ale poważna i nie pozostał na niej ślad strachu.

– Żyliby... – wymamrotał Harald, spuszczać wzrok. – Wszystkich pozabijali.

– A może nie? – Arnul usiadł bezsilnie na śniegu. – Wiesz to na pewno?

– Żyliby – powtórzył Harald. – To ja obmyśliłem ucieczkę. Tyle krwi... Tyle brudnej krwi...

– Przestań gadać! Przecież każdy z nas znał ryzyko, a nikt się nie zawa... wahał! Dalej, nie marnujmy czasu, trza uciekać!

– Hańba... – Harald spojrział na Arnula pustym wzrokiem. – W tej wieży zabiłem kilku bezbronnych, śpiących. Hańba! Thor splunie mi w twarz! Myślałem, że dla dobra wszystkich to czynię, ale teraz zginęli i pozostała po nich jedynie hańba. Thorze, pokaraj mnie! – zawył niemalże, unosząc się na kolanach. Wystraszony karzeł odsunął się lekko.

– Wilk wyje, gdy jest głodny lub czuje zdobycz – odezwał się za nim surowy, ganiący głos. – Nigdy z rozpaczy.

Arnul odwrócił się gwałtownie, Harald nieco wolniej również.

Stary czarodziej nie patrzył na nich. Wolno wodził spojrzeniem po odległych, przystrojonych w śnieżne czapy koronach świerków. Jego nozdrza rozszerzały się lekko, obie dłonie zacisnęły na kosturze. Kilka metrów za nim chował się za pniem błądy Psie Ucho.

– Nie jestem wilkiem – wyrzekł Harald.

– Nie? – Obcy zmarszczył brwi, wciąż nie patrząc na nich. – A zatem kim? Szczurem? Jeleniem? Żubrem?

Harald nic nie odpowiedział. Ciężko dźwignął się na nogi, nie spuszczać wzroku z obcego.

– Albiończycy wystrzelali ich jak kaczki... – wyszeptał wstrząśnięty Psie Ucho,

instynktownie naciągając czapę. – Rychło spostrzegli naszą ucieczkę. Widno bogowie nam sprzyjali..

– Trudno w to wątpić – W głosie nieznanego starca zatańczyła ironia. – Wreszcie wiemy, co asgardzka świta robi, zamiast walczyć z obcymi bogami. Pilnuje zagubionej w lesie trójki obdartusów.

– Słuchaj, nie wiem, kim jesteś – twarz Haralda stężała – ale dziwnie mówisz i chyba mi się to nie podoba.

Przybysz po raz pierwszy zawiesił spojrzenie na wojowniku, a ten od razu poczuł się nieswojo.

– Składam ofiary Jednookiemu dwakroć dłużej, niż ty się włóczysz po pustkowiach Midgardu – warknął tamten. – Lepiej rozumiem ścieżki przeznaczenia niż ty przepis na baraninę z kapustą i wolno mi mówić, na co mi przyjdzie ochota.

– A przyjdzie ci ochota się przedstawić? – Harald był rozdrażniony.

– Owszem. – Nieznajomy kiwnął głową. – Zwą mnie Randi *Úlfabokan*, Wilcza Mgła, jestem skaldem, dawcą prawa, a nade wszystko sługą Odyna i Thora.

– Te runy... – zachłysnął się Arnul. – To twoja moc nas ocaliła! To dlatego Albiończycy na... naszym tropem nie poszli!

Randi w milczeniu skinął głową i znów rozejrzał się badawczo po lesie.

Harald milczał, próbując poukładać sobie w głowie wszystko, co się stało od momentu ucieczki z obozu pod Nidaros. Potrząsnął gniewnie głową, aż pozlepiane kudły opadły mu na twarz.

– Magia – parsknął. – A co z nimi? Ich nie mogłeś ocalić?

Jego zakrwawiona dłoń wystrzeliła w kierunku zwłok Runego.

– Rozdzieliliście się – odparł Randi. – A ja nie mogę być wszędzie naraz. Ledwo was odnalazłem.

– Odnalazłeś? – Harald zmarszczył brwi.

– Tak – padła krótka odpowiedź. – Szukałem was.

Znów zapadła cisza. Psie Ucho wiedziony ciekawością przybliżył się do Randiego. Arnul rozdziawił usta i potrząsał głową. Harald wyprostował się i patrzył na kapłana z mieszanią zdumienia i respektu.

– Na pomiot Lokiego i włócznie Odyna, co... – zaczął, ale Randi rozkazującym gestem położył palec na ustach i wojownik umilkł.

– Nie wszyscy z twoich towarzyszy poszli do królestwa Hel – powiedział cicho, ze skupioną miną. – Albiończycy nie odnaleźli wszystkich, a strzelali tylko do tych, którzy rzucili się do ucieczki. Reszta jest właśnie wiedziona do Nidaros.

– Skąd to wiesz? – Zafascynowany Psie Ucho się przysunął.

– Las powie to każdemu, kto będzie go słyszał, a nie tylko słuchał. – Randi przymknął oczy i wciągnął powietrze. – Ale jest coś jeszcze...

– Co?

– Coś dziwnego. Nie wiem dokładnie...

– Niebezpieczeństwo? – Harald rozejrzał się nerwowo.

– Niekoniecznie. Wiatr ma dziwny smak, a w szumie drzew słyszę nieznaną nutę – Randi był bardzo skupiony, jego oczy zaszklily się, a usta poruszały się lekko,

wypowiadając niesłyszalne słowa.

Arnul poderwał się na nogi i omiótł las znużonym spojrzeniem. Dramatyczna ucieczka z więzienia wyczerpała jego siły. W głowie mu się kręciło, pnie drzew wydawały się dziwnie odległe, kontury naraz utraciły ostrość. Zamrugał szybko oczyma, próbując strząsnąć nieprzyjemne wrażenie, ale świat rozmazywał się coraz bardziej.

Nagle ujrzał drogę, którą skądś znał. Nie znał natomiast młodego człowieka o surowej twarzy na smukłym, białym rumaku. Cudzoziemski woj z łukiem przewieszonym przez plecy kłaniał się przed nim nisko i tłumaczył coś z przejęciem, a jego ludzie klęczeli z nisko opuszczonymi głowami. Reszta świty młodzieńca trzymała się z tyłu. Czerwony na twarzy, otyły człowiek w futrze z gronostajów, w zamyśleniu gładził wielki, złoty krzyż na piersi, obok niego stał poważny, czarnowłosy mąż w brunatnym skórzanym kaftanie i z ręką na temblaku, a za nim kilku wojaków w srebrnych kolczugach.

Rannego mężczyznę Arnul pamiętał, reszta też skądś była znajoma, lecz najbardziej jego uwagę przyciągnął siwowłosy, starszy mężczyzna, jadący pomiędzy rycerzami biskupimi. Jako jedyny w całym orszaku odziany był w łachmany, jego twarz poznaczona była sińcami, a do końskiego siodła przymocowano go mocnymi sznurami. Czyżby i jego skądś znał?

Otworzył oczy z bólem.

– Arnul? – usłyszał pełen troski głos Psiego Ucha.

Echo przywiało z oddali rzenie konia.

– To król... – wykrztusił Arnul.

Harald drgnął. Przez chwilę, która trwała całą wieczność, patrzył na karła, po czym mocno ujął rękojeść topora. Nim Arnul zdołał wziąć kolejny oddech, wojownik już biegł ciężko w stronę odgłosu. Krzyk uwiązał karłowi w gardle, gdy uzmysłowił sobie, co odczytał w oczach wikinga.

Albiończycy zauważyli napastnika, gdy było już za późno. Pierwszy z nich zdołał zasłonić się łukiem, ale Harald mocnym ciosem przeciął drzewce i wbił ostrze topora w pierś łuczniaka. Nim ten, krzycząc przeraźliwie, padł na śnieg, topór zakreślił kolejny łuk, rozszarpując szyję drugiemu samym szpicem ostrza. Trzeci odwrócił się tylko po to, by pełnym niedowierzania spojrzeniem przywitać wyszczerbione ostrze, pędzące ku jego twarzy. Ohydny chrzęst łamanych kości złał się z rykiem wikinga, który wyswobodził broń i runął ku dowódcy łuczników i jeźdźcom.

Koń biskupa zarżał przeraźliwie i stanął dęba. Harald kątem oka zauważył jakiś ruch – zamachnął się toporem i uderzył w konia, na którym siedział ciemnowłosy rycerz z ręką na temblaku, właśnie próbujący zajechać Haraldą od boku. Raniony wierzchowiec zakwiczał i skoczył w bok, a Harald zakreślił młynca nad głową i wyeliminował kolejnego przeciwnika.

Na szarżującego Duna rzucił się któryś z Nocnych Krzyżowców, król wykrzykiwał rozkazy, biskup wrzeszczał. Nikt z walczących nie spojrzał w górę i nie zauważył, że

niebo nagle poszarzało. Stalowe chmury zeszły bardzo nisko, nieomal trąc ciężkimi brzuszyskami o wierzchołki znieruchomiłych nagle świerków. Tu i ówdzie na powierzchni migotały różowe, tętniące żyły. Nikt nie spojrział w górę, póki błyskawica nie rozdarła powietrza po raz pierwszy.

Przerażony koń krzyżowca uciekał drogą z pustym siodłem, a zwęglone ciało jego jeźdźca dymiło u stóp Haralda. Zapadła martwa cisza.

– Święty Piotrze, ratuj nas! – wrzasnął biskup, szarpiąc za wodze.

Ogłuszony Harald potrząsnął głową, a trupio blady Eryk już skrzykiwał swych rycerzy i kierował konia w stronę samotnego wikinga, ale pierwszy *Náttfarinn*, który ruszył za królem, naraz zniknął z siodła, zepchnięty przez zaskakująco szybki, szary cień. Jego przeraźliwy wrzask został zagłuszony przez huk kolejnej błyskawicy.

Harald, odzyskawszy w końcu rezon, zastygł z uniesionym toporem, gotowy na atak króla. Naraz jednak kątem oka pochwycił błysk senej klingi i odskoczył. Powietrze w miejscu, w którym stał przed chwilą, przecięł runiczny miecz, kreśląc świetlisty krąg. Kruczowłosy mąż, choć ranny i wciąż oszołomiony upadkiem, już zbierał siły do kolejnego ciosu.

Naraz Harald zastygł w pół kroku, zaskoczony. Widział już kiedyś tego człowieka! Znał go! Pamiętał łańcuch, kaftan i dłonie, które wówczas trzymały pióro! To skald!

Twarz skalda niespodziewanie zmartwiała, jakby uświadomił sobie to samo co Harald. Wiking otrząsnął się jako pierwszy i poderwawszy oręż, zaatakował z wściekłością. Vidar odskoczył w ostatniej chwili i wielki, zbroczony krwią topór wrył się w ziemię.

Tymczasem z nisko wiszących chmur oderwała się kolejna błyskawica. Różowy zygzak zastygł jednak w powietrzu, napełniając okolice złowieszczym poblaskiem, po czym z sykiem pomknął w kierunku wysoko wzniesionej monstrancji. Poblady biskup zachwiał się w siodle, lecz różowe ogniki rozpełzały się po świętym insygnium i znikły.

Szary cień śmignął ponownie, oplatając włochate ramiona wokół szyi kolejnego krzyżowca, lecz Eryk nie zwrócił nawet na to uwagi.

– Kimżeś jest, zbóju przez niebiosą przeklęty! – krzyknął, próbując opanować przerażonego rumaka. Harald unosił już ramiona do kolejnego ciosu, lecz głos króla odciągnął jego uwagę od skalda. Odwrócił głowę – na jeden jedyny ułamek sekundy.

– Harald! – wrzasnął przeraźliwie Arnul, wybiegając spomiędzy drzew.

Ostrzeżenie przyszło sekundę za późno.

Harald wrzasnął, upuszczając topór i przycisnął dłoń do lewego oczodołu. Zatoczył się, a krew wypłynęła mu spomiędzy palców.

Eryk poderwał miecz, by dobić wikinga. Szary cień przemknął obok konia biskupa i smagnął pazurzastą łapą. Biskup wrzasnął z bólu, ale jego lament zagłuszył potężny zaśpiew Randiego. Naraz tumany śniegu oderwały się od zamarznętej skorupy, a tu i ówdzie czapa śniegu osunęła się na ziemię z korony świerkowej. Świeżo obudzony wiatr zaświstał przenikliwie, a w jego szumie zdawało się brzmieć echo tej samej melodii, która pod Lasem Trolli kazała całej armii dygotać ze strachu.



Król znieruchomiał i rozejrzał się niepewnie. Jego miecz opadł bezwładnie, dłonie poczęły drżeć, a twarz pobladła. Kąsający wiatr bił coraz mocniej.

– *Herra minn...* – zaszlochał biskup, próbując zatamować krew z rany w swoim boku.

– Vidar... – głos króla był zniekształcony przez grozę – na koń...

– *Herra...*

– Na koń! *Hlaupið!* Uciekać!

Harald osunął się powoli na ziemię chwilę po tym, jak tętent kopyt ucichł.

Ragnar Przyjaciół Kruków rozpalil ogień. Wiedzial, ze blask moze go zdradzic, ale moca magiczna ogrzac sie juz nie umial. Zanadto wyczerpala go walka, a poza tym wciaz

żywił nadzieję, że może ujrzy w płomieniach Bjorgvin, gród, który ukochał.

Zmrużył oczy, patrząc w ognisko. Marzył o zemście na tych, którzy pokonali jego miasto i rzucili wyzwanie Asgardowi. Ujął w dłonie świeżo ociosany pal z leszczyny, wbił go z trudem w ziemię, po czym nasadził nań łeb koński.

– Tutaj stawiam pal przekleństwa, a przekleństwo rzucam na Eryka syna Halvdana, zwanego *Hvíti fálkinn*. – Mówiąc zaklęcie, kapłan obrócił łeb w kierunku, w którym leżało Nidaros. – Zaklinam bóstwa tej krainy, by dręczyły Eryka i zsyłały nań nieszczęście, dopóki on i wszyscy mu służący śmierci nie znajdą.

Stary kapłan wiedział, że musi uzbroić się w cierpliwość. Droga do Swionii była długa i wiele mogło podczas niej się wydarzyć, a potem musiał jeszcze namówić na wyprawę wszystkich swoich krewnych i przyjaciół. No, ale przecież kto ze Swijów oprze się pokusie krwawej rozprawy z tymi, którzy kpią z Odyna?

„Tym bardziej że wzywać do niej będzie ten, którego Odyn pobłogosławił”.

Raz jeszcze wspomniął samotnego berserka, który zaatakował orszak królewski i zajął go na tyle długo, by Ragnar zdołał zmienić postać i wyrwać się na wolność, utoczywszy przy tym jeszcze biskupiej krwi. Potem ostrym kościanym nożem wyciął w palu runy i ułożył się do snu, ale długo nie mógł usnąć, nękany myślami o zemście.

Rozdział 12

Jori rzucił kolejną naręcz chrustu na palenisku i po wnętrzu karczmy rozeszły się kłęby dymu.

– Khe, khe! – zakasłał Egdar. – Weź to łapsko, Sigbjorn! *Fjandinn!* Ślepy nie jestem, przecie widzę, że monetę pod rękawem chowasz!

– Kto, ja? – obruszył się Sigbjorn.

– Nie kpij ze starszych od siebie, jucho, bo zaraz cię w gębę grzmotnę! Łatwo ci kości rzucać, kiedy paluchów masz dziesięć!

– A wy to niby ile macie?

– A jedenaście.

– Głupiś Egdar, jak ten stołek, na którym siedzisz! – zaśmiał się trzeci z grających, brzuchaty woj o byczym karku. – Piwska za dużo pijesz i we łbie ci się popsowało.

– Takiś mądry, Orm? Tedy patrz: lewica moja, nie?

– Twoja.

– Pierwszy paluch, drugi, trzeci, czwarty, piąty. Zgadza się?

– Na razie.

– No. Tera prawica, jeno nazad – dziesiąty paluch, dziewiąty, ósmy, siódmy, szósty.

Dobrze rachuję?

– Dobrze.

– To sobie dodaj, sianożuju jeden w dyrdy chędożony, sześć i pięć, a jedenaście ci wyjdzie, gdybyś nawet przez tydzień rachował!

– Buahaha! Niech cię, szlag, Edgar!

O ściany Przybytku Ran odbił się śmiech tak szczery i głośny, że rozmowy wokół zamilkły, a nalewający kolejne kufle piwa Jori obejrzał się z zainteresowaniem.

– Ale się, chłopaki, nie martwcie! Srogie kalectwo to nie jest, bo im więcej paluchów masz, tym większy kufel piwa chycisz! – Edgar pokraśniał.

– A, tedy o to się rozchodzi... – Sigbjorn nie przestawał chichotać. – Ej, ty tam! Jori!

Donieś no jeszcze zacny kufelek dla tego opoja!

– Pojętny chłopak, udałżeś się ojcu – oznajmił Edgar. – Był który na tingu?

– Gdzie tam, służba, szlag by ją trafił...

– Na służbę nie narzekaj, krowi cycku, bo nareszcie spokój mamy! Dość ma królisko wojowania i chwała, bo... No, tego tam. Nieważnie. No, ale niceście nie stracili, bo i tak wiele byście nie zobaczyli, konusy! Nawet ja, wzrostu, rzeknę, słusznego, niewiele dojrzałem.

– Ciżba taka?

– Iii... Ludziska się pchali, jakby tam Erinki nogi rozkładały, he, he, he!

– A ceremonia wielka? – Zasłuchany Sigbjorn oparł się na łokciach.

– Eee, gdzie tam. Odkąd Thor z Odynem w niełaszkę poszli, koniec z rytuałami, Sigbjorn. Wjechał sobie królik na święte wzgórze, dawcy prawa i starsi giąć się

w ukłonach poczęli, jakby kto srebro po śniegu rozrzucił, ktoś powiedział coś świętego, zebrani w imieniu ludu uznali Eryka za władcę i to wszystko. Tyłka z ciepłej karczmy ruszać się nie opłacało.

– Ludziska mówią, że król strasznie okrwawieni wjechali i samoczwart jeno!

– Zgadza się! Wyborne piwsko, wyborne... *Já, að sjálfsögðu!* Jakiś wojak wielki, berserk pono, samojeden na króla natarł! Świętę wybił do nogi i króla też by na śniegu rozciągnął, gdyby nie skald królewski, Vudar czy jak mu tam... Król już sobie wymyślił, że honorowo walkę z nim stoczy, ale wtedy skald się wtrynił i gałę jedną szaleńcowi wydziabnąć raczył. Orm, blady się żeś zrobił... Może jeszcze po kufelku?

– Juści, a za co? – Orm parsknął. – Król ponoć tyle srebra w wojnę władował, że tylko patrzeć, gdy mu na zapłatę dla wojów zbraknie!

– Ja postawię, jeno prawcie dalej, Edgarze! – odezwał się zasłuchany Sigbjorn. – A znał ktoś tego szaleńca?

– Cóż, nie przedstawił się, zanim rąbać królewskich zaczął, a nikt nawet mu się nie przyjrzał, bo król i kto tam jeszcze na nogach stać umiał, uznali, iż nieprzyjaciel przewagę ma za dużą i nawiali. Ponoć z budowy kaletry...

– Katedry! – Sigbjorn uniósł palec z mądrą miną.

– Przecie mówię! No, znaczy się, nawiał. Pewnie tam mu we łbie się pomerdało. Mówię wam, kumotrowie, skoro jeden się znalazł, to pewnie i drugi też będzie! Pojmujesz, jeden z drugim? Od początku zem gadał, że niedługo te cudaki nami porządzą!

– Juści, jeno ciszej, Edgar, ciszej... – szepnął Orm, patrząc z podejrzliwością na Joriego. – Mówią, że ten tu golonym łbom donosi.

– Niechby spróbował! – wydał wargi Edgar. – Już ja bym mu, kociej mordzie...

– Mówią, że król spokojny nad wyraz. – Sigbjorn upił z kufła. – Dziwactw nowych nie wyczynia. Ludzi z hufców do domów puszcza. Może spokój nastanie?

– Jaki tam spokój, Sigbjorn, sianożuju jeden. Pomnisz me słowa, jeszcze się oka...

– A pomnicie mego szwagra, którego synalek koniuchem jest przy dworze?

– Ten... jak mu tam... Oski?

– Tenże sam. Mówi, że roboty ma w bród, bo drużyny po kraju się rozbijają, a do Bjorgvin to ich mrowie jeździ.

– Oho ho! – zdumiał się Orm. – Jużby się tam buntować poczęli?

– Wieść niesie, że Halvdanson całą starszyznę w pień wyciął. – Sigbjorn pokiwał z zadumą głową. – Nie podoba mi się to.

– A komu się to podoba, Sigbjorn? Znam wielu, co tam krewnych mieli.

– A ja – zabrał głos Edgar, wyprowadzony z równowagi tym, że uwaga nie na nim się skupia – byłem ci ja wczoraj wieczorem Pod Srebrnym Łosiem. Tam kupca jednego przydybałem, co aż z Uppsali statkiem przy płynął. Powiedział mi, liczyškóra jeden wyliniały, że... – zawahał się.

– Że co?

– Cicho, bo myślę! Sutośmy polewali, to i pamięć słabsza, ale... O, mam! Gadał, że Swije o naszym królu, kozioł by go, cięgiem rozprawiają. Kapłani uppsalscy ponoć źli, nowemu Bogu wygrażają i do wojny z Halvdansonem swego króla podżegają.

– Toż to wielkie nowiny! – uradował się Sigbjorn.

– Juści! W kraju cisza, tedy może obcy Białego Jastrzębia oskubie?

– *Begiðu!!!* Głupiś, Orm, jak mój kufel, a ty, Sigbjorn, jak ten drugi! Po czorta nam Swij? Mało nam własnego łajna?! Najadą nas obcy i wsie popalą, a wtedy co? Halvdanson zaciągi ogłosi! I będziesz miał się z pyszna, Sigbjorn, jak na wojenkę podyrdasz! A jak wrócisz, co jest bardziej niż pewne, bo durniów strzały się nie imają, to jeno wsie puste, ludzi pochorowanych, trupy i psie ściervo uświadczysz! A wszystko, bo dwóch konungów ustalić chciało, który bardziej mocarny! A jeszcze pewnikiem ludziska z Romsdal powstanie w międzyczasie ogłoszą i zobaczycie. Zacznie się palenie i niszczenie, a wtedy to trzecia wojna wybuchnie, bo jak któryś zacznie karczmy niszczyć, to nie ręczę za siebie, jakem Edgar, i obydwu królów...

– Ochłońcie ździebko, Edgarze, po co te krzyki i machanie pięściami. O, naści kufelek!

– A zem się spocił, do licha... Wasze zdrowie, kumie! *Skáll!*

– Módlmy się...

Kłęczący przed ołtarzem biskup Hieronim nie kierował tych słów do nikogo, ale szept sunął nad głowami zebranych i wzmocniony echem docierał do ucha każdego z zebranych. Nikt nie ośmielił się kaszlnąć, szepnąć ani poruszyć. Oczy ciasno stłoczonych mieszkańców Nidaros wpatrzone były w plecy oddychającego z trudem biskupa. Rzędy świec przy ołtarzu i po obu stronach tabernakulum opromieniały jego wielkie, obleczone w bogate szaty ciało, ale lud Nidaros zbyt dużo doświadczył przez ostatni rok, by patrzeć nań z bezbrzeżnym zachwytem.

Z szelestem wyszywanych srebrną nicią purpurowych sukni biskup uniósł ciężko ramiona.

– Módlmy się! – powiedział chrapliwym głosem. – Nisko pochylcie głowy, ludzie z Trondelagu, i nie szcędźcie łez, dziękując Panu Naszemu za okazaną nam łaskę. Ledwie rok upłynął od chwili, kiedy hufce Eryka zwanego Białym Jastrzębiem przyniosły Słowo Boże na te niegościnne brzegi. Jakże niewiele to czasu, a jak wiele dokonane zostało! – niemal wykrzyczał ostatnie słowa, a po skroni pobiegła strużka potu.

– Módlmy się za zdrowie i powodzenie tych, którzy przelewali krwawy pot i z kamieni, wydartych zazdrosnej ziemi nordweskiej wzniesli ten święty przybytek! Dziękujmy im za miejsce, w którym będzie opromieniać nas miłość Pana, dziękujmy im za łaźnię dla brudnych dusz naszych i ostoję spokoju, piękna i pocieszenia!

– Módlmy się za tych, którzy nieustraszenie stawali w hufcach Białego Jastrzębia, by Bóg Ojciec mógł tam swe rządy zaprowadzić, pełne miłości i sprawiedliwości. Wnieśmy modły za tych, którzy oddali życie, ale nie smućmy się ich odejściem! Bez grzechu odeszli oni bowiem i w tej chwili święty Piotr za rękę ich prowadzi pośród rajskich drzew krainy dusz! – wychrypiał.

– Módlmy się za Eryka Halvdansona, króla Trondelagu i Romsdal, pogromcę

fałszywych bogów i rycerza Chrystusowego! Módlmy się za tego, kto kres położy krwawej pomście, zajazdom i wikińskiej grabieży! Módlmy się!

– Wznośmy modły za tych, którzy toczyli bitwy mniej krwawe, ale równie ważne, bitwy z wpajanymi od maleńkości zabobonami i z fałszywymi bogami. Bóg nie odrzuci nikogo, a więc nie zważajcie tedy na własne grzechy i idźcie za przykładem tych, którzy wkraczają do krainy piękna i miłości! Módlmy się!

– Módlmy się! – przetoczyło się przez katedrę stłumionym szmerem. Niektórzy powtarzali słowa biskupa z żarliwością, inni ze strachem lub całkiem bezmyślnie, za sąsiadami. Większość jednak milczała, z przerażeniem wpatrując się w ołtarz. Ostatnie słowa biskup Hieronim wypowiedział słabszym głosem. Rumieniec na jego twarzy zastąpiła śmiertelna bladość, a palce kurczowo wpiły się w biały obrus. Drżące kolana ugięły się i biskup wolno osuwał się na posadzkę.

W świątyni powstało zamieszanie.

Vidar nie słyszał słów liturgii. Klękał wraz z innymi, wykonywał znak krzyża na piersiach, śpiewał cicho łacińskie pieśni wraz z chórem, ale myślami był daleko. Bez przerwy pogrążał się w zadumie, co w dzieciństwie rówieśnicy często mieli mu za złe. Drażniło ich, że Vidar wolał siedzieć na wzgórzu i dumać, zamiast tuc się kijami czy kopać piłkę. Jedynie stary eriński mnich, który uczył go stawiania liter, nie mógł się nadziwić wyobraźni dziecka. Kiedy Vidar skończył osiemnaście lat, jego talent do układania kunsztownych *drap* był już szeroko znany, a zaproszeniom na uczyty w co zamożniejszych dworach nie było końca. Bogaci i biedni jednak słuchali pieśni i bają poważnego, zamyślonego młodzieńca, potem powtarzali jego krótkie wiersze.

Wiele lat spędził na swej rodzinnej wyspie i zebrał niemały majątek, ale w końcu pragnienie większej sławy i chęć poznania świata wywiodły go do Albionu. Odwiedził Erin, ojczyznę swego nauczyciela, niejednym tygodniem spędził w Kornwalii, jechał przez Mercję, by wreszcie w Northumbrii napotkać orszak nordweskiego konunga Eryka Halvdansona. Król kończył właśnie przygotowania do dumnego powrotu do ojczyzny – zbierał drużyny angielskich i skandynawskich wojowników, budował statki, gromadził srebro i bez końca naradzał się z tamtejszym duchowieństwem. Skuszony propozycją napisania wielkiej sagi o losach wyprawy do Nordwegu, Vidar bez wahania przyłączył się do królewskiego orszaku. Wtedy jeszcze życie wydawało mu się wielką przygodą.

Teraz cieszył się, że choć na chwilę może się ukryć w zadumie. Mierzył go lekko drżący głos Eryka, który klęczał obok niego, przeszywały go dreszcze, gdy słyszał chrapliwy głos okrutnika Thorfinna Kallesona, a nade wszystko nie chciał słyszeć kazania biskupa Hieronima. Wiedział, o czym prawi biskup, bo zerkał czasem na siedzącego obok Eryka i widział jego niezdrowy rumieniec oraz lśniące oczy. Widział, że dusza młodego króla gorzeje z uniesienia. Działo się to zawsze, na każdej mszy, przy każdym cytacie z Pisma Świętego, przy każdym stawianym krzyżu. Widział też, jak umiejętnie wykorzystywał tę słabość Hieronim. Szafował wyjątkami z Biblii jak zręczna kucharka podtrzymująca

ogień, a Eryk szalał, mordował i niszczył, we własnym przekonaniu zbliżając się do niebios.

A przecież z początku tyle ujęło go w postaci Eryka Halvdansona. Podziwiał jego postawę, honor i determinację. Czuł, że los zetknął go z prawdziwym bohaterem, a trudno o większy zaszczyt niż walkę i śmierć u boku któregoś z nich.

Tymczasem pergaminy, na których spisywał swą sagę, leżały nietknięte od tygodni. Nie mógł się zmusić do chwycenia pióra. Z początku sądził, że przyczyną jest wojna – zamienił przecież pióro na miecz, walczył, dowodził, odnosił rany. Z lękiem oczekiwał chwili, w której król zapyta o postęp prac, a on będzie musiał spojrzeć w te zimne oczy i skłamać. Na razie jednak Eryk sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie i do swego otoczenia odnosił się z uprzejmością. Od chwili przybycia do Nidaros nosił się niczym syty lew – przecież pobił z kretelem swoich wrogów, został zaprzysiężony na tingu i zakończył pierwszy etap budowy wielkiej świątyni. Nic nie zepsuło jego nastroju – ani ucieczka grupy niewolników, ani zuchwała napaść na szlaku, ani nawet zniknięcie Ragnara Przyjaciela Kruków.

Za to Vidar nie mógł przestać myśleć o starciu na szlaku. Ten berserk z wielkim toporem, zboczony krwią własną i cudzą, pracy do przodu i mordujący, a potem obcy czarownik i jego błyskawice, ich więzień Ragnar, niespodziewanie zamieniający się w wilka...

Eryk Halvdanson śpiewał z uniesieniem. Vidar spuścił głowę. Zaczynał się bać, że ktoś wyczyta jego myśli z wyrazu twarzy.

„Ojcie wielki w niebiesiech, słuchasz ty jeszcze modlitw? Dlaczego przymykasz oczy na pożogę szaleństwa, ogarniająca ten kraj?” – modlił się cicho.

Kiedy biskup padł zemdlony, był jedyną osobą, która się nie poruszyła. Powoli otworzył oczy, szturchany przez biegających, przerażonych ludzi, i patrzył przez chwilę na ołtarz. Uważny obserwator mógłby dostrzec uśmiech w kąciку jego ust, a potem Vidar Gustavson, słynny skald islandzki, chyłkiem opuścił kościół.

– Co z nim? – spytał cichym głosem król, przesuając chudymi palcami nad płomieniem pojedynczej świecy.

– Bóg jeden raczy wiedzieć, *herra minn* – westchnął ojciec Flawiusz.

– Paskudne rany, panie. – Thorfinn pokręcił głową. – *Ulvhedning* chlasnął głęboko. Mało który mąż by to zdzierzył.

W głosie woja zabrzmiał podziw.

– Przedziwne są zrządzania boskie – zamyślił się Eryk, wciąż wpatrzony w płomień świecy. – Przedziwne...

Gudrun, córka jarla Trygvego, zbliżyła się bezszelestnie z dzbanem miodu.

– Czy mam napęlić wasz róg, *herra minn*? – spytała cichym, melodyjnym głosem, skrywając oczy za długimi rzęsami.

Eryk kiwnął w milczeniu głową i wysunął naczynie, nie odrywając wzroku od

płomienia. Ojciec Flawiusz odmówił, równie głęboko zamyślony, jedynie Thorfinn śledził wdzięczny chód dziewczyny, póki nie znikła w alkwie.

– Zaczyna dziewczucha... – mruknął, opróżniając róg jednym haustem i ocierając krople miodu z wąsów. – Ponoć jej ojciec gniewają się na was, panie, żeście do świty na Orating go nie wzięli. Słyszałem, że wedle tradycji jarlowie Hladir zawsze na tingu...

– Nie masz pojęcia o wielu rzeczach, Thorfinn, a nade wszystko zaś o tym, do czego by się posunął jej ojciec, by tylko moje znaczenie pomniejszyć! – Wzrok Eryka zaiskrzył się niespodziewanie. – A jak myślisz, co ona tu robi? Służy mi? Miodu nalewa? Gdzieżby tam! Uwieść mnie ma! We łbie zawrócić! Do małżeństwa przymusić i Nidaros z Hladir związać, a gdybym poległ w boju, Svein syn Trygvego zaraz by mnie na tronie królewskim jako najbliższy krewny zastąpił! Stary Trygve zaś ciągle mi gadaniną o ożenku łeb suszy!

– Pod Cichymi Wzgórzami Trygve pokazał, na co go stać – powiedział ojciec Flawiusz. – Po naszej stronie walczy, ale tylko dlatego, że tak mu wygodniej. Uważać na niego trza, panie...

– Nie bójcie się, ojcze. – Zły uśmiech wypłynął na twarz Eryka. – Nie bójcie się... Mam ci ja na niego sposoby...

– Co nynie czynić zamierzacie, panie? – chrząknął wojownik, z dezaprobatą zerkając w pusty róg. – Kraj spokojny, wrogowie rozbici... Gdzie teraz uderzać każesz?

– Na razie nigdzie, Thorfinnie. Czas wojów rozpuścić, by na wiosnę znów pola obsiewali... O Bjorgvin nie lza nam jednak zapomnieć. Tam długo krzywdy pamiętać będą. Mocno trzeba ich za pysk trzymać, a przypominać, kto krainą włada. Thorfinnie, weźmiesz tedy kilka dziesiątek najlepszych wojów i do Bjorgvin pojedziesz, porządku strzec będziesz. Młody Svein z Hladir z tobą pojedzie – Młody król się uśmiechnął. – Baczenie miej na niego.

– *Skal gert*⁴⁴, *herra minn!* Będę miał...

– *Mjög vel.* Weź najlepszych wojów, jakich znajdziesz. Nie ma co ich do straży grodowej słać, kiedy w kraju spokój...

– Może i pokój, lecz nauczać komu nie ma – zmarszczył brwi Flawiusz. – Panie, pokładam nadzieję w Bogu, lecz co pocniem, jeśli biskup nie dojdzie do siebie? Bez duszpasterza zostaniemy? Ja...

– Wyście człek zasłużony, ojcze, lecz na zdrowiu podupadacie. – Król upił miodu z trzymanego w dłoniach rogu. – Trza kogoś, kto ojca Hieronima zastąpić będzie mógł, a potem go wesprze, jeśli Bóg raczy mu zdrowie zwrócić. Wyślę Gustavsona do Albionu.

– Gustavsona?

– Dobry to chrześcijanin, a i żeglarz niezgorszy. Poza tym – uśmiech króla pomroczył – ostatnio dziwne myśli chodzą mu po głowie. Czas, by zimne fale ostudziły gorącą głowę.

Wyszedł z królewskich komnat Thorfinn, kłaniając się nisko swemu władcy, udał się na

spoczynek ojciec Flawiusz, obiecując odwiedzić jeszcze cierpiącego biskupa. Eryk Halvdanson został sam. Siedział nieruchomo, wpatrując się w coraz krótszą świecę i bawiąc się jej płomieniem, a nad jego głową, niczym czarne nietoperze, unosiły się ponure myśli.

„Pod Lasem Trolli rozbiłem buntowników w pył – myślał, zbierając kroplę wosku na ostrze sztyletu. – Niedobitki rozgniotłem w Bjorgvin. Wiele czasu minie, nim ktoś w tym kraju zbierze siłę taką, by mi zagrozić, ale wciąż mi się wydaje, że gdzieś popełniłem błąd”.

Korytarzem nadbiegło echo krzyku wijącego się w konwulsjach Hieronima.

„Ty byś mi powiedział, mój przyjacielu”. – Eryk zdmuchnął świecę i uniósł się wolno z ławy, by stanąć przy uchylonej okiennicy. Gród oraz okalające go podgrodzie, choć rozjaśnione śnieżnym puchem, pogrążone były w głębokim śnie. Dostrzegął zaledwie pojedyncze, odległe płomyki pochodni na wałach.

– *Herra minn?*

Drgnął i odwrócił się błyskawicznie. Bezszelstna jak zwykle Gudrun stała tuż za nim, a w jej wielkich, błękitnych oczach odbijało się światło księżyca. Zauważył tylko, że dziewczyna ma na sobie lekką tunikę z odsłoniętymi ramionami.

– Wystraszyłaś mnie! – warknął.

– Wybaczcie, *herra*. – Pochyliła głowę. – Byliście zamyśleni, a ja chciałam jedynie wiedzieć, czy mogę jeszcze jakoś pomóc.

Nieoczekiwanie dla samego Eryka jej gorące oczy pochwyciły jego spojrzenie.

– Nie chciałam przeszkodzić, ja tylko...

– Co znowu? – Eryk był zdziwiony, ale i rozdrażniony.

– Zwycięski z was władca, *herra minn*, i... Podziwiam was i miłuję... Gdybyście, panie...

Delikatna dłoń Gudrun uniosła się i dotknęła jego łokcia, po czym odskoczyła niczym sparzona. Eryk oddychał ciężko.

– Wy... – Ośmielona, odważyła się jeszcze raz spojrzeć mu w oczy.

– Otóż ja... – szepnął chrapliwie Eryk, a dziewczyna cofnęła się niepewnie. – Ja! – warknął głośno. – Ja jestem królem Nordwegu! Uznany przez lud i wspieranym przez Kościół! A ty... – Naraz porwał ją za nadgarstki i uwięził w mocnym uścisku. – Tyś córką starego człowieka, który ma zbyt duży apetyt! Córką człowieka, który poświęca swą sławę i bliskich, by mnie upokorzyć!

Gudrun drżała z przerażenia, uświadamiając sobie, że przyśpieszony oddech i błysk w oczach, który z początku brała za rosnące podniecenie, to w istocie uwalniająca się wściekłość.

– Myślisz, że nie wiem o niczym? – wrzeszczał Eryk. – Myślisz, że nie wiem, iż twój ojciec co krok zastawia na mnie pułapki? Myślisz, że nie wiem, iż dla niego szpiegujesz? Za kogo się uważasz, córo herszta bandy łowców fok? Za kogo?

Uniósł dłoń i uderzył. A potem znów.

Rozdział 13

– Harald... – Znajomy szept był coraz głośniejszy i wywabiał go z bezpiecznej ciemności. Wojownik chciał wykrzyknąć, by zostawiono go w spokoju, ale wtedy poczuł ciepło i uzmysłowił sobie, że leży przykryty i czuje zapach dymu z paleniska.

Harald gwałtownie rozwarł powieki.

Siedzący przy jego pośłaniu Psie Ucho wydał mu się jakiś inny. Na bladej twarzy byłego pachółka biskupiego, jeszcze chudszej niż dotychczas, pojawił się zarost, jedynie czapa z baraniego futra po starym zakrywała brwi. W jego oczach czaił się niepokój. Niespodziewanie chwycił Haralda za nadgarstek.

– Spokojnie!

– Co... – wychrypiał wojownik. Uderzyło go, że widzi starca inaczej niż dotąd. Inaczej?

Psie Ucho zwolnił uścisk, nie puszczając jednak ręki wojownika, która wolno wędrowała w stronę lewego oczodołu. Opuszki palców wymacały gruby opatrunek.

– Oko... – Harald zacisnął zęby.

Oczodół w odpowiedzi zaczął pulsować bólem.

– Zostało na królewskim mieczu – odezwał się czyjś surowy głos. Randi? – Zaszczytna rana.

– Długo leżę? – wychrypiał Harald, zamykając zdrowe oko.

– Mija ósmy dzień – odparł Psie Ucho, trzęsąc się ze wzruszenia. – Nie dognali nas! Byłeś ranny, ale nieśliśmy cię, jesteś teraz bezpieczny!

– Co z królem?

– Żyw. – Szaty siadającego Randiego zaszeleściły. – A kruki śpiewają, że w kraju spokój. Zmęczył się młody król wojną, odpoczywa. Siły zbiera....

– Gdzieśmy są?

– Daleko od Białego Jastrzębia, nie lękaj się! – zaśmiał się kapłan, ale kolejne słowa wypowiedział już poważnym tonem. – Tu siepacze Halvdansona nie dotrą nigdy, Haraldzie. Jesteś w Stenskógurinn.

Jedyne oko Haralda otwarło się, a głowa odwróciła się błyskawicznie w stronę kapłana.

– W Stenskógurinn? – wychrypiał zaskoczony.

– Nie ruszaj się gwałtownie, bo ból powróci... – Randi się podniósł. – Arnul, wywar gotowy?

– Jasne. – Niczym spod ziemi wyrósł Arnul, trzymając drewnianą krużę, z której sączył się gorzki, gryzący zapach. Skośne oczy zerkały na Haralda z mieszaniną radości i niepokoju.

– Wypij to, Harald, do... dobrze? – Karzeł przykucnął u wezglowia i wyciągnął dłonie z kubkiem. – Paskudnie smakuje, ale pomaga, na... naprawdę... Sam zrobiłem!

– To cię rychło postawi na nogi – powiedział Psie Ucho. – A ważkie wieści cię

oczekują.

Słońce wspinało się między gałęziami świerków, przykrytymi śnieżnymi czapami, kiedy Psie Ucho po raz pierwszy wyprowadził Haralda z jaskini. Wojownik szedł powoli, wsparty o ramię starego sługi, wciąż krzywiąc się od posmaku Arnulowego wywaru, ale jednocześnie zaskoczony i oczarowany. Starczyło wspomnieć nazwę Stenskógurinn, by ludzie od mroźnego Finnmarku aż po cieśniny duńskie milkli i rozglądali się podejrzliwie na boki. Takich miejsc było ponoć kilka, a znajdowały się w najmniej dostępnych miejscach na Północy. Mogli to się dostać jedynie najwyżsi kapłani Asów i ich wybrańcy. Opowiadano, że stąd właśnie kapłani wyprawiali swe dusze na wędrówkę do Asgardu czy Nilfheimu. Mówiono, że rosły tam starożytne, znające przyszłość jesiony, szczepy samego Yggdrasila, a z wodą płynących tam strumieni mieszała się woda z źródła mądrości olbrzyma Mimira. Wyrte na skalnych ścianach Stenskógurinn runy zawierały ponoć mądrość sprzed wieków, w grotach składano oręż dawnych bohaterów i skarby karłów, a otaczająca uroczyska wieczna mgła wysysała dusze z tych, którzy zakradali się tam z nieczystym sumieniem.

Tak opowiadali ludzie, lecz mrużący swe jedyne oko Harald nie dostrzegł niczego, co przypominałoby mroczny, mglisty zagajnik. Przed nim pięł się stromy, skalny klif, w którym ziała ogromna pieczara, a gdy wiking stanął do niej plecami, ujrzał łagodnie zbocza, porośnięte świerkowym lasem. Śnieg skrzył się słonecznym blaskiem, a powietrze było czyste i rześkie. Nie czuł grozy, nie słyszał wrzasku demonów czy pomruków trolli, nie było śladu po złowieszczej mgle. Pokręcił ze zdumieniem głową, ignorując kolejny napływ bólu.

Zauważył naraz, że podtrzymujący go Psie Ucho prowadzi go w określonym kierunku, a za nimi idą Arnul i Randi. Zmierzali tam, gdzie klif wybrzuszał się na kształt obłej, w miarę gładkiej płyty wysokości dorosłego mężczyzny. „Płytę” pokrywały rzędy drobnych, misternie wykutych runów.

– *Hvað er þetta?* – burknął Harald. Był osłabiony, na przemian atakowały go ból i zawroty głowy, a dodatkowo drażniła konieczność opierania się o ramię starca. – Jak to jakaś magiczna zagadka, to ja...

– To przyszłość – przerwał mu Randi, podchodząc do skały i wodząc palcami po runach.

– Nie tak sobie wyobrażałem Stenskógurinn... – wycharczał Harald.

– A czego się spodziewałeś? – Randi spojrzał z błyskiem w oku na Haralda. – Skarbów karłów? Bram do Asgardu? Szczepów Yggdrasila? Trolli w złotych zbrojach? Zapomnij o wszystkim, co do tej pory wiedziałeś. Oto jesteś w prawdziwym Stenskógurinn i masz przed sobą przyszłość.

– Co za przyszłość? – parsknął Harald. – Może byś już tak przestał mącić mi we łbie?

– To nie jest łatwe. – Stary kapłan się uśmiechnął. – W życiu niewiele rzeczy jest równie prostych jak cios toporem. Masz przed sobą przyszłość, dar od bogów. Bogowie

zaś są istotami wszechpotężnymi i mówią językiem przyszłości, a my, zwykli śmiertelnicy, znamy jedynie język przeszłości i teraźniejszości. Te runy zaś – głos Randiego opadł do pełnego czci szeptu – to przesłanie od nich. Wiadomość od Asów. Nie rozumiem go do końca, ale wiem, że wspominają twoje imię.

Harald zastygł jakby rażony piorunem, po czym szarpnął odruchowo, uwalniając się od Psiego Ucha.

– Co znowu... – wykrztusił w końcu, ciężko oddychając i patrząc z wyrzutem na Randiego. – *Pað er lygi!*⁴⁵ Kłamstwo! Kto by miał kuć moje imię... Na pysk Fenrisa, Randi...

– Nie, to nie łga... łgarstwo – powiedział cicho Arnul, bezszelestnie podchodząc do wijącego się pasma runów. – One czekały w tym miejscu. Z da... dała je widzieliśmy.

– Mieniły się jak rzeka złota... – szepnął Psie Ucho.

*Pękają Asgardu mury,
Ognie strachu gorzej,
Obcą moc niosą chmury.*

*Norny nie kończą kobierca,
Obce demony się śmieją,
Zarasta droga do serca.*

*Chwile jeno spokoju krwawego,
Ziarno zniszczenia posiane,
Nocny błysk topora obcego.*

*Wróg się druhem okaże,
Mówi mądrości nieznane,
Bezoki hańbę swą zmaże.*

*Straszliwy jest górski gniew,
Demon ożył i źle czyni,
Zastygnie niewinna krew.*

*Księżyc wolno idzie nowy,
Szepczą serca ludu świni,
Niknie pod krwią lód stalowy.*

*Trzy razy cios będzie padał,
Za czwartym padnie umiłowany,
Na próżno troll się skradał.*

*Druhów szuka miecz z Północy,
Karła skarb czeka nieprzebrany,
Któż sagę skończyć jest w mocy?*

– Nic nie rozumiem – wymamrotał Harald, kiedy umilkł już donośny głos odczytującego runy kapłana.

– Nikt tego nie pojmuje. – Randi uśmiechnął się smutno. – Zrozum, że bogowie mówią o przyszłości, a nasz ludzki byt uwięziony jest między terażniejszością a przeszłością. Nie pojmujemy ich słów, póki nie trafi się chwila, kiedy część tego zaklęcia z przyszłości stanie się terażniejszością.

– Nic nie rozumiem! – powtórzył Harald i rozejrzał się bezradnie wokół. Ręce mu drżały, a lewa dłoń nieustannie dotykała grubego opatrunku na oczodole. – Kto to wyrzeźbił? I... i po co! Tam nie ma nic o mnie! To łgarstwo! Ja jestem zwykłym wojem, a teraz ba... banitą!

Wojownik naraz poczuł się przytłoczony. Ostatnie dni przyniosły zbyt wiele – *jul*, ucieczka z budowy, walka w strażnicy, masakra w lesie, atak na orszak królewski, a teraz utrata oka oraz niezrozumiała przepowiednia. Harald ciężko usiadł i skrył twarz w dłoniach. Randi wolnym krokiem zbliżył się do skały i położył dłoń na runach.

– Nikt nie wie, kiedy i jak pojawiają się przepowiednie – powiedział cicho. – Wiadomo tylko, że przynoszą je bogowie. Asowie znają przeznaczenie – wiedzą, że czeka ich Ragnarok, dzień, w którym zetrą się z olbrzymami oraz potworami i zginą niemal co do jednego. Jedno z ich pól bitew znajduje się tu, w Midgardzie, Krainie Ludzi. Bogowie będą silni dopóty, dopóki są tacy jak my, ludzie, którzy pokładają w nich wiarę. Zdarza się zatem, że nam pomagają i zwiastują pewne wydarzenia.

Jakby zmęczony opowieścią Randi przysiadł na kłodzie.

– Na lodowcu Myrdalsjokul na dalekiej Islandii banita Leif Erikson odnalazł wskazówki, jak dotrzeć do Vinlandii – ciągnął. – W świętym gaju pod Uppsalą Palnatoke dowiedział się, że pisane mu jest założyć Jomsborg. Wśród fal morskich Gorm Stary odczytał o narodzinach nowego Boga. Ja sam... To druga przepowiednia, którą odnajduję w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Pierwszą wykreślił na śniegu kruk, kiedy składałem ofiarę bogom wojny nad Bukkfjorden. Kruk, Haraldzie, święty ptak Odyna! Dowiedziałem się z niej, gdzie was odnaleźć.

– Czyli dało się zrozumieć przepowiednię. – Harald kręcił głową. – A co z tą? Podobno jest tam coś o mnie. Gdzie?

– *Bezoki hańbę swą zmaże...* – powiedział dobitnie kapłan, mrużąc dziwnie oczy.

– Wielu jest bezokich – wymamrotał wojownik, wytrącony z równowagi spojrzeniem Randiego.

– Powiem ci zatem słowa przepowiedni, którą dla mnie nakreślił kruk. – Randi westchnął.

*Idź tam, gdzie niebios skałę wznoszą,
Gdzie kują nienawiść w granicie,*

Gdzie o łaskę tchórzliwi proszą.

*Sen wieczny woj Thorowy zsyła,
Ucieczka przez rzekę o świcie,
Bieź tam, gdzie nadzieja w kamieniu się skryła.*

– Wyście to pojęli, panie? – Psie Ucho zachłysnęła się ze zdumienia.

– Niektóre kenningi były jasne. Czymże jest owa „skała niebios” jak nie owym kamiennym chramem w Nidaros. Dalsze słowa jeno to potwierdzają: nienawiść, tchórzostwo tych, co się modlą...

– Tchórzostwo? – Arnul uniósł brwi.

– Nowy Bóg naucza, że kiedy kto cię przez policzek smagnie, tedy drugi masz mu jeszcze nastawić. – Kapłan uśmiechnął się krzywo. – Przepowiednia kazała mi ruszyć do Nidaros. Tak też zrobiłem w nadziei, że reszta wyjaśni się wkrótce. Gdy usłyszałem krzyki albiońskich łuczników, wiedziałem, że przeznaczone jest mi spotkać „woja Thorowego”, co „ucieczki przez rzekę” dokonał.

– Taki jesteś pewien? – Harald wydał wargi. Pusty oczodół zaczynał piec. – Tyle starczy, byś był pewien?

– Wiele dni leżałeś bez przytomności, Haraldzie – powiedział wprost Randi. – Majaczyłeś. Wiemy, co się stało w strażnicy. Zabiłeś strażników we śnie.

– Nie ma gorszej hańby dla wojownika.

Wspomnienie spadło na Haraldą, ciężkie niczym kowadło. Wojownik zgiął się wpół, jakby uderzony niewidocznym biczem. Zaniepokojony Psie Ucho przykucnęła przy nim, ale wściekły, zrozpaczony wojownik odepchnął go ze wszystkich sił.

– Próżna rozpacz. – Kapłan wzruszył ramionami. – Miałeś wybór między pohańbieniem siebie a uratowaniem swych towarzyszy. Wybrałeś to drugie. Wyprowadziłeś resztę więźniów.

– Ale tamtych zadźgałem, śpiących! – jęknął Harald. – Hańba mi! A potem naszych wystrzelali Albiończycy! Zadrwili ze mnie bogowie! Hańba!

– Niech ci będzie. – Randi usiadł na śniegu i spojrzał w przekrwione oko Haraldą. – Zatem hańba. Czyli przepowiednia mówi o tobie.

– Cudownie – sapnął Harald, kręcąc głową. – A więc zauważyli mnie bogowie! Ryją o mnie runy! Tylko... Tylko po co? I co teraz?

– *Ég veit ekki* – odparł Randi, wstając i znów opierając dłonie na runach. – Co więcej, nikt tego nie wie.

– Przecie pierwszą przepowiednię rozumiałeś!

– Nie do końca. Poza tym zawierała ona tylko jedno polecenie. Ta – palec wskazujący kapłana błędził po wyźłobieniach w kamieniu – to coś więcej. Myślę, że tu chodzi o losy całego Nordwegu.

Harald wstał i rozejrzał się zakłopotany.

– Losy całego Nordwegu? – spytał opryskliwie. – A co ja miałbym mieć wspólnego...

– Dość, Harald – przerwał mu Randi. – Zaraz znowu zadasz pytanie, na które nie ma

odpowiedzi. Pamiętaj, że ścieżki przeznaczenia są niezbadane i nawet mały kamień może pchnąć lawinę! Wystarczy czyn na pozór mało istotny, by zmienić losy kraju. Nie zapomnij też, że przepowiednie nie mówią o tym, co się wydarzy, ale jedynie naprowadzają na właściwe wybory, Będą chwile, kiedy jej słowa same przyjdą ci do głowy. Będiesz wtedy wiedział, co czynić.

– Czy przeznaczenie mo... można ominąć? – Arnul zbliżył się zaciekawiony.

– Przeznaczenie jest tkane przez Norny, ale tych jest trójka – odparł zamyślony Randi. – Zdarza się więc, że każda ułoży inny los. Czasem śmiertelnik ma zatem wybór, choć nigdy nie jest tego świadom.

Stali w milczeniu, patrząc na promienie słoneczne odbijające się od rzeźbionych w skale runów. W końcu Harald westchnął.

– I co mi przyjdzie czynić? – spytał, nieświadomie znów dotykając dłonią opatrunku.

– Gdzie trza się udać?

– Nie wiadomo – odparł Randi. – Przepowiednia nic o tym nie mówi, zatem cokolwiek byście nie zrobili, los i tak przyjdzie do was.

– Mówisz: do was? – Drgnął Harald. – Znaczy, że mam iść z nimi? Z Psim Uchem i Arnulem? A ty?

– Mnie wzywają inne sprawy. – Uśmiech Randiego zbladł, a oczy poczęły wpatrywać się w nieokreślony punkt między drzewami. – Może kiedyś jeszcze się spotkamy, ale obiecać nie mogę.

– Możemy pójść w stronę Blaakysten – oznajmił Harald. – Mam tam przyjaciół, może pozwolą zimę przesiedzieć. Na wiosnę zaś się obaczy.

– Pewnie – zgodził się Psie Ucho.

I znów zamilkli, wpatrzeni w runy. Tym razem ciszę przerwał drżący głos Arnula.

– Eee.... Panie Ra... Randi?

– Co?

– Bo ja tak sobie myślę... – zająknął się karzeł. – Bo wyście mówili o Nordwegu... Panie Randi... Czy ta przepowiednia to może... Czy to może być o Ragnaroku?

– Wszystko jest możliwe, Arnul. – Kapłan pokiwał głową. – Może to i zwiastun Ragnaroku.

– Ragnarok. Zaraz tam Ragnarok. – Palec Arnula zakreślał kręgi na śniegu. – Randi to mądry człek, ale prze... przecież starsi nie zawsze mają rację. O de... demonach stoi w przepowiedni, ale tych chyba nie ma co się bać. Ha... Harald na pewno demona się nie ulęknie, a jak go z tyłu który zajdzie, to już ja mu dam, he, he, he! Nie próżnowałem, o nie!

Karzeł zachichotał i zerknął w głąb jaskini. Wciąż dobrze ich widział, mimo że księżyc skrył się za gęstą zasłoną chmur. Harald mocno spał pod skórą, a obok niego niespokojnie drzemał skulony Psie Ucho w nieodłącznej czapie. Randiego nie było widać. Nie dziwiło to Arnula – dzięki szarym skórom wilka, którymi kapłan się

przykrywał, jego posłanie zlewało się idealnie ze ścianami jaskini

– Ten *obcy topór* to oznacza napaść – szeptał Arnul dalej do siebie. – Napaść, wojna i mnóstwo krwi. Jeszcze nigdy nie wi... widziałem wojny, ale u boku Ha... Haralda nic mi nie grozi. Samego króla zaatakował i jego przybocznych! Zawsze wiedziałem, że to sza... szalenie... Teraz jednak będzie miał po... pomocnika! Będę chronił jego plecy. Chciałem do ku... kuźni albo przy bu... budowie zostać, bo obawiałem się nieznanego, ale teraz czego mi się bać? On... on wtedy nie kłamał. On wie, co mówi, i wierzy, że się nie myli. Po... pobędę z nim jeszcze trochę, to pewnikiem też się tego nauczę. A potem, kiedy już pomożemy Nornom ułożyć ich tka... tkaninę, to Psie Ucho nauczy mnie runów i opiszę nasze dzieje!

Zamyślił się na moment. Wyobraził sobie siebie na kamienistym brzegu morza, wśród poszarpanych skał omywanych wzburzonymi falami, jak stoi i mozolnie kuje równe, kształtne runy.

Harald chrapnął i Arnul ocknął się z zadumy. Bezwiednie złapał niewielki toporek, który otrzymał w darze od Randiego, i wstał bezszelestnie. Miał znów ochotę wymknąć się do odległego zagajnika i poćwiczyć rzuty, co przyszło mu do głowy, gdy słuchał majaczeń Haralda. To z nich dowiedział się o jego feralnym, niecelnym rzucie toporem, który mógł go kosztować życie.

Ściskając topór, przemknął obok runicznej ściany i wtedy ogarnęła go przemożna ochota przyjrzenia się tajemniczemu znakom jeszcze raz. Księżyc wychylił się na chwilę zza chmur, a jego blade promienie gładko ześlizgnęły się po nagiej powierzchni skały. Runy znikły bez śladu.

Vidar wiedział, że trzyma się na nogach tylko dzięki sile woli. Bezwładnie oparł łokcie o burtę i splunął w kotłujące się fale, udając przy tym, że nie widzi oskarżycielskiego spojrzenia sternika. Poczuł na moment złośliwą uciechę – żeglarz, choć ochrzczony, wciąż obawiał się, że splunięcie do wody budzi potwornych sługusów bogini Ran.

Złośliwa radość znikła tak, jak się pojawiła, stłumiona falą zmęczenia. Przez ostatnie dwie doby nie spał ani chwili, wytrwale prowadząc okręt przez burzę i pokrzepiając znużoną załogę. Dzięki jego wysiłkom knorr wciąż unosił się na falach, lecz Vidar wiedział, że długo już nie wytrzyma. Wciąż udawał spokój i zawziętość, ale w duszy kotłowało się zwątpienie, raz po raz zastępowane atakami wściekłości. Ledwie poskramiał gniew na widok marynarzy kładących się na kilkugodzinną drzemkę, wściekał się na rolę, którą musiał pełnić, irytowały go nawet pełne ufności spojrzenia załogi, a przede wszystkim złościł się na niego.

Na swego pana i władcę. Na Eryka Halvdansona, króla i pana, który nie opuszczał go nawet tu, w odmętach Wielkiego Morza.

Spróbował się modlić, ale słowa modlitwy umknęły z kolejnym uderzeniem słonych bryzgów.

Cóż za los mu przypadł.

Gdy od powrotu z Bjorgvin minęły trzy tygodnie, skald uświadomił sobie, że nie może już wytrzymać napięcia. Nie potrafił już znieść nieobecnych spojrzeń Halvdansona i milczących próśb o pomoc, jakie odczytywał na zapłakanej, posiniaczonej twarzy Gudrun córki Trygvego. Męczył go widok czystych, niezapisanych kart pergaminu i nie mógł patrzeć na cierpienia biskupa Hieronima. Półprzytomny duchowny nadal spoczywał w łożu, trawiony majakami i straszliwą gorączką, a rany zadane przez wilkołaka wciąż się nie goiły. Rozkaz podjęcia wyprawy do Albionu celem przywiezienia nowego duszpasterza, który poprowadzi walkę z pogaństwem w zastępstwie Hieronima, była dla Vidara wybawieniem, o które długo się modlił.

Jak dotąd misja przebiegała bez przeszkód. Biskup Canterbury przychylił się do próśb, wyznaczył młodego Konrada z Gwynedd na następcę biskupa i niebawem królewski knorr był gotowy do odpłynięcia, ale Vidar Gustavson nie czuł radości. Oto wracał na służbę do nieprzewidywalnego mordercy. W nocy przyśniły mu się pożółkłe niczym trupia skóra, wciąż czyste pergaminy.

Kłopoty oczekiwały na wysokości cieśnin duńskich. Niespodziewanie niebo zsiniało, a potem zakryły je szeregi złowieszczych chmur, rzygających co rusz krótkimi, gwałtownymi ulewami. Morze się wzburzyło, ale królewski okręt dzielnie stawiał czoła sztormowi, a załoga, nawykła do żeglugi w każdych warunkach, szybko zamocowała wszystko, co było ruchome, i skróciła żagiel.

Vidar znał się na żegludze, ale nie był przyzwyczajony do takich wrażeń. Jego żołądek źle znosił gwałtowne kołysanie, przez co utrzymywanie ducha w załodze było dla niego tym większym wysiłkiem. Mokrzy i zziębnięci żeglarze trwali na stanowiskach, wylewali wodę, ciągnęli liny, a ich szyper, Skalli zwany Morsem, osobiście ujął wiosło sterowe.

Przy takiej pogodzie posuwali się szybko do przodu, o wiele zbyt szybko. Szyper zmuszony był do ustawicznego halsowania, a po kilku godzinach żeglugi wykrzyczał do ucha Vidara, że płyną na oślep. Nikt nie mógł ustalić położenia okrętu dopóty, dopóki nie ujrzą gwiazd na niebie. Skald klął z bezsilności.

Potem pojedynczy okrzyk sternika odmienił sytuację w stokroć gorszą. Spośród fal wyłonił się najpierw czerwony żagiel, a potem wszyscy ujrzeni z przerażeniem długi, obwieszony tarczami kadłub smoczej łodzi. Wężowy łeb bujał się wśród fal, jak gdyby mityczny potwór kiwał głową z zachwytem. Przez ryk morza przebiło się słabe wycie załogi na obcym okręcie, wściekle wymachującej bronią w ich kierunku. Piraci!

Vidar i jego ludzie nie mieli wyboru. Choć groziło to złamaniem masztu, postawili żagiel, który natychmiast wypełnił się wiatrem i rozpoczęli szaleńczy wyścig o życie. Nie pamiętali już o przemoczonych ubraniach, przeraźliwym zimnie i bólu pozdzieranych dłoni. A Vidar czuwał – pomagał żeglarzom, zachęcał do kolejnych wysiłków lub odsyłał na spoczynek. Z desperacją walczył o podtrzymanie ducha, starając się nie myśleć, że tak oto przysługuje się celom Halvdansona.

Wstał szary świt, a okręt dalej niestrudzenie wspinał się na fale i opadał w ich doliny. Nadzieje na zgubienie pirata znikły tak jak młody Morten, który stał za blisko burty, kiedy sternik gwałtownie naparł na wiosło. Nawet jeśli zdołał krzyknąć, jego słowa stłumiła bezlitosna fala. Smocza głowa nadal kiwała się złowieszczo nad grzywaczami,

wciąż podążając ich śladem.

Później na horyzoncie wyłoniła się z mgieł ciemna smuga stałego ładu.

– Nie ustąpi. – Vidar usłyszał głos pomimo łoskotu fal i pokrzykiwań szypra. Był to spokojny, wyważony głos, zawsze utrzymany w jednej tonacji.

– Nie ustąpi – ku swemu zdziwieniu skald odparł niemalże przyjaźnie.

Konrad z Gwynedd oparł dłonie o burtę i przez długą chwilę wpatrywał się w wikiński okręt, pojawiający się i niknący wśród fal. Vidar zerknął w stronę duchownego, lecz natychmiast odwrócił wzrok. Irytowały go jego wielkie, niebieskie oczy, patrzące na świat z takim zdziwieniem i fascynacją. Zresztą wszystko go irytowało.

– Nie lada żeglarz nas ściga – mruknął. – Nie zgubił tropu w tej wichurze, nie boi się burzy. To nie okręt na żeglugę w sztormie, łamią się często, maszty tracą. A ten płynie i płynie.

– Pozwala król na to, by piraci panoszyli się po jego wodach? – padło pytanie.

– Król jest zbyt zajęty wtrącaniem własnych poddanych do lochów!

– Jakże to?

– Mądryś, księże. – Skald odwrócił się i spojrzał duchownemu prosto w jego zdziwione oczy. – Bacz, byś tę mądrość dobrze wykorzystał!

– Jakże to, skaldzie?

Vidar zignorował to pytanie. Szedł już na szeroko rozstawionych nogach w stronę machającego ku niemu Skalliego. Szyper patrzył przekrwionymi oczyma na wrogi okręt.

– Na kopyta Sleipnirra, panie Vidarze, nie zgubim go! – ryknął w stronę Gustavsona.

– Juści, skoro w nocy się nie odczepił, tedy za dnia nie popuści! – odkrzyknął skald. – Co radzisz?

– Bój wydać mu nijak! – wrzeszczał Mors. – Garstka nas tylko! Na otwartym morzu też go nie prześcigniem!

– Damy radę w fiordzie się skryć? – Palec skalda pokazał ciemną linię skalistego brzegu.

– Po zmroku jeno, ale strach to, panie Vidarze, strach! Po ciemku łącno w kipieli jaką wpłynąć albo na skały...

– Musimy spróbować! I w Bogu mieć nadzieję!

Szyper zmełł jakąś odpowiedź pod nosem.

– Daleko jeszcze do Nidaros?

– Nie wiem! Przekłęta wichura, psia mać, brzeg ledwo co widać!

– Poznał kto z załogi ten okręt? – Vidar wskazał dłonią piratów.

– Widzi mi się, że swijski!

– Niech będzie i grenlandzki nawet! Miejcie uszy i oczy szeroko otwarte, kapitanie! Musimy mu umknąć, a król na pewno nas wynagrodzi.

– Król? – mruknął Skalli Mors w ślad za Vidarem, przedzierającym się na dziób. – A może Ran go wyprzedzi? Pono jej pałac cały ze złota...

O zmroku sternik zniecka naparł silniej na rumpel. Żagiel zachłysnął się wiatrem, a knorr skoczył ku zamglonym, rozmytym brzegom. Po chwili dostał się w zasięg silnego prądu i niespodziewanie wyrosły przed nimi skały, nagie i lśniące od kipieli. Na dziobie

przyczaiło się dwóch ludzi z sondą, Konrad z Gwynedd żegnał się powoli, a Vidar bezsilnie ściskał rękojeść ukochanego miecza. Szli prosto w pułapkę, ale Skalli wiedział, co robi. Szepcząc pod nosem modlitwy, przeprowadził knorra przez pułapkę. Wnet wody się uspokoiły, a zmęczony, lecz niepokonany okręt wpływał w ciemności fiordu.

Vidar usiadł ciężko pod masztem. Nie trwało długo, nim głowa opadła mu ciężko na ramię. Śniły mu się wilki.

Rozdział 14

Jeźdźcy królewscy najwyraźniej nie mieli czasu do stracenia. Ledwie zdyszane konie zanurzyły pyski w lodowatej wodzie strumienia, a dziesiętnik już obejrzał się z niepokojem na słońce, wciąż wiszące wysoko nad koronami drzew, i pognął swych ludzi w dalszą drogę. Wkrótce echo tętentu kopyt i brzęk oręza ucichły wśród lasu.

Arnul ostrożnie uniósł głowę.

– Galopowali, jakby ich wi... wilcy ścigali! – oznajmił.

– Wilcy się wilka... – sapał Psie Ucho, gramoląc się z zaspą – bać nie będą...

– Gdyby nie twe czujne uszy, karle, już byśmy w pętach do Nidaros dyrdali! – mruknął Harald, zsuwając się z gałęzi. – Ciekawym, gdzie ich tak gnało. Ponoć spokój już w kraju.

– Może nas szu... szukali? – Arnul zasepił się, wyciągając tobołek, w ostatniej chwili przysypany śniegiem.

– Raczej nie. – Harald skrzywił się, poprawiając topór. – Za dużo czasu upłynęło, by nadal mieli się nami przejmować. Cóż, czasu szkoda. Przed wieczorem w Blaakysten będziemy, jeśli nie zmarudzimy.

Ruszył, nie oglądając się za siebie. Żałośnie wychudły worek podskakiwał na jego plecach, topór chwiał się tuż obok. Arnul zarzucił swój na ramię i westchnął.

– Dokąd właściwie prowadzi ta droga? – zapytał Psiego Ucha.

– Do Bjorgvin. To znaczny gród na południu. Czemu pytasz?

– Tak sobie... Wyciągnijmy nogi, bo jeszcze go zgubimy!

Przed wieczorem lodowate powietrze nosiło już słony posmak morza, a nad głowami wędrowców kołowały pierwsze mewy. Harald, Arnul i Psie Ucho ostrożnie schodzili w dół zbocza, czepiając się to gałęzi mniejszych świerczaków, to skałek sterczących z pokrywy śnieżnej. Zdałoby się, że cel ich wędrówki leżał o wyciągnięcie ręki – widzieli już sine, nieco wzburzone wody fiordu Blaakysten, uwięzione między skalnymi ścianami.

Wiatr świstał obłąkańczo w załomach skalnych, bezlitośnie smagając zaczerwienione twarze i targając za włosy. Byli zmęczeni. Arnul poślizgnął się kilka razy i gdyby nie mocny uchwyt Harald, byłby poleciał w dół. W końcu prowadzący ich wojownik przystanął i otarł twarz wierzchem zgrabiałej dłoni.

– To tam! – Jego głos wzniósł się ponad świt wiatru. – Tam! To halla Rodona Trolle!

Jego dłoń wskazywała grupę chat, które niespodziewanie wyłoniły się zza skał. Widzieli wyraźnie podłużną szopę na łodzie, masywne bale przystani, skute teraz ciasno lodową pokrywą, przysypane śniegiem strzechy i wreszcie większy, solidniejszy budynek otoczony ostrokołem z bramą. Nad nią tkwił nieruchomo strażnik z włócznią.

Ktoś ciągnął konia w stronę stajni, dzieci dokazywały mimo nie pogody, a przez otwory w dachu snuł się dym z paleniska.

Uradowany Harald ruszył naprzód tak, że Arnul i Psie Ucho ledwie mogli za nim nadążyć. Blade słońce chyliło się ku zachodowi.

– Wa... walny gród! – wyrwało się zasapanemu Arnulowi.

– Juści, że walny! – roześmiał się wojownik. Karzeł drgnął, bo bodaj po raz pierwszy słyszał śmiech Harald. W odpowiedzi sam się uśmiechnął.

– Walne grodziszcze, a i gospodarz zacny! – ciągnął wojownik, czekając, aż towarzysze nabiorą tchu. – W wyprawie na Lubekę się poznaliśmy! Ze środka bitwy żem go wyciągnął, kiedy mu Germany czerep rozszczepili, a potem razem pływalismy na Albiończyków i Irów. Mamy wiele przygód za sobą. Ponoć trolle go matce z kołyski porwały i przez lata między nimi żył, stąd siły ma za czterech.

– Między trollami! – zachłysnął się Arnul.

– Nie bój się, karle. To dobry człek, tyle, że z szacunkiem trzeba go traktować. Z natury to niedźwiedź samotnik. Jeno podrażnij, a zobaczysz. Chodźcie, chodźcie.

Wśród niskich chatek poddanych Rodona panowała cisza. Idąc wolno środkiem wioseczki widzieli jednak niewyraźne zarysy ludzkich twarzy, przyciśnięte do rybiej błony w niewielkich okienkach. Gdzieś za nimi skrzypnęły drzwi i wyjrzała ciekawa twarz.

– Ale jestem głodny! – szeptał Psie Ucho, starając się ukryć zziębnięte dłonie w fałdach podniszczonego płaszcza.

Arnul nic nie odpowiedział. Sam również oddałby wszystko nawet za miskę brei, którą Psie Ucho rozlewał więźniom przy budowie, ale jeszcze w Stenskógurinn postanowił, że nie będzie się skarżył w obecności Harald. Przełknął więc ślinę i podreptał szybciej, pragnąc skryć się za szerokimi plecami wojownika.

Wkrótce przystanęli na skraju zamrożonej fosy, za którą równym szeregiem ciągnęły się mocne pale ostrokołu. Gdzieś pomiędzy blankami zapłonęła pochodnia, jednocześnie za palisadą zaczęły ujadać psy. Ktoś krzyknął, a na drewnianej platformie zadudniły szybkie kroki. Arnul próbował zmarszczyć groźnie brwi, Psie Ucho nerwowo naciągnął czapę, a Harald wyprostował się dumnie i krzyknął:

– Ejże tam! Co to za zwyczaje, by głodni wędrowcy sterczeli przed domostwem Rodona Trolla?

– Miarkuj swój język! *Helvítis fíflid þitt!* – odkrzyknął ktoś z palisady. – Dawnobyśmy już w jaskiniach żyli, gdybyśmy otwierali bramy przed każdym kpem!

– *Hver í veröldinni ert þú?*⁴⁶ – zawołał ktoś inny. – Cóżes za jeden i skąd przybywasz? Ujadanie psów przybierało na sile.

– *Ég heiti Harald! Harald Ingvarson!*⁴⁷ – starał się przekrzyczeć wicher wiking. – Zważ mnie Torden! Ci dwaj to moi druhowie! A kpem mnie nie nazywaj, bo...

– Byłeś kpem, jesteś nim i jako kiep szczeźniesz, Haraldzie Torden! – zagrzmiął tubalnie jakiś nowy głos. – Otworzyć bramy, bo króla kpów będziemy dziś gościć! He, he, he! Króla kpów nad kpami, he, he, he!

Na ponurej twarzy Harald. pojawiła się ulga i jednooki woj niecierpliwie przecisnął

się przez szczelinę między rozchylającymi się wrotami. Zaskomlały odpędzane wilczury, a gdy bramę otwarto szerzej, Arnul i Psie Ucho ujrzeli Duna, niktącego w objęciach potężnego człowieka w grubym futrze, śmiejącego się głośno i klepiącego go mocno po plecach.

– *Fyrir Þór*, pomiotu Lokiego bym się prędzej w taką noc spodziewał niżli ciebie, ty capie! – ryczał radośnie gospodarz.

– Mocniej bym nogi wyciągał, gdybym wiedział, że tak cię ucieszę, wilku wyliniały!

– Co widzę, oko ci wydziabali? Nigdyś dobrze tarczą nie władał!

– Nie byle kto mi je wydziabiał, tedy kpin poniechaj!

– Ha, ha, ha! Widno się jakaś dziewczka znalazła, co wie, do czego pogrzebacz służy!

– Bo jak cię za pysk chwyć... Hej, Rodon, towarzyszy dwóch przywiodłem! Widzisz, karzeł jeden, Arnul się zowie, i ten starzec poczciwy, Psie Ucho!

– Dawaj ich, dawaj! Chodźcie do halli, wypijem sobie miodu, zjemy coś i pogawędzimy! Hej tam, Thorstein, bramę w try miga zawrzyjcie i baczenie miejcie! I niech wieczerzę szykują!

Suchy chleb, maczany w gęstym sosie, smakował niebiańsko. Siedzący na zbyt wysokiej ławie karzeł machał nogami i oblizywał z lubością palce. Czuł, że pierwszy głód jest już zaspokojony i popijając miód z postawionego przed nim rogu, zaczął się ciekawie rozglądać po halli.

Zatknięte w ścianach pochodnie niewiele dawały światła i kąty pomieszczenia tonęły w mroku, ale bystry karli wzrok bez trudu przebijał ciemności i zaciekawiony Arnul co rusz odkrywał nowy skarb na okopconej ścianie. Łupy z wielu wypraw i starc z sąsiadami błyszcząły tajemniczo w mroku, jakby mówiły z dumą: „Ho ho, karle, nie pojmiesz ty, z jak dalekich krain my pochodzimy ani ilu mężnych zginęło za nas!”.

Siedzący obok Psie Ucho czknał i chwycił jeszcze jedną kromkę. Arnul oparł się o ścianę. Najadł się, a barania skóra grzała jak nigdy. Wychylił się nieco i zerknął ukradkiem na Rodona.

„Nie do wiary – pomyślał. – Pewien byłem, że nie masz ci woja nad Haralda, ale ten to chyba mocarniejszy! Bary jak u niedźwiedzia, a łapska jak dwie moje! I ta broda, czarna jak noc, rozwichrzona, kudłata grzywa, śmiech jak lawina huczący. Zaiste, bardziej to troll niżli człek. Ejże, świecie, ile ty jeszcze tajemnic skrywasz przede mną!”.

Arnul zmarszczył brwi. Jeszcze raz spojrział na Haralda i Rodona, nabrał głęboko tchu i pewną ręką sięgnął do rogu z miodem. Drugą oparł dumnie o ostrze toporka, po czym wziął potężnego łyka. Przestał majtać nogami, co nie przystoi wojom, a zamiast tego głośno odstawił róg na ławę i począł się wsłuchiwać w Haraldową opowieść.

– Ho ho! – dziwił się Rodon. – We łbie mi się to nie mieści, choć wielki.

– Złe czasy nastały, Rodonie. – Zwiesił smętnie głowę Harald. – Cichy i spokojny twój gródek, a za tymi szczytami brat bratu do gardła skacze. Oby Hel porwała tego zamorskiego kłamcę! – Huknął pięścią w ławę.

Psie Ucho aż podskoczył, wystraszony.

– Ongiś kpilim z chrześcijan i nadziwować się żeśmy nie mogli, jak chętnie głowy pod nasze topory kładli – zadumał się gospodarz. – Aż tu znalazł ci się taki, który sam postanowił nas toporami pogonić. Dziwy, dziwy...

– Chwycił nas król na postronk – parsknął Harald. – Tych, co nowego boga przyjęli, ostawił, a innych karami obłożył, biczem pogonił, w kajdany zakuł i z niewolnymi do budowy kamiennego chramu spędził. Mnodzy do lochów trafili, mnodzy na postronku zawiśli, a golone łby dzień i noc za wiernymi naszym bogom węszą. Na każde słowo trza w Nidaros uważać, bo do lochu i w kajdany!

– Nie może być! – Rodon uniósł krzaczaste brwi.

– A jednak! – wtrącił się zawstydzony Psie Ucho, ocierając usta rękawem. – Różne rzeczy słyszałem, panie. Żle się dzieje. Ludzie na siebie donoszą, wtrącają się do lochów, obgadują, przed golonymi łbami w pas kłaniają.

– Pomnisz ty, Harald – zadumany Rodon gładził wielką dłonią brodę – te nasze rajdy z jomsborczykami? Do Albionu wzdłuż germańskiego brzegu, na Fryzję i do kraju Irów, pamiętasz?

– Najlepsze czasy. – Krzywy uśmiech wypłynął na usta Harald.

– Pewnie, że najlepsze. A gdzie nas bogi przywiały, tam najpierw kościoła żeśmy szukali, bo tam o skarby najłatwiej było.

– Myślisz, że to Bóg zamorski mścić się przyszedł? – Grymas na twarzy Harald przestał przypominać uśmiech.

– Pono on miłuje cały świat, tedy jak mu się mścić... Nie, o czym innym rzec chciałem. Wiele lat temu to było, Harald, bo młodzi byliśmy, a już wtedy kościoły wszędy stały. Cały świat od dawna pokłony Bogowi na Krzyżu bije, jeno my dalej z niego kpimy! Jedynie my! Garstka, ledwo, dumnych ludzi morza!

– No i co z tego! – wybuchnął Harald. – Wolni jesteśmy i możemy wierzyć, w co chcemy. A nikt przed Halvdansonem ludu tak nie gnębił!

– Czyżby? – Kąciki ust Rodona zadrgały. – A nie pamiętasz Hralfa Ognistego Języka, który na tronie Nidaros siedział przed Halvdansonem? Ani stryja jego, którego Upiorem zwali? Juści, jak masz pamiętać, skoroś Dun. Ale ja nie zapomniałem, jak wrogie rody cięły się i paliły, a wszyscy, co królowi przeciwni, gardło dawali.

– Ale wtedy mogłem mówić, co chcę! – wrzasnął Harald. – Miałem honor i mogłem go bronić! Obraził mnie kto, tedy brał w łeb!

– Gadasz tak, boś wojak i włóczęga – parsknął Rodon. – Ten, co ziemię ma i gospodarstwo, inaczej gada. Kiedy możni się czubią, tedy zawdy słabsi cierpią.

Zapadła cisza. Pochodnie skwierczały, zasłuchany Arnul nalał sobie jeszcze jeden róg miodu.

– O czym ty gadasz, Rodon? – Harald drgnął, jakby naraz w pełni zrozumiał słowa starego druha.

– Tak jeno gadam. – Wzruszył ogromnymi ramionami gospodarz.

– Tyś już nie ten sam Rodon. – Harald patrzył w bok. – Inaczej myślisz, inaczej gadasz...

– Ty żeś za to taki sam jak dawniej! – wykrzyknął olbrzym, podrywając się z ławy.

Miód chlusnął przestraszonemu Arnulowi nakaftan. – Głupi jak pień, a niech ci serce żywiej zabije, to już za topór chwytasz i wydzierasz się jak dzieciak! Zalaż ci nowy król za skórę, to na każdego bluzgasz żółcią, co? Na każdego, nawet na tego, co mądre słowa mówi? Po coś tu darł się przez bory, co? Po co?

– Schronienia szukałem – odparł Harald, wciąż unikając wzroku Rodona. – I pomocy. Jeno dziwnie jakoś cię słuchać. Gadasz, jakbyś się chciał godzić z nowymi rządami.

– Zdziczałeś w tej niewoli, skoro mądre słowa dziwnymi ci się zdają. – Olbrzym ochłonął trochę. – Myślisz, że my tutaj, w Blaakysten, świata nie widzimy? Bzdura to. Przyjeżdżają tu kupcy, knorry zawijają, latem mnich jeden zaszedł, Fabio bodajże, wesołek, choć po ludzku mówić nie umiał. My sporo wiemy, sporo, Harald, a dni płyną spokojnie, tedy i człowiek wszystko przemyśleć ma czas. I ja swoje wiem.

– Praw tedy, co wiesz. – Harald uniósł róg z miodem. – Noc długa jeszcze.

– Po mojemu ma się tak. Przyjechał król z za morza. Nie pirat i hulaka jak inni. To król, który na księgach się zna, świat widział i przyjaciół ma możnych. Zrazu zamek w Nidaros umocnił, hird znaczny wystawił i opornych sobie wygniół. Zabił Ringvaldiego Niedźwiedzia i stronników jego na cztery wiatry rozpędził! I tu już chwalić go zacząć należy...

– Chwalić? – parsknął Harald szyderczo. – Mądrości prawie miałeś!

– Nie skończyłem jeszcze, tedy cichaj! Z jarłem z Hladir król wnet układ zawarł, lojalność innych wielmożów sobie zapewnił, bez wahania na południe się wypuścił i zdobył Bjorgvin. Pokonał przy tym Ragnara Przyjaciela Kruków, który mógł mu nieźle krwi napsuć. Nie masz ci teraz potężniejszego od niego w całym Nordwegu, a skoro spokój ma w kraju, może się z bogami wadzić.

– I po co? Zaliby źli dawni bogowie? – z goryczą spytał Harald, nalewając sobie miodu. Arnul skwapliwie poszedł w jego ślady.

– Czego żądają Thor i Odyn?

– Sam jużes zapomniał? – Brwi Dua uniosły się wysoko. – Thor to woj najprzedniejszy, hovding zastępów Valhalli, który w boju mści się za zniewagi. Odyn zaś króluje nad Midgardem, wiedzy szuka, natchnienie na skaldów zsyła i magią kapłanów obdarza. Mądry on, przenikliwy i chytry jak wąż.

– Sam widzisz – westchnął Rodon. – Mściwi oni, chytry, gniewni. Ludzie gniew ich odczuwają, a rzadko łaskę. Cóż z tego, że ofiary krwawe się im składa? Cóż z tego, że ludzie za nich giną? Bóg na Krzyżu prawi o innych rzeczach.

– Cóż może wiedzieć taki, co to bez skargi daje się do krzyża przybić?

– Czytałem ja raz ukradkiem tę księgę, którą zwą Biblią – odezwał się niespodziewanie Psie Ucho. – Samem się zdziwił, bo o przebaczeniu mówi.

– Przebaczenie? – prychnął Harald. – Niech baby sobie przebaczą, ja...

– Tyś gotów każdego zarznąć, co choć źle na ciebie spojrzy, prawda? – przerwał mu Rodon z szyderstwem w głosie.

– O co ci chodzi? – Harald spojrział nadąsany na starego przyjaciela.

– O to, że gdyby Bóg na Krzyżu do tej krainy nie zstąpił, wycięliby się Thorowi woje co do nogi!

– Chwal więc onego Boga na Krzyżu, chwal! – Twarz Haraldza poczerwieniała. –

Nadstawiaj tedy policzka jak reszta! Jak spadnie na ciebie cios Thorowego wojaka, to ci policzek wraz z głową spadnie!

– *Begiðu!* – ryknął Rodon. – Stulże pysk! Za wieleśmy razem przeszli, bym cię miał teraz jak pijaka wywalić za bramę! Nie przyjąłem ja ci nowej wiary, Thorowi i jego świcie dalej posłuszny jestem, bo przez całe życie mnie prowadził. Różnica między mną i tobą, Haraldzie, polega na tym, że ja trochę rozumu na wyprawach zdobyłem! Niech ci twój druh opowie o zaklęciach Boga na Krzyżu. Niech ci opowie o pojednaniu, o miłowaniu się, o zakazie kłamania i zabijania. To ważne lekcje, Haraldzie, bo tak żeśmy się w walkach między sobą zapamiętali, że nikt nie spostrzegł, gdy obcy Nidaros zajął! Halvdansonowi pokłonić się trza będzie i dań na wiosnę zawieźć, ale nie pójdę za nim w to jego szaleństwo, nie pójdę, jakem Rodon Troll. Za stary że jest, by się nowym bogom kłaniać, ale gdybym miał syna, kazałbym mu się zastanowić.

Wzrok Haralda zawisł na dopalającej się pochodni.

– Ragnarok... – szepnął. – Nie darmo kapłani co roku straszili. Ragnarok nadchodzi.

– Może być, że Ragnarok. – Rodon oparł się na pięściach. – Może w niebie bitwa się toczy. Może olbrzymi szarżują z maczugami. Odyn nakłada siodło Sleipnirrowi, rzuca się Fenris na słońce...

– I wróci Baldr, jak opowiadano... Baldr ukochany, piękny, najlepszy między bogami... – szeptał Harald, a blask pochodni pląsał w jego oku. – Baldr nieskazitelny...

– ...Nieskazitelny niczym Bóg na Krzyżu – dopowiedział Rodon.

Znów zapadła cisza. Pochodnia strzeliła i nagle Arnul upuścił pusty róg na ławę i ryknął bełkotliwym głosem:

– Nie będzie Rangaroku! Nie... nie to jest napisane! Karzeł znajdzie skarb, bę... będzie wielkim wojem, a wy... hyp! Król to król, a ja pokażę panu Ketilowi i dzie... dzieciaki będą mi zazdrościć... hyp!

Rodon spojrział na Haralda, ten odwzajemnił zdumione spojrzenie. Psie Ucho zastygł przestraszony.

– Twój towarzysz niezbyt do miodu nawykły? – Rodon zachichotał.

– Dzieciak to ledwie... – odparł Harald. – Spać chyba i mnie już pora. Bierzmy go, Psie Ucho....

Ketil syn Thorvalda biegł i wymachiwał ogromnym krzyżem, a Arnul, potykając się, uciekał bez tchu przez las. Bał się odwrócić głowę, ale wiedział, że twarz pana Ketila pokryły zmarszczki, oczy zapadły mu się w głąb, a suche, wykrzywione szyderczo usta szeptały niezrozumiałe słowa o karze.

Nagle drzewa znikły – już biegł pod świeżo wzniesionymi murami wielkiego zamku nowego Boga w Nidaros. Czuł oddech pana Ketila na swoich plecach, lecz oto naraz wyłoniła się potężna postać Haralda z jego krwawym toporem! Harald! Harald mnie uratuje! Mocarne dłonie wikinga poderwały straszliwą broń i nagle karzeł uświadomił sobie, że Harald zamierza rzucać! Nie!!! Nie rzucaj!!! Nie trafisz...

Otwarł nagle oczy. Zniknęła świątynia, rozmył się Harald, nie było Ketila, ale był masywny strop, niedomknięta okiennica i ciężka skóra przygniatająca spocone ciało. Zdyszany Arnul z wolna przypominał sobie, gdzie jest i jak tu dotarł. Na zewnątrz słyszał kroki na śniegu i szczekanie psów. Ktoś polecił komuś zapalić więcej pochodni, ktoś brzęknął kolczugą, ktoś wołał w oddali:

– O schronienie jeno prosim, gospodarzu! Wiele nas, ale nagroda was czeka!

– Nie kadź mi tu o nagrodzie, kiedy sam pod ostrokołem kiej żebrak sterczysz! – odparł tubalny głos, w którym karzeł rozpoznał Rodona Trolla. – Ktoście wy!

– Zlitujcie się, na miłość boską! Okręt nasz wody nabrał...

– Ktoście wy!!!

– Jam Vidar Gustavson, skald królewski!

Rozdział 15

– Ojciec! Ojciec!

Ketil syn Thorvalda uniósł głowę i zmarszczył krzaczaste, siwe brwi. Podkuwany koń poruszył się niespokojnie, ale ogromna dłoń kowala mocno trzymała pęcinę. Wójt już miał ofuknąć córeczkę za przeszkadzanie w pracy, lecz zaalarmowało go coś dziwnego w jej głosie i uznał, że wbicie ostatniego hufnala może jeszcze trochę poczekać.

Kari wpadła do stajni, a za nią wtargnął przenikliwy chłód mroźnego dnia. Dziewczynka łapała powietrze, a na jej policzkach kwitły rumieńce.

– Co tam znowu? – Ketil spojrzał na córkę surowo.

– Obcy jacyś spod lasu! – wysapała dziewczynka. – Jezdni! Siła ich! Od króla zapewne!

– Tu zmierzają? – Kowal już rozglądał się za kozuchem.

– Chyba tak! Bo do kogo?

– Z wójtem gadać pewnie chcą! – Ojciec już wybiegał na zewnątrz.

Postawny jeździec otulony wełnianym płaszczem uniósł dłoń i jego podwładni zaczęli zatrzymywać rumaki. Ketil usłyszał kilka krótkich komend, po czym woje pocwałowali w stronę wsi, a dowódca zawrócił konia w stronę Ketila. Jego ciężka dłoń w rękawicy spoczęła na główicy miecza. Wójt bezwiednie wytarł dłonie w odzienie – nie wiedzieć czemu gość go zaniepokoił.

Śnieg zaskrzypiał pod czyimiś stopami. Zaniepokojona Frida przytuliła się do boku męża.

– Co to za jedni? – wyszeptwała. – Wojna jaka? Banici we wsi?

– Królewscy – odparł kowal ponuro. – O, wojewoda k’nam jedzie. Pewnikiem dowiemy się, o co chodzi.

– Wielki jak Thor.

– Milcz, babo, ani słowa o Thorze czy Odynie! To jeden z tych zamorskich wojów, co ich na tingu widziałem! Biskupowi służą i niejednego do lochu za niebaczne słowa zawlekli!

– Uchybilim w czymś wielebnemu Albertowi? – Frida była przerażona.

– Nie, na pewno nie. Idź, lepiej dzieci pochowaj i miodu coś narychtuj! Najlepszego!

Frida przebiegła podwórze, wołając Olava i Kari, a Ketil stał niczym wrośnięty i patrzył na Nocnego Krzyżowca, który truchtem podjeżdżał w stronę zabudowań w asyście trzech zbrojnych. Na jego piersiach podskakiwał krzyż. Bez słowa wskazał swym przybocznym kuźnię i stodołę, a ci zsunęli się z siodeł, pochwycili za włócznie i ruszyli ku nim, nie zwracając uwagi na gospodarza.

Człowiek biskupa rozejrzał się badawczo po obejściu, nie zsiadając z konia.

– *Ég heilsa yður, Ketil Thorvaldson!* Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – odezwał się bez śladu obcego akcentu.

– Aaa... Niech będzie pochwalony... – wymamrotał Ketil, na wszelki wypadek czyniąc

również znak krzyża.

– Wyście wójt?

– Jam ci... Zalibym w czymś uchybił?

– Nie, gdzieżby! – zaśmiał się *Náttfarinn*. – Król rad jest, że tacyście obrotni i gospodarni.

Ketil pokraśniał, ale duma natychmiast wyparowała z jego serca, kiedy spojrzał w twarde i nieustępliwe oczy obcego.

– Do spichrza prowadź! – krzyknął któryś z wojów do Fridy. Z lasu wytoczyły się cztery zaprzężone w woły wozy. Puste, jak zauważył Ketil.

– Wyście kowal? – chłodne pytanie przywróciło go do świadomości.

– Jam ci...

– Broni co u was?

– Dwa pługi, radło...

– Broni!

– Trochę mam. Miecz jeden, żeleźców do topora bez liku, tarcze żelazem wzmocnione ze cztery...

– *Mjög vel*, tedy weźmiesz. Na jednym z wozów rudy nieco odnajdziesz, grotów do strzał nakujesz i za trzy dni do Nidaros zawieziesz!

– Ale... – Ketil rozejrzał się ogłupiały. Frida lamentowała głośno, bijąc w pierś trzymającego ją woja, a dwaj pozostali wywlekali ciężkie wory zboża i połcie wędzonego mięsa. Z pomocą milczącego woźnicy załadowali wszystko na wóz, a potem cała trójka ruszyła w stronę kuźni. Dzieciaki chlipały w kącie. *Náttfarinn* trzepnął się w biodro i zerknął na zrozpaczonego Ketila, niemal rozbawiony.

– Gospodarniście, tedy i swoje nadrobicie. Król waszej pomocy, wójt, potrzebuje. Rozruchy w Bjorgvin, bunt! – Zaśmiał się głośno. Dzieci umilkły przestraszone.

– A zapłata? – bąknął Ketil, zdumiony własną śmiałością. W tejże sekundzie runął w błoto zamroczony.

– Za starzyście do topora, tedy na gospodarstwie was ostawim – zauważył bez szyderstwa w głosie rycerz, masując kłykcie. – Niech to będzie zapłata. Dość tego wałkonienia się! Jedziemy dalej!

– Miałbym ci ja topór, ty chłystku... – szepnął Ketil bezgłośnie w ślad za obcymi.

Zapalczywy Trond Rybiogęby miał topór. Nad jego okaleczonym ciałem stała teraz matka i wznosiła ku niebu zapuchnięte od płaczu oczy. Szlochając, nie słyszała jęku obitej drzewcem od włóczni Karen córki Svera czy lamentów ubogiej rodziny Gisura, obejmującej się przy płonącej chacie. Utracili wszystko, co mieli.

Stary Ragnar Siwy długo jeszcze wymachiwał kułakami w ślad za niknącymi w lesie wozami, to klnąc, to spluwając krwią po świeżo wybitych zębach, aż kaszlnął i upadł w błoto drogi. Co on teraz bez syna pocnie, skoro nawet porąbać drzewa nie jest w stanie? Sonia spod Dębu, tuląca gromadę dzieci zbyt przerażonych by płakać,

krztusiła się od szlochu, patrząc na puste łóżce męża... Młoda Ingrid też chciała płakać. Chciała krzyknąć z żalu o ukradzione ostatnie krowy, porwanego ukochanego i pobitego ojca, ale nie mogła. Zbyt wielki ból kwitnął u niej między nogami. Nie, nie chciała, by ktokolwiek ją ujrzał, chciała leżeć tu za stodołą do samego Ragnaroku. Jakiś pies był przeraźliwie, a domostwo Gisura wolno się dopalało.

Oba dzwony na wieżycy katedry pod miastem dudniły rozkołysane. Spłoszone ptactwo kołowało nad wzgórzem katedralnym, a zgromadzeni na wałach i wzdłuż głównej ulicy ludzie śledzili spojrzzeniami odjeżdżającą drużynę królewską. Ci stojący najbliżej wiwatowali, ale gdy król przejechał dalej, milkli i powoli, w milczeniu uciekali do własnych zajęć.

Gudrun długo jednak nie spuszczała wzroku ze sztandaru z białym jastrzębiem, który łopotał z niewzyciężoną dumą na wietrze, a łzy powoli spływały po jej zaczerwienionych policzkach. Bezwiednie dotknęła sińca pod okiem i skrzywiła się z bólu.

Odjeżdżał. Z kilku zdawkowo rzuconych uwag domyśliła się, że król wybiera się jedynie na krótki objazd kraju, by umocnić chrześcijaństwo w jego odleglejszych zakątkach. Zapowiadał się znowu marsz od osady do osady, wycinanie zwolenników dawnych bogów, palenie domostw, grabieże, tortury, egzekucje. Znowu kraj miał spłynąć niewinną krwią, lecz Gudrun nie o tym myślała. Dla niej ważne było to, że przez kilka następnych nocy będzie mogła zasypiać bez strachu. Król nie stanie na progu komnaty z oczyma gorzejacymi szaleństwem, gotów bić, wyzywać i znieważać.

„Jestem córką jarla na Hladir, Trygvego syna Ivara! – powtarzała sobie w myślach, próbując zignorować ból upokorzenia. – Jestem z jarlowskiego rodu!”

Odnosiło to jedynie przeciwny skutek. Dziewczyna popadała w coraz większe przygnębienie, a wspomnienie Hladir i rodzinnej halli sprawiało, że gotowa była rzucić się na kamienną posadzkę i wyć z żalu. Wciąż za dnia dumnie unosiła głowę, a jedynie zapuchnięte oczy i zaczerwienione policzki świadczyły o tym, jak mocno przeżywa swe uwięzienie.

Tak, Gudrun córka Trygvego była uwięziona. Przydzielona jej do pomocy stara, rozczochrana Laponka nie znała ich mowy, a poza nią i Erykiem dziewczyna widywała jedynie Vidara, Thorfinna i ojca Flawiusza. Skald królewski rozmawiał z nią dwornie, starając się nie zauważać śladów pobicia, i starannie unikał tematu króla i jej rodu. Wojewoda Thorfinn z kolei przypatrywał się jej aż nader natrętnie, ale jego potrafiła ze wzgardą zlekceważyć. Gdy Thorfinn i Vidar znikli, częściej zaczął pojawiać się przy niej ojciec Flawiusz. Spędzał z nią długie godziny, opowiadając żywoty świętych i nakłaniając, by się przed nim wypowiedziała, a ona znosiła go coraz gorzej. Jej niechęć do łysego, natarczywego starca rosła z każdym dniem.

Doprowadzona do ostateczności kilka razy próbowała potajemnie opuścić swe komnaty, ale wtedy drogę jej zastępował jakiś *Náttfarinn*. Tęskniła za ojcem i bratem,

ale ci nie się pojawiali.

„Dlaczego? – myślała z goryczą. Czyżby oddali mnie Erykowi jak zwykłą nałożnicę i zapomnieli o mnie?”.

Teraz Eryk wyjeżdżał, a wraz z nim wielu jego wojów.

„Może teraz umknę? – pomyślała. – Tylko półtora dnia drogi do Hladir, nawet pieszo dam radę”.

Drgnęła zaskoczona, gdy do jej komnaty ktoś zastukał.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – usłyszała głos ojca Flawiusza.

– Na wieki wieków – odparła niechętnie.

– Wpuście mnie do komnaty, pani? – pytanie to zabrzmiało bardziej jak polecenie i choć Gudrun miała już na końcu języka ciętą odpowiedź, posłusznie uniosła się z ławy i podeszła do drzwi. Stary zakonnik skłonił się i nieproszony wślizgnął do wnętrza.

– Ojcie... – Gudrun się zawahała. – Król na długo wyjechali?

– Któż to wiedzieć może? – Ojciec Flawiusz uniósł oczy ku niebu. – Znacie wy, pani, upór, z jakim kamień wodzie morskiej się opiera?

– Nie – bąknęła przez zaciśnięte zęby. Nie znosiła tych jego metafor.

– Tedy jakże mam wam powiedzieć kiedy król wróci, skoro sam takowe kamienie kruszyć pojechał! – Pięści starca zacisnęły się, a jego oczy na moment błysnęły złowrogo. – Król o miłosierdziu boskim przypominać pojechał! Bałwany obalać! Któż może wiedzieć, ile czasu wyprawa mu zajmie?

– Dzielnym wojownikiem jest nasz *Hvíti fálkinn*. – Gudrun skromnie opuściła wzrok, próbując opanować niechęć. – Modłę się za jego powodzenie.

– I ja to czynię – oznajmił mnich, siadając na ławie.

„Chce tu pozostać – pomyślała z niechęcią dziewczyna. – Nie da mi spokoju”.

– *Faðir* – niespodziewanie zdobyła się na odwagę i uniosła głowę. Jej oczy błysnęły, jak przystało na córkę jarlową. – *Faðir*, wiele tygodni minęło, odkąd ojca i brata mego widziałam. Czy...

– Naprawdę? – przerwał duchowny, unosząc brwi. – W istocie, wielmożny Trygve nie był w Nidaros od czasu bitwy pod Lasem Trolli.

– A czy... – Gudrun zagryzła wargi. – Skoro w kraju spokój zapanował, czy zechcielibyście, ojcie, przydzielić mi kilku ludzi, cobym mogła...

– Nie najlepszy to czas. – Flawiusz uśmiechnął się dziwnie. – Wasz brat, pani, dzielny Sveinon, wraz z wojewodą Thorfinnem pod Bjorgvin pojechali! Z buntownikami walczą! Nie w głowie Sveinowi sprawy rodzinne.

– A ojciec? Samotny tam...

– Ojciec wasz, pani – głos mnicha ochłódł – to jeden z najznacześniejszych mężów tej krainy. Oczywiście jest zatem, że kiedy król i wojewoda na dwie różne wojny wyjeżdżają, on nad krajem pieczę sprawuje! Posłańcy z pierścieniem królewskim już dawno do Hladir pobieżyli. Pewnie się wnet zobaczycie, pani.

Dziewczyna opuściła głowę jeszcze niżej, czując, jak resztki nadziei umykają z jej serca.

– No, ale na razie trzeba nam dalej prowadzić dzieło Boże – w głosie duchownego zabrzmiała wesołość. – Przyszedłem do was po radę, piękna pani. Wyście córa tej ziemi,

tedy opowiedzcie mi o karłach. Wszystkie opowieści, które są wam znane.

I Gudrun opowiadała cichym głosem bez emocji, siedząc ze spuszczoną głową i ze zmatowiałym spojrzeniem. Nie widziała iskrzącego się wzroku duchownego i jego suchych warg powtarzających szczególnie ważne słowa. Dopiero gdy wyszedł, żegnając ją imieniem Bożym, padła na swe łożo i wybuchła głośnym, rozpaczliwym płaczem, którym zanosila się aż do świtu.

Daleko od kamiennego zamczyska mała Kari również wierciła się w łóżeczku i nasłuchiwała miarowych oddechów rodziców i braci tak długo, aż była pewna, że wszyscy zasnęli. Zmęczeni, zrozpaczeni i upokorzeni, we śnie szukali pociechy.

„Biedni rodzice” – myślała dziewczynka.

Wciąż miała przed oczami wojów kradnących pożywienie, wyprowadzających połowę owieczek i bijących ojca. Pamiętała słowa matki, że trzeba im będzie pasa teraz zacisnąć, ale inni mają gorzej. Doskonale pamiętała wielki krzyż na piersiach tego, który uderzył ojca.

Zaszeleścił siennik, gdy wniknęła pod niego chuda rączka Kari. Coś załśniło, a w ciemnościach izby poniósł się szept dziewczynki:

– Na krzyżu wiesz, Boże, i podobno cierpisz wielce za nas. A ci, co twój krzyż noszą, pobili ojca i wszystko rozkradli. Jeść ledwo co będzie. Po co cierpisz tam na tym swoim krzyżu? Za nas niby? My tu mamy gorzej – chlipnęła. – Czort by to porwał – dodała zawstydzona jedno z wielu mocnych słów, jakie usłyszała dziś od ojca. – Ojciec Albert gadają, że masz nas kochać, a my mamy przebaczać. Mam ci ja przebaczyć tym, co ojca pobili? Co owieczki nasze zrabowali? Co ojca lisy uwieźli? I brata Dagha? Łżesz jak ten pies, Boże na Krzyżu – szeptały jej gorące wargi, dobitnie, nienawistnie. – Wojowie z twoim znakiem najwięcej gwałtu zadają! Wiem ci ja, co zrobię! Podrosnę jeszcze trochę, jeszcze tyli i zostanę walkirią! Pomszczę ci ja to... to wszystko!

Ucałowany mocno i żarliwie mały żelazny smok Fafnir został znów wsunięty pod siennik, ale mała zapłakana Kari nie zasnęła aż do szarego, smutnego świtu.

Rozdział 16

Dopiero trzech silnych ludzi zdołało zatrzymać Haralda.

– Puśćcie mnie! – rycał Dun, szamocząc się. – Puśćcie mnie, a rozłupię łeb kurwiemu synowi!

– *Hörfið*, Harald! – huknął Rodon. – Stój, ty barani łbie! I ty też!

Skald wyprostował się dumnie i założył ręce na piersiach, ale nie mógł opanować drżenia.

„Cóż za przekłety pech – przemknęło mu przez myśl. – Znowu ten szalenciec z lochów...”

Przed oczami stanął mu śnieżny trakt i rozjuszony berserk szarżujący na królewskiego rumaka. Zatrząśł się z przerażenia.

Błysnęło jakieś ostrze, jeden z załogi stanął przy nim z nagim mieczem. Za plecami skald słyszał innego, alarmującego pozostałych.

– Odłóż ten miecz, bo ci wraz z ręką odpadnie! – warknął głucho Rodon. Wystraszony żeglarz opuścił broń. – A co do ciebie... – Niespodziewanie odwrócił się ku Haraldowi, złapał go za łachy i cisnął nim o ścianę. – Jużemy to sobie wyjaśnili, Harald – wycharczał mu prosto w twarz – że pod moim dachem jesteś i tu nie będziesz burd wszczynął. – Puścił go i odwrócił się ku gościowi. – Wybaczcie, panie, druhowi memu – odezwał się już całkowicie normalnym głosem, masując pięść.

– Nie trza mi przeprosin. – Głos Vidara drżał lekko. – Mam ci ja z druhem twoim do pogadania...

– Focze łajno dla mnie te wasze porachunki – prychnął Rodon. – Rźnijcie się i mordujcie, byleby za kamieniem granicznym. *Fjandinn!* Tu ma być spokój.

– Długo go nie będzie, gospodarzu – powiedział ponuro Vidar. – Piraci nas przy Skagerraku chwycili. Ścigali wytrwale przez sztorm, dopiero u wejścia do tego fiordu znikli. Może być, że wpłynęli za nami.

– Wikingowie? – zdumiał się Rodon i spojrzał na Haralda, ale ten nie słuchał go zgoła.

Sycząc z gniewu, wpatrywał się w skalda.

– Juści, swijscy pono. Mówię to, by was ostrzec, gospodarzu, gdyż my nie zabawim tu długo. Mus nam do Nidaros. Konie i sanie by się zdały.

– Konie i sanie? – Rodon uśmiechnął się chytrze. – Patrzcie go, w nocy na pysk padał, a nynie rządzić poczyna!

– Królewskim posłem jestem! – powiedział hardo Vidar, wciąż starając się uspokoić drżące dłonie. – A wyście królewskim poddanym, gospodarzu. Prawo mam tak mówić! – Niespodziewanie skrzywił się przy tych słowach.

– Patrzcie, patrzcie! – Rodon zarechotał. – To królisko poczciwe, no no! Zasiadło szczenie wściekle na stolcu w Nidaros i zamyśliło sobie, coby Rodon Troll poddanym jego został! Wielce mi to pochlebia, że królisko tak mnie ceni, ale ja jeszcze nie

zdecydowałem, czy go chcę za króla! – Niech wpierw tu przyjedzie, niech sobie go obejrzą i sam osądzą.

– Przecież nagroda was czeka! – krzyknął Vidar, tracąc panowanie nad sobą.

– Jużes zadatek mi, jak widzę, wypłacił! – Rodon przestał rechotać i patrzył na pobladłego Islandczyka uważnie. – Sfora chłopca do wykarmienia i banda Swijów na horyzoncie! A niechby się konung dowiedział, że jakiś kmieć z ochotą nie wydał mu wszystkiego, co sam miał! Oj, będzie się szczęśliwiec w zaszczytach tarzał, będzie...

– Gospodarzu... – Vidar oblizał spierzchnięte wargi.

– *Pegiðu!* Milcz i nie przerywaj! – Rodon zgrzytnął zębami i wycelował ogromny paluch w ściany halli. – Widzisz te miecze? Widzisz te tarcze, hełmy, skóry, kobierce? To wszystko moje! Jam Rodon zwany Trollem, pan tego fiordu, a ongiś król morza! Łajno mi królewskie srebro!

Harald usiadł z rozmachem na ławie i drżącą nieco ręką nalał sobie miodu. Wypił zawartość rogu duszkiem i położył go z hukiem. Nadal nie spuszczał wzroku ze skalda i zły uśmiech błędził w kąciku jego ust. Naraz brwi podeszły mu wyżej, gdy zauważył wysokiego, chudego mężczyznę w baranim kożuchu, który stał za skaldem. Tenże ruszył wolno do przodu, wyminął skonsternowanego Vidara i niespodziewanie pochylił głowę przed Rodonem. Pośrodku płowej czupryny obcego Harald dojrzał wygolony placek, a jego oczy... Widział już kiedyś takie oczy – pełne siły, błyszczące niespotykaną wiarą. Nagle uzmysłowił sobie, że ma przed sobą człowieka, patrzącego na świat inaczej niż inni. Człowieka takiego jak...

Jak Randi!

– Panie – powiedział obcy, pokornym głosem, w którym słyhać było albioński akcent. – Jam Konrad z Gwynedd i jam nieświadomym sprawcą tej biedy. Biskup Hieronim kona, w Nidaros leży i ja po nim pastorał miałem przejąć. Mus mi rychło do miasta, lecz kłopotać was, gospodarzu, nie chcę. Wskażcie mi jeno drogę, a sam pójdę, choćby pieszo. Przydam wam załogę knorra wraz z Vidarem synem Gustava. Pomogą w walce ze Swijami.

W halli zapadła cisza. Rodon potarł wierzchem dłoni poczerwieniałe czoło.

– Słaby to król, którego sładzy prosić o wybaczenie muszą – próbował nieudolnie zabarwić to zdanie szyderstwem.

– Jeden król nade mną, a to Bóg Wszechmogący – odparł wprost Konrad. – Halvdansonowi, władcyce Nidaros, jeno pomagać będę.

– Wszechmogący? – charknął Harald. – Skoro wszystko ci on może, niech cię za kaftan chwyci i do Nidaros przeniesie! Po co masz święte stopy śniegiem kalać!

– O więcej łaski prosić go nie śmiem. – Konrad jakby nie dosłyszał obelgi. – Wždy Duch Boży pospołu z wiatrem żagle napełniał.

– A załoga żarła i spała? – Harald wypluł prawie te słowa.

– Ciężko walczyli z żywiołem i chwała im za to. Bóg sił im dodał.

– Szczęście żeście mieli! Ran pewnie po uczcie nażarta!

– A może to Bóg Ojciec waszą Ran do piekła popędził! – wykrzyknął wysokim głosem Vidar. Twarz mu na przemian czerwieniała i bledła.

– A może Ran po mordzie Boga na Krzyżu prała, a ten tak zajęty był nadstawianiem

policzka, że aż sztorm wywołał! – szydził Harald, już stojąc.

– Błuźnisz, gadzie!

– Raz mało brakowało, a król twój nadstawiłby policzek pod mój topór!

– Zamknij pysk, zanim ci w niego przypieprzę! – Rodon kopnął ławę z furją. – A ty też uważaj na słowa, wierszokleto, bo twój król daleko i ja tu rządę! A ty, klecho, zachowaj bajdy dla dzieciaków! – rzucił w stronę nieporuszonego kłótnią Konrada. – Byli tacy, co więcej chleba od ciebie w życiu zjarli, a do Nidaros w środku zimy konno nawet nie dojechali. Jak cię wilcy opadną, nie zdążysz nawet swoich bogów po imieniu zawołać.

– Jeden Bóg nade mną jeno. Apostołowie i prorocy od zawsze na własnych nogach pustynie przemierzali...

– A też byli wychudzeni jak szczapy? – Rodon wykrzywił usta. – Gdyby Bóg na Krzyżu tutaj swoich przysłał, by zimą nauczali, rychło musiałyby sobie nowych sprawić.

– Wiecie tedy, kim są apostołowie? – Uśmiechnął się Konrad. – I że Słowo Boże w lud nieśli?

– O wa! – prychnął Rodon. – Może i na końcu świata mieszkam, alem nie głupi. Był tu już jeden taki, uczciwie go przyjelim...

– Raduje to, że nie wszystkie serca nordweskie z kamienia...

– Nic od nas nie chciał, ale wy w większej potrzebie. Dostaniecie sanie i parę koni! – powiedział zmarkotniały nagle Rodon. – Nie będziecie kiej żebrak przez dzicz się tłuc. Co by ludzie o mnie i mej gościnności powiedzieli. Ale wprzód...

Rodon zamilkł, a Harald poderwał się nerwowo, bo na zewnątrz rozległ się gwar głosów i skrzypnięcie otwieranej bramy.

– Wikingowie palą Taakestrand! K'nam kupą idą! – krzyknął czyjś przerażony głos.

Strażnik zatrzasnął ciężkie drzwi i Ulf syn Ketila stanął samotnie w pustej sali zamkowej. Westchnął ciężko – na zewnątrz wstawał przepiękny, różowy świt, a ptaki zaczynały poranne, zimowe trele. Arnul pewnie umiałby każdego z nich po imieniu nazwać, ech... Arnul...

Arnul był teraz równie daleko jak zabawa i uciecha, bo w tym zamku mieszkała jedynie surowość i trwoga. Ulf westchnął znowu i mocniej uchwycił cynową misę z wodą, ruszył naprzód, stukając chodakami. Pamiętał dzień, w którym ojciec zaprowadził go przed bramę i oznajmił, że tu będzie się uczył mądrości. Chłopiec oniemiał wówczas z wrażenia na widok zamczyska, ale podziw zamienił się w niepokój, gdy ojciec pożegnał się z nim krótko i oddał pod opiekę jakiegoś surowego mnicha, który ujął go silnie za łokieć i zaprowadził do wąskiej, zimnej celi. „To od dziś twój dom, chłopcze” – powiedział, rzucając jakąś szorstką szatę na posłanie, po czym nakazał mu wstać na mszę przed świtem i wyszedł. Ulf został całkiem sam w sercu zimnej twierdzy pełnej obcych ludzi, obcych bogów i obcych strachów.

Oczywiście, na mszę zasnął i stary mnich surowo go za to oćwiczył. Tegoż dnia

chłopak poznał swój codzienny rytuał – dukanie łacińskich słów, uczenie się modlitw, niekończące się nabożeństwa i żmudne dyżury w kuchni, po czym następowała krótka chwila przepełnionego strachem snu. Włosy obcięto mu już drugiego dnia – kiedy łkał nad ich utratą na zimnym, szeleszczącym sienniku, dostrzegł małą myszkę, która wyszła ze szczeliny między kamieniami w kąciu jego celi. Stworzonko długo wpatrywało się w niego, ruszając wąsikami, aż w końcu porwało zapomniany okruch chleba i smyrgnęło do norki. Zapłakany Ulf zrozumiał, że niewiele go od takich myszek różni – szarych, jedzących okruchy, bez imion, wiecznie wystraszonych.

Bowiem strach stał się jego nieodłącznym towarzyszem. Za każde przewinienie groziła chłosta – za zaśnięcie podczas mszy, za rozlany inkaust, za zapomnienie trudnych reguł deklinacji. Sny zaś przynosiły strzepy dawnego życia – widział w nich ojcową zagrodę, słyszał monotonne stukanie młotka o kowadło, gonił się z Olavem, Ivarem i Arnulem w stodole. Budził się ze łzami, lecz bacznie uważał, by nikomu owych marzeń nie zdradzić. Za to pewnie też była kara.

Pierwsza wizyta w wielkiej katedrze onieśmieliła go i zauroczyła – obiecał sobie wtedy, że będzie kochał Boga, któremu stawiają tak cudne świątynie. Obietnica zatarła się jednak w ciągu szarych, podobnych do siebie dni. Mówił z pamięci zaklęcia ku czci Boga na Krzyżu, których nie do końca rozumiał, a przed oczyma stawał mu obraz roztańczonych, zdyszanych ludzi z wioski, śpiewających dla Frejra i Frei. Śpiewał wraz z innymi dla Białego Chrystusa, ale w głowie dalekim echem brzęczały groźne pieśni wojowników opiewające męstwo Thora i mądrość Odyna. Stary mnich wprowadzał ich w różne rytuały – kazał krzyżem leżeć na zimnej posadzce, jeść chleb i pić wino, w których Bóg na Krzyżu ponoć się chował, a nawet iść w procesjach przez wylęknione miasto. Wielkie to było, podniosłe, lecz strachem napełniało, nie ufnością, nie radością... Tęsknił do podglądanych skrycie biesiad *julu* czy *elfblót*, uczt na cześć Alfów, ile tam było wesołości!

Jakiś miesiąc temu w jego losie nastąpiła niespodziewana odmiana – wśród nowicjuszy pojawiła się plotka, że biskup Hieronim został ciężko ranny. Stary mnich oćwiczył tych najgłośniejszych szepczących, ale pogłoski okazały się prawdziwe. Nowicjusze patrzyli po sobie zadziwieni, ale i skrycie uradowani – ten, którego bano się najbardziej, owiany legendami biskup Hieronim, był takim samym człowiekiem jak oni! Miotał się w malignie, wrzeszczał z bólu, kłął jak najemnik!

Potem najsilniejszych nowicjuszy, w tym i Ulfa, odesłano do komnaty biskupa, by przy nim czuwali, pomagali pielęgnować jego rany i łagodzili jego ból modlitwami. Każdego ucieszyło oderwanie od nudnych modlitw, ale kiedy pokornie schyleni przekroczyli progi komnaty Hieronima, każdy z nich głęboko pożałował losu, który ich tu sprowadził.

W komnacie biskupiej panował mrok, rozświetlony jedynie rzędem świec przy łożu. W ich blasku puciołowata, spocona twarz biskupa wyglądała przerażająco. Widzieli rozlewające się po policzkach plamy niezdrowej czerwieni, przekrwione, błyszczące oczy i żółte zęby, odsłaniane co chwila skurczami górnej wargi. Wielkie dłonie drgały w spazmach na przykrywających go niedźwiedzich skórkach.

Ojciec Flawiusz, jako najstarszy z mnichów i zaufany biskupa Hieronima, opiekował

się nim osobiście. Mało kto znał się lepiej od niego na opatrywaniu ran. Recytujący litanie nowicjusze często widzieli, jak delikatnie usuwa opatrunki i przemywa wciąż jątrzące się rany. Bledli wówczas z obrzydzenia i trwogi, a niech tylko który słowa litanii pomylił! Po pokryciu ran leczniczymi maściami i ponownym opatrzeniu, ojciec Flawiusz odwracał się i natychmiast odsyłał winowajcę na kilka dni w celi o chlebie i wodzie.

Ulf był jedynym, który wytrwał przy biskupie półtora miesiąca. Postawił sobie za punkt honoru przeczekać tu jak najdłużej. Oddałby wszystko, by uciec od łaciny i ćwiczeń w stawianiu liter. Dobrze przez ten czas poznał zwyczaje Flawiusza, który z dnia na dzień stawał się coraz bardziej zasepiony. Duchowny spacerował bezszelestnie po komnacie, rzucając niespokojne spojrzenia na łożo Hieronima, mrucał coś o ogniu trucizny w żyłach, a czasem desperacko klękał przy Ulfie i jego suchy, mocny głos dołączał do ich modlitwy. Czasem chłopak widział, jak w starcu odżywa nadzieja, kiedy biskup budził się i patrzył wokół przytomnie, a nawet próbował jeść. Po poprawie jednak następował kolejny kryzys.

Pogrążony w rozmyślaniach Ulf znów poczuł zapach komnaty biskupiej – woń płonących knotów, dusznego powietrze, potu i krwi. Wszedł do środka najciszej jak umiał i postawił misę przy milczącym ojcu Flawiuszu, a potem dołączył do modlących się półgłosem pozostałych nowicjuszków. Biskup oddychał ciężko, lecz nagle głucho odkaszlnął. Młodzieńcy najpierw zamarli, a potem poczęli się modlić ze zdwojoną gorliwością. Ojciec Flawiusz przypadł do łoża biskupa i ujął jego spoconą rękę.

– *Padre?* – spytał niespokojnym głosem.

– Nic mi... – chrząknął biskup. – Zlazła duchota ze mnie....

– Bóg jest wielki! – Flawiusz się uśmiechnął.

– Zalibyś kiedy... wątpił? Jak... młody... król?

– Poganie w Bjorgvin wciąż niespokojni, *padre* – poskarżył się cichym głosem Flawiusz. – Pamiętają waszą moc i surowość króla, ale nie boją się! Thorfinn Kalleson stoi tam jednak z drużyną... Wydusi krzykaczy, wybije buntowników!

– Słusznie... Twardy lud, nieużyty... Nie lza z nimi po dobroci...

– Kapliczki po wsiach budujem, ojcze! Halvdanson z orszakiem po kraju jeździ i święte dęby tnie! Srebrem sypie, a lud czarodziei i kapłanów wydaje!

– Sprytny on...

– A i mocny! Niechby komuś bunt się zamarzył, to Nocni Krzyżowcy wnet do działania przystępują! Ci, co innych burzą, sami w lochach pod zamkiem jęczą. A niech który mięso jeść w piątek spróbuje czy pracować w niedzielę! Mówią, bydłeta, że naszych dni tygodnia nie znają!

– To nauczyć ich...

– A juści, batem a pochodnią! Złorzeczy jakiś, język mu wyżąć! Pluje na krzyż, oczy wytopić! Wieszli, *padre*, co Halvdanson z najbardziej opornymi robi?

– Praw...

– Rurę stalową do gardła pcha i węża przez nią puszcza!

– Ho ho... A... A karły, a insze istoty piekielne?

– *Padre*, krajto dziki i plugastwa w nim mrowie, ale Biały Jastrząb ani myśli walki

poprzestać. Ludzie jego groty trolli wyszukują, o wodniki pytają, huldry i gobliny śledzą. Mnogo jednak tego plugastwa, mnogo...

– Na Słowo Boże... dusze z kamienia..

– Przecież oni dusz nie mają! Pomnicie, *padre*, owe trolle, co nakazem Halvdansona ochrzciliśmy?

– Co... z nimi?

– Niektóre pomarły, Słowa Bożego słuchając, a resztę ubili krzyżowcy i ścierwo do lasu wywlekli!

– Słowa Bożego się strachają... Nie z mieczem na nie... a z kropidłem...

– Juści! Jeno do zdrowia, *padre*, szybko wracajcie, bo kto jak nie wy w imię Boże wojnę świętą powiedzie?

– Módlcie się...

– Modlimy się, *padre*! Modlimy się i w boju też nie ustajemy! Królewski przyboczny, Finn syn Ottara po kraju jeździ, by karła jakiegoś ułować! Chcemy w dyby zakuć i wodą święconą pokropić. Zobaczymy, co one na to. Może równie bezbronne wobec Słowa Bożego jak trolle.

– Wždy był... jeden karzeł... w lochach...

– Uciekł, *padre*!

– Ehh... Wody mi dajcie...

– Ty! – krzyknął ostro ojciec Flawiusz. – Wody dla biskupa! W te pędy!

Ulf zerwał się z klęczek i wypadł z komnaty. Jeszcze nie przebrzmiało echo jego klekoczących chodaków, gdy zza niedomkniętych drzwi dobiegł jęk powracających konwulsji.

Rozdział 17

Wysokie słupy dymu na tle porannego nieba były doskonałym drogowskazem.

– *Fjandinn!* – zaklął Rodon, wciąż próbując uspokoić oddech.

Był jedynym, którego szaleńczy bieg z Blaakysten nie pozbawił sił. Jego domownicy i ludzie z załogi okrętu, każdy zbrojny w co popadnie, ciężko dyszeli z wyczerpania pod oszronionymi drzewami, nawet zawadiaka Harald sprawiał wrażenie śmiertelnie zmęczonego. Ogromny Rodon jednakże zaciskał mocno zęby i śledził spod krzaczastych powiek wydarzenia w wiosce. Kilka domostw już się dopalało, a tryumfalnie pokrzykujący napastnicy znosili worki oraz kufry i spędzali powiązanych jeńców. Wyróżniał się jeden, czerwonogęby mąż w wielkim hełmie z osłoną na oczy i plecioną w warkocz brodą, za rozkazem którego na środek wioski zaciągnięto kilka wozów. Reszta zaczęła tam wrzucać łupy.

– Co to za jedni? – Do Rodona podczołgał się Harald.

– Co, mowy nie słyszysz? – burknął Troll. – Nasi, ino z południa. Swije.

– Na co czekamy? Teraz na nich trza walnąć! Nim część z łupami odejdzie!

– *Þegiðu, fíflid þitt!* – odwarknął Rodon. – Niech idą!

– Puścisz ich z łupami?!

– W co wozy zaprzężone?

– W woły przecie...

– Ano. A woła pieszo pijany nawet doścignie. Niech więc jadą. W wiosce zostanie jedynie część napastników i łatwiej przyjdzie nam ich rozgonić!

– A potem wozów dopadniemy i...

– Wreszcieś ruszył tym łbem! – mruknął Rodon i odwrócił się w kierunku zdyszanych wojów. – Hej, tam! Skoczmy na nich rychło, niech ino wozy odjadą! Rozważnie się bijcie, bo wozy z łupami potem dognać nam trza będzie oraz ich okręt spalić! I żeby żaden z tych psubratów z życiem nie uszedł!

– Jednego a dwóch żywcem ujmijcie, panie – rozległ się cichy głos Konrada.

Rodon spojrział koso na nieruchomego kapłana. Twarz Konrada była poblądła, a oczy pełne przerażenia. Szeptał jakieś słowa, a wojownicy, widząc to, odwracali głowy i szybko wykonywali gesty odczyniające uroki. Wojownik zagryzł wargę, jakby jeszcze raz chciał spytać, co on, człek pokorny, robi tam, gdzie pracują miecze i topory, lecz pokręcił tylko głową.

– Ech – mruknął. – Gotujcie się!

Arnul przełknął ślinę. Oto nadchodziła chwila, na którą długo czekał. Wreszcie będzie mógł pokazać Haraldowi, że i on swoje potrafi, a mimo to nie umiał opanować drzenia.

„Zimno mi, bo mróz silny” – wytłumaczył sobie, przeszyty kolejnym dreszczem. Ostrożnie wyjrzał zza krzaka, za którym się chował, tylko po to, by znów ujrzyć płomień i zgliszczą.

„To już zaraz...”

Naraz do trzasku płomieni i okrzyków wikingów dołączyło skrzypienie wozów i Arnul uświadomił sobie, że wojownicy Rodona poruszyli się niespokojnie. Niebawem mieli skoczyć do ataku. Dłoń trzymająca toporek zadrżała. Już nie chciał imponować Haraldowi, zapragnął być daleko stąd lub chociaż skryć się za czyimiś plecami. Co też mu przyszło do głowy!? Sławy bohatera szukać? Przecież nie jest wojownikiem! Nie!

– *Árás!* – ryknął Rodon. – Śmierć wam pisana, gnuśne wieprze! Mewy was rozdziobą i świnie wyjedzą wam żołądki! *Fyrir Þór!*

– Torden! – zawył Harald, skacząc w ślad za nim. – Jak żyta was natnę, ścierwa! Torden, Torden! *Öxin mín er blóðþyrst!*⁴⁸

– Myśmy tę zarazę tu przywiedli, my ją wyźniemy! – Vidar zakręcił młyńca mieczem i wybiegł z za drzewa. Załoga knorra ruszyła za nim. – W imię Boże! *Árás!*

W powietrzu zaświstały strzały. Oszołomiony Arnul ujrzał naraz, że otaczają go biegnący naprzód, wymachujący bronią ludzie, po czym ktoś go trącił i pchnął naprzód. I już pędził wśród nich, piskliwie imitując ryki szarżujących wojów i wymachując toporkiem, aż uderzyło go w twarz gorąco płonących chat.

Patrzący za odjeżdżającymi wozami Swijowie nie spodziewali się ataku. Biegnący przodem Rodon zamachnął się mieczem na najbliższego wikinga. Ten instynktownie zasłonił się tarczą, lecz silny cios Trolla pchnął go prosto na Haraldą, który ciął go po wewnętrznej stronie kolan. Straszliwy wrzask ranionego woja sprawił, że swijscy wojownicy drgnęli, a ich brodaty przywódca wykrzyknął kilka rozkazów.

– *Árás!*

Rodon i Harald bez namysłu runęli na spotkanie odzyskujących rezon wrogów i roztrącili, nim ci zdążyli zewrzeć szyk. W poczynioną wyrwę włączyli się krzyczący i potrząsający orężem wojownicy Rodona i w okamgnieniu potyczka rozbiła się na szereg pojedynczych starć. Rozbryzgiwana krew z sykiem wpadała w płomienie.

Rodon, ciężko dysząc i rąbiąc na prawo i lewo, parł w stronę rudobrodego przywódcy Swijów. Miecz zdawał się zabawką w ogromnej, owłosionej pięści. Troll uderzał, nie patrząc, gdzie pada cios, odtrącał próbujących zająć go od tyłu, rozłupywał tarcze i przebijał ogniwa kolczug.

– *Berserkr!* – krzyknął któryś ze Swijów, przerażony.

– Dawać łuki!

– Spaliłeś moje sioło... – Rodon splunął, odrzucając kolejnego przeciwnika. Oczy błyszczały mu jak u dzikiego zwierzęcia. Swijski przywódca parsknął pogardliwie i z ochotą skoczył ku Rodonowi.

Kilka metrów dalej Harald pchnął swego przeciwnika w błoto i wykręciwszy toporem młyńca nad głową, z głuchym młaśnięciem wbił mu ostrze w plecy. Wyrwijąc żeleźce, dostrzegł kątem oka, jak walczący nieopodał Swij zamierza się na ranionego domownika Rodona. Rzucił się na niego z rykiem. Wrogi wiking odskoczył, a wtedy wybawiony z opresji Nordweg pchnął go ułamkiem oszczepu w biodro. Ranny krzyknął i na chwilę opuścił tarczę. To wystarczyło Haraldowi, by wyprowadzić zamaszyste cięcie w czaszkę pirata.

Ocalony kmicz podźwignął się i spojrzał na dyszącego ciężko Haraldą.

– Thor cię prowadzi, synu – wychrypiał, chwytając się za ranne ramię.

– A żebyś wiedział – odburknął Dun, odwracając się w stronę walczących.

Swijowie odzyskiwali panowanie nad sytuacją i spychając ludzi Rodona, łączyli się w mur tarcz. Na rozbicie szyku morskich zbójów Nordwegów było zdecydowanie za mało.

Naraz od strony niewidocznych już wozów poniósł się wrzask. Wracali wikingowie, którzy strzegli wozów z łupami! Harald zaklął wściekle i rozejrzał się – Swijowie wznosili już tryumfalne okrzyki, z ludzi Rodona wielu było rannych. Gdzie jest Vidar i jego ludzie?

– Dorwę cię, ty islandzki psie... – ryknął, lecz naraz umilkł zaskoczony. Któryś ze Swijów wrzasnął z bólu, zaraz po nim drugi i trzeci.

Kłęczący w śniegu Vidar starannie obejrzał wyciągniętą z kołczana strzałę, po czym jednym płynnym ruchem nałożył ją na cięciwę.

– Dobrze celujcie – szepnął do ludzi ze swej załogi. – Oby nie w swoich...

Skalli Mors uniósł swój łuk, a za nim reszta. Zaskrzypiały cięciwy, a potem dymy znad dopalającej się chaty przeszły strzały.

Arnul zaś znalazł się w samym środku bitwy. Stał oszołomiony, ściskając swój toporek, a wokół niego biegali krzyczący ludzie. Czyjaś gorąca krew chlusnęła mu na twarz, wojownik Rodona zwałił się w błoto tuż przed nim, aż karzeł odskoczył z wrzaskiem.

– Z drogi! – krzyknął któryś z wojów Rodonowych.

Szlochając, karzeł cofał się krok za krokiem, a przez jego umysł przelatywały chaotyczne myśli.

„Przecież karły potrafią walczyć! Są Dwalin i Nordri i Lofar, wielcy wojowie... Dziadyga Johan bąbał, że... Haraldowi chciałem dorównać! Ja chybiam raz na cztery rzuty! Harald jest dzielny... Dwalin... Mój topór...”

Naraz jak we mgle ujrzał ogromnego Swija, napierającego ze skrwawionym toporem na któregoś z wojowników Rodona. Nie zastanawiał się ani chwili. Wstrzymał oddech, mgła się przejaśniła, a toporek od Randiego pomknął przez dym i wgryzł się w ramię Swija. Ten jęknął i zatoczył się, a wtedy domownik Rodona ciał jak błyskawica. Z otwartych ust swijskiego wikinga buchnęła krew.

Woj Rodona wyszarpnął swój oręż i spojrzał z wdzięcznością na Arnula.

– Dobra robota, karle! – wykrzyknął chrapliwie.

Karzeł dalej stał oniemiały, kiedy nagle zaświstały strzały. Rozległy się jęki ranionych wikingów, a w wojów Rodona wstąpiły nowe siły. Swijowie odskoczyli, zostawiając wielu rannych i, kryjąc się za tarczami, próbowali dawać opór wśród chat. Strzały ścigały ich niestrudzenie.

– Sprzyja ci ten twój Bóg, Islandczyku! – Harald zgrzytnął zębami. – Torden! – ryknął, wyskakując zza chaty.

– Harald! – wrzasnął Rodon, przestępując nad bezgłowym trupem swijskiego hovdinga.

– Tużeś jest! – doskoczył doń Dun.

– Łebski woj z tego skalda, co? – Rodon splunął. – Od tyłu zaszedł, suczy syn, i...

– Rozejrzyj się! – Dun nie pozwolił mu dokończyć. – Od lasu biegną ci, co wozów strzegli!

– Tuzin ich, nie więcej! – odkrzyknął Rodon. – Krzyknij o tym żeglarzom, ja moich zbiorę!

– *Bíddu!* – Dun chwycił go za ramię. – Tam patrz!

W gęstym dymie widział Vidarowych łuczników, odwracających się, by przywitać strzałami nadbiegających. Widzieli skalda, który klękał za pniakiem do rąbania drzewa i napinał łuk. Gwara od strony lasu rosła, ale teraz Rodonowi także poczęli wznosić tryumfalne okrzyki. Zewsząd dobiegały wrzaski ranionych i błagalne okrzyki:

– Poddajem się! Litości!

– Zbierz swoich, Rodon, i staw im czoła! – zawołał Harald. – Ja wozy dognam!

– Sam jeden?

– Ha, ha! Ja? Thor nade mną czuwa! – krzyknął już w biegu woj.

– Pobiegniem za tobą!

– Bóg z nami! – wołał Vidar, śląc strzałę za strzałą w zbliżająca się kupę Swijów.

Arnul ciężko usiadł w błocie i zakrył twarz dłońmi.

Harald sapnął, dotykając palcami kolein w śniegu. O tej właśnie chwili marzył w bezsenne noce na budowie katedry, przykuty jednym łańcuchem do nogi karła. W jego jedynym oku pojawił się złowieszczy blask.

„Wilkiem żeś jest” – szepnął Randi w jego myślach.

Tak, był wilkiem! Szalonym wilkiem samotnikiem, który podchodzi tłustą, nieruchawą zdobycz! Nagle zapomniał o Bogu na Krzyżu, o znieawidzonym konungu na stolcu w Nidaros, o królewskim skaldzie czy śpiących wojach, których śmierć okryła go hańbą. Liczył się tylko trop. Pochwycił topór i znów rzucił się do biegu. Las niebawem się skończył i zziajany Harald wybiegł na szeroką plażę nad fiordem. Na zmarzniętym, smaganym zimnym wiatrem śniegu wyraźnie rysowały się ślady kół. Samego drakkaru Swijów nie dostrzegł, ale wydawało mu się, że widzi wozy, odległe drobinki, wtapiające się w zimowy krajobraz.

„Widać woźnice musieli ostro woły poganiać!” – pomyślał i znów ruszył biegiem. Wiatr ciął prosto w jego twarz, studząc pot na czole. Ogarniało go już zmęczenie – co rusz potykał się o wystające spod śniegu kamienie, coraz częściej zatrzymywał się, by nabrać tchu.

Oślepiiony łzami nie widział, że niebo zaszło stalowymi chmurami, na tle których nagle zaślniła błyskawica. Nie zauważył też, że świat wokół niego się uspokoił. Fale skróciły bieg, wiatr złagodniał, zamilkły mewy. Zmęczenie plątało mu już kroki – nie dostrzegł kolejnego kamienia i padł z wściekłym przekleństwem na zmarznięty śnieg.

Przez chwilę leżał, ciężko oddychając, a gdy uniósł głowę, zauważył, że powietrze wokół niego przesycone jest niecodziennym światłem. Wydało mu się, że to zimowe słońce próbuje przebić się przez chmury, lecz blask był zbyt silny. Pokręcił głową

z niedowierzaniem i splunął. Już miał wstać i puścić się dalej biegiem, gdy naraz zamarł zaskoczony. W jego kierunku szła z gracją wysoka, rudowłosa niewiasta.

Harald wyszeptał ciche przekleństwo.

Jej długie loki unosiły się lekko na wietrze, a blask zimowego słońca spływał po kolczudze. Delikatna twarz sprawiała wrażenie wykutej z bryły lodu – nieznajoma miała ostro zarysowany podbródek, wystające nieco kości policzkowe, mocno zaciśnięte usta i ogromne, błękitne oczy. Harald zapomniał o tym, że dalej tkwi na czworakach w śniegu. Oszołomiony rejestrował kolejne szczegóły – stożkowy hełm z nosalem, smukłe dłonie w rękawicach z czerwonej skóry i zawieszony u pasa miecz cudownej roboty, z jelcem wygiętym ku głowni na podobieństwo turzych rogów.

– Alf... – Harald oniemiał.

Białe piórka, z których utkany był płaszcz nieznajomej wojowniczkii, zaszumiały mocniej, kiedy dłoń w rękawicy odrzuciła jego poły do tyłu. Przez lodową twarz nieznajomej przebiegł cień uśmiechu, a błękitne oczy zapłonęły intensywniej.

– *Ég er ekki frá Alfheim*⁴⁹, Haraldzie Ingvarsonie. – Jej głos był cichy, ale wyraźny, pełen nieznanego dostojeństwa.

– Znacie... moje imię, pani...

– Nie tylko twe imię, Haraldzie, ale również twoje przeznaczenie. Tamci Swijowie wiozą ci śmierć.

– Śmierć?

– W jednym z kołczanów spoczywa grot dla ciebie.

– Jakże to, jasna pani? – W głosie Haraldza zadrgało niedowierzanie, zabarwione lekką kpina. – Skąd wy znacie...

– Taka moja dola. Po to mnie tu zesłano, Haraldzie synu Ingvara.

– Zesłano, pani? Kto was zesłał?

– Ten, którego zawsze cieszy błysk dobytej stali! – Głos nieznajomej niespodziewanie spotężniał. – Ten, który nagradza męstwo i dobrą sławę, a gardzi tchórzostwem! Jestem walkirią, Haraldzie synu Ingvara!

Haraldowi zabrakło tchu w płucach. To, co wziął za płaszcz z piór, okazało się skrzydłami, które uniosły się lekko i opadły z szelestem. Surowa twarz wojowniczkii ani drgnęła, jedynie palce lewej dłoni oplotły rękojeść miecza. Oniemiały Harald chciał paść w pokłonie, ale nagle poczuł żal.

– Zaszczyt to wielki – powiedział cicho. – Lecz mówią, że walkirie tylko po poległych przychodzą. Zatem mój czas już się skończył.

– Nie. – W lodowym głosie walkirii pojawiło się trochę ciepła. – Nie zrobiłeś jeszcze tego, co ci pisane.

– *Ég skil ekki...* – Harald sam się zdziwił brakiem radości w głosie. – Ponoć odnosicie poległych wojów do Valhalli!

– Tak było dotychczas. – Oczy walkirii przygasły nieco. – Odyn wszakże inne zadanie mi przydzielił, Haraldzie synu Ingvara. W niebie również trwa wojna.

– Wojna?

– Blask Boga na Krzyżu z wolna otacza Asgard! – Walkiria zacisnęła dłonie na mieczu.

– Hugin i Munin ostatnie wieści do Asgardu przynoszą, a w Valhalli nie ma już uczt. Wojowie ćwiczą do bitwy ostatniej, a Asowie na tingu pod Yggdrasilem bezsilni załamują ręce!

– Rangarok! – Harald znów przypomniał sobie słowa Randiego. – Dzień ostatniej bitwy!

– Podczas Ragnaroku bogowie przeciw olbrzymom i potworom Ciemności stanąć mają, nie przeciw rycerzom światła, Haraldzie synu Ingvara! – Słowa łabędzioskrzydłej wysłanniczki cięży lodem. – Nie to jest nam przeznaczone! Nam pisany jest Ragnarok i tylko Ragnarok może zakończyć nasz świat! Nic nie może zakłócić porządku całości! Nic!

– Co tedy zrobić? – szeptał ze zgrozą Harald.

– Odyn, król asgardzki, wołę dzisiaj bogom oznajmił. – Walkiria znów mówiła dobitnie, z powagą. – Długo naradzał się z Nornami, które wreszcie uchyliły rąbka tajemnicy. Rangarok nigdy nie nadejdzie, jeśli Bóg na Krzyżu wcześniej Asgard w pył obróci! Nie dopełni się przeznaczenie! Trza więc odegnąć armię Boga na Krzyżu, by przeznaczenie się wypełniło!

– Dlaczego... – wyjąkał Harald. – Nie pojmuję!

– Kobierzec Norn zawiera losy całego świata i każdej z istot. Co się stanie, Haraldzie synu Ingvara, gdy ktoś wypruje w kobiercu dziurę?

– Na zmarnowanie pójdzie.

– Co się stanie z dzielnym drakkarem, w którym wręg zabraknie?

– Takż zatonie...

– A co się stanie z przeznaczeniem, które ktoś zniszczy?

„*Nie kończą Norny kobierca*” – powtórzył w myślach Harald słowa przepowiedni.

– Zginiemy wszyscy?

– *Ég veit ekki*. Tego nie wie nikt. Nikt. Może przyjdzie nicość, może nie wydarzy się nic. My jednak będziemy walczyć o nasz świat i staniemy do Ragnaroku, jak mówią prorocstwa! – Głos walkirii potężniał. – Staniemy naprzeciwko olbrzymom! Chcemy zginać, wypełniając nasz los, lecz wcześniej obce moce musimy przegnać! Przepowiedziane jest, że dzięki tobie tak się stanie.

– Dzięki mnie? – Zszokowany Harald pokręcił głową. – Tedy musiały Norny coś przeinaczyć.

– Czytałeś przepowiednię w Stenskógurinn! – krzyknęła walkiria. – Wiesz, że nie zawsze wielcy los świata kształtują, Haraldzie synu Ingvara! Odyn napił się ze źródła mądrości olbrzyma Mimira i ujrzał, że hufce Boga na Krzyżu opuszczą nas, kiedy jego słudzy poniosą klęskę na ziemi! Patrz tu! Miecz ten widzisz?

– Juści! – wybełkotał Harald, w otępieniu patrząc na oręż.

– Karły go wykuły, a wielka moc w nim siedzi. Kiedy świat był jeszcze młody, on już wrogów naciął bez liku, a w twoich rękach natnie ich jeszcze więcej. Nad tą klingą jednakże wisi klątwa, Haraldzie synu Ingvara. – Wzrok walkirii stężał. – Karły, które go wykuły, przepowiedziały, że jego stal usiecze czterech szczególnych ludzi. W sercu jednego mieszka żmija, w sercu drugiego gołąb, w sercu trzeciego odyniec, a w sercu czwartego wilk.

- Znam ja ich?
- Złe pytania zadajesz.
- Nie wiem, co mam czynić, pani...

– Bądź posłuszny przepowiedni ze Stenskógurinn i woli Odyna do końca swych dni. –

Walkiria uśmiechnęła się. Jej dłonie ześlizgnęły się z jelca miecza i naraz Harald ujrzał swoją rękę, drżącą i brudną, jak zaciska się na rękojeści cudnej borni. – Niewidzialna dłoń przeznaczenia sama pchnie cię we właściwym kierunku.

– Ale, pani... – Harald się zawahał. – Chyba nie pojmuję... Mamy pokonać sługusów Boga na Krzyżu tylko po to, by bogowie mogli stoczyć ostatnią bitwę? By w spokoju umrzeć mogli?

– Tak. W tym świecie piękna śmierć i sława na wieki to najwspanialsza nagroda. Asgardowi i Valhalli pisane płomienie, Thorowi, Odynowi, Tyrowi, Frigg i innym pisana śmierć, ale czy zapomnienie? Czy zginą stare opowieści? Czy umilknie śpiew wichru między drzewami? Umrą wyniosłe góry i bory nieprzebrane? Odejdą w zapomnienie karły, Alfy, trolle?

– Nie, pani...

– Wszystkim nam los jakiś pisany, a zawsze kończy go śmierć.

– Tedy Ragnarok już rychło.

– Tak napisane stoi.

– Nie wiem, czy podołam, pani.

– Nie sam w bój idziesz.

Harald klęczał na piachu ze zwieszoną głową, lecz naraz przemógł się i spojrzał walkirii prosto w oczy.

– A... a... pani... Czy ja również...

– Tak – obiecała mu walkiria, wiedząc, o co pyta.

– Twardy chłop... Będzie żył! – Konrad podniósł się z westchnieniem i zakrył rannego wojownika aż po szyję, a potem usiadł nad zydlu i oparł się plecami o ścianę.

– Napracowaliście się – powiedział Rodon, wzdychając z ulgą. – Wielu rannych opatrzyliście. Jak was wynagrodzić?

– Nie ma takiej nagrody, Rodonie – odparł cicho mnich – z której rad bym był. Nic dla mnie złoto i klejnoty. To dla mnie skarbem.

Drżący palec odgarnął zlepiony kosmyk z czoła rannego.

– Ludzie. – Rodon pokiwał głową.

– Każdy z nich może nosić Ducha Świętego w sercu – zadumał się mnich. – Obojętne, Swij, Albiończyk czy Nordweg.

– Dłategoście też tamtych leczyli?

– Każdy zasługuje na to, by żyć.

– A kiedy najeżdżają, palą.

– Źle czynią.

– Tedy ubić ich trza!

– Dać szansę im trza, by odkupili grzechy. By zrozumieli, że źle czynią.

– Mizerniście ciałem, ale duchem wielcy. – Rodon się uśmiechnął. – Wiele zem świata widział i wiem co nieco o naukach Boga na Krzyżu. Gdyby cała Północ je przyjęła, dobre by czasy przyszły. Jeno – w głosie Rodona pojawiło się lekkie szyderstwo – musiałby stać się cud. Musiałaby cała Północ w Boga na Krzyżu jednego dnia uwierzyć. Inaczej niedowiarkowie szybko wycięliby tych nagle olśnionych.

Konrad spuścił nieco wzrok.

– Można inaczej! – burknął siedzący w kącie Vidar Gustavson. – Można dać Nordwegom silnego króla, który pogodzi właśnie i Słowa Bożego nauczy mieczem.

– Ha, słusznie prawicie! – Rodon wyszczerzył zęby. – Młody Halvdanson wie, co robi! Zna się na rzeczy, młodzian!

– Nie to powiedziałem – parsknął Gustavson. – Potrzeba nam takiego króla, co opór stłumi, a nie tego, co go wywoła. Króla, a nie okrutnika czy szaleńca!

Arnul drgnął, zaskoczony wybuchem Islandczyka. Skald zamilkł, pogrążony we własnych myślach.

– Może jest i trzeci sposób – rzekł Konrad z błyszczącymi oczami. – Miej wiarę, Vidarze. Rodonie, zatrzymajcie swijskich jeńców, ale obdarzcie ich wolnością i częścią łupów obdarujcie.

– A czemuż to? – Rodon zmarszczył brwi. – Bo tak święta księga każe?

– Nie. Wszyscy mówią, że ich okręt był częścią większej wyprawy. Jeśli to prawda, każda para rąk się przyda. My o świcie ruszymy lądem do Nidaros.

– Wypada też króla ostrzec – mruknął Rodon. – Pchnę umyślnych do Thorfinna Kallesona w Bjorgvin i do króla w Nidaros. Niech ostrzegają po grodach i siołach, że Swije się zbliżają.

Arnul, który siedział na uboczu i przysłuchiwał się rozmowie, nagle otworzył szeroko oczy. Do głowy przyszedł mu jeden z wersów przepowiedni.

– *Nocny błysk topora obcego* – wyszeptał bezwiednie. Nagle, ku zaskoczeniu wszystkich, rymnął na ziemię i objął kolana Konrada.

– Wielmożny panie! – zawołał. – Pozwólcie mnie i moim druhom jechać z wami!

– Wreszcie jesteś – głos ojca Flawiusza był znużony. – Wiele dni ci to zajęło.

Stary duchowny stał przy oknie, plecami do płonącego wesoła ognia. Nie patrzył na przybysza, który ściągnął hełm i położył go na ławę. Był to wysoki, barczysty mąż z rudą brodą, noszący u pasa potężny miecz z piękną, bogato zdobioną rękojeścią.

– Czemuście się tedy sami za to nie wzięli? – burknął. – Karły to nie szaraki! Nie sposób ci je z każdego zagajnika wyganiać i sakiem łowić!

– Bacz na swe słowa, Finnie synu Ottara! – ostrzegł go duchowny. – Pycha to grzech! Coś ułowił?

– Karlicę.

– Zna magię?

– Nie i całe szczęście – burknął Finn Ottarson. – Diablica to istna. Trzy razy uciec próbowała, a jednej nocy własnym nożem w gardło chciała mnie poczęstować! Pogryzła mnie, podrapała, w worku ją jak kota wiozłem! – wykrzyknął.

– Diablica, a jakże! – zadumał się Flawiusz. – Stokrotnie Bóg wam zapłaci!

– A wy? – Ottarson patrzył z niechęcią na duchownego. – Kiedy wy mi zapłacicie?

– W waszej komnacie leży worek ze srebrem – odparł Flawiusz chłodno i zerknął na pyszny miecz u boku Ottarsona. – Choć widzę, że zdołaliście się już wzbogacić. Król też ma dla was zapłatę za wierną służbę. W tej chwili kraj objeżdża i dogląda, czy Świętej Trójcy te dzikusy nie znieważają, ale przed wyjazdem mianował was wojewodą grodu!

– A to dopiero! – Zdumienie wojownika nie miało granic.

– Król wie, jak nagradzać drużbę i posłuszeństwo. Co z oną karlicą?

– Do lochu wrzucona.

– Imię jakieś ma?

– Zda się, że ma. Daria się zowie.

Rozdział 18

Eryk Halvdanson ugryzł kromkę chleba i popił winem. Jego wzrok, pozornie pełen zadumy, przesuwiał się po ścianach chaty, aż zatrzymał się na Halu.

– Dlaczego nic nie mówisz, Hal? – spytał.

– Spokoju wam nie chcę zakłócać, *herra minn*. – Gospodarz pochylił głowę.

– Radować się powinieneś! – Król ugryzł kawał koziego sera. – Jutro moi woje zbiją wam wielki krzyż i dalej pojedziem Słowo Boże nieść! Nowe, lepsze dni dla was nastąpiły!

– Juści, skoro tak prawicie, panie... – mamrotał chłop.

– Jutro nas opatrzysz i drogę do Skogheimr wskażesz. – Król z łoskotem odstawił kubek. – Gdzież oni są? – parsknął wściekle. – Ile czasu zabiera droga do Siwego Boru?

– Do samego Boru niewiele, panie, jeno Blade Jezioro znaleźć nie tak łatwo – odparł chłop, spuszczaając nisko głowę.

– Wielce groźny ten nix?

– My nie wiemy, *herra minn*... My przecie go w spokoju ostawiali. To podstępne, nieużyte bydło i wojować z nim nie lza, bo utopi – tłumaczył Hal. – Zimą jeno ociężały się robi i wolniejszy...

– I dopaść go można?

– Nikt nie próbował. Czasem widać, jak pływa to tu, to tam. Na brzeg nie wyłazi, zimno mu i...

Na zewnątrz rozległ się głuchy tętent i prychanie zmęczonych koni. Ktoś zeskoczył z siodła, brzęknęła uprząż, ktoś coś zawołał, a potem gwałtownie otwarte drzwi uderzyły o ścianę. Do środka wszedł niski, krzywonogi i barczysty człowiek z rzadkimi, rozwianymi włosami.

– *Hvað*, Eskil? – warknął Eryk. – Ubiliście potworę?

– Nie dalim rady, *herra minn*. – Stary wojownik przyklęknął na jedno kolano i spuścił głowę. – Równie łącno wiatr w polu pochwycić. Dwakroć widzielim, jak pod lodem płynie, ale ani z łuku, ani toporem...

– A przerębel wybić? – parsknął król. – Hałas narobić? Wypłoszyć? Zwabić i kolnąć, kiej podpłynie!

– Wybaczcie, miłościwy panie, ale to nie ryba. – Eskil pochylił głowę jeszcze niżej. – To nix, rozumne, złośliwe bydło. To jezioro jest jego krainą. Strasznie tam, panie...

– I co z tego? – Oczy króla zwężyły się w szparki. – Żyć takiemu pozwolić i imieniu boskiemu zaprzeczać? Mogę ścinać święte dęby i jesiony, ale póki takie poczwary po lasach chadzają, na nic me wysiłki! Ludzie niby się ochrzczą, ale leśnym paskudztwom nadal ofiary składać będą!

– Jam człek boju zwyczajny, *herra minn*. – Eskil podniósł nieco głowę. – Na miano tchórza nigdy jeszcze nie zasłużył, ale jako stary wojak powiadam wam, poniechajcie gadziny!

– Zawiodłeś mnie, Eskil – rzekł cicho król. – Trwasz przy mnie od chwili, gdy na ląd

w fiordzie Nidaros zeszedł, a teraz zwyczajnie mnie zawiodłeś!

– Wasza miłość...

– Dość już powiedziałeś. Nie pozwolę, żeby druhowie sprawiali mi zawód. Zostaniesz tu z trójką wojów i nie wyjedziecie stąd bez głowy poczwary u pasa! Wodę święconą wam dam, jej się bydlę nie oprze. A teraz inną rzecz mam do ciebie. Który to kmieć najwięcej na ścięcie ichniego dęba wygadywał?

– Ivar Szczerba nań wołają, podle strumyka mieszka...

– Ochędóż się, zjedz co, a potem weź trzech ludzi i przyprowadź psiego chwosta do chaty Hala.

Eskil wyszedł i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Eryk nie miał już ochoty na dokończenie wieczerzy – zawsze tracił apetyt, gdy coś szło nie po jego myśli. Nie chciał też siedzieć w chacie, bo zamknięte pomieszczenia sprawiały, że szybciej wybuchał gniewem. Narzucił płaszcz i wyszedł na zewnątrz, po czym odruchowo skierował się na wzgórze, gdzie jeszcze wczoraj wznosił się święty dąb.

Oddychał szybko, z narastającym gniewem. Miał ochotę chwycić siekierę i rąbać zwalony pień, aż do utraty sił! Nienawidził go. Nienawidził wszystkich, którzy składali pod nim ofiary. Nienawidził wszystkich tych, którzy ośmielali się stawać mu na drodze.

Przez jego myśli przesuwaly się nienawistne obrazy. Nix, nieosiągalny, chytry nix, jeden z tysięcy nixów w krainach Północy. Berserk wycinający połowę jego orszaku. Buntownicy w Bjorgvin, nękający oddziały Kallesona. Przerażone ludzkie bydlę na Oratingu, przed którym musiał klękać dla zachowania tradycji. Biskup Hieronim, konający, bezsilny, majaczący! I chuda Gudrun, którą pyszałek Trygve postanowił mu do łoża wepchnąć!

Aż drżał, gdy siadał na pniu zwalonego dębu.

Gdy wrócił po godzinie, przemarznięty i zawzięty, ludzie Eskila przywlekli szamoczącego się, krzyżącego Ivara Szczerbę. Król kazał wepchnąć go do izby, a wtedy otworzył skrzynię i wyciągnął lejek, który sam Eskil wsunął buntownikowi między zęby. Eryk Halvdanson podszedł zaś wolno do niego z syczącą, mocno trzymaną w garści żmiją.

– Gdybyś był inaczej dziś gadał, miałbyś jeszcze szansę, by wielbić Pana wraz z innymi... – szeptał z wyrachowaniem, pomagając żmii wślizgnąć się w otwór lejka.

Siedzący z przodu siodła Arnul znowu zaczął się wiercić. Harald bez słowa chwycił wodze w jedną garść i trzepnął karła w głowę.

– Au! – stęknął tamten. – Nie... niewygodnie mi!

– Zaraz pieszo pójdziesz! – warknął Harald przez zaciśnięte zęby. – To mój koń!

– Od Rodona dostałeś, więc nie twój! – mruknął karzeł, ale znieruchomiał. – Za... zadek już mnie boli.

Harald nic nie odpowiedział, znów zajęty ponurymi rozmyślaniami.

„Że też się na to zgodziłem... – warknął w myślach. – Dureń ze mnie! Dureń!”.

Padający śnieg oblepiał drzewa i topniał na końskich grzbietach. Harald odwrócił się i ujrzał Konrada z nagą głową, sztywnego Vidara, skulonego Psie Ucho i kilku ludzi z załogi knorra. Potem zamknął oko, nie chcąc, by ktoś wyczytał, co myśli o towarzystwie.

„Co temu przekłętemu karłowi strzeliło do głowy...”.

Arnul zmieniał się niczym niesiona wichrem chmura. Wystraszony, zapłakany dzieciak z lochów twierdzy Nidaros najpierw przerodził się w wytrwałego, obojętnego robotnika. Po ich wspólnej ucieczce karzeł zaczął Haralda skrycie podziwiać, a sam woj również się do małego towarzysza przekonywał. Teraz okazało się, że Arnul zaczynał podejmować decyzje ważne dla nich wszystkich. To przecież za jego sprawą wędrowali teraz do Nidaros.

O świcie postanowił mu to wszystko wybić z głowy:

– Posłuchaj! – powiedział cicho, nie chcąc nikogo obudzić. Arnul mrugał skośnymi oczami. – Jestem banitą. Nie dość, że pozostałem wierny starym bogom, to jeszcze uciekłem z niewoli i targnąłem się na życie króla. Nie pojedę z tobą do Nidaros, a już na pewno nie z tym Islandczykiem i jego golonym łbem.

– Przecież ra... zem walczyliśmy...

– I co z tego? Golony łeb nastaje na moich bogów, a Islandczyk... – Harald skrzywił się i potarł oczodół. – Niech się do mnie odezwie, a rozszarpie go na kawałki. Nie, Arnul. Tu się rozstaniemy. Zostanę u Rodona i...

– Jasne. – Karzeł patrzył na niego wyzywająco. – Przeczekasz. Zaszyczesz się. Schowasz, boś się poobrażał na cały świat. A przepowiednię pamiętasz?

Tym jednym zdaniem Arnul wywołał burzę w sercu wojownika. Tak, pamiętał zarówno przepowiednię jak i słowa walkirii. Nie rozumiał ani jednego, ani drugiego, ale coś w głębi duszy mu mówiło, że jeśli zostanie w Blaakysten, nie wypełni swego przeznaczenia.

– W trzeciej strofie stoi prze... przecież, że spokój ma być, ale krótki jeno, bo potem przyjdą topory w nocy. To na pewno chodzi o Swijów – szeptał Arnul.

– Ale nigdzie nie jest napisane, że muszę ze skaldem do Nidaros jechać – bronił się Harald.

– W innym wersie stoi, że jednooki hańbę swą zmaże! Jak chcesz ją zma... zać tu na odludziu?

Nawet i bez tych słów Harald wiedział, że karzeł ma rację. Wiedział, że nie wolno mu się teraz chować. Musiał podjąć wyzwanie.

Po raz setny dotknął magicznego miecza i westchnął. Musiał ruszyć do jaskini lwa w asyście największych wrogów.

Na szczęście mógł całą winę zrzucić na Arnula.

Jechali w milczeniu. Nawet gadatliwy zazwyczaj karzeł nie próbował zagajać rozmowy, a coraz gęstszy śnieg wyciszał wszelkie inne odgłosy. Zrobiło się tak biało, że prowadzący ich Vidar długo stał na leśnym rozstaju, nim wybrał kierunek podróży.

– Czy jutro dotrzemy już do Nidaros? – spytał niespodziewanie Konrad.

– Wątpliwe – padła odpowiedź. – Jeśli pogoda się nie poprawi, to w trzy dni dojedziemy. O ile, rzecz jasna, drogę dobrze w tej ćmie wybrałem.

Arnul poprawił się w siodle, uderzając niechcący piętą w kolano wojownika.

– W śnieg cię strącę! – warknął Harald.

– Daj spokój! – Arnul wychylił się z siodła, patrząc za plecy wikinga.

– *Hvað?* – spytał Harald. – Chcesz za potrzebą?

– Nie... – wymamrotał Arnul. – Jeno jakoś mi dziwnie... Tak jak wtedy... Kiedyśmy przez puszcę szli i kró... królewscy wypadli...

Harald poczuł ciarki. Powoli zawrócił konia i zmrużywszy oczy, przeczesał wzrokiem przebyty właśnie odcinek drogi.

– Nic nie widać, nic nie słychać! – Spojrzał z góry na karła.

– Jesteś pewien, w takim śniegu? – Zielone oczy Arnula błyszczały niesamowicie.

Harald przesunął dłonią po bogatej rękojeści miecza i natychmiast poczuł spokój.

– Boję się tych twoich przeczuć, ale czasem cholernie się przydają – mruknął.

– Musimy ostrzec resztę.

Harald spiął podwójnie obciążonego konia i wnet doścignęli niknący już w śnieżycy orszak. Konrad rozmawiał cicho z Vidarem.

– Ktoś idzie za nami! – sapnął przejęty karzeł.

– Widziałeś coś, karle? – Konrad zmarszczył brwi.

– Nie, jeno mi tak... – zaczął Arnul, ale Harald przerwał mu ostro:

– Nie ma co strzepić języka! To karzeł, na młot Thora, i magia mu służy. Kiedy mówi, że ktoś nas ściga, tedy tak właśnie jest!

– Nieraz już przecucia Arnula z kłopotów nas wybawiły! – Zaniepokojony Psie Ucho zbliżył się do towarzyszy.

– Jakąś milę stąd stoi opuszczona karczma. – Vidar stanął w strzemionach i obejrzał się za siebie. – Weźcie, ojczy, moich ludzi. Schrońcie się tam.

– A wy, Vidarze?

– Sprawdź, co to takiego... – mruknął Vidar.

– Baczcie na siebie! – zawołał Konrad, niknąc w śnieżycy wraz z kilkoma towarzyszami oraz Psim Uchem.

– Oj, tak – szepnął Harald. – Baczcie na siebie, Vidarze.

Stali przez moment samotnie, otoczeni niezwykłą, kojącą ciszą. Skald oszczędnym ruchem wyjął miecz z pochwy i rozglądał się bacznie.

– Wiesz, kto to być może? – spytał, nie patrząc na towarzyszy.

– Raczej „co”, a nie „kto”. Mam złe przecucia.

Koń skalda naraz zarżał cicho i uderzył kopytem w śnieg, a podwójnie obciążony rumak Harald'a wystraszony poderwał łeb.

– Zejdźmy z koni – zaproponował cicho skald. – Zwierzęta boją się trolli i innych takich.

Harald wymamrotał kilka przekleństw pod adresem Vidara, ale w ślad za nim zeskoczył z siodła i dobył miecza. Skupiony, wystraszony Arnul również ześlizgnął się w śnieg i złapał za toporek. Płatki wirowały gęsto, tłumiąc światło i dźwięki.

Naraz gdzieś w głębi lasu zakołysał się krzak. Coś zawarczało. Harald przerzucił miecz do lewej ręki i kułakiem potarł oczodół, który nagle zaczął pulsować tęnym bólem.

W ostatniej sekundzie dostrzegł nurkujący nań szary cień. Rzucił się odruchowo

w bok, przetoczył po śniegu i zerwał sprężyste na równe nogi, lecz jego przeciwnik był szybszy. Znow zaatakował błyskawicznie, zmuszając Duna do gwałtownego uskoku.

– Pomiot Fenrisa... – wydyszał woj. – *Ulfarnir!* Arnul, wilki!

Wilk zaatakował po raz kolejny, ale tym razem Harald był gotów. Ciął raz a celnie i znow odskoczył. U jego stóp leżał wilczy zewłok z niemal przerąbanym karkiem, a po zimnej stali miecza spływała krew.

Jak szalony rzucił się ku koniom. W biegu ciął drugiego drapieżnika, inny szarpnął pazurami jego kożuch, gdzieś wyły pozostałe. Konie rżały i wierzgały przerażone, Islandczyk krzyczał. Arnul zrobił krok naprzód, rzucił toporkiem i zatrzymał kolejnego ze skaczących drapieżców.

– Kryj mnie, Arnul! – Harald przypadł do konia i gorączkowo rozrywał juki. Chwycił w zęby pochodnię i trzęsącymi się dłońmi próbował skrzesać ogień. Vidar dopadł swego konia i próbował wyswobodzić łuk. Z zadrapań na twarzy spływała krew.

Wilki zaatakowały w chwili, kiedy pierwszy płomyk liznął hubkę. Vidar błyskawicznie poderwał napięty łuk i posłał strzałę prosto w gardło olbrzymiego, siwego basiora. Arnul znow cisnął toporkiem, ale nie trafił i porwał za uprzednio przygotowaną włócznię.

– Ha! – ryknął Harald, skacząc ku wilkom z płonąca pochodnią. – Ogień Surta w wasze pyski, Fenrisowe bękarty!

Jeden z atakujących Arnula odskoczył, skowycząc, trafiony pochodnią między oczy, a sekundę później jego cielsko wyprężyło się, przybite mieczem walkirii.

– Tutaj z tą pochodnią! – krzyczał Vidar.

– Odpędź je blaskiem swej wiary! – warknął Harald i zaatakował drugiego z przeciwników karła.

Atak skończył się równie szybko, jak się zaczął. Niebawem stali całą trójką przy wciąż niespokojnych koniach i tępo spoglądali w ślad za dwoma ostatnimi umykającymi wilkami. Las na nowo był cichy, a płatki śniegu z wolna wtapiały się w parujące kałuże posoki. Vidar ocierał twarz z krwi i splotował siarczyście, karzeł drżał, a Harald patrzył z lekką drwiną na skalda.



– Dzielnieś stawał – rzekł w końcu niechętnie. – Po chrześcijańsku oba policzki nadstawiłeś, jak się patrzy.

– Nie była to zwykła wataha – odezwał się Vidar, udając, że nie słyszy drwiny. – Wilcy z rzadka na zbrojnych się rzucają. Pod Bjorgvin wilki kapłanom Odyna służyły. Może i te u boku buntowników walczą i za podjazd Kallesona nas wzięły?

– Dość mam tego miejsca. – Harald się wzdrygnął. – Jedziemy, Arnul.

– Harald.

Harald znieruchomiał z jedną stopą w strzemieniu. Powoli odwrócił się i spojrzał na skalda z wysoko uniesionymi brwiami.

– Cóż znowu?

– Po jednej stronie walczymy. – Oczy Vidara płonęły. – Miłowałem Halvdansona, przyznaję, lecz dawno to było. Wiem teraz, że to zły człowiek. Znam już zło w jego duszy. Odrzućże urazę do mnie. Do zgody żem gotów.

Z tymi słowami wyciągnął dłoń, ale Harald zaśmiał się krótko i wskoczył na grzbiet koński. Stamtąd popatrzył już lodowato na Vidara.

– Myślisz, że przysięga starego woja to garść prochu? – spytał. – Głupiś, Islandczyku. Po co o zgodę zabiegasz? Przecież idzie nowe, a ja zawsze będę należał do tego, co stare. Obiecałem ci śmierć i słowa dotrzymam. Wsiadaj, Arnul. A ciebie... – spojrzał na swój miecz – od dzisiaj zwać cię będę *Úlfabanninn*, Zabójca Wilków.

Harald chwycił karła pod pachy i usadowił w siodle za sobą, ale ten zdążył jeszcze dojrzeć twarz cofającego dłoń Vidara. Malował się na niej wyraz bezgranicznego żalu.

Sen nie przychodził. Vidar wbijał rozpalony wzrok w ciemność, a jego ciało gorzało czymś mu nieznanym. Ciskał się niespokojnie, nie mogąc znaleźć sobie wygodnej pozycji. Rana na policzku paliła żywym ogniem, choć Konrad oczyścił ją i wprawnie obwiązał. Czoło zrosił pot.

Irytowały go oddechy śpiących i postukiwania wartujących. Nie mógł skupić się na żadnej z myśli przemykających przez umysł. Widział grymas na twarzy Harald, odtrącającego jego dłoń. Szyderczy uśmiech Eryka Halvdansona. Płonące Bjorgvin i naszpikowane strzałami ciała jeńców. Konający wilk z tak ludzkim spojrzeniem...

Nie! Skald zacisnął oczy, chcąc odegnać wizerunek. Wilki, wszędzie wilki! Krew, płonąca pochodnia, miecze, rana... Twarz piekła. Vidar ciskał się, oddychał szybko, chrapliwie. Coś go dusiło, tłamsiło, myśli biegały jak szalone. Naraz poderwał się i zataczając, ruszył ku wyjściu.

– Idę do studni – wycharczał w stronę strażnika.

Ten skinął głową i się odwrócił.

Przestało śnieżyć. Vidar włókł się przez sięgający do kolan biały puch. Drzewa szeptały o czymś tajemniczo, pchane nocnym wiatrem. Czuł na sobie spojrzenie księżycy.

Padł na kolana przed samą studnią. Coś w nim narastało, coś dzikiego, nieposkromionego. Vidar obnażył zęby, nagle dłuższe i ostrzejsze. Schylił głowę i na nowo ją poderwał, śmignęła czarna grzywa. W jego gardle pęczniało krwiożercze wycie...

Siwy, umierający wilk w jego wspomnieniach śmiał się z zadowoleniem.

Rozdział 19

Wojewoda Thorfinn Kalleson siedział przy ognisku, w zadumie spoglądając w płomienie.

– Cholerne rozkazy – mruzczał, dorzucając do ognia.

Wszystko wydawało się proste. Miał wzmocnić załogę grodu w Bjorgvin i pilnować porządku w okolicy, co w praktyce oznaczało przeczesywanie wsi i sprawdzanie pogłosek o bandach buntowników. W tym zaś najlepiej pomagały tortury i przykładowe egzekucje.

– Nic prostszego, psia mać.

Woje z jego drużyny stawiali namioty lub kulili się przy ogniskach, jedząc bez apetytu. Nikt nie rozmawiał, nikt się nie śmiał ani nie śpiewał. Wojownicy podejrzliwie zerkali na las. Jedyne warty głośno się okrzykiwały, jakby strażnicy chcieli dodać sobie odwagi. Wojewoda po raz kolejny odniósł wrażenie, że dowodzi setką szarych, przestraszonych zjaw.

Thorfinn był najemnikiem renegatem, który przez całe życie kierował się tylko jedną zasadą – lojalność równa jest wypłacalności. Surowo jej przestrzegając, nauczył się absolutnej obojętności na sprawy wyższe. Biały Jastrząb płacił hojnie, a więc Thorfinn z umiarkowanym zapałem udawał wiernego chrześcijanina, choć w skrytości ducha walkę o panowanie tego czy innego boga uważał za wierutną bzdurę. Rozumiał walkę o sławę, łupy czy dobre imię, lecz przelewanie krwi w imię bogów?

„Czy bogowie, z całą ich mocą i wszechwładzą, sami nie zatroszczą się o własne sprawy lepiej niżli my?” – pytał z przekąsem sam siebie i śmiał się w głębi duszy.

Dopiero tu, przy wątlym ognisku w sercu puszczy, naszła go myśl, że niewykluczone, iż wybór między Asgardem a Bogiem na Krzyżu może mieć znaczenie.

Rozbite, popalone umocnienia Bjorgvin przywitały jego drużynę martwą ciszą. W grodzie pozostała jedynie garstka mieszkańców. Gospody były zamknięte, samotny kowal uderzał bez energii w kowadło, a blade kobiety odwiedzały nieliczne stragany. W pokonanym mieście rządziła cisza, ale podejrzliwy wojownik wyczuł coś jeszcze – wrogość. Co prawda nie obrzucono ich nawet przekleństwami, a w otwartej pośpiesznie gospodzie obsłużono ich bez zarzutu, ale Thorfinn nie był głupcem. Widział zaciskane mocno usta i padające spode łba spojrzenia, słyszał nagle cichnące rozmowy. Nawet dzieci bawiły się na ulicach ciszej, z jakąś zawziętością. Nikt nie chciał z nimi rozmawiać, nikt nie dał się zjednać królewskim srebrem. Młody Svein syn Trygvego radził, by wziąć kogoś na tortury, ale Thorfinn się wahał.

Wahał się nieco zbyt długo. Pod koniec pierwszego tygodnia uświadomił sobie, że w Bjorgvin pozostało bardzo niewiele mężczyzn w sile wieku, a wozy z zaopatrzeniem i posiłkami spóźniają się już trzeci dzień.

Wyjeżdżali z miasta nocą, lecz płonąca gospoda oświetlała im drogę.

Patrzył w płomienie i kręcił głową z niedowierzaniem, bo wiedział, że wpadli w sidła.

Oddziały buntowników strzegły każdego traktu i brodu. Uzbrojeni byli byle jak, w topory i łuki, lecz jednała ich nienawiść, a za twierdzę służył im każdy wykrot i zagajnik. Wytropienie ich w głuszy graniczyło z cudem, a na domiar złego konie, które Thorfinn dotąd uważał za podstawowy atut w walce, bardziej przeszkadzały, niż pomagały. Nie dość, że potrzebowały spyży i łatwo się płoszyły, to jeszcze stanowiły łatwy cel dla rebeliantów. Przed zapadnięciem zmroku połowa oddziału szła już pieszo. Wojewoda wiedział, do czego buntownicy dążą – obcinają mu skrzydła, by nie wyszedł z lasu.

Wówczas zdecydował o powrocie do Bjorgvin, ale nie mogli odnaleźć właściwego traktu. Wędrowali bez końca wśród okolicznych wzgórz, a przeciwnik nie próżnował. Samotne strzały zwały jeźdźców z siodeł. Na gałęziach wisieli martwi zwiadowcy. Na ścieżkach czekały pułapki.

Jakoś dotrwali do końca drugiego dnia wędrówki.

Thorfinn splunął w płomień. Nie walczyli już z luźnymi kupami buntowników. Teraz cała puszcza stanęła przeciw nim murem. Już dawno nie widzieli saren czy dzików, umilkł śpiew ptaków. Ścieżki wskazywane przez tropicieli nikły w gęstwinie albo prowadziły nad nieznane potoki bądź urwiska

Po lesie naraz poniósł się jękliwy wilczy chór, a Thorfinn przypomniał sobie ucztę na zamku Nidaros, podczas której obcałował królewską dłoń w podzięcie za zaszczyt przywódzenia hirdowi. Uśmiechnął się krzywo.

– Wojewodo! – Podszedł do niego jakiś woj, nie pamiętał jego imienia. – Podjazd Sveina Tryggvasona wraca!

– Tak szybko? – Thorfinn zerknął na niebo i zerwał się na równe nogi. Księżyc akurat wychynał zza postrzępionych chmur. – Może drogę odnalazł?

Niebawem między drzewami ukazali się pierwsi jeźdźcy. Thorfinn przeliczył ich szybko i z ulgą stwierdził, że żadnego nie brakowało. Błady Svein, syn jarla na Hladir, zsunął się z siodła i ruszył w jego stronę szybkim krokiem. Był uśmiechnięty.

– Mamy jakąś drogę! – zawołał. – Askgunn mówi, że to trakt do Bjorgvin!

– Nareszcie! – Thorfinn odetchnął z wyraźną ulgą. Po zaimprovizowanym obozowisku poniosło się radosne pokrzykiwanie. – Nikt was nie niepokoił?

– Żywego ducha!

– Uff... Ruszamy zaraz do Bjorgvin. Szkoda tylko, żeśmy karczmę sobie spalili.

W obozie pojawiły się śmiechy, a ludzie, pomimo późnej pory, z ożywieniem zabrali się za szykowanie do drogi. Ciemne, pazurzaste konary nadal nachylały się nad polaną oświetloną wątlami ogniskami.

Znowu poniosło się jękliwe wycie wilków, teraz bliższe, mocniejsze. Dołączyło do nich echo ryku dzikich trolli, któremu chrapliwie zawtórowały rogi myśliwskie. Drużynnicy Thorfinna zamarli z przerażenia. Konie drżały i parskały ze strachu.

– Cała puszcza na nas wali... – wyjąkał ktoś.

– Trolle, wilki, korostwory, huldry... – stęknął drugi.

– Wąpierz... Krew wysysają!

– Ruszcie się, psiekrwie! – ryknął Thorfinn, wpadając między ludzi z mieczem w dłoni. – Prędzej korzenie wam u kulasów porosną, kiedy tak głądzić będziecie! Nuże!

Ranni na koń, niech przodem gnają, pozostałe konie dla dziesiątek Sveina! Svein, bądź w pobliżu, z flanki uderzysz! Reszta chwycić za łuki! Wycofujemy się, jeno w kupie! Wolno!

– Konia dla wojewody! – wołał Svein Tryggvason z siodła.

– Milcz i sam rozkazów słuchaj! – wrzasnął Kalleson, ustawiając ludzi w dziesiątki i dając już niektórym sygnały do odejścia. – W tylnej straży pójdę! Dalej, hołoto! Pokażem tym parzydupom! I... – Thorfinn się zawahał. – Módlcie się, kto w co tam wierzy!

Dziki wrzask zbliżającego się leśnego hufca gęstniał wolno, ale nieubłaganie.

Vidar Gustavson zmrużył oczy.

Ktoś z jego załogi zaklął.

Masywne wały Nidaros tonęły w dymie i blasku płomieni. Ludzie uciekali z podgrodzia i z krzykiem parli ku rozwartym bramom miasta, dźwigając zebrany w ostatniej chwili dobytek i ciągnąc przerażone bydło. Zostawiali za sobą opustoszałe kuźnie i gospody, porzucone warsztaty szewców i piwowarów, przewrócone kramy i stragany. Podgrodzie pustoszało.

– Czy to... – wyszeptał któryś z żeglarzy.

Konrad z Gwynedd wskazywał mu bez słowa Nidarosfjord. Daleko na szarych wodach, za przystanią, magazynami i szopami na królewskie łodzie, płynęły smocze łodzie. Ich masywne dzioby roztrącały pokruszoną krę, tylko czekać, aż pierwszy dotrze do brzegu.

– Swije dotarli – powiedział Vidar i dotknął wciąż piekących zadrapań na policzku.

– Spora flota – powiedział Harald, z pożądliwą ciekawością patrząc na wolno sunące drakkary. – Ten, kto nią dowodzi, nie boi się zasadzki. Thor mu sprzyja!

– A Bóg pokarze za gwałt na niewinnych – powiedział cicho Konrad i uderzył wodzami koński kark. – Bramy wnet zamkną! *Árás!*

Przedzierali się przez ludzką ciżbę, ogłuszeni wrzaskami i wyzwiskami. Oszołomieni patrzyli na przerażonych mężczyzn uparcie taszczących swoją chudobę i rozwrzeszczane kobiety zaciekle osłaniające dzieci. Strażnicy przy bramie krzykiem i razami próbowali uspokoić tłum, lecz w odpowiedzi leciały na nich klątwy i kamienie. Ktoś w pobliżu wył wniebogłosy, ściskając się za zranione ramię, inny z rozpaczą wołał kobiece imię, reszta wrzasków tonęła w ogólnym tumultcie.

Konrad był wdzięczny, że Vidar torował mu drogę. Młody kapłan z trudem trzymał się w siodle i czuł, że jego spokój zaczyna kruszeć. Nagle misja, z którą udał się do kraju Nordwegów, wydała mu się niemożliwością.

– Ojcie Wszchemogący, czy ty dotrzesz do serc tych ludzi? – szeptał. – Boże Jedyny, wesprzyj mnie...

Przyjmując święcenia kapłańskie, poprzysiągł sobie, że nie będzie Boga niepokoił prośbami czy błaganiami. Chciał być szarym, gorliwym sługą, posłusznie wypełniającym

Jego wolę i bez strachu niosącym Jego imię między pogan. W obliczu rozszalałego tłumu Konrad uświadomił sobie własną pychę. Jakże mógł wierzyć, że zdoła się pomnożyć sławę Boga bez Jego pomocy? Jakże mógł tak głęboko i mocno ufać we własną siłę? – Wesprzyj mnie, Boże, a przebac mi... – modlił się we łzach.

Naraz uświadomił sobie, że dotarli pod bramy, a Vidar wyklóca się z strażą.

– *Hver ert þú?* Kim żeś, przybłędo!

– Z szacunkiem pysk otwieraj, bo cię wypłazuję! Jestem Vidar Gustavson, skald królewski, a oto biskup Konrad z Gwynedd! Do króla Eryka Halvdansona i biskupa Hieronima zmierzamy!

– Wybaczcie, *herra minn*, nie poznał zem! Król w rozjazdach...

– Kto grodem dowodzi?

– Finn, syn Ottara!

– Czemu to tych ludzi puścić nie chcecie?

– Do oręża niezdatni, zapasów nie mają, a jeno zreć by chcieli! Tymczasem na oblężenie się ma!

– Nie nasza to sprawa! – Machnął ręką Vidar. – Nam mus do grodu!

– Zaczekaj – rzekł naraz mocnym głosem Konrad, mrugając oczyma, jakby się przebudził. – Jeśli Boga wielbisz, tedy to i twoja sprawa. Wpuście tych ludzi, dziesiętniku!

Tej nocy wszyscy ludzie w Nidaros wdrapali się na mury i stali, patrząc z rozpaczą na podgrodzie. Domostwa, szopy, warsztaty, kiedyś tętniące życiem i pracą, były teraz zajmowane i płańdrowane przez pokrzykujących hardo napastników. Na ich drapieżne twarze padał blask płomieni z najbliższych budynków, które straż grodowa zdążyła podpalić, by nie stanowiły osłony dla wrogów.

Obrońcy przeklinali, złorzeczyli, ktoś płakał, a obcy wikingowie z butą zajmowali pozycje wokół grodu: przystań przy fiordzie i na rzece, co większe budynki na podgrodziu, a najsilniejszy z oddziałów otoczył leżącą nieopodal katedrę. Wkrótce wokół wałów Nidaros wykwitł pierścień ognisk.

Tylko jeden człowiek w Nidaros zdobył się na śmiech tej nocy. Harald stał na wale naprzeciwko masywnego konturu katedry i patrzył, jak Swije wkraczają do środka, a potem ścinają stojący przed nią krzyż. Przekornie zerknął w niebo, ale nie było śladu piorunów.

– I co, Boże na Krzyżu? – chichotał. – Gdzie Twój majestat, gdzie Twa siła?

– Harald? – spytał z przestraszeniem Arnul.

– Gdyby nie pewne sprawy, których do końca ci nie wyjaśniłem – ogromny Dun zerknął na karła – żałowałbym, że jestem po tej stronie wału.

Finn Ottarson zaciskał miarowo ogromne pięści. Nikt w komnacie nie odważył się przerwać milczenia, jedynym słyszalnym odgłosem była wrzawa dobiegająca od strony swijskiego obozowiska.

– Cztery, może pięć dni – powiedział cicho.

Któraś ze świec zgasła.

– Raczej cztery – poprawił się. – Miasto nie jest gotowe, a ta chmara...

– Jak liczna jest załoga? – spytał cicho ojciec Flawiusz.

– Będzie z setka wojów. – Wojewoda zmarszczył brwi. – Dziesięć dziesiątek wziął

Kalleson do Bjorgvin, drugie tyle król do orszaku, jarl z Hladir wycofał swoich dawno temu, a reszta do chat rozpuszczona. Tamtych około tysiąca będzie...

– Wszyscy w mieście za oręż chwycą! – powiedział ktoś.

– Niech toboły biorą i z Nidaros precz dyrdają! – parsknął Ottarson. – Wtedy to najlepiej miastu pomogą! Zaraz żarcie się skończy i kradzieże się zaczną! Zaraza i głód wezmą nas szybciej od Swijów!

– Jak oni śmieli! – Ojciec Flawiusz kręcił głową. – Przecież Bóg dotarł już wszędzie! Rządzi w każdym kraju i każdy król czy książę mu służy! Jeno wy, uparci głupcy, wciąż odmawiacie uznania Jego potęgi, wy zapluci...

– Uważajcie na słowa, księżo! – huknął Ottarson. – Jam wojewodą w mieście i szacunek mnie należny! Skoro tak wiernie służysz Bogu na Krzyżu, tedy odpraw swe czary, coby nas wszystkich ocalić!

– Bóg jest wielki! – chrypiał Flawiusz. – Ocali nas! A wy... wy wątpicie, wojewodo! Nie macie w sobie wiary dla Jedynego!

– W topór swój wierzę i sprawność wojacką, bo to jedynie przydać się może! – krzyczał z gniewem Ottarson. – Co mi Bóg na Krzyżu, kiedy ta ćma pod wałami! Jak na dłoni widzę, przeklęty klecho, żeście wraz z królem i biskupem ściągnęli na kraj niedolę!

– Błūźnisz!

– Lud żeście wykrwawili, skłócili, do zrad nakłaniali! Wiarę żeście odebrali, a z nią porządek. Dziwicie się, ojcze, że ktoś ów bałagan zauważył i skorzystać na nim chce! – syczał Ottarson. – Najpierw biskup Hieronim naród pognębił, a ten, kto zastąpić go miał, ten tam Konrad, ostatni cios zadał! Po co całą biedotę do miasta wpuścił! Wždy to szaleństwo!

– Ty...

Finn nie czekał na kolejne przekleństwa posiniałego na twarzy ojca Flawiusza. Wybiegł i zatrzasnął za sobą drzwi. Obóz swijski huczał niczym podrażniony rój, biskup Hieronim jęczał spazmatycznie za ścianą, gdzieś w oddali płynęło wycie wilka.

Rozdział 20

Ulf wstrzymał oddech i ostrożnie wyjrzał zza blanki. Zarumieniona twarz młodego mnicha była pełna nabożnego lęku – przez całą noc opowiadali sobie szeptem z innymi nowicjuszami zasłyszane gdzieś historie o okrucieństwie wikingów, a teraz, gdy na niebie rozciągał się już blady świt, mógł ich ujrzeć na własne oczy. Miał chwilkę dla siebie – przy łożu biskupa odmawiali dziś modlitwy inni, a ojciec Flawiusz, dziwnie roztargniony, machnął na Ulfa ręką i kazał mu iść odpocząć.

Z zafascynowaniem patrzył, jak ustępująca poranna mgła odsłania namioty przybyszy oraz zajęte przez nich budynki. Widział już licznych wartowników z łukami, a tu i ówdzie grupy zziębniętych przy ogniu. Inni rozprostowywali kości i machali na próbę bronią, niektórzy urągali obrońcom. Choć wrogi obóz sprawiał wrażenie pogrążonego w nieładzie i bezruchu, biła zeń jakaś utajona potęga. Ulf zadrżał ze strachu.

Kim jest człowiek, który skrzyknął taką potęgę? Czyżby nadszedł kres Nidaros?

Kilku Swijów zaczęło ochryple śpiewać jakąś pieśń, którą podejmowali coraz to nowi wojownicy. Chłopcu wydawało mu się, iż w cofającej się mgle dostrzega niskie, krępe sylwetki zwierząt, zbyt dużych na psy, zbyt małych na konie.

– A w nocy był wilk – szepnął. Próbował przypomnieć sobie słowa modlitw, których uczyli go starzy mnisi, ale wszystkie odpłynęły w niepamięć.

– Ulf – odezwał się ktoś za jego plecami.

Znajomy głos.

Nowicjusz odwrócił się i z niedowierzaniem oraz radością spojrział na umorusanego, ale uśmiechniętego Arnula.

– Arnul! – szepnął z niedowierzaniem Ulf. – Arnul! My... myśmy szukali... i w lesie, i na tingu! I ojciec płakał po kryjomu, matce się cknęło! I ja czasem... Arnul, braciszku!

– Ulf! – powtarzał cicho Arnul, ściskając chłopaka i kryjąc głowę w jego piersi.

– Masz ty żal do nas, Arnul? – Mnich poczuł, jak pod powiekami wzbierają mu łzy.

– Żal? – Karzeł westchnął, odsunął się i otarł oczy wymazanym kułakiem. – Gdzieżby tam. Cknęło mi się jedynie. Jakże to, żal na ojca przy... przybranego?

– Arnul, niechże ci się przyjrzę. – Ulf odsunął karła na długość ramion. – Zmarniałeś!

Twarz Arnula wychudła, broda urosła, pod oczyma pojawiły się ciemne plamy, ale to był on. Może stał szerzej na nogach, może nie garbił się jak ongiś w kuźni, ale skośne oczy błyszczały tym samym życzliwym uśmiechem co zawsze.

– Dajże już spokój tym o... ogłędzinom! Co u was?

– A ja ci tam wiem... Ojcam nie widział od ostatniego tingu, kiedy to mnie mnichom ostawił. Źle mi tu, Arnul. – Zniżył głos, rozglądając się ukradkiem. – Jeść dają skąpo, spać ledwo co mogę, wciąż tylko modłów się uczę i na twardej posadzce klęczę. Biskup ze śmiercią walczy i ciągle jego jęki słyszę.

– A katedra? – przerwał nagle Arnul, podnosząc zaciekawiony wzrok. – Jaka ona?

– Wielka, zimna, ale wiele cudów ma w sobie! – Ulf śmiał się przez łyzy. – Złoty wielki krzyż z Chrystusem na ścianie, wielki ołtarz, a jak biskup podczas mszy przemawia, to wszędzie jego głos słyhać! A kiedy świece wszystkie rozpalim, to jasno jak w Alfheimie! Ho ho, piękna katedra, piękna!

– I ja obaczyć chciałbym... – szepnął karzeł. – Sam żem kamienie stawiał...

– Jakże to? – Ulf otarł łyzy.

– Wielą mam ci do opowiedzenia, braciszku.

– Praw, Arnul, praw!

Usiedli na wale, bujając swobodnie nogami, jak za dawnych, beztroskich czasów nad urwistym brzegiem rzeki w pobliżu rodzinnego domostwa. Gdzieś umknęła groza, czająca się na zewnątrz miasta. Karzeł mówił jak kiedyś – jąkał się nieco i używał prostych słów – ale słuchający w milczeniu Ulf zrozumiał, że to już nie jest ten sam Arnul. Karzeł mówił o rzeczach strasznych z chłodnym spokojem, może nawet ze zmęczeniem. Na próżno by już szukać w jego głosie tej beztroski i życzliwości sprzed wygnania..

– Ty jesteś teraz jak one! – wyrwało się mnichowi.

– Kto zacz? – przerwał opowieść Arnul.

– Jak prawdziwe karły! – Nowicjusz patrzył na przyjaciela błyszczącymi oczyma. – Srogi jakiś... I zahartowany... Topór nosisz...

– Co ty mi gadasz! – Arnul uśmiechnął się gorzko. – Wždy jam żadnego karła na... na oczy nie widział! Zresztą karły ponoć są złe i podstępne, przekleństwa rzucają, przyszłość widzą i mrok miłują. A ja? Czasem widzę przyszłość, do ko... kowalstwa żem udatny, nikiemniej żem postury i to wszystko. Ale nie ma we mnie zła.

– Dla mnie żeś po prostu Arnul i tyle – wyznał mnich.

– To dobrze. Ale jeszcze jedna rzecz mi z karła ostała.

– Co takiego?

– Ciągle szukam.

– Karły tak czynić zwykły?

– Pan Ketil opowiadał, że karły, gdy jedno miejsce umiłują, nigdy z niego nie wy... wyłazą. – Arnul nagle posmutniał. – A ja właśnie takiego miejsca szukam. Drzewiej takim był twój dom, nynie nie ma i... i pusto mi jakoś. Ja muszę mieć miejsce, które miłować będę. – Milczał przez chwilę, po czym zaczął mówić już wolniej, ciszej. – Ale jest przepowiednia i o... ona mnie pcha naprzód. Tam o mnie stoi i skarbie, ale... ale cóż z tego, skoro miasto obleżone i ju.. jutro niepewne!

– Ech, Arnul, aleś mi w głowie zamącił. Przejdźmy się, bo zimno.

Ostatnie gwiazdy bledły na szarzejącym niebie, kiedy obydwaj przyjaciele szli w stronę murów zamku królewskiego. Ściany chat znaczył szron, ludzie budzili się, chuchali na zgrabiałe ręce, szeptali. Niektórzy nieprzyjaźnie spoglądali na karła.

Z łomotem kopyt i brzękiem broni ulicą przemknęło kilku jeźdźców, na wałach i strażnicach okrzykiwali się wojowie, a w stronę bram wciąż zwożono belki, oszczepy i kołczany ze strzałami. Skądś dobiegało pokrzykiwanie wojewody Ottarsona.

– A ty, Ulf... – zagaił Arnul. – Tyś nynie służką Boga na Krzyżu?

– Ojciec chcieli – kwaśno wyrzekł młodzieniec.

– Jaki on?

– Kto zacz?

– No... on. Bóg na Krzyżu.

– Potężny – powiedział z namysłem Ulf. – Bać się go każą, kłaniać przed nim, wielbić godzinami. Mówią, że dał ludziom miłość. Nie Freja, ale On, uważasz?

– Dziwy...

– Ano. Bóg na Krzyżu zabrania ludziom zabijać, kłamać czy mienie brać. Współczuć każe i życie szanować, choćby niewolnik to był.

– A karzeł?

– Nie wiem – zmarkotniał Ulf. – W tej wielkiej księdze, co ją Biblia zwa, nie ma ani słowa o karłach, trollach czy inszych.

– Ale wždy karły istnieją! Spójrz na mnie!

– Wiem, Arnul – westchnął Ulf. – Wiem też to, że ojciec Flawiusz gadał wrogo o twoim ludzie.

Znów chwilę szli w milczeniu. Arnul drapał zarośnięty podbródek i marszczył brwi, Ulf kroczył obok z pochyloną głową, kryjąc zmarznięte dłonie w rękawach szaty.

– Tyle sprzeczności – odezwał się znów Arnul. – Tyle niejasności... Dlaczego służy Boga miłości i współczucia tak chętnie wo... wojny wszczynają i tak chętnie zabijają? Jak dotąd tylko jeden okazał się taki, jak nakazuje Bóg na Krzyżu. Ów Konrad, co... co ma biskupowi Hieronimowi pomagać.

– Ten, który biedotę z podgrodzia do grodu wwiódł?

– Tenże sam.

– Wždy głupio postąpił. Zapasów mało...

– Jeno czy Bóg na Krzyżu tak nie nakazuje? Dobro widzę w tym człowieku. Tylko dobro. Czy wiesz, że on nie tylko ludzi Rodona opatrywał, ale również wrogów? Może to on miejsce mi znajdzie?

– Zalibyś świętkiem jak ja chciał zostać? – próbował zażartować Ulf.

– Eee... Znowu kpisz. A ja po prostu... Po prostu chciałbym ci też móc tak czynić. Dawać życzliwość i w ogóle.

Naraz Ulf uświadomił sobie, że zrobiło się późno. Ojciec Flawiusz pewnie już czekał w komnacie biskupiej, wściekły i gotowy go ukarać! Poruszył się wystraszony i już zrywał się do biegu, kiedy powstrzymał go dziwny wyraz twarzy Arnula. Oczy karła były szeroko otwarte i osobliwe puste, aż nagle poderwał się i wyszarpnął toporek z za pasa.

Ulf odskoczył przerażony. W tej samej chwili rozległ się przeraźliwy kobiecy wrzask, a w następnej sekundzie z zakrętu wyskoczył brodaty mężczyzna z zawiniątkiem w garści i okrwawionym nożem. Za nim biegło z dzikim śmiechem dwóch innych. Za uciekającymi wybiegł człowiek w skrwawionym kożuchu, lecz zatoczył się i padł w brudny śnieg.

Arnul zamachnął się i rzucił toporem. Człowiek z tobołkiem padł, a wtedy karzeł rzucił się na dwóch pozostałych.

Konrad długo i starannie wycierał dłonie w podany mu ręcznik.

– No, co z nim! – wybuchnął wreszcie Harald, podrywając się z zydła.

– Jeno guzy i zadrapania – odparł z powagą Konrad. – Wkrótce się przebudzi.

– Dzielny karzeł! – Wiking się uśmiechnął. – Jednemu ramię rozplątał, drugiemu po gębie zatrzaskał, w łeb nakładł, ho ho...

– Dziękować Bogu, że srożej go nie obili – nieśmiało bąknął Ulf.

Wojownik i kapłan spojrzeli na niego. Ulf umilkł spłoszony i spuścił wzrok.

– Tyżeś go to przytargał? – spytał Harald.

– To mój brat przybrany... – Młody mnich spłonął. – Cud, żeśmy się zeszli. Gadał, że wy, panie, rany leczyć umiecie, tedy go przyniosłem.

– Dobrześ zrobił, chłopcze. – Jednooki woj pokiwał głową.

Konrad podszedł do wezgłowia i pogładził spocone czoło karła, uśmiechając się z zadumą. Przez ledwie uchylone drzwi wślizgnął się przejęty Psie Ucho. Padł na kolana przed Konradem, lecz patrzył w stronę ławy, na której złożono Arnula.

– Wasza miłość... – wyjąkał. – Mówią na ulicach...

– Nie masz czego się obawiać – Konrad usiadł na swoim zydłu. – Nawet ranny nie jest, dzięki Bogu. A złodziei powstrzymał, zuch!

– Wyście rany mu opatrzyli? – Psie Ucho spoglądał na duchownego badawczo.

– Jam ci.

– Wybaczcie, *herra minn*, ale ja... – wybąkał stary sługa i oblizał spękane wargi, zerknął na żelazny krzyż pobłyskujący na szacie Konrada. – Ja o coś jeszcze spytać muszę... Dlaczegoście go uleczyli?

Harald warknął i odwrócił się w stronę skryby, Ulf siedział w kąciku z rozdziawionymi ustami.

– Jak to dlaczego? – zdumiał się Konrad. – A czyż nie zasługuje, by żyć?

– *Dvergur, herra minn!* To karzeł!

– A cóż za różnica?

– Dla mnie żadna, bo go miłuję... Ale dla Boga na Krzyżu ogromna!

– Nie pojmuję was.

Otoczone siateczką zmarszczek oczy starego skryby lśniły.

– Pamiętam, jak raz biskup Hieronim w kazaniu Biblię wspomniał i mówił, że skoro o karłach ani słowa w świętej księdze nie ma, przeto jak bydlęta powinni zostać wyrznięci, by rządowi Boga na Krzyżu nie urągały! Oni to bowiem starych bogów potomstwo i śmierć im pisana, mówił biskup! A wy rany mu opatrujecie...

– Swije pod bramami stoją, a ty, jak widzę, nie masz zmartwień? – syknął Harald.

– Ja chcę to wiedzieć, choćby to miała być ostatnia rzecz, której się w moim życiu dowiem – powiedział cicho Psie Ucho. – Bo ktoś kłamie i chcę wiedzieć kto.

Konrad usiadł powoli. Patrzył pustym wzrokiem na ścianę.

– Wybaczcie pytanie... – Psie Ucho zreflektował się i przypadł mu do kolan. – Nie chciałem...

– Nie przepraszaaj. – Kapłan odtrącił go szorstkim ruchem. – Więc... więc tak tu się sprawy poukładały... Boże litościwy...

Odwrócił się w stronę starego sługi.

– A ty jak myślisz? Są karły nic niewarte? Zasługują na śmierć?

– Nie wiem – szepnął Psie Ucho. – Sam dzieci nie mam i tego karła jak syna... jak syna miłuję. A że w Biblii nic o nich nie ma... Nie wiem... Dziwny ten świat, jakiś taki poszarpany, pokłócony...

Konrad wolno podszedł do zaciągniętego błoną okna i stał przez chwilę w milczeniu, pogrążony w myślach.

– Jezus Chrystus był człowiekiem. – powiedział cicho. – I poświęcił życie, by nauczać ludzi. Tak, ludzi. Ale czy to wystarczy, by uznać inną rasę za gorszą?

Wszyscy, nie wykluczając Haralda, patrzyli na Konrada w napięciu. Ten zaś potrząsnął głową i odwrócił się błyskawicznie.

– Rzeknijcie mi – spytał spokojnym, lekko drżącym głosem – dlaczego to karły wśród ludzi nie mieszkają?

– Bo ciemności wołają! – wyrwało się Ulfowi.

– I w myślach czytać umieją! – dodał Psie Ucho. – Mrukliwi oni, podstępni, magią wielką władają.

– Utrzymujecie jakieś kontakty z nimi?

– Król zabronił. – Skryba się skrzywił. – Ale kiedyś kupowali od nas mąkę, sód, miód, len. Do rolnictwa, widzicie, nieudolni oni. Na tingach bywali, przednie żelazo sprzedawali, a ich broń...

– Nikt mieczy lepszych nie kuje. – Wzrok Haralda umknął ku orężowi, otrzymanemu od walkirii.

– A dobrzy to wojowie? – naciskał Konrad.

– Twardzi oni, dobrze uzbrojeni, magią władają – mruknął Harald. – Podobno bez przerwy z trollami się wadzą.

– Ho ho... – zamyślił się Konrad. – A co jedzą, skoro na uprawie się nie znają, a król handlu z nimi zakazał?

– Któż to może wiedzieć?

– Może. – Oczy Konrada błyszczały. – Może warto by z takimi sojusz zawrzeć? Może by pomogli nam Swijów przepędzić?

– Co ci do głowy strzeliło? – Harald wpatrywał się w duchownego. – Karły to zło wcielone! Podstępne, mrukliwe bydłeta z...

Jego wzrok padł na nieprzytomnego Arnula i przygryzł wargi.

– Może to szaleństwo – mówił Konrad zamyślony. – Urodziłem się daleko stąd i może dlatego wpadam na to, na co nikt z Nordwegów wcześniej nie wpadł. Wyście człkiem bywałem, Haraldzie synu Ingvara, a i wyście świat widzieli, zacny Psie Ucho. Rzeknijcie mi tedy, gdzie tu sadyba karłów najbliższa?

Zapadła absolutna cisza, którą przerwał dopiero cichy szepot Psiego Ucha:

– *Wróg się druhem okaże.*

Rozdział 21

W blasku świec twarz Konrada wyglądała niczym maska z wosku – żółta, ściągnięta, nieruchoma. Mocno splatając palce obu dłoni, klęczał zgarbiony przed wielkim, pozłacanym krzyżem wiszącym na kamiennej ścianie.

Biskup Hieronim jęknął i z szelestem przesunął się na łożu. Konrad otworzył oczy, wykonał znak krzyża i podszedł do łoża biskupiego. W powietrzu unosił się intensywny zapach potu zmieszany z wonią kadzidła. Przekrwione oczy Hieronima, błyszczące od gorączki, wpatrywały się w sufit.

– Wiele lat носи was ziemia, wielebny ojciec – szepnął z żalem Konrad. – I dlaczego, wielebny ojciec, nie nauczyłeś się przez cały ten czas zaglądać ludziom w serca? Dlaczego nie nauczyłeś się miłować i współczuć?

Hieronim oddychał ciężko.

– Tajemne, ciemne moce kryją się w puszczech tej krainy. Ludzie żyją jutra niepewni, a jedyne, co silniejsze od wiecznego strachu, to nienawiść rodowa i chęć zemsty. To lud o stalowych duszach, ojciec wielebny, hartowany przez krwawe tradycje i surową naturę. Przybyłeś tu ze słonecznego Albionu, wielebny ojciec, by odepchnąć starych, mrocznych bogów i pokazać tym ludziom chwałę Pańską. Ty miałeś ich nauczyć miłości! A co im dałeś? Zgraję zbirów w zbrojach? Tortury w lochach? Wojny na chwałę Pana?

Biskup nie odpowiadał, zupełnie, jakby znów zasnął.

– Płynąłem tu z Albionu pełen uniesienia. Wyobrażałem sobie, jak stoję w tłumie brodatych, dzikich wikingów i głoszę Słowo Boże, jak jestem łżony, bity i poniżany, ale nie poddaję się. Czym są bowiem cierpienia, skoro pracuje się dla Pana? Chciałem być twoim wiernym pomocnikiem, wielebny ojciec, ale nie zostało mi to dane. Nie! – krzyknął Konrad. – Od chwili, gdy łąd nordweski zamajaczył na horyzoncie, miotam się od jednej bitwy do drugiej! Szwajcarski drakkar, piraci pod Blaakysten, czarodziejskie wilki, oblężenie Nidaros! I każda z tych bitew nosi na sobie ślad twojej działalności, ślad twego zła! Dlaczego tylu ludzi cierpiało tortury, poszło do lochów, na roboty, na szubienicę? Nie pokazałeś tym ludziom nic z całego skarbcza miłości Chrystusowej, nic! Stał tylko pokazałeś, stał oraz strach. Szatan cię wiódł! Szatan! – Konrad odwrócił się i wziął księgę z kamiennego parapetu. – I jeszcze to. – Znów stanął nad łożem. Policzki biskupa wydymały się, a rybie usta wypuszczały kłęby pary. – Chciałeś Nordwegom potęgę cudów pokazać, tak? Zapomniałeś tylko, ojciec biskupie, że cuda wypływają z żarliwej modlitwy, a nie z czarnej magii! Zapomniałeś, że Kościół potępia wszelką magię, łącznie z tymi oto zaklęciami druidów. Teraz już wiem, jak wywołałeś świetlisty znak na niebie czy skruszyłeś wały grodu. Ty grzeszniku, ty kłamco... – Konrad umilkł. – Mamy nauczyć tych ludzi miłości i zrozumienia – podjął znów po chwili. – Dlaczego kazałeś im nienawidzić karłów i innych stworzeń obdarzonych mową? Dlatego że inaczej wyglądają? Dlatego że nie ma o nich w Biblii? Widzisz, leczyłem dziś zadrapania na ciele małego karła, który naraził życie, by odzyskać chudobę jakichś nieboraków!

Więcej tym czynem sprawił dla chwały Chrystusa niż ty przez cały rok w Nordwegu. Karzeł!

Nie mówił więcej. Usiadł na podłodze i oparł się plecami o chłodną ścianę. Księga z trzaskiem upadła na podłogę. Na korytarzu zatupały czyjeś śpieszne kroki i ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

– Wejść – powiedział cicho Konrad, nie podnosząc głowy.

Do komnaty wejrzała chłopięca główka o krótko podstrzyżonych, jasnych włosach. Chłopiec był zarumieniony od biegu.

– Swije! Swije szturm przypuszczają!

Konrad wybiegł z komnaty, pozostawiając księgę przy kominku.

Powietrze wypełnił ryk tysiąca piersi. Mrowie atakujących runęło ku wałom miasta, depcząc świeży śnieg, a niebo pociemniało od setek strzałów. Tu i ówdzie majaczyły dźwigane drabiny, a w stronę głównej bramy wolno toczył się obły taran. W odpowiedzi wały i blanki zaroily się od obrońców i na głowy najgorliwszych Swijów polał się wrzątek, posypały belki, kamienie i strzały.

Harald przystanął zdyszany i obejrzał się na mrowie oblegających. Znów poczuł w sercu nieokreśloną tęsknotę, tę samą co wcześniej, ale nim nadał jej imię, usłyszał okrzyk zasapanego Arnula:

– Szybciej!

– Zaraz będziemy przy rzece! – Psie Ucho ciężko dyszał. – Musimy znaleźć jakąś łódź.

Nie mieli wiele czasu na przygotowanie planu Konrada – po prostu wybiegli chyłkiem przez niewielką furtkę w wałach, chcąc jak najszybciej dostać się do chat rybaków nad Nidelvą. Niemalże w tej samej chwili armia wikingów z Uppsali, Gotlandii i Skanii ruszyła ku wałom miejskim, waląc toporami w tarcze. Teraz biegli jak szaleni, wyteżając wszystkie swoje siły. Zabudowania nad rzeką były coraz bliżej. Widzieli już domostwo z przysypanym śniegiem dachem, dwie przytulone do niego szopy i obwieszony soplami wieszak na sieć. Harald bez wahania przypadł do większej szopy i mocował się z zasuwą.

– Na kły Fenrisa... – warknął, kalecząc dłonie o zamarznąłą kłodę. – Zardzewiała czy co?

– Mamy szczęście... – powiedział cicho Arnul, patrząc między drzewami na atakowany gród. – Tam teraz jest stra... strasznie...

– Przepowiednia się sprawdza... – wyjąkał start skryba. – *Ziarno zniszczenia posiane.*

– Pomógłby mi lepiej który! – parsknął wściekle Harald, ssąc zraniony palec i odrzucając kłodę.

We dwójkę z Arnulem napaarli się w zakopane w śniegu wrota szopy. Łódź była w dobrym stanie, a wiosła leżały obok. Zepchnięcie jej po zamarznętej polepie, a potem po śniegu okazało się łatwym zadaniem i niebawem luźne kawałki lodu zastukały o burty. Obciążony tobołkami Psie Ucho niezgrabnie usadowił się na dziobie,

potem wskoczył Arnul, a jako trzeci Harald, który delikatnie złożył miecz walkirii u boku i ujął wiosła.

Ruszyli. Las wolno przesuwiał się wzdłuż burt, milczący, tchnący chłodem mimo słońca na niebie. Złowieszcze echo odgłosów bitwy zostawało daleko za nimi.

– Psie Ucho! – Harald przetarł rękawem spocone czoło. – Jak brzmiał ten kawałek przepowiedni, który żeś przypomniał przy wszystkich?

– *Wróg się druhem okaże, prawi mądrości nieznanne* – wyrecytował skryba.

– Nieznane – prychnął wojownik. – Szalone bardziej by pasowało! Na śmierć jedziemy, tyle wam rzeknę.

– Boisz się karłów? – spytał Psie Ucho, patrząc badawczo na Haralda. – Przecie onegdaj żadnego tingu nie opuściły, a górale ciągle z nimi handlują!

– Spytaj kogokolwiek, czy kiedyś karłą jaskinię odwiedził! – Harald zmarszczył brwi. – Od głupców cię wyzwą. Przecież każdemu życie miłe. Wyobrażacie sobie, jaką magią władają te pokurcze? Arnul potrafi wspomnienia odczytać i niebezpieczeństwo przewidzieć, a przecież wśród ludzi chowany. Ciekawe, jaką moc ma ten, który od zawsze żyje wśród swoich!

– Nic nam się nie sta... nie – bąknął karzeł.

– Nie? – Jedyne oko Haralda błyszczało szyderstwem. – Spójrz na nas. Trójka obdartusów i włóczykijów, którzy chcą zejść w głąb podziemnego księstwa i po co? – zaczerpnął oddechu. – Po to, by o pomoc dla sługusów Boga na Krzyżu zebrać! Dla tych, którzy karłów najmocniej nienawidzą!

– Nie – wyjąkał Arnul i poprawił opatrunek na czole. – Nie wszyscy są tacy. Pomnisz młó... młodego Ulfa? Widać w nim zło? A w Konradzie? Nie Bóg na Krzyżu zły jest, jeno ci, co jego imię gło... głoszą. Król, biskup Hiero... Hieronim...

– Myślisz, że karły rozumieją takie subtelności? – Poznaczoną bliznami twarz Haralda wykrzywiła niechęć. – Te same karły, które wypędzono z tingów i którym głodować kazano?

– Nie znam cię takiego, Harald. – Arnul skulił się mocniej i odwrócił się. – Boisz się, to wróć.

– Ja się nie boję, Arnul. – Wojownik zasznurował usta. – Jeno wiem, że tam przydałbym się bardziej. – Wskazał dłonią w kierunku Nidaros. – Obojętnie, po której stronie wału.

Chciał mówić dalej, ale kątem oka dostrzegł, że las na prawym brzegu Nidelvy rzednieje i pojawiają się nowe zabudowania – pomost z zapomnianą, uwiązaną łodzią, masywna strażnica i za nią szopy. Zły blask zatańczył w oku Haralda, kiedy ten napał na wiosła. Widzieli przystań, przez którą ongiś wiodła droga ich ucieczki. Widzieli strażnicę, gdzie Harald spotkał swą hańbę.

Choć Swije zajęli budowlę w trakcie otaczania miasta, opuścili ją podczas szturm i jedynie zdeптany śnieg mówił o tym, że ktoś tam się ostatnio kręcił. Arnul jednakże śledził brzeg szeroko otwartymi oczyma. Ciarki biegły po plecach karła, kiedy próbował sobie wyobrazić desperacką walkę w ciemnościach, nieudany rzut toporem, zakrwawione sienniki, strzałę w ścianie. Zerknął na wojownika, lecz ten patrzył w bok, pracowicie mieląc wiosłami. Karzeł nie chciał nawet zgadywać, jakie myśli kłębią się

w jego głowie.

– Tam ktoś jest – wyszeptał naraz. – Jakiś dostojny starzec.

Teraz dojrżeli go wszyscy. Stał na brzegu dumnie wyprostowany, a z ramion spływał mu niebieski płaszcz. Na piersi błyszczał srebrny młot Thora. Prawa dłoń wspierała się na ogromnym toporze bojowym, a lewa drapała kark wielkiego, siwego odyńca, który stał u boku nieznanego, dumnie wznosząc ryj i grzebiąc racicami. Obaj, tak starzec, jak i odyniec, śledzili uważnymi spojrzeniami oddalającą się łódź.

Dopiero gdy skryły ich drzewa, Arnul znalazł w sobie tyle siły, by odwrócić się do towarzyszy.

– Skąd ja go znam? – wyszeptał Harald i przestał na moment wiosłować.

– Czekał na nas... – Arnul zamyślił się. – Jakby wiedział, że tędy ruszymy... Po co?

– Wiecie, kogo mi przypomniał? – szepnęła Psie Ucho.

– Nie.

– Randiego. A ów odyniec...

– Odyniec to święty zwierz Frejra – burknął Harald. – W Uppsali, gdzie świątynia ku czci Thora, Odyna i Frejra stoi, mieszka święty odyniec. Kiedy kapłani wojnę wszczynają, zawdy go ze sobą biorą.

– Możemy swijskiego wodza widzieli?

– Tylko czego tu szukał?

Pytanie zawisło w próżni. Harald znów zabrał się do wiosł, a Arnul patrzył w niebieskie, beztroskie niebo.

– *Szepczą serca ludu świni...* – wyszeptał.

Vidar aż drżał z podniecenia, a huk tętniącej w skroniach krwi zagłuszał wszystko, nawet wrzaski nadciągającej hałastry. Oddychał ze świstem, ocierając spocone, gorące czoło. Miał ochotę wyć z rozkoszy.

Świat spowiała purpurowa mgła. Widział w niej uwijających się ludzi, świszczące strzały, spadające belki, widział rannych i zabitych. Naprzeciwko niego pojawiła się drabina, dygocząca od ciężaru wspinających się Swiów. Jedna strzała otarła się o bark Vidara, druga z brzękiem ześlizgnęła się po jego hełmie, ale Islandczyk nie zwrócił na to uwagi, pochwycił leżący nieopodal głaz, stęknął z wysiłku i spuścił go prosto na głowę pierwszego z atakujących.

Wiking poleciał w dół, drabina zachybotwała, a oślepiiony żądzą krwi Vidar pochwycił niezgrabnie miecz i wychylił się za palisadę. Ciął, przerabując szczeble i ucinając szpic hełmu kolejnego wroga. Tamten sapnął z wściekłością, pchnął w górę włócznią, inni strzelali z łuków, lecz skald się nie cofał. Z rykiem rąbał na oślep, aż następny Swi pomknął do fosy, a Vidar sam wskoczył na swijską drabinę i począł spychać wikingów w dół.

Pierwszego strącił kopnięciem, a drugiemu odrąbał ramię, gdy ten próbował sięgnąć go włócznią. Ostatni z przeciwników zamierzył się do ciosu w jego nogę, ale wyjący

z radości Vidar rozrąbał drabinę. Obaj stracili grunt pod nogami i runęli do wody.

Lodowata woda wdarła się do ust skalda, lecz bynajmniej nie zgasiła furii. Rozpaczliwie bijąc rękami i nogami, Islandczyk wypłynął na powierzchnię i ciężko dysząc, wypełził na brzeg. Stracił gdzieś hełm, a z jego ramienia sterczała strzała. W jego głowie nie było już żadnych myśli, tylko instynkt. Nie widział Swijów – widział tylko ciemniejsze plamy na tle czerwieni.

Wiking, który spadł razem z nim, wyczołgiwał się niezdarnie z wody kilka metrów dalej. Vidar rzucił się ku niemu i ciął go mieczem po łydkach, a potem grzmotnął rękojęścią miecza w twarz, miażdżąc kość policzkową. Rycząc i potrząsając zlepionymi od wody kudłami poderwał się i rzucił ku nadbiegającym wrogom.

Nie widział ich, nie słyszał, nie liczył. Parł coraz dalej i dalej, rozrąbując tarcze i hełmy, raniąc i zabijając.. Nie słyszał pełnych przerażenia krzyków – „Berserk, berserk! *Fyrir Þór, ulvhedning! Wikołak! Hörfið! Odwrót!*”, ani dumnego okrzyku wojewody Ottarsona „Za mną! *Árás! Za skaldem! Nidaros, Nidaros!*”. Walczył ślepy, głuchy, oszalały, krwawiący, aż padł bez przytomności na zdeptanym śniegu.

Zimnych słów ojca Flawiusza studzących entuzjizm obrońców i każących zabrać go do lochu, siłą rzeczy również nie usłyszał.

Rozdział 22

Ojciec Flawiusz ocknął się z zadumy, gdy od ścian kapliczki echem odbił się odgłos ciężkich, zdecydowanych kroków. Kościste palce duchownego zacisnęły się na skraju ławy – wiedział, z kim zaraz przyjdzie mu rozmawiać.

Finn Ottarson stanął kilka metrów od ołtarzyka i sapnął. Obłoczki pary wykwitły wokół tonących w gęstej, rudej brodzie ust.

– Przyszliście porozmawiać z Wszechmogącym, wojewodo? – przerwał ciszę ojciec. – To nie wstyd. Nigdy nie jest za późno.

– Wszechmogący – powiedział cicho Ottarson i odwrócił się. Pod jego oczami, bystro zwykle patrzącymi, dziś malowały się sine worki, a rozcięcie na policzku wciąż krwawiło. – Ten twój Wszechmogący... niezbyt nam dziś pomógł.

– Przecież szturm odparty. – Flawiusz się uśmiechnął. – Lud nieużyty, w pogaństwie zapamiętały, a mimo to Bóg się zlitował. Dziś poznaliśmy Jego łaskę.

– Łaskę? – Ottarson się wykrzywił. – Skoro mniemacie, że łaska Boga na Krzyżu nas dziś uratowała, ojczu, tedyście ślepy kiej troll skamieniały! Byłem na wałach, stałem na głównej bramie i na własne oczy widziałem, jak stawali obrońcy! Kmiecie, kowale, szewcy, koniuchy bili się jak woje najlepsi, z sercem, z męstwem!

– Natchnieni łaską Pańską, ani chybi...

– Juści, że natchnienie, jeno nie stąd przyszło! – Brudny palec wojewody wskazał na złoty krzyż. – Padłaby jedna z bram jak nic, gdyby nie skald królewski, w którym się błogosławieństwo Odyna ocknęło! Święty szal berserkerski, *berserkgangr*, się w nim obudził!

– Vidar Gustavson zaiste wielki mąż – bąknął ojciec Flawiusz.

– I Boga na Krzyżu wielki sługa! – parsknął Ottarson. – Wiem, że Bóg na Krzyżu nienawidzi wszystkiego, co Północ zrodziła, karłów, trolli, Asów... A berserków? Co Bóg na Krzyżu myśli o berserku, który dziś bronił miasta? Pewnie go miłuje, bo Vidar Gustavson pierwszy wśród jego sług na tej ziemi!

– Bluźnicie, wojewodo! – Głos Flawiusza zadrżał lekko, nie wiadomo, czy z gniewu, czy ze strachu. Rozległ się szcęk oręża, kiedy stojący przy wejściu do kaplicy *Náttfarinn* postąpił krok. – Vidar syn Gustava odpoczywa, a po spowiedz...

– Po spowiedzi! – Wojewoda ryknął śmiechem. – Mieczem czy ogniem spowiadać dzielnego woja będziecie? W mroku celi czy może na podwyższeniu, by lud dobrze widział? Po co spowiadać go chcecie, ojczu, skoro setki oczu dziś jego szal widziały? Na śmierć go chcecie skazać, bo Odyn go błogosławi? Jego, dzielnego woja Boga na Krzyżu? Ach, na mury z wami, ojczu, tam byście pewno użytek ze swoich mieczy zrobili!

– Nie jestem wojem!

– A ilu było wojów spośród tych, którzy dzisiaj wałów bronili? – Ottarson potrząsnął bujną grzywą i ruszył w stronę wyjścia. – Jeden na dziesięciu? Nie, nie z tym przychodzę, ojczu. Nie w głowie mi pchać was na mury, bo pożytku żadnego z was tam

nie będzie. O nich mi się rozchodzi.

Finn Ottarson wskazał podchodzącego *Náttfarinna*. Ciężko oddychał, z nisko zwieszoną głową, jak byk gotujący się do szarży.

– Co z nimi? – chrypiał. – Trzy dziesiątki najprzedniejszych wojów, z których każdy wart tyle, ile dziesięciu grodowych? Dlaczego żaden z nich nie pojawił się na wałach? Mówiono mi, że podczas bitwy jeno na zamkowych murach siedzieli albo wokół kaplicy waszej się włóczyli!

– To straż biskupa Hieronima! – wypalił Flawiusz, podrywając się. Głos drżał mu z gniewu. – Sam król dał mi prawo, by nimi dysponować!

– A gdzie teraz król, łysa głowo? – charczał Ottarson. – Daleko, gdzieś ma nas, gród i Boga na Krzyżu. Nynie jam tu jarlem, ja wydaję rozkazy!

– Wara ci, barbarzyńco!

– Przecie lada chwila Swije znowu uderzą! – Ottarson dusił się z wściekłości. – Każda para rąk...

– Słów wam brakuje, wojewodo? – Duchowny wykrzywił się szyderczo. – Czy może przez gardło przejść nie chce, że musicie prosić kapłanów Boga Ojca o pomoc?

Nieznany, złowrogi skurcz przemknął przez twarz Ottarsona. Z zaskakującą jak na tak potężnego woja szybkością jarl Nidaros doskoczył do stojącego w milczeniu *Náttfarinna* i z potworną siłą grzmotnął go pięścią pod hełm. Ojciec Flawiusz krzyknął przerażony, gdy rycerz zwałił się na ziemię z łoskotem. Chciał niezdarnie sięgnąć po miecz, ale wojewoda nie pozwolił mu na kolejny ruch. Ciężkim butem przygniótł dłoń w rękawicy, odkopnął miecz, zerwał hełm i już siedział okrakiem na swym przeciwniku, w rozjuszeniu waląc go pięściami po twarzy. Cios padał za ciosem, aż wreszcie potężny wojownik poderwał się znad ciała nieprzytomnego *Náttfarinna* i zwrócił się ku duchownemu.

– Pomoc? – spytał ponownie, ciężko dysząc. – Prosić o pomoc? Ty głupcze, wywłoko, ty wężu!

– Odpowiesz za to, co zrobiłeś. – Głos Flawiusza był zimny i hipnotyczny. – Król wróci i ukarze cię, dzikusie!

– Kiedy król powróci, mnichu, zastanie zgłiszcza! – śmiał się Ottarson. – Nasz los jest przesądzony i nawet twoja trzydziestka niewiele pomoże. Chcę mieć tylko pewność, że zrobiłem wszystko, co mogłem, by oddalić dzień klęski! I jeszcze jednego chcę być pewien – wojewoda chwycił mnicha za poły szaty zakonnej i przyciągnął do siebie. – Zesłaliście na ten kraj wiele niedoli, nauczcie się więc za niego walczyć. Nie będziecie siedzieć z założonymi rękami!

Pchnął mnicha na ławę i znów stanął przed ołtarzem. Złe błyski tańczyły w spojrzeniu ojca Flawiusza, kiedy ten trzęsącą się dłonią wygładzał tkaninę. Jego twarz była trupio blada. W pomieszczeniu słychać było jedynie ciężki oddech wojewody i stłumiony jęk pobitego *Náttfarinna*.

– Wiem, o co ci chodzi – wyszeptał Ottarson. – Chcesz nietknięty przetrwać zawieruchę, by zacząć mącić w głowach tym, co przetrwają. Będziecie prawić niedobitkom wszem i wobec, że łaska Boga na Krzyżu gród wyzwoliła. Cóż za błąd, świątku.

– Król... – zaczął ojciec Flawiusz, ale Ottarson szeptał dalej, nie zwracając na niego uwagi.

– Król jest równie daleko jak twój Bóg. Blisko natomiast jestem ja i swijskie hufce. Przetrywamy jeszcze kilka dni, jeśli będziemy mieli cztery rzeczy – jedzenie, dość ludzi, pociski na Swijów i choć szczyptę nadziei.

Náttfarinn wolno się podnosił. Na zewnątrz kapliczki gęstniał gwar – słycać było stukot narzędzi, parskanie koni, skrzypienie wozów, ktoś głośno wydawał rozkazy. Flawiusz wpijał jadowity wzrok w szerokie plecy wojownika i zaciskał dłonie z wściekłością.

– Jedzenia było dość, póki ten przybłęda Konrad tej hordy w obręb murów nie wprowadził! – syknął.

– Tymczasem więcej ludzi walczyć może, belki podawać, wrzątek gotować i rannych odciążać. A co do nadziei – na rumianej twarzy Ottarsona pojawił się bardzo zły uśmiech – myślę, że Bóg na Krzyżu jednak da nam nadzieję.

Skrzypnęły drewniane drzwi do kapliczki, ktoś wślizgnął się do środka i przyklęknął.

– Wojewodo, jesteśmy gotowi – wymamrotał z pokorą.

– Naczynać tedy. – Ottarson machnął dłonią.

– O co chodzi? – Wystraszony mnich poderwał się. – Coście umyślili, wojewodo?

– Jedzenia i ludzi może zabraknie. – Wojewoda spojrzał z lekceważeniem na ojca Flawiusza. – Ale zaraz będzie więcej nadziei i więcej kamieni do ciskania! Rozebrać tę cholerną kapliczkę! – ryknął wielkim głosem w stronę swoich ludzi.

– Nie ośmielicie się, wojewodo! Zabraniam wam! Bądź przeklęty, diable wcielony!

– *Láttu tíg hverfa!* Nuże tam, żywo! Za łomy, kilofy i do roboty, psie juchy!

Toń Nidelvy już była wspomnieniem, a trójka wędrowców pięła się po łagodnych zboczach Dvergurfjall, Karlich Wzgórz. W tajemniczej krainie, gdzie rzekomo mieszkały karły, niepodzielnie rządził wiatr, świszczący wśród zmarzniętej kosodrzewiny i karłowatych brzózek. Nowy śnieg nie spadł tu od dawna i nawet ciężki Harald nie zapadał się, idąc po zmarzniętych, przybrudzonych łąkach. Wędrówkę utrudniały jary o stromych ścianach i trudne do obejścia grupki ostrych skał, ale wędrowcy nie narzekali. Pięli się w milczeniu, bojąc się nawet głośno przeklinać – pamiętali bowiem, że wkraczają do nieznannej krainy. Nikt nie wiedział, czego się spodziewać. Na próżno Psie Ucho wyteżał pamięć – żadne ze znanych mu podań nie mówiło, jak wyglądają sadyby karłów, a okolica na razie wyglądała na całkowicie wyludnioną. Otaczała ich wszechobecna, lodowa cisza, zakłócana jedynie ciężkimi oddechami lub stukotem niebacznie strąconego kamienia.

Harald szedł jako pierwszy, stawiając równe długie kroki, przez co niski Arnul czy zasapany Psie Ucho nierzadko mieli problemy, by za nim nadążyć. Teraz przeskoczył przez strumyk i niespodziewanie ruszył z mozołem w stronę szczytu wzgórza.

– Harald! – zawołał półgłosem Arnul. – Dla... dlaczego walisz pod górę?

– Bez sensu takie łązenie. Trza nam na wzgórze się wspiąć i rozejrzeć. Może karły domostwa jakieś mają czy wieżyce? Może chociaż dymy zobaczymy

Z tymi słowami wojownik przetarł dłonią spoconą twarz, poprawił opaskę na oku i ruszył ku górze, a Arnul i Psie Ucho poszli za nim, potykając się i co rusz chwytając gałęzi. Zmęczenie dosięgło ich obu i zasapany karzeł nawet nie zauważył, gdy teren się wyrównał.

– Spójrz, Arnul – powiedział cicho Harald. – Jedno oko mi zostało, a ty dwa masz i to młodsze.

Szczyt wzgórza, na którym się znaleźli, był płaski jak stół i ciągnął się daleko. Na zachodnim zboczu skupiły się grupki rozłożystych świerków, targanych przez nieustępliwy wiatr, a na północy pięły się olbrzymie bloki skalne. W połowie najwyższej ze skał, poszarpanej i przypominającej wieżycę zamku, widniała czarna szczelina, z której tryskała woda. Karzeł potrząsnął głową i spojrzał pytająco na Haraldą.

– Tam patrz. – Dun machnął ręką na wschód.

Arnul zamrugał oczami. Patrzył na zasypane śniegiem wrzosowiska, ciągnące się aż po mgły horyzontu, a na nich...

– Na złote jabłka Idunn... – szepnął Psie Ucho z nabożnym strachem.

Arnul zamrugał z niedowierzaniem. Osobliwe, żółtawe kształty, ciągnące się równym szeregiem na tle śniegu, z początku niewielkie, rosły, wypiętrzały się w coraz wyższe, masywniejsze łuki, i po wielu, wielu metrach znów opadały ku ziemi. Karzeł przełknął ślinę.

– Kości... – wyszeptał. – Święte kości...

– To kości smoka – powiedział krótko Harald.

– To Fafnir – wychrypiał Psie Ucho. – Smok Fafnir, ubity ongi przez bohatera Sigurda czarodziejskim mieczem Gramem. Sigurd odzyskał naonczas przeklęty skarb karła Andawariego, który przynosił nieszczęście każdemu właścicielowi, a samemu Sigurdowi przyniósł śmierć! Wtedy nie bali się ludzie między karły zstępować...

– Ledwie dwa dni drogi od Nidaros! – Oszołomiony Arnul kręcił głową.

– Staruszek Fafnir nie żyje od dawna, ale i tak nie mam ochoty doń złazić – powiedział Harald, siląc się na wesołość. – Chodźcie, wśród wzgórz trza nam szukać. Gdzieś te pokurcze siedzą...

Niespodziewanie powietrze nad nimi wypełnił łopot skrzydeł. Harald instynktownie zasłonił twarz, ale mimo to poczuł piekący ból zadraśniętego policzka. Coś miękkiego uderzyło go w pierś i przewróciło. Z oddali dobiegło go wołanie Arnula, lecz nad sobą usłyszał – ku swojemu zdziwieniu – pohukiwanie sowy. Odczekał chwilę i otworzył oko.

Potężny puchacz właśnie złożył mocne skrzydła i patrzył na oszołomionego wojownika okrągłymi, żółtymi oczyma. Jego pierzasta pierś mieniła się różnymi odcieniami szarości i brązu, a nagie szpony zaciskały się na żelaznym pręcie. Harald uniósł się na łokciach i zamarł zaskoczony.

Żelazny pręt przytwierdzony był do lśniącego hełmu z nosalem, z którego wyrastały również sowe skrzydła. Ze szczeliny hełmu patrzyły nań zielone, skośne oczy, a dłoń w skórzanej rękawicy opierała się na stylisku obosiecznego topora z żeleźcem pokrytym runami. Nieznajomy był równie szeroki w barach jak Harald, ale nieco jedynie wyższy

od Arnula. Biła odeń atmosfera pewności siebie i dumy.

– Jestem Hannar Puchacz, strażnik Karlich Wzgórz – odezwał się dudniącym głosem.
– A kim ty jesteś, człowieku z mieczem karłów i czego chcesz od pokurczów ze wzgórz?

Vidara zbudził przeciąg. Skald otworzył oczy w chwili, gdy skrzypnęły zamykane drzwi, a w ciemnej komnacie rozległy się czyjeś ciche kroki. Chciał się podźwignąć na łokciach, lecz mięśnie nie posłuchały poleceń. W ciemności ktoś gwałtownie przesunął ciężki zydel.

– Vidar Gustavson – usłyszał głos ojca Flawiusza. – Słynny skald islandzki, gorliwy sługa Boży, wojownik, żeglarz, prawa ręka króla.

Dłonie Vidara drżały pod pledem, lecz ciało nadal było mu nieposłuszne.

– Miałeś pisać wielką sagę, Vidarze – mówił duchowny. – Cóż, król jednak wolał, byś był wojakiem! Kazał ci nowych biskupów z Anglii przywozić. Odsunął cię król od swego boku i mądrze uczynił, boś pokrętny, skaldzie, fałszywy jak czarny kot – syczał. – Zmyliłeś nas wszystkich twą miłością dla Boga i co? Leżysz tu teraz bez ducha, poraniony, a w kącikach twoich ust jeszcze stygnie piana berserkerska! Szał w ciebie wstąpił, szął wojów Thora! – Starzec umilkł, ciężko dysząc. – Leżysz nynie tu kiej kłoda, Vidarze... – podjął znów. – Tak, nawet najwięksi woje byli słabi jak niemowlęta, gdy ustępował z nich święty *berserkgangr*. Musisz odleżeć swoje, skaldzie, a kiedy wreszcie odemkniesz oczy, już ja ci zgotuję przywitanie. – Pewnie wiesz, że źle się dzieje. Upada to, co zaczęli Halvdanson z biskupem Hieronimem. Król w rozjazdach, biskup ciężko ranion, jarl z Hladir we własnych ziemiach się zaszył, a ze świty królewskiej jeno garstka się ostała, a i wśród nich zdrajcy! Gustavson berserkiem, Ottarson świątynię rozbiera... Paganie między sobą walczą, sługusy Thora! A ja sam tuostałem, ale nic mi to, bo oto Bóg największe zadanie mi wyznaczył. Oto staję przed szansą, by największe chwasty z pola wyrwać! Tyżeś sam wpadł w moje ręce, wojewoda Ottarson będzie drugi, po nich inni! A i nowicjusz jeden, co w komnacie biskupiej tak wiernie służył i biskupiego łoża nigdy nie odstąpił, wczoraj z karłem gaworzył. Cóż, odejdą kiedyś Swije, znów umilkną ludzie, spuszcza łąby, a ja wtedy zacznę pytać, który z największą ochotą kamienie z wałów ciskał... Będzie jeszcze Nordweg chrześcijańskim krajem!

Załopotaly zdmuchiwane świece, po komnacie rozszedł się zapach gorących knotów. Nad ścianą pojękiwał biskup Hieronim, od miesiący walczący z czającą się w pobliżu śmiercią. Daleko szemrało obozowisko swijskie, krzyczeli ludzie rozbierający kapliczkę. Vidar spał.

Rozdział 23

Spieniony koń niespodziewanie wychynął z ciemności i zadarł szyję, wstrzymany gwałtownym szarpnięciem jeźdźca. Człowiek klepnął rumaka po spoconym karku i z trudem wyprostował się w siodle.

– Otwierać – bardziej powiedział, niż zawołał.

Gród sprawiał wrażenie opuszczonego, a na palisadzie nie było żywego ducha. Jeździec zsunął kaptur, odsłaniając młodą, obandażowaną twarz.

– Jest tam kto? – zawołał jeszcze raz, tym razem z lekkim napięciem.

– *Hver í veröldinni ert Þú?* – odkrzyknął ktoś z wałów. Tu i ówdzie zamajaczyły ciemne sylwetki kryjące się za okrągłymi tarczami.

– Belka ci na łeb padła? – Jeździec próbował nadać swemu głosowi groźne brzmienie. Na częstokole zapłonęła pochodnia i blask padł na brodatą twarz trzymającego ją woja.

– Uff, to ty, Gunulf... Długo jeszcze sterczeć tu będę?

– Na jedyne oko Odyna! – Gunulf się zachłysnął. – Toż to młody Svein! Otwierać bramy w te pędy i wieczerzę...

– O wieczerzy później pogadamy. Lepiej weź dziesiątkę wojów i na Łososiowy Potok jedźcie! Tuzin ludzi tam ostawiłem, ranni niektórzy...

– *Skal gert!* A reszta gdzie?

– W Valhalli.

Svein zaśmiał się ponuro, przejeżdżając przez spuszczonego most.

Pochodnie dziko łopotwały na wietrze znad fiordu.

Na szerokiej ławie płonęły dwa kaganki. Svein jadł pośpiesznie, wpychając w siebie ogromne kęsy gorącego jeszcze mięsiwa i łapczywie popijając je piwem. Siedzący obok stary Trygve Ivarson, jarl na Hladir, oparł się łokciami o blat i ukrył zmęczoną twarz w ogromnych dłoniach. Ukradkiem zerkał przy tym na syna, a jego oczy, na ogół surowe, teraz zdradziecko zwilgotniały.

– Rannyś – odezwał się w końcu grubym głosem, jakby chcąc pokryć słabość.

– Nic to, ojciec! – Svein roześmiał się, szczerze i głośno i uderzył dłonią w stół. – Ledwie policzek draśnięty! – Dotknął opatrunku. – Łaskawy był Thor!

– Mówże. – Głos ojca był suchy, jedynie oczy wciąż dziwnie błyszcząły. – Gdzie hufiec, gdzie wojewoda Kalleson?

– Ziemię gryzie i takież większość hufca, ojciec. – Svein spochmurniał. – Ledwie tuzin z matni urwał, a z tych dwóch z ran szczeło.

– Buntownicy?

– Daliby bogowie, by to buntownicy byli! – Młodzieniec zacisnął pięści. – Ci do lasu nas jeno zwabili, a strzałami szyli z ukrycia. Wielu naszych padło i konie niemal

wszystkie, ale dalibyśmy radę, tylko...

– Tylko co, Svein? – Ze starego jarla po raz pierwszy opadła maska obojętności i żywo chwycił syna za dłoń.

– Ot, wycięli nas, i tyle... Ledwie co widział, ale zdawało mi się, że cały las na nas idzie.

– Las?!

– Las i wszystko, co w nim żyje. Trolle, ojciec, korostwory, liścienie i insze...

– Na włócznie Odyna! A ty?

– Wojewoda kazali mi na koń wsiadać i nawrót zrobić, coby tamtych od tyłu zająć! Wpierw strzałami w nich, a potem toporami! No i wpadlim między drzewa i cielim gdzie popadnie, aż nas przyuwały, wieprze skubane. Dwunastu ledwie karki uniosło, drugie tyle na mchu tam zostało. Ojciec, takiego strachu nigdy... – Nagle załamał mu się głos.

– Baba żeś czy woj? – ofuknął go bezlitośnie stary Trygve. – Mów dalej. Co z wojewodą?

– Sprawił się dzielnie. – Svein zagryzł wargi. – To dzięki niemu zemknąłem. Stał z garścią chłopca i pieszo walczyli, nasz odwrót osłonił... Okropną śmierć mieli.

– W Valhalli nynie gody na ich cześć... – Trygve spochmurniał. – Sam Odyn pewnikiem go w bramach powitał...

– Pewno. – Z głośnym szurnięciem Svein odsunął miski i oparł się łokciami o blat, jak to zwykł czynić ojciec. – Słyszałem między drzewami, jak ludziom kazał się modlić... – powiedział cicho, zapatrzwszy się w płomień kaganka.

– Zawsze szydził z tego, że ludzie bogom powolni! – zdumiał się stary jarl. – Na łeb mu padło?

– W tej puszczy też by wam, ojciec, na łeb padło – odpowiedział.

Chwilę milczeli, po czym opowieść znów podjął Svein:

– Zebrałem tych, co ocaleli, i od czterech dni pędzimy po bezdrożach. Jakiś smolarz nam powiedział, że Nidaros obleżone i Swije w kraju hasają, tedy z miejsca tu przyjechał. Szczęście, że go posłuchał.

– Ano szczęście... – powiedział cicho Trygve. – Swije pojawili się dwa dni temu z wieczora. Tysiące wojów, Svein, mnogie drakkary z Uppsali i Gotlandii. Nynie miasto szturmują. Ciężko tam teraz, może nawet padło już...

– Wały mocne i zamek z kamienia... Nidaros nie padnie łatwo!

– Załoga słaba. – Stary jarl się wykrzywił. – Halvadanson odesłał kmieci do chat, resztę podzielił na załogę miasta, swój orszak i hufiec Kallesona. Może z setka się ostała. Moich chciał brać do załogi, nie zwoliłem! – Twarz starego napłynęła krwią. – Chłystek! Przywłoka! Wara mu od mojego majątku, od moich ziem! Ród mój stary i zacny! Wielu naszych przodków na tronie Nidaros zasiadało, a ten smark, ta żmija...

– A Gudrun? – Svein zastygł nagle. – Są jakieś wieści od niej?

– Nie, żadnych – Stary się skrzywił. – Ale o weselisku zapomnieć możemy.

– Jakże to? Nie spodobała się królowi? Nadobna przecie...

– Dureń byłem i tyle – wybuchnął Trygve. – Dałem mu Gudrun, bom myślał, że nasze rody się połączą, ale ten trzyma ją jak zakładniczkę! Córkę jarlowską! Gad! A ty wiesz, Svein, dlaczegoś królewskim rozkazem z Kallesonem pojechał?

– Powiedzcie, ojciec...

– Chłystek chce nas wygubić! – syczał z wściekłości jarl i zacisnął pięści – Nie rozumiesz tego, Svein? Ino was dwoje mam! Gdybyś zginął, wzięłby Gudrun za żonę i w ten sposób po mojej śmierci zawładnąłby Hladir. Moja Gudrun, moja biedna Gudrun. Dureń ze mnie i tyle.

– Dobrze więc, że mu nie wyszło, ojciec. – Svein wstał. – My tu bezpieczni, a król Swijami zajęty!

– Ha! – wrzasnął Trygve, drżąc ze słabo tłumionego gniewu. – Króla nie ma w mieście!

– Jakże to?

– Był ci wziął garść wojów i na obchód królestwa pojechał! – wypluł stary z nienawiścią. – Wojewoda Ottarson bram broni, ale długo gród nie wytrzyma, a wtedy Swije do Hladir przyjadą. Wiedzą, kto w krainie najbogatszym gospodarzem. Cud, że jeszcze ich tu nie ma.

Znów zapadło milczenie. Svein nalewał miodu do rogów, a Trygve sapał ciężko.

– Muszą tedy ludziska dość mieć i Boga na Krzyżu i Białego Jastrzębia... – powiedział w końcu Svein i upił miodu. Nie patrzył na ojca.

– Ech, nie wiem, czy jeszcze im sił na nienawiść starcza! – parsknął stary.

– Lud gnębiony, juści... Może tedy otuchy by im zanieść? – Svein był zamyślony.

– Co?

– Źle prawie? – Svein zmarszczył brwi. – Nie potrzebuje pociechy człek skołatany?

– O czym ty, Svein, gadasz? – Oczy starego były szeroko otwarte.

– Mówicie, ojciec, że w mieście nadziei nie ma, bo załoga skąpa. – Młodzieniec wzruszył ramionami. – Tyżeś najbogatszym gospodarzem, a miasto nieopodał. Skrzyknij tedy hufiec, ojciec...

– Byłbym miał ten hird co kiedyś. – Trygve westchnął i potrzęsnał gęstą, siwiejącą grzywą. – Sam wielu do chat puściłem, a tylu spod Bjorgvin nie wróciło. Ledwie co załogę Hladir skleciłem!

– Tedy wojów dość! – wykrzyknął młody jarl. – Ojciec, nie czas pod dachem siedzieć! Pójdźmy Nidaros z odsieczą!

– Głupiś, Svein! – Ojciec huknął pięścią w stół. – Hladir trzeba było się zająć! Ludziom w lasy uchodzić zem nakazał, dobytek brać, bydło, zapasy mnogie. Eskortę im przydzieliłem, sobie jeno parę dziesiątek ostawiając. Za tydzień będą z powrotem.

– Na loki Siv i kopyta Sleipnirra! – Zafrasowany Svein tarł czoło. – Czasu nie ma, próbować trza.

– Próbować, próbować... – zniecierpliwiony Trygve oparł się plecami o ścianę i wypuścił z sykiem powietrze. – Ryzykować całym jarlostwem.

– Posłuchajcie mnie, ojciec, do końca! – Młody wojownik się poderwał. – Śmierć Kallesona nauczyła mnie jednego. Gdy nadzieja zniknie, tedy do ataku trza, ojciec... W tłum i ciąć!

– W tłum i ciąć! – prychnął ojciec. – Po to od setek lat na Hladir siedzimy, by dać się po prostu w jakiejś przepierce wyrąbać?

– Samiście rzekli, że Swije tu ruszą, kiedy się z Nidaros upora! Utrzyma się Hladir?

Obroncie jarlostwo przed takim wrogiem? – Svein niecierpliwie zdmuchnął niesforny lok z czoła. – Wyrzną nas i tyle, ojciec! Lud będzie potem opowiadał, jak to jarlowie na Hladir, miast Nordwegu bronić, w domostwie się zaszyli i czekali, aż...

– Złą sławą mnie, chłystku, nie strasz!

– Nie straszę złą sławą, jeno do dobrej sławy nakłonić cię chcę! Ojciec, parę dziesiątek ci ostało. Z takim zastępem oblężenia nie przerwiem, ale Hladir też nie obronim! Nie tędy droga...

– Coś ty, Svein, sobie umyślił?

– Zajdziemy Swijów tak, jak nas zaszli buntownicy. Uderzymy ich w plecy, kiedy szturmem zajęci będą! Obóz im spalimy! Wozy potniemy! Do bram się przedrzem!

– Juści! – Ojciec poderwał się, oczy mu pałały. – Ottarson spostrzeże okazję i zrobi wypad! Będą ludziska święcić męstwo jarłów na Hladir!

– Juści, ojciec! – wykrzyknął radośnie Svein. – Pozna lud z Nidaros, że król ich opuścił, ale nie jarlowie! Strzał im nawieziem, jedzenia, ile się da, i otuchy dodamy! Po cienkim lodzie stąpamy, ojciec, jeno innego wyboru nie ma.

– Ech, chciałbym zobaczyć minę królewskiego smarka, kiedy go do Nidaros po bitwie wpuścimy! – sapnął z radości Trygve. – Odpocznij, synu, ja się zajmę resztą. Jutro przed południem wyruszym.

Rozpromieniony Svein nalał sobie jeszcze miodu, a Trygve dźwignął się z ławy i trzymając przed sobą kaganek, ruszył ku wyjściu. Nagle w sieni zatupały czyjeś śpieszne kroki.

– Jarlu! – zawołał głośno Gunulf. – Przywiedlim ludzi waszego syna i...

– I o co tyli raban! – warknął Trygve. – Opatrzyć im rany, nakarmić i spać dać!

– To już żeśmy zrobili, jeno...

– Tedy o co chodzi?

– Coś dziwnego nad Nidaros się dzieje!

– Łuna? – zaniepokoił się stary.

– Nie, coś inszego... Lepiej sami spójrzcie...

– W przyjaźni przybywamy, choć darów nie przynosimy... – Głos Psiego Ucha zadrzał.

Harald nisko pochylił głowę.

„*Fyrir Þór*, co za bzdury! – pomyślał z wściekłością. Dary? Przyjaźń? Co on wygaduje?”

Gniew się przydawał, bo dzięki niemu strach stawał się mniej dotkliwy.

Stali we trójkę na jasnym, miękkim piasku na brzegu czarnego stawu, twarzami zwrócenii w stronę przedziwnego, gdyż uformowanego z rzędów mocnych stalagmitów, tronu. U zwieńczenia oparcia tkwiły dwie kule z nieprzejrzystej substancji, roztaczające wokół aureolę łagodnego, ciepłego światła.

W zielonych oczach zasiadającego na tronie władcy lśnił jednak chłód. Karzeł był odziany w przepyszny półpancerzyk, jakiego przyzwyczajony do kolczug Harald nigdy

na oczy nie widział. Na jego szponiastych palcach lśniły pierścienie z drogocennymi kamieniami, a długie, mlecznobiałe włosy spinał diadem z rubinem wielkości przepiórczego jaja.

Przez umysł Haralda przebiegła nieposłuszna myśl o tym, jak wiele mógłby uczynić za takie bogactwo, lecz nieoczekiwanie zawisł na nim badawczy wzrok władcy i woj znów opuścił głowę.

Otoczał ich półmrok jaskini, ale Harald wyczuwał obecność innych karłów, nieruchomych wojowników w mocnych pancerzach i hełmach, rzeźbionych w głowy zwierząt i potworów. Przyzwyczajony do ogorzałego, rumianego oblicza Arnula, nie spodziewał się ujrzeć upiornych, trupio bladych twarzy z oczyma lśniącymi jadowitą zielenią. Pyszny miecz na plecach palił go żywym płomieniem.

„Dary, przyjaźń...” – przyszły mu na myśl słowa Psiego Ucha. Czym one były dla potężnej, magicznej rasy z podziemi, która w pogardzie miała zarówno bogów, jak i ludzi? Kule rzucały światło, wojownicy milczeli, z oddali dobiegał zniekształcony odgłos młotów, uderzających w kowadła i pokrzykiwania.

– Od ludzi z miasta Nidaros z poselstwem przychodzimy – wymamrotał Psie Ucho. – O przyjaźń prosić chcemy...

„Wyśmiejcie nas karzeł, włóczykijów!” – Harald poczuł ukłucie rozpacz.

Ten jednakże milczał. Czekał.

– Bieda wielka nam nastąpiła, bo miasto obleżone i znikąd pomocy czekać – mówił Psie Ucho. – Wielcy miasta postanowili, że dzieciom Ymira musimy się pokłonić i o sojusz prosić.

Znów tylko milczenie.

– Swijowie pod murami stoją, a króla nie stało...

Naraz stary karzeł poruszył się na tronie i przeniósł spojrzenie na Arnula.

– Karzeł między wami. Niech on mówi – powiedział grubym, zgrzytliwym głosem. Harald nie mógł się oprzeć wrażeniu, że karli władca odezwał się po raz pierwszy od wielu, wielu lat.

Arnul poruszył się nerwowo.

– Ale ja...

– Z którego plemienia przychodzisz? – Władca zmarszczył krzaczaste brwi. – Zda mi się, żeś długo jednak w domu nie był.

– Prawdę rzeczenie, mi... miłościwy panie. – Arnul bezradnie rozłożył ręce. – Moją rodzinę wilki rozszarpały i ludzie mnie... mnie przygarnęli. Między nimi żem chowany.

– Zrazu żem wiedział. – Władca uśmiechnął się złośliwie. – Mówisz jak człek, nie jak karzeł. Karzeł bowiem mówi tylko wtedy, kiedy ma coś do powiedzenia. Zbyteczne słowa są jak niepotrzebne uderzenia młotem, gotowe zniszczyć cały efekt pracy.

W Haraldzie znów wezbrała złość. Miecz na plecach palił.

– Ludzie lubią niszczyć owoce swej pracy. – Karzeł patrzył na przybyszy z drwiną. – Wielcy, mocni ludzie. Ludzie ze swymi końmi, zamkami i niespokojnym duchem. Ludzie ze swoim nowym bogiem. I oto potężni ludzie przychodzą do wrogów odwiecznych. Po co? Czyżby o pomoc prosić?

– Nigdy żeśmy wojny nie toczyli! – bąknął Psie Ucho.

– Wielcy, potężni ludzie nie muszą poczuć miecza na skórze, by nazwać kogoś wrogiem! – syczał karzeł. – Wy ludzie myślicie za prędko, a mówicie jeszcze szybciej.
– Zapalczywy to lud, ale nic złego wam... – wyjąkał Arnul.
– Moje plemię nie zostało wpuszczone na ting – przerwał mu karli władca. – Nie zaprzeczaj.

– To przez kapłanów Boga na Krzyżu! – zaperzył się Arnul. – Oni grodem i krainą nynie rządzą i...

– I w perzynę go obracają. Pokazali już nam nasze miejsce.

– Panie, złe rządy w kraju panują, a my szukamy sposobu, by to przerwać – zaczął Psie Ucho, ale karli władca zmarszczył krzaczaste brwi.

– Buntownikami jesteście – oznajmił. – Szaleni, zapalczywi ludzie. Nie wplączesz górskiego ludu w swe intrygi, starcze.

– Nie jesteśmy bu... buntownikami! – wypalił Arnul. – Wysłał nas tu jeden ze sług Boga na Krzyżu, który z da...dalekiego Albionu do Nordwegu przybył i...

Niespodziewanie stary karzeł zsunął się z tronu i podszedł szybko do Arnula. W jego zielonych oczach buzował zimny gniew.

– Dość mam tego, człecz synu – wycharczał. – Nie będziesz drwił z honoru górskiego ludu. Wprzód świątki wyżać nas chciały, by nynie o pomoc prosić? Za głupców nas masz?

– Miasto oblężone i jeśli padnie...

– Wojów nie macie? – parsknął karzeł. – Dość wojów zastawiło Hornoboriemu drogę na Orating! Ha, jednego dnia plwacie na nas ze wzgardą, a drugiego płaszczycie się jak psy! Oto wy, ludzie! Zapalczywi, gniewni ludzie!

– Ja jestem karłem – nadspodziewanie hardo powiedział Arnul.

Szmer zapanował wśród karlich wojów. Władca przygłodził siwe wąsiska i wpił drapieżne, złowrogie spojrzenie w Arnula. Woda pluskała w mrocznej oddali, młoty cierpliwie uderzały w czeluściach jaskini, a Harald nieoczekiwanie usłyszał swój cichy, pełen złości głos:

– Tak, on jest karłem, królu, i pierwszy ruszył, kiedy ów świątek podróż do Karlich Wzgórz obmyślił. Odnaleźliście zaginionego rodaka, karli królu. To powód, by się radować, a nie drwinami obrzucać. – W jego głosie, mimo lęku, pojawiła się wściekłość.

– Jeśli zaś ochoty nie macie, karli królu, by gadać z nami szczerze, to ino rzeknijcie. Czym prędzej stąd pójdziem, bo mój miecz w Nidaros się zda!

Zielone oczy króla przewiercały Haralda, lecz tym razem wojownik nie odwracał głowy.

– Zapalczywi, gniewni ludzie – powiedział karli władca. – Pójdziemy, mówią z gniewem. Pójdziemy... Jestem karlim królem, jak sam mnie nazywasz. Myślisz tedy, że z mego władztwa wyjdiesz, bo cię gniew ogarnął? Człeku zapalczywy, pójdiesz dopiero, kiedy ja ci na to zezwolę!

– O zezwolenie żebrać nie będę! – zażartował Dun.

– Duchy tych, którzy sprzeciwiali się woli karlich władców, do dziś hulają po górskich ścieżkach – oznajmił król i zasiadł na tronie, nie spuszczaając spojrzenia z Haralda.

– Wždy nie przynosimy zła, karli królu – odezwał się Psie Ucho.

– Ty nie jesteś złem, boś stary. – Karzeł wydał suche wargi. – Człeczny syn Arnul również nie jest złem, bo młody i niewinny. Ludzie są tacy jak on.

Ciężki od pierścieni palec wskazał Haralda.

– Trudno się sprzeciwić – parsknął Harald. – Juści, gorąca krew we mnie i do topora nawykłem. Skoro mówisz, panie, że inni ludzie są tacy jak ja, zwólcie tedy, bym mówił w ich imieniu.

– Zezwalam – powiedział król.

Arnul drgnął. Był pewien, że dostrzegł w jedynym oku Haralda ulotne lśnienie drwiny i naraz zrozumiał, że pytanie o zgodę było tylko wybiegiem. Harald miał plan.

– Bywało, że karły mieszkały między ludźmi, królu – przemawiał. – Pamiętacie? Niezbyt nam ta współpraca wychodziła, bo zazdrościliśmy wam broni i diamentów, baliśmy się czarów, ale nade wszystko nie mogliśmy znieść tego, że znacie nasze myśli. Że przyszłość widzicie i przeznaczenie. Prawda li to, karli królu?

– Prawda.

– I ja też się tego lękam, bom prosty człek – mówił Harald, nie spuszczać wzroku z karlego władcy. – Jeno ja przeznaczenie swe już poznałem, przeto mniej mi to straszne.

– Poznałeś swe przeznaczenie? – zdumiał się król. – Jakże to, człeku zapalczywy?

– Wiele się dzieje w Midgardzie, karli królu, czego pod ziemią nie znać. – Harald uśmiechnął się krzywo. – Ja i moi druhowie wplątani zostaliśmy w wielkie wydarzenia, które nie do końca rozumiemy, ale... – Na czole Haralda pojawił się pot. – Ale to tylko słowa, karli królu. Niech ci me myśli opowiedzą o tym, co się naprawdę dzieje.

Arnul znieruchomiał z szeroko otwartymi ustami.

Harald zamknął jedyne oko i westchnął ciężko. Był gotowy, by pozwolić karlemu królowi czytać własne wspomnienia.

Ten się nie wahał. Drapieżne myśli wgryzły się w umysł Haralda i tak karzeł zaczął czytać o nowym porządku, o karach za hołdowanie dawnym bogom i przywilejach za służbę Nowemu. O szalonym, bezlitosnym królu, o armii, najpierw potężnej i zwycięskiej, teraz niszczonej i rozpuszczanej. O kraju bezbronny, zdezorientowanym, który Swije znaczyli ogniem i zniszczeniem. O cierpiącym Nidaros i dzielnym Konradzie, który sam jeden chciał prowadzić walkę z ciemnością. O szansie na przetrwanie, niewielkiej, drobnej iskieierce nadziei...

Harald otworzył oko – było szkliste, a cera wojownika przypominała teraz pergamin. Karzeł przesunął językiem po wargach i zamrugał.

– Czy już wszystko pojmujecie, karli królu? – spytał z wysiłkiem. – Swije walczą po stronie starego porządku, ale myślą jedynie o łupach i zemście. Jeśli ich przegnamy, może uda nam się jakoś wrócić do normalności. Dodam jeszcze jedno – myśmy lud zapalczywy, ale i pamiętliwy. Nikt nie zapomni karlego hufca, który z odsieczą przybył.

Miecz palił go w plecy. Karzeł zamyślony patrzył daleko nad powierzchnią czarnego stawu.

– My nie nawykli do mieszania się w wasze sprawy. Mierzają nas.

– Tedy siedźcie pod ziemią. Czekać, aż wam świątki postronek na kark narzuca.

– Już tak się stało – oznajmił niespodziewanie karzeł.

– Jakże to?

– Od lat kupowalim od was żywność, a teraz... We wsiach karłów się boją, bo kapłani karami straszą! Nie sposób jadła kupić...

– Głupcy jesteście! – Król uderzył pięścią w poręcz tronu. – Wždy srebrem płacimy! Wasz król, gdyby chciał, mógłby dzięki nam złote hufce wystawić! Za pszenicę!

– Przełamcie oblężenie, prze... przełamiecie i strach ludzki – szepnął podniecony Arnul.

Siwowłosa karzeł spojrział na Arnula i wpatrywał się w niego przez przerażająco długą chwilę.

– Pójdziemy z wami.

Zbliżał się już wieczór i Karle Wzgórza nikły z wolna w głębokim mroku, ale Harald i Arnul patrzyli tam, gdzie leżało Nidaros. Myśleli o tym, czego właśnie doświadczyli. O jaskiniach, karłach, skarbach i przeznaczeniu. Jako pierwszy odezwał się Arnul:

– Nigdy bym nie pomyślał, że ty... Że tak gadać umiesz.

– Ja też z tym tego nie wiedział... – wymruczał Harald; jego dłoń wolno przesuwiała się po rękojeści miecza. – To wszystko przez przepowiednię, walkirię i Randiego, a zwłaszcza przez miecz.

– Miecz? – Arnul się zaśmiał.

– Nie kpij, to magiczna klinga... – burknął Dun. – Ciężkim palił moje plecy i odwagi dodawał. Wždy karla to broń.

– Juści, że karla – usłyszeli za sobą znajomy głos. Hannar Puchacz wyszedł z cienia za załomem skalnym i podchodził w ich stronę. Był nieuzbrojony, zostawił gdzieś swój dziwaczny hełm wraz z tarczą, nie było też z nim owej groźnej sowy. – I to zacnej roboty. Z dawnych lat to klinga, wojownika.

– Zwę ją *Úlfabaninn* – mruknął Harald.

– Zabójca Wilków... Rad bym wiedzieć, skąd go macie.

– To dar! – warknął Harald ze złością.

Hannar pokiwał głową, odgarnął dłonią kruczoczarne włosy z czoła.

– Wiem. Taka klinga nie pozwoli się zrabować.

– Ty też czytasz w moich myślach, karle?

Harald czuł, jak gęstnieje w nim złość.

– Nie. – Hannar pokręcił głową. – Niewielu z nas to umie, a i ci niechętnie się tym darem bawią. Inni widzą przyszłość, wykrywają fałsz w spojrzeniu czy poznają uczucia na odległość. Różnorakie są dary, ale rzadko z nich użytek robimy.

– Dlaczego? – wyszeptał Arnul.

– Na co nam to? – Strażnik wzruszył ramionami. – Wobec siebie zdolności tych użyć nijak, bo przecie pogadać można. My uczciwy lud, kłamstwa nie znamy. A ludzie? Rzadko już was widujemy, a i kiedyś żal było myśli wasze czytać.

– Żal?

– Brzydzimy się ich – powiedział wprost Hannar. – Ludzkie myśli są pełne chaosu, rozbiegane, na poły szalone, trujące... Po co to nam?

– Ja... ja czasem widzę przyszłość – westchnął Arnul.

– Najgorszy dar z możliwych – skwitował Hannar.

– No, nieraz już się przydał... – Harald wykrzywił wargi. – A ty?

– Ja słyszę fałsz w głosie.

Chwilę stali w milczeniu, aż oba karły drgnęły i jak na komendę spojrzały w jedną stronę. Daleko za Karlimi Wzgórzami rozszalało się niebo. Pojedyncze, poszarpane nitki błyskawic uderzały w jedno miejsce na ziemi, a granatowe, groźnie skłębione obłoki raz po raz błyskały złowieszczym różem.

– Na młot Thora, co to? – szepnął zdumiony Arnul.

– Magiczna burza nad Nidaros – wyszeptał Psie Ucho.

– Czyżby Thor zstąpił z niebios? – Dun zbladł nagle. – Ragnarok?

– To nie Thor ani Ragnarok. – Hannar mrugnął wreszcie i odwrócił się. – Ktoś czary uprawia, jeno... Jeno takich jeszcze żem na oczy nie widział.

– Ktoś się srogo zbiesił... – Przerażony Arnul spojrział na Haralda i Psie Ucho.

Naraz całej trójce stanął przed oczyma widok starego, dostojnego człowieka z siwą brodą i posępnym odyńcem u boku.

– Jutro wyruszamy do Nidaros. – Hannar szedł w stronę wejścia do jaskini.

– Wyruszamy do Nidaros – powtórzył mściwie Harald. – Przysięgałem wielu ludziom śmierć i nadszedł czas, by się z tego wywiązać. Będę ciął i rąbał, póki nie powalę ostatniego z nich.

Hannar zatrzymał się i wydał wargi.

– Kłamiesz.

Rozdział 24

Wykrzywiony na podobieństwo trójzębu piorun z ogłuszającym grzmotem rozdarł ciemnopurpurowe niebo i uderzył na wysokości wałów. Ottarson instynktownie uchylił się przed gradem mokrych drzazg i grudek gliny, a kiedy podniósł wzrok, ujrzał niebieskie ogniki pełzające po drewnianych blankach. Obrońcy znikli, jakby wymiotła ich jakaś potworna siła.

W tej samej chwili wojewoda ujrzał kontur woja z okrągłą tarczą na plecach, przedzierającego się przez wyrwę. Ottarson błyskawicznie zerwał łuk z pleców i strzelił, nie celując. Ryk trafionego w szyję wojownika utonął w eksplozji kolejnych, tym razem dalszych błyskawic, lecz wojewoda już piął się na wały, by spuścić miecz na hełm kolejnego z wdrapujących się Swijów. Ten runął z wrzaskiem do fosy, a Ottarson porwał bosak i wparł go w szczeble przystawionej drabiny.

Strzały świstały wokół jego uszu, a on zamknął oczy i z nadludzkim wysiłkiem pchał drabinę, rycząc niczym raniony niedźwiedź. Ludzie wokół niego podnosili się, oszołomieni hukiem, ktoś inny złapał za bosak i naraz Ottarson poczuł, jak drabina zaczyna się przechylać. Z dzikim wrzaskiem swijscy wojownicy spadali do fosy, a wojewoda już trzymał łuk i nakładał strzałę na cięciwę.

– Co z wami? – krzyknął w stronę obrońców, wciąż otępiałych i niezgrabnie ujmujących upuszczoną broń. – Sam mam tu karku nastawiać? Ty i ty, do łuków, reszta nawieźcie kamieni!

Ludzie jakby się ocknęli i zaczęli się żywiej poruszać, a Ottarson wypuścił ostatnią strzałę do wygrzebującego się z fosy Swija i już biegł dalej, wykrzykując rozkazy i przekleństwa. Oczy łzawiły mu od wszechobecnego, gryzącego dymu – wały płonęły w wielu miejscach, a dwie strażnice zostały zdruzgotane uderzeniami piorunów. Z pożarami walczono też w głębi miasta, gdyż nie wszędzie dotarł rozkaz przykrycia dachów mokrymi skórami. Jednak z tego, co widział, obrońcy wciąż trwali na stanowiskach, a ci, których wyznaczył do zadań pomocniczych, dwoili się i troili. Widział dwie niewiasty w ubrudzonych szatach, z wysiłkiem niosące rannego woja, płomienie pod kotłami z wrzątkiem wciąż płonęły, a sterty głazów do ciskania nie malały.

– *Andskotinn!* – Potknął się o trupa ze swijską strzałą w gardle. Ponad wrzawą bitewną niósł się głuchy odgłos dzwonów z zamku królewskiego, co jednak miast wspierać obrońców, najwyraźniej dodawało sił napastnikom. Za wałami poniosł się wrzask nacierających Swijów, a w kilku miejscach znów pojawiły się końcówki drabin.

Zmęczony Ottarson oparł się o osmoloną blanę.

„Na jak długo starczy mi sił, by podnosić za kołnier każdego, co się złęknie piorunów?” – pomyślał, instynktownie zasłaniając się przed ciśniętym z dołu oszczepem.

Pulsujące purpurą niebo wypluło kolejną błyskawicę. Wał zadrżał, a Finn poczuł na plecach żar strzelających niedaleko płomieni. Widział czołgających się w błocie rannych

i szerniały zwłoki na zasnutej dymem strażnicy.

– Rusz się! – ryknął, chwytając jakiegoś skulonego, pobladłego młodzika z łukiem i targnął nim bezlitośnie. – Chwyć ten łuk, znajdź kilka strzał i czuwaj!

– Wy! – Zeskoczył w błoto i podbiegł do trzech osmolonych mężczyzn schowanych za przekrzywionym wózkiem z kamieniami. – Dawaj z tymi kamlotami do bramy!

– Panie wojewodo!

– *Hvað?* – Ottarson odwrócił się na pięcie.

– Swiye taran pod główną bramę podciągnęli! – sapał przybysz, nie mogąc złapać tchu. Był to młody chłopak o jasnych, posklejanych włosach, jedno oko nikło mu pod straszliwą opuchlizną.

– Dopuściliście gnojożerców?

– Nie dalim rady, wojewodo! Piorun strażnicę strzaskał, a katapulta w drzazgi poszła!

Fosę zasypali!

– Łajno! – zaklął Ottarson. – Jak cię zowią?

– Olav! Z grodowej straży jestem!

– Dobra, Olav, w te pędy do bram! – wrzasnął Ottarson.

Biegli jak szaleni, po drodze zgarniając każdego zdolnego do walki. Dotarli na miejsce, gdy wśród pękających belek bramy wysunął się już spłaszczony nos taranu.

– Dalej, krowie syny! – ryczał Ottarson, chwytając w biegu jakiś kołczan. – Komu jaj jeszcze nie odrąbali, ten ze mną! Zapłacą Swiye myto za wjazd na targ w Nidaros!

Rozgrzane powietrze zniekształcało osmolone, skrwawione twarze obrońców. Bale z wolna pękały z trzaskiem, niebo nad nim mroczyło, jakby zbierając się do wyplucia kolejnego pioruna, wojownicy skupili się wokół wojewody. Z wałów spadł z wrzaskiem jeden z ostatnich łuczników.

– Juści, wojewodo! Będziemy pluć im w mordy, aż zabulgotają! Rozbiesel się żem jak mała kiedy, a zły Edgar to nawet samego Thora na smyczy z Asgardu wyciągnie! – zawył niespodziewanie jakiś gruby, starszawy woj z siwymi wąsiskami, wymachując nad głową kulą na łańcuchu.

Za nim wychyła garść roślących mężów z toporami i włóczniami, z których ściekała już krew.

Świeżo przybyły oddział zatrzymał się za sapiącym Edgarem, który ujął się pod boki i ruszył z dumą ku wojewodzie. Jego wojowie milczeli, rzucając na boki groźne spojrzenia.

– Ktoś zacz! – zdumiał się Ottarson.

– *Heill sé yður!* Pozdrawia was Edgar, najstraszliwszy woj w całym grodzie, wojewodo! – huknął stary. – To znaczy, najstraszliwszy po was, wojewodo! Hufiec przygodny wam na pomoc przywiódłem, dopomnę się więc o kilka wersów w sadze, jaką napiszą po tej bitwie. Drwali okolicznych żem skrzyknął i wemknąłem się wschodnią bramą. Wielu tam Swijów nie było, a bramy znajomek mój strzegł, Sigbjorn. Dorodnych chłopaków żem wam przywiódł! – Edgar gospodarskim gestem pokazał ludzi za sobą. – Każdy obietnicę złożył, że nie dogodzi babie, póki trzech Swijów nie ubije! Chi chi, ale będzie jatka, co nie, wojewodo?

Ottarson patrzył ze zdziwieniem na nowo przybyłych, lecz naraz wybuchnął głośnym

śmiechem, jakby zapominając o Swijach, taranie i magicznych piorunach. Przybysz również rechotał głośno, aż mu brzuszysko podskakiwało, nawet osmolone, znużone twarze ostatnich wojów Ottarsona ozdobiły uśmiechy. Taran niestrudzenie uderzał o drewno.

– Zali sam Thor was zsyła, Edgarze? – Wojewoda opuścił nieco miecz.

– Tak też mniemam! – Edgar z entuzjazmem kiwnął głową. – Ale nie mieszajmy ino Thora do naszej własnej rozpierduchy, bo wnet gości mieć na tych godach będziem.

– Gości?

– A juści! – Edgar komicznie ujął się pod boki, wyprostował i grubym paluchem nakreślił krzyż na piersiach.

– Nocni Krzyżowcy do nas wałą! – wrzasnął rozradowany Ottarson, wznosząc miecz ku niebu.

Narastający brzęk zbroi nadchodzących szybkim krokiem krzyżowców złał się z trzaskiem bali. Ogromny, obły nos taranu na nowo pojawił się w wyrwie, a obrońcy zastygli w oczekiwaniu.

– A ojcem świętego Dzieciątka Jezus nie był Józef. Kto zacz, spytacie pewnikiem. Ano jeszcze przed narodzeniem Dzieciątka Jezus pierwszy cud się wydarzył. Oto zstąpił z niebios Duch Święty i on to sprawił, że Maryja brzemienną się stała, choć cięgiem dziewicą była. Tak też i nynie ją zwiemy – Dziewica Maryja.

Karcznię, ongiś zwaną Przybytkiem Ran, znów wypełniali ludzie, choć tym razem nie było słycać gderliwego śmiechu starego Joriego ani stukotu kufli. Dziesiątki par oczu – młodych i starych, zadziwionych i przymrużonych, złych – wpatrywały się w Konrada. Ściany karczmy drgały, gdy w sąsiedztwie trafiały pioruny, a czasem przez szczęk oręza przebił się jęk ginącego, niemniej wszyscy milczeli, zasłuchani.

– Józef i Maryja przybyli na osiołku do niewielkiego sioła o nazwie Betlejem. Strudzeni byli wielce, a nadto Maryja spodziewała się narodzin. Ludzie o złych sercach mieszkali tedy w Betlejem, ni jeden gościny nie udzielił wędrowcom. Bardzo słabowała już tedy Maryja, tedy musieli w stajence małej noc spędzić. Ponura to była i ciemna noc, ale wtedy to właśnie zaświtała nadzieja dla wszystkich ludzi o dobrych sercach, bo malutki Jezus po raz pierwszy spojrział na świat. Józef złożył płaczącego skrzatka w żłobku.

Po ścianach karczmy pląsały cienie padające od jedynego łuczywa. Oczy mieszkańców Nidaros błyszczały niczym rój świetlików, kiedy chłoneły dziwaczną, lecz dodającą otuchy opowieść. Milczeli, wystraszeni, nieufni, ale zasłuchani.

– Wielka światłość nastała wówczas na niebie, choć noc to była. Pobudzili się pastuszkowie we wsi sąsiedniej, patrzą, a dziwują się. Tedy przypomniał najstarszy, że Jezus Chrystus miał przyjść na świat i zrozumieli wszyscy, że tak właśnie się stało. Oto Zbawiciel, którego oczekiwali, wreszcie zstąpił na ziemski padół. Pobieżyli tedy wszyscy umiłować go i śpiewać mu... Hej, ty, pokaż rękę! I ciepłej wody jeszcze dajcie.

Karczma przeistoczyła się bowiem w szpital. Opatrzeni, półprzytomni wojowie leżeli na ławach, przy niektórych klęczały niewiasty, ocierając im pot z czoła i wlewając wodę w spękane usta. Obok Konrada siedział stary rybak z nogą w łupkach, młodzieniec z mokrą od potu twarzą trzymał się kurczowo za wilgotny już opatrunek na ramieniu, a pod ścianą leżała starsza kobieta twarzą owiniętą jasnym płótnem. Ten i ów jęknął, kilku płakało z bólu, ale wszyscy łączywie słuchał historii Konrada:

– Dziw wam pewno, że Zbawca urodził się w nędznej stajence, ale inni szybko docenili jak wielki to władca. Oto bowiem przybyło trzech wielkich królów, prowadzonych przez cudowną gwiazdę, by powitać Zbawiciela. Imiona ich były Baltazar, Melchior i Kacper. Pokłonili się królowie nisko dzieciąteczku, wręczyli dary swe – kadzidło, mirrę i złoto, a pastuszkowie śpiewali a śpiewali...

Ręce Konrada zbroczone były krwią aż po łokcie. Nie przerywając swojej opowieści, duchowny urywał kawałki bandaża, wiązał opatrunki, szył rany, nakładał warstwy ziół, przecierał oparzelizny, czyścił. Wśród zgromadzonych w izbie nieufność słabła, zastępowana zafascynowaniem. Ten i ów wciąż jednak oglądał się niepewnie za jakąś bronią, a inny potrząsał głową, jakby chciał strącić urok. Przecież on z tych, co wsadzili wuja do lochu... schwytali do armii syna... pobili za jedzenie mięsa w piątek... zabrali żywność ze spichrza...

– A cudów początek był to dopiero – Konrad znów patrzył z uśmiechem na ludzi. – Już jako tyli otrok, Jezus po...

Naraz drzwi do karczmy z hukiem uderzyły o ścianę. Ktoś krzyknął ze strachu, ktoś inny się poderwał, a Konrad, kończący akurat wiązanie opatrunku, odwrócił się.

– Wejdz i nie zawadzaj! Będzie czas i na twoje rany!

– Na rany, które odniosę, czy może te, które zadam? – parsknął drwiąco przybysz.

Jego przekrwione oczy błysnęły dziko, a włochata dłoń podrzuciła topór. Ostrze grzmotnęło z całej siły tam, gdzie jeszcze przed chwilą spoczywały dłonie Konrada, a potężny kęs drewna poszybował pod powałę.

W karczmie wybuchł chaos równy temu na zewnątrz – ranni i zdrowi, jeszcze przed chwilą zahipnotyzowani opowieścią Konrada, teraz gnali ku wyjściu, wrzeszcząc w popłochu. Rozszalały wojownik znów uniósł topór.

– Stój, w imię Boże! – krzyknął przerażony Konrad, lecz topór charczącego napastnika już zmierzał w jego stronę. Duchowny umknął w ostatniej chwili, a żeleźce wgryzło się w słup.

Długa szata zaplątała się Konradowi między nogami. Duchownemu udzieliła się panika – padł i pośpiesznie czołgał się przez rumowisko ław. Ścigający go topór opadł, odrąbując kawał materiału z jego sukni. Do izby wpadł rdzawy blask płonącej strzechy – drzwi były otwarte! Konrad skoczył na równie nogi i zniknął za futryną.

Ulica uderzyła weń odorem spalenizny i płonących ciał. Okoliczne chaty zasuwawał dym, z zaułka wybiegł człowiek z płonącymi włosami, a inny padł w błoto ze strzałą sterczącą z pleców. Konrad nie miał pojęcia, dokąd uciekać.

– Ojczy w niebiesiech, pomóż mi! – jęknął, wznosząc srebrny krucyfiks ku ciemnemu niebu. Z karczmy wypadł napastnik i uniósł topór, śmiejąc się dziko.

Piorun uderzył bardzo blisko. Osłabły z przerażenia Konrad zatoczył i padł w błoto.

Mocno, żarliwie szeptał imię Boskie, oczekując na ten jeden, jedyny cios, który zakończy jego straceńczą misję.

Odzyskał przytomność jakąś godzinę później. Otarł twarz z mazi i długo, nierozumiejącym spojrzeniem patrzył na zwęglony kikut dłoni, dalej trzymający szerniały trzonek topora.

Stary John Thornson otarł dłonie nad ogniem i zerkał jednocześnie na mizerną, tonącą w mroku sylwetkę króla. Eryk siedział na wilczej skórze, ramionami obejmując łydki i opierając podbródek na kolanach. Patrzył przed siebie zmrużonymi oczyma, od czasu do czasu ziewając i naraz albiońskiemu łucznikowi wydało się, że Halvdanson przypomina młodego, zziębniętego chłopca.

Cóż, postura może i dziecięca, ale te oczy... Thornson już dawno nauczył się wyczytywać w nich wolę władcy. Posłusznie pętał opornych, tłukł tych, którzy się sprzeciwiali, ścinał święte dęby, rzucał ogniste pochodnie na domostwa buntowników, czasem napinał cięciwę. Tak, umiał z nich czytać, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przenikają go na wylot i widzą to, co Thornson chciał ukryć z całego serca – a mianowicie to, że stary setnik dość już miał podpaleń, biczowania, tortur i obwieszeń.

Po raz pierwszy w życiu czuł się zmęczony.

– John... – odezwał się cichym głosem Eryk. – Dajże koc. Zimno mi...

Dłonie starego łucznika trochę się trzęsły, kiedy okrywał wątle barki. Król zdawał się taki mały, taki delikatny.

– Słyszałeś wieści? – spytał w albiońskiej mowie Halvdanson.

Łucznik kiwnął głową.

– Swiże przybyli Nidaros spalić. Katedrę w perzynę obrócić. – Król był zamyślony. – Szlag by ich trafił. Wiesz ty co, John? Jeno dwóch mi was zostało.

– Wasza Miłość... – bąknął, nie rozumiejąc, John Thornson.

– Floke Wiatrowłosa padł pod Bjorgvin, potem powstańcy Thorfinna ubili. Starego Eskila diabli wzięli, musi nix go zeżarł. Biskup Hieronim konający, Gustavson wilkołakiem pono jest, w celi go zamknięto, a jarl na Hladir na koniec walk czeka, by dla siebie jakiś ochłap uchwycić. Jeno was dwóch – ty przy mnie, Ottarson, broniący Nidaros.

– Wasza Miłość... – Zmieszany Albiończyk szarpał się za rzadką, siwą brodę.

– Mniej was, więcej zaszczytów nynie. A pracy mnogo. Królestwo trza pozbierać i Bjorgvin za pysk uchwycić.

– Ciężko będzie – mruknął łucznik.

– Juści, John. Nadzieję jednak trza mieć, jak uczy Pismo Święte.

– Armia też się przyda.

– Długo nam przyjdzie czekać na taką armię, co na Bjorgvin z nami szła. – Król jakby ocknął się z zadumy. – Bardzo długo. Na razie zbierzmy tyłu, ilu damy radę. Do Nidaros nie aż tak daleko. Kiedy przez trzęsawisko Elgmyra pójdziem i potem Żółtą Przełęczą,

dalej droga prosto jak strzeł. Przez Stillskogen, Nidelwę przekroczym przy Bjornby i już błonie grodu.

– Dwa dni – mruknął łucznik.

– Dzień – sprzeciwił się monarcha. – Jeno cały nasz hufiec na konie sięść musi.

Wygięte w wyrazie zdumienia brwi Thornsona starczyły za całą odpowiedź.

– Wiem – machnął dłonią Eryk. – Setka wojów z hirdu, pół setki twoich, a koni ledwo siedemdziesiąt. Trza tedy będzie od kmieci wziąć.

– Mało.

– Ba, musi starczyć! – Eryk uderzył pięścią o kolano. – A więcej trza będzie, bo i hird zwiększyć zamyślam. Z pół setki kmieci co bardziej krzepkich wziąć mus! Jeśli Ottarson jeszcze ze dwa dni wytrzyma, gorzko Swije zapłaczą!

– Będzie, jak mówicie, Wasza Miłość.

Rozdział 25

Wojewoda Ottarson zwiesił głowę.

– Parzychwosty! – grzmiał Edgar. – Rzepę wam sadzić, a nie na wojnę płynąć! To mają być wikingowie? Phi! Baby w przydługich kieckach, piwochleje, baranie łby, co topór za żeleźce chwytają! Synowie pastucha i jego owcy! Na kamieniu jeden z drugim rodzony, nie dziwota, że łby puste a poobijane! Cmoknąć mnie w piętę możecie, choć mi żal jej dla was, bo kapustę dziś ubijałem!

– *Þegiðu*, Edgar – wyszeptał Ottarson.

Zdawać by się mogło, że jedynie ich dwóch pozostało ze wszystkich ludzi w Nidaros. Wały, poszczerbione i nadpalone, kryły się w kłębach ciemnych dymów, a nad miastem wisiała ciężka cisza, którą przerywał jedynie trzask płomieni. Ci, którym udało się zachować świadomość, szlochali bezgłośnie, kryjąc głowy, reszta trwała w odrętwieniu.

– By was koty Frei obsikały, gnojożercy! Podejdz mi tu który, a za nogi powlekę na pola, byście zębami ziemię nordweską orali! Największego zaś sobie wybiorę, by mieć na czym przed chatą usiąść!

– *Bú pirrar mig!*⁵⁰ – warknął głośniej wojewoda Ottarson. – Zamknij się już! Od świtu się drzesz!

Edgar spojrział nań zdziwiony i potarł spoconą łysinę.

– Wždy ktoś musi ducha podtrzymać! – odezwał się obruszony.

– Ducha w kim? – parsknął wojownik. – W tym przeklętym mieście nie ma już komu za miecz chwycić. O mojego ducha zaś się nie bój. Został tam!

Brudna, zakrwawiona dłoń Finna wskazała swijski taran tonący teraz w fosie wśród szczątków rozbitej bramy. Ustępujące już dymy ukazywały porozrzucane wśród zakrwawionego błota ludzkie zwłoki, naszpikowane strzałami i pocięte.

– Daliśmy im bobu. – Edgar chrząknął.

– Juści. – Głowa Ottarsona opadła na piersi. – Otwarliśmy sobie drogę do Valhalli.

– Zginęło ich trzykroć tylu, ilu naszych! I tyły w końcu podali! – Edgar zacisnęła mięsistą pięść. – Szkoda, że z onego zwycięstwa pożytku już nie będzie...

– Jedno tylko mnie raduje – mówił coraz ciszej Ottarson, oddychając ze świstem.

– Co takiego, wojewodo?

– Pobili nas, zanim spyza się skończyła...

– Jeno jeszcze nas nie pobili! – Edgar groźnie błysnął białkami oczu. – Do zamku zawsze wycofać się możemy!

Kula na łańcuchu zakołysała się, wskazując spowite dymami kontury zamku królewskiego, który tkwił niewzruszony, jakby nie zwracając uwagi na zdruzgotany, skrwawiony gród u swoich stóp. Za splekanymi wałami majaczyła pośród dymów katedra Boga na Krzyżu, teraz zapomniana, znieważona, należąca do innego świata.

– Kto, Edgar? – Ottarson splunął krwią. – Ja, ty i kto jeszcze?

– Tego tam, psia mać... – mruknął wściekle Edgar i roztarł łzę na brudnym policzku,

a potem nabrał powietrza w płuca.

– Jak was widzę, kozodupce, to mi topór rdzewieje! Co to za bydlę, co na gębie jak niedźwiedź, ale głupie jak owca, a mocarne niczym żaba! Wszystkich bym was, psie chwosty...

Od strony obozu swijskiego rozległ się dźwięk rogu, któremu naraz odpowiedziały inne. Po chwili dobiegła ich również wrzawa wielu gardeł i szczęk oręża. Edgar naraz umilkł i zmrużył oczy.

– Wystrachali się w końcu – oznajmił wojewodzie. – Na okręty zmykają.

– Kto? – ocknął się Ottarson i podniósł głowę.

– Swije! Pojęli, zem się rozbiesił, i...

– *Hvað er þetta?* – warknął wojewoda.

Przemieszane z gęstą mgłą dymy obozowe szczelnie zasnuły opanowaną przez Swijów przystań nad fiordem i obaj wojowie na próżno wyteżali wzrok. Czyste dźwięki swijskich rogów odbijały się jednak echem, a odpowiedziały im rogi z innych obozowisk wokół Nidaros, a także z wieży katedralnej. Finn i Edgar dostrzegli naraz grupki wojowników, wybiegające pośpiesznie z zaimprovizowanych schronień i kierujące się z pośpiechem ku przystani.

– Tom im nagadał! – oznajmił z tryumfem Edgar, biorąc się pod boki.

Mgła na nowo skryła biegnących wojowników.

– A może tylko udają, że się mnie wystrachali. – Edgar nerwowo oblizał wargi. – A nuż juchy się przegrupowują i do ataku szykują!

– Cichaj! Nie wygląda mi to na atak...

W dobiegającej z dala wrzawie ucho wojownika wychwyciło już kolejne odgłosy – odgłos równych kroków i brzęk stali, naraz przytłumiony łomotem wojennych kotłów. Nagle zgodnym chórem ryknęły rogi, lecz ich melodia była inna od chrapliwego zaśpiewu Swijów. Ottarson naraz pochwycił za miecz i pociągnął za sobą Edgara.

– Swije przed kimś uciekają! – wrzasnął Finn. – Do mnie, kto żyw!

– Na jaja wielkiego Fenrisa – stęknął nagle Edgar.

Muzyka kotłów i rogów robiła się coraz głośniejsza, a z mgły i dymów wyłoniły się zwarte szeregi obcego hufca. Prowadzący go wojownik w połzaczanym hełmie, przypominającym smoczy łeb, machnął buławą, a jego oddział zatrzymał się ze szczękiem oręża. Ottarson i nieliczni wojownicy, którzy przybyli na wezwanie, oniemiała patrzyli na pyszne, połzaczane naramienniki, hełmy w kształcie głów zwierząt i potworów, trójkątne tarcze ze szpikulcami pośrodku oraz kształtne miecze i topory. Lekki, niosący swąd spalenizny wiatr rozpędzał teraz mgłę i szarpał brody, gęste, grube, niekiedy zaplecione w warkocze.

– *Dvergarnir* – powiedział słabym głosem wojewoda.

– *Fyrir Odin...* Niech mnie wstręt do miodu opadnie, ale...

Siwobrody wódz górskiego ludu postąpił kilka kroków, patrząc w stronę Nidaros, po czym dał znak buławą. Naraz powietrzem znów wstrząsnął huk kotła, odmierzający rytm marszu karlich szeregów, i hufiec z podziemi ruszył w stronę swijskiej przystani. Uderzenia w kocioł następowały coraz szybciej po sobie i naraz z przenikliwym wrzaskiem karły rzuciły się do ataku.

– Gunulf, weź no dwie dziesiątki i przepatrz drogę – rozkazał jarl Trygve Ivarson. – Do Sverdbys dojeżdż, jeno do samej osady nie wjeżdżaj! Bacz ino, czy Swije się tam nie czają!

Stary drużynnik jarla na Hladir wyszczerzył zęby i szybkim krokiem ruszył ku ogniskom swych wojów. Starczyło kilka cichych rozkazów, by ci wdrapali się na grzbiety końskie i już po chwili oddziałek znikł w mroku lasu. Wtedy to z ogorzałej twarzy Trygvego opadł wyraz dostojności, a zmarszczki powróciły na swoje miejsce.

„Oszukuję ich – pomyślał, idąc wolnym krokiem do swego ogniska i siadając obok Sveina. – Oszukuję ich! Gorzej, że własnego syna chyba też oszukuję. Oby to wszystko źle się nie skończyło”.

Wokół trzaskały ognie i niósł się szmer cichych, ożywionych rozmów. Ludzie czuli podniecenie i spoglądali na starego jarla z ufnością, wierząc, że poprowadzi ich do walki o lepszą dolę. Trygve jednak bał się tych spojrzeń. Obiecywał pośpiesznie skrzykniętym wojom, że jada po zwycięstwo, ale w duchu żałował swego przedwczesnego zapału. Żałował, że poparł szalony plan syna. Zwątpił we wszystko, gdy niebo nad Nidaros przeszły korony błyskawic. Tu i ówdzie zaczęto szeptać o mocy kapłanów Odyna, którzy mścić się przyszl, ktoś zaczął opowiadać historie o buntownikach z Bjorgvin, ale szczery śmiech Sveina przepłoszył wszelki strach. Jarl zaś nastroszył wąsiska i udawał, że burzy nad Nidaros nie dostrzega.

Na szczęście niebawem zawierucha nad miastem się uspokoiła, a purpurowe chmury zetlały. Oszroniały las skrzył się w świetle księżyca, płonące ogniska rozrzucały snopy iskier, a wśród wojowników znów pojawiły się żarty i śmiechy. Stary jarl słyszał ich podniecone głosy, widział zaczerwienione, rozgrzane twarze i wiedział, iż szybko zapomnieli o czarodziejskich mocach nad miastem.

Trygve pokręcił głową. Był przecież żeglarzem i wiedział, że zanim rozpocznie się prawdziwa burza, morze wygładza się w chwili absolutnej ciszy.

Oszukiwał ich.

– Coście tak skapcanieli, ojciec? – Svein odgryzł potężny kęs suszonego mięsa i szturchnął go łokciem w bok.

– Nic takiego – mruknął Trygve.

„Przecież własnemu synowi nie opowiem, że wierzyć w to wszystko przestałem. Wyprawa na Nidaros to szaleństwo, powrót do Hladir głupota. Może rzeczywiście warto za miecz chwycić i przynajmniej w walce zginąć”.

Ojciec i syn milczeli, wpatrując się w ognisko. Naraz za ich plecami zaszeleściły kroki w śniegu i ktoś chrząknął.

– Jacyś jezdni do nas wałą – rzekł Gunulf. – Cała kupa.

– Więcej niż naszych?

– Więcej.

– Budź wojów, grupuj w dziesiątki i na koń. – Ivarson porwał miecz. – Svein, za mną!

Ściagały ich wołania Gunulfa i dziesiątników stawiających hufiec na nogi. Obaj, ojciec i syn, wypadli na trakt, gdzie stało już sześciu łuczników, wpatrując się w ciemności,

z których dobiegało parskanie koni nadjeżdżającego oddziału. Svein porwał pochodnię i uniósł wysoko nad głowę, oświetlając nagle poblądłe twarze i czarne pnie drzew. Las wokół nich zamienił się w płataninę cieni.

Pierwsi jeźdźcy, zbrojni w topory i włócznie, wypadli z mroku i ze zdumieniem spojrzeli na wojów, stojących na trakcie z napiętymi łukami. Powściągnęli konie i w lesie zapadła pełna wyczekiwania cisza.

– Okrzyknij ich, Svein – szepnął Trygve.

– *Hver í veröldinni ert Þú?!* – Syn jarla postąpił naprzód, w jednej dłoni trzymając miecz, a w drugiej pochodnię.

– *Og Þú?!* – odkrzyknął ktoś z ciemności.

Rozkazy i krzątanina za plecami jarla powoli cichły. Obóz był gotowy do walki.

– Nie mędrkuj, bo strzałę poślę! – ryknął Svein. – Juści, że nie Swije.

– My też nordweski zastęp, nie macie się co strachać!

– Strachać! – parsknął pogardliwie jarl. – Mów swe imię, przywłoko, bo cierpliwość stracę!

Samotny jeździec odłączył się od grupy i wolno zbliżał się w stronę łuczników. Ci unieśli wyżej łuki, ale jarl Trygve, tknięty dziwnym przeczuciem, kazał im je opuścić. Zafascynowany patrzył w szczupłą, niewysoką sylwetkę jeźdźca, jego bogatą łuskową zbroję i okrągłą tarczę z białym ptakiem przytroczoną do siodła. Oczy przybysza gorzały pośród bladej, wychudłej twarzy.

– *Ég heilsa yður, Trygve Ivarson.* Szczęśliwym wielce, żeśmy się na szlaku wojennym spotkali, bo już mnie dziwne myśli brały, że może dość macie walki po mojej stronie. Do Nidaros zmierzam na odsiecz i cieszy mnie, iż swe szczupłe siły o wasz hufiec powiększyć będę mógł.

– Król... – wyszeptał Svein.

Swijski grot świsnął mu koło ucha, ale Harald nawet go nie zauważył. Wśród kłębow mgły nad brzegiem fiordu widział już wielkie drakkary Swijów spychane w pośpiechu na wodę oraz sprawnie zacieśniane szeregi swijskich tarczowników. Serce waliło mu jak szalone z podniecenia.

– Torden! Torden! – wykrzyknął własny okrzyk bojowy, a *Úlfabaninn* naraz zadrzał w jego dłoniach. Wysforował naprzód, zostawiając za sobą biegnących karłów.

Naraz powietrze zgęstniało, a po klindze *Úlfabaninna* przemknął niebieski ognik. Szarżujące karły coś wrzeszczały. – Harald spojrział na ich biegnący szereg, aż jego uwagę przykuł wódz karłów. Windalf biegł przed szeregiem, machając diamentową buławą, a swijskie strzały odbijały się od jego pancerza. Swije już odrzucili łuki i zwarli mur tarcz, z ponurym spokojem oczekując zwarcia z karłami. Kręgi, zakreślane przez maczugę karlego króla, nabrały naraz mocy i rozbłysnęły niebieską poświatą.

Naraz pod nogami swijskich wojów buchnęły płomienie. Przez ułamek sekundy oślepiony Harald nie widział nic, po czym naraz ujrzał widział plecy uciekających

wikingów. Wielu związało się w konwulsjach na bulgoczącej od gorąca ziemi, niektórych już lizały płomienie. Powietrze trzaskało od szalejącej magii.



Zwolnił i patrzył, jak karły bez uszczerbku zapadają się w bulgoczącym, parującym błocie po kostki, ale bieżą nadal. Miecz znów zadrżał w jego dłoniach, jakby chciał mu przekazać, by się nie martwił, bo on go ochroni. Harald przyspieszył.

Swijscy wodzowie rzucili im naprzeciw gromadę najbitniejszych wojów. Podczas gdy inni szykowali okręty do ucieczki, kolejny mur tarcz zwarł się między chatami na przystani, zza którego wystrzeliła kolejna chmura strzał. W przejściach między domostwami rozgorzał krwawy bój na miecze, topory, noże i pięści.

Harald bez strachu wdarł się w najeżone ostrzami przejście między dwoma szopami na łodzie. *Úlfabann* śpiewał w jego dłoniach, kiedy rozcinał szyję pierwszego ze

Swijów. Inny skoczył z włócznią. Harald uchylił się przed ciosem i z całej siły rąbnął rękojeścią *Úlfabaninna* w żołądek napastnika. Ten zatoczył się, ze zdziwieniem patrząc na wgniecione ogniwa, a wtedy Harald przypuścił kolejny dziki atak. Karły ostro napierały na swijskich obrońców, osłaniając jednego z swych rannych, leżącego ze strzałą w brzuchu. Ciasnota nie pozwalała na wykonanie zamachu długim mieczem i Dun ponownie uderzył rękojeścią. Swij, trzymając się za zmiażdżoną krtań, postąpił jeszcze krok i padł na zdeptany śnieg.

Ogarnięty szalem bojowym Harald parł dalej, już dostrzegając kolejnego przeciwnika. Wiking w łuskowanej zbroi unosił właśnie topór, by dobić karła zamroczonego ciosem młota w hełm, gdy miecz walkirii ciął go w ramię. Swij krzyknął i odskoczył, ale *Úlfabaninn* zatoczył kolejny świetlisty krąg i wbił się w jego pierś.

Między chatami panował ogromny ścisk, zewsząd padały ciosy, a nogi walczących ślizgały się na mokrej od krwi ziemi. Harald wciąż parł do przodu, a z nim trzech jeszcze karłów, skrwawionych, w potłuczonych zbrojach – pozostali, połączeni jakąś ponadnaturalną więzią, odciągali swoich rannych na bok. We czwórkę naparli na pozostałych Swijów, lecz wtedy powietrzem wstrząsnął śpiew rogu.

Był to pojedynczy róg myśliwski, niosący się echem od północy. Jęklwym, jakby pełnym trwogi chórem odpowiedziały mu rogi swijskie, a po nich rozległa się melodia instrumentów karłów, pełna uniesienia i zimnej dumy. Walczący zamarli na mgnienie oka – wystarczyło, by każdy dosłyszał narastający tętent wielu setek kopyt i gęstniejący wrzask szarżujących jeźdźców. Rogi swijskie zatrąbiły po raz ostatni, a opór obcych wikingów prysnął ostatecznie.

Harald wzniósł tarczę, czekając na kontratak swego przeciwnika, lecz ten nie nastąpił. Naraz zdumiony Dun ujrzał, jak swijski wiking ucieka co sił w nogach ku dwóm ostatnim drakkarom właśnie spychanym na wodę. Najtężsi naparli na burty, inni strzałami z luków powstrzymywali nadbiegające karły, aż z łopotem opadł czerwony żagiel.

Dun czuł, jak uchodzi z niego uniesienie. Otepiałym spojrzeniem śledził drakkary spływające na głębsze wody i mijających go w dzikim pędzie jeźdźców, którzy osadzali spienione konie przy brzegu i szyli z luków do statków. Na burtach wykwitły już jeże niecelnych pocisków, lecz łucznicy swijscy również napięli łuki i powietrze poczerwiano od strzał. Dopiero jakiś stanowczy głos – chyba jarła na Hladir – przywołał śmiazków.

– Zwycięstwo.

Harald dopiero po chwili uświadomił sobie, że ów ochrypły, gruby głos należy do Arnula. Mały karzeł był zboczony krwią od stóp do głów, a pyszna kolczuga, dar od karlego króla Windalfa, była wgnieciona od uderzenia tępą bronią. Jego hełm nosił ślady dwóch niemalże równoległych cięć, a tarczy nie miał – stracił ją w walce wraz z rękawem kaftana.

– Zwa... zwałem takiego mocarza... – wykrztusił Arnul.

– Jestem z ciebie dumny. – Harald usłyszał swój głos: dziwny i zniekształcony. Miecz był zimny, odpychał.

– Już nie boję się bitwy... – powiedział Arnul, ale w tym samym momencie głos mu się załamał.

Zielone oczy niespodziewanie wezbrały łzami i Arnul, szlochając, padł na kolana. Harald nieświadomie objął go ramieniem i przyciągnął do siebie, łkającego i pociągającego nosem. Skrwawiony toporek wypadł Arnulowi z dłoni.

– To koniec – szeptał Harald, nieświadom, że jeszcze nigdy nie odezwał się do nikogo takimi słowami. – To już koniec, Arnul... Nie będzie już walki... Ja zmasałem swoją hańbę, ty odszukałeś rodaków... Dość tego, mały.

– Ja już nie chcę. – Arnul uniósł zapłakaną, brudną twarzą prosto ku srogiemu obliczu wojownika. – Gdzie ja się przed tym scho... schowam, Harald... Ja nie chcę...

– Coś wymyślimy, Arnul. – Harald niespodziewanie poczuł wielką, włochatą kulę w gardle. – Chodź do miasta, znajdziemy Psie Ucho i tego tam... Konrada. Należy nam się odpoczynek.

– Król... – wyjąkał Arnul. – To król przybył z odsieczą.

– Gdzieś mam króla. – Harald wstał z trudem i pomógł się podnieść karłowi. – Chodźmy.

Rozhukani wojacy z hufca jarlowskiego i królewskiego odzierali już swijskie trupy ze zbroi, zbierali broń i przeszukiwali domostwa, a spory oddział kierował się ku zdruzgotanej bramie Nidaros, przed którą Edgar cucił wojewodę Ottarsona. Nad tętentem kopyt niosły się ostre rozkazy Białego Jastrzębia, a czysty dźwięk srebrnego rogu zwoływał hufiec karłów wokół zbroszonego krwią Windalfa. Garstka swijskich niedobitków barykadowała się w katedrze. Konrad patrzył na pobojuwisko szeroko otwartymi oczyma i nieświadomie wykonywał znak krzyża na piersiach. W górze zbierały się kruki.

Rozdział 26

Wielu ludzi wyszło tego dnia na wały, by przyglądać się powracającym oddziałom królewskim, i Ulf bez problemu zaszył się w tłumie, ale na widok wjeżdżających przez zdruzgotaną bramę wojów poczuł rozczarowanie. Spodziewał się rosyłych mężów w złotych hełmach i srebrnych kolczugach, jadących z tryumfalnym śpiewem, a ujrzał niskie, wychudłe koniki i znużonych kmieci dzierżących drewniane tarcze. Mało który miał hełm czy miecz – zbrojni byli w topory, włócznie lub maczugi.

Pozostali mieli podobne odczucia. Ludzie śledzili przejazd pustymi spojrzeniami, nikt nie wiwatował, nikt nie klaskał. Zdawać by się mogło, że powrót króla i odepchnięcie oblężenia swijskich wikingów nic dla mieszkańców Nidaros nie oznacza. Hufce królewskie witała ponura, pełna znużenia cisza.

„Życie się nie zmieni – pomyślał nagle Ulf. – Jeno tyran inny”.

Nie widział oblężenia z bliska. Czasem jedynie przez okno komnaty biskupa Hieronima wpadał blask różowych chmur i refleks błyskawic, a przez uchylone drzwi słyszał szcęk oręża i krzyki walczących. Ogrom tego koszmaru zrozumiał dopiero rano, gdy wyrwał się na ulice miasta. Długo wymiotował, kiedy to sobie uświadomił, że te czarne, poskręcane kształty, bezceremonialnie ładowane na wozy, są zwęglonymi ludzkimi ciałami. Większość budowli w grodzie spłonęła, spośród mieszkańców mało kto nie odniósł ran, a nad ulicami zawisł okrutny smród spalenizny i palonych trupów. Trudno, by po takich widokach mizerna królewska drużyna miała kogokolwiek wesprzeć na duchu.

Dość już miał włóczęgi po zniszczonym mieście. Pobiegł ku bramie zamkowej, otwieranej właśnie przed jeźdźcami z nowo przybyłego oddziału. Wojowie zsiadali z koni i przyciszonymi głosami komentowali obrazy, których nie spodziewali się ujrzeć nawet w najgorszych koszmarach. Nikt nie zwrócił uwagi na Ulfa, który niedostrzegalnie przemknął za ich plecami. Nowicjusz już wślizgiwał się na dziedziniec, kiedy nagle wyrosła przed nim jakaś barczysta postać.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział obcy spokojnie, przyglądając się chłopcu badawczo. W jego głosie brzmiał zamorski akcent.

– Na wieki wieków... – wymamrotał Ulf.

– Tyś Ulf syn Ketila?

– Jam ci...

– Rzekli, żeś wiernie służył przy łożu Jego Dostojności.

– Robiłem, co mi kazano.

– I dobrze się sprawił, bo Jego Dostojność do zdrowia wraca.

Chłopiec nie mógł jednak nie zauważyć, że prawa dłoń obcego oparła się o rękojeść miecza i naraz poczuł się niepewnie.

– Ojciec Flawiusz do siebie was wołają – ciągnął obcy mąż. – Pytań do was ma kilka wielebny ojciec. Ponoć karzeł jakiś waszym druhem...

– Wždy nie grzech to. Karły miasto uratowały.

– Nie tobie osądzać, co grzech, a co nie – warknął tamten. – Ze mną pójdiesz.

Obcy pochylił się nad mnichem i uniósł ramiona, by pochwycić go za poły szaty.

Przerażony Ulf dostrzegł łańcuszek na jego karku.

„*Náttfarinn...*” – pomyślał z rozpaczą.

Naraz obudziła się w nim siła, której istnienia się nie spodziewał. Obutą w drewniany chodak stopą grzmotnął krzyżowca pod kolano, a potem wyrwał szatę i rzucił się do ucieczki. Gnał jak szalony, roztrącając próbujących go zatrzymać wojów, a strach dodawał mu sił – słyszał posapywanie ścigającego go rycerza i niemalże widział jego tętniące złością oczy.

Szarpnął za pierwsze drzwi... Otwarte! Ulf wpadł jak huragan do środka, potykając się o wysoki próg. Półnagi kucharz odwrócił się zaskoczony, upuszczając kosz z chlebem, lecz nowicjusz, nie odwracając się, już biegł dalej. Ścigał go brzęk tłuczonych naczyń i krótki, ostry krzyk *Náttfarinna*.

Chłopiec przeskoczył kosz ze skórą, przewrócił z hukiem ławę i potrafił jakiegoś służącego, na co ten zareagował stekiem przekleństw. Za następnym zakrętem wpadł na jakiegoś woja, który odskoczył na widok mnisiego habitu, roztrącił dwie kobiety i przebiegł wzdłuż zastawionych do posiłku ław. Skręcił jeszcze raz i drugi, po czym uświadomił sobie naraz, że gniewne okrzyki krzyżowca zostawił gdzieś za sobą. Ruszył zatem szybkim krokiem, próbując uspokoić oszalałe myśli. Przystanął i nasłuchiwał. Skądś dobiegły go kolejne wrzaski, tym razem z różnych miejsc.

Przeczესują zamek!

Ulf instynktownie zdjął drewniane chodaki, ukrył je w sianie pod schodami i bezszelestnie zszedł na niższe partie zamku, gdzie dalszą drogę wskazały mu pochodnie na kamiennych ścianach. Wyprostowany zignorował mijającego go strażnika, a gdy się upewnił, że ten już na niego nie patrzy, znów puścił się biegiem.

Wąskie schody sprowadziły go w ciemności z rzadka rozświetlane zatkniętymi w kunach kagankami. Zawahał się na ostatnim stopniu – miał li wejść w mrok, gdzie mieszkają potwory stokroć gorsze od *Náttfarinna*? Przemógł jednak swój lęk i zrobił krok naprzód.

Coś brzęknęło w ciemnościach, czyjeś oczy zamigotały w blasku kaganków, echo czyjegoś śmiechu niosło się wśród wilgotnych ścian. Po nodze Ulfa przebiegł ogromny szczur. Nowicjusz przełknął ślinę – zszedł do lochów.

U góry schodów, za jego plecami przebiegło kilku zaaferowanych ludzi i chłopiec, chcąc nie chcąc, ruszył przed siebie. Teraz, gdy jego wzrok przyzwyczał się już do ciemności, widział wyraźnie wilgotne, żelazne pręty, a za nimi wychudłe ramiona, kosmyki tłustych włosów czy błyszczące gorączką oczy. Niektórzy więźniowie, ledwo już podobni do człowieka, stawali przy kratkach, oplatając je wychudłymi palcami. Struchlały Ulf brnął naprzód.

Poza dwoma głosami, kłócącymi się gdzieś na końcu korytarza, słychać było jedynie sporadyczny brzęk łańcuchów. Czasem ktoś zanosił się ochryplym kaszlem, spluwał charkotliwie czy szeptał coś do siebie.

– Hej, ty... – szepnął naraz jakiś głos. Dziwny. Wyraźny. Dostojny?

W mroku celi zarysowała się jakaś postać, mocno zaciskająca pięści na kratkach. Ubranie więźnia było brudne i wilgotne, lecz jeszcze nie złachmanione, a jego włosy wciąż szesane były w koński ogon. Oczy nieznanego patrzyły z osobliwą intensywnością.

– Ty, chodź tu... – szeptał.

Ulf podszedł posłusznie, uświadamiając sobie ze zdziwieniem, że rozpoznaje głos więźnia.

– Ktoś zacz? – pytał cicho obcy. – Nie wyglądasz na strażnika.

– Jam Ulf... – wyszeptał mnich, podchodząc coraz bliżej. – Ulf syn Ketila.

– Nowicjusz?

– *Já, herra minn...*

– Panie... – Obcy zaśmiał się chrapliwie i usiadł ciężko na ziemi. – Nynie żem więzień, pies niewarty splunięcia... Jak obłężenie?

– Swije tyły podali. Król z hufcami przybył.

– Król... – syknął tamten z goryczą. – Gore... Słuchaj no, Ulf, muszę się wydostać.

Pomóż mi, zaklinam cię!

– Ale co ja mogę, panie? – Chłopak cofnął się o krok. – Wždy ja sam ścigany!

– Ściganyś?

– Ano... *Náttfarinn* mnie goni, ledwie żem był zemknął i tu się schroniłem...

– A za co?

– Nie wiem, panie! Coś mówił o tym, że z karłem się przyjaźnię i...

– Z karłem? No, to starczy za powód tym diabłom wcielonym.

– Ano karzeł, panie... Arnul nań wołają...

– Arnul... – zachłysnął się więzień. Mówił szybko, gorączkowo. – Znam ci Arnula!

Z wielkim wojem podróżował, Haraldem, razem w Blaakysten ze Swijami walczyliśmy...

Ulfie, to moi towarzysze! Wszyscy walczymy po tej samej stronie! Jam Vidar Gustavson, były skald Białego Jastrzębia. Pomóż mi stąd wyleźć, a ja pomogę tobie, Ulf!

– Ale co ja... – Nowicjusz załamał ręce. Znów zdjęty go dreszcze.

– Wždy jesteś mnichem! – szeptał Vidar. – Ludzie boją się sutanny! Idź do strażników, nakłam, żeś przez króla wysłany, by mnie stąd zabrać

– Nie podołam...

– Podołasz! Musisz, chłopcze! O, tam siedzą. Idź! Zaklinam cię, idź!

Serce Ulfa zabiło mocniej, kiedy usłyszał ostatnie słowa skalda. Nerwowym ruchem otarł czoło rękawem habitu i ruszył ku głosom z końca korytarza, starając się wyglądać jak najdumniej i najdostojniej.

Nie zauważyli go z początku. Zarośnięte twarze, czerwone od opilstwa i blasku pochodni, z zaciekawieniem nachylały się nad odwróconą beczką, po której toczyły się kości. Rechocząc dziko, jeden ze strażników porwał je wraz z garścią srebrnych skrawków, a drugi zaklął szpetnie i wstał, by sięgnąć po piwo. Wtedy to zauważył Ulfa.

Chłopiec zmusił się, by nadać swej twarzy pozory spokoju. Powoli omiótł spojrzeniem celę, przerobioną na kwaterę strażników więziennych, ich rozgrzebane barłogi, potłuczone dzbany i topory oparte o ścianę. Chwilę dłużej przyglądał się żelaznym kluczom, zawieszonym na ścianie.

– Czego? – warknął strażnik, błysnęły jego żółte zęby.

Drugi strażnik też się odwrócił i patrzył na chłopca z mieszaniną zdziwienia i pogardy na nalanej gębie.

Ulf milczał przez chwilę, wolno przenosząc spojrzenie z jednego na drugiego.

– Języka żeś w gębie zapomniał, smarku? Po coś tu przylazł! – Strażnik splunął i wstał.

– Dziesięć – powiedział cicho Ulf, zdumiony własnym opanowaniem.

– Co? – zamilkł zaskoczony strażnik. Drugi zarechotał wzgardliwie.

– Chyba umiesz liczyć? – Głos Ulfa ochłódł, lecz przestraszone serce nadal biło jak szalone. – Nie wiesz, co to dziesięć?

– Rzyć pasami będę ci darł! – ryknął rozwścieczony strażnik i porwawszy trzcinę, ruszył w stronę Ulfa.

– Dwadzieścia! – warknął chłopiec.

Strażnik odrzucił trzcinę, porwał go za tkaninę habitu i przydusił do ściany. Cuchnął alkoholem i szczyrzył czarne pieńki zębów – chłopiec z trudem opanował falę mdłości.

– Będziesz mi się tu wymądrzał! – charknął.

– Najpierw wlej gnojkwowi! – zahuczał drugi, rechocząc. – Na gołą, hi, hi, hi, rzyć!

– Trzydzieści. – Oczy Ulfa załśniły. – Dla tego drugiego dziesięć.

– Co? – Strażnik zamrugnął oczami, ale habitu nie puścił.

– Trzydzieści batów. – Ulf zmrużył mściwie oczy. – Nocni Krzyżowcy na razie zajęci, ale wkrótce tu będą. Puść, gadzie! – wrzasnął.

Strażnik odstąpił z wahaniem. Ze zmartwiałej dłoni drugiego wypadł dzban.

– Na ścierwo Odyna, wždy to świętek! – szepnął bezwiednie.

– Chlew tu... – syczał Ulf, zwięzając oczy. – Piwsko żłopiecie, w kości gracie, duchowne osoby łzycie... Do krwi was oćwiczą, łajnojady, ścierwa! I jeszcze habit mi rozdarłeś, świniopasie!

– Zmiłujcie się, Wasza Miłość! – Strużka śliny pociekła z ust zbaraniałego strażnika. Obaj padli do kolan Ulfowi, łkając. – My nie poznali! Tak bos... bez wojów... myśleli my, że przywłoka jakiś... my nie poznali... darujcie, panie...

– Won! – Z obrzydzeniem odtrącił kopniakiem bliższego. Serce skakało w nim z radości. – A czegoście się, psubraty, spodziewali? Rogów tryumfalnych? Oblężenie przecie trwało, na strojne szaty czas przyjdzie później!

– Wiemy, ale...

– Stroić się dla was mam, kozie syny? – krzyczał Ulf. – Dopiero com z murów zlazł, od dwóch dni boku wojewody nie odstępuję, rannych lecę, modły wielkie zanoszę, cza... czaruję też... A wy co? – parskął. – Doigraliście się, piwożłopy... Inni karku nadstawiają, a ci tu bezpiecznie... Zapamiętam sobie was, oj, zapamiętam! Jak tylko dojdziecie do siebie po chłości, w te pędy do drużyny grodowej was wcielę!

– Darujcie, panie!

– Wždy już darowałem wam! – Mnich zaśmiał się pogardliwie. – Zwykłem wieszać, jak mnie kto obrazi! A bosa stopy... Cóż... Jaką pokutę dla siebie wybraliście jako podziękowanie, iż Wszechmocny gród raczył ocalić?

– Wasza Miłość... my...

– Ja do końca dni moich butów nie założę... A wam pokutę mogę pomóc wybrać! Co świt pięć batów z ręki najsilniejszego krzyżowca! – Chichotał w duchu jak opętany. – A nynie do jeńca o imieniu Gustavson wiedzcie, juchy!

– Gustavson? – padło zadane drżącym głosem pytanie.

– Czyż nie tak powiedziałem, barani łbie?

– Ale sam ojciec Flawiusz kazali...

– A z czyjego imienia tu przychodzę, foczy synu? – Ulf zgrzytnął zębami. – Szybciej, nie będę godzinami łajna wachał!

Ciężką, stęchłą ciszę lochu przerwał szczęk klucza przekręcanego w zamku, lecz strażnik nagle się zawahał.

– Wasza Miłość... – zaczął, zwracając się w stronę Ulfa.

– Czego? – parsknął Ulf.

– Wždy to charakternik! I woj okrutny...

– Tedy wy pomożecie mi go zaprowadzić.

Zazgrzytała otwierana krata. Vidar przymknął oczy, a Ulf natychmiast zrozumiał, że zanoszą się na coś nieprzewidywalnego.

– Chodź, ścierwo, jak cię pan mnich proszą – warknął strażnik i wyciągnął rękę.

Ulf podświadomie cofnął o krok.

Nieoczekiwany cios cisnął dozorcą o ścianę, a na policzki chłopca prysła gorąca krew. Ulf usłyszał naraz brzęk rozpruwanej kolczugi i łoskot padającego ciała. Krzyknął na widok oczu Vidara, niespodziewanie żółtych i drapieżnych.

Drugi strażnik próbował uciekać, lecz monstrum, które jeszcze przed chwilą było skaldem królewskim, pozwoliło mu jedynie na trzy kroki. Potwór z cichym warknięciem skoczył mu na plecy. Przerażony do granic Ulf zamknął oczy.

– Zabij skurwieli, zabij – odezwał się naraz jakiś cichy głos za jego plecami.

Ulf obejrzał się ostrożnie.

Ktoś trzeci przyglądał się walce ze złowrogą fascynacją i radością na brudnej, pucułowatej twarzyczce, okolonej rudymi strakami tłustych włosów. Drobnie piąstki zaciskały się na kratkach, a cała krępa, niewysoka sylwetka w lepkich łachmanach aż kipiała zaciętością i mściwością.

Głowa martwego już strażnika ze stukotem opadła na polepę, Vidar westchnął ciężko i spojrział ku Ulfowi. Potworne rysy jego twarzy łagodniały z wolna.

– Karlica? – szepnął Vidar, unosząc się znad trupa.

Ulf drgnął. Karlica? Nie dziecko? W istocie, patrzyły na nich skośne zielone oczy, a wśród pozlepianych włosów sterczały szpiczaste uszka.

– Ktoś zacz? – wyjąkał zadziwiony Ulf. – Co tu robisz?

– Ryby łowię. – Karlica spojrziała nań z ukosa. – Nie żyją, psie chwosty, i dobrze...

– Od dawna cię tu trzymają? – spytał Vidar.

– Wystarczająco długo. – Przeniosła swój przenikliwy wzrok na skalda. – Uwolnij mnie, *ulvhedning!*

– Czasu nie mamy... – Skald wytarł dłonie w brudne spodnie. – Uciekać nam trza!

– A ona? – spytał strwożony Ulf. – Panie, karły pod miastem stoją... Może to z jej powodu? – Zatrząsał się nagle.

- Co? Karły pod miastem? – Vidar zmrużył oczy, już normalne, ludzkie.
- Setki, panie! Miasto ocaliły!
- To dopiero... Weźmiemy ją. – Vidar mówił nieprzytomnym głosem. – Jest stąd przejście do stajni, jeno zaufani króla o nim wiedzą. Klucze... U strażników muszą być!
- Jak cię zowią? – spytał Ulf, gdy Vidar zaczął obszukiwać oba trupy.
- Daria – odpowiedziała karlica.
- Chodźcie! – rozległ się w ciemnościach głos Vidara. – Szybciej!
Uciekali ku wolności.

W pierwszej chwili Arnul był swym hełmem oczarowany. Długo obracał go w dłoniach, podziwiając jego lekkość oraz przepiękne wykonanie – nieznany mistrz ukształtował go bowiem na podobieństwo niedźwiedziej głowy. Przydał się też podczas bitwy, gdy zatrzymał potężny cios swijskiej maczugi.

A teraz go nienawidził.

Od jakiejś godziny stali nieruchomo w równym szeregu. Arnul nie miał pojęcia, jak znoszą to inne karły, ale jemu zwyczajnie było gorąco i duszno. Pot spływał po czole i policzkach, a na domiar złego hełm boleśnie ocierał skaleczenie na czole. Próbował go poprawić, ale nie przynosiło to ulgi.

Rozdrażniony Arnul z całej siły zaciskał pięści. Miał już dość broni i bitew, a jedyne, o czym marzył, to ściągnąć hełm i zaszyć się w jakimś ciemnym kącie, by dumać o czymkolwiek, byle nie o krwi i wikingach.

I na co komu jego obecność na naradzie króla karłów i króla ludzi?

Biały Jastrząb energicznie wszedł do ciemnej, oświetlonej rzędem świec sali. Omiótł spojrzeniem stojące pod ścianą karły i skinął głową w stronę powstającego z trudem wojewody Ottarsona i ojca Flawiusza. Przyglądający mu się Arnul był zaskoczony – miał przed sobą chudego, wymizerowanego człowieka o bladej twarzy. Zmierzwił, czarne włosy nadawały jego obliczu drapieżnego wyglądu, lecz karzeł i tak nie mógł uwierzyć, że patrzy na człowieka, przed którym drży ze strachu cały Nordweg.

Wraz z Białym Jastrzębiem weszło trzech rosyłych wojów, z których dwóch zasiadło przy ławie, a trzeci stanął za plecami króla. Twarze siedzących podobne były do siebie, z tym że jednemu wiek poznał rysy zmarszczkami, a drugi wciąż emanował młodzieńczym niepokojem.

„Ojciec i syn! – przemknęło przez myśl Arnulowi. – Czyżby jarlowie z Hladir?”

Ojciec Flawiusz zaczął coś mówić, lecz nikt go nie słuchał. Młody król wpił wzrok w szereg karłów, a potem zerknął na ich władcę.

– Niemałą przysługę miastu oddaliście – powiedział król. – Przyznam, że z moimi siłami nie dałbym rady Swijów odeprzeć. W tym tygodniu przynajmniej.

– W następnym tygodniu nie byłoby już Nidaros, wasza królewska mość. – Finn Ottarson położył łokcie na blacie ławy i patrzył wysoko nad płomieniami świec.

– Zaiste, tobie również słowa podziękują się należą, wojewodo. – Król odwrócił się doń

z chrzestem kolczugi. – Nie znam nikogo, kto by mógł ze swego zadania lepiej się wywiązać.

Całkowity brak emocji w głosie Eryka przeczył treści słów. Karły milczały.

– Nie minie cię nagroda – mówił dalej Biały Jastrząb. – Ale i kara oczekuje. Doszło do mnie – na ułamek sekundy jego spojrzenie zetknęło się z Flawiuszowym – iż nakazałeś kapliczkę zamkową rozebrać.

– Nie było czym we wroga rzucać, *herra minn!* – wybuchnął Ottarson i zwrócił w stronę króla bladą twarz, pełną świeżych szram.

– Chaty rozbierać należało! – zasyczał król.

– Ale kapliczka z kamienia...

– *Þegiðu!* – Eryk uderzył chudą pięścią w poręcz tronu. – Nie po to żeśmy z mozołem wiarę krzewili, by jeden głupiec wszystko zaprzepaścić miał! Choćby i w szlachetnym celu!

– *Herra minn...*

– Milcz, powiedziałem! Pokutę stosowną ojciec Flawiusz ci nakaze, wojewodo. – Twarz królewska z wolna wygładzała się. – Za czyny i słowa twoje, Ottarson. Prosiłem jednak ojca wielebneho, by zważywszy na twoje męstwo, była to łagodna pokuta. A wy, jakże nieoczekiwani sojusznicy – zwrócił się znowu w stronę Windalfa – wieście, że wiele ludzkich żywotów uratowaliście.

– A wy wiele karlich możecie, panie gniewny – zahuczał naraz Windalf. – Nie przybyliśmy tu z przyjaźni dla was, panie, choć wielki z was wojownik. Obiecuję jednakże wam przyjaźń, jeśli słów moich wysłuchacie.

– Mów dalej, karle. – Eryk rozparł się wygodnie.

– Nasze plemię od wieków zwykło z ludźmi handlować – dudnił tubalny głos karła. – Kupowaliśmy jedzenie, dużo jedzenia. Płaciliśmy dobrym srebrem, a zawdy sprawiedliwie. W tym roku jednakże odpędziliście nas od tingu i we wsiach ludzi przeciw nam nastawiacie! Nikt nie chce już z nami gadać, boją się ludzie. Zły to układ, panie gniewny.

– Zalibyście sami uprawiać ziemi nie umieli? – zamyślił się król. – Wždy ciągiem w niej babracie.

– To wy, ludzie, w niej babracie, człowieku nieświadomy – parsknął karzeł. – My ją kształtujemy i odnajdujemy w niej cuda. Jeno tam, gdzie żyjemy, słońca nie ma, przeto siał nie możemy.

– Taki możny ród i jedzenia szuka? – Król kiwał głową.

– Szuka, a miast rabować, płacić za nie gotów, panie gniewny. – Windalf wzruszył lekceważąco ramionami. – Złota ci u nas w bród, a wy go potrzebujecie, panie. I to bardzo.

– A skąd ty to wiesz?

– Mam oczy. Widziałem Nidaros, człowieku drwiący. Jeszcze miesiąc temu kupcy ze wszech stron świata tu zmierzali, towary wozili, kupczyli... Dużo złota, dużo! A nynie, panie dufny, chyba smolnym szczapami przyjdzie wam płacić.

– Cóż, rad tedy będę...

– *Nei* – przerwał mu spokojny głos Windalfa. – Nie będziecie radzi, królu.

– Jak...

– Jam Windalf, karli król, i nie będziecie mi nakazywali milczenia jak waszemu wojewodzie. Widzę wasze myśli, człeku zapalczywy. Cieszysz się, że cudzym kosztem miasto odzyskałeś, cieszysz się, że słabość naszą poznałeś. Złe twoje myśli, człeku zapalczywy.

Karzeł założył z chrzestem ramiona na piersi. Przez mgnienie oka na twarzy królewskiej malowało się zaskoczenie. Atmosfera wyraźnie stężała.

– Widzieliśmy rozdroże, na którym stanęło twe królestwo – ciągnął Windalf niewzruszenie – Wyszliśmy więc zbrojnym hufcem z podziemi i starliśmy się z twymi wrogami. Po raz pierwszy od wieków stanęliśmy po stronie ludzi i nie ma karła, choćby najgłupszego w moim hirdzie, co by się temu nie dziwił. A każdy z nich, nawet ów najgłupszy, dobrze wie, że nie masz na całym świecie armii, która dałaby nam radę.

– Czy to groźba, karli królu? – Głos Halvdansona drżał z gniewu.

– Nie. – Arnul niemalże widział, jak stary karzeł marszczy brwi i kręci głową. – To obietnica, człowieniu gniewny. Moje plemię to możny sprzymierzeniec. Pokoju i sojuszu z nami ci szukać, królu, nie wojny...

– O sojuszu możesz zapomnieć – syczał król. Na jego bladą twarz wystąpiły niezdrowe, czerwone plamy. – Bóg Wszechmogący pokarze...

– Ha! – Karzeł zaśmiał się i uderzył dłonią o kolano. – Już wy mnie Bogiem na Krzyżu nie straszcie, człowieniu zapalczywy. Nie straszcie karami ni klątwami i wiarą się nie zaśłaniajcie. Wszak na wezwanie jednego z twych świątków tu przybylim.

Rozległ się cichy syk, kiedy Eryk wolno opadał w fotel, wypuszczając powietrze przez zęby. Czarne loki zafalowały, kiedy twarz króla zwróciła się niespodziewanie w stronę ojca Flawiusza. Na twarzy starca malowało się jednak całkowite osłupienie.

– Wielebny Konrad... – wyszeptał cicho.

– Kto on zacz... – warknął Eryk.

– Duchowy, który miał zastąpić biskupa Hieronima!

– Nie ma takiej potrzeby...

Obaj, Eryk i Flawiusz, naraz poderwali się, rozpoznając ochrypy głos. Ottarson uniósł głowę, a jarlowie drgnęli. Jakaś nowa, potężna sylwetka czerniała w mroku, oddychając chrapliwie. Postać uczyniła kilka ciężkich kroków, wspierając się na lasce. Płomienie świec ślizgały się po złotym krzyżu na szerokiej piersi.

– Nie ma potrzeby. Zdrów zem... – odezwał się zmęczonym głosem biskup Hieronim.

– Ekscelencjo... – wyszeptał zmartwiałymi wargami ojciec Flawiusz. – Ekscelencjo! – wrzasnął z dzikiej radości i upadł biskupowi do stóp.

Przybyli z Erykiem jarlowie powstali, ciężko podnosił się również wojewoda Ottarson. Na obliczu całej trójki malowało się przerażenie i niedowierzanie.

– Potem... – Pulchna dłoń spoczęła na głowie Flawiusza obejmującego biskupie kolana. – W złą godzinę... powróciłeś... królu...

– Nie mówcie jeno, ojcze, że jako ten syn marnotrawny... – Eryk przyklęknął na jedno kolano i opuścił głowę.

– Nie... – Lśniące gorączką oczy biskupa patrzyły nań półprzytomnie. – Zaprawdę... nie... Wiarę żeś.. pokazywał... Jeno klęska.. dalej... wisi... nad nami...

– Zali Swije nie odpędzeni? – Król dostawiał biskupowi krzesło, lecz ten machnął niecierpliwie dłonią.

– Odpędzeni, ale... nie rozbici... – szeptał Hieronim. – Jak ta zaraza... Gotowi... z powstańcami się... połączyć... nie wydolim...

– Co robić, ojcze? – Eryk zamarł w oczekiwaniu, zdawał się już nie pamiętać o Konradzie i dalej nieporuszonych karłach.

– To twoja... wojna... Eryku... To widmo... Bjorgvin...

– Nie pojmuję! – Halvdanson mrugał oczyma.

– Sny miałem... Wiem... Ten, co... lżył nas z murów... i co... ranę mi zadał... on nynie... Swijów wiedzie... Mus, że się... połączą...

– Ten kapłan... – Eryk wyprostował się, a przed oczami stanęło mu wspomnienie świętego jesionu, do którego przybito Rangara Przyjaciela Kruków. – Trzeba w te pędy siły zbierać i na Bjorgvin ruszać! Johnie. – Odwrócił się ku najemnikowi, wciąż stojącemu nieruchomo. – Bieź na podwórzec, każ swym ludziom do drogi się szykować! Weź też tylu grodowych, ilu dasz radę! Wy, jarlu, również zbierzcie swoich.

Potem wzrok króla spoczął na Flawiuszu.

– Wy, ojcze, będziecie mieć wiele rzeczy na głowie. Koniecznie kapliczkę trza odbudować, miasto uprzątnąć, a i onym Konradem się zająć. Tylko rozważnie z nim postępuj, bo niewielu mi sług Bożych zostało. A Gustavsona najlepiej...

Przerwał na chwilę i odwrócił się, bo oto biskup zbliżył się do karlego władcy i padł na kolana. Chwiejąca się, łysa, spotniała głowa Hieronima była teraz na równi z głową karła ukrytą pod złotym hełmem w kształcie smoczego pyska. Biskup splótł mokre palce.

– Ocaliliście gród... Gniewne są słowa króla, ale nagroda was nie minie. I sojusz zawrzemy – szeptał. Ślina spływała mu z kącika ust. – Król rusza na wojnę. Puste Nidaros zostanie, a wróg niedaleko...

– Myślicie, że Swije wróca? – spytał zaniepokojony król.

– Nie wszyscy Swije odeszli, panie – odezwał się wojewoda, nie patrząc w jego stronę. – Kilka dziesiątek dalej katedrę trzyma.

– Katedrę... – wyszeptał biskup i niespodziewanie padł Windalfowi do kolan. – Zaklinam was... Idźcie, wytnijcie ich! Wypędźcie z katedry! Skarb wam wielki... obiecuję... największy... największy, jaki mamy!

Windalf zmrużył zielone oczy.

– Prawdę mówi – oznajmił niespodziewanie dla wszystkich. – Zgoda.

Król po mistrzowsku zamaskował zadziwienie.

– Wojewoda Ottarson was poprowadzi, karły – rzekł głośno i ruszył ku drzwiom.

Płomienie ogniska zmieniły wychudłą twarz jarla Trygvego w płataninę cieni.

– I co teraz, ojciec? – spytał Svein popijając z bukłaka.

Stary wojownik spojrzał na niego ostro.

– O czym ty gadasz, Svein? – warknął, odgarniając kosmyk siwych włosów znad czoła. – Jak: co teraz? Za dalekośmy zabrnęli, by się teraz cofać.

– Nie będzie łatwo, jarlu – stwierdził Gunulf. – Biskup...

– Biskup to szaleniec! – Jarl zatrzęsł się z gniewu. – *Tíkarsonurinn!* Nie nim trza się nam przejmować! Gudrun... Widzieliście gdzie Gudrun?

– Na zamku nigdzie jej nie widziałem. – Svein pokręcił głową. – Ale zamek wielki. Może gdzieś na komnatach?

– Gadałem z jednym człowiekiem, Edgar chyba się zwał – odezwał się Gunulf, dorzucając do ognia. – W straży grodowej służy, ale zacny człek. Mówił, że w ciepłe dni jakaś białka przy baszcie północnej siedzi. Twarz jej widać i włosy jasne...

– To musi być Gudrun. – Głos Trygvego zadrżał. – Ku Hladir patrzy...

– Ojciec, nie można jej tu zostawić! – Svein zacisnął pięści. – Dość już hańby...

– *Þegiðu!* – Jarl spłoszował. – Juści, że... że dosyć. Mus nam teraz z królem na wojnę jechać, jeno... Jeno Gudrun zostawić w Nidaros nie lza! Co radzicie, druhowie?

– Porwać by ją jakoś trza... – Svein zamyślił się, wpatrując się w syczące płomienie. – Zamek pusty będzie, król daleko...

– I gdzie my ją schowamy, co? – warknął jarl. – Kiedy chłystek do Nidaros powróci, od razu się połapie, że jarlowie z Hladir córkę postanowili odzyskać!

– Coś mi się widzi – odparł Svein – że po wojnie król Eryk i tak coś na nas wymyśli, czy porwiemy Gudrun, czy nie. Myślicie, że spodobało mu się, żeśmy sami na odsiecz miastu poszli? Że nie domyśla się powodów?

– Słusznie prawisz. – Jarl zagryzł wargi. – Słusznie, Svein. Trza twą siostrę przed pohańbieniem ocalić, a potem niech się dzieje, co Norny zapisały. Za dalekośmy zabrnęli.

– Ja się tym zajmę, za waszym pozwoleniem, jarlu – odezwał się Gunulf i przygładził wąsiska. – Od dziecięcych lat wam służę, tak i teraz was nie zawiodę. Dajcie mi trzech dobrych ludzi, a ocalę waszą córę.

Stary jarl przez moment wpatrywał się w poważną twarz drużynnika, po czym skinął głową i drżącą ręką poklepał jego dłoń.

– Niech cię bogowie prowadzą, Gunulf – powiedział cicho. – A nas, Svein, czeka jutro długa droga. Musimy jeszcze pewną osobę odnaleźć.

– Kogo?

– Zobaczysz.

Gunulf obszedł jeszcze raz strażę i powrócił do ogniska, a obaj jarlowie, starszy i młodszy, udali się do namiotu. Po raz kolejny tej zimy wojowie z Hladir zasypiali, nie wiedząc, jakie czeka ich jutro.

Rozdział 27

Było takie miejsce na brzegu fiordu Nidaros, z którego nie widać ani przystani, ani samego miasta. Tam spotkało się dwóch ludzi, którzy oddali swe serca Bogu.

– Dziękuję, że zgodziliście się ze mną zobaczyć, ojcie – wyszeptał Vidar Gustavson. – Zgrzeszyłem i... i o radę was proszę.

– Któż z nas nie zgrzeszył w tych dniach... Wyjaw winy.

Choć wzrok Konrada był pełen zadumy, mnich słuchał Islandczyka z uwagą.

– Kiedy ja nawet nie wiem, czy to są winy. Nie, to nie był dobry pomysł. Nie powinienem głowy ci zawracać!

Skald już się odwracał, gdy dłoń Konrada zacisnęła się na jego ramieniu.

– Poczekaj – rzekł stanowczo. – Chcesz, bym oczyścił twą duszę czy nie?

– Duszę! – wykrzyknął Vidar. – Czy ja jeszcze ją mam? Jak mogę służyć Bożego o radę prosić, kiedy jestem potworem! Pogańskim potworem!

– Wiem. – Głos Konrada był spokojny. – Widziałem bitwę. Widziałem waszą walkę.

– Widzieliście, ojcie. Tedy prowadźcie do lochów, tam gdzie moje miejsce.

– Dlaczego miałbym tak uczynić?

– Jestem wilkołakiem! Bestią z piekła rodem? *Ulvhedning!* Ja... Ja już niczego nie mam. Pod Bjorgvin straciłem przyjaciela, Flokego. Tamże utraciłem miłość do mego władcy, a potem przeklął mnie Odyn i zagroził drogę do Boga. Z wolna tracę siebie...

– Ale Bóg ciebie nie stracił. – Konrad ujął mocno oba jego ramiona.

– A co Bogu po pogańskiej poczwarze?

– Bóg kocha wszelkie stworzenie...

– Powiedzcie, ojcie, dlaczego Bóg pozwolił, bym został przeklęty, skoro szczerze go miłowałem? Zali to kara za to, że w króla zwątpiłem?

– Nikt nie zna zamysłów Wszechmogącego, Vidarze. Może Bóg chciał wypróbować twoje męstwo i twoją wiarę, ale po prawdzie to wątpię. Myślę, że to, co ty nazywasz przekleństwem, Boga wcale a wcale nie obchodzi. Bo wszystko, co Północ zrodziła: karły, trolle, nixy, korostwory i insze, stanowi groźbę nie dla Boga, jeno dla Kościoła. Mówi się, że obcy bogowie je stworzyli i że nigdy naszemu Panu się nie pokłonią. Nie wiem, czy to prawda, gdyż mnie tylko ludzkie dusze zajmują, ale tacy jak biskup Hieronim czy ojciec Flawiusz myślą o onych istotach jako tych, co ich panowaniu się oprą i bluźnić będą!

– Panowaniu Boga... – Oczy Vidara były szeroko otwarte.

– Panowaniu Kościoła, Vidarze... Panowaniu biskupa Hieronima i ojca Flawiusza. Kościół na ziemiach nordweskich wciąż kruchy, a więc muszą ojcowie wielebni niszczyć wszystko, co choć o dawnych bogach przypomina. Wyciąć chcą karłów zacnych, wypędzić trolle poczciwe, pozabijać nixy, co ponoć jeno ryby jedzą. Stąd i twoje uwięzienie, druho mój. – Konrad uśmiechnął się smutno.

– Ale wy inaczej czynicie, ojcie. Wyście przywołali karłów...

– Tak, jam ci. Co więcej, dzięki sojuszowi z karłami Kościół wielce skorzystał. Hufiec Windalfa ocalił miasto, a sam król obiecał wyzwolić katedrę i wznowić handel. Przecież tego właśnie chcemy, prawda? A opowieści o tym, jakoby karły obcym bogom hołdowały... Vidarze, czy pomnisz opowieść o stworzeniu karłów?

– Wedle podań karły powstały ze szczątków olbrzyma Ymira.

– Zatem nie bogowie ich stworzyli. Wszelaka argumentacja biskupa Hieronima traci tym samym sens, bo karły nie mają powodu, by kogokolwiek czcić. Może teraz, gdy Nidaors ocaliły i przyjaźń obiecały, ludzie zapomną o dawnej niechęci i inaczej na karli lud patrzeć będą?

– Piękne i mądre to słowa, ojcze, lecz czy mi co z nich przyjdzie? Wy się rozwodzicie nad przyszłością Nordwegu, a ja nie wiem, jak jutra doczekać. Właśnie zemknąłem z królewskiego lochu, zostawiwszy za sobą trupy dwóch strażników. Ba, pomogłem uciec z lochów karlicy, sam nie wiem czemu. Król na mnie czyha, Flawiusz o mnie pamięta, jednooki wiking chce mnie ubić... Co mam począć?

– Miej wiarę, Vidarze.

– Ojcze, mam wiarę, a mimo to jestem wilkołakiem zdrajcą! Porzuciłem mego króla! Przestałem w niego wierzyć! Wiem, że Halvdanson jest okrutnikiem, ale... – Vidar przełknął ślinę. – Ale źle mi się żyje z tą świadomością. Już chyba wolę to, że jestem wilkołakiem.

– A ja ci rzeknę tak: skoro wpuściłeś Boga do swego serca, tedy najpierw ześ jego sługą, dopiero potem ziemskich władców.

– Ale ten, kto się sprzeciwi woli monarchy, piętnowany jest jako zdrajca!

– Jeno monarchowie z łaski boskiej panują i boskim przykazaniom posłuszni być powinni. Halvdanson zaś nie jest jeszcze nawet koronowany – jeno przed tingiem konungiem go okrzyknięto, a to nie starczy, by pomazańcem został. Co więcej, przeciw przykazaniom boskim walczy, a orężem jego kłamstwo i obłuda. Obowiązkiem każdego dobrego chrześcijanina jest wstać i powiedzieć „nie!”.

– Nie będzie to grzechem?

– Ci ze świątków, którzy reprezentują Kościół, rzekną ci, że tak. Ci, którzy posłuszni są przede wszystkim Bogu, rzekną, że On jest sędzią najwyższym i ino on przewiny twoje osądzić może.

– Tedy, ojcze, mam wstać i powiedzieć...

– Jużes to zrobił. Nynie, kiedy Swije odpędzone, prawdziwa wojna dopiero się zacznie. Znajdź innych, co myślą podobnie. W imię wolności, Vidarze.

– Zrzucić Białego Jastrzębia z tronu... – Przełknął ślinę.

– A czy widzisz inną drogę do tego, by ludziom Boga pokazać? W tej nieszczęsnej krainie musi wprzódki wolność i spokój zapanować.

– A wy, ojcze... Powiedziecie nas?

– Nie, Vidarze. – Konrad się uśmiechnął. – Radą służyć mogę, ale nie jestem wojownikiem. Sami wyznaczycie przywódcę.

– Ojcze...

– Który to ze świątków ci w ucieczce pomógł?

– Młody taki... Ulf go zwał.

- Przyślij go tedy do mnie. A karlica?
- Umknęła kajś.
- Oby się odnalazła. Też pomocą mogłaby służyć.
- Pójdę już, ojczy. Nie wiem, jak wam za pokrzepę dziękować...
- To też i twoja zasługa.
- A pokuta, ojczy?
- Sam już ją sobie naznaczyłeś.
- Bywajcie, ojczy.
- Bywaj, Vidarze. Ach, jeszcze jedno. – Młody duchowny wyciągnął w stronę skalda podłużne zawiniątko. – To należy do was.
- Mój miecz? – zdumiał się Islandczyk. – Przepadł pod wałami! Skąd go macie?
- Znalazłem. – Konrad uśmiechnął się blade. – Pod wałami.
- Coście tam robili?
- Szukałem rannych. Leczyłem.

Było takie miejsce pod wałami Nidaros, z którego nie było ani dumnego, kamiennego zamczyska, ani samego miasta, bo widok na oba zasłaniała długa, masywna chata-spichlerz. Tam spotkało się dwóch ludzi, którzy oddali swe serca walce.

- Wróciłeś – stwierdził Ottarson, siadając ciężko na osmolonej kłodzie.
- Ano wróciłem – mruknął Harald.
- Dość niespodziewanie żeś zniknął.
- Mnie też to zaskoczyło.
- Zachlałeś się i wpadłeś do morza?
- Zachlałem się. I wpadłem do lochu.
- Psia dola. – Finn pokręcił głową, ale na jego twarzy nie było znać zaskoczenia.
- Zbyt gorąco przy piwie się gadało i karczmarz mnie wydał...
- Wypuścili cię?
- Sam się wypuściłem. Harowałem przy tej zawszonej katedrze, na *jul* żeśmy uciekli.
- A, wtedy. Głośno o tym było. Ponoć Albionczycy wszystkich ustrzelili!
- Nie wszystkich. – Harald pomarkotniał.
- Gdzie się podziewałeś? *Fyrir Þór*, przydałbyś się podczas tej zawieruchy! – Finn machnął ręką w stronę zniszczonego wału.
- Ech, długo by opowiadać. Nie objąłem się, to wszystko. Do świty tego nowego świątka żem dołączył, pod Blaakysten Swijów ciąłem, nynie tu jestem.
- Na wałach żem cię nie widział.
- Miałem ważniejsze sprawy na łbie.
- Dziewkiś omacywał? Konie podkuwał?
- Rzyć ci ratowałem, psi chwoście! To ja karły przywiodłem.
- Ty? Harald, wielu rzeczom wiarę dam, ale ty i....
- *Fíflid þitt*, Finn. Z karłem żem się jednym zaprzyjaźnił i razem w poselstwo

ruszyliśmy.

– Z karłem żeś się podrużył?

Na twarz Ottarsona wypłynęło autentyczne zdumienie.

– A co? Czemu nie? Dziwak z niego, ale niegłupi. W bitce też sprawny.

– Z karłem? Ciarki mi po zadku latają, kiedy patrzę na te pokurcze.

– Oho ho! Można wojewoda Ottarson, obrońca Nidaros, garści karłów się stracha!

Daj, niech ci ślozy otrę, kpie! – Harald wyciągnął rękę w stronę twarzy Finna, ten jednak uderzył go łokciem w bok.

– Ot, duński przygłup! – warknął. – Garść karłów, powiada nieustraszony Harald...

Widziałeś ty, jak one się tłuką? Jaką magię mają?

– W pierwszym szeregu ich byłem. W ich jaskiniach byłem, z ichnim konungiem gadałem, nynie walczę u ich boku. Zresztą, chwalić się nie będę. Wyście też chwacko się sprawili na murach.

– *Já, ég veit.* Ci, co przeżyli, też tak mówią. Jenó chłystek szczeka swoje.

– Co szczeka?

– „Dzielnieście stawali wojewodo, jeno źle, coście kapliczkę rozebrać dali, oj, nie lza było. Karę ponieść musicie!”. Co, szczać na łby swijskie miałem?

– Wprzód trza było świątkami w Swijów ciskać, potem za kapliczkę się wziąć!

– Prawie gadasz. Brudny ten świat się zrobił.

– Ano brudny...

Obaj wojownicy milczeli przez chwilę, aż odezwał się Finn:

– A nynie co poczniesz?

– *Veit ekki.* – Harald wzruszył ramionami. – Znużonym.

– W grodzie ludzi mało, domostwa poburzone. Tyś spod prawa wyjęty. Lepiej uchodź stąd, jeszcze cię król przyuważy...

– Zostanę w Nidaros, poczekam... Może się nadarzy...

– *Hvað?*

– Okazja.

– Na co?

– By mu łeb rozszczepić.

W jedynym oku Haralda pojawiła się mgła.

– Komu? Królowi? Rozum żeś postradał... – Finn machnął dłonią. – *Fíflid þitt!*

– Oko mi wydziabał, a tego mu nie daruję...

– Król?

– Na jego orszak na leśnej drodze napadłem, zaraz po ucieczce z budowy. Jechał na ting, gad. Znienacka wypadłem, ludzi mu porąbałem, ale on mnie kolnął.

– Ho ho! – zdumiał się Finn. – Tedy nie tylko żeś banita, co jeszcze króla osobisty nieprzyjaciel! Ho ho! Sameś jego ludzi pociął?

– Pono szął berserkerki we mnie wstąpił. Nie pomnę.

– Wczoraj też widziałem berserka. Po naszej stronie się bił.

– Kto zacz? Znam li go?

– Skald królewski, Gustavson. Ciął jak demon, wielu położył.

– Znam gada. Też mu śmierć obiecałem.

– Szalony jesteś, Harald.

Jednooki wiking uśmiechnął się krzywo w odpowiedzi i trącił Finna łokciem.

– Coście tak skapcianieli, panie wojewodo? Świat się zmienia! Drzewiej jeno dziesiętnikami bylim, nynie ja banita, wy wojewoda...

– Nie wiem jeno, kto ma komu zazdrościć – parsknął Ottarson.

– Nie wiem, czy można mi zazdrościć, Finn, ale wiedz, że zrobię, co do mnie należy, i nikt już mnie w Nordwegu nie zobaczy! Zabieraj się ze mną!

– Może. – Finn się zamyślił. – Jeno pomocy twojej potrzebuję.

– *Skal gert, herra minn!* Na rozkaz, wojewodo!

– Zamknijże ten pysk i słuchaj. Król i jarlowie z Hladir do Bjorgvin jadą, bo Swije mają się z buntownikami łączyć. Tam się wszystko rozstrzygnie!

– Ale będzie jatka...

– Tu też będzie niezgorza. Biskup żmija ozdrowieć raczyli i chcą, bym na czele karłów tę chędożoną katedrę ze Swijów oczyścił.

– Ho ho!

– Na czele karłów, Harald! Karłów!

– Nie strachaj się, Finn. Juści, karły gryzą jak psy, krew ptaków chleptają i siarką cuchną, jeno...

– Ty kpisz, bo je znasz, a ja! Nie ufam tym jaskiniowym pokrakom, no i koniec!

– Pójdę z tobą, Finn. – Harald westchnął.

– Znasz karłów, znasz katedrę, wżdy ja budowałeś... Przydasz się.

– *Mjög vel*, Finn. Ale obiecaj, że to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobisz dla królewskiego szczeniaka. *Bless!*

– *Bless*. Do wieczora.

Było takie miejsce na podgrodziu, które leżało z dala od traktu do miasta i nie dotarły tam bezlitosne płomienie. W niewielkiej, przytulnej chatce, w której przed atakiem zza morza mieszkał miejscowy rymarz, schroniło się dwóch wędrowców, którzy oddali swe serca przeznaczeniu.

Harald kucał przy palenisku pośrodku izby i dmuchał na płomyki, coraz śmielej myszkujące wśród starannie ułożonych bierwion, a potem przysunął sobie wyliniałą baranią skórę pod siedzenie i ujął *Úlfabaninna* w zgrabiałe ręce. Wyjął szmatkę i zaczął czyścić zrudziałą od zakrzepłej krwi głownię. Rubin, tajemną sztuką kowalską wprawiony w stal rękojeści, połyskiwał krwawo w blasku ognia.

– Eee tam... – mruknął karzeł za jego plecami. – Do niczego ta przepowiednia..

– *Hvað?* – Harald ocknął się z zadumy.

– Nic. O prze... przepowiedni dumałem.

– Oho. – Harald przejechał po raz ostatni po klindze. – Ozwał się ten, który jeszcze wczoraj umiał wszystko dzięki niej wytłumaczyć.

– Ciągłe się ze mnie nabijasz.

– Wcale nie. Opowiedz lepiej o spotkaniu Białego Jastrzębia z Windalfem.

Arnul pokiwał głową i dotknął opatrunku na czole.

– Wielu znaczących ludzi się tam zjawilo. Król, jarlowie i ten... ten świątek, co nas przesłuchiwał.

– Pomnę i nigdy nie zapomnę. – Oko Haralda zwięzło się lekko.

– A potem pojawił się ten... ten, co Ulf przy nim waruje... – Karzeł zmarszczył brwi. – Ten wielki taki... Co szesznać miał...

– *Ég veit...* – mruknął Dun. – Słyszałem już, że stary cap z łoża śmierci wstał. Ale i na niego przyjdzie czas.

– Cięgiem słu... słucham ino tych twoich grózb – parsknął niespodziewanie Arnul i podniósł się na łokciach. – Zupełnie jak na budowie. Cięgiem o zemstach jakichś gadasz, szeptasz do siebie, prze...przeklinasz, a w ślepiu ino pożogę ci widać!

Harald patrzył nań spokojnie i uderzał lekko brudnym paznokciem o głównię miecza.

– Zaiste, gadam i gadam – powiedział cichym głosem. – Nie są to jednak słowa na wiatr, Arnul. Wždy mówiłem o ucieczce i uciekliśmy. A teraz... Widzisz, Arnul – wzrok wojownika zawisł na lśniącej w blasku płomieni klindze Úlfabaninna – opowiedziałbym ci tedy pewną historię, ale możesz nie dać w nią wiary.

– Hi... historię? – Arnul zmarszczył brwi i poprawił się niespokojnie na legowisku.

– A zresztą... Karzeł żeś, tedy uwierzysz. Pytałeś mnie kiedyś, skąd ów miecz mam, a ja ci mówiłem, że go Swijowi z garści wyszarpnął. Nieprawda to była. Pod Blaakysten spotkałem walkirię. To dar od niej.

– Od walkirii? – Oczy karła były teraz szeroko otwarte ze zdumienia. – Ale...

– Wiem, co rzec chcesz. Że walkirię widzą jedynie zmarli. Ja zaś o śmierć się otarłem, bo walkiria zatrzymała mnie, kiedy za wozami biegłem. Kazała mi się zatrzymać, bo swijska strzała na mnie czekała.

– Nie... samowite! Co ci rzekła?

Arnul aż podskakiwał z podniecenia.

– Wiele słów, Arnul, wiele. Nie wszystko pojałem. Jedno pamiętam, to najważniejsze: nadciąga Ragnarok. Zbroją się bogowie, budzą smoki, wstają olbrzymi, ale do bitwy może nie dojść.

– Jakże to?

– Norny zapisały przeznaczenie dla całego świata aż po jego kres, czyli Ragnarok. Nie ujrzały jednak nadejścia Boga na Krzyżu, który przeznaczenie płacze, bogów naszych i olbrzymów w cień wypiera. Przez niego obie armie zmierzyć się nie mogą. Nie do końca to rozumiem, ale wiem, że to groźne, bo... Bo co się stanie z ludźmi, gdy ktoś zniszczy przeznaczenie bogom? Co się stanie, jak coś zabierze nasze przeznaczenie? Może przestaniemy istnieć? Arnul, kim jest człowiek bez przeznaczenia? Czy to dalej jest człowiek?

Harald mówił cichym głosem, a jego dłonie wciąż gładziły miecz. Arnulowi wydało się naraz, iż w izbie pociemniało, zaś sam miecz lśnił nieziemskim, wewnętrznym ogniem.

– Wiesz nynie, skąd ten miecz? – pytał Dun. – Wiesz, po co mi on? Został mi wręczony, bym zabijał tych, którzy królestwo Boga na Krzyżu budują. To już nie jest po prostu zemsta. To wojna.

– A co z Konradem? Jego też usieczesz?

– Kimże jest Konrad? – prychnął Harald. – Marzyciel z głową w obłokach. Tu, na Północy, nie przeżyje długo. Choć przyznam, że pomysł ściągnięcia karłów wszystkim się przydał. – Wojownik zmarszczył brwi. – Nie dość, że pomogliśmy miastu, to jeszcze zadrwiliśmy z króla.

– Byłbyś na naradzie – bąknął karzeł – widziałbyś, jak król drwi.

– Z kogo?

– Z każdego – burknął Arnul. – A z Windalfa chyba najbardziej.

– Ponoć karły katedrę mają zdobyć, bo królowi na wojnę śpieszno. Nie gniewał się karli król, kiedy o tym usłyszał?

– Wie... wielki skarb mu ten... Hieronim obiecał, tedy nie gadał wiele – przyznał z niechęcią Arnul i natychmiast odwrócił wzrok.

– Ha! – Dziki płomień załśnił w oku Haralda. – I to cię gryzie!

– Że niby co?

– W przepowiedni stoi, że skarb ma karzeł jaki odnaleźć. Mślałeś, że to ty, a tymczasem Windalf złoto zgarnie? – Harald rechotał. – He, he, he, he!

– Bodajby cię... – Zaczerwieniony Arnul zgrzytnął zębami i pochylił głowę.

– Ciesz się życiem, Arnul. – Głos Haralda naraz zmiękł. – Daj już sobie spokój z tą wojną i ze skarbami. Padnie jeszcze kilka ciosów, ale koniec już blisko. Zrobię, co mogę, skrzyknę paru chłopów, pojedziem stąd w jasną cholerę. Może na Islandię, może do Danii, mam jeszcze druhów na Orkadach...

– Może i racja. – Arnul westchnął. – Wiesz, gadałem ci z Hannarem... Chcę się runów na... nauczyć...

– Dobry pomysł. – Harald się uśmiechnął. – Dołącz do karłów, zostań z nimi. Bezpieczny wśród nich jesteś. Tylko ostrzeż ich.

– Przed czym?

– Nie wiem. – Harald wzruszył ramionami. – Może król czy biskup chcą ich w zasadzkę wciągnąć? Sam tam będę zresztą, obiecałem staremu druhowi, że wesprę go w potrzebie.

– Tedy i ja z tobą pó... pójdę...

– *Nei*, Arnul. Widziałem cię po bitwie w przystani. Dla ciebie wojna już się skończyła.

– Nie... nie decyduj za mnie. Weź mnie ze sobą...

Obaj drgnęli, naraz w wyłamanej futrynie zamajaczyła postać rosnącego męża w czarnym, podartym kubraku. Miał rozczochrane włosy i brudną, chorą twarz. Minęła dłuższa chwila, nim go rozpoznali.

– *Ég heilsa yður*, Harald – powiedział cicho Vidar Gustavson.

– Skald... – wyszeptał zaskoczony Arnul.

– To ty? – warknął Dun, wreszcie poznając. – Czego chciałeś, królewski psie? Szpiegujesz?

– Spójrz na mnie. – Vidar oparł się plecami o ścianę i patrzył w palenisko. – Czy tak wygląda szpieg?

– To po co żeś tu przylazł? Śmierć ci obiecałem! *Svikarinn þinn!*⁵¹ – syczał Harald,

podchodząc coraz bliżej. – A teraz w moje łapy żeś wlaź!

– Poniechaj mnie. – Wzrok Vidara był obojętny. – Obaj mamy większych wrogów.

– Obaj? – Harald zachłysnął się ze złości. – Co ty, psia mać...

– Sam niewiele mogę. Ty też. Król i biskup zaś mają wojów, sługów, szpiegów...

– Co? – Naraz złość odpłynęła z poranej bruzdami twarzy Haralda. – Tedy nie kochasz już swego władcy?

– Nie. – Vidar odwzajemnił spojrzenie Duna. – I nie wiem, jak to możliwe, że w ogóle kiedyś uwierzyłem.

– Pono wierzysz w Boga na Krzyżu, a przeciw królowi stajesz? Kręcisz, skaldzie...

– Szaleństwo ogarnia cały Midgard. Błagam... – Niespodziewanie Vidar uklęknął przed zdumionym Haraldem. – Wybacz mi całe zło, jakie ci wyrządziłem i pozwól nam działać razem, wikingu. Tyś woj Thora, ja walczę w imię Chrystusa, ale nie karz naszym mieczom nynie się krzyżować. Poniechaj, zaklinam cię...

– *Druhów szuka miecz z Północy...* – rozległ się szept Arnula.

Rozdział 28

– Nie ugryziem... – sapnął Harald, osuwając się na śnieg za załomem spalonej chaty.

Strzała wyfrunęła z jednego z ciemnych, wąskich okien katedry i wbiła się w zwęglone drewno tuż nad głową woja. Vidar poderwał się i napiął łuk, ale wrogi łucznik już zniknął.

– Ano nie ugryziem... – sapnął Vidar. – Wystrzelają nas, nim do wrót dobiegniem. Więcej łuków trza...

– Ta... tarana trza! – Arnul poprawił wciąż uwierający go hełm

– *Fyrir þor*, tam ich ledwo garstka! Tuzin, nie więcej! – Harald uderzył się pięścią po kolanie. – Tuzin i trzyma w garści całą setkę! Jak karły nic nie wydumają...

W odpowiedzi w mroźnym powietrzu ponióśł się tryumfalny odgłos karlich rogów i ze wszystkich zakątków zdruzgotanego podgrodzia poderwały się krępe cienie w błyszczących zbrojach. Karli wojownicy zbiegli się na głównej drodze prowadzącej prosto ku wrotom, górującej nad zgliszczami, niewzruszonej katedry i popędzili naprzód z gęstniejącym okrzykiem bojowym. Uniesione topory i włócznie zaśniły, a z ciemnych okien katedry pomknęły na ich spotkanie strzały.

– *Helvítis fflið!* – zaklął jednooki wiking, poderwał się i ruszył naprzód przygarbiony. Arnul z Islandczykiem bezszelestnie pobiegli za nim.

Vidar wyhamował tuż obok dygoczącego w konwulsjach karła w srebrnej kolczudze, ściskającego sterczącą z brzucha strzałę, padł na kolana i zerwał łuk z pleców. Błyskawicznie posłał strzałę prosto w okno, gdzie powitał ją wrzask bólu. Na kamiennym parapecie zaległ rudowłosy woj. Vidar natychmiast wyrwał kolejną strzałę z kołczanu, lecz w zdenerwowaniu źle wycelował i po murze poszedł snop iskier.

– Na smród Hel i ogon Fenrisa! – zaryczał ciężko biegnący Ottarson i rymnął na kolana tuż przy skaldzie. Twarz woja była rumiana z wysiłku i złości. – Chędożone pokurcze! – wył, napinając łuk. – Ja miałem dowodzić atakiem, a te pokraki nie słuchają! Na śmierć prą!

– *Biddu*, wojewodo – Vidar zmrużył oko i puścił kolejną strzałę. Przekleństwem powitał chybiecie. – Wiedzą, co robią!

– Łajno! – Ottarson zatrząśł się ze złości i również chybił. – Sameś kiep! Bez drabin...

Nagle z jednego z okien buchnął jaskrawy płomień. Natychmiast cofnął się i skurczył do nieśmiałych promyków, lecz wtedy z kamiennego parapetu zsunął się zwęglony obrońca.

Podobne płomienie poczęły buchać z pozostałych okien. Wojewoda i skald obserwowali zafascynowani, jak mroczny kontur katedry, jeszcze ciemniejszy na tle granatowego, wieczornego nieba, naraz rozbłysnął wieńcem ognia.

– Łuki, co? – parsknął Harald, zatrzymując się obok oniemiałego Vidara.

– Bez drabin... – wyjąkał Ottarson.

– Niegłupi ten Windalf. – Dun uśmiechnął się ponuro. – Najpierw puścił swoich pełną

szarżą, by Swije zdradziły swe gniazdko. A nynie ich spala... Ech, przydam się pewno tam jeszcze... Torden!

Wiking puścił się w stronę karłów, krzycząc swój okrzyk bojowy. Niewiele swijskich strzał padało już na chronione żelazem karle karki, a płomień na kamiennych parapetach osłabł. Wtedy wojownicy Windalfa uformowali czworobok i razem uderzyli na wrota katedry. Ci w pierwszych szeregach uderzali z całej siły i natychmiast usuwali się na bok, by zrobić miejsce dla stojących za nimi. Piekielny łomot rozrąbywanych wrót zmieszał się z wyciem karłów, teraz rytmicznym i zgranym.

Potężne drzazgi strzelały na wszystkie strony, zaśpiew karłów wzbijał się coraz wyżej, a jedno ze skrzydeł runęło z hukiem w chwili, kiedy Harald dopadł ostatniego szeregu. Jeden po drugim wojownicy karłów wślizgiwali się do mrocznego wnętrza.

Finn spojrzał na Vidara, machnął swym pysznym mieczem, wzruszył ramionami i pobiegł za wojami Windalfa.

Dobrze było czuć ciężar miecza w dłoni. Dobrze było patrzeć na płonące trupy i słyszeć przekleństwa pełne trwogi. W powietrzu wisiał duszący smród spalonego mięsa, a nieliczne płonące świece malowały groteskowe cienie biegających. Dobrze tu było.

Daria bezszelestnie wślizgnęła się za ołtarz, wypłaszając stadko przycupniętych tam szczurów. W wielkim wnętrzu katedry było już widno jak w dzień – pożerani przez magiczne płomień wikingowie tarzali się na podłodze, wrzeszcząc z bólu, i nieruchomieli jeden po drugim. W duchu klaskała z radości, słysząc pierwsze uderzenia toporów o zatrzaśnięte wrota.

„Głupi i bezradni jak przestraszone woły! – pomyślała, a jej drobne palce gorączkowo gniotły klingę zapomnianego przez Swijów miecza. – Boją się magii Windalfowej!”

Patrzyła z pogardą, jak wikingowie cofają się w trwodze, wpatrzeni w rozbijane wrota. Rytmiczny, chrapliwy zaśpiew z setek gardeł przypominał jej dni, kiedy plemię Windalfowe przekuwało kolejne tunele. Cały świat wiedział, że Windalf i jego plemię robią coś wielkiego, zupełnie tak, jak teraz! Niech wiedzą ludzie, iż nikt bezkarnie nie porywa córki gór! Dobrze uczyniła, uciekając tym dwóm, którzy otworzyli bramy jej celi, bo za nic w świecie nie oddałaby szansy oglądania ataku wojów z Karlich Wzgórz.

Oczy Darii płonęły dziko. Prawie już zapomniła o tajemniczym przecuciu, które kazało jej uciec od Ulfa i Vidara, przekraść do wielkiej katedry i ukryć za zdewastowanym ołtarzem śmiesznego boga ludzi. Ani przez chwilę nie wątpiła w celowość swych kroków. Karły wątpliwości nie mają nigdy.

Nagle jedno ze skrzydeł bramy runęło z hukiem, a do wnętrza wpadło błękitne światło niesione na hełmach, na tarczach i na toporach podziemnego ludu. Wojownicy Windalfa byli w katedrze.

Swijowie na moment zwarli szyk i powitali napastników strzałami, ale zaraz karle topory grzmotnęły o wikińskie tarcze. Przez moment trwała wyrównana walka, lecz naraz nad jednym z hełmów skupiła się opalizująca niebieska poświata. Delikatne,

przypominające dym włókna skupiły się w kształt ogromnej smoczey głowy. Naraz smok otworzył ślepią i rozwarł paszczę. Echem wewnątrz katedry poniósł się straszliwy syk i szereg przerażonych Swiów zaczął się chwiać. Wojownicy karłów napaarli bez litości.

Wtedy karlica dostrzegła znajomą postać.

Był to człowiek. Walczył u boku jej plemienia, wrzeszcząc i wymachując tym swoim wielkim mieczem. Niespodziewanie pochwyciła jego zniechęcony zapach. Podniosła się i chwyciła mocno miecz. Już wiedziała, po co tu trafiła. Wiedziała, gdzie ma teraz iść.

Ruszyła przez tłum walczących, nie spuszczając go z oczu.

Widziała, z jaką zaciekłością atakował jakiegoś Swiów na spiralnie zakręconych schodach wokół ścian rotundy, widziała jego miecz i snopy iskier, kiedy Swiów parował ciosy. Znała ten miecz, godzinami patrzyła na wystającą z ramiennia, podskakującą w rytm galopu bogato zdobioną rękojeść, z pewnością karlej roboty. Znała go i nienawidziła.

Człowiek napierał zajadle, nie pozostawiając rozpaczliwie broniącemu się przeciwnikowi ani cienia nadziei. Jednym wprawnym ciosem rozniósł drewnianą tarczę, drugim strącił hełm. Swiów zręcznym wypadem rozorał jego ramię, ale tym samym odsłonił swój bok. Wysoki wojownik bez namysłu pchnął i przebił Swiów na wylot.

Nagle krew napłynęła Darii do głowy. Teraz albo nigdy...

Karlica skoczyła z wzniesionym orężem. Nie mogła chybić.

Jej dręczyciel odwrócił się z mieszaniną zdziwienia i bólu na zarośniętej twarzy – och, jak dobrze pamiętała tę twarz, obojętną, gdy szamotała się spętana, wrzeszczała ze strachu i przeklinała go. Chyba ją rozpoznał, gdyż skrzywił się i cofnął o krok.

Uniósł miecz, ale karlica była szybsza. Wymierzone z dzikim wyciem kopnięcie trafiło woja w łydkę i zaskoczony wojownik stracił równowagę. Daria wykorzystała sposobność i cięła przeciwnika najpierw w bok, a potem w szyję. Śmiertelnie raniony wybałuszył oczy, a z jego ust buchnęła krew.

Nienawiść karlicy zgasła i naraz ogarnęło ją znużenie. Z całej siły opanowała ochotę, by usiąść obok ciała swego wroga i odpoczywać, zasnąć. Powolnym krokiem powlokła się schodami na górę. Wyszczerbiony, stary miecz, teraz ociekający krwią, wyślizgnął się z jej dłoni.

Szła powoli, powłócząc nogami. Nie słyszała cichnących już odgłosów walki i ochrypłych pohukiwań zwycięskich karłów. Podniosła wzrok dopiero, kiedy karli woj z toporem i w hełmie w kształcie niedźwiedziej głowy wyhamował tuż przed nią.

– Ooo... – Wojownik przełknął ślinę.

– Co się tak gapisz? – warknęła zmęczonym głosem karlica. – Jesteś wojem Windalfa?

– Jestem Arnul i...

– *Mjög vel*, Arnul. Błagam cię, wyprowadź mnie stąd...

Vidar padł na kolana, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Zaciśnął mocno powieki. Nie

chciał patrzeć na zbezczeszczonego ołtarz. Słowa modlitw rwały się w strzępy i Vidar gorączkowo próbował je pozbierać, by choć w ten sposób zasłonić się przed całym światem. Dopiero po chwili usłyszał, że ktoś wolno idzie w jego stronę, przestępując nad trupami, po czym z szelestem szat klęka tuż obok.

Vidar uniósł głowę.

– Ojcie Konradzie? Ojcie, wy nie powinniście...

– Czego nie powinienem? – Oczy młodego duchownego patrzyły śmiało, choć widać w niej było mgiełkę żalu.

– Jakże to? Wždy to Dom Boży! Zbezczeszczone!

– Bóg nic nie stracił i nic nie zyskał – westchnął Konrad. – W czym ta budowla jest lepsza od każdego innego miejsca w tej krainie? W tym że przy jej budowie umierali ludzie?

– Znów Was nie rozumiem, ojcie...

– A pamiętasz naszą rozmowę? – Konrad pokręcił głową. – O władzy? Czym jest ta katedra? Kto z niej tak naprawdę korzysta?

– Biskup i...

– Tak, Vidarze. Katedra ma przygniatać swą potęgą i wywoływać grozę! – W oczach duchownego pojawiały się iskierki gniewu. – Kogo zaś katedra raz przerazi, ten ze strachu zwróci się ku Wszchemogącemu. To tylko kolejna broń Hieronima...

– Czyli walczyłem dla biskupa? – wykrzyknął nagle roztrzęsiony Vidar.

– Dla siebie walczyłeś. I dla tych wszystkich nieszczęśników z Nidaros, którzy mogą teraz odetchnąć z ulgą.

Vidar uniósł śmiało głowę. Bez lęku spojrział na wielki, dębowy krzyż, ongiś wiszący na ścianie, teraz leżący na schodach, pocięty toporami, popalony, cuchnący kałem i uryną. Patrzył na ołtarz zastawiony cynowymi i drewnianymi półmiskami, resztkami roztraconymi rogami. Ściany znaczyły niezgrabne, krzywe napisy runiczne, których nawet nie musiał czytać, by wiedzieć, że bluźnią imieniu Boskiemu. Obok tabernakulum czerniał wbity w ścianę młot.

Obok przechodziły karły, dumnie wyprostowane, w potrzaskanych zbrojach, niekiedy podtrzymując rannych towarzyszy, kierując się ku wyłamanym wrotom. Ich zielone oczy śledziły ze zdziwieniem dwóch modlących się mężów, ale nikt nie powiedział ani słowa. Żaden się nie skarżył ani nie wznosił tryumfalnych wrzasków. Lud podziemi milczał.

Przed Vidarem stanął barczysty karzeł w pozłacanej kolczudze. Jego długa siwa broda wymykała się spod hełmu w kształcie smoczej głowy, a skryta w ciężkiej rękawicy prawica oparła właśnie tępy koniec krótkiej włóczni o posadzkę.

– Nie masz ci Swijów w waszej świątyni, człeku bogom oddany – oznajmił tubalnym głosem. – Wykonaliśmy zadanie. Gdzie ten, kogo Hieronim zwiecie?

– Hieronim? – Vidar zmarszczył brwi.

– Tenże sam, człeku zapalczywy. Obietnicę nam złożył – Złe ogniki zatańczyły w skośnych oczach karła. – Trzeba mi się z nim rozmówić.

– Tedy ja was powiodę... – Konrad się podniósł i ruszył ku wyjściu.

Vidar odetchnął ciężko. Naraz ogarnęły go złe, bardzo złe przeczucia.

– Na kły Fenrisa... – Harald ciężko usiadł na stopniu. Nakrył powiekami niewidzące już oczy Finna Ottarsona, opadł się ramieniem o mur i westchnął. – Finn, ty stary nieudaczniku – szepnął. – Nie teraz... To miał być dopiero początek!

Harald był człowiekiem gwałtownym i nieufnym. Rzadko znajdował czas na smutek w swym burzliwym życiu, ale teraz... Teraz siedział oparty o chłodny mur, patrząc gdzieś w ciemność i poddając się kolejnym falom apatii i znużenia.

Nigdy dobrze Finna nie poznał. Spotkali się w drużynie Białego Jastrzębia, gdzie obaj byli dziesiątnikami. Walczyli razem w kilku starciach, przepili do siebie kilka toastów, ale wszystko zmieniła bitwa pod Cichymi Wzgórzami. Tam Ottarson miał więcej szczęścia – król widział jego walkę i mianował go setnikiem, co otworzyło Finnowi drogę do kolejnych zaszczytów. Harald zaś pozostał zwykłym dziesiątnikiem, ale dziś uświadomił sobie, że Finn Ottarson był jego ostatnim druhem z dawnego hirdu.

„Jak ja teraz zbiorę drużynę, skoro ostatniego druha do Valhalli mi porwano?” – pomyślał z goryczą.

– Cholera, Finn... – Westchnął nagle, a w gardle poczuł niespodziewanie włochatą kulę. – Ty już pewnie na Bifroście stoisz. Samegoś mnie zostawił z tym całym ścierwem.

Wolno szedł po spiralnie zakręconych schodach, gdy nagle zaalarmował go głośny brzęk kopniętego miecza. Harald drgnął, wytrącony z zadumy. Pochylił się i podniósł kopniętą stal.

Spojrzał w górę, tam, gdzie wciąż leżało ciało Ottarsona, i domyślił się, że podniesiony właśnie miecz musiał wypaść wojewodzie z ręki. Ciarki przeszły Haraldowi po plecach, kiedy uświadomił sobie, iż zaczyna rozumieć pewne rzeczy, z których istnienia nie zdawał sobie wcześniej sprawy.

– Walkiria powiedziała, że będą jeszcze inni – powtórzył bezwiednie słowa. – Już wiem, czemu kazałeś rozebrać kapliczkę. Wiem, skąd nienawiść do świątków. Tę samą tajemnicę nosiliśmy w sobie. Pomszczę cię, Finn.

Spojrzał jeszcze raz na miecz Ottarsona. Nie, nie mogło być mowy o pomyłce. Bogato zdobiony, złoty jelec, misterne ryty na długiej, szerokiej klindze, nawet ten rubinowy kamyk, mrugający doń krwawo z główicy. Identyczny miecz miał u boku.

„Ponoć mój miał usieć czterech ludzi – przypomniał sobie słowa walkirii. – W sercu jednego mieszka zmija, w sercu drugiego gołąb, w sercu trzeciego odyniec, a w sercu czwartego wilk. Ciekawe, jakie zadanie miał miecz Finna”.

Niewiele myśląc, podniósł porzucony oręż i pogładził po zrudziałej klindze, jeszcze raz z zalem patrząc tam, gdzie leżał ten, kto władał nim tak dzielnie.

Rozdział 29

- Harald! Harald! – wołał zasapany Arnul. – Harald, muszę ci coś powiedzieć!
- A tużes jest, huncwocie mały! – Harald odwrócił się od siodłanego konia i zmarszczył brwi. – I ja mam ci coś do powiedzenia.
- Że... – zająknął się karzeł i spuścił głowę. – Że pozwolisz mi pójść z tobą do ka... tedry, jeśli będę się... się siebie trzymał.
- Właśnie! – huknął Dun. – I gdzieżeś się podział?
- No bo... – Arnul drapał się po brzuchu – bo ten wielki Swij padł i ty żeś skoczył za tym z włó... włócznią, i ja... A potem Hannar i Drapnir... Był hałas i ciemno...
- No właśnie! W ciemnościach każdy może cię kolnąć!
- Wždy ja wi... widzę w ciemnościach! Lepiej niż... niż ty!
- Zrezygnowany Harald westchnął ciężko i się wyprostował.
- Ja widzę w ciemnościach! – żarliwie mówił dalej Arnul. – I wszystko wi... widziałem i bardzo uważałem na siebie! I wa... walki też omijałem! A trupy vždy już mi niestraszne...
- Dobrze już. W porządku. Dość już tych twoich bojów, karle. Zapamiętaj, że żaden z ciebie wojak, tedy nie pchaj się do bitwy. Twojej włóczęgi też nadchodzi kres.
- Co? – Arnul osłupiał. – Skąd ci to do głowy przyszło?
- Przepowiednia się wyjaśniła i wszystko jasne. – Silnym szarpnięciem Harald sprawdził umocowanie siodła. – Nie tobie skarb pisany, jeno Windalfowi. Twoja przygoda dobiegła końca. Zostań z Windalfem i osiadź wśród swoich, tam będziesz najbezpieczniejszy. Mnie jeszcze droga pisana długa.
- Zupełnie cię nie rozumiem. Jaka droga?
- Rozmawialiśmy o tym, karle. Przepowiednia zobowiązuje mnie do kontynuowania walki. – Harald wskoczył w siodło i gniewnym gestem ściągnął wodze. – Mam rachunki do wyrównania.
- Po śmierć jedziesz!
- Wielkie, zielone oczy Arnula szklily się łzami.
- Jadę po to, by wypełniło moje przeznaczenie.
- A... ale uważaj na siebie... Obiecujesz?
- Uważać na siebie? – Poorana bruzdami twarz duńskiego wikinga naraz wydała się karłowi dwakroć starsza, znużona. – Nie wiem, czy będzie mi się chciało, Arnul.

Oba konie gnały jak wiatr, popędzane niecierpliwymi okrzykami jeźdźców. Kopyta mocno uderzały o ziemię, z trzaskiem rozbijając zlodowaciałe kałuże. Po raz pierwszy od długiego czasu słońce wyjrzało zza szarego całunu chmur i złociste promienie ślizgały się po śniegu, rażąc przymrużone, załamane od pędu oczy konnych.

Dopiero, gdy wjechali do uśpionego lasu, obaj pozwolili sobie na popuszczenie wodzy. Gałęzie i pnie były pobielone szronem, a korzenie przykrywał bielutki puch. Harald poklepał zmęczonego konia po szyi.

– Długo w stajni – powiedział. – Galopu niezwyčajne.

– Lepsze konie król pobrali – mruknął Vidar, unikając wzroku Duna. – A te skąd?

– Kiedy szliśmy do karłów, Konrad proponował nam konie swej świty – burknął Harald. – Postanowiłem tym razem skorzystać z jego hojności.

– Dlatego żeś tak pędzić chciał? Konradowego gniewu się boisz? – zaszydził Vidar.

– Tak, boję się – warknął Harald, odsłaniając żółte zęby. – Portkami ze strachu trzęsę i spać po nocach nie mogę. Posłuchaj no mnie, skrybo. Działasz mi na nerwy samą obecnością, a więc lepiej dobrze się zastanów, zanim się odezwiesz?

– To po co targasz mnie ze sobą, skoro nie do zniesienia? – Vidar zwięził oczy.

Harald gwałtownym szarpnięciem osadził rumaka w miejscu. Zaskoczony skald uczynił to samo i kiedy zawrócił swego konia, by spojrzeć na Duna, momentalnie tego pożałował. W jedynym oku Haralda kotłowała się wściekłość.

– Bo wyboru nie mam! Finn nie żyje, Arnul to otrok jeszcze, a Psie Ucho stary i zmęczony, sam zaś mogę nie podołać. Ino ciebie do kompanii wziąć mogłem, bo i przepowiednia twoje imię mówi. Walczymy po tej samej stronie, a to nie oznacza, że miłować cię nagle zaczął – parsknął wojownik.

– Ty wciąż masz mi za złe, że pomagałem Flawiuszowi w sądach? – Vidar kręcił głową, nie spuszczać pogardliwego wzroku z wojownika. – Nie umiesz zrozumieć, że błąd to był? Zaiste, tylko dziki wiking może tak bardzo się przywiązać do pragnienia zemsty.

Vidar popędził konia i objechał rumaka Haraldowego.

– Głupi jesteś, Haraldzie synu Ingvara.

– Mylisz głupotę z honorem. – Dun się skrzywił. – Nie martw się o swoje szczęście w bitwie, skaldzie. Jeśli przeżyjesz, to mój miecz wychłepcze twoją krew tak czy owak, czy żeś berserk, czy nie!

– Zali by to też było przepowiedziane? – Vidar skrzywił się drwiąco.

– Tak, człowieku, w którego sercu mieszka wilk...

Arnul kopnął ze złością pęknięty garnek i usiadł przed wygasłym paleniskiem. Toporek ze stukotem wysunął mu się z za pasa i żująca kromkę chleba Daria uniosła wzrok. Ze zdumieniem spojrzała na skulonego karła, którym wstrząsały spazmy szłochu.

– Arnul? – spytała z wahaniem, przełykając kęs. – Głodny jesteś? Chcesz trochę chleba?

– Idź stąd! Zostaw mnie w spokoju!

– D... dobrze... – Zaskoczona karlica cofnęła się o krok. – Jak tam chcesz...

– Nie... – Arnul otarł twarz ramieniem. – Nie, nic. Nie idź. Ja tylko tak...

Rozmazując łzy, odwrócił się ku niej i próbował uśmiechnąć.

Daria cofnęła się o krok, zdumiona i przejęta.

– Przepraszam – bąknął. – Może wy... wyglądam jak dziecko, ale już nim nie jestem...

– Jak dziecko? – zdumiała się jeszcze bardziej.

– Eee tam... – Karzeł znów machnął ręką. – Tak jużem do lu... ludzi przywykł, że i od karłów chcę, by mnie jako małego traktowali...

– Ludzie są głupi.

– Nie wszyscy. – Arnul znowu posmutniał. – Naprawdę.

– I ja mam w to uwierzyć? – Karlica uniosła szyderczo brwi, a w jej zielonych oczach zagrała nutka ironii. – Ludzie kłamią, szydzą, bawi ich okrucieństwo. To głupcy. Nie chcę już dłużej siedzieć w tej cuchnącej ruinie! Zaprowadź mnie do Windalfa!

– Skąd mam wiedzieć, gdzie Windalf?

– Myślałam, że jesteś jednym z jego wojów!

– Tak, ale... Ale ja nie od niego. Ja między ludźmi chowany... – tłumaczył się Arnul.

Z niewiadomych powodów czuł wzbierający wstyd i unikał wzroku Darii.

– Między ludźmi! – Brwi karliczki podjechały wysoko do góry. – Nie dziwota, że inaczej o nich gadasz. Może miałeś szczęście prawych jakichś spotkać...

Nagła fala wdzięczności zalała serce Arnula.

– Oni dobrzy... byli dla mnie jak rodzina... Przyjaźniłem się z ich dziećmi, a ojca szanowałem, chociaż... – urwał i szybko zmienił temat: – A ty skąd w tych lochach, Da... Dario... – nieśmiało wymówił jej imię.

– Skoro nie jesteś wojem, nie powiem ci ani słowa – ucięła krótko Daria.

– Je... jestem wojem! – Arnul wyprostował się z dumą. – Walczyłem pod Blaakysten i na przystani!

– A teraz beczysz i smarkasz. – Karlica zmrużyła oczy.

– Ano beczę. – Arnul pociągnął nosem. – Bo nie co dzień się zdarza, że przyjaciel odjeżdża w niez... nieznane. I o śmierci ga... gada niczym o weselu.

– W plemienu Windalfowym odjeżdża się bardzo rzadko. – Głos Darii przybrał kamienne brzmienie.

– Chodź tedy... Poszukamy Windalfowych wojów...

Naraz karłowi zrobiło się bardzo ciężko na duszy. Bez słowa nałożył zniechęcony hełm i wyszedł przez osmoloną futrynę.

Mróz na nowo objął panowanie nad grodem – błoto zastygło, kałuże ściągnął lód, a szerniałe belki litościwie pokrył szron. Poskręcane sine ciała dawno zostały uprzątnięte, lecz mroźny wiatr przynosił ohydny odór stosów palonych na błoniach. Oba karły odwracały głowy, by nie patrzeć na wysokie, czarne słupy dymu, gryzące niebieskie niebo.

Naraz ciszę nad miastem rozerwał huk dzwonów – Arnul i Daria drgnęli wystraszeni i spojrzeli w stronę wzgórza katedralnego. Wiedzieli, że kapłani Boga na Krzyżu oznajmiali w ten sposób całemu światu, iż odzyskali swą wielką świątynię, ale w spiżowej pieśni brzmiało coś więcej oprócz tryumfu. Pograżeni w pracy ludzie unosili głowy i z bojaźnią w oczach spoglądali ku katedrze, po czym odkładali narzędzia, zerkali na siebie, skrzykiwali dzieci, pomagali wstać staruszkom i tak oto naraz wymarłe podgrodzie zaroilo się od ludzi. Wszyscy ruszali w stronę wzgórza.

Daria spojrzała pytająco na Arnula, lecz ten wzruszył jedynie ramionami. Oboje pobiegli kawałek i ujrzeni, jak ostatnie grupki ludzi wolno wnikają do wnętrza katedry. Tutaj odór palonych ciał był dwakroć silniejszy – trzy wielkie stosy płonęły w niewielkim oddaleniu od wzgórza, a pracujący przy nich ludzie ściągali kolejne ciała z drewnianych wózków i ciskali je w płomienie. Gęsty, czarny całun dymu zniekształcał ich sylwetki na podobieństwo gnomów. Również i tam ludzie wstrzymywali pracę i niczym zahipnotyzowani wpatrywali się katedrę.

Dźwięk dzwonów umilkł wreszcie. Wtedy osłupiały Arnul szturchnął Darię w bok i pokazał coś palcem. Niedaleko opuszczonej przystani niespodziewanie wyrosła nowa budowla, nieprzypominająca zgoła niczego, co Arnul widział do tej pory. Była to wysoka, strzelista wieża bez okien, blanków czy bram, a jej gładkie ściany w blasku zimowego słońca lśniły absolutną bielą. Na tle krępych konturów chat rybaków i dwóch spalonych wraków swijskich smoczycy okrętów wieża wydawała się tworem z innego świata.

– Co to? – zapytał Arnul. – Prze... przecież wczoraj tego nie było!

– To Szklana Wieża – wyszeptała zafascynowana Daria.

– Co?

– Najwięksi karli magowie umieją mocą swych czarów zeszkląć piasek tak, by zbudować zeń wielką wieżę. – Cichy głos Darii był pełen nabożeństwa.

– Zrobić fortecę... tak sobie? – Arnul westchnął.

– Ano...

– Zaiste, ludzie są głupi...

Przez chwilę patrzyli w milczeniu.

– Tedy znalazłaś Windalfa. – Arnul otrząsnął się, ale Daria położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nikt tam teraz nie wejdzie. Oni sami wyjdą, jeśli zechcą – powiedziała cichym głosem. Jakaś mgiełka zmąciła krystaliczną zieleń jej oczu. – Arnul, ja... ja nie chciałam powiedzieć niczego przykrego.

– Wiem. – Arnul pociągnął nosem. – Czy mogę cię o coś pro... sić?

– O co?

– Nie opuszczaj mnie jeszcze przez moment. Nikogo już nie mam.

Promienie słońca migotliwie ślizgały się po nieskazitelnie białych ścianach wieży.

– Do stóp wam wreszcie padam, wielbny ojcze. – Na twarzy Konrada malował się spokój, gdy patrzył biskupowi w oczy.

– Powstań, synu. – Miękka dłoń Hieronima spoczęła na jego tonsurze.

– Dziękujemy Bogu za cudowne ozdrowienie!

– Jego to potęga i Jemu chwała!

– Amen!

Konrad powstał z szelestem szat i znów skłonił głowę. Wiedział, że blade, rybnie oczy

biskupa Hieronima śledzą go teraz badawczo, i ze wszystkich sił starał się opanować miotające nim emocje. Naraz zaatakowały go zawroty głowy.

– ...cud to przeogromny i wdzięczność mnie rozpiera. – Głos biskupa docierał doń z bardzo daleka. – Zaiste, wiele mam jeszcze do zrobienia na tym padole nieużyтым, skoro Stwórca postanowił w swej łaskawości do zdrowia mnie przywieść. Dziękować tedy Mu ze wszystkich sił chcę i przeto pragnę, byście mi służyli do mszy, bracie Konradzie...

– Łaska to dla mnie – wybełkotał duchowny, pochyliwszy głowę.

Biskup odszedł i Konrad znów głęboko odetchnął. Uniósł wzrok ponad głowy sprzątających ołtarz nowicjuszy i odnalazł rzeźbę Jezusa na krzyżu, postawioną przed chwilą przez któregoś ze sprzątających. Opadł na kolana.

„Ty, co zawsze dawałeś mi siłę, nie odstępуй mnie teraz... – modlił się żarliwie. – Boże, daj mi siłę, gdyż czuję się jak dziecko słaby i jak skazaniec pozbawiony nadziei!”.

Cierpiąca twarz patrzyła prosto na niego, a Konrad pochylał głowę coraz niżej.

„Obłuda rządzi tą krainą! – modlił się w duchu. – Obłuda siedzi na tronie, wie dzie do boju, każe się modlić! Obłudę przybyłem tu zwalczać, lecz nie wiem, jak tego dokonać. Przybyłem tu, by dobroć Jezusa pokazywać, lecz czy starczy mi sił? Ba, do buntu zacząłem wzywać. Do sprzeciwu nakłaniam! Czy to już szaleństwo, Panie? Nawet jeśli król to zły człowiek, Boże, a jego biskup magią się para, to czy wolno mi kolejną wojnę wszczynać?”

Przełknął z trudem ślinę.

„Jak mam pokazywać Twą mądrość, skoro odwagi mi braknie? – podjął modlitwę. – Wystarczyło, bym na biskupa spojrzeł, a śmiałość natychmiast mnie odeszła. Brak mi odwagi, by mówić głośno, brak mi odwagi, by patrzeć w twarz grzesznikom i poprawiać ich błędy, brak mi odwagi, by...”.

– Wielebny Konradzie... – Ktoś go szturchnął. – Biskup wołają... Mszę zaczynać już będziem...

Rozejrzał się ze zdumieniem. Zatopiony w modlitwie nawet nie zauważył, że mieszkańcy Nidaros powoli, z wahaniem wchodzą do środka, ze wstydem i nieudolnie wykonując znak krzyża. Na zewnątrz pobrzękiwał oręż *Náttfarinna*.

Msza okazała się trudnym przeżyciem. Konrad wdychał ciężką woń kadzidła, powtarzał łacińskie słowa litanii i śpiewał hymny pochwalne, ale jego ciało przeszywały dreszcze. Nie patrzył na biskupa, ale słyszał jego głos, mocny i donośny, przetaczający się pod sklepieniem katedry.

– Dzicyście ludzie, serca macie dla Boga zamknięte, tedy pokarał was! – mówił. – Poodbierał wam rodziny, domy, dobytek! Tak, On to uczynił! Bóg wszechmocny a nieomylny! A gorsze kary ma on dla tych, którzy na miłość jego plwają i przykazaniami gardzą! Odrzuciliście jego promienistą dłoń, z miłości ku pomocy wyciągniętą, tedy chwyciła was ona za karki i cisnęła o ziemię!

– Knąbrnyście, ludzie z Nidaros, ale pamiętajcie, że nikomu nie udało się wygrać walki z Trójcą Świętą! Jam waszym pasterzem, tedy powtarzam jeszcze raz: otwórzcie swe serca, synowie wikingów, i wpuście Boga do siebie, inaczej znów niebiański bicz spadnie na wasze głowy! Horda pogańskich Swijów Jego karą była, a skoroście przeżyli,

Jemu wdzięczność winniście! Otwórzcie swe oczy ludzie z gór, puszczy i fiordów! Ugnijcie karki, a niespodziewany cud na was spłynie! Wszechmogący to nie krwawy Odyn, który jeno ofiar się domaga! On wasze żony błogosławić będzie, na dzieci patrzeć łaskawym okiem, domowi sprzyjać, on waszych wrogów odpędzi i nad snem będzie czuwał!

Ostatnie słowa uderzyły w otumanionego Konrada. Naraz otworzył oczy i ujrzał śmiejący się, jadowity wzrok Hieronima. Serce Albiończyka zamieniło się w sopel lodu, lecz Hieronim już nie patrzył na niego, dalej krzyczał swe dumne słowa.

„Wie! – przemknęło przez myśli mnicha. – Pomni ową noc, kiedy przy łożu jego byłem. Wie, że karły za moim pomysłem do Nidaros przyszły. Mścić się będzie. Boże, wspomóż...”

– Bezpieczni będziecie, synowie gór i lasów, kiedy oko Pana na was spocznie! Ci, którzy do ołtarza podejść bez grzechu i Ciało Chrystusa spożyją, błogosławieni i wyzwoleni od strachów nocy będą. Każda maska umknie na widok poświęconego krzyża! Jeno wspólnie, bracia w Chrystusie, odpędzimy razem wilkołaków! Nie zbliżą się do nas trolle i karły, oślepię mocą Pańską! Nie przełkną hostii odmieńcy i wampiry, bo w jednej chwili spali ich gniew Pana! – Biskup uderzał pięścią o pulpit, a gruby pot począł perlić mu się na czole. – Obcy tu są ci, których starzy bogowie stworzyli! To jest Dom Boży! Podchodźcie kolejno do ołtarza, synowie córki, spożyjcie Ciało Chrystusa i módlcie się za dusze swoje i swych bliskich!

Konrad drgnął i ujął pozłacany kielich z hostią, po czym zbliżył się do biskupa, teraz zwróconego w stronę ciżby. Bracia półgłosem podjęli pieśń, a gruby palec biskupa wskazał pierwszego człowieka z brzegu, starego rybaka z siwą brodą.

Ten podchodził wolno, skulony i blady, łypiąc na boki w poszukiwaniu pomocy, aż stanął skulony na pierwszym stopniu ołtarza. Drżącymi rękami wykonał znak krzyża, a Hieronim z namaszczeniem wydobył okrągły płatek ze złotego kielicha trzymanego przez Konrada i przybliżył go do okolonych siwymi wąsiskami ust rybaka.

– Ciało Chrystusa – rzekł dobitnie.

Spocony rybak otworzył usta i przełknął hostię. Ze zdumieniem otworzył oczy i rozejrzał się, nie notując żadnych zmian wokół siebie, po czym uszczęśliwiony czmychnął na bok. Biskup już nie zwracał na niego uwagi, wołał już następnych dostojnymi gestami. Konrad beznamietnie przysuwał kielich biskupowi, starał się nie widzieć strachu w spojrzeniach. Drgnął, kiedy we mgle dookoła zamajaczyła wysoka postać w futrzanej czapie.

– Ciało Chrystusa.

– Amen – odpowiedział lekko drżący, znajomy głos, przyjmując hostię.

– Nie lza nosić czap w Domu Bożym – łaskawym tonem pouczył go biskup.

– Nie lza gadać kłamstw w Domu Bożym! – naraz wykrzyknął tamten histerycznie.

Wszelkie szmery umilkły, zaskoczeni bracia urwali pieśń.

– Kłamstw? – spytał lodowatym głosem biskup. Przez nawę biegło trzech krzyżowców

– Ludu Nidaros! – Psie Ucho naraz odwrócił się do oczekujących ludzi. – Słyszeliście kazanie! Słyszeliście, że Bóg na Krzyżu ma karać wszystkie poczwary i odmieńców! Słyszeliście, że odmieniec, który hostię spożyje, w płomieniu świętym spłonie, bo wielki jest Bóg na Krzyżu, wszechmocny i niepokonany! Jednak na mnie, starego skrybę,

widać mocy mu braknie! Przybywajcie, boskie płomienie!

Naraz Psie Ucho zerwał z głowy futrzaną czapę i rzucił ją gdzieś w mrok. Rozległ się jęk z wielu piersi – ze zmierzwionej, płowej czupryny w miejscu, gdzie powinny być uszy, sterczały mechate, trójkątne psie uszyska. Przerażony Konrad upuścił kielich z brzękiem, ktoś krzyknął z przerażeniem, ktoś stęknął, zaszemrało wśród ludzi. Ułamek sekundy później brzęknęły cięciwy łuków krzyżowców.

Rozdział 30

Konrad nareszcie był sam.

Tu, w chłodnym zaciszu własnej celi, nareszcie mógł otworzyć serce i zatopić się w bezgłośnej, żarliwej modlitwie. Klęczał na kamiennej posadzce przed zawieszonym na ścianie krzyżem i przymykał oczy, ślepy na wszystko, głuchy na wszystko. Nie słyszał więc odległego brzęku zbroi i chrapliwych pokrzykiwań. Nie słyszał łomotu walących się wrót katedry ani tupotu ciężkich butów po świeżo zmytej posadzce.

Ze świata ciszy wyrwało go dopiero szarpnięcie za ramię.

– Wielebny ojcze! – krzyczał ktoś piskliwie przy samym uchu. – Wielebny ojcze! Napaść!

– Ejże! – Konrad poderwał się i spojrzał zaskoczony na przybysza. – Ulf?

Młody mnich sapał ciężko, a jego rozwarte szeroko oczy znamionowały prawdziwy strach. Habit miał porwany, znaczony mokrymi plamami.

– Wie... wielebny ojcze! – zawył błagalnie, oglądając się za siebie. – Oni... bez litości!

– O czym ty, Ulf...

Konrad zmarszczył brwi.

– Karły! – wrzasnął przerażony mnich.

Konrad dopiero teraz usłyszał odgłosy walki i zatrzęsł się od dreszczy.

– To chyba pomyłka... – Silił się na spokój. – Pójdę i...

– Nieee! – Chłopiec zawył, doskoczył do Konrada, wyciągnął go z celi i pchnął w głąb korytarza. Czas był najwyższy – chrapliwe krzyki karłów potężniały, a jeden z nich zbiegał już po schodach w stronę opuszczonej właśnie celi.

Konrad naraz sprzeciwił się woli Ulfa, wyrwał mu się i obrócił ku nadbiegającemu, lecz skuła go groza. Zielone, skośne oczy nadbiegającego karła lśniły dziko, a wykrzywiona we wściekłym wyrazie twarz przywodziła na myśl rozjuszony zwierzę. Po ścianach korytarza pełzał już krwisty blask płomieni. Na widok zmartwiałego Konrada karzeł z łatwością podrzucił obosieczny topór.

Ulf złapał Konrada za rękę i odciągnął go w ostatniej chwili. Topór przeciął powietrze, a obaj słudzy Boży rzucili się do ucieczki, gubiąc chodaki. Młody nowicjusz nie stracił jednak panowania nad sytuacją i skierował się w stronę rotundy, gdzie jak dobrze pamiętał, znajdowała się boczna furta. Za ich plecami gęstniały płomienie.

Z ulgą wydostali się na świeże powietrze. W rozgorączkowane twarze uderzył chłodny, nocny wiatr. Biegli, potykając się, po zboczu wzgórza katedralnego, aż stanęli zasapani, ledwie żywi. Konrad znalazł w sobie siłę, by odwrócić się w kierunku ogarniętej szaleństwem katedry. Patrzył bez słowa, a w jego spojrzeniu pojawił się żal.

Kamienna katedra, mająca rozślawić imię biskupstwa misyjnego w Nidaros, była teraz we władaniu bezlitosnych płomieni.

Arnul i Daria siedzieli w milczeniu, wpatrując się w palenisko. Niewiele dawało ciepła i oboje nieświadomie naciągali na plecy opończe, ale tej nocy zdawali się nie dostrzegać chłodu. Arnul uniósł głowę i patrzył na rozgwieżdżone niebo przez szparę w dachu.

– I co my teraz po... poczniemy? – spytał bardziej siebie niż karliczki, wyciągając dłonie nad mieniące się żarem kamienie. – Samiśmy tu są. Wždy bi... biskup nas oboje pomni. Wiele to trudu, by dwoje karłów w zrujnowanym mie... mieście odszukać? Lud... ludzie doniosą...

– Cięgiem ci ludzie! – Daria się zachnęła. – Ino ludzie! Każdy problem to jeno ludzie! Pokrętni! Gniewni, krwi chciwi!

– W ichnim świecie jesteście – ciągnął karzeł. – Juści, gniewni oni... Do zdrady, kłamstwa i okrucieństwa czasem ciągną. Król jest taki i świątki, niektóre...

– Oby się pod ziemię zapadli, niecna banda! – parsknęła Daria. – Bodajby ich kara największa...

– Ci... cichaj, Daria... – Arnul machnął dłonią. – Ci przy królu zaiste sza... szaleni, ale są inni. Konrad, na ten przykład.

– Kto to?

– Niby taki jak reszta, ale potrafi kochać. Umie też leczyć. Samem widział, jak po... porąbanych Swijów do kupy składał.

– Swijów? – zdziwiła się Daria. – Wrogów?

– Bóg na Krzyżu mówi, że wszy... wszyscy ludzie są sobie braćmi i miłować się winni.

– A karły?

– Onże Bóg na Krzyżu rzekł ongiś, że każdy człek winien miłować cały świat, przeto i karły. Konrad to wezwał Windalfowe plemię do Nidaros...

– Świątek Boga na Krzyżu? – wyjąkała z niedowierzaniem Daria, a jej policzki zbladły. – Windalf tedy szalony być musi, skoro...

– To nie szaleństwo, a rozum! – przerwał jej Arnul. – Windalf pojął zamysły Konradowe i dłoń wy... wyciągniętą przyjął. Obaj dobrze wiedzą, iż ino wspó... wspólna walka może dwa zwaśnione rody po... pogodzić! Ponoć Windalf w jakoweś układy z Hieronimem wszedł. Oby nic złego z tego nie wyszło.

Daria zadarła nasek.

– Król Windalf szczywany lis.

– Myślę, że trzeba się będzie z owym Konradem na razie trzymać – oznajmił Arnul, tknięty nową myślą. – Wciąż się nie mogę po... godzić z tym, że Harald wyjechał razem ze skaldem.

– Człowiek to tylko... – mruknęła Daria, ale bez przekonania.

– I cóż z tego! – wykrzyknął przejęty karzeł. – Przez całe ży... życie w kuźni tyłem się nie nauczyłem, ile przez pół roku przy Haraldzie! Bywało, żeśmy się nienawidzili, bo porywczy to człek i cięgiem gnie... gniewny... Ale dobry to druh! I w boju straszny on, ka... każdemu pola dotrzyma! Tylko tak dziwnie ga... dał na odjezdnym – zmarkotniał. – Nie wiem, czy się jeszcze spotkamy.

Daria nie odpowiedziała. Oboje siedzieli jeszcze przez chwilę przy gasnącym palenisku, po czym dziewczyna naraz wstała i podeszła do futryny, rozmasowując ścierpnięte mięśnie. Delikatna, brudna rączka odgarnęła kosmyk rudych włosów

z twarzy.

– Czy to przeklęte miasto przestanie się kiedyś palić? – westchnęła sama do siebie, pociągając nosem.

– Co? – Arnul podniósł głowę.

– Nic, ja tak tylko...

– Coś się pali! – wyszeptał karzeł, a jego oczy naraz stały się szkliste.

– Też to czujesz? – odwróciła się karlica i naraz znieruchomiła na widok bladej twarzy Arnula.

– Stało się coś straszego... – wyjąkał młodzieniec i naraz skoczył na równe nogi. Pochwycił już toporek wraz z pociętą tarczą, po czym wyszarpnął dziewczynę na zewnątrz. – Pod zamek króla! – zawołał, biegnąc.

– Ale... – Daria się potknęła. – Ale co się dzieje?

– Szybciej! – Zielone oczy Arnula błyszczały niepokojem. Biegli jak szaleni wśród zgliszczy. Pchany dziwnym, nieposkromionym uczuciem Arnul wysforowywał do przodu, patrzył wokół błędnym spojrzeniem i ponaglał oszołomioną Darię. W czystym powietrzu nocy coraz mocniejszy był zapach dymu.

– Arnul! – szepnęła zdyszana Daria, patrząc ponad dachami. – Katedra płonie! Swiye wrócili!

– To nie Swi... Swiye... – Arnul naraz się zatrzymał. Byli tuż przed zdruzgotaną główną bramą grodu. – To nie Swiye.

Serce Darii biło coraz szybciej, gdy wyczuła w powietrzu obce, drapieżne drganie.

– To nasi – oznajmiła. – To zew Karlich Wzgórz.

Nieświadomie złapała Arnula za rękę i tak stali, oboje świadomi, że zaraz wydarzy się coś wielkiego i niepojętego. Naraz zmarznięta ziemia zadudniła pod krokami wielu dziesiątków wojów, a od wzgórza katedralnego nadbiegła złowroga pieśń rogów. Oddział karłów w zwartym szyku maszerował ku Nidaros.

Na widok wojowników, zamiast uniesienia, Arnul i Daria niespodziewanie poczuli lęk. Mało który z nich założył bowiem hełm, a ich twarze wykrzywiała nienawiść. Rozpoznali już idących w pierwszym szeregu – zgrzytającego zębami Hannara Puchacza, strażnika Karlich Wzgórz, obok niego przybocznego królewskiego Fjalara, zbrojnego w dwa topory, dalej Draugnira Zgubę Gnomów i Hornoboriego, byłego przywódcę karawany na Orating, który najbardziej nienawidził ludzi. Za nimi szedł Nordri Szalony, który ubił tuzin Swijów w bitwie na przystani, Oski Bez Języka, Elle Żeglarz, lecz nigdzie nie było widać Windalfa. Nikt nie prowadził hufca.

Karły szły niczym zahipnotyzowane, wpatrując w czerniejący przed nimi zamek królewski. Pchnięty niespodziewanym impulsem Arnul podbiegł do maszerujących karłów i dołączył do jednego z szeregów, kątem oka dostrzegając, że Daria robi to samo. Naraz uleciały resztki tego, co wiązało go z ludźmi i Arnul błyskawicznie stał się częścią nieubłaganej siły. Oboje natychmiast poznali myśli innych karłów i aż zadrżeli, dowiedziawszy się, jaką krzywdę wyrządzono ich plemieniu.

Mury zamku wydawały się dziwne niskie i kruche. Hannar zatrzymał się i wzniosł topór, za nim uczynili to inni – lśniące, nagie ostrza całego hufca naraz strzeliły w rozgwieżdżone niebo, a potem poniosła się dziwna pieśń bez słów. Nad nią wybił się

donośny głos Hannara:

– Otwórz bramy, słuگو Boga na Krzyżu! Oddaj naszego władcę albo słono zapłacisz za tę zniewagę!

– Przegraliście! – zadudnił nagle głos z murów. Arnul ujrzał otyłą sylwetkę biskupa Hieronima z pastorałem w dłoni. Karły w szeregu poczęły zgrzytać zębami i ciskać obelgi, ale pieśń trwała dalej, cicha, lecz groźna.

– Przegraliście! – śmiał się Hieronim. – Przegraliście, w chwili, kiedy pierwszy z was zamierzył się toporem na słuگę Bożego!

– Spaliliśmy waszą katedrę! – ryczał Hannar. – Słudzy waszego Boga są martwi!

– Obraziliście Boga, karły! Kara was spotka!

– Żaden bóg nie rozkazuje karłom! Wydadź Windalfa albo spalimy tę norę!

– Próżno podnosicie topory! Na nic wasz bunt przeciwko mocy boskiej! Uklęknijcie wszyscy i przyjmijcie mój skarb!

– Śmierć! Śmierć! Śmierć!

– Śmierć! – krzyczał wraz z innymi Arnul. Widział myśli innych karłów, a w nich kamienną komnatę biskupa i dumnego Windalfa, jak w asyście trzech wojów zasiada przy ławie i pyta o obiecany skarb. Nie otrzymuje jednak odpowiedzi – zamiast tego dłoń biskupa nurza się w naczyniu z wodą i ciężkie krople spadają na zaskoczzonego karła. Biskup krzyczy, że największym skarbem każdego chrześcijanina jest szansa przyjęcia chrztu i oczyszczenia swej duszy z grzechów. Wymyśla Windalfowi od bezbożnych diabłów i pcha go tłustą dłonią na kolana, a na twarze karłów wciąż padają nowe krople.

– Śmierć! – krzyczał Arnul, trzęsąc się z wściekłości, bo oto przed jego oczami stawały kolejne obrazy. Porywa się Gantlar, przyboczny Windalfowy, kipiąc od gniewu, lecz gdy zamierza się na biskupa, jego topór wybuchą snopem płomieni, a karzeł z jękiem zwała się na podłogę. Windalf wykrzykuje zaklęcia, lecz trzaskają otwierane drzwi i doskakują doń wojowie z pałkami, wiążą i gdzieś wloką.

Chór gniewnych głosów uderzał o wyniosłe ściany zamku.

– Śmierć ci!

– Kara Boska za pychę was spotka! Wasz przywódca ochrzczony, idźcie w jego ślady, diablęta!

– Uwolnij Windalfa! Śmierć! Śmierć!

– Bóg przeze mnie mówi! Ukorzcie się!

– Szatan przez ciebie mówi, pacholku ciemności! – Skądś dobiegł krzyk Konrada. – Koniec z twymi rządami, wrogu Chrystusowy!

– He, he, koniec igrów, klecho! – rozległ się naraz jakiś donośny, nieznany głos. – Proszą cię grzecznie panowie karły, tedy pokaż, żeś dobrze wychowany, i ustąp! A miotnij choć jeszcze jedną klątwą, a nie zdzierzę, jakem Edgar, i...

– Nidaros! Odyn, słyszże nas, Jednooki Ojcie! Thorze! Nidaros!

– Śmierć!

– Kara boska...

– Śmierć!

Naraz gromki wrzask z karlich gardeł uderzył o mury zamku i wprowadził je w drganie.

Oręż karłów dalej mierzył w niebo, a ich zielone oczy lśniły nieziemsko. Powietrze naraz stało się ciężkie. Pierwsze szeregi karłów ruszyły naprzód, lecz jakby w zwolnionym tempie.

Chwiejący się na nogach Hannar wyprzedził hufiec o kilka kroków. Owładnięty nienawiścią wymierzył toporem w kierunku biskupa Hieronima. Ochryple zaintonował inkantację w nieznanym języku, a wtedy na ziemi zawitało piekło.

Ziemia zdrząła, a mury na całej swej szerokości strzeliły ryczącym ogniem. Krwistoczerwona fala płomieni przetoczyła się po pomoście dla łuczników i rozbiła się o baszty. Kamienie z sykiem opadały do wody bulgoczącej w fosie, mury dygotały, a zwieńczenie jednej z wież runęło z łoskotem na dziedziniec.

Naraz głosy karłów ucichły zgodnie, a płomienie się cofnęły, gasnąc na nagich blankach. Fosa bulgotała, śnieg topniał z sykiem, a w przesyconym dymem powietrzu unosił się gorący wiatr, przerzucając snopy iskier i gorącego jeszcze popiołu. Poczerniałe mury oparły się ognistemu atakowi. Karły dyszały ciężko, rozglądając wokół oszołomione.

– Ha, ha, ha! Ukorzcie się! – krzyczał biskup Hieronim. Dalej stał na tym samym miejscu, a jego szata nie nosiła najmniejszych nawet śladów ognia. – Uklękniecie wobec potęgi Chrystusa Pana Naszego!

Tylną furtę zamku królewskiego zatrzaśnięto w chwili, kiedy ostatni rumak zniknął w ciemnościach. Niewielki orszak przemknął wśród magazynów, zatrzymał się, by jeden z ludzi mógł otworzyć bramę zachodnią i oto pięciu jeźdźców pognało drogą ciągnącą się wzdłuż Nidelvy.

„To wszystko miało wyglądać inaczej! – przeklinał w myślach ojciec Flawiusz, pochylony nad końskim karkiem. – Ledwie jeden wróg pokonany, już drugi wychodzi! Ledwie ku drugiemu siły się zgromadzą, trzeci atakuje znienacka! Nieszczęsne królestwo...”

Znów zagryzł wargi. Karły z sojuszników stały się wrogami i należało je ukarać, ale moc Pana raz już je upokorzyła! To było wspaniałe! Na własne oczy widział, jak wielebny Hieronim, przyjaciel jego i nauczyciel, sam zmiata magiczną burzę płomieni. Nieskończona jest moc Pana!

Obmierzłe karły... Czuł, jak jego wiara, mocna przecież i niezachwiana, sięga teraz granic uwielbienia. Niecierpliwie poganiał konia, nie zwracając uwagi na boleśnie obite siedzenie. Pragnął jak najszybciej opowiedzieć o wszystkim Białemu Jastrzębiowi. Niech rozprawi się młody Eryk z bandą buntowników i przybywa do Nidaros, niech ucałuje z czią mury zamku, tknięte palcem Pańskim! Jeszcze będą pieśni opowiadać o Królestwie Bożym w Nordwegu, jakże dzielnie walczącym z nawałą pogaństwa!

Ojciec Flawiusz krzyknął i popędził konia. Szybki albioński rumak zarżał z radością i wyciągnął szyję, całym sobą chłonąc pieśń dzikiego galopu. Milczący Nocni Krzyżowcy nie odstępowali ani na piędź.

Rozdział 31

Szorstka, męska dłoń wyszarpnęła topór ze zmarzniętej ziemi i uniosła tak, by blask pochodni prześlizgnął się po brudnym, zrudziałym ostrzu.

– Pomnicie ten topór, ojciec? – spytał Svein zduszonym głosem.

– Juści, że pomnę... – cicho wyrzekł stary jarl. – Tłukł nim, aż zazdrość brała.

Mocarny był chłop...

– Nynie w Valhalli pewno – bąknął Svein. – Przy samym Odyńie pewno zasiada.

– Za dużo dobrych wojów do Valhalii poszło tej zimy – rzekł Trygve. – Dajże ten topór.

Trygve Ivarson ujął stylisko słynnego topora i podszedł z nim do stosu pogrzebowego, na którym przed chwilą umieścili ciało Thorfinna Kallesona. Na nowo zamyślił się, widząc niebieskawą od szronu, ściągniętą mrozem twarz hovdinga, po czym poprawił jakę przykrywającą poszarpaną pazurami korostwora pierś i ułożył toporzysko przy prawicy jego niedawnego właściciela. Svein zaś ułożył u wezglowia stosu pęk strzał, które wyszarpnęli z ciała hovdinga, a stary jarl ujął pochodnię.

Niespodziewanie Sveinowi wydawało się, że na miejscu jego ojca stoi inny człowiek, spadkobierca pradawnej mocy, kapłan na co dzień obcujący z bogami. Okolone siateczką zmarszczek oczy jarla lśniły teraz w blasku płomieni, przeskakujących na gałęzie stosu.

– Słynne było twe imię, Thorfinnie synu Kallego – przemówił donośnym głosem stary Ivarson – i wielka twoja sława. Nikt nie śmiał kpić z twego męstwa i każdy za tobą w bój by skoczył, obojętnie przeciw ludziom czy bestiom Niflheimu. Ja, Trygve syn Ivara, jarl na Hladir, nigdy o tobie nie zapomnę! Dzielnieś stawał na tej polanie, do końca o swoich ludzi walcząc i syna mego ratując! Będzie ci to zapamiętane! *Heill sé yður, Thorfinn!*

– *Heill sé yður, hovdingen!* – huknął rumiany ze wzruszenia Svein.

Kłody i gałęzi syczały i strzelały gniewnymi iskrami. Pierwsze języki płomieni obejmowały już ciało wojownika, lecz głos starego jarla wzniósł się ponad ich trzask.

– Choć żeś bogom przez całe życie ubliżał, Thorfinnie Kallesonie, wierzę, że walkiria twą śmierć śledziła, a nynie w Valhalli siedzisz! Wierzę, że dobry ojciec Odyn przyjął cię do swej halli!

– Odin, *verndaðu okkur!* – zawtórował drżącym głosem Svein patrzący jak zahipnotyzowany w coraz gęstsze płomienie. Oczy wzbierały mu łzami, nie wiedział, czy wywołał je gryzący dym, czy wspomnienia tamtej nocy. Naraz las znów był pełen szeptów i trzasków, a pośród pni skakały brodate cienie, których oczy lśniły purpurą.

– Odyńie! – krzyczał stary jarl, wznosząc zaciśnięte pięści ku niebu.

– Odyńie! – zawył Svein, kryjąc twarz w dłoniach.

– Odyńie! – przyniosło echo.

Zamarli obaj. Trygve jako pierwszy uświadomił sobie, iż nie są na polanie sami –

naraz wyszarpnął miecz i obrócił się błyskawicznie, a Svein porwał za nóż. Pałające spojrzenie ostatnich członków dumnego rodu z Hladir skierowało się tam, skąd nadbiegł obcy głos.

Po chwili w kręgu światła ukazał się rostry wojownik o surowej, znużonej twarzy i długich, jasnych włosach. Jego dłoń opierała się na przebogato zdobionej głowicy miecza. Svein szybko zatrzepotał powiekami – nieznajomy miał tylko jedno oko.

„Odyn zsyła swego sługę” – przemknęło mu przez myśl.

– Vidar? – sapnął ojciec, przerywając natłok jego myśli. – Vidar Gustavson?

Svein spojrzał ku drugiemu z przybyłych, który właśnie teraz odrzucał kaptur, lecz dopiero po chwili rozpoznał twarz słynnego skalda. Blade oblicze zdawało się martwe, jedynie płonące oczy świadczyły o tym, że duch nie zagaś. Obaj uklonili się jarłom, Vidar z szacunkiem i ulgą, jego towarzysz z niechęcią.

– Przedziwne spotkanie, jarłu Trygve synu Ivara. – W głosie skalda zabrzmiało zdziwienie.

– Wždy mówili, żeście w lochu królewskim! – wyjąkał Trygve.

– Prawdę mówiono... – Błady uśmiech przemknął przez twarz Vidara. – Oto mój towarzysz, Harald syn Ingvara. Onże to imię Odyna wezwał, kiedy wołanie wasze usłyszał. Jedziemy... – W głosie skalda pojawiło się wahanie.

– W ślad za hufcem królewskim jedziem – rzucił wojownik nazwany Haraldem.

– Juści, hird przerzedzony. – Jarl Trygve zmarszczył brwi. – Wiele w nim miejsca dla przednich wojów.

– Miejsce moje nie w hirdzie, ale w lochu! – Vidar zaśmiał się sucho.

– A dla mnie na pieńku katowskim! – Harald zachichotał, poprawiając opaskę na oku.

Na moment zapadła cisza. Zdumiony i wciąż zdenerwowany Svein patrzył, jak obaj przybysze wymieniają chłodne spojrzenia z jego ojcem, starając się wybadać wzajemne intencje i prawdziwość słów. Dłonie wojów odruchowo zacisnęły się na pasach w pobliżu głowic mieczy. Przedstawili się jako banici, czyżby więc chcieli ich sprowokować? Jakie były ich zamiary? Płomienie huczały, pożerając stos z ciałem Thorfinna.

– Tedy moje miejsce – wyrzekł stary Ivarson, przenosząc wzrok z jednego woja na drugiego – pewnikiem w sali tronowej.

– W sali tronowej? – Jednooki woj wykrzywił wargi.

– Juści. O, stary jarl, ongiś dumny i dziarski, na pokaz wypchany sianem i pod sufitem wiszący!

Harald parsknął śmiechem. Napięcie natychmiast zelżało.

– Drogą jechalim i ognie żeśmy obaczyli – tłumaczył Vidar. – Potem okrzyk nas dobiegł, myślelim, że to powstańcy rytuał jakiś prowadzą. Ja chciałem jechać dalej, ale towarzysz mój starym bogom posłuszny i...

– Tupetu wam nie brakuje. – Stary jarl targnął za wąsiska. – Żeby się od razu jako banici przedstawiać?

– Was dwóch tylko. – Harald wzruszył ramionami. – A my nie mamy wiele do stracenia.

– Czego, jarlu, szukacie na tak strasznym odludziu?

– Wróciłim tu, by płomieniom oddać tego, który życie memu synowi ocalił. – Jarl odwrócił się w stronę stosu. – Thorfinn Kalleson, wódz hirdu. W walce z ludem Bjorgvin tutaj legł.

– A dokąd zmierzacie? – indagował Vidar.

– Z królem jedziemy – wymruczał ze złością stary. – Król nas na powrozie prowadzi! Chłystek, przybłąda...

– Dość gniewu, jarlu – powiedział Vidar. – Pojmujem.

– Nic nie pojmujecie! – warknął Trygve. – Tyś banita i nikt twych słów na poważnie nie weźmie, tedy wiedz, że nikt dotąd z taką wzdardą nie napluł mi w gębę jak królik z Nidaros. Wymoczek opętany! Córkę mą więzi, syna na śmierć naraża, mi znaczenie odbiera. Nie pozwolę temu chłystkowi Hladir ucapić! Nie pozwolę, pókim żyw!

– Chcecie z Białym Jastrzębiem wojować, jarlu? – zdumiał się Vidar.

– I tak, i nie... – Uśmiech starca był złośliwy. – Zbyt wielką mam odpowiedzialność na barkach, żeby bój mu wydać! Kilka dni temu chcieliśmy się do obleganego Nidaros przebić, obrońcom zapasy przywieść i w obronie ich wspomóc. Gdyby bogowie pozwoliliby się przebić przed powrotem Białego Jastrzębia, miałyby się szczeniaki z pyszna! Nasłuchałyby się obelg pod zamkniętymi bramami! Jeno na szlaku hufiec Halvdansona napotkalim! – jęknął. – Ze sobą kazał nam jechać, wspólnego wroga niszczyć!

– I zgodziliście się, dumny jarlu? – Harald wykrzywił usta.

– Bacz na swe słowa! – przerwał mu zapalczywie Svein, wyprzedzając spurpurowiałego z gniewu ojca. – W przewadze byli! Ty byś pewno w jednej chwili na króla ruszył kiej ten dureń na trakcie do Orating, co? Co ty masz do stracenia, poza koszulą na grzbiecie?

– A gdzie twój honor? – parsknął jednooki wiking. – Nie powiódł się plan zacny, tedyście, jarlu, kark ugięli i za królem posłusznie na wojnę pobieżyli?

– Dobrze uczyniłem – powtórzył jarl, rzucając groźne spojrzenia na Haralda. – O lud trza dbać, o władztwo! Król ma hird i ja mam hird. Razem Swijów rozbijemy, a potem...

– A potem, jarlu?

– Obaczymy.

Zapadła cisza. Ciężki, cuchnący dym ze stosu kładł się nisko przy ziemi, uginając się pod naporem wiatru, który rozrzucał iskry i rozbudzał przytłumione już płomienie. Powoli uspokajały się ciężkie oddechy.

– A wy... – zaczął jarl zachrypniętym głosem. – Wy dlaczego szlakiem armii podążacie, skoroście banici?

– Samżeś rzekł, iż niczego do stracenia nie mamy – rzekł wyzywająco Harald. – Dlaczego tedy pytasz?

– Wiem, że nie kochacie Eryka, tedym... – Trygve zmrużył oczy. – Tedym ciekaw.

– Nam nie rody i tron na myśli. – Dun położył z niesmakiem akcent na słowie „rody”. – Jest przepowiedziane, że po klindze mego miecza królewska krew popłynie. Jedziem spełnić przepowiednię.

– Jesteście niespełna rozumu. – Trygve Ivarson wyprostował się i spojrzął z pogardą

na obu banitów.

– Może być. – Harald parsknął złym śmiechem, pocierając opaskę na oku i naraz zwracając się w stronę Sveina. – Mówiliście coś o jakimś durniu spod Orating, młody jarlu.

– Juści – wyjąkał zdumiony Svein.

– Jam ci to był.

Twarz starego jarla poszarzała. Podświadomie pokręcił głową z niedowierzaniem, cofając się o krok, lecz oczy Vidara i Haraldza zdawały się mówić to samo – to prawda, jarlu..

Pierwszy poruszył się Svein.

– Zaiste, Thorfinn musi w wielkich łaskach u Jednookiego, bo to chyba on was przysłał. Noc jeszcze długa, ojciec. Trza by pogadać, miodu się napić wespół... Co powiecie, ojciec?

Trygve pokiwał głową.

– Charakternicy jesteście, choć rozumu niespełna – oznajmił. – Będę zbierał takich jak wy, którzy przeciwko królowi walczą. Sami możecie przegrać, ale wspólnie mamy szansę.

– Mój miecz jest twój, jarlu. – Vidar pochylił głowę. W jego głosie zabrzmiała cicho niespodziewana ulga. – Na zgubę Białemu Jastrzębiowi.

– Zaczynam żałować, że z jarlem nie pojechałem... – mruknął Gunulf.

– Ja też – bąknął jeden z jego ludzi, a Edgar wymruczał jakieś przekleństwo. W izdebce panowała cisza – nikt nie odważył się powiedzieć głośno ani słowa, po części nie chcąc przerwać modlitwy Konradowi, a po części ze strachu. Na drewnianych ścianach chaty wciąż malował się bowiem drgający, srebrzysty wzór. Nad zamkiem nadal unosił się gigantyczny symbol, którego poświata przenikała przez okienko, nie pozwalając nikomu zapomnieć o niepojętej magii Hieronima.

– Zasłonię czymś to okno, panie – burknął Olav, młody strażnik grodowy, od czasu bitwy nie odstępujący Edgara.

Konrad ocknął się z ponurych rozmyślań, spojrzął przelotnie na wojownika i pokręcił głową. Nienawidził tej poświaty, lecz zasłużył sobie na takie cierpienie. Pamiętał to zaklęcie, ba, pamiętał stronę, na której o nim czytał owej nocy, gdy czuwał u wezgłowia chorego biskupa. Weterani walk o Bjorgvin opowiadali, że podobna emanacja magiczna odebrała ducha bojowego w wojskach zbuntowanych jarłów. Dlaczego nie odebrał tej księgi biskupowi? Dlaczego jej nie spalił?

Na czarnym niebie, tuż nad zamkiem zawisł ogromny, jaśniejący krzyż, którego srebrzysty blask zalewał cały gród wraz z podgrodzem. Wrota samego zamku zaś pozostawały zamknięte od chwili szaleńczego hufca karłów – nikt tam nie wchodził, nikt też go nie opuszczał. Nie wiadomo było, co się dzieje za jego murami. Nikt nie wiedział, gdzie zniknął karli król Windalf.

Konrad czuł jednak podświadomie, że biskup niebawem znów zaatakuje, a ogrom jego mocy napawał go przerażeniem. Łatwość, z którą odrzucił atak karłów na zamek, odbierała mu resztki nadziei. Przez następne dwie godziny karły i wspierający ich nieliczni ludzie nieustraszenie próbowali się dostać w pobliże murów, lecz magia biskupa była nieubłagana. Powietrze wokół murów było gorące, aż zaczynały tlić się włosy a żelazo rozgrzewało nie do wytrzymania. Nad zamkiem zaś wisiał ów krzyż, którego blask nieustannie przypominał całemu Nidaros o bezsilności jakiegokolwiek buntu.

„A ja mogłem to zatrzymać... – zaszlochał w myślach Konrad. – Mogłem wytrącić mu oręż z ręki! Wielki Boże...”.

Podniósł się z klęczek, a blady na twarzy nowicjusz Ulf narzucił mu płaszcz na zziębnięte ramiona. Olav nachylił się nad paleniskiem, krzesząc ogień.

– Psi los, takie czekanie – burknął Edgar. – Jeno co tu począć...

– Ile jeno czekać można! – Gunulf uniósł wysoko brwi. – I na co? Któż rozezna, o co w tym chodzi? Karły wadzą się z biskupem, a my?

– Czekajmy! Może głodem ich się weźmiem!

– Kto kogo głodem weźmie! – parsknął Olav. – Służyliście na zamku, Edgarze! Jużście zapomnieli o lochach pełnych zapasów? To gród i podgrodzie głodem przymierają, bo co do żarcia było, to król na wyprawę zabrał!

– Czy my... – szepnął Ulf i opuścił zawstydzony głowę. – Czy my nynie banici?

– Tym się, młody, nie smęć! – Machnął mięsistą łapą Edgar. – W tym kraju to co drugi nynie banita, bo już nie wiadomo co robić, żeby król się nie zbiesił! Co nie, Gunulf?

– Ba! – parsknął drużynnik jarla z Hladir, ale nie powiedział ani słowa. Edgar przypatrywał mu się przez chwilę z ciekawością, jakby powstrzymując pytania cisnące się na usta, po czym przeniósł wzrok na Konrada.

– Ja już nic z tego nie rozumiem – sapnął. – Wielebny Konradzie, może wy pomożecie? Najpierw bronimy świątków przed Swijami, a pomagają nam karły, ponoć przez Boga na Krzyżu przekłete. Nynie karły się rozeźliły i świątków gromią. Nie wiada jeno, co jarl na Hladir zamierza, skoro jego zaufani w Nidaros...

Gunulf spojrzał nań kuso, ale nim odpowiedział, odezwał się Konrad:

– Nie interesuje mnie polityka. Nastąpiła zła chwila, w której w pełni obnażył się fałsz tych, którzy sługami Chrystusa się mienią. Przecież Jezus zszedł na ziemię, by ludziom miłość nieść i zgodę? Naśladując go, sprowadziłem karły na nasz ratunek, a te...

– Wasz chram kamienny z dymem puściły.

– To Hieronima wina! To on pogrzebał nadzieję na drużbę z plemieniem Windalfowym. Przechytrzył karlego króla!

– Przechytrzył? – Olav szeroko rozwarł powieki. – Przecież karle plemię złośliwe...

– Karły nie bardziej złośliwe od ludzi, ale mało mówią i myślą inaczej. – Konrad machnął dłonią ze zmęczeniem. – Niektóre z nich jednakowoż ludzkie myśli czytają, a wśród nich i Windalf. Tak więc gdy Hieronim obiecał Windalfowi skarb największy na świecie za wypędzenie Swijów z katedry, ten się zgodził.

– Co to za skarb?

– Chrzest, Olav. Rytuał, który oddaje cię Bogu.

– Nie poznał się tedy Windalf na kłamstwie?

– Nie było to kłamstwo. – Konrad patrzył na płomyk kaganka. – Hieronim wierzył w swe słowa.

– Toż to psisyn... – sapnął Olav. – Nie dziwota, że się karły rozeźliły!

– Na złociste loki Frigg! – Edgar walnął pięścią w stół, aż kaganek podskoczył. – I po kiego grzyba człek tłukł tych Swijów! Po to bronilim miasta, by nynie świątki nam bluzgały? – Zatrząsł się z oburzenia. – Dzielnie stawaliśmy, nie, Olav? Ani jednego nie puścili! W bramie stalim i...

Konrad naraz podniósł głowę.

– O czy wy gadacie?

– No, jakeśmy Swijów gromili... – zawahał się Edgar.

– Zaiste żaden do grodu nie wlaź?

– Gdzie tam! – Edgar klepnął się w kolano. – Ku bramom się tłoczyli, ale nie dali rady. Ciężko było i siła chłopca naonczas padła, siła...

– Ani jeden nie wlaź?

– He, he, he! Ani jeden, chyba że między nogami który mi przelazł!

– Na Boga! – westchnął Konrad. – Więc... Więc kto wówczas naskoczył na mnie z toporzyskiem, kiedy rannych opatrywałem?

Drzwi chałupy naraz rozwarły się z trzaskiem i do wnętrza wpadł kłęb śnieżnego puchu. Rozległ się łoskot, kiedy na polepę zwałił się jakiś człowiek, pchnięty mocną ręką Hannara. Gunulf i jego towarzysze poderwali się, wciąż niezwyčajni widoku karła, który wszedł butnie do środka, zatrzasnął za sobą drzwi i raz jeszcze kopnął czołgającego się człowieka.

– Co, na zęby... – Edgar podniósł się, zmarszczywszy brwi, lecz starczyło, by spojrzeć na twarz przybocznego Windalfa, by kolejne słowa uwięzły mu w gardle. W skośnych, zielonych oczach karła dalej tlił się ów złowrogi blask. Zachręściła kolcza rękawica, gdy Hannar pochwycił za rzadkie włosy jeńca i poderwał jego głowę.

– P... p... panie! – wybełkotał złapany, szarpnięty aż do bólu. Jego blada, pokryta dziobami po ospie twarz lśniła od potu – prawe oko ginęło w siniejącej opuchliznie, a lewe, wybałuszone na podobieństwo rybiego, patrzyło z przerażeniem na znieruchomiłe sylwetki mnichów i wojów. – Li... litości...

– Cóż to, karle? – Konrad bardzo starał się, by jego głos brzmiał normalnie.

– Wyście Konrad?

– Jam ci.

– Moja sowa odnalazła to ścierwo, kiedy z zamczyska wybiegał – mruknął karzeł. – Nikt, kto na umyśle zdrowy, do zamku nie podejdzie, musi zatem, że biskupi sługus.

– A zbrojny był?

– Jenó nóż miał i to lichy... Gadajcież z nim wy, bo mnie cierpliwości nie starcza... – Hannar zgrzytnął zębami.

– Spocznijcież, wojownik. – Konrad wstał i wskazał mu wolną ławę.

Hannar opadł na nią ciężko.

– A wy? – Mnich powoli odzyskiwał spokój i patrzył z wstydem na dygoczącego jeńca.

– Z zamkuście są?

– Z zamku – odezwał się nagle ochrypłym głosem Olav. – Znam tę gębę. To Garli

Kopyto, ludzie go Nadzorcą zwali!

– Wybiegłeś z zamku? – indagował Konrad. – Przecież zamek zamknięty mocą biskupa!

– Mów! – warknął Hannar, pochylając się z szelestem kolczugi. – Szturmowaliśmy ten wasz zamek! Nikt doń podejść nie może!

– Litości, Domu Boży, zlitowanie ubogich...

– Nic mądrego odeń nie usłyszycie, panie... – Olav się skrzywił. – Modlitw się nasłuchał i innych pieśni, a że we łbie ma namieszane, tedy ciężko z nim gadać.

Spojrzenia wszystkich w izbie skierowały się na szlochającego, drżącego Nadzorcę na podłodze.

– Ja... Ja nie do zamku... – jęczał Nadzorca.

– Łże – parsknął Hannar.

Konrad przypomniał sobie o niezwykłych zdolnościach karlego plemienia i wzdrygnął się lekko. Łagodnie pogładził jeńca po głowie.

– Nikt ci krzywdy nie chce uczynić – powiedział, uśmiechając się ze smutkiem, lecz przyjaźnie. – Jesteś bezpieczny...

– Krzywdy... – szeroko otworzył oczy jeńiec. – Bezpieczny... Ja powiem... Po... powiem... – wybełkotał niespodziewanie Nadzorca. – Powiem... To... to biskup...

Atmosfera stężała w jednej chwili.

Konrad klęknął przy jeńcu.

– Biskup, świętości jedyne... – jęczał Garli. – Kazał mnie iść i... Kyrie eleison... szukać króla... mnie... Amen! Do Bjorgvin kazał... trzy dni... on miał poch... pochwalony! was strzywać... siedłem, a płomienie z dnia Sądu Ostatecznego... znikły... wszyscy święci... wszystkie... król... odsiecz...

Westchnięcie Edgara było jedynym odgłosem, który powitał bełkot Garliego.

Nikt nie dostrzegł spojrzenia, jakim Gunulf obrzucił swych towarzyszy.

Wstawał świt. Błady rogal księżyca nieustępliwie czuwał nad odległym fiordem, ale jasnoniebieska aura rozlewała się już po górzystym horyzoncie. Na ścianach szklanej wieży karłów wciąż migotał blask niebiańskiego krzyża znad zamku, jednakże nadchodzący świt osłabiał już jego moc.

Arnul odetchnął z ulgą i otulił się szczelniej kożuchem, po czym zerknął na śpiącą Darię. Na długich rzęsach dziewczyny zawisała drżąca kropla rosy – karzeł nieśmiało, ostrożnie wystawił palec wskazujący, by ją przejąć, lecz ta opadła i pomknęła w dół, zostawiając cieniutki, wilgotny trop. Daria otworzyła zaspane oczy.

– Gdzie ten krzyż? – spytała jeszcze niewyraźnym głosem.

– Znika – bąknął niewyraźnie Arnul, próbując pokryć zmieszanie. – Świt i... idzie.

– Śpi. – Zielone oczy karliczki naraz zeszkliły się, jakby patrzyła w ogromną dal.

– Kto? – zamrugał oczyma karzeł.

– Demon. – Dziewczyna naraz spojrzała prosto na niego. – Śpi! Nie czujesz? Zelzała

moc! Śpi demon...

– *Nie wie demon, co czyni, straszny jest górski gniew* – wyszeptał Arnul. – Znaczy się, bi... skup zasnął, tak?

– Lecz nie na długo. – Daria patrzyła w mury twierdzy niczym zahipnotyzowana. – Wnet się potwór obudzi i ogniem bluzgnie. Ależ ja go nienawidzę! Starczy, że przypomnę sobie twarz tego łotra...

Karlica zadrżała z gniewu.

– Widziałaś go z bli... bliska? – pytał zaciekawiony Arnul. – Byłaś na spotkaniu z królem?

– Na żadnym spotkaniu nie byłam. – Karlica wydeła wargi. – Niewolili mnie przez kilka tygodni, parszywce!

– Bi... biskup? – Oczy Arnula stały się wielkie i okrągłe.

– Bi... biskup! – przedrzeźniła go Daria. – Chory leżał, ale to on za tym stoi. I śmierć czeka go za to, że znieważył dumną córę karlego rodu!

– Co... Co on ci zrobił?

– Ochrzczył mnie.

Oczy Darii lśniły złością niczym u atakującej żmii i Arnul zrobił krok do tyłu. Zaskoczenie wybuchem karliczki trwało jednak tylko chwilę, gdyż zaraz w jego głowie ponownie odezwał się głos powtarzający tajemnicze słowa od bogów.

– *Przez chrzest droga karlich zuchów* – powiedział głośno, przerywając Darii kolejny stos przekleństw. – Szybko! Do Konrada!

– Do Konrada – syknęła z gniewem karlica. – Do rozmodlonego Konrada, co całego świata się boi! Czynu nam nynie trzeba, nie modlitwy! Windalfa ocalić trzeba, a nie...

– Ja właśnie o tym! – krzyknął Arnul i złapał Darię za rękę. – Chyba wiem, jak tego dokonać!

Rozdział 32

– Przybysz do was, miłościwy panie! – Woj stojący na warcie z wahaniem zajrzał pod połę namiotu.

– Każ mu wejść! – Król machnął niecierpliwie szczupłą dłonią, nawet nie podnosząc głowy.

Pogrążony w rozmyślaniach, nie pochwycił nuty niepewności w głosie strażnika. Dopiero gdy widziany kątem oka nieznamy nie wykonał uniżonego ukłonu, Eryk drgnął i spojrzął ostrzej. Naraz ujrzał szczupłą postać w burym habicie z żelaznym krzyżykiem.

– Ojcze! – Eryk poderwał się zaskoczony. – Wy tutaj? Co się dzieje?

– Źle się dzieje, panie – wychrypiał Flawiusz. Jego twarz była sina z zimna, a oczy lśniły od gorączki. – Jego Wielebność przysłała mnie ze słowami ostrzeżenia.

– Ostrzeżenia? – Eryk zmarszczył czoło. – Buntownicy na tyłach? Nidaros zagrożone? Prawcie!

– Nic nowego, królu... – Flawiusz zaniósł się długim, suchym kaszlem. – Wciąż walka ze złem. Jego Wielebność podjął się karłowe plemię zbawić.

– Karły! – zakrzyknął Eryk.

– Pomnicie pewno, panie, iż była w lochach zamkowych karlica. Ochrzczona w imię Ojca i Syna ostała i szaleństwo nie wykreśliło jej rozumu, tedy Jego Wielebność uznali, że podobnie z resztą karłów uczynić można.

– I co się stało? – Niezdrowy rumieniec rozlał się na twarzy króla.

– Wzgardzili Łaską Pana! – wykrzyknął słabym głosem Flawiusz i już osuwał się ku ziemi, kiedy podchwyciło go ramię króla. – Święto... bliwych braciszków w katedrze wy... wycieli i nynie zamek oblegają z garścią... ludzkich bunto... wników...

– Na miłość Maryi Matki... – wysyczał struchlały Halvdanson, układając ciało Flawiusza na pokrytej skórą ławie. – Zapłacą... Na skarby Królestwa Bożego, zapłacą!

– Najpierw zakończcie, królu, coście za... myślili... – Klatka piersiowa starego mnicha unosiła się powoli, a rżący oddech przerywał dokuczliwy kaszel. – Wam Bóg sprzyja, a biskup otoczyli zamek mocą Pańską... Nie wej... dą...

– Zakończę kampanię! – wykrztusił wzburzony król. – Moi setnicy ciągiem nowych ludzi werbują, więcej nas z każdym dniem! Zwiad mówi, że Swije leżą obozem nieopodal i na posiłki z Bjorgvin czekają, a te szlakiem nieopodal iść będą! Zmieciem ci ich, jak Bóg da, a potem wrócę do Nidaros.

– Wszyscy w zam... ku modlą się za... was... Bóg z wami.

– Straż! – ryknął Halvdanson. – Straż!

– Jestem, *herra minn!* – do wnętrza wpadł ten sam wojownik co poprzednio.

– Zawieźc wielebnego ojca do Isberg! Otoczcie opieką! – warknął Halvdanson i padł ciężko na swój stołek. Pogrążony w czarnych myślach, nie patrzył już, jak woj z uniżonością pomaga wyjść staremu mnichowi.

– Wsiadajcie, ojcze.

Woj przytrzymał strzemię.

– Bóg wam dopomóż...

Ojciec Flawiusz niezgrabnie usadowił się w siodle, w ostatniej chwili chwytając łąk siodła. Płuca co rusz rwał mu kaszel. Czoło na nowo zrosił pot, gęstniejący natychmiast pod lodowatym dotykiem mrozu.

– Może jednak wóz zaprzęgać, wielebny ojcze? – Przez nacierającą falę omdlenia dotarł doń głos woja.

– Nie... – wychrypiał z wysiłkiem. – Niewygoda miła... Bogu... – chciał położyć dłoń na głowie woja, ale ten zrobił krok w tył i skłonił się.

– Skoro tak... – mruknął, prowadząc konia w stronę leśnej drogi.

Stary mnich z całej siły zacisnął powieki. Od chwili wyjazdu z Nidaros miał w ustach zaledwie kilka kęsów chleba, lecz nie czuł głodu. Gorączka niepodzielnie zapanowała nad jego ciałem. Próbował skupić się na modlitwie – chciał znów oczyma swej wyobraźni ujrzeć oczyszczający krzyż nad zamkiem Nidaros, ale miał coraz większe trudności z koncentracją. Otwierał oczy, lecz świat kołysał się, tonąc we mgle.



Dopiero kiedy ucichł zgiełk obozu, starzec poczuł powracający spokój. Cisza łagodziła ból i z wolna przywracała mu zmysły. Gdzieś w oddali parsknął koń, potem napłynęły słowa. Tak, słowa. Woj prowadzący jego konia coś mówił.

Flawiusz zebrał wszystkie siły i uniósł powieki. Teraz miał już wrażenie, że mówią dwa głosy, lecz otaczający go świat był jedynie plataniną niewyraźnych cieni. Naraz jego koń zatrzymał się – mnich z trudem uniósł głowę i przetarł łzawiące oczy.

Zza ośnieżonych jałowców wychodził obcy wojownik, wysoki i barczysty, odziany w czerń. Nieznajomy ściągnął hełm, uwalniając grzywę długich kruczoczarnych włosów. Było w nim coś znajomego, coś, co przywodziło na myśl dawne, szczęśliwe czasy...

– Ktoś zacz... Kto on... – wycharczał Flawiusz, pokazując go dygoczącym palcem.

Narastał w nim niepokój. Tymczasem nieznajomy rzucił wojowi prowadzącemu jego konia jakieś podłużne zawiniątko, które ten złapał i oswobodził ze szmat. Błysnęła wypolerowana stal, a półprzytomny ojciec Flawiusz ujrzał jedyne oko, błyszczące

pośród zarośniętej twarzy wojownika

– Wreszcie. Nagi się czuję bez tego miecza – mruknął

– Diabeł karmi twą duszę, Haraldzie. – Nowo przybyły kręcił głową. – Nie dość, żeś się do obozu wroga wślizgnął i głowę z niego uniosłeś, to jeszcze sobie zdobycz ułowiłeś. Wiesz, kto to?

– Doskonale wiem – mruknął woj nazwany Haraldem, przypinając sobie miecz do pasa. – Myślisz, że zapomnę chwilę, kiedy osądził me winy? Bogowie sami mi go w ręce wepchnęli! Zarznąć nam go trza i to zaraz.

– Zalibyś rozum do reszty postradał? Bezbronno starca? Harald...

– Chcesz go bronić?

– Nie pozwolę go zabić. To zły człęk, ale sługa Boży!

– Precz! Zarznąę gada, bo to mu pisane!

– *Hörfið!* Nie wolno ci sługi Bożego tknąć, bestio w ludzkiej skórze!

– Odstąp, bo i ciebie przebodę! Nie odmienisz tego, co przepowiedziane!

– Na Boga, Harald...

– Precz!

Karli miecz zatoczył łuk, zmierzając ku głowie ojca Flawiusza, lecz Vidar w ostatniej chwili odbił klingę Haralda. Obaj stanęli naprzeciwko siebie na śniegu, dysząc ciężko i mierząc się nienawistnymi spojrzeniami.

– A więc tego chce przeznaczenie... – Oddech Haralda zaświstał. – Najpierw mam ubić wilka, a potem zmiję?

Długa klinga *Úlfabaninna* kołysała się w powietrzu niczym wąż hipnotyzujący ofiarę. Sine ostrze runiczne Vidara sztywno mierzyło w pierś Haralda.

– *Hörfið* – wycharczał skald. – Mielim razem walczyć, ale nie mordować. Nie pozwolę.

Harald nie odpowiedział. Patrzył teraz na Vidara z wyrachowaną ciekawością niczym drapieżnik na zwierzę w pułapce, lecz naraz runiczna klinga rozbłysnęła, a oblicze skalda jęło się przeobrażać. Rysy pogrubiały, twarz porośla sierść, oczy stały się żółte.

W przerywanej jedynie ciężkimi oddechami ciszy naraz rozległo się brzęknięcie ciężkiw. Obaj drgnęli – dokładnie między nimi wykwitła czarnopióra strzała.

Zapał bojowy uleciał w jednej chwili. Twarz Vidara powróciła do ludzkich rysów.

– Ktoście wy? – nadbiegł okrzyk z prawej strony. Nie, z lewej... Zdezorientowani Harald z Vidarem rozglądali się szybko.

– Harald syn Ingvara i Vidar syn Gustava – odkrzyknął skald, przetykając ślinę. – A wy kto?

– Nie tobie zadawać pytania, królewski sługo! – odpowiedział ten sam głos.

– Nie służymy królowi, jeno...

– *Þegiðu!* A co tedy robisz na szlaku od obozu królewskiego w towarzystwie świątka? Myślisz, że leśny lud do cna zgłupiał? Znamy twe imię, Vidarze synu Gustava, wiemy, żeś królowi posłuszny! Zacna to noc, skoro taka zdobycz!

Obaj ujrzeli, jak niespodziewanie spośród drzew wyłaniają się krępe, przyczajone postacie w futrach, uzbrojone w łuki i włócznie. Prowadzący ich woj uniósł dłoń, gdy niespodziewanie coś zafurkotało w powietrzu. W duszy Vidara zdumienie na chwilę wzięło górę nad strachem – w miejscu, gdzie ledwie kilka chwil temu wgryzła się

strzała, siedział teraz ogromny, czarny kruk, rozpościerając skrzydła i patrząc w stronę nadchodzących obcych wojów.

Ptaka niemalże ludzkim gestem pokręcił łbem i wyrwał strzałę ze śniegu.

Łuki opadły.

Ojciec Flawiusz zacisnął z całej siły powieki, próbując uspokoić rozedrgany obraz. Najpierw kłótnia między zamachowcami, potem pojawienie się nieznanym, ani chybi pogan, a teraz ptak, który bez wątpienia służył ciemnym mocom. Znalazł się w sidłach wyznawców zła. Był zgubiony.

Podniósł głowę i z niespodziewaną siłą targnął za wodze. Nie pozwoli zaprowadzić się na miejsce kaźni niczym baran na postronku! On, prawa ręka samego biskupa Hieronima, nie będzie z pokorą...

– Świętek ucieka! – krzyknął ktoś.

Parsknął zawracany koń. Skrzekliwy śmiech wydarł się z ust ojca Flawiusza, natychmiast przecięty sykiem klingi. *Úlfabaninn* wgryzł się w starczą szyję.

Ktoś na chwilę uniósł skórę zawieszoną w wejściu szałasów i Harald nagle się schylił, chcąc coś dostrzec przez powstałą szczelinę. Niewiele jednak zobaczył i zaklął w duchu. Nieznani łucznicy zawiązali mu oczy i wojownik nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Mógł jedynie przypuszczać, że znalazł się w sekretnym obozie buntowników. Wyteżył słuch, lecz z zewnątrz nie docierało doń nic poza miarowym szumem potoku i okazjonalnym cichym poleceniem czy parsknięciem konia.

Svein ziewnął, udając opanowanego i obojętnego.

Vidar milczał, pogrążony w modlitwie.

– Do cholery! – złościł się Harald. – Kiej barany...

– Iście barany! – powiedział jakiś głos na zewnątrz i naraz odsunięto skórę ponownie.

– Kiedyś się zastanawiałem, jakie zwierzę cię uosabia, Haraldzie synu Ingvara, ale już wiem. Ani żeś wilk, ani żeś odyniec, ni niedźwiedź... Baran!

– Randi! – Harald zachłysnął się, rozpoznając twarz sadowiącego się naprzeciwko nich starca.

– A nie mówiłem, że się jeszcze spotkamy? – Kapłan uśmiechnął się chytrze, lecz jego oczy, żółtawe i zmrużone, bacznie śledziły z uwagą obydwu przybyszów. – Wiele się chyba zmieniło, co? – powiedział po dłuższej chwili milczenia. – Nie tak dawno żem cię wyciągał spod ostrzy siepaczy królewskich – spojrzął przy tym z zainteresowaniem na Vidara – a nynie jako posłaniec przybywasz.

– Juści, że wiele się wydarzyło – przytaknął Harald. – Jarlowi na Hladir wierność poprzysiągłem i syna jego przywiodłem, by się z wami rozmówił. Oto on, Svein syn Trygvego. Sprowadziłem go tu po spotkaniu z twoimi ludźmi na trakcie.

– *Ég heilsa yður!* Witaj, młodzieńcze. – Randi uniósł krzaczaste brwi. – Czyżby twój ojciec w istocie na zgubę Białego Jastrzębia czyhał?

– Nikt mocniej zguby jego nie pragnie! – Uniósł się Svein.

– Jużem te słowa kiedyś słyszał – Randi splunął z pogardą. – Pod Cichymi Wzgórzami, kiedyśmy jego hufców czekali. Na próżno czekaliśmy, zważ.

– Ojciec... – bąknął zaczerwieniony nagle Svein, ku skrytej ucieście Haralda, gubiąc gdzieś długo pielęgnowaną obojętność. – Ojciec pomylił się. Po niewłaściwej stronie stanął. Nynie nie knowania mu w głowie. Wielu za broń chwyciło, przywódcy jeno trza i...

– Ach, pojmuje! – szydził Randi. – Widzi stary jarl, że kruszą się rządy Białego Jastrzebia i już plany jał układać? Gotów sam stanąć na czele armii i na tronie spocząć?

– Ojciec nie myślą jeno o własnym zadku, ale....

– *Pegiðu!* Ani słowa więcej, smarku! – syknął Randi, a oczy mu się zwięziły. – Jam wodzem hufcu z Bjorgvin i jeśli druzby mej pragniesz, tedy lepiej szacunku więcej pokaż!

– Tyś tu wodzem? – spytał z przekąsem Harald. – I ty powiesz do zwycięskiego boju tę bandę obdartusów?

– Juści!

– I co dalej, Randi? Co o tym mówi przeznaczenie, któreś tak umiłowal? Białego Jastrzebia rozgromisz i sam na tronie siądziesz?

Randi zignorował sapiącego z wściekłości Sveina i odwrócił się ku Dunowi.

– Baranem cię nazwałem, aleś od niego durniejszy! – wycharczał. – Z żadnym jarlem układać się nie będę! Do Swijów musimy się przebić i razem z nimi króla zetrzemy!

– Chyba ci bogowie resztki rozsądku odebrali – oznajmił szydlerczo wojownik. – Powiem ci ja tedy coś, ja Harald syn Ingvara, którego baranem nazywasz. Podśluchałem rozmowę króla z jednym świątkiem, tym, com go na szlaku porąbał. Król wie o tobie. Wie o twej bandzie oraz o Swijach. Jego zwiadowcy bory już przeszukują, a on tylko czeka, by was wyciąć.

– Nie odnajdą nas tak łatwo – parsknął Randi, mierzając Haralda pogardliwym spojrzeniem.

– Tak, Randi, widziałem kruka, który twych ludzi prowadził. Wiem, że służą ci moce lasu. Jeno o co ci chodzi, kapłanie? Po sam Ragnarok chcesz się w lesie kryć?

– Szydzić żeś tu przybył?

– Nie, Randi. – Harald wbił wzrok w tłące się palenisko. – Przybyłem tu Sveina ci przedstawić.

– No i ostrzec was – poważnym głosem powiedział Vidar, a Svein pokiwał głową.

– Ostrzec? – buchnął udawanym śmiechem stary kapłan.

– Czegokolwiek nie zrobicie, panie, źle i tak będzie – rzekł młody jarl. – Ostaniecie tu z hufcem swoim, to królewscy was najdą. Ku Swijom ruszycie, znajdą was tym szybciej. A kiedy przebić się wydolicie i Swijom w zwycięstwie pomożecie, tym większa klęska nastąpi. Kraj w ruinie leży i musi władcę mieć, a kto Białego Jastrzebia zastąpi? Kto? Kto wzbroni zwycięskim Swijom po wsiach hulać, łupy zbierać, poległych druhów mścić!

– Mądrze gadasz, synu jarla. – W siwych oczach starca błyszczała stanowczość. – Jeno nie było cię tu, kiedy Albiończycy szyli z łuków do ludzi z tego nieszczęsnego grodu. Idź, pogadaj z nimi. Powtórz im to samo, to w twarz ci się roześmieją. My nie walczymy o Nordweg, młodzieńcze. My chcemy zemsty! Moi woje z samym Lokim się teraz

sprzymierzą, by tylko truchło królewskie ujrzeć!

– Zemsta rzecz święta, panie – bąknął Svein. – Jenó zemsty owej kiedyś koniec najść musi! Porządek musi zapanować, inaczej Swij... Skoro rzekliście, że i z Lokim drużbę byście przyjęli, załiby sojusz z mym ojcem byłby czym gorszym?

– I po to tu przyjechałeś, jarliku? – Kapłan wykrzywił suche wargi. – Stronników dla ojca swego werbować?

– Jeden nasz cel, panie! – wykrzyknął z zapalem syn Trygvego, znów gubiąc swój wystudiowany spokój. – Jeden! Różni nas ino to, że my o przyszłości myślimy, a wy nie... Mój ojciec wie już, jak pokój na te nieszczęsne ziemie...

– Ach, przestań lepiej! – przerwał mu Randi. – Pod Cichymi Wzgórzami twój ojciec pokazał, że nie pokój dlań ważny, jenó zadek własny. Kto mu nynie zaufa?

– Na święty pierścień...

– Łajno święty pierścień! To nie ting, jarliku! – warknął Randi. – To wojna! Wojna o pomstę!

Vidar przewrócił oczami i westchnął ciężko. Na szczęście, ku jego zdumieniu, poparł go Harald.

– Kozy ci wypasać, Randi, a nie wojów na wojnę wieść! – zachichotał. – Co zrobisz z ową kupą wojów, gdy już pobijecie Halvdansona? Co poczniesz ze Swijami? Grzecznie poprosisz, by wrócili do domów?

– A mnie od jarlików nie wyzywajcie, panie! – Twarz Sveina była blada jak śnieg. – Walczyłem pod Lasem Trolli, z mieczem w garści na mury Bjorgvin się darłem i ledwo łeb uniosłem z pułapki, którą żeś na ludzi Kallesona zastawił! Wrogiem moim byliście, ale dość mam krwi niesłusznie przelewanej i oto jestem, by o drużbę was prosić. *Hvíti fálkinn* moim wrogiem, wrogiem mego ojca i całego rodu, wrogiem też i waszym! Połączmy tedy siły...

– A jeśli zdrajca spod Cichych Wzgórz ponownie zdradzić chce?

– Razem będziemy walczyć. Dobrze znamy obóz królewski...

– Ha! – parsknął śmiechem Randi. – Przecież każdy wie, że król pod Śpiącą Skałą stoi! Już czwarty dzień!

– Słusznie żeś tedy gadał, żeś żaden wódz! – Harald pokręcił głową. – Niby wiesz, gdzie twój wróg leży, a zrozumieć go nie umiesz. Przecież im dłużej Eryk cicho siedzi, tym większe powody, by się bać.

– Przecie nie... – Kapłan próbował zachichotać.

– Nie wiesz, co on planuje – przerwał mu Dun. – Może już się rusza, może już idzie ku twoim wojów, może już osacza Swijów. Pomnij, że on sprytniejszy od Lokiego.

Naraz zapadła cisza. Oczy starca nieoczekiwanie straciły swój blask, po czym naraz zajaśniały ze zdwojoną mocą. Randi patrzył na Sveina, lecz uśmiechał się złowieszczo. Harald mimowolnie poczuł dreszcze.

– Nie ufam ci jako człowiek i kapłan – powiedział cicho. – Nie zaufa ci nikt, kto słyszał o zdradzie spod Cichych Wzgórz. Nikt.

– Ale... – próbował zaprotestować Svein.

– Milcz – warknął Randi. – Udowodnisz zatem prawdziwość swych słów. Przed majestatem bogów.

Naraz ujął drzewce włóczni i wbił kamienne ostrze w ziemię między nogami Sveina.

Wreszcie Harald mógł zaspokoić swą ciekawość, choć teraz wolałby nigdy takiej szansy nie otrzymać. Polana, na której stali wraz ze Sveinem, tonęła w blasku ognia. Otaczający ich las skrył się wśród tańczących cieni, lecz mimo to woj dostrzegł kilka szałasów, jakiś namiot i kilka koni, uwiązanych do gałęzi przy potoku. Więcej się już nie przyglądał, zafascynowany wydarzeniami na polanie.

Z ciemności wychynęło kilkunastu roślących, zbrojnych w łuki i topory wojów, którzy otoczyli polanę milczącym kręgiem. Randi, którego twarz rumieniła się już od bliskich płomieni, stał dumnie wyprostowany, oparty o swą włócznię, i nie spuszczał spojrzenia z pobladłego Sveina.

– Wojownicy! – odezwał się donośnym głosem. – Oto stoi przed nami Svein syn Trygvego, jarła na Hladir. Czy znacie sławę jarła Trygvego?

– Znamy! – odpowiedział chór męskich głosów.

– Powiedzcie tedy, wojownicy, jaka jest sława jarła Trygvego?

– *Svikarinn! Svikarinn!* Zdrajca! Od sprawy odstąpił pod Cichymi Wzgórzami!

– *Þegiðu!* – Randi uderzył włócznią o ziemię. Oczy mu błyszczały. – Oto młody Svein syn Trygvego przybywa do nas, by o swej przyjaźni zapewnić! Przybywa, by wraz z nami przeciwko królowi walczyć!

– *Lygi! Lygi!* Kłamstwo! – zakrzyczeli wojownicy, wygrażając bronią.

– *Þegiðu!* – Oczy Randiego lśniły kocią żółcią. – Znaliście jednak ród na Hladir wcześniej! Prawi byli jarlowie na Hladir? Honoru bronili?

– Prawi byli! Prawi! – odezwały się głosy, lecz znacznie cichsze niż przed chwilą. Harald spojrzał na Sveina, na twarzy młodego jarła niezdrowa bladość kontrastowała z rumieńcami wzburzenia. Młodzieniec zaciskał z wściekłością pięści, lecz milczał dumnie wyprostowany.

– Bogom tedy oddamy sprawę do rozsądzenia! – Randi odwrócił się w stronę gorejącego stosu, rozrzucając ramiona. – Odyne, ty, któryś królem wśród Asów! Forseti, który boskim tingom przewodzisz! A nade wszystko ty, Loki, synu olbrzymów, władco płomieni i opiekuńcze zdrady!

– Odyne! Forseti! Loki! – powtórzył chór niespokojnych głosów.

– *Ég heiti Randi Úlfabokan!* Jestem Randi Wilcza Mgła, wasz sługa i wojownik! Oddaję wam syna ludzkiego, Sveina z rodu jarłów na Hladir! Rozsądźcie, bogowie, czy szczerą są jego słowa, czy zmija mieszka w jego sercu! Rozsądźcie!

– Rozsądźcie! – ryknął chór wojów.

Randi odwrócił się z furkotem płaszcza, a na jego wyciągniętym ramieniu usiadł kruk, trzepocząc skrzydłami. W jego ślepiach odbił się blask gorejącego stosu. Vidar, stojący za plecami Haraldą, wykonał znak krzyża.

– Oto święty kruk Odyna, który zna jego wolę! – krzyknął wielkim głosem kapłan. – Podejź tu, Sveinie synu Trygvego, i zamknij oczy. Jeśliś praw, bogowie cię uchronią!

Jeśliś zaś zdrajcą, ptak wydziobie ci oboje oczu!

Svein nie słyszał już słów Randiego, nie widział jego wykrzywionej twarzy ani czarnego kruka, który przyglądał mu się z zainteresowaniem. Krok za krokiem, niczym zahipnotyzowany, podchodził do kapłana. Był coraz bliżej, jeszcze trzy, kroki, dwa...

Wzdrygnął się, gdy kruk zakrakał i przeskoczył mu na ramię. Przez moment siedział na nim, ugniatając je szponami, a potem wzbił się w powietrze.

– Praw, Svein... – wyszeptał Randi. – Praw!

– Praw! – zachłysnęli się wojowie.

– Praw! – Harald usłyszał swój głos, naraz uświadamiając sobie, jak wielką czuje ulgę.

– Praw! – nadbiegło wołanie od strony drzew. Harald spojrzął mimochodem w tamtym kierunku i aż sapnął ze zgrozy. Między ciemnymi pniami szła jaśniejąca sylwetka barczystego woja, wznoszącego nad głową topór słynny na wszystkich polach bitew Północy.

– Toż to Thorfinn syn Kallego! – stęknął. – Vidar, patrz...

– A tam Floke! – Oczy skalda się zaszklily. – Floke! Floke!

– I Finn...

– Praw, Svein! – krzyczeli wojownicy, zarówno ci, którzy wyszli z Valhalli, jak i ci, którzy mieli jeszcze do niej trafić. Nad uśpioną, pogrążoną w mroku puszczą, poniosło się chóralne skandowanie, wzmocnione uderzeniami toporów o tarcze.

Arnul znieruchomiał, z uwagą śledząc każdy kąt lochu i tłumiąc dreszcze niepokoju. Stała przy nim Daria i karzeł mimochodem zerknął w jej stronę. Spodziejając się walki, dziewczyna wysoko upięła swe warkocze i pomalowała twarz ciemnymi pasmami ciągnącymi się aż po skronie. Jej oczy łyskały dziko, gdy czaiła się uzbrojona w miecz i okrągłą, najeżoną kolcami tarczę. Wyglądała imponująco, ale karzeł pożałował, że znikła gdzieś ta Daria, którą ujrzał wczoraj. Karlica obmyła w końcu twarz, rozczesła włosy i nałożyła na siebie świeże szaty, a wtedy oszołomiony Arnul ujrzał jej delikatne górskie piękno, rozsiewające wokół blask niczym jaskiniowy kryształ. Gapił się na nią zauroczony, aż go ofuknęła grubymi słowy, choć uczyniła to bez przekonania.

Nie była to jednak pora na takie rozmyślenia. Daria skoczyła w mrok jako pierwsza, a jej plecy osłaniał Hornobori, uzbrojony w ogromny topór. Dalej biegł Hannar, po którego łysej, pokrytej świeżymi bliznami czasce wciąż płynęły krople krwi – owładnięty rozpaczą po utracie króla, Puchacz rozwiązał warkocze, rozrzucił włosy i nachylił się nad ogniskiem, pozwalając by pochłoneły je płomienie. Za nimi gnali pozostali, w sumie siedmiu karłów, a śledziły ich puste spojrzenia zapomnianych więźniów. Zgodnie z pradawnym obyczajem, nikt nie założył hełmu – stary obyczaj mówił, że ten, który w chwili śmierci spojrzy karłowi w oczy, nigdy nie trafi do Valhalli.

Prowadziła ich wściekłość. Windalfowe plemię zostało potrójnie pohańbione – nie dość że Hieronim odmówił im zapłaty, to jeszcze porwał ich władcę, a teraz Konrad dorzucił kolejne upokorzenie. To, że działał w dobrej wierze, w niczym nie łagodziło

goryczy karłów.

Pomysł Arnula w pierwszej chwili wydał się wszystkim szalony. Karły zaczęły wrzeszczeć z gniewem i przeklinać, ale niespodziewanie uciszył ich Hornobori, który oznajmił, że się zgadza. Po chwili namysłu dołączył doń Hannar, potem trzech innych karlich wojów, a na końcu dołączył wzruszony Arnul. Cała szóstka pochyliła głowy przed Konradem, który spryskał im twarze święconą wodą i wymówił egzorcyzm. Następnie pierwszych siedmiu ochrzczonych z własnej woli karłów w Midgardzie podkradło się w okolice zamku i przekonało, że Arnul miał rację – magiczna pieczęć zatrzymywała tylko nieochrzczonych i siódemka prowadzona przez Darię nie poczuła nawet ciepła. Biegli teraz przez lochy, z których ongiś uciekł Vidar z Ulfem, krok za krokiem, korytarz za korytarzem, gotując się, by wreszcie zewrzeć z wrogiem.

Naraz Daria wyhamowała z sykiem, a reszta karłów wraz z Arnulem natychmiast przywarła do ścian. Znajdowali się tuż przed salą, w której mnisi służący ojcu Flawiuszowi przeprowadzali tortury i przesłuchiwali. Oczy Hornoboriego, który władał szóstym zmysłem, błysnęły dziko, gdy spoglądał na Hannara.

„Pułapka?” – pomyślał przestraszony Arnul.

Słyszeć było tylko ciche kapanie wody. Naraz rozległ się głos Hannara, który wolno uniosł rękę i skierował palec wskazujący na salę tortur, a wtedy ciszę rozdarła krwista eksplozja.

Ludzie, którzy oderwali się od ścian, krzyczeli i wypuszczali z rąk oręż, gasząc płomienie skaczące po ich ubraniach. Karły uniosły broń i wtargnęły między nich.

Rozdział 33

Kruk rozłożył skrzydła i runął w dół, skrzecząc złowieszczo. Harald śledził go zaintrygowanym spojrzeniem.

– Jakie to wszystko dziwne – mruknął.

– Co jest dziwne? – Vidar odwrócił powoli głowę.

– Wszystko się rozstrzygnie, nim księżyc pojawi się nad drzewami – powiedział cicho tamten.

– Tak myślisz? – zapytało znużone spojrzenie Vidara.

– Wiem to.

– Skąd?

– Miecz znów piecze. Nadchodzi jego czas.

Głowa Vidara opadła nisko, jakby skald zmęczony już był nieustającymi obietnicami zemsty. Nie chciał patrzeć ani na niego, ani też na jarla na Hladir, z dumą maskującego napięcie. Na ich głowami znów zaskrzeczał kruk

„Odyn patrzy na nas – pomyślał z goryczą Vidar. – Wszak to nie tylko pan wojny, ale i zdrady!”.

Skald poderwał głowę, poszukując skrzydlatego zwiastuna, ale zasnuwane szarymi chmurami niebo było puste.

Tymczasem wśród mgieł świtu wolno gęstniał szereg wojsk królewskich. Wojowie wynurzali się z lasu, pojedynczo lub grupkami, po czym opierali się wycieńczeni o drzewa lub zgoła klękali na śniegu. Tu i ówdzie rozlegał się chrapliwy głos dziesiętnika nakazujący powstać i iść dalej, najczęściej bez odzewu. Ziemia zadrżała, zwiastując zbliżanie się konnicy, a do pieszych wojów dołączyły już dziesiątki wyczerpanych marszem albiońskich łuczników. Któryś z setników krzyknął ostro i ludzie poczęli się podnosić, a Harald popchnął Vidara i obaj poczłapali w ślad za resztą ich oddziałku.

Mało komu starczało siły na jakieś przekleństwo czy komentarz – zastępy króla opuściły Śpiewającą Skałę wieczorem i maszerowały przez całą noc, by zaskoczyć Swijów atakiem o świcie. Zmęczenie wojów było ogromne, ale nie to było najgorsze. W oczach wojowników, nawet tych świeżo wcielonych, błyszczał strach, gdyż wszyscy wiedzieli, że plan króla był naiwny.

Wystarczyło wsłuchać się w śpiew kruków, by wiedzieć, że wróg czekał w gotowości.

Przewodnicy mówili z lękiem, że wikingowie wybrali na obóz magiczny złowrogi teren, a co śmielsi próbowali nawet przestrzec króla. Teraz, gdy cel wędrówki wyłaniał się pośród mgieł, nawet najdzielniejszym zrzędył miny.

Wojownicy króla zmierzali bowiem w kierunku miejsca, które niedbała ręka natury uformowała na podobieństwo skalnej fortecy. Widzieli pnące się stromo kamienne bloki tworzące nieregularne, poszarpane wieżyce, karłowate sosny, wpijające się w skrawki ziemi i nachylone nad przepaściami sople zwisające z krawędzi szczelin. Cisza spowijała

skalną fortecę, lecz oni tam byli. Czekali.

Na którymś ze skalnych występów błysnął grot włóczni, potem jakiś Swij, zbrojny w topór o długim trzonku i okrągłą tarczę, wyłonił się spośród oparów mgły na jednej z wieżyc i stał, wyzywająco spoglądając ku królewskim wojom. Natychmiast kilka strzał pomknęło w jego stronę, lecz nie dosięgły celu, a Swij zniknął z głośnym, szyderczym śmiechem. Setnicy półgłosem wydali rozkaz przygotowania się do ataku.

– Źle. – Vidar z trudem przełknął kawałek suchara wydobyty z sakwy. – Źle – powtórzył. – Czterokroć nas tylu, ilu onych, ale trza będzie wdzierać się na wielką skałę.

– Sprytne juchy. – Harald założył ramiona na piersi. – Pomną, jak klecha Bjorgvin spalił. Takiej góry to nawet trzech Hieronimów nie ruszy. Już jakoś ich wyżeniem, Islandczyku. Twego króla w tym głowa.

– Wielu zginie. – Vidar nie zareagował na drwinę w głosie.

– Tak, a gdy dotrze Randi ze swoimi, to zginie jeszcze więcej. – Drapieżny uśmiech Haralda odsłonił żółte, popsute zęby. – Lepiej módl się do swego Boga, Islandczyku.

– On jest cały czas przy nas. – Vidar pochylił głowę. – Bez Jego wsparcia nie wytrzymałbym ani dnia przy tobie! Dałbym dużo, byś się zamknął i przestał grozić całemu światu.

– No to mnie zmuś. – Harald drwiąco rozłożył ramiona. – I tak zginiesz z mojej ręki. Jest ci to pisane.

– Może – Vidar był znużony. – Pora więc, byś dowiedział się wszystkiego. Pamiętasz, kiedy samotnie uderzyłeś na orszak królewski?

– Juści, Jego Królewska Mość tak mnie oświecił, że do dziś na jedno oko nie widzę! – parsknął z pogardą Dun.

– To nie był król, Harald. Za mocno był przerażony. Ledwie konia mógł opanować. Nie trafiłby w pień drzewa.

– Co, może klecha kamieniem mnie cisnął?

– To ja ci wtedy oko wydziobałem.

Po karłach pozostała tylko cisza.

Konrad osunął się na kolana i złożył dłonie do modlitwy, ale jego myśli nadal biegały spłoszone. Niespodziewanie przypomniały mu się naiwne marzenia w odległym Westminsterze, kiedy to, bezustannie korcąc się w myślach za pychę, marzył o przecieraniu nowych szlaków dla Boga i odnajdowaniu serc gotowych przyjąć Słowo Boże. Oto rzeczywistość przebiła marzenia. Oto ochrzcił pierwszych pogan.

Zmęczony wzrok młodego mnicha zawisł na srebrnych naczyniach, w których woda święcona ścinała się już warstewką lodu. Przed godziną Arnul, Hornobori, Hannar i inne karły uklękli przed nim, a on polał ich głowy święconą wodą i drżącym głosem odprawił błogosławieństwo. Mimo to nie czuł ulgi ani radości. Obiecywał sobie, że błogosławieństwo Boże pisane tylko tym, którzy z dobrej woli serca otworzą, a karły patrzyły na niego z nieopisaną nienawiścią.

Krzążający się w pobliżu Ulf zatarł dłonie. Dźwięk przywrócił Konrada na nowo do świata materialnego i mnich otworzył oczy.

– Zimno tu – wyszeptał, wstając z trudem.

– Zimno wam, ojcze? – Chłopak poderwał się. – Ja zaraz przyniosę drwa, rozpale większy ogień.

Ruszył biegiem ku drzwiom, ale potknął się i runął na polepę. Konrad doskoczył i pomógł mu się podnieść. Na jego twarzy pojawił się blady uśmiech.

– Po cóż ten pośpiech! – powiedział łagodnie.

– Ojciec Flawiusz daliby mi w skórę za ociąganie się! – wykrzyknął zażenowany Ulf. – A biskup?

– Rządy złego biskupa dobiegają końca, drogi chłopcze, a z nimi niesłuszne lanie. Chodź, Ulf, razem narąbiem drew!

Ożywiony Ulf napał na drzwi, lecz te nie ustąpiły. Zdumiony chłopiec pchnął jeszcze raz – również bezskutecznie. Z uwagą spojrzął na próg, ale nie zauważył żadnego klina. Zapadka była podniesiona, a drzwi dalej ani drgnęły.

– Czemu nie wychodzisz? – spytał Konrad.

– Ktoś drzwi trzyma! – poskarżył się chłopak. – Ejże tam! – wykrzyknął i uderzył pięścią w deski. – Co tam za wygłupy! Puszcząć w te pędy!

Nie było odpowiedzi. Ulf szarpnął jeszcze kilka razy, po czym rozejrzał się po izbie. Palenisko powoli dogasało i ziąb stawał się coraz bardziej przejmujący – czas najwyższy nanieść świeżego drewna!

– Może przywalę czymś ciężkim w drzwi, to puszczą – odezwał się, patrząc na ławę, na której niedawno siedzieli Olav z Edgarem.

Zajęty taszczeniem mebla nie zauważył, że Konrad zamrugał kilkakrotnie i zaczął nerwowo spoglądać na boki.

– Zostaw to – powiedział naraz cicho.

Mebel opadł z hukiem i chłopak wyprostował się zaskoczony.

– Jest coraz zimniej... – wyszeptał Konrad. – I ciemniej...

Ulf otworzył szeroko oczy. W istocie, ściany i sprzęty poczęły naraz pokrywać się cieniutką warstwą szronu, a chłopiec zaczął kaszleć, gdy strumień lodowatego wprost powietrza wdarł się w jego gardło. Spojrzął na Konrada, tłumiąc rosnącą panikę, ale we wzroku tamtego rozpoznał jedynie zaskoczenie.

– Czary, na miłość Boską! – szepnął chrapliwie Konrad.

Warstwa szronu zaczynała matowieć, a z kątów wyływała ciemność, coraz dalej, coraz łapczywiej. Naraz obaj dojrzeli, jak mrok zaczyna falować i układać w kształty.

– Dość – odezwał się cicho znany im głos, zbyt straszny, by mógł być prawdziwy. – Dość tej gry, Konradzie z Gwynedd.

– Wasza Wielbność. – Głos Konrada brzmiał pewnie i donośnie. Na brwiach młodego mnicha leżał szron.

– Naiwny nowicjuszu, czy ty naprawdę chciałeś, by serca Północy wpuściły do siebie prawdziwego Boga? – szeptał biskup Hieronim, a jego obfite ciało z wolna materializowało się w mroku. – Głupstwo uczyniłeś, wybierając własny szlak. Głupstwo uczyniłeś, unikając mego wsparcia i doświadczenia. Twoja buntowniczość wielce mnie

wzburzyła.

– Nie będę służył kłamstwu – odparł dumnie Konrad.

– Zalibym kłamał, mówiąc o potędze Pana? – spytał Hieronim.

Konrad z rosnącym przerażeniem uświadomił sobie, że półprzejrzyste ciało biskupa wisi kilkanaście centymetrów nad ziemią.

– Zalibym kłamał, prawiąc, że tylko ukorzenie się przed Boskim Majestatem może ten kraj ocalić? To Północ, Konradzie z Gwynedd, dzika, nieugięta Północ! Lud tu surowy, nieużyty, nie słuchają ci oni słów, choćby nie wiem, ile piękna w sobie miały. Oni widzą czyny, a im straszniejsze czyny, tym więcej posłuszeństwa w twardych duszach. Zmarnowałeś swoją szansę, Konradzie.

– Czyżby, Wasza Wielbność? Wiecie wszystko, nieprawdaż? Tedy wiecie również i o biedocie z podgrodzia. O ranach opatrzonych i dobrych słowach. Wiecie o karłach. Ja dobrem walczę, Wasza Wielbność.

– Dobrem? Drogi, naiwny chłopcze, życie nie jest takie, jak je w Biblii opisano!

– Czy aż tak bardzo? Szybciej diabła wcielonego napotkałem, aniżeli bym przypuszczał! – Konrad uśmiechnął się.

– Hardo przemawiasz. – Na twarzy eterycznego posłańca pojawił się wyraz zadumy. – Dumny jesteś i przebiegły. Nieraz pokrzyżowałeś me plany i szkoda, że postanowiłeś mi być przeciwnikiem. Byłbyś godnym pomocnikiem, a może i zastępcą? Niemniej ja już nie potrzebuję zastępcy.

– Słusznie prawicie, Wasza Wielbność. – Smutny uśmiech Konrada był coraz głębszy.

– Nie potrzebujecie. Koniec waszych rządów blisko...

– Ejże? Myślisz o tych kilku karłach w podziemiach mego zamku?

– Wiesz o karłach?! – Starannie pilnowany spokój Konrada runął.

– Właśnie moi krzyżowcy rozprawiają się z nimi. Biedne, małe karły. Cóż, Konradzie, chyba i z tobą czas się żegnać.

Konrad nie patrzył na zjawę. Powoli złożył dłonie, pochylił głowę i rozpoczął cichą, żarliwą modlitwę:

– Ojczy nasz, Ty, który żeś jest w niebiesiech, święć się Twoje imię, bądźże królestwo Twoje...

Ciemność zaszumiała, załopotiała, błysnęło coś jasnego. Ulf krzyknął. Znikły ściany, przez mrok przemknął szaleńczy chichot i zacichł w nagłym poszumie. Mnich naraz uświadomił sobie, że mówi z coraz większym trudem, a na jego gardle zaciska się lodowata obręcz. Niespodziewanie uleciały słowa modlitwy – Konrad wrzasnął ochryple i rzucił się na ziemię, zmagając się z duszącym go, niewidzialnym napastnikiem. Wił się i charczał, a duch śmiał się basem biskupa Hieronima, miażdżąc jego szyję i wyszarpując zeń życie. Wnet zalała go ciemność, która potem przerodziła się w purpurę. Konrad wciąż był bezgłośnie.

Naraz wszystkie kolory powróciły, a ból zniknął tak gwałtownie, że Konrad aż się zakrztusił. Odległe echo przyniosło pełen rozpaczony krzyk Arnula.

Szarżujący *Náttfarinn* nie wziął poprawki na to, że zwykle walczy z przeciwnikami niewiele niższymi od siebie. Ogromny normański miecz śmignął nad głową Arnula, a karzeł pochylił głowę i instynktownie ciął toporem. Ostrze wbiło się w goleń krzyżowca, rozległ się wrzask i łoskot ciała uderzającego o posadzkę.

Nordri skoczył z wzniesioną włócznią, świsnął topór Hornoboriego. Z krótkim, straszonym okrzykiem bojowym karły rzuciły się do natarcia. Ciężkie buty zatupały po kamiennej podłodze, po której pełzały jeszcze żółte ogniki, pozostałości po czarze Hannara i Hornoboriego. W ich upiornym świetle widać było bezwładnie rozrzucone, szerniałe trupy czających się najbliżej krzyżowców. Po raz pierwszy ich własne, niedoścignione kolczugi odwróciły się przeciwko nim – większość rycerzy w okamgnieniu zgorzała żywcem. Kilku ocalałych, osmolonych i zdesperowanych, postanowiło jednak stawić dalszy opór.

Daria runęła naprzód z krótkim, ostrym zaśpiewem, zanurkowała pod zamaszystym ciosem miecza krzyżowca, po czym niespodziewanie wykwitła za jego plecami. Ostrze przeorało ścianę, sypiąc snopem iskier, lecz nim człowiek zdołał się odwrócić, Daria rąbnęła go w plecy, a Hannar pchnął włócznią pod pachę. Kilka metrów dalej inny *Náttfarinn* trafił nacierającego karła, lecz w tej samej chwili zamaszyste cięcie Hornoboriego rozrąbało jego ramię. Karły nacierały, niezwyknięte w swej furii, a ich skośne, zielone oczy jaśniały niczym u rozjuszonych drapieżników.

– *Allir?* – krzyknął Hannar, wskakując na ciało krzyżowca, którego szyję rozpruł sztylet Darii.

– *Nei.* – Nordri splunął krwią. – Grim nie żyje.

– Zapłacą.

– Już zapłacili. Hornobori?

– Żyję, co żeś myślał?

– *Þegiðu. Árás!*

– Windalf!

– *Dvergurfjall! Fyrir Vindalf!*

Hannar pobiegł pierwszy, śpiewając karłą pieśń bez słów. Biegący w ślad za nim Arnul poczuł się jak podczas marszu na zamek królewski – jego ciało wypełniała nowa, nieznaną, lecz niezwykniętą siłą. Czuł radość, rozkosz bycia wśród swoich, wśród wojowników z Karlich Wzgórz.

– *Árás! Árás!* – krzyczał oszołomiony wraz z innymi.

Parli naprzód, ignorując świst strzał zza węgła i drwiąc z panicznych krzyków uciekających. Zamajaczył cień zbrojny w topór, lecz Nordri był szybszy. Świsnęło ostrze, popłynęła krew po posadzce, czarna w świetle pochodni. Znów Daria zaśpiewała wysoko, a Avsund i Hannar wspólnie rozbili drzwi, Hornobori powalił jakiegoś osiłka z maczugą.

Naprzód, naprzód! Za Windalfa!

Ludzie uciekają, nieliczni próbują stawić opór, ale z otwartych dłoni Hannara strzelają płomienie i znów wybucha panika. Pękają kolejne drzwi, aż drzazgi idą na boki. Za Windalfa!

I karły ponownie rzuciły się do biegu, dzikie i powstrzymane. Kierując się szóstym

zmysłem, gnały ku miejscu, gdzie trzymany był ich władca. Kolejne drzwi pękają, tak, za nimi więziony jest król!

Do środka!

– To on! – wycharczał Nordri. – To ten skurwysyn, który oszukał Windalfa, a potem go ochrzcił! Leży, leży i śpi! Dalej, Hannar, przez łeb go!

Karzeł wzniosł topór i opuścił go z całej siły.

– O, nie – wyszeptala Daria po długiej, bardzo długiej chwili.

Arnul zawył rozdzierająco.

Stara Laponka nie spała dobrze tej nocy. Choć wiek dawno już stępił jej zmysły i nie mogła słyszeć odgłosów walki w podziemiach, jakieś przejmujące wrażenie nie pozwalało jej zapaść w sen. Leżała zatem, skryta pod baranicą i wpatrywała się w ciemność alkowy, wyobrażając sobie demony czyhające na nią w ciemnościach. Lubiła strach.

„Demony... – przyszło jej na myśl. – Co też ludzie wiedzą o demonach? Wierzą w moc magicznych znaków, przestrzegają zabobonów, a nie widzą, że prawdziwe demony żyją wśród nich. Głupi ludzie, głupi!”.

Chichotała cicho bezzębnyimi ustami, aż nagle wyczuła przejmujący krzyk, dobiegający gdzieś z dołu. Usiadła i rozejrzała się bacznie, mrugając.

– Co tam się dzieje? – Zaspana Gudrun uniosła się z łoża, przecierając oczy. – Król... Król wrócili? – Do jej głosu wkradł się przestach.

Staruszka uśmiechnęła się chytrze. Nie rozumiała do końca nordweskiego, lecz wystarczająco długo obserwowała niewolę córki jarlowskiej, by od razu zrozumieć przyczyny jej lęku.

– *Koonung! Koonung!* – chichocząc, przedrzeźniała słowa Gudrun.

– Kto tam? – ktoś krzyknął na korytarzu, lecz w tej samej chwili skrzypnął napinany łuk i brzęknęła cięciwa. Jakieś ciało opadło miękko na posadzkę.

– Żyw? – szepnął ktoś.

– Gdzieżby, w gardło dostał... Dalej! – Głos, który mu odpowiedział, był jej skądś znany.

– Gunulf! – wykrzyknęła Gudrun. – Gunulf, tutaj!

Jak szalona wyskoczyła z łoża i dopadła drzwi, odtrącając starą Laponkę. Szarpnęła za zapadkę i w tej samej chwili oślepił ją blask pochodni.

– Pani! – stęknął ktoś głosem Gunulfa. – Rauge, toż to ona! Gudrun! Córka jarla! Rauge, skocz po jakieś odzienie!

– *Skal gert!* – któryś z towarzyszących Gunulfowi wojów wyminął osłabłą nagle Gudrun i wskoczył do jej komnaty, odkopując po drodze zbierającą się z ziemi staruszkę. Laponka wrzasnęła przeraźliwie i wybiegła na korytarz.

Widok niskiej, garbatej istoty z rozwianymi włosami, która naraz wychylnęła z krzykiem z ciemnej komnaty, przeraził wojów do głębi. Gunulf już uniosł topór, gdy

naraz zatrzymała go Gudrun.

– *Biddu!* – zawołała, wciąż oszołomiona. – To jeno stara kobieta! Nie lza...

– *Koonung!* – wrzasnęła stara, potykając się o ciało krzyżowca ze strzałą sterczącą z gardła. – *Biiispen!*

Rauge wybiegł z komnaty Gudrun.

– Co ona wrzeszczy? – zapytał.

– Biskup?

Lecz było już za późno. Staruszka biegła z rozcapierzonymi palcami prosto na drzwi w końcu korytarza i uderzyła w nie całym ciężarem. Drzwi huknęły i oczom oniemiałych wojów z Hladir oraz nie mniej oszołomionej Gudrun ukazało spowite migotliwą, fioletową poświatą wnętrze komnaty. Źródłem owego niesamowitego światła zdawał się przypominający bramę obrys na kamiennej ścianie, lecz niemal natychmiast zasłoniła ją ogromna sylwetka biskupa.

– Czego tu szukasz, nędzna istoto?! – wycharczał Hieronim, trzymając bełkoczącą niezrozumiale Laponkę za suknię. – Precz! – Naraz znieruchomiał, uświadamiając sobie czyjąś obecność na korytarzu. – A więc już tu jesteście, karzełki? – stanął w progu. – Nie minął wam żal? Dalej macie ochotę igrać z silniejszym od siebie?

Gunulf instynktownie zasłonił dziewczynę własnym ciałem, lecz nie był w stanie zrobić ani kroku, ani powiedzieć choćby słowa.

Stali niczym zahipnotyzowani.

– Co? To nie karły złożyły mi wizytę? – Hieronim już szedł w ich stronę. – Ach, rozumiem! Jarl z Hladir wysłał swoich zuchów po córkę! Głupcy! – ryknął z wściekłością. – Wszystko zepsuliście! Przez was ucieczka...

– Karły już tu idą, biskupie! – zawołał czyjś głos w mroku korytarza. – Nasz ród nie zwykł pozostawiać niedokończonych spraw!

I Hannar rzucił się na Hieronima z gołymi rękami, a za nim Hornobori, Nordri i reszta.

Gudrun zemdląca.

Rozdział 34

Eryk Halvdanson zadrżał z zimna i szczerzej otulił się płaszczem, jednocześnie wskazując Thornsonowi kierunek marszu. Olbrzymi Albiończyk skinął posłusznie głową, szepnął kilka rozkazów i ludzie z jego dziesiątek jeden po drugim zaczęli niknąć we mgle. Niebawem król został sam wraz z garścią przybocznych i chmurą dziwnych myśli.

W powietrzu zawisła przytłaczająca, drażniąca cisza. Król rozejrzał się po obłych, lśniących od szronu skałach i szarpnął za srebrny krzyżyk pod płaszczem, próbując odpędzić niepokój, lecz spodziewana ulga nie nadchodziła.

„Tam mój wróg, wróg mego Pana” – powtarzał w myślach, przyglądając się rumowisku skalnemu i próbując na nowo wzbudzić sobie gniew i nienawiść. Na próżno.

Dotknął dłonią rozpalonego czoła.

„Jestem już tak blisko... – pomyślał. – Nie mogę pozwolić, by ta góra ze mną wygrała! Jeszcze tylko to zwycięstwo i w całym Nordwegu nie będzie już dla mnie wroga! Jeszcze tylko...”

Przeszył go nagły spazm bólu. Jeden z przybocznych podjechał bliżej zaniepokojony, lecz nim zdolał cokolwiek powiedzieć, Eryk poderwał głowę, a z oczu strzeliły mu iskry.

– Dość czekania – warknął. – Im wcześniej zaczniesz, tym lepiej.

– *Skal gert, herra minn...*

– Ingvar! Dajże no głośny znak jastrzębia! Białego Jastrzębia!

Donośny krzyk drapieżnego ptaka zakłócił ciężką, tajemniczą ciszę wokół góry i wywabił wojów Halvdansona z kryjówek. Zrazu onieśmieleni, przepelnieni lękiem przed prastarym, dzikim sanktuarium, ostrożnie wyglądali z kryjówek, chowając twarze za tarczami, lecz Swije milczeli – ani jedna strzała nie pomknęła w ich stronę. Pierwsi woje ruszyli zatem ku zbozom, coraz szybciej i śmieiej, aż gruchnął okrzyk bojowy. Czepiając się występów skalnych, korzeni i gałęzi, ciężko sapiący woje uparcie pieli się naprzód, chcąc jak najszybciej zewrzeć się z ukrytym wrogiem.

W pień drzewa tuż nad głową Haralda wbiła się naraz zielonopióra strzała i Dun przypadł do ziemi, szybko omiatając teren wzrokiem. Jest! W plątaninie korzeni u stóp wielkiej, krzywo rosnącej sosny dostrzegł niewyraźną sylwetkę łucznika, naciągającego kolejną strzałę.

– Uwaga! – wrzasnął ze wszystkich sił. – Wyżej siedzą! Z łuków...

Jego ostrzeżenie przerwał wrzask któregoś z wojów w sąsiedniej dziesiątce, który stęknął głucho i zsunął się bezwładnie po gałkach, znacząc trasę krwawymi maźnięciami. Vidar błyskawicznie wychylił się zza gałęzi i leżąc, posłał strzałę w kierunku swijskiego łucznika. Chybił, lecz w tej samej chwili ich dziesiątnik, stary woj jeszcze z hufców Hralfa Ognistego Języka, poderwał się i ruszył ku górze, zasłaniając się

tarczą. Potykał się, przewracał, ranił kolana, ale parł naprzód. Harald skoczył za nim, potem jeszcze kilku innych. Mistyczny las napełnił wrzask nacierających.

Tarcza niewiele pomogła staremu dziesiętnikowi i kilkanaście metrów wyżej swijska strzała przebiła mu gardło, a inna zwała woja biegnącego po prawej, lecz nagle Vidar znalazł ułamek sekundy na wypuszczenie swojej i któryś ze Swiów zastygł w agonii na kamieniu, który służył mu za osłonę. Skądś dobiegły dzikie wrzaski, które zwiastowały, że ktoś zdołał już dotrzeć do pozycji wikingów. Sam Harald, nie bacząc na rany na kolanach i łokciach, też wskoczył do kryjówki swijskiego łucznika. Wznoszony miecz zadrżał w jego dłoniach niczym obdarzony własnym życiem i Harald ciął straszliwie w nasadę karku wroga.

Zdyszany Vidar wpęłzył do jamy chwilę później.

– Bogowie dziś czuwają nade mną! – powitał Islandczyka Harald, łyskając jedynym okiem. – Tam siedzi jeszcze jeden! Zrób no użytek z tego twojego łuku...

Skald kiwnął głową, usadowił się przy wylocie jaskini i napiął łuk po raz kolejny. Słął strzałę za strzałą we wskazanym kierunku, ale nie widział, czy trafił. W międzyczasie jednak do jamy wpęłzali jeden po drugim ludzie z ich dziesiątki, niektórzy poranieni, wszyscy ciężko dyszący.

– Żywiśmy... – wyszeptał jakiś młody chłopak o pokrzwawionych włosach.

– Zda się, że nikt inny się nie przedarł! – sapnął jego sąsiad. – Trza wiać, nim się Swije...

– Zawrzyj mordę, nie tyś tu dziesiętnikiem! – warknął Harald. – Strzał mamy dość...

Przerwał naraz, gdyż ziemią pod ich stopami targnęło stłumione tąpnięcie, a po nim drugie, silniejsze i naraz na ich głowy poczęły sypać się kamyki i odłamki sklepienia jamy. Ktoś jęknął ze strachu, ktoś się podniósł, a Harald doskoczył do wejścia do jaskini.

– Na rogi kozłów Thora! – wyszeptał.

Na jego oczach toczył się ogromny głaz. Zdruzgotał kilka karłowatych drzewek i nabierając coraz więcej pędu, gnał w dół. Za nim Harald widział inne. Wydawało się, że cały las ożył. Dudnienie i łoskot stawały się coraz głośniejsze, a powietrze było gęste i dziwnie pachniało.

Koń Halvdansona zarżał i wspiął się na tylne nogi. Zdenerwowany Eryk uspokoił go smagnięciem płazem miecza, po czym znowu stanął w strzemionach, próbując rozeznac się w przebiegu starcia. Wiedział już, że Swije byli dobrze poukrywani i przez całe dni mogli razić bezkarnie jego ludzi.

„I gdzie teraz jesteś, mój przyjacielu Hieronimie...” – westchnął w myślach i nabrał tchu, by wydać rozkaz odwrotu. Niespodziewanie wierzchowiec znowu zarżał dziko i wierzgnął, a młody król uświadomił sobie, że dzieje się coś niesamowitego. Ziemia drżała coraz mocniej, tu i ówdzie wśród mgły zadygotały korony drzew, a szczęk oręża zagłuszył łoskot toczących się głazów, trzask łamanych pni oraz przeraźliwe wrzaski uciekających. Z najniższych kłębow mgły wybiegali już pierwsi uciekinierzy – któryś

wymachiwał kikutem strzaskanej dłoni, inny, najwyraźniej dziesiętnik, zabiegał drogę innym i próbował ich zmusić do powrotu, aż padł trafiony rozpaczliwym ciosem obucha topora. Jeden z głązów wytoczył się z mgły i znieruchomiał na murawie o kilka metrów przed królewskim rumakiem.

Zapadła cisza, lecz nie trwała długo – niespodziewanie na skrytych we mgle zboczach odezwały się męskie głosy śpiewające starą pieśń bojową. Eryk znał ją i słyszał aż za często – śpiewano ją pod Cichymi Wzgórzami, pod Lasem Trolli i na wałach Bjorgvin, zawsze tam, gdzie wojownicy podejmowali ostatnią walkę, bez nadziei na zwycięstwo, ale ufni, że zdobędą dobrą sławę. Pieśń zdawała się schodzić coraz niżej i wciąż oszołomiony Eryk nagle zrozumiał, że Swiże szykowali się do ataku na jego wojów.

– Thornson, strzały na cięciwy! – ryknął, wbijając ostrogi w bok konia. – Odwody naprzód! K’nam idą, psubraty!

Ponad śpiew wybił się naraz śmiech, dziki i szyderczy, i król się zawahał. Poznawał ów ton, wiedział, że wśród wojowników schodzi Ragnar Przyjaciół Kruków z Mglatego Jeziora, kapłan dawnych bogów, którego kazał przybić do świętego jesionu nieopodal Bjorgvin.

– Gotowiśmy – zameldował John Thornson, jak zwykle niewzruszony.

Tarcze wojów z hufców odwodowych zeszyły się brzegami, tworząc szczelny mur gotowy do odparcia każdego ataku. Za nimi szeregi albiońskich łuczników zastygły w nerwowym oczekiwaniu, a jeszcze dalej setnicy rozpaczliwie skrzykiwali swych ludzi. Śpiew zstępujących wolno Swijów słyhać było coraz wyraźniej. Eryk zawrócił wciąż niespokojnego wierzchowca, wyszarpnął spod płaszcza złoty krucyfiks i skierował się ku zamglonym zboczom.

– Patrz na ten znak, poganinie! – krzyknął wielkim głosem. – Patrzcie wszyscy! Ukorzcie się przed nim, bo wasze dzieci i tak ugną karki przed majestatem Króla Niebieskiego!

Niespodziewanie rozstąpiła się mgła nad skalnym występem i stanął na nim sam Ragnar. Zaśmiał się krótko i wypowiedział kilka ostrych słów. Po klindze jego miecza spłynęła zimna, niebieska błyskawica i trafiła w krucyfiks, wytrącając go z królewskich rąk. Eryk krzyknął głośno z bólu i zwinął się w siodle, mocno ściskając poparzoną dłoń. Złowieszczy śpiew nagle ucichł i we mgle zamajaczyły pierwsze sylwetki w szpiczastych hełmach.

– Idą na nas! – rozległ się donośny, opanowany głos Johna Thornsona. – Mierzyć uważnie, synkowie!

– Gotuj się! – zawołał jarl Ivarson, nadjeżdżający na czele swych jeźdźców.

W tejże chwili panika padła na wierzchowce. Stary jarl z najwyższym trudem opanował swego rumaka, ale inne wierzgały i szalały, to zrzucając jeźdźców, to uciekając z głośnym rzeniem ku skrajowi puszczy.

Albiończycy niewiele mieli czasu. Kilka strzał zaświstało w powietrzu, któraś z barczystych sylwetek chwyciła się za brzuch i padła na ziemię, a inna potknęła się i upadła, trzymając za strzałę w nodze, lecz pierwsi Swiże dopadali już zacieśnionego szeregu tarcz.

– *Ulfhednar!* – ryczał Thornson. W istocie, nikt z nacierających nie miał tarczy, wielu

dzierżyło po dwa topory, ich ruchy były nadludzko szybkie, a z kącików ust sączyła się ślina.

– *Fyrir Þór!* – jęknął ktoś. Ktoś inny cofnął się o krok, rozglądając z przerażeniem.

– *Biddu!* Trzymać linię!

Za późno. Szwajcy wikingowie uderzyli w mur tarcz, rozbijając go. Kolejna błękitna błyskawica uderzyła w kark któregoś z Nordwegów, a potem w wielu miejscach eksplodowały duszące, gorące dymy, rozpędzając nieliczne, przegrupowujące się oddziały. Pomimo beznadziejnej sytuacji Albionczycy na rozkaz Thornsona pochwycili za miecze i włączali się do boju, lecz ignorując rany szwajscy berserkowie parli naprzód, rozpędzając coraz bardziej przerażonych obrońców.

Wtedy we mgle zamajaczyły ogromne, jakby z kamienia wyciosane sylwetki i ku coraz szczuplejszym szeregom królewskich wojów rzuciły się szalone górskie trolle. Było ich ledwie kilka, lecz starczył ich głuchy ryk i kilka niecelnie wymierzonych ciosów maczugami, by obrona ostatecznie pękła. Ostatnie konie uciekły w puszcę, unosząc bezsilnych jeźdźców, a piesi rzucili się do ucieczki w ślad za nimi, porzucając broń. Oszołomiony i przerażony Eryk chciał zaprotestować, ale jego ściśnięte ze strachu gardło nie przepuściło ani słowa.

– *Hörfið!* – unosił się nad zgiełkiem krzyk jarla Ivarsona.

Szwajski kapłan śmiał się głośno i z tryumfem, lecz nagle trujące dymy zamarły, błyskawice znikły, a trolle się zawahały. Magia ucichła.

Po niebie przetoczył się głuchy grzmot, jak gdyby sam Thor zstąpił i wmiszał się między walczących, a po nim kolejny. Walczący zamarli na moment. Gdzieś w wyższych partiach gór przez mgłę prześwitywały blade płomienie. Szwajcy wikingowie i towarzyszące im trolle otrząsnęli się szybko i znów rzucili do natarcia.

Oszołomiony Eryk Halvdanson ścisnął pod pachą poparzoną dłoń.

– Bić ich! – krzyknął słabo, machnąwszy zdrową dłonią. – Mocniej!

– *Árás!* W imię przodków! – dobiegło od strony wilgotnego, świerkowego zagajnika i jarl Ivarson runął na czele swej drużyny w stronę walczących. Niewielu z nich pozostało w siodłach i większość biegła z wniesionymi toporami. Eryk potrząsnął głową, próbując pozbyć się mgiełki przed oczyma – dostrzegł tylko, że wraz ze starym jarlem i jego synem biegnie jeszcze jeden ogromny, czarnobrody woj, a jarlowskim wojom towarzyszą jacyś obcy. Powiększona drużyna kierowała się prosto na zbocze góry.

– Za przodków! – krzyczał nacierający Ivarson. – Hladir! Hladir!

Wojowie jarlowscy uderzyli na Szwajców z furją, tu i ówdzie wzbudzając tryumfalne okrzyki przetrzebionych obrońców. Na czele hufca z Hladir walczyli Trygve i Svein, rąbiąc z zaciekłością, chrapliwymi głosami szydząc z wrogów i chwając własne mięso. Ich woje szli za nimi nieustępliwie, odważnie odcinając się Szwajcom.

Nowe siły wstąpiły w ciała zmęczonych bojem Nordwegów – Thornson sprawnie przegrupował swych ludzi, w powietrzu świsnęły dwa tuziny strzał i ogromny

szaroskóry troll, oganiający się maczugą przed ciosami włóczy, zaryczał głucho naszpikowany jak jeź. Podcięty ciosem w w tył kolan padł ciężko, a wtedy spadły na jego plecy ostrza toporów, zamieniając cielsko stwora w krwawą miazgę. Albiończycy natychmiast wymierzili łuki w stronę kolejnych trolli, a zwycięscy Nordwegowie naparli z zawziętością godną bohaterów sagi.

Swijowie bronili się nieustępliwie, lecz ten i ów poczynał się już cofać lub oglądać za siebie. Z twarzy niektórych z nich zniknął już boski szal bitewny, w miejsce którego pojawiał się strach i dezorientacja. Trup się słał gęsto po obu stronach i wrzaski oraz okrzyki bojowe zostały zastąpione chrapliwymi oddechami i jękiem rannych.

Nad ich głowami migotała fioletowa i srebrna poświata, a między karłowatymi drzewami strzelały nieziemskie płomienie, dzięki którym skały bardziej niż kiedykolwiek przypominały groźne postacie wiedźm i karłów. Chciwe kruki kołowały już nad polem walki, z niebywałą śmiałością przysiadając na zwłokach i z zaciekawieniem próbując ciepłych jeszcze ciał. Gdzieś dalej wyły wilki, a w ich pieśni brzmiała rozpacz. Z nisko wiszących obłoków naraz strzeliła błyskawica.

Eryk otrząsnął się z oszołomienia.

– Hladir! – krzyknął stary jarl, obalając jakiegoś Swija w wilczej skórze na hełmie.

„Hladir? – powtórzył w myślach i naraz zrozumiał powagę sytuacji. – To nie ja, Biały Jastrząb, ale ten starzec wie ludzi? Jarl odbiera mi sławę, a ja mażę się tu jak dziecko!”.

Bezradny spojrział ku walce, a potem ku górze, gdzie z furią biły dzikie błyskawice, rozszarpując drzewa i rozłupując skały.

„Tam jest! – uświadomił sobie. – Ten demon wcielony! Ragnar! Niech ci tutaj rozbiją Swijów, a ja uporam się z ich wodzem! Chroń mnie, Boże”.

Eryk wyszarpnął miecz zdrową dłonią i puścił się biegiem w stronę góry.

– Puść mnie, Vidar! – ryczał Harald. – Bo ci łeb rozplątam!

– Zginiesz! – krzyczał Vidar. – *Biddu!*

Dun odtrącił wreszcie dłoń Islandczyka, zaśmiał się dziko i ruszył ku górze. Czuł się niepokonany – bijące w szczyt góry pioruny nie przerażały, przeciwnie, zuchwała natura wojownika i ryzykanta pchała go naprzód. Miecz palił go w dłoniach, a po jego ostrzu pływały złowieszcze, obce refleksy.

– Harald, opętało cię! – krzyczał w ślad za nim Vidar.

Swij wypadł nań tak niespodziewanie, że Harald ledwie zdołał pochylić głowę, a ostrze włóczy strąciło hełm. Dun natychmiast przetoczył się, instynktownie unikając kolejnego ciosu i wciąż leżąc, ciął w nogi zeskakującego przeciwnika. Ten wrzasnął z bólu i padł, a wtedy Harald zerwał się i wbił miecz w otwarte do krzyku usta.

Znowu po niebie przetoczyły się grzmoty i piorun strzelił w jakże już bliski czubek góry. Jakieś drzewo pochyliło z trzaskiem, Vidar nie przestawał krzyczeć, lecz jego słowa były i tak nieważne. Nadspodziewanie rozległ się czyjś głuchy jęk, a potem brzęk

hełmu uderzającego o skałę. Harald odwrócił się błyskawicznie i ujrzał Swija kulącego się ze strzałą w brzuchu. Miecz, jeszcze przed sekundą wzniesiony do śmiertelnego ciosu w tył głowy Duna, leżał na ziemi.

Harald popatrzył na Vidara opuszczającego łuk. Znowu uderzył piorun, rozszczepiając pobliskie drzewo. Dun potrząsnął głową i zanurkował w dym.

Na szczycie góry panowała absolutna wręcz cisza – odgłosy nieodległej w końcu bitwy były cichsze od szelestu przelewającego się nieopodal potoku. Oniemiały Harald postąpił kilka kroków. Jak okiem sięgnąć, widział skały o fantastycznych kształtach przywodzących na myśl klęczących kapłanów, spoczywające trolle czy śpiące potwory. Widział kamienne bramy i niezgrabne wieżycy, widział skałę przypominającą leżącego kota i inną wyglądającą jak rozdziawiona, głodna paszcza.

Harald szedł powoli, starając się nie burzyć świętej ciszy niezwykłego sanktuarium. Dostrzegał coraz więcej fascynujących szczegółów – w środku kamiennego labiryntu rósł wielki, rozłożysty jesion, którego czarne gałęzie niemalże dotykały nisko wiszących, fioletowo-srebrnych chmur. Wokół niego zaś walały się pozostałości obozowiska Swiów, rozrzucone pledy, wciąż żarzące się ogniska, jakiś zapomniany worek.

Nagle zerwał się wiatr, zimny i porywisty. Harald dotknął dłonią którejś ze skał i zaklął wściekle. Parujący granit był niesamowicie gorący, a we wnętrzu skały wojownik wciąż widział tętniące, czerwone serce.

„Pioruny! – pomyślał, cofając się z załzawionymi oczami. – Tu przecież uderzały pioruny!”.

Naraz dobiegło go ciche chrząknięcie i odwrócił się na pięcie. Kilkanaście kroków dalej stał ogromny odyniec w skórzanej uprząży, który patrzył nań swymi mądrymi, czarnymi oczyma. Jego ryj, szable i racice zbroszone były krwią człowieka, który leżał nieruchomo przed nim.

„To on! Legendarny odyniec ze świątyni Frejra w Uppsali, idący zawsze ze swijskimi wojownikami na boju! Gore...” – przemknęło przez myśl Dunowi.

Ścisnął jednak mocniej miecz i z szybko bijącym sercem postąpił krok naprzód. Dzik charknął i uniósł wyżej łeb. Racica grzebnęła ziemię i wiking przygotował się już na najgorsze, lecz atak nie nastąpił. Odyniec odwrócił się i wolno odszedł między skałki.

Wciąż nieufnie przyglądając się kierunkowi, w którym znikło zwierzę, Harald podbiegł do zwłok.

– Randi! – krzyknął na widok zalanej krwią twarzy i opadł na kolana. Delikatnie uchwycił głowę starca.

– Harald... – wyszeptał kapłan.

– Ty żyjesz! – Harald sapnął z ulgą. – Ani się rusz, zwlekę cię jakoś i...

– Daj pokój... – wyszeptał starzec. – Nie ma ci takiego znachora... co by ranom tym podołał...

Teraz dopiero Dun zauważył, że przez pierś kapłana biegło długie, kończące się na

ramieniu cięcie, a prawa ręka od łokcia w dół była szerniałym kikutem. Co więcej, kły dzika rozpruły brzuch i odsłoniły dymiące wnętrzości.

– Nie bój się, wilku... – szeptał starzec. – Została mi... mi jeszcze chwila.

– Psi los, Randi... – powiedział zduszonym głosem Harald, czując łzawą żalność w gardle. – Kto cię dopadł?

– Pan odyńca... Wódz Swijów... Ragnar!

– Parszywiec!

– Tak mi pisane było. Splątały się nici Norn. Wypełnia się przeznaczenie. Pamiętałem o sojuszu. Moi ludzie dołączyli do hufca jarla na Hladir, razem tną Swijów na zboczach...

– Tedy zwycięstwo nam zapewniłeś! – wyszeptał Harald.

– Król jeszcze pozostał...

– Nie przejmuj się królem!

– Szczęśliwy odchodzę, bo w walce... Jeszcze zdążę do Valhalii...

– Czeka tam na mnie! – Głos Haralda się załamał.

– Ragnarok nadchodzi... Do obaczenia zatem...

– *Bless...* – szepnął Dun i zacisnął powieki z całej siły, nie chcąc, by ta jedna, jedyna łza, na jaką było stać hardą duszę wojownika, spłynęła po brudnym policzku.

– Nawet nie powiedziałaś mi, gdzie szukać tego, kto przewodzi tym przybłędom – szepnął z wyrzutem.

– Tutaj – powiedział niespodziewanie obcy głos ze swijskim akcentem.

Vidar poczuł budzące się przekleństwo Ody na w chwili, gdy dotarł na szczyt góry i wbiegł w krainę ciszy okoloną niesamowitymi skałkami.

– Na Boga, nie... – jęknął. Chciał zakryć twarz dłońmi, lecz te nie słuchały go tak, jak powinny. Tracił kontrolę nad sobą i swymi myślami. Nie było takiej mocy na świecie, która mogłaby zatrzymać moc Ody na, pana wilków.

Odyniec wyszedł spomiędzy skał i patrzył na niego z mądrością w ciemnych ślepiach.

Vidar potrzęsnał głową, a z jego gardła wydarło się tylko głucho warknięcie, niespodziewanie przeobrażające się w złowieszcze wycie. Święty dzik stał się zamazaną ciemną plamą na tle głębokiej czerwieni. Miecz z brzękiem wypadł z porośniętej gęstym włosiem dłoni i znów było tak jak kiedyś, na wałach Nidaros.

Przeistoczony w potwornego wilka Vidar walnął o ciało dzika. Jego nozdrza przepełnił zapach spoconej sierści. Pazury starły się z racicami, a szable zwały się z kłami. Święty dzik z uppsalskiej świątyni i islandzki człowiek-wilk rozpoczęli śmiertelny pojedynek.

Vidar zawył głucho, gdy ostra racica dzika uderzyła go pod żebro, lecz odpłacił instynktownie, smagając odyńca pazurami przez ryj. Dzik targnął łbem, zamroczony, i natychmiast naparł znowu, ciosem na ślepo wywracając wilkołaka. Żółte, zakrzywione szable przemknęły tuż pod odsłoniętym brzuchem, ale Vidar zerwał się, by zatrzasnąć

paszczę na zadzie dzika. Odyniec ostro wierzgnął i znów trafił, odrzucając wilkołaka w tył. Obaj przeciwnicy znaleźli się teraz po przeciwległych stronach, ciężko dysząc i mierząc się przekrwionymi spojrzeniami.

Uppsalski odyniec znowu natarł pierwszy, a Vidar ruszył mu na spotkanie, ale w ostatniej chwili wyskoczył i opadł dzikowi na grzbiet. Wilcze pazury rozorały bok wciąż pędzącego stworzenia. Dzik kwiknął przeraźliwie i przewrócił się, przygniatając wilkołaka całym swym ciężarem. Vidar zawył, czując trzask pękających żeber. W tej samej chwili odyniec uchwycił jego tylną nogę i z całą mocą zacisnął szczęki. Człowiek-wilk odruchowo smagnął drugą łapą po oczach dzika i tamten puścił, kwicząc przeraźliwie z bólu.

Vidar zaskomlał, próbując znów stanąć na czterech łapach, ale dzik znowu pędził, niewrażliwy na rany. Skald charknął i skoczył mu na spotkanie, przewracając go i łapiąc zębami za prawą przednią nogę. Odyniec zaskowytał i szarpnął z całej siły, lecz potężne szczęki wilkołaka nie puszczały. Pobudzony słonym smakiem krwi Vidar szarpał i gryzł jak szalony.

Wciąż pod postacią wilka odskoczył, by przypaść z drugiej strony, lecz naraz się zawahał. Czerwona mgła rozviała się nieco i zaskoczony Vidar ujrzał wielki, siwy łeb dzika, zwrócony ku sobie. Mądre ciemne oczy nie błyszczały już szalem walki, a patrzyły po prostu z ciepłem i żalem. Potem blask w nich przygasł, a wielki siwy łeb naraz opadł na ziemię.

– *Ég heiti Harald Ingvarson.* Pamiętam cię, Swiju.

– *Ég heiti Ragnar Vinur Hrafningsins.* Ragnar Przyjaciel Kruków. Tak, musisz mnie pamiętać.

– Widziałem cię pod Nidaros. Patrzyłeś na mnie i mych druhów z brzegu rzeki.

– Patrzyłem.

– A wiedziałeś, że patrzysz na tego, kto cię zabije?

Úlfabaninn ze świstem przeciął powietrze i zagrzechotał, uderzywszy o okrągłą swijską tarczę. Ragnar odbił cios i zamierzył się kamiennym młotem. Harald uskoczył zręcznie i na nowo zapadła cisza, kiedy krążyli wolno, mierząc się spojrzeniami.

– Po tej samej stronie stać winniśmy, Dunie. Obaj nosimy Thora w sercu.

– Prawda, Swiju. Ale właśnie mego przyjaciela ubiłeś.

– Szczęśliwy umierał.

– Moją ziemię najechałeś.

– Nie twoją.

– Mego jarla wrogiem jesteś.

– Czyżby! – Ragnar śmiał się, unikając kolejnych, szybkich ataków Haralda. *Úlfabaninn* aż drżał od mocy i kąsał niczym rozdrażniona żmija, we wprawnych dłoniach wikinga zamieniając się w lśniący krąg. Prastary, czarny jesion spoglądał na nich ze spokojem, mgła gęstniała, wspierając się na coraz bardziej niewyraźnych, zamazanych

skałkach.

– Dlaczego pozwoliłeś nam odpłynąć z Nidaros?

– Tak trza było.

– Ha! Myśmy to karły sprowadzili! Myśmy zgubę na ciebie zesłali!

– Nie wiesz, co to zguba, Dunie.

Długie, siwe włosy rozsypały się po zaczerwienionej twarzy kapłana, ale dalej mocno trzymał młot i wysoko unosił tarczę. Harald znów natarł i zwarli się niczym dwie burze. Zwarcie trwało chwilę, po czym odskoczyli od siebie i znowu czekali po przeciwnych stronach kręgu, śledząc swe ruchy błyszczącymi spojrzeniami.

– Wiem, co to zguba.

– Nie, nie wiesz. Nie wiesz, że świat się kończy i trzeba odejść z niego z honorem. Nie wiesz, że niewiele czasu zostało na zemstę.

– Nie obchodzi mnie to. Walkiria mi rzekła, że mam cię ubić, Swiju.

– Tedy tak będzie. Mnie też coś rzekła.

Zdziwienie odebrało Haraldowi mowę.

– *Það er lygi!* – wykrzyknął, gdy naraz targnęło nim podejrzenie. – Łzesz, to... Zaliby ona z tobą też rozmawiała?

– I z wieloma innymi. Nadchodzi Ragnarok, Dunie, i Odyn musiał się z wieloma żyjącymi sprzymierzyć. Zapewne spory hufiec stoi murem przeciw Białemu Jastrzębiowi.

– I co ci walkiria rzekła?

– Powiedziała: *uchodźcie, gdy trzewia ziemi toporów dobędą...*

– Trzewia ziemi... Karły! To dlatego uciekliście spod Nidaros! – wykrzyknął oniemiały Harald. – Wszyscy myśleli, że ze strachu uciekliście, a wy wypełnialiście jej polecenie?

– Ze strachu! – Kapłan zaśmiał się z kpiną. – Twa durnota dorównuje waleczności, Dunie. Wolę bogów wypełniłiśmy! Spójrz, przecież karły świątków wygubiły! A my w innym miejscu walkę podjęliśmy. Odetchnął Asgard, Dunie. Przynieśliśmy Odynowi wytchnienie.

– Co ci jeszcze rzekła wysłanniczka Jednookiego?

– Rzekła mi, że w godzinie swej śmierci dokonam tego, o czym marzyłem.

– Czego?

Kapłan nie powiedział ani słowa, a zamiast tego przeniósł spojrzenie za plecy Haralda. Wojownik odwrócił się błyskawicznie – w mgle majaczyła potykająca się sylwetka, z każdym krokiem coraz wyraźniejsza. Już widział, że nadchodzący był szczupłym, wysokim człowiekiem w kolczudze, uzbrojonym w miecz. Jego czoło lśniło od potu, klejąc kosmyki włosów.

– To on! – krzyknął urywanym głosem przybysz, słaniając się na nogach. – Trzymaj go... woju! Nagroda... cię nie ominie!

Wołał do Haralda, wskazując mieczem Ragnara.

– Bierżże go!

– Gdzie się podział ów złoty krucyfiks, *herra minn*? – wysyczał Swij, zwięzając oczy jak kot.

– *Árás!* – wykaszłał Eryk Halvdanson, zatrzymując się i opierając na mieczu. – Bierż go, mówię ci!

– *Ég heilsa yður, herra minn.* – Harald przyklęknął na jedno kolano. – Jak widać walkirie nigdy się nie mylą.

Rangar uśmiechnął się i podrzucił broń. Eryk Halvdanson nie zdołał się nawet cofnąć. Celny cios młotem zamienił jego szczękę w krwawą miazgę i przewrócił go w błoto. Ragnar skinął na Haralda, a potem wskazał wznoszący się nieopodal jesion. Dun natychmiast zrozumiał polecenie. Odkopnął miecz monarchy, złapał Eryka za kołnierz i powłókł po błocie, a potem rzucił o pień starego jesionu. Wtedy Ragnar ujął oba nadgarstki i przebił je nożem, przytwierdzając ramiona króla do twardej kory.

– Nie wolno igrać z przeznaczeniem, chłystku! – warknął Ragnar prosto do ucha rannego, ledwie przytomnego króla. – Jam wyszarpał mięso z pleców tego bękarta Hieronima, a nynie na żywym ogniu będę cię przypalać! Ciało przekłuwać! Skórę ci drzeć, a wszystko to za mało, królu morderco, królu kłamco!

Królowi zabulgotała krew w gardle. Patrzył na bladego z wściekłości Swija z przerażeniem, naraz przypominając sobie samotny jesion nad zamglonym jeziorem gdzieś przy Bjorgvin i wiszącą na nim ludzką postać.

Ragnar wypowiedział zaklęcie i jesion niespodziewanie eksplodował magicznym, pożerającym wszystko ogniem. Z ust półprzytomnego króla wyrwał się ochryply, bezrozumny okrzyk bólu.

Harald milczał. Zawsze wierzył, że kiedyś stanie naprzeciwko swego największego wroga i będzie patrzył na jego śmierć, lecz wydawało mu się, że będzie to dzień ogromnego tryumfu. Tymczasem stał otepiały, z trudem przeciwstawiając się nagłej chęci, by paść na ziemię, leżeć i o niczym nie myśleć.

Skrzywił się, zważył miecz w dłoni i uniósł go wysoko. Chciał, by ten ostatni, święty cios był zadany z największą pasją, lecz serce biło wolnym rytmem. Ciął.

Zapadła cisza.

– Przepowiednia się wypełnia – powiedział kapłan po długiej chwili milczenia. – Król nie żyje. Nadejdzie Ragnarok. Wszystko skończy się tak, jak powinno.

– Tak – odparł martwym głosem Harald. – Przepowiednia się wypełnia.

– Twój jarl pokonuje moich ludzi, a walka cichnie... Ostatnia chwila nadeszła, Dunie. Jeszcze jedno pozostało do zrobienia.

– Co?

– Wyślij mnie do Valhalli.

– Jeszcze tylko ty zostałeś, Vidar.

– Twa nienawiść wciąż nie wygasła, wikingu? – spytał skald z gorzkim uśmiechem, unosząc się powoli z powalonego pnia drzewa.

– To nie nienawiść. Obiecałem ci to – Harald wbił *Úlfabaninna* w miękką ziemię. – To część przepowiedni.

– Dość już mam tego twojego gadania. Co z królem?

Harald parsknął udawanym, zmęczonym śmiechem i odwrócił się w stronę wciąż

płonącego jesionu.

– Niewiele z niego zostało – powiedział. – Marnie kończy się życie Białego Jastrzębia, bo nawet nie będzie skalda, który je opisze.

– No to tnij zatem, głupcze! – Vidar odrzucił swój miecz. – Tnij! – wrzasnął, dobywając resztek sił. – Rozwał mi łeb, bezbronnemu, bo ja nie jestem w stanie broni podnieść. Śmiało, wal! Nie mam ochoty przez resztę żywota gapić się na twą ohydną gębę i słuchać głupot o obietnicy czy honorze! Nie bój się wilczego szału, bo właśnie się skończył! Na Dziewicę Maryję, wal, ty parszywy psie, nie mogę już patrzeć na twą parszywą, śliniącą się mordę!

Dun zgrzytnął zębami i uniósł miecz.

– Harald! – zabrzmiał znajomy głos między drzewami. – Harald, na ogon Węża Midgardu! Wiedziałem, że cię tu znajdę!

– Rodon? – Jednooki wiking opuścił miecz. – Czemu się w nie swoje sprawy ładujesz?

– Jarl Ivarson was szuka! Ciebie i skalda! – Ogromny wojownik zmarszczył brwi, natychmiast rozpoznając sytuację. – Obu! – zaznaczył.

– Co tu robisz? – warknął Harald, opuszczając miecz jeszcze niżej. – O ile się nie mylę, nie tak dawno byłeś gotów królowi hołd złożyć!

– Byłem – burknął Rodon. – Ale doszedłem do wniosku, że nie zależy mi na królu, który tylko kłopoty ściąga na swych poddanych. Dołączyłem do buntowników z Bjorgvin i szczęście, bo ci połączyli siły z jarlem na Hladir. Wygląda mi na to, że zwycięstwo będziemy świętować!

Harald nie odpowiedział.

– A gdzie król?

– Poległ.

– A ciało?

– Wiatr porwał. – Harald wskazał na szerniały, dogasający już jesion. – A więc to już po wszystkim, Rodon? Zupełnie po wszystkim?

– Tak, Harald. Po wszystkim.

– Dobrze. – Dun spojrzął na skalda i odetchnął ciężko. – Też jestem zmęczony, Islandczyku. Zawrę już tę śliniącą się gębę.

Vidar nic nie odpowiedział. Schodzili wolno wśród głązów i mgieł, pokaszlując cicho. Dymy z płonącego jesionu wolno płynęły na wszystkie strony świata, niosąc wieści o zbliżającym się końcu.

Rozdział 35

Wiatr był zbyt dokuczliwy nawet jak na nawykłego do niewygód wikinga i Harald szczerzej zapiął kozuch. Nadal jednak stał na plaży, bo szum nieodległych fal wprawiał go w błogą zadumę. Niegdyś kochał ów odwieczny śpiew wzburzonego morza – dzikiego, absolutnie obojętnego żywiołu. Wykuło ono jego rogatą duszę, dało mu sławę, odebrało jedyną kobietę, którą kochał, a teraz znowu go wabiło.

Mrugnął, chcąc pozbyć się ziarenka piasku w kąciku oka i naraz dostrzegł biegnącego w jego stronę Arnula, który jeszcze przed chwilą spacerował wśród ostrych, pokrytych wodorostami skał, gładząc ich ostre krawędzie.

– Po jaką cholere tyś mnie tu zaciągnął? – burknął po staremu Harald.

– Przy tobie chciałem wybrać! – oznajmił Arnul. Jego policzki były zaróżowione od wiatru, a zielone, skośne oczy błyszczały wesoło.

– Co?

– Jak to co? – oburzył się karzeł. – Skałę! O, tamta! – pokazał palcem wielki, obły głaz. – Tam będę rzeźbił!

– Co chcesz rzeźbić?

– Runy! – odparł z dumą karzeł i rozejrzał się roziskrzonym wzrokiem po plaży. – Runy wyryję, Harald, by wszyscy pamiętali! Wszyscy! Napiszę o Białym Jastrzębiu, Windalfie, Konradzie, Randim, o twoim mieczu, katedrze, przepowiedni...

– Głuptasie! – Harald zaśmiał się głośno. – Przecież fale wnet zmyją twe runy! Już twoi wnukowie doczytać się nie będą mogli!

– O wa! – Arnul nadał policzki. – Hannar mnie nauczy zaklęcia, które runy obroni!

Przez moment obaj milczeli. W oku Haraldza znów zagościła mgiełka.

– I co ty teraz zrobisz, mały? – spytał. – Gdzie pójdiesz, kiedy ukończysz swą historię?

– Nie wiem jeszcze. – Karzeł naraz zmarkotniał. – Juści, że nie wrócę do pana Ketila...

Ulf chce, ale ja nie... Już chyba nie umiałbym karmić krów po...

– Trudno ci się dziwić – rzekł Harald. – Tyś nie ten sam Arnul, z którym mnie w celi zamknęli. W wielu bitwach walczyłeś, biskupa Hieronima za mordę żeś przywiódł, szanują cię i karły, i ludzie! Kawał chłopca z ciebie, Arnul!

– Tak myślisz? – Arnul się zarumienił.

– I jąkać się przestałeś.

– Na... naprawdę? – Karzeł szeroko otworzył oczy.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

– Na kości Ymira, bodajby koniec już z tymi walkami... – westchnął karzeł, uspokoiwszy się. – Może przy Konradzie zostanę? Porządek mu robić pomogę. Kowalem wždy jestem i na ciesielce się znam. Konrad człek zacny. Dobrze, że stary jarl zostać mu pozwolili!

– Może rzeczywiście dobrze... – Harald machnął dłonią. – Boga na Krzyżu już tak

łatwo stąd nie wypędzimy. A ludzie lubią Konrada. Leczyć umie, a dobre słowo znaleźć... Będą z niego ludzie, jak gada Edgar.

– Bez niego nie wygralibyśmy, nie? – Karzeł podskoczył.

– Nie – powiedział Harald po chwili zastanowienia. – On nas po karły wysłał, on pojednał ludzi i wojów Windalfowych, on rany mnogim uleczył. I mnie pewnie pomógł.

– Tobie? – zdumiał się karzeł.

– Tyle o tym pojednaniu gadał, że na łeb mi się rzuciło. – Harald wykrzywił wargi. – Gdyby nie on, pewnie ubiłbym Islandczyka. Rodon pojawił się w odpowiedniej chwili, ale ja... ja i tak bym chyba go nie ruszył. Celną strzałą życie mi uratował, wiesz? Wtedy to właśnie odkryłem, że źle zrozumiałem słowa walkirii.

Wojownik westchnął i wbił miecz w piasek. Karzeł nachylił się nad nim z ciekawością. Choć niebo było dalej zachmurzone i poszarpane obłoki pędziły jak szalone ku ginącemu we mgle horyzontowi, *Úlfabaninn* lśnił i błyszczał, jakby promieniował własnym, wewnętrznym ciepłem.

– Rzekła mi ona, że czterech wielkich ludzi ma ten miecz powalić. W sercu jednego mieszka wilk. Zawsze sądziłem, że to Vidar, ale chyba chodziło o tego szubrawca, co na niewolę nas skazał.

– O ojca Flawiusza – podpowiedział Arnul i zadrżał, zakładając włosy za szpiczaste uszka..

– W sercu drugiego miała mieszkać żmija i tu na pewno chodzi o Halvdansona, bo to mój cios żywot mu przerwał, kiedy swijski kapłan jesion podpalił. Potem był odyniec i tu na pewno chodziło o przywódcę Swijów, Ragnara. Chciał, bym go do Valhalla wysłał. Czwarty jeno... Czwarty ma w sercu gołębia i ciągiem o tym dumam.

– Konrad ma gołębia w duszy – beztrósco stwierdził Arnul. – Harald, ale ty chyba... – zaniepokoił się niespodziewanie.

– Daj pokój, karle! – Harald machnął ręką. – Nie, Konrad człek prawy. Po cóż miałbym broń na niego podnieść? Bądź spokojny. Może omyliła się walkiria? Ba, groziłem mu kiedyś, ale nie zawsze przysięgi człek dochować zdoła. Hannar dobrze o tym wie.

– Co wie?

– Ech... Pomnisz ten dzień, kiedy z Karlich Wzgórz widzieliśmy szturm na Nidaros i czary Hieronima? Wściekłość mnie dusiła i śmierć obiecałem każdemu ze świątków. Różnić ich chciałem bez wyjątku. A Hannar powiedział, że łgam.

– A skąd Hannar wiedział?

– Ma dar. Wie, czy kto prawdę mówi. Wyczytał łotr z moich myśli, że na Konrada ręki bym nigdy nie podniósł...

– Niejedna walkiria się pomyliła – rzekł z mądrą miną Arnul – Norny też głupio gadają! W przepowiedni było, że karzeł skarb ma odnaleźć, no i co? Czas płynie, wojna się skończyła, a żadnego skarbu nie ma!

– Dureń żeś, Arnul, i tyle ci rzeknę. Czy skarb to zawsze mnóstwo złota?

– A... a co innego? – wyjąkał z konsternacją karzeł.

– A Daria? – Harald zachichotał.

– Coś ty! – burknął speszony Arnul.

– Jedno mam oko, ale bystro ono patrzy, Arnul! – Wojownik śmiał się szczerze. – Wždy widziałem, jak ci oczy łyskają na jej widok! Mnie, starego konia, będziesz za nos wodził! Na kruki Odyna, karle! – śmiał się Harald do rozpuku.

Obrażony Arnul wstał i otrzepał spodnie z piachu.

– Jak masz zamiar sobie stroić żarty, to ja idę! – oznajmił.

– Poczekaj! – zerwał się wiking. – Pójdę z tobą. Wždy sąd nad Hieronimem ma się odbyć, jarl prosili, cobyśmy też przyszli.

– Sąd – burknął Arnul, już idąc. – Po kiego czorta bawić się jeszcze mamy? Taki to nie zasłużył na sprawiedliwość. Przecież Windalfa oszukał, a potem... – Karzeł zaciął się w sobie i zamilkł, spuściwszy głowę.

– Arnul – powiedział cicho Harald. – Opowiedz, jak zginął Windalf.

– Później, Harald.

Chciał wrzasnąć na Haraldą, poprosić go, by już nigdy, przenigdy nie przypominał mu chwili, kiedy wpadli do komnaty, w której trzymano Windalfa. Zamiast niego ujrzeli leżącego na łożu Hieronima, pogrążonego w głębokim śnie. Któż by się powstrzymał przed zemstą na najgorszym wrogu? Hannar rąbnął z całej siły, a potem... A potem wszyscy padli na ziemię, krzycząc ze zgrozy, bo czar się rozwiął i ujrzeli, że zamiast biskupa zabili Windalfa, którego ciało magia upodobniła do biskupiego.

Byli karłami i umieli się orientować w ciemnościach na podstawie echa padającej kropli wody, a więc znaleźli go bez trudu. Byłby uciekł, gdyby nie Laponka spłoszona przez ludzi jarla Trygvego – oszalała staruszka wpadła do jego komnaty, łkając ze strachu, i przerwała czar, który miał go przenieść daleko stąd. Przyparty do muru Hieronim bronił się desperacko – jego potężna magia wytrzymała napór sześciu karlich umysłów i byłby walczył długo, gdyby Nordri nie rzucił go stołkiem w głowę. Wywlekli wtedy nędznika na podwórzec zamkowy i chcieli zakatować, ale przerwał im Konrad.

Arnul potrząsnął głową, oddalając przykre wspomnienia. Przez cały dzień opłakiwali mądrego Windalfa, po czym o świcie następnego dnia Nordri, głosiciel prawa w plemieniu z Karlich Wzgórz, oznajmił wszystkim, że należy wybrać następcę. Król synów nie miał, a więc Nordri przypomniał wszystkim obyczaj z dawnych lat, kiedy to karli królowie często padali z ręki konkurentów do tronu. Prawo mówiło, że zabójca króla może objąć po nim tron, jeśli rytuał koronacyjny odbędzie się podczas najbliższej pełni. Śmiertelny cios zaś zadał Hannar, tedy on miał objąć tron po Windalfie.

Arnul z Haraldem szli wzdłuż kamienistego brzegu fiordu, słuchając krzyków mew. Wiatr dalej wył, ale morze tu było cichsze i spokojniejsze. Fale z większą dostojnością wbijały się na plażę, gdzie wśród odbudowywanych chat rybaków leżały kadłuby zdobytych drakkarów i knorrów.

– Słyszałem, że jarl Ivarson będzie dawał one okręty w darze tym, co się mu zasłużyli! – zawołał Arnul, pokazując je palcem. – Myślisz, że da ci jeden?

– Nie wiem – mruknął Harald bez przekonania. – Nie wiem, co teraz pocznę. Widzisz, te dni to dla ciebie początek nowego życia. Dla mnie ino koniec starego. Dla ciebie przepowiednia jest już prawie jasna, a ja wciąż nie wszystko rozumiem.

– Powiedz mi o tym.

– Później.

- Harald – powiedział z wahaniem Arnul, kiedy już szli pomiędzy chatkami rybaków.
- A może nie idźmy na ten sąd, co?
- Czemuż to? Nie chcesz zobaczyć, jak tego psa ubiją?
- Chcę, ale jakieś złe przeczucia mam.
- Nie bój się, wždy Hieronim w pętach będzie! – odparł wojownik i spojrzął na dreptającego u jego boku karła z uśmiechem.
- Nie boję się, jeno... – Arnul naciągnął szczelniej wełnianą czapkę. – Kiedyż ta przeklęta zima się skończy? – mruknął, by zmienić temat.
- Jeszcze potrwa... – odparł niespodziewanie wojownik.
- Co?
- Starych bajań nie pomnisz? Wždy ma być sroga, straszna zima, nim Ragnarok nadejdzie – dokończył Harald z dziwnym błyskiem w jedynym oku.
- Eee, cały ty... Znowu straszysz...

Na zewnątrz sali biesiadnej wiatr wył potępieńczo, aż siedzący w milczeniu zebrani naciągali mocniej płaszcze i opończe. Przewiew, niczym złośliwe czary domowych duchów, targał płomieniami pochodni i przesunął cienie na ścianach. Konrad przetarł dłonią oczy, czoło i przesunął ją wyżej, a potem uśmiechnął się, gdy natrafił na włosy. Odrastały powolutku i młody mnich pomyślał, że niedługo będzie mógł je mierzwić, czesać i ugładzać. Mimo groźnej, pełnej oczekiwania ciszy największej sali w zamku Białego Jastrzębia i mroźnej, szalejącej wichury za murami, w sercu młodego Konrada z Gwynedd jaśniało słońce. Cieszył się z byle powodu. Odżyły bowiem stare marzenia o niesieniu Słowa Bożego do dzikich pogan. Wreszcie koszmar minął – Herod, zwący się Białym Jastrzębiem, nie żył, a jego prawa ręka, biskup-demon, oczekiwał na swoją rozprawę. Konrad szykował się, by znów podjąć misję. Zapamiętał włosy, wyrzucił sutannę, zaczął ubierać się tak jak miejscowi, mówić z ich akcentem, pić ich piwo. W myślach widział już swoją chatę na podgrodzium Nidaros. Chciał czynić to co dawni apostołowie – mieszkać wśród zwykłych ludzi, stopić się z nimi, poznać ich zwyczaje i powoli przekazywać im miłość Chrystusa. Nie przez nauczanie w kościele czy kary i groźby – chciał być z nimi, pomagać, leczyć, godzić. Chciał, by zapamiętali, że słudzy Chrystusa niosą pomoc, pociechę i pojednanie. Wiedział jednak, że po tym, co uczynili biskup Hieronim wraz z Erykiem, czeka go ciężkie zadanie. Zyskał już przyjaźń i szacunek wielu spośród tych prostych, twardych ludzi, ale wiedział, że wiele wiosen i zim minie, nim pozbędą się mrocznych wspomnień.

Roziskrzony wzrok młodego mnicha przebiegł po ławach i ścianach i zatrzymał się dłużej na twarzach obecnych. Widział długie, nastroszone brody, włosy splecione w warkocze lub związane rzemykami, zimne niebieskie oczy. Od tych ludzi biła pogańska siła i upartość – w świetle dymiących pochodni wyglądali zgoła jak olbrzymy z bajek dziecięcych, oczekujące w milczeniu na potrawę z ludzkiego mięsa.

„Będzie niełatwo – myślał. – Ale nic to”.

Jarl na Hladir siedział zgarbiony na masywnym tronie, zagryzając wargi i zaciskając dłonie na drewnianych poręczach. Przetykana złotą nitką tunika i spływający z ramion płaszcz ze srebrnych lisów zgoła nie pasowały do chudej, żylastej sylwetki i pomarszczonej, ogorzałej twarzy. Jarl Ivarson wydał się naraz Konradowi starym, podstępny gnomem, królem podziemi z albiońskich bajek.

Jarl syknął coś niecierpliwie i skinął na syna, który posłusznie nachylił się na wezwanie. Chwilę rozmawiali szeptem. Konrad odniósł wrażenie, iż syk starego jarla jest pełen złości, choć młody Svein nadal emanował siłą i pewnością siebie. Po lewicy starego jarla, odziany w czarny kaftan ze złotymi ćwiekami, stał Vidar Gustavson, który trzymał pochodnię. Jego głowa była dumnie uniesiona, ale wzrok był zmęczony, pełen żalu i nostalgii. W pewnej chwili Vidar spojrzał na niego. Obaj uśmiechnęli się blado, zrozumiałwszy się bez słów. Byli teraz jedynymi prawdziwymi chrześcijanami w tej dzikiej krainie.

Na ławach pod ścianami siedzieli w milczeniu wojownicy z hirdy jarla, przybysze z Bjorgvin i kilku ocalałych wojów z hufca Białego Jastrzębia. Siedzieli szeroko, nonszalancko, jakby chcąc podkreślić własną moc, patrzyli twardo, bez emocji. Konrad rozpoznał kilka znajomych twarzy, jak choćby Albiończyka Thornsona, który pierwszy rzucił miecz, kiedy hufiec z Hladir wraz z wojownikami z Bjorgvin stanął niewzruszonym murem naprzeciw niedobitkom armii królewskiej. Dalej rozparł się na ławie potężny Edgar, który tak dzielnie wspierał go radą podczas najgorszych chwil. Stary woj przechylił głowę na ramię i sprawiał wrażenie, że drzemie. Był też młody Olav, były strażnik miejski, a obok niego...

Karły oschle podziękowały jarlowi Ivarsonowi za propozycję zajęcia miejsca na jednej z ław i stały teraz w szeregu pod ścianą, wspierając odziane w skórzane rękawice dłonie na drzewcach runicznych toporów. Każdy z nich miał na sobie półpancerzyk pod futrem wilczym, a ich głowy aż po brody skryte były w hełmach, fantazyjnie ukształtowanych na podobieństwo zwierzęcych głów. Konrad mógł tylko zgadywać, czy kryje się wśród nich Arnul, Daria lub Hannar.

Dalsze rozmyślania przerwał wielki huk – ktoś otworzył gwałtownie wrota do sali i wepchnął brutalnie ludzką postać.

– Hieronim! Hieronim! Świątek – poniósł się złowrogi szmer wśród wojowników.

Harald i Rodon bezceremonialnie ujęli biskupa pod ramiona i posadzili go na zydlu przed stolcem jarlowskim, sprawdzwszy, czy łańcuchy na nadgarstkach trzymają wystarczająco mocno. Potem stanęli w szerokim rozkroku tuż za nim, Harald z *Úlfabaninnem* przytroczonym do pleców i Rodon z wielkim młotem opartym o ziemię.

– Zda się, że lubowałeś się w takich zabawach, biskupie – wysyczał naraz Ivarson. – Lubowałeś przywozić ludzi przed swe oblicze i opowiadać o ich rzekomych winach, a potem skazywałeś ich na lochy i szubienicę, prawda?

Kilka tygodni w najciemniejszym lochu pod zamkiem zamieniło potężnego biskupa w żałosny strzęp ludzki. Bogate szaty zastąpiły nędzne łachmany, a niedola pochłonięła tuszę, pozostawiając kilka groteskowych fałd. Nisko pochylona łyśa głowa drżała na chudej szyi. Sińce i rany zadane przez karły wciąż jeszcze się nie zagoiły, ropiejąc w wilgoci celi.

– Raz już śmierci uciekłeś, wężu! *Naðran þín!* – mówił dalej Ivarson. – Złe duchy musiały ci pomóc, bo wstałeś z martwych ino po to, by dalej śmierć nieść! Tłoczno w komorach Hel, z trudem biedaczka nad tłumem panuje! – parsknął złym śmiechem, niektórzy wojowie zawtórowali mu. – Wielu dobrych ludzi jak niewolników żeś ubił! Karłów oszukałeś Króla ich ubiłeś, *naðran!* Wiesz, co cię czeka?

Biskup uniósł trzęsącą się głowę i próbował spojrzeć na jarla. Chciał coś powiedzieć, lecz z jego ust wyrwał się jedynie bezrozumny bełkot.

– Panie! – poderwał się naraz Konrad. – Wždy on cierpi!

– Niech cierpi, psia jucha! – warknął bez litości Ivarson. – Inni cierpieli z jego kaprysu, niechaj nynie on to pozna!

– Ale nie lza tak... – Mnich naraz padł do stóp starego jarla. – Zaprzestańcie szydzić, panie... Zwólcie mnie z nim gadać!

– Tobie? – zdumiał się Ivarson.

– Z tego samego kraju jesteśmy – błagał Konrad. – Jednej religii... Zwólcie, panie, bym go wypowiedział.

– Niechaj tak będzie – powiedział niechętnie jarl.

Szept i szemranie poniosło się wzdłuż ław, a oczy wszystkich skierowały się na Konrada podchodzącego powoli do dygoczącego od gorączki biskupa. Uklęknął przed nim i z brzękiem łańcuchów ujął jego poranione dłonie we własne.

– Braćmi jesteśmy w Chrystusie – odezwał się po łacinie. – I chcę ci pomóc zbawić duszę. Wola ludu Północy żelazna, ojcie Hieronimie, i nie wiem, czy ci winy darują, ale musisz chociaż sumienie oczyścić. Wyznaj więc swe grzechy i proś o przebaczenie, bracie w Chrystusie!

Biskup patrzył nań załzawionymi oczyma, w które powracała z wolna przytomność.

– Czuję czary – szepnął zaniepokojony Hornobori do Nordriego.

– Kajaj się, bracie, to czas twej spowiedzi. To czas...

– Dość tego! – rozzłościł się nagle jarl. – Nie będziesz mi tu w psim języku szwargotać! Ejże, Harald, weź go na bok!

Harald wyszedł przed biskupa i ujął Konrada za ramię.

– Jarl kazali! – powiedział z niezwykłą dla niego łagodnością. – Dajże pokój, Konradzie.

– Nie godzi się... – Mnich spojrzał nań z żalem, pozwalając się podnieść i odprowadzić kilka kroków.

– To nikt z naszych! – szepnęła ze strachem Daria.

Oczy biskupa naraz załśniły lodem. W dręczonym chorobą, osłabłym i poranionym ciele starczyło jeszcze siły na ten jeden ostatni skok. Siłą swej magii Hieronim rozerwał łańcuchy z nadgarstków i dopadł pleców Harald. Rodon z krzykiem skoczył do przodu, chwytając młot, ale oto śmignęła już rdzawo klinga porwanego *Úlfabaninna* i biskup ciał z ohydny skrzykiem prosto w szyję Konrada.

Przeznaczenie zostało dopełnione.

Wszyscy czuli, że od rana coś wisi w powietrzu. Wiatr przywiewał coraz gęstsze, coraz cięższe chmury, te zaś nisko wisiały nad ścianami fiordu, jakby chciały zdusić swym ciężarem zamek królewski w Nidaros. Strażnicy patrzyli na nie z zabobonnym lękiem, opatulając się szczelniej w kozuchy i szepcząc między sobą, iż bogowie są gniewni.

Smagani lodowymi podmuchami ludzie naciągali mocniej kaptury na twarze, śpiesząc w stronę domostw. Ryglowano drzwi, wprowadzano bydło do obórek, w wielu izbach zapalano już kaganki i ludzie siadali wokół paleniska. Zawsze były jakieś ubrania do połatania czy narzędzia do naprawienia. Zawsze było co robić, kiedy słuchało się szalejącej nad morzem burzy.

Wkrótce wiatr zawył, śmigając prosto ku fiordowi i warowni chmur. Te przywitały go stłumionym gromem, a potem szarobrunatne niebo rozszczepiła błyskawica. Horyzont skrył się za żarłocznymi, coraz to większymi falami, a potem, niemalże w ułamku sekundy, świat zniknął za rześzystymi strugami deszczu.

Harald nie dbał o przemoczone ubranie ani wstrząsające nim dreszcze. Stał na samym krańcu wyniosłego klifu, a krok dalej rozciągał się poszarpany brzeg przepaści, u stóp której szalała kipiela. Słuchał z lubością ryku rozjuszonego morza i z podziwem wpatrywał się w obojętną, miążdżącą wszystko strumieniami deszczu twierdzę chmur.

Odwrócił się jeszcze na moment, rzucił krótkie spojrzenie w stronę ledwie widocznego miasta. Wąskie okna zamku królewskiego jaśniały już wesoło – uczta wydana przez jarla Trygvego Ivarsona pewnie już trwała. Choć po śmierci Konrada zapanował w Nidaros smutek, przebiegły jarl nie miał zamiaru porzucać planów przypomnienia całemu światu, że na tronie królewskim zasiadł nowy ród. Wojowie myśleli tylko o pierwszej od wielu, wielu dni prawdziwej biesiadzie z pieśniami, piwem i dziewczkami. Mówiono o tym, że pierwszy raz od wielu, wielu lat karły pić będą z ludźmi, że przybyć ma poselstwo znacznych rodów z Bjorgvin, że jarl ma zamiar wysłać Gustavsona do Albionu po nowych misjonarzy. Wszystko sobie poukładał, stary, chytry jarl!

Biesiada, pieśni, wino! Młody Svein będzie tańczył na ławach i rzucał toporami, nadobna Gudrun z ulgą przytuli się do ramienia ojca, Edgar rozbawi towarzystwo kilkoma zabawnymi powieściami, Rodon popisze się ogromną siłą, może wreszcie Arnul usiądzie obok Darii i napiją się ze wspólnego rogu?

Ciężkie chmury pluły deszczem i naraz wydało się Haraldowi, że wszystko to, Nidaros, zamek i przyjaciele, stają się dla niego odległe. Kiedyś uwielbiał huczne biesiady, lecz teraz, gdy nie było już na nich Finna Ottarsona i innych przyjaciół, nie miał się czym cieszyć. Wciąż pamiętał śmierć Randiego Wilczej Mgły i Ragnara Przyjaciela Kruków, wiedział, że Vidarowi brakuje Flokego i Konrada, a Arnul wciąż ma przed oczyma śmierć Windalfa. Nie ma jak ucztować, gdy tyle żalu...

Stał nieruchomo. Huk fal i grzmot kolejnych piorunów upajały go i naraz uświadomił sobie, że elementy asgardzkiej intrygi zaczynają układać się w logiczną całość. Randi szeptał doń, z dumnie uniesionym czołem mówiła walkiria, Arnul pytał o coś ze zmarszczonymi brwiami. Żywi i umarli, zwycięstwo i klęska, bogowie i ludzie...

„Te pioruny, ten sztorm, to przecież dzień bitwy! – pomyślał Harald. – Dlaczego nikt tego nie widzi? Wždy to koniec! Dziś urywają się ostatnie nitki tkaniny Norn, dziś dopełnia się przeznaczenie bogów i świata... Dlaczego nikt tego nie widzi?”

Kręcił głową, a krople deszczu spływały po jego twarzy. Pamiętał słowa walkirii – mówiła, że niewielu zauważy zmierzch bogów. Mało kto usłyszy w pieśni wiatru tupot stóp olbrzymów schodzących z gór Jotunheimu i grupujących się w hufce przed Bifrostem. Nikt nie usłyszy, jak pieje kogut Fjalar, budzący Asów do ostatniego boju, czy jak dmie w swój róg Heimdall, strażnik Tęczowego Mostu. Łopoczą skrzydłami Hugin i Munin, lądując na ramionach Jednookiego i szepcząc mu ostatnie wieści, wyją wilki Freke i Gere, odpowiada im z mroku straszliwy Fenris. Thor śpiewa pieśń bojową, Freja skupia magię, drżą rozwierane bramy boskiej twierdzy.

– Nie widzicie tego? – pytał Harald, a jego głos niął wśród wycia wichru. – Nie słyszycie szyderstw zdrajcy Lokiego, wiodącego armię olbrzymów? Nie słyszycie brzęku zbroi Asów? W powietrzu suną już smoki, na spotkanie płyną im walkirie, Yggdrasil drży w posadach, a Odyn szarżuje na grzbiecie ośmionogiego Sleipnira! Hufce padłych wojowników przekraczają bramy Valhalli i budują mur tarcz! A kto w pierwszym szeregu? Finn syn Ottara! I Floke Wiatrowłosa! I Thorfinn syn Kallego! I Randi Wilcza Mgła! I Ragnar Przyjaciół Kruków! I stary Eskil syn Ulfa... Dlaczego ja to widzę? Zalibym zmysły postradał? Ludzie, czy wy też to widzicie? Czy wiecie, że wszystko odchodzi? Że lada moment padnie Asgard, padnie Jotunheim, świat się rozsypie...

Wiatr porywał jego słowa i niósł je wyżej, tam gdzie poszarpane chmury pędziły przed siebie na podobieństwo rydwana Thora. A Harald już wiedział, dlaczego swijski kapłan wystawił swą pierś na cios *Úlfabaninna*, wiedział, dlaczego swijscy wojownicy woleli umrzeć w walce niż uciekać do ojczyzny. Niedługo miały zatrzaskać się bramy Valhalli, walkirie sprowadzały już ostatnich wojów. Świat się walił, Fenris wył, Odyn krzyczał, unosił włócznie.

– Obiecałaś! – krzyczał. – Obiecałaś, walkirio!

Harald uniósł ku niebu mokrą od deszczu twarz. Tam widział ostatnie zadanie, które przyjdzie mu wypełnić przed zmierzchem bogów.

– Obiecałam! – przyszła odpowiedź. – Czekam.

Harald uśmiechnął się z ulgą i zrobił krok. A potem następny.

Epilog

Vidar Gustavson umoczył końcówkę gęsiego pióra w atramencie i zamaszystym ruchem wypisał tytuł. Spojrzał na swe pióro – nie pasowało już tak jak dawniej do jego dłoni, teraz pokrytej bliznami, szorstkiej. Patrzył przez chwilę na płomień świecy, zbierając natchnienie, po czym przytknął zaostrzony koniec pióra do kartki.

Płomienie paleniska pochłaniają już stronice sagi, którą pierwiej napisać zamierzałem. Miała mówić o walecznych czynach konunga Nordwegu, Eryka Halvdansona, który Białym Jastrzębiem się mienił, a miał być tym, co Boga ludom Północy przywiedzie. Miast Słowa Bożego jednak przyniósł on jeno śmierć i pożogę. Tedy jeszcze raz o nim pisać począć pragnę, ale jako ten, który poznał fałsz w jego słowach i do upadku się przyczynił.

Cisza panowała w Wieży Koszmarów, głęboka, nieprzenikniona. Wiedział, iż oprócz niego w zamczysku pozostała jedynie garść służących i strażników. Jarl Ivarson wraz z synem i przybocznymi skoro świt udali się na Orating, by według prastarej, północnej tradycji zaprzysiąc wierność ludowi. Ku swemu zdziwieniu odkrył, iż podoba mu się teraz ta cicha, przytulna komnata, kiedy korytarze milczały, nie niosąc wrzasków z podziemi.

Chcę pisać o bohaterach prawdziwych. O Trygvem Ivarsonie, jarlu na Hladir, który dość miał upokorzeń i z siłą zbrojną stanął Jastrzębiowi na drodze. Onże to wedle prawa na tronie Nidaros zasiąść ma i rządy mądrze sprawować, choć boleję, że wierze jedynej pozostaje obojętny. Nynie, skoro Konrad zginął z ręki Hieronima, nie ma już komu płomienia świętego dalej podsycać i jam jeden Wszchemogącego sługa w Nordwegu.

Runiczny miecz wisiał na ścianie, a od czasu, gdy go tam powiesił, pochwę i rękojeść zdążył już pokryć kurz. Z ulgą rozparł się na krytej skórą ławie i upił nieco piwa z glinianego kubka. Znów zaskrzypiało pióro.

Chcę też napisać o dwóch wielkich wojownikach, którzy do obalenia Białego Jastrzębia walnie się przyczynili. Oni to, duński wiking Harald syn Ingvara i karzeł Arnul, wielką chwałą podczas wojny się okryli i wielu mężnych czynów dokonali. Dzięki nim to lud z Nidaros z plemieniem kartów w sojuszu się połączył i rządy złych ludzi obalił. Niestety, Harald, choć największych zaszczytów może nynie oczekiwać, zniknął kiej kamień w wodę. Nie ma siły, by wilka dzikiego powrozem uwiązać, nie ma...

Vidar odłożył pióro i wolno podszedł do okna, by oprzeć się o kamienny parapet. Zapadał zmierzch i pierwsze gwiazdy pojawiały się już nad fiordem, ale wciąż dobrze

było widać złowieszcze ruiny katedry. Ludzie poczęli już wynosić z nich kamienie i wykorzystywać do odbudowy domostw, ale tej nocy zgliszcza świątyni ożyły na nowo. Biło z nich bladoniebieskie światło, a ucho skalda wychwytywało tajemniczą pieśń bez słów, śpiewaną przez wiele głosów. Wiedział, że karły przeprowadzają prastary rytuał koronacyjny. Dobrze pamiętał układ, jaki jarl Tryggvason zawarł z przybyszami z podziemi – w zamian za stal i kamienie szlachetne karły będą otrzymywać żywność i tkaniny, a wymiana miała następować w miejscu, które nazwano Arnulheim. Jarl wybrał niewielką górską dolinkę mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Karlimi Wzgórzami a Nidaros i tam postanowił wznieść gródek targowy, którego jarlem miał zostać Arnul.

Zaiste, żałuję prawdziwie, iż pogadać z Haraldem nie zdołałem. Jest tyle pytań, na które ciągiem braknie odpowiedzi. Przyznam, iż szczerze Jezusa Chrystusa miłując, nie pamiętałem o mocy starych bogów i szydziłem z przepowiedni i zabobonów. A nynie jasnym jest, że przepowiednia Haralda i Arnula mówiła prawdę. Głosiła na przykład, że nieszczęsnego Konrada trzy razy zabić go będą próbowali. Zaiste, najpierw natarł nań dziki wojownik podczas oblężenia – do dziś nie wiada, zaliby to Swij był, któryś z obrońców, szaleństwem pchnięty, czy może zamachowiec, przez Flawiusza nastany. Później karły żywota chciały go pozbawić, kiedy katedrę zaatakowały, a w końcu i sam Hieronim, który magią przebrzydłą ducha zeń chciał wyrwać. Szczęściem, że wtedy go karły z transu obudziły. Czwartym razem nie umknął Konrad śmierci – dopadł go cios w plecy zdrajcy biskupa. Rodon, co również przepowiedziane zostało, zdzielił Hieronima młotem, chcąc go zatrzymać, ale nie zdążył.

Ze smutkiem w oczach Vidar podszedł do ściany, zdjął z haka miecz i na jego miejscu powiesił ukochany krzyżyk Konrada – skromny, żelazny, wygładzony od wielu nocy ściskania go przed ołtarzem. Cofnął się kilka kroków i długo nań patrzył. Teraz był w tym kraju całkowicie sam – wraz z mieczem, piórem i małym krucyfiksem.

Dziwne pytania dziś się we mnie się tłoczą, a najdziwniejsze z nich brzmi: czy wolno wierzyć w to, że stare opowieści o bogach są prawdziwe? A jeśli tak, to które? Pomnę jedną, która nigdy spokoju mi nie dawała – o Ragnaroku, dniu, w którym bogowie staną przeciw potworom, smokom i olbrzymom i w okrutnym boju nawzajem się wygubią. Świat legnie w gruzach, a wtedy, pośród całkowitej pustki, odrodzi się ten ukochany – wstanie z martwych Baldr, bóg piękna i dobra. Ongiś kochany przez cały Asgard za swą urodę, nieskazitelność, cnoty, a nade wszystko miłość do świata i zabity z zazdrości przez Lokiego ma się odrodzić i pokazać ludziom, jak żyć i jak kochać. Dumam i dumam i ciągiem jedna myśl do łba mi przychodzi – dlaczego Baldr tak Chrystusa Odkupiciela przypomina? Skoro miałyby Baldr zaiste pod postacią Jezusa na Północ przyjść, tedy warto, bym tu siedział i na niego czekał. Tak mi dopomóż Bóg.

-
- 1 *Skál!* (szw.) – Na zdrowie!
 - 2 *Jomsvikingr* (isl.) – Wojownicy z Jomsborga.
 - 3 *Já, herra minn!* (isl.) – Tak, mój panie!
 - 4 *Mjög vel!* (isl.) – Doskonale!
 - 5 *Árás!* (isl.) – Naprzód!
 - 6 *Ég heilsa yður* (isl.) – Pozdrawiam cię.
 - 7 *Ég veit* (isl.) – Wiem.
 - 8 *Hvíti fálkinn* (isl.) – Biały Jastrzębiu
 - 9 *Aldrei!* (isl.) – Nigdy!
 - 10 *Naðran þín!* (isl.) – Ty zmij!
 - 11 *Góða nótt!* (isl.) – Dobrej nocy!
 - 12 *Já, sannur* (isl.) – Tak, prawda.
 - 13 *Hvað?* (isl.) – Co?
 - 14 *Augnablik* (isl.) – Za moment!
 - 15 *Takk fyrir!* (isl.) – Wielkie dzięki!
 - 16 *Hvað er þetta?* (isl.) – Co to takiego?
 - 17 *Ekki sannur* (isl.) – Nieprawdaż.
 - 18 *Hlaupið!* (isl.) – Szybko!
 - 19 *Þegiðu!* (isl.) – Cicho bądź!
 - 20 *Ég veit* (isl.) – Wiem.
 - 21 *Ég veit ekki* (isl.) – Nie wiem.
 - 22 *Sofið vel* (isl.) – Śpij dobrze.
 - 23 *Somuleiðis* (isl.) – Ty też.
 - 24 *Ég skil ekki* (isl.) – Nie rozumiem.
 - 25 *Talar þú norsk?* (isl.) – Mówisz po nordwesku?
 - 26 *Er yður ilt?* (isl.) – Jesteś chory?
 - 27 *Heill sé yður!* (isl.) – Chwała tobie!
 - 28 *Bless allir!* (isl.) – Pozdrawiam wszystkich!
 - 29 *Hvað viljið þer?* (isl.) – Czego chcesz?
 - 30 *Andskotinn* (isl.) – Niech to szlag trafi!
 - 31 *Aldrei!* (isl.) – Nigdy!
 - 32 *Fjandinn!* (isl.) – Cholera!
 - 33 *Lygarinn þinn!* (isl.) – Ty kłamco!
 - 34 *Þetta líkar mér!* (isl.) – To mi się podoba!
 - 35 *Varaðu þig!* (isl.) – Uważaj!
 - 36 *Helvítis fíflað þitt!* (isl.) – A niech cię szlag!
 - 37 *Hann er klikkaður...* (isl.) – On oszalał...
 - 38 *Deyðu!* (isl.) – Giń!
 - 39 *Takk fyrir!* (isl.) – Wielkie dzięki!
 - 40 *Verndaðu okkur!* (isl.) – Chroń nas!
 - 41 *Það er lygi!* (isl.) – To kłamstwo!
 - 42 *Að sjálfsögðu!* (isl.) – Bez wątpienia!

[43](#) *Veit ekki* (isl.) – Nie wiem.

[44](#) *Skal gert* (isl.) – Załatwione.

[45](#) *Það er lygi!* (isl.) – To kłamstwo!

[46](#) *Hver í veröldinni ert Þú?* (isl.) – Kim jesteś, do diabła?

[47](#) *Ég heiti Harald! Harald Ingvarson!* (isl.) – Nazywam się Harald. Harald Ingvarson!

[48](#) *Öxin mín er blóðþyrst!* (isl.) – Mój topór łaknie krwi!

[49](#) *Ég er ekki frá Alfheim* (isl.) – Nie przybywam z Alfheimu.

[50](#) *Þú pirrar mig!* (isl.) – Denerwujesz mnie!

[51](#) *Svikarinn þinn!* (isl.) – Ty zdrajco!

Redakcja: Dorota Pacyńska
Korekta: Ilona Siwak

Ilustracje i projekt okładki: Piotr Arendzikowski
Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-2370-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo